PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK OŚMNASTY. — TOM LXIX.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1901.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1901.

Errata:

Str.	3 w. 11 od dołu,	zamiast: »10-ty marca«,	czytaj: »n-ty marca«
Str.	102 w. 9 od dołu,	zamiast: »umiarkowaniu»,	czytaj: »wnioskowaniu«
Str.	109 w. 8 od góry,	zamiast: »obstrukcyi«,	czytaj: »abstrakcyi«

Wskazówki chronologiczne do ery Chrystusowej.

Liczymy obecnie, prawie wszyscy w całym świecie chrześcijańskim, rok 1901-y ery zwanej albo Dyonizyańską od jej twórcy, albo chrześcijańską od jej epoki.

Twórca tej ery, zakonnik rzymski Dyonizy przydomkiem Szczupły, ani najmniejszym słówkiem nigdzie w licznych swoich dziełach nie nadmienił, że wprowadza nową jakąś erę: nie wystąpił jako wynalazca jakichbądź liczb nieznanych, tylko ułożył tablicę świąt ruchomych w szóstem stuleciu na przeciąg 95-ciu lat i pooznaczał w tej tablicy lata liczbami porządkowemi od 532 do 626. Nie za swój wynalazek podał te liczby, tylko za prawdę znaną już dostatecznie i nie od niedawna dopiero, a za bezpośrednie źródło tych liczb podaje wskazówki rzeczoznawców aleksandryjskich.

Kiedy z biegiem lat tablica świąt ruchowych dobiegała do końca, następcy Dyonizego układali według jego zasad tablice odpowiednie na lata późniejsze i oznaczali te lata w dalszym ciągu liczbami porządkowemi, jakie wypadały według tablicy Dyonizego. Stąd nieprzerwanym ciągiem te liczby porządkowe szły rok za rokiem i doszły obecnie do roku 1901-go.

Era stąd utworzona nosi także nazwę chrześcijańskiej od swojej epoki. Epoką mianowicie każdej ery nazywamy wypadek, od którego zaczynamy liczyć jej lata. Dyonizy wprowadził do swoich tablic rzeczone liczby porządkowe lat, aby zaznaczyć,

ile czasu w każdym roku upływa od Wcielenia Pańskiego: otóż za epokę obrał dzień 25-y marca, kiedy Anioł zwiastował Tajemnicę Wcielenia. Aby ten dzień oznaczyć na tle wieków, Dyonizy zbiera następne wskazówki chronologiczne: dzień ów 25-y marca wypadł w niedzielę — a w 34 lat później nastąpiła równonocnia wiosenna w ciągu dobry, którą Żydzi zaczynali ze zachodem słońca we czwartek, a kończyli ze zachodem słońca w piątek; w ciągu tej doby we wieczór czwartkowy wypadał 14-y dzień od nowiu [1]. Tę ostatnią wskazówkę wyjaśnia łatwo astronomia, która wykazuje, że w ciągu stulecia ostatniego przed Chrystusem i pierwszego po Chrystusie średnia równonocnia wiosenna wypadała 23-go marca; jeżeli tedy 14-ta doba od nowiu upływała od wieczora czwartkowego 22-go marca aż po zachód słońca w piątek 23-go marca, to w 13 dni pierwej upływała doba 1-a, w ciągu której zaszedł nów między zachodem słońca 9-go marca a zachodem 10-go marca.

Zatem według wskazówek Dyonizego wypada:

Epoka w niedzielę	25-go	marca	roku	0
Nów w sobotę	10-go	„	„	34-go
14-y dzień od nowiu	23-go	„	„	34-go.

Otóż z pomocą tablic astronomicznych łatwo już od obecnego roku 1901-go wracać w tył rok za rokiem i wyliczyć, ile lat temu stan nieba podawał dnie słońca i księżyca odpowiednie opisowi Dyonizego: więc znaleźć równonocnię w piątek, nów 14-go dnia przedtem, przed zachodem słońca 10-go marca, a w 34 lat przedtem epokę 25-go marca w niedzielę.

Jednak tablice astronomiczne prowadzą do wyników innych, niż wymagają liczby w erze Dyonizego. Jeżeli jego liczby porządkowe mają oznaczać, ile lat upływa od epoki, opisanej przez

[1] Migne, *Patr. Lat.* LXVII, Dyonisii Argumenta 506: „Conceptus est Christus Dominus in die dominica VIII cal. apr. ... Aequinoctium primum est, in qua aequatur dies cum nocte... in qua etiam passus est Christus secundum carnem... In die qua passus est, fiunt anni XXXIII et menses III... stat Eum passum VI feria". Później przytacza Dyonizy list św. Protera, patryarchy aleksandryjskiego, z wskazówką, że: „Quinta sabbatorum, decima quarta luna mensis primi, in coenaculo cum discipulis pascha manducans, paulo post a Juda traditur".

niego zupełnie wyraźnie, tedy powinnibyśmy obecnie, w r. 1900-m jego ery, liczyć dopiero rok 1892-gi, bo tylko 1892 lat upływa w roku obecnym od owej epoki, i tylko 1858 lat, a nie 1866 przechodzi obecnie od roku z nowiem 10-go marca w sobotę i równonocnią 23-marca w piątek, 14-go dnia od nowiu [1].

To też powaga zawodowych chronologów w nowszych czasach nie pozwala wątpić, że w liczbie lat ery Dyonizyańskiej tkwi jakiś błąd. Zarzut ten, choć dopiero w ostatnich wiekach dojrzał, przecie padł na Dyonizego zaraz w owych czasach, kiedy liczby przez niego wprowadzone do tablicy świąt ruchomych zaczęły nabierać rozgłosu jako nowa era chrześcijańska. Już w ósmem stuleciu badacze, przeciw którym rozprawia Beda, zwrócili uwagę na zasadę kalendarza juljańskiego, która pozwalała im liczyć lata od ich stulecia w tył aż do Wcielenia Pańskiego, jak nam tablice astronomiczne pozwalają ze stanu nieba w stuleciu dwudziestem cofnąć słońce i księżyc niejako na stulecie pierwsze: otóż rzeczeni badacze w świetle swojej zasady spostrzegli, że Dyonizy liczy lata porządkowe w swojej erze sprzecznie z własnym opisem ich epoki.

Dowód ich spoczywał na zasadzie, że w kalendarzu juljańskim dnie miesiąca w zupełnie stałym porządku wracają na te same dnie miesiąca co 28 lat, a zmiany księżyca także w niezmiennym porządku zawsze wracają na te same dnie miesiąca co

---

[1] Dzień 10-ty marca roku 0 jest wskazany resztą $r\left(\frac{n}{7}\right)$, zaś w roku A resztą $r\left(\frac{1\frac{1}{4}A + n}{1}\right)$ gdzie ułamek opuścić należy, bo liczba ma być całą.

Weźmy najprzód n = 25, tedy w roku 8-ym jest

$$r\left(\frac{1\frac{1}{4}\,8 + 25}{7}\right) = r\left(\frac{10 + 25}{7}\right) - r\left(\frac{35}{7}\right) = 0 \text{ jest niedziela.}$$

Weźmy następnie n = 23 w roku późniejszym o 34 lat czyli w roku 42-im, tedy $r\left(\frac{1\frac{1}{4}\,42 + 23}{7}\right) = r\left(\frac{52 + 23}{7}\right) = r\left(\frac{75}{7}\right) = 5$ w piątek, przeto liczby podane przez Dyonizego, że epoka jego ery przypadła kiedy 25-ty marca czyli dzień Zwiastowania był w niedzielę a w 34 lat później równonocnia wiosenna czyli dzień 23 marca przypadał w piątek — zgadzają się tylko do epoki w roku 8-ym.

Zatem w r. 1900 winniśmy liczyć rok 1892.

19 lat: zatem każda zmiana księżyca w tym samym dniu miesiąca i w tym samym dniu tygodnia wraca stale co 28×19=532 lata. Stąd w kalendarzu juljańskim nie trzeba wiecznie obliczać świąt na każdy rok: wystarcza raz ułożyć tablicę na okres 532-ch lat, zwany indyktjonem, i na każdy rok późniejszy brać porządek świąt, oznaczony w tablicy rokiem o 532 mniejszym.

Zatem, jak wypadały zmiany księżyca i dnie miesięcy i tygodnia w roku 0 ery Dyonizyańskiej, tak w kalendarzu juljańskim wracają na lata 532, 1064... jak wypadały te dnie w r. 34-ym, tak wracają w latach 566-ym, 1098-ym i t. d.

Na tej zasadzie oparci badacze zajrzeli do tablic Dyonizego, aby znaleźć u niego oznaczony liczbą 532 rok z niedzielą 25-go marca, a 34-ty rok później, z piątkiem 23-go marca a 14-go dnia od nowiu oznaczony liczbą 566. Ale znaleźli zamiast tych liczb porządkowych inne, o ósemkę większe, 540 i 574 przy latach wymaganych w opisie epoki, a przy latach zupełnie niestosownych do tego opisu znaleźli owe liczby 532 i 566. Stąd zarzucili wyraźną pomyłkę Dyonizemu.

Z biegiem wieków zarzut owych badaczy nie tracił na sile; owszem odkąd rozwój nauki astronomicznej na Zachodzie dał poznawać coraz umiejętniej stan słońca i księżyca na niebie w pierwszem stuleciu, odtąd coraz głośniej znawcy twierdzili, że Dyonizy obrabiał swoje tablice zgodnie ze stanem nieba w wieku Chrystusa Pana, więc podawał właściwe znamiona każdego roku i określił epokę swojej ery tak wyraźnie, że nie można wątpić, gdzie każe jej szukać na tle wieków; oznaczył ją przy tem zgodnie ze świadectwami pisarzy poprzednich, nawet najdawniejszych i najbliższych doby apostolskiej: tylko mylnie przy latach swojej tablicy podopisywał liczby porządkowe i przez to w jego erze wypada nam obecnie 1901 lat od epoki, od której upływa w samej rzeczy tylko 1893 lat. Tę myśl można krótko wyrazić słowami, że rok 0 czyli arytmetyczny początek ery Dyonizyańskiej poprzedza epokę tej ery o lat ośm.

Nieszczęściem dla dziejów prawdy, Dyonizy z dziełem swojem doszedł do nas przez rękopisy niewątpliwie popsute, więc niektóre słowa i liczby, które mają wyjaśniać jego myśl, za-

gmatwały ją niezmiernie. I tak znajdujemy u Dyonizego, prócz wspomnianych znamion epoki, jeszcze dodaną inną wskazówkę, która sprawę zaciemniła wprost niezrozumiale dla wielu badaczy późniejszych: mianowicie czytamy, że ów 14-y dzień od nowiu wypadł w 34 lata po Wcieleniu Pańskiem w piątek, i to w dzień równonocny wprawdzie, ale zarazem 25-y marca.

Bez dodatku tej ostatniej liczby, — dnia 25-go marca, — poprzednie znamiona wystarczają, aby od obecnego roku 1901-go iść w tył aż do pierwszego stulecia i znaleźć epokę Dyonizego, czyli niedzielę 25-go marca przed 1892-ma latami: więc w roku ery Dyonizyańskiej 8-ym; a o 34 lata bliżej do nas, przed 1858-iu latami można znaleźć równonocnię w piątek; 14-go dnia przedtem nów wypadł był 10-go marca w sobotę, kiedy ubiegał rok 42-gi ery Dyonizyańskiej. Ale w tym roku słońce przechodziło przez znak równonocny po północy między 22-im a 23-im marca. Więc liczba 25-go marca, dodana jakoby jednoznacznik z dniem równonocni, nie wyraża prawdy dokładnie i zgodnie z poprzedniemi wskazówkami, ani nie stanowi uwagi niezbędnej, aby jaśniej oświecić myśl poprzednią, owszem zaszkodziła prawdzie w obec jej badaczy, dostatecznie zapoznanych z astronomią, a mniej biegłych w łacinie pospolitej ludu rzymskiego.

Ktokolwiek ma zasadnicze pojęcia astronomii, ten może wiedzieć, że 25-y dzień marca przychodził razem z równonocnią w 300 lat przed Chrystusem Panem, a w roku Jego śmierci oznaczał już trzeci dzień po równonocni. Na tyle już zapoznani z astronomią badacze średniowieczni musieli chyba za wyraz nieuctwa brać słowa Dyonizego o śmierci Chrystusowej w dzień zarazem równonocny i 25-y marca.

Nadto jeżeliby Dyonizy myślał nie o równonocni, która wypadała 23-go marca, ale rzeczywiście wskazuje 25-y dzień marca, tedy nie wyznaczyłby roku możebnego w pierwszem stuleciu, bo w całem tem stuleciu nie zaszedł ani razu wypadek, aby po roku z niedzielę 25-go marca nastąpił później 34-y rok z piątkiem 25-go marca. Jeżeliby więc Dyonizy stawiał piątek 25-go w roku 34-ym po niedzieli 25-go marca, tedy zestawiałby

razem sprzeczne wskazówki i zbijałby wyraźnie jedne drugiemi.

Stąd też słowa o śmierci Chrystusowej w dzień równonocny i zarazem 25-y marca wyrażają myśl niedorzeczną i za taką musi ją uważać kto przypadkiem nie wie, że w pospolitej mowie łacińskiej lud przechowywał starożytną liczbę 25-go marca jako nazwę równonocni; tak liczył od wieków i skłonił Juliusza Cezara do ustępstwa przed zwyczajem: kalendarz po dawnemu zachował nazwę równonocni dla 25-go dnia marca: *VIII-o kal. Aprilis aequinoctium vernum.* Stąd ogół pisarzy łacińskich pozostawał przy owej liczbie nietykalnej nawet w wieku 7-ym, kiedy równonocnia wypadała już o tydzień wcześniej: 18-go marca.

Wzmianka zatem o piątku 25-go marca w ustach Dyonizego nie zbija jego poprzednich słów o piątku w dzień równonocni ani nie wyraża nic niedorzecznego, tylko wskazuje piątek Męki Pańskiej w dzień równonocny, ciągle jeszcze mianowany 25-ym marca, choć wypadał już w pierwszem stuleciu o dwa dni wcześniej.

Zatem Dyonizy wyraził myśl prawdziwą i zgodną ze znamionami lat Chrystusowych, choć niedokładną i niewyraźną dla czytelnika z tych wieków późniejszych, które wymazały w kalendarzu juljańskim stałą równonocnię 25-go marca; wieki te zatarły pamięć o zwrotach mowy używanych jeszcze w stuleciu 7-em, kiedy nazwa równonocni i liczba 25-go marca uchodziły za jednoznaczniki.

W późniejszych też wiekach wystąpił Roger Bakon z dowodami, że głos, wówczas jeszcze powszechny, o piątku Męki Pańskiej w dzień równonocni, rzekomo 25-y marca, stanowczo przemawia przeciw powadze ery dyonizyańskiej, bo stosownego piątku nie można znaleźć w roku 33-im ani w 34-ym dyonizyańskiej ery, tylko dopiero 35-ym albo już w 29-ym, ale w tych latach piątek wypada bliżej nowiu, niż pełni, ani nie wypada w 34-ym roku po wtorku 25-go grudnia. Nie sposób — słowem — znaleźć owego piątku, w który Chrystus Pan kończył 34-y rok od Wcielenia w dzień równonocny a 14-y od nowiu.

Tak Bakon zgoła stracił wątek w toku wywodów Dyoni-

zego i zaczął na polu różnych domysłów szukać drogi do prawdy; przez to nadał nowy rozgłos zarzutom, podnoszonym od czasów Bedy przeciw erze dyonizyańskiej, zaciemnił sprawę jeszcze bardziej i wywołał spór, do dziś nie rozstrzygnięty.

Spór ten, wobec słów Dyonizego poprzednio wyjaśnionych, wygląda na jedną z tych wrzaw, które nieraz powstają nad pytaniem, wziętem na wywrót: jednak Bakon pchnął na długie lata następców swoich do różnych obozów, głównie do dwóch przeciwnych: jedni żądali poprawki dla ery dyonizyańskiej, jako niezgodnej z piątkiem Męki Pańskiej około pełni w dzień równonocny, drudzy odrzucali ostatnią wskazówkę, jako wątpliwą, a bronili powagi ery, tymczasem urzędowo wprowadzonej do użytku na Zachodzie a następnie na Wschodzie.

Najsławniejszy z ówczesnych astronomów, Keppler, wziął udział w sporze i przychylił szalę zwycięstwa na stronę niezadowolnioną z ery przyjętej. Wywody Kepplera każą cofnąć epokę ery o lat kilka, przynajmniej o cztery, poza arytmetyczny początek dyonizyański, o dwanaście lat przed jego epoką, więc przynajmniej 1905-y rok wynikałby obecnie z wywodów Kepplera; na tem tle następni badacze roztrząsali coraz usilniej wywody sławnego astronoma i doszli do wniosku, że najprawdopodobniej aż o lat 7 trzebaby cofnąć w tył początek arytmetyczny ery dyonizyańskiej, o 15 jego epokę, więc za rok pierwszy po Narodzeniu Chrystusa Pana uważać nie dopiero 754-y rok od założenia Rzymu, ale już rok 747-y. Za tym wnioskiem poszedł kardynał Hergenroether w znakomitej pracy swojej o dziejach Kościoła.

Wszystkie te wnioski płyną naprzód z zasady, bezsprzecznie już uznanej za pewną, że przyjęta era potrzebuje poprawki. I tej zasady odrzucić nie można wobec przeciwieństw między epoką u Dyonizego a ustalonym początkiem ery. W dalszym ciągu te wnioski odpowiadają stanowisku, zajętemu przez Kepplera i jego następców, że erę przyjętą trzeba przedłużyć; tej zasady nie można jeszcze uważać za prawdę niezbitą, więc wnioski z niej dalsze pozostają w zakresie domysłów, podobnych do prawdy, ale nie zdolnych rozstrzygnąć sprawy stanowczo.

Zwolennicy nowej epoki, jeszcze wcześniejszej niż początek ery arytmetyczny u Dyonizego, nie mogą rozwiązać zagadki, dlaczego według nich w żaden sposób śmierć Chrystusowa nie wypada w dzień, poparty zgodnem świadectwem Ojców Kościoła starożytnych, chociaż ci pisarze z blizkich jeszcze źródeł czerpali swoje opisy o szczegółach Żywota Chrystusowego i Jego śmierci, a z głęboką czcią przechowywali w swoich pismach każde słowo, podane im przez dawniejszych świadków Wiary. Wszak nie można co do wypadku dziejowego odmawiać głosu pokoleniom wiarogodnym i ledwo że nie współczesnym z wypadkiem, i nad ich zgodne słowa przenosić poglądy, na osnowie domysłów utkane, i tylko podobne do prawdy, jak to wyznają sami ich twórcy otwarcie.

Wobec zawiłej zagadki, ostatnie lata sprawić mogą niespodziewaną przysługę chronologii. Włoski najazd na Abisynię zbliżył Europę do ostatnich śladów dawnej oświaty aleksandryjskiej. Dzisiejsze cesarstwo Menelika, starożytna Etyopia, Aleksandryi zawdzięcza wysłańców, którzy urządzili tam pierwotne obrzędy po kościołach, przynieśli kalendarz i kanon wielkanocny, zaprowadzili także erę chrześcijańską, i według tej ery Abisyńczycy liczą obecnie 1893-ci rok Łaski, tak samo jak wypada u Dyonizego od epoki jego do naszego roku 1901-go, a ośm lat mniej niż wypada od początku arytmetycznego w erze Dyonizyańskiej. Bliższy rozbiór tej ery abisyńskiej pozwala w niej odnaleźć wszystko, czego brakuje w erze Dyonizyańskiej; więc najprzód początek ery arytmetycznej zgodny z epoką, którą Abisyńczycy, zarówno jak Dyonizy, stawiają w roku z niedzielą 25-go marca, ale oznaczają ten rok liczbą 0, nie 8. Dalej znajdujemy u Abisyńczyków rok śmierci Chrystusowej z piątkiem w dzień równonocny przed pełnią, oznaczony liczbą 34 a nie 43. Zatem widzimy Abisyńczyków zgodnych z Aleksandryjczykami co do lat zwanych indykcyami; nazwa ta oznacza okres piętnastoletni, zaprowadzony w państwie rzymskiem z przyczyny niedość jeszcze zbadanej, ale podobno na to, aby ustalić czas poboru podatków; tu do rzeczy należy tylko ten szczegół, że według Aleksandryjczyków na rok 1-y ich ery chrześcijańskiej

wypada rok *xii* indykcyi, czyli 12-y od początku piętnastolecia albo 4-y od jej końca, na ten tedy rok *xii* indykcyi, aleksandryjska era z abisyńską stawiają swój rok 1-szy; przy tym roku Dyonizy pisze swój rok już 9-ty od arytmetycznego początku, a swój rok 1-y pisze, kiedy upływał rok *iiii* indykcyi, czyli rok 4-y od początku piętnastolecia albo 12-y od jej końca. Otóż Dyonizy przypisuje swoje liczby wzorom otrzymanym z Aleksandryi, a opartym na indykcyach: więc dwie liczby rzymskie, w niedbałej pisowni nieco podobne do siebie, mianowicie znaki *xii* i *iiii* przyszły do Dyonizego z Aleksandryi, ale widocznie poprzestawiane ze sobą, bo Dyonizy w swoim rękopisie wyczytał dwunastkę rzymską *xii*, gdzie Aleksandryjczycy przez Abisynię przekazują nam rzymską czwórkę *iiii*, i naodwrót wyczytał Dyonizy *iiii*, gdzie u Aleksandryjczyków wypadało *xii*. Między obiema liczbami zachodzi ośm jednostek różnicy, więc przez zamianę jednego znaku na drugi powstała ośmioletnia pomyłka i sprawiła u Dyonizego różnicę między epoką a początkiem ery arytmetycznym. W niczem więcej Dyonizy nie odstąpił od wskazówek i wzorów, otrzymanych z Aleksandryi i szedł za niemi istotnie wiernie na każdym kroku, jak to sam nieraz powtarza w toku swoich wywodów: jedynie przez zamianę dwóch liczb przy latach indykcyi wpadł w przeciwieństwa i sam ze sobą, i z aleksandryjską erą, i ze znamionami roku śmierci Chrystusowej, z których stworzył zagadkę na pozór nierozwiązalną.

Wniosek, do którego prowadzi era abisyńska, znajduje dla siebie świadectwa zgodne także w innych erach, używanych w różnych krajach i wiekach przez chrześcijan.

Erę najbliższą do abisyńskiej znajdujemy u Bizantczyków, a przez nich u Słowian Wschodniego Obrządku. Obie ery, i abisyńska i bizantyńska powstały z aleksandryjskiej, ale w sposób nieco odmienny. Aleksandryjczycy w swojej erze nie wyrażali lat od Chrystusa Pana wprost, jak Abisyńczycy liczą wyraźnie „lata Łaski“. U Aleksandryjczyków lata ery chrześcijańskiej przychodziły dodane do liczby 5500 lat, liczonych według greckiego przekładu Biblii od początku świata do ostatniego roku

przed Chrystusem Panem. Więc Aleksandryjczycy w obecnym roku 1901-ym liczyliby nie tak wyraźnie, jak abisyńska era, rok 1893-ci, ale podawaliby rok 7393-ci. Słowem abisyńska era powstała z aleksandryjskiej wskutek opuszczonych lat 5500 od początku świata do Chrystusa, a od Chrystusa do dziś liczy zarówno z aleksandryjską o ośm lat mniej, niż Dyonizyańska.

Bizantyńska era powstała z aleksandryjskiej wskutek poprawki, wprowadzonej po części ze względów astronomicznych, a po części opartej na domyśle, że w pierwszym roku od początku świata na środę przypadł pierwszy dzień wiosny i zarazem pierwszy dzień od nowiu. Otóż w roku 77-ym ery Dyoklecyańskiej, — (361-ym Dyonizyańskim) — kalendarz juljański rzeczywiście podawał zarazem środę i pierwszy dzień od nowiu na dniu 22-im marca, a rozprawy soboru nicejskiego przechowały pamięć e równonocni 21-go marca, więc podawały następny dzień 22-i marca za pierwszy dzień całkowicie wiosenny. Stąd powstał wniosek, że rzeczony rok 77-y Dyoklecyański przyniósł ten sam dzień księżyca, wiosny i tygodnia, jaki wypadał w roku pierwszym od początku świata. A według juljańskiego kalendarza ten sam stan słońca i księżyca wraca w oznaczonym dniu tygodnia stale co 532 lata, — jak wyżej wyjaśniono, — więc Aleksandryjczycy sądzili, że od początku świata do roku owego 77-go ery Dyoklecyańskiej upłynęła pewna ilość całych okresów pięćsettrzydziestodwuletnich, czyli indyktyonów, i nastąpił rok pierwszy nowego indyktyonu. Aby wynaleźć tę liczbę indyktyonów skończonych przed rokiem 77-ym Dyoklecyańskim, umyślili Aleksandryjczycy zebrać z Biblii i kanonu Ptolomejskiego tyle lat dla doby przedchrześcijańskiej, aby do nich dodane lata doby chrześcijańskiej wydały w roku 76-ym Dyoklecyańskim liczbę podzielną przez 532.

Otóż w dobie chrześcijańskiej Aleksandryjczycy liczyli lat 352 aż do 76-go roku Dyoklecyana włącznie; następnie u Ptolomeusza widzieli lat 585 od upadku Jerozolimy do Chrystusa Pana; pozostałych lat musieli szukać w Biblii. Ale w Biblii, według Żydów, policzone lata od Adama do niewoli wynoszą liczbę 3283, zatem dają wraz z Ptolomeuszowemi i chrześcijań-

skiemi sumę (3283 + 585 + 352 =) 4220 w roku 76-ym Dyoklecyana, więc liczbę niepodzielną przez 532. Niezrażeni tem Aleksandryjczycy liczyli biblijnym patryarchom po sto lat więcej niż Żydzi, a po kilka albo kilkanaście lat więcej niektórym Sędziom i Królom, słowem doliczyli w roku 76-ym Dyoklecyana 5852 lata od początku świata: mieli tedy liczbę całych 11-u indyktyonów skończoną, jakiej szukali, i w niej 5500 lat doby przedchrześcijańskiej, a 352 od Chrystusa Pana.

Na tej zasadzie obliczona era aleksandryjska spotkała przeciwnika w Carogrodzie, — zawsze skorym do zarzutów przeciw powadze aleksandryjskiej, — i opartym tym razem na prawdzie astronomicznej: równonocnia wypadała w piątem stuleciu już 19-go marca, stąd Bizantczycy zarzucili, że aleksandryjska szkoła mylnie liczy lata od początku świata. Zgodnie z Aleksandryą także Carogród mniemał, że w pierwszym roku od początku świata środa przypadła na pierwszy dzień po równonocni i zarazem po nowiu, ale uważał, że słońce przez znak równonocny przechodzi 19-o marca, więc wnosił, że owa środa z pierwszym dniem po nowiu wypadła 20-go marca w roku pierwszym od początku świata tak, jak ją kalendarz juljański podawał w roku 61-ym Dyoklecyańskim (345-ym Dyonizyańskim). Stąd Carogród wnosił, że Aleksandryjczycy opuścili gdzieś w biegu wieków 16 lat, i dlatego policzyli 11 całych indyktyonów w roku dopiero 76-ym Dyoklecyana, zamiast już w 60-ym. Bizantczycy wynaleźli owe lata opuszczone przy Matuzalu, któremu pisarze aleksandryjscy liczyli tylko 167 lat, kiedy zrodził Lamecha, zamiast liczyć 187 lat zgodnie z Żydami i Afrykanosem; carogrodzcy pisarze dodali tu lat 20, ale później opuścili z nich 4, jedni przy Abrahamie, drudzy przy Sędziach albo Królach. Bizantyńska tedy era cofnęła początek świata o 16 lat w tył, ale tylko do czasów biblijnych dodała wszystkich tych lat 16, nie dodała nic do doby chrześcijańskiej, zatem liczy od początku świata do roku ostatniego przed Chrystusem Panem lat 5516, a w obecnym roku Dyonizyańskim 1901-ym podaje w księgach Cerkiewnych rok 7409-y od stworzenia świata, zatem zgodnie

z Abisyńczykami liczy obecnie rok 7409 — 5516 = 1893-ci od Narodzenia Chrystusa Pana.

Słowem bizantyńska era powstała z aleksandryjskiej wskutek dodanych 16-tu lat do doby między początkiem świata a Chrystusem, i liczy po Chrystusie tyle lat, co aleksandryjska i abisyńska, o ośm mniej, niż Dyonizyańska.

Do tych samych wyników na tle ery Seleucydów prowadzą odkryte niedawno tablice, na cegiełkach ryte pismem klinowem: dzieło astronomów chaldejskich, których śladem szedł Ptolomeusz, jak za mistrzami uczeń. W poprzednim artykule, opartym na tych tablicach [1], czytelnik mógł widzieć, że praca księdza Kuglera odkryła światu wiele prawd doniosłych i płodnych w następstwa. Wyjątki z owych tablic, w rzeczonym artykule zamieszczone, mogą wystarczyć, aby okazać zgodę astronomii babilońskiej z nowożytną. W dalszym ciągu tedy wystarczy już tylko same wnioski podawać bez przywodzenia nowych ustępów z cegiełek chaldejskich. Dodać tu zaraz wypada, że na powadze tych cegiełek wiele buduje dr. B. M. Lersch, autor znakomitego podręcznika chronologii [2], za którego głosem iść można bezpiecznie, tak z powodu jego głębokiej i powszechnie podziwianej nauki, jak z powodu katolickiego ducha, który po raz pierwszy wieje w naukowem dziele chronologicznem.

Wyniki z tablic chaldejskich służą za dowód niezależnie od wywodów poprzednio streszczonych, ale je potwierdzają i popierają przez to, że drogą wręcz przeciwną prowadzą do tego samego kresu. Poprzednio z rozbioru słów Dyonizego wynikało, że licząc w tył od roku obecnego, spotykamy epokę ery Dyonizyańskiej o ośm lat bliżej obecnego roku, niż wymaga arytmetyczny porządek Dyonizyańskiej ery. Z tablic chaldejskich wynika, że licząc w przód od roku śmierci Aleksandra Wielkiego spotykamy epokę ery Dyonizyańskiej o ośm lat dalej od Aleksandra, niż wymaga era Seleucydów.

---

[1] Porównaj *Przegląd Powszechny,* „Z wieków chwały Babilonu", październik 1900, str. 1.

[2] *Einleitung in die Chronologie.* 2 Aufl. Freiburg. Herder 1899.

Pracę chaldejskich astronomów świat uczony w ostatnich stuleciach poznał i ocenił z jej urywku, przechowanego przez Ptolomeusza w tak zwanym „Kanonie królestw". Ten kanon czyli spis królów babilońskich i perskich, a później Ptolomeuszów egipskich i cesarzy rzymskich, wylicza lata ich rządów według ery Nabonasara aż do śmierci Aleksandra Wielkiego, a po niej spisuje następne lata i według ery Nabonasara w dalszym ciągu, i równocześnie według ery Macedończyków.

Podobnie Księgi Machabejskie wyliczają lata od śmierci Aleksandra Wielkiego, którego nazywają bez różnicy raz Macedończykiem, raz greckim królem pierwszym, i od jego śmierci zaczętą erę nazywają latami Greków. Wygląda tedy era Greków w Księgach Machabejskich na to samo, co era Macedończyków w kanonie królestw.

Ale era Greków, długo jeszcze po czasach Machabejskich przechowana i u Żydów, i u innych narodów Wschodnich, dostała później inną nazwę: mianowicie ery Seleucydów, czyli potomków Seleukosa Zwycięzcy. Pod tą nazwą zasłynął jeden z wodzów Aleksandra i po jego śmierci objął władzę w Babilonie, gdzie założył królestwo, przez długie lata najpotężniejsze na Wschodzie. Otóż narody z pod berła Seleucydów według ich ery liczyły lata aż do czasów, kiedy chrześcijanie coraz powszechniej zaczęli używać ery Dyonizyańskiej. Łatwo tedy było porównać obie ery i sprawdzić, że era Seleucydów liczy o 312 lat więcej, niż Dyonizyańska; w obecnym roku 1901-ym Dyonizyańskim upływa rok 2213-y ery Seleucydów.

Trzystu-dwunastoletnia różnica między erą Seleucydów a Dyonizyańską zastanowiła wielu chronologów. Żaden z nich nie wątpił, że Żydzi używali ery Seleucydów już w czasach Machabejskich pod nazwę ery Greków, każdy łatwo zauważył, że Księgi Machabejskie tę erę zaczynają od śmierci Aleksandra Wielkiego, i od tej samej epoki Ptolomeusz liczy lata Macedończyków: stąd wynika, że era jedna i ta sama, otrzymuje różne nazwy albo Seleucydów, albo Greków, albo Macedończyków, i liczy 312 lat więcej, niż era Dyonizego, a swoją epoką

sięga do roku śmierci Aleksandra Wielkiego, więc wskazuje śmierć Aleksandra Wielkiego w 312 lat przed początkiem ery Dyonizyańskiej. Otóż ten wynik uderzył chronologów, jako jaskrawe przeciwieństwo z odstępem czasu przez nich przyjętym między śmiercią Aleksandra Wielkiego a Narodzeniem Chrystusa Pana. Wprawdzie chronolodzy nie umieją jeszcze określić tego odstępu czasu liczbą lat dokładnych, ale w każdym razie przed erą Seleucydów w kilkanaście lat wcześniej mieszczą rok ostatni Aleksandra; Cezar Cantú przytacza poważnych badaczy, z których każdy inaczej odczytuje źródła: więc Pétau znajduje śmierć Aleksandra 19-go lipca r. ,324-go [1], Fréret zatrzymuje rok ten a nie wymienia dnia ani miesiąca, Usserius podaje dzień 22-i maja ,323 go r., Calvisius 18-y kwietnia ,323-go, Ideler zatrzymuje ten rok i nic bliżej nie określa, Champollion Figeac określa dzień 30-y maja ,323-go r., Holzwarth także staje na roku 323-im. Nie mogą tedy chronolodzy orzec stanowczo, czy mamy obrać rok ,324-y czy ,323-ci, w każdym razie widzą śmierć Aleksandra w kilkanaście lat przed rokiem ,312-ym a pierwszym ery Seleucydów.

Brak stanowczego wyroku w tej sprawie nie może zadziwić nikogo, bo płynie z przyczyn łatwo zrozumiałych. Najpoważniejszy nawet pomnik chronologiczny, Kanon królestw, nie spisuje lat tak wyraźnie, aby zapobiedz pomyłce kilkunastomiesięcznej albo paroletniej. Tem mniej można żądać liczby pewnej od roczników pisanych bez troski o chronologię rzetelną. Ptolomeusz w swoim Kanonie korzystał z Chaldejczyków za pośrednictwem Hipparcha: więc podawał dnie i lata, przenoszone z jednego kalendarza na drugi parę razy, bo u Chaldejczyków przychodziły lata księżycowe, które u Hipparcha powinny odpowiadać słonecznym latom egipskim o zmiennym początku, a u Ptolomeusza egipskim latom dostosowanym do stałego roku juljańskiego. Chaldejczycy zaczynali swój księżycowy rok około równonocni wiosennej w rozmaitych dniach roku juljańskiego.

[1] Przecinek przed liczbą oznacza rok przed Chrystusem Panem.

Zmienny kalendarz egipski od czasów Aleksandra do Augusta przesuwał początek roku powoli ale ciągle w tył od listopada do sierpnia. Zatem mógł któryś król panować np. blizko 13 miesięcy, od 29-go marca do 16-go kwietnia; ten przeciąg czasu u Chaldejczyków niekiedy przypadał cały między początkiem i końcem jednego roku księżycowego z 13-tu miesięcy, a w innych razach zastawał koniec jednego, trwał przez cały rok następny z 12-tu miesięcy i jeszcze upływał z początkiem trzeciego roku, a dla Hipparcha zwyczajnie powinienby znaczyć więcej niż jeden rok. Ale jak Hipparch przenosił dnie i lata księżycowe chaldejskie na zmienne egipskie, o tem nic nie czytamy w źródłach. Ani Ptolomeusz nie wspomina nic o tem, jak sam ze zmiennych lat słonecznych przeszedł na stałe. Nadto Ptolomeusz nie przykładał tyle wagi do swojego spisu królów, aby przy każdym wyszczególniać miesiące i dnie jego rządów; liczy im tylko przeciętnie całe lata, ani nie uważa za stosowne wyjaśniać, jak pozaokrąglał im czasy rządu, aby uzyskać przy każdym liczbę całą. Pod tym względem zostawił nam liczby niewątpliwie przybliżone, jakie wystarczały do jego zamiaru: więc do jego zamiaru wystarczało także podać egipskie lata słoneczne i stałe, przeciętnie przybliżone do liczby lat chaldejskich, a nie koniecznie dostosowane do nich ściśle co do miesiąca i dnia w każdym roku księżycowym.

Z tych powodów nie można żądać od chronologów, aby stanowczo orzekli, w którym roku przed dobą chrześcijańską umarł Aleksander Wielki. Uniknąć nie można sporu o rok jeden albo drugi, ani nie można wykluczyć paroletniej usterki w Kanonie Ptolomeusza, który obejmuje setki lat od Nabonasara do rzymskich cesarzy. I gdyby tylko taka różnica paroletnia zachodziła między rokiem śmierci Aleksandra a początkiem ery Seleucydów, chronolodzy nie musieliby przykładać wagi do tego szczegółu; w Kanonie jednak Ptolomeusza widzieli różnicę kilkunastu lat między początkiem ery Seleucydów, której epoka wypada w roku ,312-ym a śmiercią Aleksandra w roku ,324-ym albo ,323-im, i tej różnicy nie mogli przypisać żadnej pomyłce.

A jednak wobec nowo odkrytych tablic astronomów chal-

dejskich, cała ta różnica może zniknąć czyli zejść o tyle do zera, o ile to możebne, kiedy działamy liczbami, nie zawsze aż do ostatniej jednostki pewnemi z powodu wyżej wyłuszczonego.

Ptolomeusz w 337 lat po śmierci Aleksandra Wielkiego stawia rok ostatni cesarza Augusta, mianowicie 767-y od zał. Rz., zatem każe widzieć śmierć Aleksandra w roku 767—337=430-ym od zał. Rz.; otóż przyjęta chronologia liczy 1-y rok Chrystusa Pana jako 754-y od zał. Rz.: wypada stąd, że od śmierci Aleksandra w roku 430-ym do 1-go roku ery Dyonizyańskiej chronolodzy liczą 324 lata.

Na pozór liczby te dowodzą zupełnie ściśle, że Aleksander umarł według Ptolomeusza w lat 12 przed epoką ery Seleucydów, która wyprzedza erę Dyonizyańską o lat 312. Ale bliższa uwaga na podaną wyżej te liczbę lat 324 każe ją obcinać ciągle, aż zejdzie najprzód na lat tylko 320, a następnie śmierć Aleksandra Wielkiego przypadnie razem z epoką ery Seleucydów.

Najprzód tedy rzeczone tablice chaldejskie okazują lata wprawdzie księżycowe, ale obliczane tak zgodnie ze stanem słońca, że rzeczywiście przez umiejętny rozkład lat zwykłych o 12-u miesiącach i przestępnych o 13-u miesiącach Chaldejczycy wyrównywali swój kalendarz ze słońcem. Można tedy długie odstępy czasu wyrażać liczbą lat chaldejskich bez obawy, czy liczba ta nie przedstawia nic odmiennego od liczby lat juljańskich na ten sam przeciąg czasu; jak juljański kalendarz, tak samo chaldejski liczy swoich 324 lat całych między miesiącami letniemi w roku 430-ym a jesiennemi w roku 754-ym od zał. Rz.

Tymczasem kalendarz egipski liczy lata krótsze od chaldejskich: więc w stosownym przeciągu czasu zbierze wiekszą liczbę lat, niż kalendarz juljański. Otóż w roku 430-ym od zał. Rzymu Chaldejczycy oznaczali Nowy Rok z wiosną a Egipcyanie dopiero w następnej jesieni, zatem w ciągu lata Chaldejczycy liczyli już rok 430-y, a Egipcyanie jeszcze 429-y. Jeżeliby tedy Aleksander umarł latem w 430-ym chaldejskim a 429-ym egipskim, redy rok 767-y od zał. Rz. wypadałby według chaldejczyków wprawdzie w 337 lat po śmierci Aleksandra, ale według

Egipcyan o rok później w 338 lat po Aleksandrze. O cały rok tedy trzeba umniejszyć liczbę egipską, aby dostać chaldejską, odpowiednią liczbie juljańskiej, kiedy idzie o taki odstęp czasu, jaki mamy w obecnym wypadku.

A z Ptolomeusza wypada lat 324 od Aleksandra do 754-go roku od zał. Rz.: więc trzeba wziąć tu liczbę lat chaldejskich o jednostkę mniejszą, to znaczy w 323 lata przed rokiem 754-ym widzieć śmierć Aleksandra, zatem w roku 431-ym od zał. Rz.

Ale ani rok 754-y od zał. Rz. nie odpowiada tu prawdzie rzeczywistej. Bo chociaż za Bedą chronolodzy podają 1-szy rok po Chrystusie Panu jako 754-y, ale z tego nie wynika, aby Chrystus przyszedł na świat w tym roku. Owszem Beda wyraźnie mianuje rok 754-y 1-ym po Chrystusie, bo Chrystus liczył już skończony rok jeden, dalej Beda mianuje rok 753-ci rokiem 0, czyli przy Chrystusie, bo w tym roku Chrystus Pan dopiero kończył w grudniu pierwszy rok wieku; na końcu w roku 752-im od zał. Rz. Beda widzi Narodzenie Chrystusa 25-go grudnia, albo ostatni rok, który prawie cały upływał przed Chrystusem.

Otóż w grudniu juljańskim roku 752-go od zał. Rzymu widzimy u Ptolomeusza rok 28-y rządów Augusta w Egipcie świeżo zaczęty, od końca sierpnia albo 42-gi rządów w Rzymie. Roku tego nie można tedy jeszcze ściśle dodawać jako całego roku do liczby lat poprzednich. Otóż przed Augustem Ptolomeusz wylicza 294 lata Macedończyków w Egipcie, więc do grudnia 28-go roku Augusta w Egipcie Ptolomeusz podaje lat całych 294+27=321, i zaczęty rok 322-i. A pierwszy rok ery Macedończyków nastąpił w następnym roku po śmierci Aleksandra, więc rok 322-i po śmierci Aleksandra wypada 321-ym w erze Macedończyków.

Teraz już wystarczy zastosować uwagę poprzednią o latach chaldejskich i egipskich, aby spostrzedz, że rok 321-y egipski w erze Macedończyków daje rok 320-y chaldejski w grudniu roku 752-go od zał. Rz., i na ten rok przypada epoka ery chrześcijańskiej, czyli rok 0 wieku Chrystusowego. W następnym roku 753-im od zał. Rz. Chrystus Pan liczył aż do grudnia rok 1-y wieku swojego, i ten rok pierwszy znajduje przy sobie

rok 321-y ery macedońskiej, to znaczy, że według Ptolomeusza epoka ery macedońskiej wyprzedza o 320 lat juljańskich epokę ery chrześcijańskiej, a nie o lat 324, jak twierdzą za Wielebnym Bedą późniejsi chronolodzy. Tu zaraz zauważyć trzeba, że Cantù podaje między innemi latami śmierci Aleksandra także liczbę, do której doszedł Champollion ze źródeł przed nim nieznanych: mianowicie według tego badacza, Aleksander umarł w ciągu roku 3-go Olimpiady 114-ej; otóż od tego roku Olimpiady 114-ej do 3-go roku Olimpiady 194-ej upływa 80 całych Olimpiad, czyli lat 320; a rok 752-gi od zał. Rz. odpowiada właśnie rokowi 3-mu Olimpiady 194-ej: więc dostajemy znowu liczbę lat 320 między Aleksandrem a Chrystusem Panem.

Nadwyżkę 4-ech lat późniejsi chronolodzy dostają z kilku źródeł: bo po 1-wsze biorą na uwagę rok 754-y od zał. Rz. ako 1-y po Chrystusie, a nie uważają, że epoka chrześcijańska wypada o dwa lata wcześniej w roku 752-im od zał. Rz.; po 2-ie w grudniu roku 752-go liczą od Aleksandra całych lat 322, zamiast całych 321 i dopiero zaczętego roku 322-go; po 3-ie biorą liczbę lat egipskich 321 za równą liczbie juljańskiej w trzechsetletnim odstępie czasu, zamiast liczby lat juljańskich 320 o jedynkę mniejszej.

Rzeczywiście zatem z Kanonu wynika śmierć Aleksandra w 320 lat przed Narodzeniem Chrystusa; skąd inąd niewątpliwie era Seleucydów poprzedza erę Dyonizyańską o 312 lat: stąd można wyciągać wniosek dwojaki: albo Narodzenie Chrystusa Pana przypadło na rok 0 ery dyonizyańskiej, wtedy śmierć Aleksandra wyprzedza o ośm lat epokę ery Seleucydów, albo rok 0 dyonizyański wyprzedził o ośm lat Narodzenie Chrystusa, wtedy śmierć Aleksandra przypada na epokę ery Seleucydów.

Aby obrać wniosek właściwy, można teraz zaglądnąć do tablic chaldejskich, ogłoszonych w dziele księdza Kuglera, i według stanu nieba, opisanego w tych tablicach na lata ery Seleucydów, obliczyć na który rok tej ery wypada epoka ery dyonizyańskiej i rok później 34-ty z nowiem 10-go marca. Jeżeli ta epoka wypada na 312-y ery Seleucydów, tedy Dyonizy nie zbłądził i istotnie umieścił początek arytmetyczny swojej

ery stosownie do jej epoki; wprawdzie w tym razie Chrystus przyszedłby na świat w roku 744-ym od zał. Rz., więc Dyonizy odstąpiłby od świadectwa poprzedników o Narodzeniu Pańskiem w roku 752-im od zał. Rz., ale przynajmniej Dyonizy ze sobą sam zgodnie podałby epokę i liczby lat w swojej erze. Ale jeżeli według tablic chaldejskich z wieku 3-go i 2-go przed Chrystusem, licząc wprzód, znajdziemy epokę ery chrześcijańskiej w roku 320-ym ery Seleucydów, tedy idąc tą drogą dojdziemy do wniosku do którego dochodzimy z astronomicznych tablic nowoczesnych, licząc w tył od czasów obecnych: że mianowicie epoka ery dyonizyańskiej wypada dopiero w jej roku 8-ym.

W samej rzeczy stan księżyca, opisany w tablicach chaldejskich, prowadzi do nowiu 10-go marca w roku 354-ym ery Seleucydów, a 354—312=42-ym ery dyonizyańskiej, więc daje epokę chrześcijańską w 34 lata pierwej, w roku 320-ym Seleucydów a 8-ym Dyonizego [1].

Oparci bowiem na tablicach, znajdujemy nów około 10-go marca w latach 117-ym i 125-ym ery Seleucydów. Z tych nowiów można obliczyć nowie późniejsze o 228 lat, bo zmiany księżyca wyprzedzają słońce o 0·246 226 85$\dot{1}$ dni na 76 lat, więc

[1] Tu nadmienić jeszcze wypada, że jak aleksandryjska, abisyńska i bizantyńska era zgodnie z erą Seleucydów wykazują pomyłkę Dyonizego ośmioletnią, tak znowu do tego wniosku prowadzi era żydowska, która od początku świata liczy w roku Dyonizyańskim obecnie 1901-ym rok 5661-y. Liczbę tę znajdujemy złożoną z biblijnych lat 3768-iu przed Chrystusem i 1893-ch po Chrystusie. Aby biblijne lata wydały przytoczoną liczbę 3768 lat przed Chrystusem, trzeba dodawać je według zasady, niewątpliwie zachowywanej przez samych dziejopisów biblijnych przy dodawaniu lat patryarchom i królom: mianowicie ci pisarze ostatni rok każdego poprzednika uważali zarazem za pierwszy rok jego następcy; tym sposobem przy każdej zmianie rządów czytamy w Biblii ten sam rok wymieniony po dwa razy, a czasem nawet trzy razy. Więc przy dodawaniu tych lat wypada sumę zmniejszać o rok albo o dwa, a suma ostatnia wyniesie 3284 lat od początku świata do niewoli babilońskiej, a następnie 484 lat od upadku Jerozolimy do Mesyasza, zrodzonego w 70-ym tygodniu Danielowym od niewoli. Do tej sumy biblijnych lat 3768-iu trzeba dodać liczbę lat po-Chrystusowych, o ósemkę mniejszą od Dyonizyańskiej, aby otrzymać obecny rok ery żydowskiej. Wobec zgodnego głosu er chrześcijańskich może także era żydowska wystąpić ze świadectwem, że w erze Dyonizyańskiej zachodzi ośmioletnia pomyłka.

trzy razy więcej w ciągu 228 lat, czyli wyprzedzają słońce o 0·738 680 5 dni. Tym sposobem widzimy w erze Seleucydów rok 345-ty z nowiem 8-go marca, więc w 13 dni później, 21-go marca dzień 14-ty od nowiu: ale Żydzi nie ten miesiąc nazywali Nizan; bo w r. 345-tym ery Seleucydów, w ciągu pierwszego stulecia doby chrześcijańskiej równonocnia średnia wypadała dopiero 23-go marca, a 14-ty Nizan nie mógł poprzedzać równonocni wiosennej: więc rok 345-ty przyniósł nów 8-go marca w ostatnim miesiącu zimowym u Żydów, czyli Adar. Z tego powodu rok 345-ty ery Seleucydów nie odpowiada wskazówkom Dyonizego o roku 34-ym od Narodzenia Chrystusa Pana.

Zostaje zatem rok 353-ci z nowiem 10-go marca i to w rannych godzinach przed południem: zupełnie jak wymagają wskazówki Dyonizego. Otóż tu zauważyć trzeba różnicę między początkiem roku chaldejskim i żydowskim. Chaldejczycy oznaczali miesiące nazwami bardzo podobnemi do żydowskich, i nazywali pierwszy miesiąc roku Nizanem, ale zaczynali ten miesiąc zawsze z nowiem po równonocni, a Żydzi zaczynali Nizan tak, aby dopiero pełnia wypadła po równonocni, więc często o miesiąc Żydzi wcześniej od Chaldejczyków zaczynali nowy rok. Dowodem chaldejskiego początku roku są wyraźne liczby w tablicach ks. Kuglera.

Otóż miesiąc z nowiem 10-go marca miał pełnię w nocy z 23-go na 24-y marca, zatem już po równonocni w stuleciu pierwszem: był tedy u Żydów pierwszym miesiącem roku nowego; a Chaldejczycy w owym roku 353-im ery Seleucydów nie uważali jeszcze tego miesiąca za Nizan, tylko za Adar, bo nów poprzedzał równonocnię. Skoro zatem Chaldejczycy liczyli wówczas ostatni miesiąc roku 353-ego, tedy Żydzi liczyli już pierwszy miesiąc Nizan roku 354-go ery Seleucydów.

Na rok zatem 354-y ery Seleucydów odpowiadają wskazówki, któremi Dyonizy oznacza rok 34-y Chrystusa Pana, więc przed narodzeniem Chrystusa według opisu Dyonizego era Seleucydów liczyła lat chaldejskich albo żydowskich 320, tyle, ile kanon Ptolomejski podaje lat julianskich od śmierci Aleksandra Wielkiego do roku 752-go od zał. Rz.

Z tego dowodu wynika, że erę Seleucydów zaczynali Chaldejczycy od śmierci Aleksandra W. zgodnie z Ptolomeuszem i Żydami. Wobec tego wniosku może odpaść, jako niepotrzebny, domysł przyjęty za niezawodną prawdę przez chronologów późniejszych, że za epokę ery Seleucydów Wschód cały brał powrót Seleukosa Zwycięzcy do Babilonu, z którego był ustąpił przed przemocą Antygona, innego wodza wojsk Aleksandra. Wszak w ciągu wojen między wodzami Aleksandra po jego śmierci, niejeden z nich tracił swoje miasto i odbierał je napowrót: cóż tedy w zaborze Babilonu przez Seleukosa albo Antygona miały upatrzyć wszystkie narody Wschodu tak dalece epokowego, aby uwiecznić pamięć wypadku tego przez lata nowej ery? Zupełnie inaczej wygląda era Seleucydów, jeżeli swoją epoką sięga śmierci Aleksandra Wielkiego, która stanowi przecie wypadek mocno wyryty w pamięci ludów, bo rozbiła jednolitą nawę azyatyckiego mocarstwa od Indu po Nil i wytworzyła nowe społeczeństwa, urobione na wzór grecki pod wpływem ówczesnej oświaty europejskiej.

Powyższy dowód wykazuje tę właśnie epokę ery Seleucydów, w lat 320 przed epoką chrześcijańską, ale tylko w 312 lat przed arytmetycznym początkiem ery Dyonizyańskiej; więc widocznie pokazuje, że era Dyonizyańska stawia już rok 8-y, kiedy powinnaby stawiać dopiero 0 w roku, w którym Chrystus przyszedł na świat. Innemi słowami krócej można streścić wynik powyższych wywodów i powiedzieć, że czy idziemy od roku obecnego w tył przy pomocy nowożytnych tablic astronomicznych, czy też idziemy od czasów babilońskich naprzód w świetle tablic chaldejskich, w każdym razie znajdujemy Narodzenie Chrystusa Pana o ośm lat później niż wymaga era Dyonizyańska.

Ks. Konstanty Czaykowski.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.

2. Z Grecyi i Wschodu.

(Ciąg dalszy).

III.

High-life na Korfu. Arystokratyczna mania Greków. Weneckie rodziny. Cudzoziemska kolonia. Konsul austryacki i turecka wiza pasportowa. Charakter Korfiotów. Niedokończony teatr. Stroje mieszkańców. Klasztor Platiterra i grób Capo d'Istrii. Okolice miasta. Dzieci korfijskie. Przedmieście Mandukio i zakład sierót. Żydowska dzielnica. Czemu Żydów niema w Grecyi. Pałac i park Monrepos. Kultura ziemi na wyspie. Malarz-ogrodnik. Waleczność greckich oficerów. Canone. Pontikonisi. *Yankee-Doodle* nad Jońskiem morzem.

Wyższy świat na Korfu składa się z majętnych kupców i właścicieli ziemskich, między którymi pierwsze miejsce zajmują rodziny weneckiego pochodzenia lub podszywające się pod nie. W Grecyi, podobnie jak w Norwegii, konstytucya zniosła wszystkie tytuły, których co prawda w narodzie tym nigdy nie było: tem gorętszą jednak ma do nich każdy przeciętny Grek słabość. *Chassez le naturel, il revient en courant*: Grekowi jak Amerykaninowi nic bardziej nie impomuje od tytułu. Po ustąpieniu Wenecyan z różnych wysp archipelagu i z Morei pozostała tam pewna liczba rodzin katolickich, pochodzących z Włoch. Utworzyły one tam z czasem formalną arystokracyę, rzeźbią i malują swoje herby na każdej beczułce wina i oliwy, na każdem pudełku fig i rachatłukum, jakie wysyłają w świat, a całe

greckie społeczeństwo spogląda na te herby i ich właścicieli z największem uszanowaniem.

I wśród Korfiotów rodzin takich zachowało się dosyć, a więcej jeszcze stara się odrzucić końcowe „s“ ze swych nazwisk lub zmienić kończące je „aki“ na „ani“ byle módz powiedzieć, podnosząc głowę do góry: „My także pochodzimy z Wenecyi“. Niektóre z nich są katolickie: te jedne są istotnie i autentycznie weneckiego pochodzenia i one też stanowią naprawdę czoło korfijskiego *High-Life'u*. Obok nich świeżo wzbogacone rodziny po części przybyłe z kontynentu przewyższają je zazwyczaj majątkiem i obrotnością w interesach. Rzecz ciekawa: podczas gdy na całem adryatyckiem pobrzeżu nie mniej jak i na całym Archipelagu ludność odznacza się sprytem, energią i zapobiegliwością, Korfioci są poprostu ideałem niezaradności i lenistwa. Nie dziw też, że przemysł, handel i stan posiadania wysuwa się im z rąk coraz bardziej, przechodząc w ręce przybyszów. Kolonia cudzoziemska nie jest tu zbyt liczna, mnóstwo wprawdzie znajduje się Włochów, ale są to prawie sami wyrobnicy, których tłumy całe zalewają greckie wyspy i północną część Peloponezu. Maltańczyków, choć równie dość licznych, trudno uważać za cudzoziemców, przesiedlanie się ich bowiem na Korfu ustało od lat czterdziestu i ogromna ich większość tu się urodziła. Poza tem niezbyt wielka liczba francuskich i belgijskich inżynierów i przemysłowców, trochę niemieckich i dalmatyńskich rzemieślników, dla których jednak mało nastręcza pola zarobku wyspa, pozbawiona przemysłowego ruchu, wreszcie trochę Anglików, mających tu swe wille i spędzających wiosnę i jesień. O Polaków nie mogłem się dopytać. Jedno polskie nazwisko uderzyło mnie na tablicy mojego hotelu, nosiła je jednak Greczynka, zamężna za polskim emigrantem, p. Lipińskim, zamieszkałym w Konstantynopolu.

Konsul austryacki, baron, którego nazwiska nie zanotowałem sobie niestety, jest niezmiernie dystyngowanym i uprzejmym. Ponieważ nie pomyślałem o zaopatrzeniu się w pasport, a ten będzie mi w Turcyi i Serbii niezbędnym, baron bezwłocznie kazał mi go przygotować w kancelaryi, a tymczasem godzina

zeszła mi z nim na bardzo miłej gawędzie o Włoszech i sztuce, na której znał się dobrze i umiał o niej mówić nie banalnie. Urzędnicy konsularni austryaccy na całym Wschodzie mają charakter dyplomatyczny i wysokie uposażenie, są też ludźmi wysokiej nieraz inteligencyi i często oddają poważne usługi nauce swemi badaniami a dla podróżnych z Austryi bywają bardzo grzeczni, udzielają im chętnych objaśnień i pomocy. Nie mogę niestety tego samego powiedzieć o niektórych agentach konsularnych na Zachodzie, gdzie zresztą tę godność zdają się nieraz piastować całkiem zwyczajni kupcy miejscowi.

Jeżeli będąc w austryackim konsulacie, miałem wrażenie, że się znajduję w jakimś przyjaznym, wykwitnym salonie w Wiedniu, w chwilę później otoczył mnie autentyczny Wschód w konsulacie tureckim. W pokoiku z wejściem od ulicy z nizkiemi otomanami dokoła, siedział przy biurku opasły Turek, przy którym kręciło się dwóch innych. Nikt mi głową nie kiwnął w odpowiedzi na moje pozdrowienie, ani nawet nie mruknął. Wobec tego nie pozostało mi nic innego jak obyczajem praktycznych amerykanów nałożyć kapelusz na głowę i położywszy pasport na biurku przed piszącym grubasem, jak się okazało z wizy konsulem, zasiąść bez zaproszenia na otomanie. Nastało długie milczenie, ponieważ zaś miałem w kieszeni otrzymany przed godziną z poczty gruby pakiet gazet, wyjąłem je i rozłożywszy szeroko zacząłem odczytywać jedną po drugiej. Konsul spojrzał na mnie raz i drugi z pod krzaczystych brwi i miał zapewne wielką ochotę potraktować mnie porcyą kijów w pięty; niestety nie byliśmy w Turcyi, a i tam ochroniłaby moje pięty od takiego traktamentu protekcya naszego konsulatu. Wobec tego nie pozostało p. konsulowi nic innego do czynienia jak po kwadransie oczekiwania wziąć się do mego pasportu i rozpocząć ceremonię wizowania. Trwała ona dobry kwadrans i wszyscy trzej Turcy zajęli się przez ten czas wyłącznie moim paszportem. Patrzyłem na to jak na najlepszą farsę; czegoś równie komicznego nie zdarzyło mi się bowiem w życiu widzieć. Konsul brał pasport, którego koniec w palcach przytrzymywał jeden sekretarz z pełną uszanowania miną, podczas gdy drugi przez

stół przypatrywał się operacyi z namaszczeniem i w skupieniu ducha. Konsul pióro językiem dotykał, i oddawał je sekretarzowi, który je zamoczył w atramencie, poczem po zrobieniu przez grubasa jakiegoś znaczka, znów je z rąk jego odbierał a jego towarzysz równocześnie przysypywał piaskiem autograf szefa. Ten zaś znów brał pióro do ręki, lizał, dawał do zamoczenia, robił jakiś nowy hieroglif i znów następowało posypywanie piaskiem. Manipulacya ta powtórzyła się ze dwadzieścia razy, poczem nastąpiło wycieranie, oglądanie i lizanie pieczęci, jakby ta ostatnia powleczona była zamiast czarnej cieczy najsmakowitszą halwą, wreszcie uroczysty obrządek przybijania pieczęci. Jeden sekretarz podawał pieczęć konsulowi, ten ją raz jeszcze oglądał i ślinił, wyciągając szeroki i mięsisty język na pół łokcia, potem przybijał ją, a sekretarz z góry całą pięścią naciskał postękując. Nareszcie jeden z asystentów konsula, który sam nie uważał za odpowiednie swej godności odzywać się do tak podłego, jak ja, stworzenia, zwrócił się do mnie z żądaniem uiszczenia taksy skandalicznie wysokiej. Zapłaciwszy z bólem serca, schwyciłem skwapliwie mój pasport, zaciekawiony, gdzie też pomieścić się mogło tyle pisania na niewielkiej przestrzeni białego papieru. Wyznaję, że zdziwiłem się niemało, zobaczywszy *summa summarum* parę wierszy tureckich gryzmołów i parę rozmaitych pieczęci i stemplów z francuskiemi napisami. I na zrobienie tej roboty, którą nawet w powolnem austryackiem biurze załatwionoby w ciągu jednej minuty, trzech ludzi straciło tutaj 20 minut czasu. Drobny rysik, ale charakterystyczny dla zrozumienia, czem jest Turcya współczesna.

Wyszedłem nie żegnany przez nikogo i szeregiem bocznych ulic dostałem się do placu kończącego miasto od strony lądu. Stała tu dawniej główna brama wchodowa, a po zburzeniu jej kapitaliści miejscowi próbowali wznieść tutaj dla spekulacyi nową elegancką dzielnicę. Postawiono więc kilka nowych obszernych domów i bardzo wspaniały teatr, zbyt wielki i kosztowny dla miasteczka, liczącego mniej niż 30.000 mieszkańców. Ale domy pozostały puste i niezamieszkałe, jak w nowych dzielnicach Neapolu lub Rzymu; innych nie miano czasu skończyć,

dla innych wzniesiono tylko fundamenta rozsypujące się w gruzy podobnie jak sąsiednie mury. Obok tych smutnych ruder teatr skończony w ogólnym zarysie, ale zupełnie niewykończony i oczywiście nie otwarty, zawalony dokoła gruzami i kamiennemi bryłami, od czterech lat nieruszanemi; za drugich lat cztery rozsypie się zapewne i on w ruiny. Kilku przechodniów, mówiących po włosku, opowiada mi historyę tych nieudanych przedsiębiorstw i byłego burmistrza Korfu, który zapragnął być Hausmanem swego rodzinnego miasta, ale nie obliczywszy się z siłami zbankrutował sam i o bankructwo przyprawił innych. Nieraz przedtem i potem zdarzyło mi się widzieć na Wschodzie tego rodzaju obrazki, gmachy rozpoczęte i od lat wielu niekończone, ilustracyę wymowną tutejszej próżności i niezaradności, a zarazem dowód, że w poezyi tylko dobrze jest mierzyć:

Siły na zamiary
Nie zamiar podług sił.

Na ulicy ruch znaczny i rozmaitość strojów nie taka jak w Turcyi a nawet i w Atenach, ale przecież barwna i ciekawa. Miejscowa ludność męska nie nosi specyalnego ubioru i wygląda mniej więcej tak samo jak przeciętni wieśniacy z południowych Włoch, kobiety natomiast zwłaszcza wiejskie wyglądają nieraz bardzo oryginalnie w szerokich białych zasłonach, nadających im zupełnie powierzchowność katolickich zakonnic. Strojów wyszywanych i ozdobionych złotem, o których wspomina ks. Czermiński w ciekawym opisie wysp Jońskich, nie spotkałem wcale u niewiast miejscowych: natomiast w szabas, zwłaszcza Żydówki zamieszkujące osobną dzielnicę, ubierają się bardzo bogato i przystrajają malowniczo złotemi cekinami czoło i szyję. Dość często spotkać można szeroko odstającą, wykrochmaloną, w prążki jak krenolina białą fustanellę, ale tylko u Greków przybyłych tu z kontynentu, miejscowa bowiem ludność nie używa tego wysoce malowniczego stroju podobnie jak i feza, który się spotyka również tylko u przybyszów ze Wschodu.

Często przemyka się wśród miejskich ulic epirski lub albański góral w ciemnej świcie i baraniej czapce z całym arsenałem u pasa i dzikiem posępnem spojrzeniem. Wiele też snuje

się papasów w czarnych, okrągłych kołpakach albo kleryków w śpiczastych myckach, podobnych do wschodnio-galicyjskich papafijek. Wyglądają oni przeważnie nędznie i brudno, uważając się widocznie sami za należących do najniższej warstwy społeczeństwa. Tu i owdzie jednak niektórzy robią wrażenie poważne, a ich długie brody i szerokie, powłóczyste szaty łatwo wrażenie to podnoszą.

Na końcu przedmieścia, za wysokim, białym murem, z poza którego zielenieją i szumią wierzchołki drzew obszernego ogrodu, wznosi się słynny klasztor Platiterra. Jak większość tutejszych klasztornych i kościelnych budynków przypomina on z zewnątrz katolickie budowle, dzięki zwłaszcza wysokiej, czworokątnej, zupełnie włoskiej dzwonicy. Wszedłszy jednak w dziedziniec poprzedzający cerkiew, wrażenie się zmienia. Wszystkie klasztory schizmatyckie nietylko na Wschodzie ale i w Rosyi, gdzie przecie znajdują się owe słynne ławry o wielu tysiącach mnichów, pozbawione są całkowicie monumentalnego charakteru większej części klasztorów katolickich. Są to przeważnie zbiorowiska niezbyt wielkich budynków, rozsypanych na obszernej przestrzeni dokoła znacznej ilości cerkwi i kaplic, a nie jednolite, potężne gmachy, połączone w harmonijny całokształt dokoła kilku krużganków i wirydarzy. W Grecyi całej klasztory są niewielkie, ubogie i pozbawione specyalnego charakteru, cerkiewki zaś są przeważnie liliputowych rozmiarów. I w Platiterra świątyńka wygląda jak niewielki, nizki pokoik, mogący pomieścić co najwięcej 50 osób. Ikonostas nie przedstawia nic ciekawego, natomiast jeden z mnichów niemożliwie obszarpany, z bardzo brudnem, białem, płóciennem ubraniem dolnem, wyglądającem z pod zrudziałej rasy, z bosemi nogami klapiącemi w szerokich pantoflach, prowadzi mnie poza cerkiew i pokazuje za skromny *bakczysz* w głębi klasztornego korytarza parę płyt marmurowych, wmurowanych w posadzce. To grobowiec bohatera wojny o niepodległość, hr. Capo d'Istryi i jego rodziny. Biedny bohater! zasłużył zaprawdę na lepszych stróżów dla swego grobu i milejby mu może było leżeć pod otwartem, zawsze tu tak przejrzyście lazurowem niebem, na jednym z tych przedziwnie

pięknych, wiecznie zielonych cyplów górskich jego rodzinnej wyspy, wysoko ponad słonecznemi falami jońskiego morza, niż w tym ciasnym, brudnym, dusznym zakątku klasztornego krużganka.

Poza klasztorem otwierają się szerokie gościńce rwące wśród łąk zawsze zielonych, zasianych na wiosnę bujnem pachnącem kwieciem. W maju i czerwcu pola całe czerwone są i białe od róż, których łany otaczają miasto, w gajach złocą się pamarańcze i cytryny, a od ciemnej zieleni laurów, fig i rododendronów odbijają szarawe oliwne gąszcze. Brzegi gościńca zasadzone olbrzymiemi, mięsistemi agawami, których ostrokolczaste liście tworzą wysokie, nieprzebyte w swych splątaniach żywopłoty. Tu i ówdzie wychyla się z zieleni jakaś nizka ferma, od której, leżąc leniwie w trawie, parę dzieciaków przygląda mi się ciekawie, nie myśląc jednak wcale o wybieganiu naprzeciw mnie z wrzaskliwem i natrętnem upominaniem się o jałmużnę, jak to czynią wszystkie włoskie dzieciaki, ani tem mniej o rzucaniu na podróżnego potokiem przekleństw i zniewag w razie zawodu.

Po prawej stronie wśród rozłożystych drzew skręca ku morzu gościniec, przesuwając się wężykiem u stóp wyniosłego, wzgórza, z którego sterczą wysoko nad miastem mury nowej, naprawdę zaś wcale starej, bo kilkuwiekowej fortecy. Dalej droga prowadzi wysoko nad malowniczem morskiem wybrzeżem, zakręcającem się tu w półkole naprzeciw wyspy Lazaretowej, potem zaś zmienia się w uliczkę przedmieścia Mandukio, tak brudnego i z takich złożonego lepianek i istnie cygańskich szatr, jakich się nie napotka nawet w żydowskich miasteczkach galicyjskich. Wśród tych ruder widzę naraz długi biały mur przecięty otwartą arkadą, ponad którą piętrzy się ku niebu kilku kondygnacyami lekka, włoska wieżyczka. Za arkadą idą w górę szerokie wschody, nieprzykryte, obramowane z obu stron murem, na którym bardzo malowniczo zielenieją w wazonach i poza nim w gruncie rosną palmy, ananasy i tamaryndy. W górze zabudowany dziedzińczyk i cerkiewka bardzo mała i brudna. Pytam, czy klasztor, ale nie mogę się dopytać. Kręci się wprawdzie i wrzeszczy biegając po dziedzińcu i po cerkwi gromadka

dzieciaków, ale żadne nie rozumie po włosku (w mieście rozumiałby każdy), a moja greczyzna wogóle, zaś nowogreczyzna w szczególe, nie sięga tak daleko, abym mógł rozumieć tych młodych mieszkańców Mandukio. Zdaje się jednak, że to nie klasztor, ale jakiś świecki zakład zapewne w poklasztornym budynku. Jeśli jednak to zakład wychowawczy, a otaczający mnie chłopacy są jego wychowankami nie zazdroszczę im wychowania i nie winszuję wychowawcom ich metody pedagogicznej. Zdaliby się tu Salezyanie a takie ładne mieliby ramy dla swego zakładu w tych malowniczych zielenią obrosłych murach.

Stąd już krok tylko do żydowskiej dzielnicy, ciasnej, czarnej ale bardzo ruchliwej i pod ubogiemi pozorami zamożnej. Żydzi tak licznie rozrzuceni po całym Wschodzie nie potrafili dotąd i nigdy zapewne nie potrafią usadowić się ani w Grecyi ani na wyspach Archipelagu. Przedsiębiorczość, obrotność i spryt handlowy Greków czyniły konkurencyę nawet dla Żydów, mistrzów w przebiegłości i szacherce, niemożliwą, a na sztuczki żydowskie, używane z powodzeniem przeciw konkurencyi Słowian a nawet Niemców, Grek złapać się nie dał. Tylko specyalnie wśród niezaradnych i bezgranicznie leniwych Korfiotów Żyd czuje grunt pod nogami. Znaczna część handlu jest też w żydowskich rękach, a oczywiście uczciwość obrotów handlowych i wartość towarów na tem nie zyskuje.

Żydzi nie używają tu osobnego stroju, jak w Turcyi. Kobiety tylko na szabas lubią się obwieszać jaskrawemi ozdobami i mnóstwem klejnotów i świecideł jubilerskich. W młodości bywają ładne, ale w kraju posiadającym tak piękny typ kobiecy, jak Korfu, gdzie istotnie młodzież obojga płci przypomina nieraz profile starożytnych kamei lub posągów, nie zwraca to uwagi. W starości zaś Żydówka staje się albo potworną czarownicą, gdy wyschnie, albo też gdy się roztyje, staje się nierównie wstrętniejszą. Greczynek podobnie opasłych a zwłaszcza tak obrzydliwych nie spotyka się.

Z drugiej strony miasta, poza przedmieściem Kastrades, leży nad morzem w głębi obszernego parku pałacyk Monrepos, niegdyś letnia rezydencya angielskich wicekrólów, obecnie wła-

sność królewska. Ale król Jerzy widocznie nie lubi przebywać na Korfu. Istotnie park robi wprost przykre wrażenie. Jest on cudnie położony na wzgórzu, panującem ponad szeroką przestrzenią morza i sam jest bardzo piękny. Najrzadsze i najwspanialsze rośliny południa rozrzucone są w malowniczych klombach z jednej strony parku, podczas gdy z drugiej od północy, angielski ogrodnik czy może sam właściciel pozbierał okazy flory z chłodniejszych sfer — a delikatniejsza zieloność tych ostatnich efektownie odbija od lśniących liści pomarańczowych, od wachlarzowych palm i szerokolistnych bananów. Z prawdziwym zmysłem artystycznym zarysowane są też klomby i aleje, a pomiędzy niemi poprzecinane widoki na morze. Ale w jakimże to wszystko stanie! Trawniki z pewnością niekoszone do wyjścia Anglików z Korfu, pewnie od tegoż czasu niegracowane ulice, na pierwszych całe gaje wysokich chwastów i dzikiego zielska, na drugich deszcze zimowe wyżłobiły głębokie rowy a na tych znów bujnie na wiosnę rozkrzewiła się polna roślinność. Nie park to już ale las. Tylko ugrupowanie drzew wskazuje, iż to nie miał być las, że nad temi drzewami długo pracowała myśl i ręka człowieka, tylko że z pod dzikich traw i chwastów przedzierają się resztki rzadkich, zdziczałych już także krzewów i kwiatów, które w tym cudnym klimacie i na tym błogosławionym gruncie rosną jeszcze dotąd, choć o nie nikt nie dba. I robi się żal tej pracy, tej myśli i robi się wstyd za tych ludzi, którzy takiemu cacku natury i sztuki pozwalają marnieć przez niedbalstwo i skąpstwo. Wstyd tem większy, że, choć rzadko, bywa tu przecie i król, i jego rodzina, że nawet za parę tygodni zapowiedziany jest przyjazd królewskiej pary, dla której oczyszczono z prochów apartamenta tu i w zamku; ale nikt nie pomyślał o oczyszczeniu i przygotowaniu tego ślicznego parku, i nikt tu nie wyrwał ani gałązki chwastu, nikt nie zasadził ani jednego kwiatka.

Sam pałacyk mały, bez stylu, ale czysty i widocznie na przyjęcie właścicieli wyświeżony, robi wrażenie willi zamiejskiej średnio zamożnego przemysłowca lub bankiera. W dole znajduje

się przystań, przeznaczona dla dworskich jachtów a zrobiona podobno kosztem cesarza Aleksandra II. podczas choroby najstarszego syna, który tu miał przybyć na kuracyę w ostatniej chorobie zanim lekarze wyprawili go do Nizzy.

W pobliżu Monrepos znajduje się posiadłość, dzierżawiona przez mego znajomego, do którego wstępujemy po drodze, wraz z towarzyszem wycieczki. Pan Bagge jest malarzem, który w charakterze ilustratora i korespondenta kilku dzienników odbył całą kampanię grecko-turecką. Będąc chorym na płuca zmuszony jest do pobytu na Korfu, ale nie chce czasu tracić, na spółkę więc z jakimś Berlińczykiem zajął się obszernem i jak sądzę, dobrze pomyślanem przedsiębiorstwem. Jednym z charakterystycznych dowodów niezaradności i lenistwa Korfiotów jest fakt, że ani w drobnej cząstce nie potrafili wyzyskać niesłychanie korzystnych warunków, w jakich znajduje się wyspa dla interesownego ogrodniczego gospodarstwa. Przy łatwości komunikacyi morskiej z Tryestem, nadzwyczaj żyznej ziemi i jednostajnym łagodnym klimacie łatwoby przyszło całą wyspę zmienić w jeden ogród, bardzo rentowny a dający się w każdej piędzi ziemi zużytkować. Korfu stałoby się w takim razie spichlerzem jarzyn i owoców dla trzeciej części Europy. Tymczasem cóż się dzieje? Oto niektóre jarzyny np. szparagi nie są uprawiane, inne zaś znajdują się tylko w lichych gatunkach i nie mają dla eksportu wartości. Owóż mój Duńczyk wraz ze swym spólnikiem postanowili założyć na wielką skalę plantacyę wyborowych jarzyn, a przedewszystkiem nowalij dla jarzynowego rynku w Tryeście i właśnie teraz rozpoczynali roboty.

Bagge jest jednym z najmilszych ludzi, jakich znam. Łączy się w nim właściwa Skandynawom delikatność uczuć i wykwintność form z wesołością i swobodą artysty, pełnego werwy i temperamentu. Opowiada mi mnóstwo ciekawych szczegółów z kampanii, w której brał udział. Tchórzostwo Greków, a zwłaszcza greckich oficerów, miało być niesłychane. Wojsko uciekało w popłochu nie przed Turkami ale przed zającem, który przemknął się i zaszeleścił w trawie, nie przed alarmem, ale przed cieniem, przed przypuszczeniem alarmu. Niezmiernie komiczny epizod

zdarzył się w jednej z takich ucieczek. Oficerowie nie chcąc być poznani jako tacy, aby nie narazić się na gorszy traktament ze strony baszybuzuków pozrzucali z siebie w biegu i pochowali w zaroślach pałasze, czaka, mundury a wreszcie i ubranie, które przyzwoitość nakazuje nosić, ale zabrania surowo nazywać. W ten sposób, do głównej kwatery gdzie znajdował się następca tronu, dobiegli wyłącznie *in albis*, a jak złośliwsi twierdzą, nawet nie *in albis*, ale całkiem tak, jak Imci Pan chorąży orszański Kmicic puszczał po śniegu rajtarów z Zamościa po orznięciu ich przystojnie batożkami. Na domiar wszystkiego Turcy nie gonili wcale szybkonogich potomków Temistoklesa, bo ich w tej stronie zupełnie nie było.

Za posiadłością p. Bagge droga idzie wśród istnych gajów róż, które zaczynają dopiero rozkwitać i których wielkie pęki ofiarują nam dzieci, gromadami tutaj czatujące na podróżnych, ale wesołe i grzeczne. Wraz z moim towarzyszem, solidnym Belgijczykiem, wolimy kupować pomarańcze. Tymczasem po jednej stronie podnosi się coraz wyżej zielony stok wzgórza Analypsis, z drugiej zaczynają świecić szkliste, nieruchome smugi cichego jeziora Kalikiopulo, łączącego się z morzem przy Canone, do którego dochodzimy.

Widok tu cudny po prostu, obok tego, jaki się roztacza z tarasów Achilleionu najpiękniejszy na Korfu. Brzeg wyspy tworzy tu wysoki, w morze wchodzący cypel, za którym z przeciwnej strony morskiej cieśniny wznoszą się w sinej mgle wysokie górskie szczyty tamtego brzegu. Na prawo otwiera się jezioro podobne do zwierciadła, tak żadna zmarszczka nie przedziela wodnej powierzchni ani jej żaden wietrzyk nie kołysze. Z przeciwnej strony morze ciemniejsze, matowe, dziś właśnie trochę niespokojne porusza się widocznie i szumi, a ten kontrast dwóch wodnych płaszczyzn połączonych cieśniną, dziwnie jest oryginalny i ciekawy.

Od zewnętrznej strony wyspy na ciemnym szafirze morza, czernieje parę wysepek. Jedna z nich zwłaszcza śliczna, cała zarosła staremi cyprysami, wygląda jak koszyk ciemnej zieleni,

z poza której bieleją jakieś zabudowania. Jest to Pontikonisi czyli Mysia wyspa, wedle fantastycznego podania skamieniały okręt Odysseusza, który tu miał się rozbić i ku brzegowi Analypsis dopłynął. Wysepkę zamieszkuje kilku mnichów, których klasztorek jest tam jedyną ludzką siedzibą. Ślicznie tu, bardzo uroczo i byłoby bardzo miło, gdyby Canone nie leżało o godzinę od Korfu. Droga do tego miejsca, jednego z najcudniejszych na świecie, prowadzi przez bulwar cesarzowej Elżbiety, znowuż jeden z najpiękniejszych na kuli ziemskiej spacerów. A choć pięknych spacerów mają Korfioci tyle, ile ulic za miasto prowadzi, nie dziw, że tu ich najwięcej. Przyjeżdżają więc jedne za drugiemi powozy, pełne Anglików, a na ławkach i krzesełkach gromadki przechodniów popijają słodkie wino cefalońskie i zajadają słodycze. Kilku majtków, widocznie Amerykanów, otoczyło katarynkę grającą na ich cześć bardzo piskliwie, ale w bardzo szybkiem tempie ukochaną ich narodową idyotyczną *Yankee Doodle*. Hałas, śmiech, pisk — a obraz roztaczający się przed nami tak prosi się o ciszę i spokój.

IV.

Pension Julie. Wschodnie obieżyświaty. Wieczory. Mój stary Francuz i Belgijczycy. Grecki teatr amatorski. Aktorowie i publiczność. Wycieczka do Achilleionu. Raj na ziemi. Gasturi i Benizza. Zaczarowany zamek. Zapoznany geniusz kobiecy. Życie cesarzowej w Achilleionie. Paleokastriza. Droga w poprzek wyspy. Widoki. Żołnierze i mnisi. Cerkiew i klasztor. Podwieczorek u ihumena. Kaługer szturmujący do mego powozu. Karykatura zakonnego życia.

Mieszkam w małym hoteliku na esplanadzie, cichym i porządnym i byłoby mi tu dobrze, gdyby nie znaczna ilość pcheł, tej istnej plagi całego południa, a tem bardziej Wschodu. Znajomi pocieszają mnie tem, że inne łażące insekta są gorsze, a pchły uważać tu należy za *meno male*, jak Włosi mówią. Być może, ale mimo Zacherlina *meno male* spać mi nie daje, a to dla chorego człowieka, jak ja, wcale nie małe złe. Z czasem, pod koniec mego pobytu w Korfu, miało przyjść złe gorsze, najgorsze, najstraszniejsze, które też mnie o parę dni wcześniej niż zamierzyłem wypędziło z uroczej wyspy, ale być może, że

zawdzięczałem je odwiedzinom greckiego klasztoru w Paleokastriza, którego gościnni mnisi chcieli mnie zapewne obdarzyć na drogę tem, czego sami mieli najwięcej.

Moja gospodyni rodzi się z Wiedenki zamężnej za Belgijczykiem, ona sama wyszła za Lotaryńczyka.

Mówią oboje wszystkiemi językami, wszystkiemi oczywiście trochę po hiszpańsku, ale ostatecznie zrozumiale, i dzięki temu poliglotyzmowi oraz pobytowi we wszystkich stronach świata, są w stanie wmówić w gości każdego kraju i każdej narodowości, że jest ich rodakiem. Byli zaś istotnie wszędzie i mieszkali w Smyrnie, w Bagdadzie, w głębi Persyi, w Dżedda w Arabii, nie mówiąc o Kairze i Tripolis; sam pan oprócz tego tłukł się jeszcze w Zanzibarze, Mozambiku, Kapie, w Senegalu, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, a w Brazylii, Argentynie i Urugwaju spędził lat kilka. Odzierali go parę razy Kurdowie, Arabi próbowali zamordować, a od Turków podobno w pięty dostał, choć cudzoziemiec. Zresztą tu na Wschodzie w tem środowisku marynarsko-kupieckiem, w tej amalgamie ludów i kraju obiecanym włóczęgów z całego świata, ludzi podobnych nie brak. Na parę dni przed moim wyjazdem zjawia się przy obiedzie dwóch komiwojażerów. Jeden zaczyna mówić ze mną o podróżach. Naprzód o Europie: od Lizbony do Petersburga i Archangielska, od Dublina do Konstantynopola i Astrachania, był w każdym kraju — i był naprawdę, bo i z osobistej znajomości niejednego z tych krajów, i dzięki żyłce geograficznej, jaką mam, przekonywam się, że nie blaguje. Ale z Europy idziemy przez Sybir do Chin, Japonii, Indyi, Persyi, Arabii: był wszędzie. Nie dość na tem: był i w Afryce od Algieru do Kapu, i od Gorei do Madagaskaru, nie mówiąc już nic oczywiście o obu Amerykach i o Australii. Sprawdzić naturalnie tym razem już nie byłem w stanie: ale odniosłem wrażenie, że ten człowiek ani słowa nie zmyślał, ani dodał, a życie jego złożone z nieskończonego łańcucha najsprzeczniejszych zajęć i zawodów, nastręczałoby doprawdy materyał do awanturniczego romansu w guście pierwszej połowy tego wieku. Ale tacy ludzie w krajach nadmorskich i handlowych nie są rzadkością: sam miałem niedługo napotkać drugi

podobny egzemplarz w Atenach. U nas tylko wygląda to dziwnie. Mój jegomość znał i Lwów a posądzam go, że choć rodem ze Smyrny, był po prostu Spaniolem, tj. Żydem hiszpańskim.

Po obiedzie, który się kończył koło 9 wieczorem, siedzieliśmy zwykle we trzech, paląc papierosy i kończąc butelki doskonałego stołowego wina, prawie czarnego koloru a nadzwyczaj delikatnego smaku. Moi dwaj towarzysze byli ludźmi podeszłego wieku, sympatyczni obaj. Jeden był Belgijczykiem, który tu siedział od trzech czy czterech miesięcy, jak posądzam, z powodu jakiegoś bankructwa czy innej podobnej afery. Takich tu mnóstwo, bo w Grecyi jak w Ameryce niema ekstradycyi w sprawach tego rodzaju, chyba gdy chodzi o złodziejstwo. Złodziejem mój Belgijczyk nie był, to pewne, ale jakiś ciemny punkcik miał w życiu — żył cicho, skromnie, mówił mało i chodził w żałobie.

Drugi staruszek był Francuzem, przybyłym tu przed laty z Paryża z rekomendacyą paryskiego kardynała do arcybiskupa Korfu, który mu, dzięki tej rekomendacyi, otworzył wpływem swoim najlepsze domy miasta. Stary Francuz stał się odtąd najbardziej a raczej jedynie renomowanym i poszukiwanym nauczycielem swego języka i literatury na Korfu. Był też od rana do wieczora zajęty i widocznie miał się dobrze. Niemniej widocznemi w nim były gruntowne, choć jak zwykle we Francyi, jednostronne wykształcenie, oraz szlachetność zasad i charakteru. Dowodził tego jego stosunek ze współzawodnikiem, młodym księdzem francuskim, który przybył przed paru laty na Korfu dla dawania lekcyj francuskiego. Zamiast pod konkurentem dołki kopać i starać się go zdyskredytować, poczciwy stary własne lekcye mu pooddawał, polecał go i reklamował aż wreszcie księżyna stał się równie wzięty jak on. I nie zaszkodziło to memu Francuzowi. Tyle miał lekcyj, ile mógł dawać, w niedzielę zaś jadł niezmiennie śniadanie ze swym ziomkiem i szedł z nim na spacer i gawędę o ojczyźnie.

O 9 przychodził do nas Bagge, jeśli był w mieście, i młody kupiec z Antwerpii, któremu ojciec zmarł niedawno, bawiąc tu dla interesów, i on teraz zwłoki jego miał przewieść do kraju.

Zebrawszy się, szliśmy na turecką kawę do najlepszej ka-

wiarni tutejszej na esplanadzie pod arkadami, składającej się z jednej salki dość słabo oświetlonej, ale uczęszczanej licznie. Jak wszyscy mieszkańcy Południa, Grek lubi siedzieć długiemi godzinami w kawiarni, raz dla dogodzenia swemu ulubionemu *far niente*, powtóre dla łatwiejszego wyszukiwania i załatwiania interesów, wreszcie dla gry w domino. To samo co we Włoszech, tylko więcej tu niż we włoskich kawiarniach spokoju i towarzyskiej ogłady.

Jednego wieczora namówiono mnie na amatorski teatr. Stałego nie było. Zimą bawiła tu jakaś prowincyonalna opera włoska, teraz artystyczne upodobania Korfiotów zaspokajało towarzystwo miłośników sceny, złożone przeważnie z subjektów sklepowych. *High-life* na te przedstawienia nie uczęszcza, urządzając natomiast w wybranem gronie koncerta. I teatr i koncert urządzane bywają peryodycznie, dość rzadko w niedzielę i święta, co parę tygodni, ale zawsze razem... *Tout comme chez nous.*

Francuz, mający arystokratyczne uprzedzenia, próbuje mnie odstraszyć groźbą zaduchu i wyziewów czosnku, ale trudno. Koncert będę miał i we Lwowie, teatru greckiego, i to najciekawszego bo ludowego, nie. Istotnie, zaduch okropny, a cebula pachnie tak jak w bóżnicy na szabas. Sala nabita. Raczej to nie sala ale wązki korytarz w środku poprzecinany filarami, które zasłaniają scenę. Widzowie cisną się we drzwiach i sąsiednich pokojach, a w sali stoją jedni drugim na głowach i siedzą na kolanach. Dla nas zwykła grecka uprzejmość wobec cudzoziemców dokazuje cudów. Urządzają nam coś w rodzaju *fauteuils d'orchestre* i to w literalnem znaczeniu, bo wtłoczono między muzykantów, którzy rozsuwają się i cisną do siebie instrumenta, byle nam miejsce zrobić. Są to, podobnie jak aktorowie, czeladnicy i kupczyki. Muzyka, jak na takich artystów znośna, teatr wprawił mnie w zdumienie. Dawano, jak zwykle tutaj, jakiś dramat wierszem, z czasów walki o niepodległość, dość banalny, pełen patosu, deklamacyi i frazesów. Turecki basza, oczywiście czarny charakter dramatu, trochę nadto zawracał oczyma, trochę nadto widocznie starał się zmieniać tenorowy głos na bas odpowiedni roli, ale reszta ról wykonaną była wprost świetnie,

a zwłaszcza para kochanków, mogłaby dać się słyszeć na pierwszorzędnych scenach, tyle w niej było szlachetności i scenicznego temperamentu. Ten sam wrodzony a nieraz ogromny talent do sceny, który cechuje Włochów, mają widocznie i Grecy, a choć złośliwi utrzymują, że w ich żyłach niema ani kropli krwi po zapaśnikach olimpijskich igrzysk i po słuchaczach Sofoklesowych tragedyj pod otwartem niebem, coś jednak zostało z ich ducha, bo Grek dzisiejszy ma i zamiłowanie i wrodzony talent do teatru i do ćwiczeń ciała.

Nazajutrz, z moim poczciwym starym Belgijczykiem, pojechałem do Achilleionu. Miałem przed sobą dwie godziny drogi, z początku wesołą, zieloną równiną, następnie wśród pagórków ocienionych wspaniałemi gajami. Gdy przywodzę sobie na myśl krajobraz na Korfu, widzę zawsze wielką przestrzeń zielonej łąki, miękiej jak aksamit, na niej kilka starych, krzaczystych, luźnie stojących drzew oliwnych. W głębi ciemniejszy gaj pomarańcz, gnących się od owoców, lub parę czarnych platanów, w dali góry o niezmiernie pięknych zarysach, całe lasem pokryte a między niemi, w szczelinach, jakby umyślnie wyciętych dla widoku, przeglądają lazurowe smugi morza. Gościńcem przejeżdża na osiołku obładowanym koszami, bardzo obdarty i cały zaczerniony chłopak o klasycznym, greckim profilu twarzy a naokoło powozu biegną w milczeniu dzieciaki z rozwichrzonemi czarnemi włosami, rzucając czasem do wnętrza wiązkę tropikalnych, na polu rosnących kwiatów.

Korfu mogłoby być rajem, gdyby miało innych mieszkańców. Ale korfijski rolnik nic nie czyni dla tej przedziwnie żyznej ziemi. Nie sieje, nie sadzi, nie obcina i nie oczyszcza gałęzi, nawet nie zbiera porządnie owocu. Niema tu młodych drzew owocowych, bo od wyjścia Anglików nikt nie przymusza do plantowania ich. Te zaś, które są, marnieją pozbawione oka i ręki człowieka. Oliwki i pomarańcze gniją w trawie, bo właściciele nie zadają sobie trudu zbierania, słynne niegdyś i daleko rozwożone korfijskie owoce i jarzyny straciły cenę, bo są w lichszych gatunkach, a rodzi ich się coraz mniej. Kogo spotkać, narzeka na nędzę, i nędza jest istotnie ogólna a powodem

jej stale od szeregu lat niedopisujący zbiór oliwy, zbiór ten zaś byłby świetny, byle trochę pracy. Ale tego artykułu od czasu zdobycia niezależności Korfu nie posiada i trzeba go importować.

Coś równie nędznego, jak wsie na Korfu, trudno doprawdy wyobrazić sobie. Najnędzniejszy *paese* w Kalabryi jest zbiorem pałaców w porównaniu z temi kupami gruzów i śmiecia. Z pomiędzy rumowisk wygląda czasem dzwonica wcale pokaźna, ale bywa to istna cerkiew z wsi Potemkinowskiej: za dzwonicą bowiem niema nic, albo jest szałas, albo lepianka sklecona z błota i gruzu. Tak wyglądają na Korfu wiejskie domy Boże.

Wedle utartego zwyczaju turystów, dojechawszy do szczytu góry, na której wznosi się Achilleion, mijamy zabudowania pałacowe, restauracyę wiedeńską i mury zewnętrzne parku, aby serpentyną wijącą się na stokach góry, spuścić się ku morzu na popas w Benizza. Nic cudowniejszego od tej drogi, z której oko nieustannie ogarnia bezmiar morskiego błękitu. Zdaje się chwilami, że to jakaś otchłań bezdenna, cudna, nęcąca urokiem swym jak stepowe widziadło, i że się ku niej leci, leci, zbliża, aż pochłonie.

W Benizza, wioszczynie trochę porządniejszej od innych, a ciągnącej się długim żórawiem domów wzdłuż morskiego wybrzeża, pijemy wyborną, turecką kawę na ładnej werandzie tuż nad morzem. Potem zwolna wracamy ku zaczarowanemu zamkowi, wzniesionemu przez tę dziwną kobietę, którą świat znał tak mało pod imieniem cesarzowej Elżbiety.

Istotnie, żeby poznać tę niepospolitą kobietę, która przez życie całe, a zwłaszcza przez ostatnią życia tego połowę, taiła tak zazdrośnie przed światem nadzwyczajne bogactwo swojej duszy pod pozorami dziwactwa i ekscentryczności, należy zobaczyć Achilleion. Trzeba było zaprawdę genialnego umysłu, aby stworzyć coś podobnego; a pamiętać musimy, że wszystko, co tu jest, jest pomysłem i zasługą cesarzowej: odkrycie miejsca może najpiękniejszego w Europie, plan starogreckiej willi i ogrodów, ich przedziwnie piękna ornamentacya.

Pałac na zewnątrz nieobiecujący i dość mały, przy wejściu kaplica skromna ale ładna, jedyny obcy ton w tej łudzącej har-

monii starożytnego świata. Urządzenie i ścienne malowania takie, jak je znamy z Pompei i z neapolitańskiego muzeum, wykonane z nadzwyczajną wytwornością, W klatce schodowej freski z Iliady. Meble podobno w najdrobniejszych szczegółach stylowe i harmonizujące z budynkiem, częścią wywiezione już do Wiednia, częścią leżą spakowane w olbrzymich skrzyniach. Górne apartamenta z powodu pakowania zamknięte. Wielka otwarta galerya ozdobiona freskami i długim szeregiem marmurowych popiersi wielkich mężów Grecyi, wychodzi na górny taras pełen najrzadszych i najcudniejszych zwrotnikowych krzewów a zwłaszcza palm, które cesarzowa sama zbierała i zwoziła, wraz z dziełami sztuki, z całego świata. Trudno o coś piękniejszego od tych tarasów, których trzy, jedne poniżej drugich, rozciągają się dokoła pałacu na bardzo niewielkiej przestrzeni. Umiano w nich zużytkować każdy cal gruntu a zużytkowano tak umiejętnie, że niema wśród tylu szczegółów nietylko żadnej dysharmonii, ale czuć, że każdy jest na właściwem miejscu i że jest właśnie takim, jakim dla harmonijnego uzupełnienia całości być powinien. Nie jest to już ornamentacya ale doskonale jednolity i wykończony obraz. Właściwy starożytnym duch ładu i organizacyi, który tak się zwykło podziwiać w urządzeniu pompejańskich willi, podniesiony tu został szerszemi rozmiarami całości. W każdej szczelinie skały, w każdym gąszczu i zakręcie ukryty jakiś ornament, jakiś posąg lub statuetka, jakiś cichy wodotrysk, słowem cały ogród robi wprost wrażenie bajki z tysiąca i jednej nocy. Jest zaś on czarodziejskim nietylko swem urządzeniem, ale ramami, w jakich go umieszczono. Góra, na której szczycie stoi Achilleion, wysuniętą jest ku morzu, a naprzeciw niej wznosi się poza zatoką, tworząc wysoki, lasem obrosły przylądek, drugi szczyt górski, wyższy od niej. Ze wszystkich stron odkrywa się szerokie, bezbrzeżne, w słońcu skąpane morze Jońskie, najpiękniejsze ze wszystkich mórz świata. Na szerokiej platformie najniższego tarasu patrzy na nie gasnącem okiem umierający Achilles zaklęty w marmur, a nigdy już ku tej modrej toni nie zwrócą się smętne oczy tej, której geniusz stworzył na tak krótko, niestety, Achiləion.

Ogrodnik, oprowadzający mnie po tarasach, pozostaje tu na służbie od chwili kupna gruntu i rozpoczęcia budowy. Opowiada mi, że w czasie pobytu cesarzowej ogród oświetlany bywał co noc elektrycznemi słońcami, których srebrzysty blask sprawiał niewysłowione wrażenie wśród tego mnóstwa palm, posągów i fontan. Cesarzowa nie mogła sypiać w nocy. Udawała się też na spoczynek o 7, a o północy już nieraz zaczynała błąkać się samotnie i cicho, jak cień powracającej duszy, wśród tarasów, altan i galeryj pałacowych. O czwartej z rana wyruszała już na swoje forsowne piesze wycieczki, w których nikt z dworu nie był w stanie jej nadążyć i parę wycieczek z rzędu wytrzymać. Jadła zawsze sama w jednej z altan ogrodowych, podczas gdy dla orszaku dawano obiad w jednym z dolnych salonów. W niedzielę przyjeżdżał z Korfu ksiądz ze mszą, której cesarzowa nie opuszczała nigdy. Jej klęcznik stoi dotąd w pośrodku kaplicy opustoszałej, po której przechadzają się turyści nie zdejmując kapelusza.

Druga wycieczka obowiązkowa na Korfu, to klasztor w Paleokastriza. I słusznie. Piękniejszej niema na Korfu, niema też piękniejszego miejsca. Gdyby tam nie mieli już siedziby mnisi, niewątpliwie cesarzowa Elżbieta ze swym przedziwnym zmysłem artystycznym, tutajby wzniosła Achilleion. Że zaś tu właśnie osiedlili się mnisi, dowodzi to raz jeszcze pewnika starego jak chrześcijaństwo, że kto Boga samego tylko szuka, ten znajdzie i to, co stanowi odblask Bożej istoty i Bożego działania na ziemi, więc z dobrem, z prawdą i piękno. W tych krajach o prastarej chrześcijańskiej tradycyi, wszystkie prawie klasztory sięgają lepszych czasów, poprzedzających schizmę. Z właściwym mnichom wschodnim zamiłowaniem tradycyi, stawiano zapewne w ciągu wieków jeden klasztor na miejscu drugiego, na tej niedostępnej wyżynie, do której dopiero Anglicy pobudowali drogi i mosty kamienne ponad przepaściami. Powody, które skłoniły niegdyś katolickich pustelników, ludzi o szlachetnej, głębiej czującej duszy, przestały z czasem istnieć dla grubych, zmysłowych natur, z jakich się rekrutuje tłum greckich kaługierów. Ale jak kosztowna księga, zapisana ręką uczonego pradziada,

przejdzie nieraz w ręce wnuka nieumiejącego czytać, tak i z owemi staremi klasztorami Wschodu się dzieje, w których najcudniejsze w świecie górskie widoki psują, jak rdza na kosztownym bronzie, brudni mnisi schizmatyccy. Rzecz ciekawa; tam, gdzie powstały klasztory już po odszczepieństwie, odznaczają się one brakiem wszelkiego zmysłu estetycznego w wyborze miejsca: dowodem monastery, które bodaj dla ciekawości dobrze porównać z klasztorami katolickiemi wszystkich epok, nie wyjmując najnowszej. W tej chwili nasuwają mi się na myśl ostatnie poza miastami wzniesione klasztory polskie, Chyrów i jezuicka rezydencya w Zakopanem, pustelnia Brata Alberta w Zakopanem, Prusach i Werchracie.

Nie potrafię opisać piękności drogi prowadzącej do Paleokastrizy. Zwłaszcza druga jej połowa jest cudną. Gościniec przechodzi tuż ponad morzem, którego fala czasem zdaje się głaskać stopy przechodnia, czasem znika w głębi czarnych otchłani. Podnosimy się coraz wyżej aż do grzbietu San Pantaleone, rozdzielającego wyspę na dwie połowy w poprzek dość wązkiego przesmyka pomiędzy dwoma zatokami. Morze widać tu z dwóch stron, na prawo i na lewo równocześnie, ale z powodu znacznej wysokości wydaje się ono dalekiem, jakby wynurzającem się z obłoków i zdaje się zlewać z niemi i z niebem. Potem brzeg na lewej stronie wyspy, w którą się zwracamy, zaczyna się łamać w najfantastyczniejsze zakręty, tworząc długie szeregi półwyspów i wysepek, wąziutką a bardzo nieraz długą grobelką złączonych z lądem. Wysepki te są właściwie tylko olbrzymiemi skałami, albo, raczej kupami granitowych złomów, robiących wrażenie jakby na tych miejscach przed wiekami wyładowano kilkanaście Pelionów na kilkanaście Oss. Bocznemi ścieżkami wzdłuż gościńca przebiera się zwinnie i cicho gromadka żołnierzy, których wysłano w te odludne pustkowia dla pościgu za jakimś złoczyńcą. Cóż to za obszarpańcy! Chyba wśród tureckich żołnierzy znaleźć można gorszych. Przy tem robią wrażenie wynędzniałych i głodnych. Nie dziw: rząd grecki który urzędnikom nie płaci żołdu, nie daje swym żołnierzom ani śniadania ani kolacyi, a chleb występuje częściej w wyobraźni re-

kruta marzącego o plackach na oliwie swej rodzinnej wioski, niż na stole koszar. Zaś dwadzieścia cztery godzin żyć o jednorazowym posiłku, to dla młodego żołądka nielada sztuka. Więc też biedne żołnierzyki wyglądają jak zbiegowie ze szpitala ale maszerują raźnie i wesoło. Nie mogę się oprzeć ochocie rzucenia im garści miedzianych *lept*, które przyjmują z żywą wdzięcznością, mimo małej wartości tej zdawkowej monety.

Klasztor wznosi się na najwyższym z przylądków czy półwyspów, o jakich wspominałem. Widok stąd taki, że wobec niego blednie to wszystko, co się widziało dotąd. Z jednej strony poza wązką a dość długą zatoką olbrzymia góra uwieńczona starym weneckim fortem, z drugiej cały świat skał, półwyspów, scogliów, granitowych monolitów, jakby pełną garścią rozsypanych przez jakiegoś olbrzyma, a pomiędzy temi skałami, wyspami i górami oderwanemi od lądu, morze lśniące od słońca i złociste, to znów ciemno-szafirowe w cieniach wybrzeża, rozbijające się o granity mleczną pianą swych bałwanów z rykiem, szumem i wściekłością dzikiego zwierza, albo ciche, słodkie, senne w głębi zatok i wewnętrznych jeziorek. A dalej w głębi, w około, tuż pod stopami i hen daleko, jak okiem sięgnąć, bez końca, jedna sina płaszczyzna, zwierciadło, w którem przegląda się słońce, okno olbrzymie zamykające tajemnicze wnętrza ziemi, przezroczyste a zakrywające zazdrośnie tajnie otchłani. Cicho na niem i pusto. Żaden żagiel nie przesuwa się po błękitnej powierzchni, jak biały ptak znużony długim lotem, żaden ślad życia nie barwi i nie zaludnia pustych, dzikich wybrzeży. Wszystko tu bezludne i senne, jak morze. Takim być musiał ten kraj, kiedy rozbitka powracającego z Troi spotkała niedaleko stąd roztropna Nausikaa, albo jeszcze wcześniej, kiedy w te strony przybyli pierwsi osadnicy wyspy. Tylko zieleń, okrywająca część brzegów, wprowadza jaśniejszy ton w ogólne wrażenie krajobrazu, a obok zieleni, rozjaśniające wszystko swym słonecznym lazurem, morze.

Klasztor składa się z kilku lichych budynków dokoła starej, brudnej cerkwi, pozbawionej charakteru i pamiątek. Od strony morza *ad usum* turystów parę prymitywnych werand i wedut

z cudnym istotnie rzutem oka, a w kącie szopy mieszczą się wykopane na miejscu kawałki starożytnych marmurowych posągów, szczątki dawnych osad i niegdyś na tem miejscu kwitnącej kultury. Młodziutki mniszek w zakasanej rasie, bosy, oprowadza mnie, klepiąc zbyt szerokiemi patynkami i zbyt długim językiem. Nic go oczywiście nie rozumiem, ale śmieje się do mnie przyjaźnie, pokazując białe zdrowe zęby. Szkoda doprawdy chłopca, który mógłby stać się porządnym, pracowitym rolnikiem albo zwinnym majtkiem, tutaj zaś zmarnieje w gnuśnem życiu kaługierów.

W dwóch celkach ihumena pokazują mi świeży podpis pruskiego ks. Albrechta w księdze pamiątkowej, następnie zaś prowadzi mnie ihumem w towarzystwie drugiego mnicha do gościnnej izby, w której oprócz stołu i paru krzeseł znajduje się gościnne łóżko. Przynoszą kawę, którą obstalowałem (mnisi bowiem utrzymują rodzaj kawiarni dla gości, a w lecie wynajmują im część klasztoru na mieszkanie), ihumen zaś, poważny staruszek z długą, siwą brodą i wysokim kołpakiem, sięga do kieszeni i wydobywa z niej powoli, stękając, parę kawałków bułki i flaszkę z arakiem. Dziękuję uprzejmie za te specyały, przechowywane w tak mało apetycznej spiżarni, i przez grzeczność próbuję prowadzić rozmowę z uprzejmymi gospodarzami, którzy wciąż młynkują językiem, choć się całkiem nie rozumimy. Dowód to, nawiasem mówiąc, wielkiej ignorancyi, gdyż na Korfu każde dziecko w szkole wraz z greckiem abecadłem uczy się włoskiej mowy. Zapłaciwszy za kawę i gościnność (ihumen nie zaniedbał oglądnąć podanego mu papierka) wróciłem do powozu i czekałem na konie, kiedy naraz wyrósł jakby z pod ziemi nowy jakiś kaługier, bełkoczący piąte przez dziesiąte po włosku, z węzełkiem w ręku i zaczął natarczywie domagać się odemnie, abym go zabrał z sobą do Korfu. Tłumaczyłem mu, że to nie sposób, wykręcałem się jak mogłem, zasłaniałem się furmanem i właścicielem powozu; nie pomagało nic. Mnich zapewniał, że furmanowi da bakczysz, że przed miastem zlezie, że nie ma żadnych owadów dla nocnego spokoju niebezpiecznych i mówiąc to wszystko wgramolił się na kozioł z widoczną intencyą nie-

ruszenia się stamtąd. Wszyscy mnisi, których jest sześciu czy siedmiu, przyszli teraz z klasztoru, popierając widocznie sprawę swego towarzysza i dopiero interwencya furmana zmusiła go do rejterady, podczas której dawał folgę złemu humorowi w wymownych i prawdopodobnie mocno niegrzecznych oracyach, których na szczęście nie rozumiałem.

Patrząc na tę karykaturę zakonnego życia, myślałem sobie, jakby się przydał na Korfu zakon katolicki gorliwy i mądry. Niestety daremnie próbowali tu osiedlić się Jezuici, którym rząd zabronił urządzenia wychowawczego zakładu, a od tego czasu ospali parafianie katoliccy nie zdobyli się nawet na sprowadzenie Braci szkolnych.

(C. d. n.).

Jan Łada.

TALMUD A ZBAWICIEL [1].

Wielu mniema, że obecne czasy są zupełnie obojętne dla sprawy religii i że teraźniejsze społeczeństwo ludzkie zgoła nie troszczy się o Kościół lub Pismo św. Wszakże inaczej rzeczy się mają. Nigdy walka o Kościół i powagę Pisma św. nie była tak zawziętą i morderczą jak dzisiaj. Po stronie błędnowierczej powstała już cała literatura, której zadaniem: zaprzeczyć istnieniu Chrystusa i Apostołów, oraz obalić powagę Pisma św., lub przynajmniej drogą krytyki, wrzekomo bezstronnej, jak najbardziej ją ograniczyć. Wobec tego łatwo zrozumiałą jest rzeczą, że Kościół św. nie może spoglądać obojętnem okiem, jak się zdrowe jego ciało poddaje wiwisekcyi, jak się poniewiera jego świętości. Nie może pozwolić, aby ludzie niedouczeni kładli go niejako na stół operacyjny i częstowali zabójczemi lekami, niby to celem przywrócenia zdrowia jemu, o którym najsłuszniej chyba powiedzieć można, że jest *mens sana in corpore sano*. Dlatego to tylu uczonych walczy dzisiaj w jego obronie z krzyżem w ręku z kazalnic i katedr profesorskich.

Znamy dwa rodzaje procesów. W jednych pozwala się stronie wiarogodniejszej składać przysięgę na potwierdzenie swych zeznań; w drugich wzywa się świadków, którzy podług prawa nie mogą być blizkimi krewnymi ani przyjaciółmi żadnej partyi.

[1] Autor niniejszej rozprawy, Izraelita, były rabin, obecnie po przejściu na łono Kościoła katolickiego jest słuchaczem św. Teologii w Wiedniu.

W tym drugim wypadku obżałowany sądzonym jest wobec całego świata. W pierwszym zato zawsze zostaje mu wymówka: „Gdyby mnie pozwolono złożyć przysięgę, pewniebym ją złożył szczerzej i sumienniej“. Przytem zauważyć należy, że kto naocznie przekonał się o jakiejś zbrodni obchodzącej całe społeczeństwo, źle czyni, jeżeli nie występuje jako świadek, mogąc to wygodnie uskutecznić.

Walka prądów racyonalistycznych i antitradycyonalnych z Kościołem w rzeczywistości jest już rozstrzygniętą. Każdy bowiem rozumny a wierzący człowiek przysięga na prawdziwość kościelnych tradycyj i powagę św. Ewangelii. Różnowiercy wszakże nie chcą uznać jeszcze tego zwycięstwa Kościoła nad nimi, — sądzą, że jeszcze i dzisiaj wolno im ręczyć za prawdę swych religijnych przekonań. Do zupełnego ukończenia sporu i zupełnego zdyskredytowania przeciwników potrzebaby więc przedewszystkiem, aby i ci otwarli usta i zeznali prawdę, którzy z dawna ze sporu tego czerpali korzyści i przyglądając mu się zdala, bezstronnych udawali widzów.

W naszej kwestyi takim świadkiem, który stale usuwa się od zeznania prawdy, który prawdę najniesłuszniej ukrywa — jest żyd talmudyczny. Gdyby tylko zechciał mógłby on rozstrzygnąć spór ostatecznie i to na korzyść Kościoła. Tymczasem podobnie jak matka Mojżesza przez trzy miesiące nie wydawała na świat zbawcy ludu żydowskiego, tak i żyd talmudyczny przez półtora tysiąca lat nie chciał wyjawić onego materyału dowodowego, tak pożytecznego dla stron obu. I tak niezmiernie ważną rzeczą byłoby wiedzieć, jakie stanowisko wobec Ewangelii zajmowali najstarsi rabini: którzy z nich godzili się na naukę ewangeliczną, którzy ją odrzucali. Samo bowiem odrzucenie jej byłoby niezaprzeczonym dowodem, iż Ewangelie w istocie istniały i powszechnie znane były już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Sąd oparty na starszych podaniach judaistycznych o Chrystusie i Apostołach, stałby się śmiertelną bronią przeciw tym, którzy ich istnieniu zaprzeczają lub osobę Zbawiciela sprowadzają do rzędu mitycznych postaci, będących uosobieniem współczesnych dążności i pojęć.

Do pierwszorzędnych a dotąd nieprzystępnych tego rodzaju dokumentów należą przedewszystkiem trzy dzieła pochodzące z okresu pobiblijnej literatury: *Miszna*, *Talmud* i *Hagada*. W nich to przemawiają współcześni św. Pawłowi rabinowie, a zeznania ich, jak z jednej strony zdradzają dziwną zgodność z orzeczeniami Apostoła, tak z drugiej strony są dowodem istniejącej podówczas kontragitacyi. Tutaj to spotykamy Jana Chrzciciela i Szymona Piotra, rzecz jasna, ukrytych pod osłoną ogólnikowych wyrażeń, ale mimo to łatwo dostrzegalnych dla oka wierzącego chrześcijanina. Tutaj znajdujemy wyraźny opis zasądzenia, ukrzyżowania i innych szczegółów męki Zbawiciela. O cierpieniach Jego, kazaniu na górze — wspominają wprawdzie te źródła ale tylko ubocznie, a zawsze z pominięciem imienia własnego.

Nie leży w zakresie dziennikarskiej pracy zbadanie całej pobiblijnej literatury we wszystkich pomienionych wyżej kierunkach. Taka praca wymaga niezmiernego nakładu czasu i może śmiało dostarczyć pola do badań wymagających całego życia człowieka. A jednak rezultat zasługiwałby zupełnie na to i starania tego rodzaju mogłyby się sowicie opłacić. Wszyscy wrogowie Kościoła musieliby wówczas zamilknąć i zdać się na łaskę lub niełaskę zwycięzcy, gdyż zeznania Talmudu i Miszny nie pochodziłyby bynajmniej ze strony przyjaznej mu lub jednako myślącej. Wszakże, jak sądu ostatecznego nie można sobie wyobrazić bez gromów, tak i tej pracy nikt nie mógłby oddawać się spokojnie. Kto ją podejmie — musi się z góry przygotować na niejeden cios przykry ze strony zagorzałych wyznawców Talmudu, na przydomek zdrajcy, Judasza. Lecz to dopiero nazywa się: T r w a ć w B o g u i n i e d a ć s i ę n i c z e m o d s t r a s z y ć. Po deszczu musi przecież kiedyś nastąpić pogoda.

Chrystus jest skarbem dla Talmudu, który tenże starannie ukrywa przed okiem ciekawego, tak starannie, że kto nie zna Talmudu, ani wie gdzie go trzeba szukać. Tak jak skarby z dawnych czasów leżą głęboko pogrzebane w ziemi i to w miejscach, w których najmniej spodziewamy się ich, tak i autorowie Talmudu, którzy stale trzymają się zasady: s k a r b y n a l e ż y

ukrywać, ukrywają osobę Zbawiciela, nie mieniąc go nigdy ani Chrystusem, ani imieniem własnem. Nie cytują go po imieniu — bo według ich mniemania, Chrystus był bezbożnikiem i heretykiem jak to niejednokrotnie otwarcie wypowiadają, podnosząc ze szczególniejszym naciskiem, iż właśnie za karę za tę zbrodnię nie dożył nawet połowy przeciętnego wieku ludzkiego tj. lat 35. Dla tej samej przyczyny Talmud zakazuje nawet wymieniać imienia Jezus, lub nadawać go dzieciom. Tem mniej mogli Go nazywać Mesyaszem. Mesyasz znaczy tyle co „posłaniec Boży", po hebrajsku: *Masziach* podczas gdy w opinii Talmudu Jezus Nazarejski godzien był tylko obelg i wzgardy. Mówiąc o Chrystusie używa przeto Talmud przydomków, pod któremi, wyłącznie na podstawie charakteru i czynów Jezusa, można się Go dopatrzyć. A przydomki te nie zawsze mile dźwięczą. „*Bileam* Bezbożny" i tym podobne przeważają; najłagodniejszą jest nazwa: ów człowiek. Rzecz jasna przytem, że z biegiem czasów, gdy Żydzi więcej zmieszali się z chrześcijanami, przydomki owe i przezwiska uledz musiały pewnej modyfikacyi. Te jednak, które przetrwały aż do naszych czasów wystarczają w zupełności, aby nam odsłonić usposobienie Talmudu względem Zbawiciela.

Pomiędzy maksymami wypowiedzianemi przez rabinów z II. wieku spotykamy naprzykład takie: „Czem się różnią *Bileam* Bezbożny i jego uczniowie od Abrahama (zbiorowe imię synagogi) i jego uczniów? Abraham i jego uczniowie w tem życiu zażywają rozkoszy, a po śmierci cieszą się dziedzictwem Bożem. *Bileam* Bezbożny i jego uczniowie nie doznają na tym świecie żadnej przyjemności a po śmierci zachowują dla siebie piekło stosownie do tego co mówi psalmista: Mężowie, którzy zasłużyli sobie na śmierć nie dożyją ani połowy 70 lat". *Miszna* ta pozostaje w widocznym związku z 5 artykułem wiary: Zstąpił do piekieł, — a pomiędzy wierszami pozwala dopatrzyć się dwóch prawd talmudycznych: 1-o że Chrystus zstąpił do piekła prawdziwego, aby tam na wieki pozostawać i karom podlegać; 2-o że zstąpił tamże, aby i uczniów swych i wyznawców za sobą pociągnąć. Jeśli przytem zwrócimy uwagę na naukę Apostołów,

którzy w myśl swego Mistrza głosili cichość, ubóstwo, umartwienie i zaprzanie siebie samego — dalej, jeżeli zauważymy, że Apostołowie rzeczywiście przez całe swe życie doznawali bezustannego prześladowania, które przypieczętowali śmiercią męczeńską, tak iż przez całe życie żadnych nie zakosztowali słodyczy, żyjąc wyłącznie nadzieją nieba — następnie, jeśli wspomnimy, że Chrystus w istocie został ukrzyżowany licząc zaledwie $33^1/_2$ lat wieku — wreszcie, jeśli przywiedziemy sobie na pamięć to, że szkoły rabinów (Abraham i jego uczniowie) zabraniały wyznawcom swoim wszelkich umartwień a zalecały zawsze używanie — to wszystko wziąwszy pod uwagę, poznamy dopiero we właściwem świetle tę *Misznę*, oraz myśl przewodnią Talmudu, podług której sądzi i potępia założycieli i krzewicieli wiary Chrystusowej.

Jeszcze ciekawsze są podania Talmudu, dotyczące owego człowieka, z których tutaj wyjmujemy te, które opowiadają Jego zasądzenie i ostrożności zachowane przy tem przez Żydów. „Zbrodnie owego człowieka — mówi Talmud — były bardzo wielkie. Nie można Go było pochwycić, dlatego ogłoszono Go wolnym". Wolnym, to znaczy: każdy kto Go spotkał mógł Go zabić nie ściągając na siebie żadnej odpowiedzialności. Chciano więc Chrystusa skrycie zamordować, tylko że Judaszowi zabrakło po temu odwagi, a Bóg Ojciec postanowił od wieków, że Syn Jego Jednorodzony a Pan nasz na krzyżu miał wylać krew swoją, aby tym sposobem spełniły się na Nim wszystkie przepowiednie Starego Zakonu i aby męka Jego, śmierć, złożenie do grobu i zmartwychwstanie jawnem było całemu światu.

To zeznanie Talmudu jest doniosłości nieocenionej. Usuwa ono wszystkie trudności uczonych: czy u Żydów dozwolone były sądy nocne i wydawanie wyroków śmierci w dniu Paschy. Talmud bowiem zdradza nam całą tajemnicę, która po prostu kryje fakt, że właściwy sąd i wyrok śmierci nad Zbawicielem już przedtem w cichości się odbył i wtajemniczonym został oznajmiony. Talmud objaśnia nam bliżej całą starozakonną procedurę sądową. Oto jego słowa: „Jeżeli wyrok na obżałowanego nie

zapadł jeszcze a rada sądowa zebrała się w swoim czasie tj. każdy z sędziów zajął swe miejsce i posiedzenie otwarte zostało jeszcze za dnia, sędziowie mogą przeciągnąć obrady jak długo uznają to za potrzebne i nie mają obowiązku odraczać wyroku wraz z zapadnięciem nocy". Jakże łatwo było więc Faryzeuszom, Arcykapłanom i uczonym w Piśmie zgromadzić się przed nocą, w ciągu której pojmany miał być Zbawiciel — wrzekomo na naradę. Zwłaszcza, że wyrok sam śmierci zapadł i ogłoszonym był już znacznie wcześniej a dokończenie dzieła było już zadaniem rzymskiego namiestnika.

To wszystko nie jestże dowodem oczywistym, że ci, co ośmielają się poddawać krytyce Ewangelie święte i ich podania kierują się jedynie podszeptami złego ducha? Sami wrogowie Ewangelii są nam rękojmią, jak świętemi, niewzruszonemi i niewątpliwemi są jej podania. Kto więc odważa się twierdzić, jakoby w naszych Ewangeliach coś było niepewnem lub nieprawdziwem, ten daje namacalny dowód, że w jego własnej głowie nie wszystko w porządku, podobnie jak pijak, który zawsze przekonanym jest, że on sam stoi spokojnie i tylko przedmioty otaczające kręcą się i tańcują.

Tradycye talmudyczne dotyczące sądu i skazania na śmierć Chrystusa, nie podlegają najmniejszej wątpliwości. Najzagorzalszy sceptyk musi przyznać, że jeśli kto, to właśnie Talmud posiadał w tej materyi dokumenta najdokładniejsze i najwiarogodniejsze. Z drugiej strony największy optymista nie może się nie dopatrzyć w jego zeznaniach pewnej tendencyjności. Bądź co bądź zgodność ich w punktach zasadniczych z opowiadaniem Ewangelii pozwala je uważać za cenne uzupełnienie tejże.

I tak, z dziwną szczerością objaśnia nas Talmud, kiedy to mianowicie zebrała się owa rada sądowa, kiedy miał miejsce wyrok i jak długo wyroku tego nie spełniono. Rzecz jasna, że i tutaj trzeba umieć rozróżnić prawdę od tendencyjnych komentarzy. „Ów człowiek — twierdzi Talmud — został pewnego dnia skazany na śmierć a w 40 dni później zabity. Zabicie Jego miało miejsce w pewien piątek po południu. W ciągu tych dni 40 woźny codziennie ogłaszał wyrok

w okolicy". Następuje teraz tendencyjne objaśnienie: „Woźny *(Keryx)* w tym celu czynił to ogłoszenie, aby się ktoś zjawił, coby zechciał złożyć jakieś zeznanie na korzyść zasądzonego. Lecz nikt się nie zgłosił (bo Jego grzechy wołały o pomstę do nieba) i dlatego w 40 dni później pewnego piątku ów człowiek został zabity". Nikt nie uzna tego uzasadnienia za słuszne, kto tylko zna gruntownie Talmud. Sprzeciwia się ono prawom sądowym przepisanym przez sam Talmud. Zwrócimy tylko uwagę na dwa zasadnicze punkta tejże ustawy. 1-o Gdyby w istocie szukano zeznania korzystnego dla Chrystusa a takowego nie znaleziono, to podług przepisów sądowych biblijno-talmudycznych należało Go zupełnie uwolnić; włos z głowy spaśćby Mu nie mógł a Żyd, któryby to uczynił wykroczyłby przeciw sprawiedliwości. To orzeczenie Talmudu opiera się na zdaniu Pisma św., które mówi: Jeśli ktoś został oskarżonym o zbrodnie, rada sądowa powinna roztrząsnąć wszystkie okoliczności za nim i przeciw niemu przemawiające i wtedy dopiero wydać wyrok. Na tej podstawie oświadczają uczeni talmudyczni: prawo sądowe żydowskie dozwala tylko na wyrok *per maiora* — nigdy na wyrok jednogłośny. Rada sądowa powinna przemawiać częścią za, częścią przeciw obżałowanemu, a jeżeli nikt nie odezwie się w jego obronie, jeśli sędziowie mogli mówić tylko przeciw niemu, to bezpośrednio po zasądzeniu ma nastąpić wyrok uwolnienia. 2-o Wyrok wolno odraczać, nigdy jednak na tak długi termin, lecz co najwyżej do dnia następnego. Nadto wyrok posiada moc obowiązującą tylko wówczas, gdy był ustnie ogłoszonym, poczem natychmiast ma nastąpić jego wykonanie. Sam Talmud przytacza na dowód tego wypadek, w którym syn prezydenta sądu skazanym został niewinnie na podstawie dwóch fałszywych świadectw. A choć sędziowie byli przekonani o niewinności oskarżonego i niewiarogodności świadków, przecież ze łzami w oczach kazali wyrok wykonać zaraz po jego ogłoszeniu. Nie tu miejsce i czas potemu by wytłumaczyć przyczynę tego faktu. To tylko na pewne wywnioskować z niego możemy,

że przy najlepszej woli spełnienia takiego wyroku nie było wolno odraczać na później.

Lecz w jakimże związku stoją te dwa orzeczenia Talmudu z naszem założeniem? Zaraz to wyjaśnię. Kiedy rozgłos działalności i nauki Zbawiciela począł się szerzyć po całym kraju, wówczas Faryzeusze i uczeni w Piśmie nastawili na Niego szpiegów, przez których chcieli się poinformować o Jego postępowaniu i wpływie Jego nauki. Na podstawie zeznań tychże szpiegów, doszli wkońcu do przekonania, że w Chrystusie mają wroga nieprzejednanego. Dlatego skazali Go na śmierć. Chodziło o wykonanie wyroku. Trudność niemała — bo Chrystusa nie można było pochwycić. Wyprawiono więc woźnego, który przez 40 dni miał się wywiadywać o sposób sprzątnięcia Go w tajemnicy przed ludem lub wydania Go w ręce Synagogi. W celach skrytobójczych nie można było pozyskać nawet takiego Judasza. Wnosić to można choćby ze samego samobójstwa, którego się dopuścił po zdradzeniu Zbawiciela. Prawdopodobnie nawet on nie byłby zniósł widoku krwi Jego płynącej z rany skrytobójczo zadanej. Wkońcu jednak dnia 40, w dzień piątkowy, właśnie po ogłoszeniu Chrystusa wolnym, udało się Faryzeuszom dostać Go w swe ręce i wykonać na Nim wyrok wydany poprzednio.

Prócz przytoczonych, wiele innych nader ciekawych szczegółów o owym człowieku opowiada Talmud. Tak naprzykład w traktacie *Gittin* opowiada co następuje: „Pewien badacz prawdy pragnął dowiedzieć się, która religia byłaby najprawdziwszą, aby się wpisać w poczet jej wyznawców. Za pomocą sztuk czarodziejskich wydobywa więc z piekła jednego po drugim założycieli religij pogańskich, pytając ich o prawdziwą wiarę. Ci jednogłośnie wyznają, że jedynie prawdziwą jest wiara żydowska, oraz że Żydzi są w istocie nieograniczonymi posiadaczami raju. Badacz ów pragnął jednak posłyszeć także zdanie owego człowieka[1]. Ów zaś człowiek przyznał również,

[1] Szczegół ten zdaje się wskazywać, że niniejsze podanie pochodzi jeszcze z owych czasów, gdy Żydzi nie odłączyli się jeszcze od chrześcijan nawróconych z Judaizmu.

że prawi wyznawcy religii żydowskiej należą do rej wodzących w niebie, przyczem dodał, że on sam za karę swych ciężkich zbrodni został wtrąconym na samo dno piekła, gdzie ponosić musi najokropniejsze męki odpowiadające ohydzie głoszonych przezeń błędów. Codziennie gotują go tam i smarzą w cuchnącej cieczy, której nazwę wymieniać zabrania prawo prasowe. Wkońcu oświadczywszy raz jeszcze b a d a c z o w i owemu z naciskiem, że jedyna i niefałszowana prawda mieści się w czystym Judaizmie, dorzucił, że męki, które ponosi, trwać będą do skończenia świata tj. wiecznie.

Myliłby się jednakowoż ktoby z przytoczonych dokumentów chciał wnioskować, że Talmud nie zna zgoła Zbawiciela ze strony właściwej tj. ze strony Jego działalności szczęście i zbawienie przynoszącej. Gdzieniegdzie w ukrytych zakątkach, do których nie dotarł skalpel podrabiaczy, dadzą się odszukać ślady najwyższego uwielbienia dla Chrystusa i całej Jego nauki — i to w dokumentach pochodzących z czasów najstarszych tj. z drugiej połowy pierwszego wieku.

Tak naprzykład *Midrasz* (homilia) na treny Jeremiego opowiada o pewnem świętem dziecięciu, zrodzonem w Betleem przed zburzeniem świątyni, a zesłanem z nieba po to, aby wynagrodziło światu boleść doznaną z powodu tamtej klęski. Posłuchajmy słów jego: „W dniu zburzenia Jerozolimy żydowin pewien pracował w polu daleko za miastem. Naraz wół idący w pługu zatrzymał się, przestał ciągnąć, ciska się na ziemię i poczyna boleśnie ryczeć. Żydowi zrobiło się nieswojsko. Przyzywa więc znachora, który przypadkiem znajdował się w pobliżu i pyta, coby to mogło znaczyć. ‚To zwierzę wie więcej od ciebie — objaśnił tamten — ono boleje, iż dzisiaj właśnie miasto św. Jeruzalem i świątynia Pańska została zdobyta przez nieprzyjaciół i zburzona'. Ledwie skończył, aż tu wół zrywa się z ziemi i poczyna naodwrót dawać znaki radości. Z tego, wywnioskował znów znachor, że klęska owa nie jest tak wielką, skoro Mesyasz, który miał zetrzeć z ludzi zmazę grzechową dawno się już narodził".

Wszelako najbardziej interesującym szczegółem będzie na-

stępujące zdarzenie: „Pewnego razu zachorowało śmiertelnie dziecko któregoś z wielkich żydowskich uczonych. Inny rabin, imieniem Eliezer, którego skądinąd już uważano za chrześcijanina zleczył je w imię *Iéschû* (Jezus). Ojciec dziecięcia dowiedziawszy się o tem zmartwił się na śmierć i oświadczył, że wolałby był, aby dziecko zginęło, aniżeli, żeby nad niem wzywano pomocy Jezusa".

Niezmiernie wiele światła rzucają też na naszą kwestyę orzeczenia rabinów wydane po każdej proklamacyi ze strony Apostołów. Żadnej z n o w i n e k wprowadzonych przez Pawła jak: zniesienie obrzezania i prawa pokarmów nie pominęli uczeni żydowscy milczeniem. Wszakże cała ta obustronna polemika Kościoła ze Synagogą wymaga dokładniejszych badań i należy raczej do zakresu nauk teologicznych.

Gdy Rzym został stolicą chrześcijaństwa a wiara Chrystusowa religią państwa rzymskiego, walka żydowstwa z pogańskim, światowładnym Rzymem skierowała się przeciw Rzymowi chrześcijańskiemu. I tak, czyniąc aluzyę do owego miejsca z I. Księgi Mojżesza, opowiadającego o walce dwojga dzieci w łonie matki Rebeki, których sprzeczne charaktery, podług objawienia Bożego, miały być przepowiednią bezustannej walki ich potomków o pierwszeństwo i panowanie nad światem, Talmud orzeka: „To samo dzieje się dzisiaj. J e r u z a l e m i T y r nie mogły pozostawać obok siebie. T y r pracował nad zburzeniem Jerozolimy i zakwitł na jej gruzach. Dlatego nowa Jerozolima może powstać dopiero na gruzach T y r u". Biorąc rzecz dosłownie nie miałby ten tekst żadnego sensu. Czyżby T y r był w istocie współzawodnikiem Jerozolimy? Wszakże T y r leżał w Fenicyi, i królowie obu tych krajów sąsiednich żyli zawsze ze sobą w najlepszej zgodzie. Dowodem: Salomon i Hiram. Miała wprawdzie Jerozolima nieraz i niejedno do wycierpienia od swych sąsiadów, ale nigdy od Fenicyi. Zresztą i interesa obu krajów nie mogły wieść do konfliktu. Działalność Fenicyan rozciągała się na morze — byli kupcami, podczas gdy Żydzi podówczas oddawali się uprawie roli. Dlatego też nauczyciele po *chajderach* oddają T y r przez R z y m, a Talmud imieniem tem obejmuje zarówno dawne B i z a n c y u m

jak Rzym właściwy. Lecz jakżeż to być może, aby te miasta były współzawodnikami Jerozolimy? Toć Rzym dzisiejszy powstał na lat 823 przed zburzeniem Jerozolimy i kwitnął już prawie pół wieku gdy Jerozolima legła w gruzach. Podobnie o Bizancyum świadczy Talmud, że to miasto założone zostało jeszcze za czasów Salomona; tem mniej przeto uważanem być może za miasto powstałe na gruzach Jerozolimy.

Rzecz się wyjaśnia, jeżeli przez Rzym lub Rzym-Bizancyum zechcemy uważać te miasta, o ile z biegiem czasów zostały stolicami naczelnych władz Kościoła w przeciwieństwie do Jerozolimy, w której aż do zburzenia świątyni, a więc bezpośrednio aż do założenia patryarchatu w Bizancyum a stolicy papieskiej w Rzymie, rezydowała najwyższa rada żydowska. Jeśli bowiem weźmiemy nadto pod uwagę, że Zbawiciel przepowiedział upadek Jerozolimy i zburzenie świątyni, że chrześcijanie nie chcieli pomagać Żydom ani w obronie przeciw Tytusowi r. 70, ani w latach 132—138 tj. w czasie wojen *Bar-Kochby*, że wreszcie sami Żydzi zwalali odpowiedzialność za nieszczęśliwy wynik wojen *Bar-Kochby* na chrześcijan — wówczas zrozumimy łatwo, co myśli Talmud, gdy mówi o wzniesieniu Rzymu na gruzach Jerozolimy, o niemożności wspólnej egzystencyi Jerozolimy i Rzymu, wkońcu o konieczności zburzenia Rzymu, aby na gruzach jego nowa zakwitnąć mogła Jerozolima. To wszystko nic innego nie oznacza, jak tylko walkę Judaizmu z Kościołem, zwłaszcza rzymsko-katolickim.

Można zatem uważać za rzecz stwierdzoną, iż najstarsze pobiblijne źródła znają Chrystusa jako osobę żyjącą i jako taką po większej części czcią Go otaczają, oraz że najdawniejsze żydowskie dokumenty kryją w sobie cenne podania dotyczące skazania na śmierć i męki Zbawiciela, które w zupełności potwierdzają opowiadanie Ewangelij świętych.

Stanisław Tillinger.

PROF. BRÜCKNER O WACŁAWIE POTOCKIM.

(Dokończenie).

Część II. pracy prof. Brücknera zajmuje się dwoma olbrzymiemi zbiorami fraszek i przypowieści. Obydwa pozostają dotąd w rękopisie; pierwszego tytuł: „Ogród niewyplewiony“, drugiego: „Moralia“.

Fraszek pisano u nas całe mnóstwo od Reja i Kochanowskiego począwszy. Oprócz silenia się na humor, jest w nich także nieraz i refleksya, jest i uczucie, szczególnie erotyczne. Choć oddzielimy z nich znaczną liczbę obcego, cudzoziemskiego pochodzenia, pozostanie zawsze jeszcze dość wiele typowych i charakterystycznych, niejednokrotnie wcale dobrze ówczesne życie i wyobrażenia ilustrujących. Czy jednak to upodobanie w tworzeniu rzeczy lekkich i urywanych było dodatnim objawem wieku — tego nie śmiałbym przesądzać. Oceniając z analogii czasów, kiedy podobny rodzaj poezyi kwitł w innych literaturach, skłaniałbym się raczej ku przeciwnemu twierdzeniu,

Potocki poszedł również tak silnie utartym śladem. Rękopis Załuskich, obecnie petersburski, przechował nam niemal w całości jego imponujących rozmiarów „Ogród niewyplewiony“. Pięć w nim oddzielnych części, zapełniających nie mniej nie więcej jak około 1.100 stronic manuskryptu! Jakaż to istna kopalnia tych „żartów“ czyli „figlików“! Pewną ich ilość znaliśmy już od dawna z *Iovialitates* (Cz. I. i II.), wydanych w r. 1747 może przez Załuskiego (??), lecz nader błędnie, i z innego nieznanego

rękopisu, gdyż zbiorów było więcej i dzisiaj jeszcze po naszych bibliotekach mamy ich kilka, choć nie tak kompletnych, jak ów petersburski. Pewna też ilość fraszek weszła w skład „Wetów Parnaskich“, przechowanych w rękopisie biblioteki Jagiellońskiej i drukowanych częściowo w wydaniu warszawskiem (str. 415—458). Z liczby ich jednak prof. Brückner wyłącza początkowe (po str. 426) i końcowe (od str. 454), jako nie pochodzące z pod pióra Potockiego. Co się tyczy pierwszych, to zgodziłbym się może z szan. autorem, choć formy wierszy krótkich używał Potocki dość często (ob. np. ośmiozgłoskowe w *Iovialitatès:* „Polak we Włoszech“, „Do melancholika“, „Sprawa z kapitułą“ i t. d. i t. d.), ale co do końcowych, to muszę mu odmówić wszelkiej w tym względzie słuszności. Sprzeciwia się temu stanowczo tak aż nadto wyraźna treść dwu fraszek: „Podczaszym poeta“ i „Urząd podczaszego“, jako też i okoliczność, że niemal one wszystkie znajdują się w *Iovialitates* (np. „O Matuszu“ str. 22, „Kwestye z odpowiedzią“ str. 221) i rękopisie bibl. Ossolińskich nr. 889 (k. 14, 34 i 35).

Części pierwsze „Ogrodu niewyplewionego“ powstały jeszcze w wieku dojrzałym poety, ostatnia, piąta już w latach zgrzybiałych. Tematy tam poruszone, ciekawsze i poważniejsze, po największej części powtórzył Potocki na swój sposób, nierzadko kilkakrotnie i uzasadnił obszerniej w „Moraliach“. Ujęto je tutaj tylko z odmiennego stanowiska. W „Moraliach“ ton poważny i satyryczny, we „Fraszkach“ silono się przeciwnie na wywołanie wrażenia komicznego, lecz prawie zawsze bez skutku. Do tego zabrakło Potockiemu wszelkich warunków — dowcipu, lekkiej ironii i równie lekkiej formy wiersza. Autor pozostał tu samym sobą, mimo dobitnych wyrażeń, niemal wszędzie ciężkim i niezgrabnym. Prof. Brückner pomija jednak tę kwestyę, a natomiast zajmuje się wyłącznie samą treścią, porządkuje, o ile można, rozprószone szczegóły i podziwia różnorodność i trafność tych „anegdot historycznych i obyczajowych, nowelek, facecyj i figlów, zdarzeń prawdziwych i zmyślonych, własnych i obcych“,— zupełnie w myśl najnowszych historyków kultury i cywilizacyi, choć przy innych utworach zajął inne stanowisko i nie zapo-

mniał swego sądu przynajmniej w krótkości zaznaczyć. Niechżeż i tak będzie, ale wówczas, aby obraz nie wypadł jednostronnie, wypadało, pominąwszy inne szczegóły, zaznaczyć także dobitnie i podkreślić, że lwia część tych fraszek obraca się koło jedzenia i picia, także w myśl ówczesnych ludzi i w zupełnej zgodzie z otoczeniem poety, od którego on widocznie nie odbiegł daleko, skoro tak szczerze i serdecznie zajął się tem, co wówczas dla każdego niemal stanowiło najważniejszą przynętę.

Jest jeszcze ponadto i inny odcień „Fraszkom“ właściwy, którego szan. autor zbyt lekko, mojem zdaniem, dotknął. Ilustruje go wybornie II. część *Iovialitates*, za czasów saskich drukowana. Proszę sobie wyobrazić stek najtrywialniejszych, najordynarniejszych i najbardziej plugawych słów i konceptów, a będziemy mieli wyobrażenie o treści niemal tych wszystkich „fraszek“, jakie tam zapełniają 84 stron druku. Prawdziwie straszny to objaw iście barbarzyńskiej rubaszności i braku szlachetniejszych zajęć w życiu codziennem, charakteryzujący nader wyraźnie i jaskrawo społeczeństwo szlacheckie z końca XVII. wieku, wraz z samym Potockim! Wniosek nasuwał się tu sam przez się, wniosek oświetlający ujemnie zbiór fraszek i ich autora, a przecież prof. Brückner zdaje się inaczej na tę sprawę zapatrywać, skoro wspomina o tem tylko mimochodem, jakby o czemś do charakterystyki poety i jego wyobrażeń bardzo mało odnoszącem się, i nie przestaje nawet „liczyć“, że „Ogród niewyplewiony“ kiedyś drukiem ogłoszą. Nie przypuszczamy, aby to wnet nastąpić miało, lecz sądzimy przeciwnie, bez zajmowania stanowiska jakiegoś purytanina, że nawet wiek XX. zrezygnuje z przyjemności rozpowszechniania równie niedowcipnych jak plugawych elukubracyj, pozostawiając i nadal jedynie historykom literatury, by z podobnych okazów wysnuli wniosek o stopniu i zakresie wykształcenia, moralności, tudzież zajęć pisarza i tej warstwy społeczeństwa, której ma być przedstawicielem.

Za pierwszy zawiązek „Moraliów“ uważa prof. Brückner: „Zebranie przypowieści i przysłowia *(sic)* polskich“, przechowane w rękopisie bibl. Ossol. nr. 2076. W rzeczywistości nagłówek naprowadzałby na podobny wniosek, choć zresztą treść sama

pozostaje tylko w nader luźnym związku z późniejszemi „Moraliami“. Jest to bowiem właściwie jakby chaotyczna mitologia bogów i półbogów greckich i rzymskich ze wstępem w guście wyobrażeń XVII. wieku (Zły anioł strącony z nieba namnożył tyle pogańskich bałwanów!), z małą domieszką zdarzeń i aluzyj do stosunków czysto polskich i z wywodami etymologicznemi *a la* Dembołęcki (np. k. 6 rkp. Ossol.: centurzyn czyli nasz niewinny środek domowy — centurya od centaura Chirona, znającego się znakomicie na ziołach lekarskich). Bądź jak bądź pracę tę, poczętą w sam dzień elekcyi króla Michała r. 1669, przerwał wnet Potocki i dopiero w 20 lat później podjął się innej, nierównie obszerniejszej, opartej o *Adagia* Erazma Roterdamczyka. W niej nie chodziło mu już o mity, lecz o przypowieści i przysłowia, „które widocznie jako wyskok wiekowej mądrości nadzwyczaj cenił“. Na podstawie jakiegoś zdania lub sentencyi snuł Potocki w nieskończoność myśli i wycieczki przeciw współczesnym stosunkom polskim, nie potrzebując się wcale krępować względami na jakąś lepszą kompozycyę wobec luźnej już z założenia formy „Moraliów“. Że zaś swoim zwyczajem nie unikał ciągłego powtarzania się, lecz owszem przeciwnie popadał w gadatliwość jako podeszły wiekiem starzec, przeto zbiór cały urósł do równie wielkich rozmiarów jak poprzedni, bo do nowych 1000 stron manuskryptu i 40.000 wierszy z okładem.

Bogactwo materyału, do skreślenia życia i stosunków społecznych z końca XVII. wieku, jest tu w istocie nieprzebrane. I w „Poczcie“ i we „Fraszkach“ znajdujemy również wielką obfitość podobnych szczegółów, tu jednak niemal wszystko tam poruszone opowiedziano jeszcze szerzej i dokładniej. Prof. Brückner, zapatrzony też w treść, obsypuje utwór wielkiemi pochwałami i posuwa się nawet do twierdzenia, że chwilami wydaje się nam, jakobyśmy mieli tu do czynienia nie ze zwierzeniami karmazyna-szlachcica, ale radykała-emisaryusza z lat czterdziestych naszego wieku. Nie ulega wątpliwości, że z biegiem lat i wśród namacalnych złych skutków anarchii społecznej odbyła się w duszy Potockiego, zamkniętego w swem zaciszu wiejskiem, zmiana na korzyść, że zapatrywania jego do pewnego stopnia

wyszlachetniały pod wpływem smutku i przygnębienia, jakiem napełnić się musiał umysł każdego uczciwszego Polaka wobec tego, co widział i na co patrzeć był zmuszony — lecz z tem wszystkiem w niejednem nie mógłbym przyznać słuszności szan. autorowi i na podstawie licznych wyjątków z „Moraliów“ tak tu obecnie jak już poprzednio w *Bibliotece Warszawskiej* i *Ateneum* przez niego samego przytoczonych, tudzież na podstawie znajomości dzieł innych Potockiego, mnie w całości lub znacznej części przystępnych, muszę utrzymywać, iż obraz przez prof. Brücknera, przed nami rozpostarty, grzeszy stanowczo przesadą i uchwyceniem z jednostronnego punktu widzenia. To dziwne poniekąd dla mnie stanowisko szan. autora tłumaczę sobie częściowo olśnieniem przez nowo odkryte zjawisko i niezwróceniem uwagi na okoliczności uboczne, w odmiennem świetle niejeden motyw Potockiego nam okazujące. Niepodobna mi tu iść krok w krok za wszystkiemi twierdzeniami szan. autora; wystarczy niewątpliwie i posłuży za uzasadnienie słów moich, gdy pomijając już całkowicie formę utworu, poruszę kwestye najważniejsze i najbardziej charakterystyczne.

Bodaj czy nie największem polem do satyrycznych wycieczek i złośliwych uwag przedstawia dla Potockiego polskie duchowieństwo. Jezuitów pozostawia jeszcze we względnym spokoju, występując przeciw nim stosunkowo nader rzadko (por. „Wety Parnaskie“ str. 435 i kilka innych miejsc). O wiele ostrzej i częściej walczy z wszystkiemi innemi zakonami (prócz Reformatów), ale już najwięcej używa sobie na duchowieństwie świeckiem, zarzucając mu co chwila nieuctwo, niemoralność, pijaństwo, zachłanność, skłonność do zbytków, obłudę i fanatyzm. Są to więc zarzuty najcięższe, jakie wyobrazić sobie można, a czyni je Potocki bezustannie, z pewną zajadłością, upodobaniem i w większej mierze, niż szlachcie współczesnej, choć ta lepszą z pewnością nie była. Prof. Brückner widzi w tem dowód wyższości umysłu ponad poziom współczesny, ja jednak, po głębszej rozwadze i wejrzeniu w treść odnośnych ustępów, musiałem przyjść do przekonania, iż tu właśnie w niejednym wypadku nie

obeszło się bez pobudek, mających źródło w osobistem podrażnieniu poety.

Bezsprzecznie duchowieństwo ówczesne wychodziło z łona społeczeństwa je otaczającego i zostawało pod bezpośrednim jego wpływem; że zaś to społeczeństwo samo było w rozkładzie, więc i księża niejednokrotnie nie spełniali obowiązków i popadali w zacietrzewienie niezgodne z istotą religii chrześcijańskiej. Że jednak sama nauka Chrystusa, której byli przedstawicielami, oddziaływała na nich, w rzeczach świeckich przynajmniej, do pewnego stopnia łagodząco i że dlatego tu jeszcze stosunkowo było najwięcej jednostek szlachetniejszych i mniej dzikich i anarchicznych, — tego uczą fakta, żadnej wątpliwości nie ulegające. Nie zapominajmy przecież, iż w czasach, które bezpośrednio potem nastąpiły, w chwilach prawdziwego upadku, oni w przeważnej części sami jako tako jeszcze podtrzymują oświatę i literaturę, nie zapominajmy dalej, że od nich to głównie wyszedł prąd do odrodzenia i że najważniejsi tego odrodzenia przedstawiciele zaliczali się właśnie do stanu duchownego. A zatem przynajmniej nie byli gorszymi od innych. Jeśli zaś tak jest, to skądżeż u Potockiego biorą się tak namiętne i specyalnie przeciw księżom skierowane wycieczki? Odpowiadałem sobie początkowo: bo ich uważał za stojących na świeczniku wszelkiej prawdy i miłości, więc i żądał od nich więcej, niż od innych, — było to jednak zapatrywanie mylne, jak się wnet przekonałem.

Przypatrzywszy się dokładniej skargom Potockiego na księży, spostrzegamy wkrótce, że stają się one wtedy najgwałtowniejszemi, gdy chodzi o posiadanie ziemi, dziesięciny lub nawracanie na wiarę katolicką. Oczywiście fakt ten daje nam wiele do myślenia.

„Trzy części księża Twojej posiedli Korony“, woła z przesadą Potocki („Fraszki“ III, 147), „z nędznej czwartej, gdzie się również tak gęsto przewijają, że nam ledwie wolne miejsce zostaje, musimy ich naszą krwią i naszym groszem bronić“. Chodzi tu zatem o nabywanie włości szlacheckich, o co jeszcze i na kilku innych miejscach pomawia Potocki duchowieństwo

polskie. Skarg na wybieranie dziesięciny, liczenie i wybieranie kóp lepszych a pozostawianie gorszych, spotykamy naturalnie jeszcze więcej. Zjawisko wprawdzie nie nowe, skarżyli się na to i inni wioskowi ziemi posiadacze, lecz żaden z nich nie przemawia tak gwałtownie i namiętnie, jak Potocki, który widocznie o dziesięciny musiał prowadzić niejedną zaciętą walkę z plebanem swej wioski, Łużny. Sam prof. Brückner nie chce tu zapoznawać osobistego interesu szlachcica, który, jak wiemy z nader sumiennej pracy prof. Czubka, dorabiał się powoli większego majątku, grosz zawsze szanował i nigdy nie opływał weń zbytnio, siedząc na wsi wprawdzie rozległej, lecz nieurodzajnej, podgórskiej.

O wiele ważniejszym jest jeszcze inny powód. Oto, jak wiemy, skutkiem konstytucyi sejmowej z r. 1658 musiał Potocki porzucić wyznanie aryańskie i przejść na łono Kościoła katolickiego, aby uniknąć wygnania i utraty majątku. Jakkolwiek na tę sprawę zapatrywać się będziemy, to pewna, że nawrócenie było za nagłe i zanadto groźbą wygnania i konfiskaty spowodowane, by mogło być w zupełności szczerem i nie zostawiło niechęci i rozterki w duszy poety. Obok też zapewnień, że jest katolikiem, obok wycieczek przeciw heretykom i wyłącznemu opieraniu się na rozumie w rzeczach wiary znajdujemy także protestancką dążność do wyłącznego niemal akceptowania Biblii, znajdujemy i ustępy wymierzone przeciw dogmatom katolickim, np. poczytywaniu papieża za namiestnika Bożego lub uznawaniu świętych. W innych znowu miejscach przedstawia zmyśloną dysputę między katolikiem a lutrem, daje w niej z rozmysłu przewagę drugiemu i gdy wreszcie katolikowi braknie już argumentów, każe przerwać rozmowę i odsyła lutra po dowody do OO. Jezuitów w Krakowie! Wynika stąd, że przecież, mimo zapewnień, nawrócenie Potockiego nie było szczerem; chyba bowiem do rzeczy, które go „raziły“, nie można w owych czasach przykładać miary przejętej z wieku XIX-go, jak to prof. Brückner zdaje się czynić w swojem przedstawieniu. Jeżeli zaś tak jest, to wówczas w innem świetle ukaże się pismo wuja poety, Przypkowskiego, zarzucającego siostrzeńcowi wręcz, że dla miłych widoków materyalnych odstąpił wiary, długi czas przez siebie

gorąco wyznawanej. Odpowiedział na to Potocki (*Iovialitates*, Cz. II, str. 9—12), iż w istocie „nie będąc teologiem“ i „nie umiejąc dyskursów tyle“ nie chciał „stradać doczesnej ojczyzny“. Czyż to nie widoczny utylitaryzm? Czyż wobec tego, że go tak wiele raziło w Kościele katolickim, nie musimy przenieść ponad niego tych, co woleli opuścić ojczyznę, niż nieszczerze postępować? Dodajmy, że, jak znowu wiemy z nieocenionej w szczegółach pracy p. Czubka (str. 252 nstp.), Potocki miał niejedną przykrość z powodu żony, w aryanizmie i nadal trwającej, a zrozumimy, iż wobec tego wszystkiego zebrało się w nim zbyt wiele motywów niechęci do duchowieństwa katolickiego, aby sąd jego mógł być bezstronnym i zupełnie wiarogodnym. Przez to oczywiście nie zaprzeczam jeszcze Potockiemu słuszności pod niejednym względem, — mnie chodziło raczej o dowód, że on, jako pisarz, w tych właśnie sprawach używał barw zanadto przyćmionych, i że, jako człowiek, nie odznaczał się niezłomnym charakterem.

Również i stosunek Potockiego do kwestyj społecznych nie jest tak idealnym, jak go nam prof. Brückner przedstawił. W „Moraliach“, u schyłku żywota pisanych i w rękopisie troskliwie przechowywanych, uderza poeta dość stanowczo na nierząd, korupcyę ogólną i nadużywanie wolności, okazując w ten sposób usposobienie od zapatrywań przeciętnego ogółu wielce na korzyść wyróżniające się. Nie tak było jednak za lat dojrzałych! Wszystkie owe ustępy w „Moraliach“ znajdują się w dyametralnem przeciwieństwie do takiej np. przedmowy w „Wojnie chocimskiej“, gdzie nie ma dość słów pochwały dla polskich instytucyj i wolności, gdzie nie oszczędzono nawet Stefana Batorego, widząc w królach obcego pochodzenia jedyne źródło wszelkiego nieszczęścia. Niewątpliwie ciekawa to i interesująca ewolucya wyobrażeń! Przyszła ona niezawodnie dopiero z wiekiem i ułożeniem się namiętności, skoro jeszcze po wojnach szwedzkich, kozackich, moskiewskich i wyniszczeniu całej Polski nastąpiła przecież „Przemowa do wojny chocimskiej“. Bodźcem bezpośrednim było zapewnie najechanie i ograbienie Łużny przez niepłatne wojsko zaciężne, o którem poeta kilkakrotnie z obu-

rzeniem wspomina. Potocki był zbyt zabiegliwym gospodarzem, by nie miał boleśnie odczuć tej dotkliwej straty materyalnej. Bądź jak bądź nie nazwałbym go poprzednikiem naszych wielkich reformatorów z XVIII. wieku, gdy tamci mieli odwagę wystąpić publicznie z swemi poglądami, a Potocki ukrył je głęboko w rękopisie, którego, zdaniem samego prof. Brücknera (str. 56), do druku wcale nie przeznaczał. Również i program jego jest zbyt dorywczy i nadto kastowy. Ponad sferę szlachecką nie wznosi się prawie o piędź, horyzontem nie przekracza granic Rzplitej [1]. Narody cudzoziemskie, prócz protestanckich Holendrów, lekceważy i wyśmiewa, szlachcicami nobilitowanymi pomiata i cieszy się z ich poniżania przez innych (ob. wyjątki z „Moraliów“ w *Bibl. Warsz.* 1896, IV, str. 1. nstp.). Domaga się nawet kilkakrotnie ekskluzywności stanu szlacheckiego a mieszczanami gardzi i uderza gwałtownie na to, gdy który z nich wciśnie się między szlachtę. Nawet sąsiadowi szlachcicowi nie może darować, że wino w Węgrzech kupione chciał znajomym sprzedawać (*Iovialitates* 166). Wreszcie i wychwalone ponad miarę cytaty, stosunku z chłopami dotyczące (str. 90 i 91), dowodzą jedynie, że Potocki nie chciał być tylko takim okrutnikiem, jak inni. Nie zabijać chłopa, nie okładać go tysiącem kijów, bo „wystarczy dwieście“, dać mu wytchnienie przynajmniej w niedzielę, bo i wołu tego nie zaprzeczamy — oto właściwa treść owych ustępów i to chętnie przyznajemy. Że jednak zresztą ówczesny stosunek poddanego do pana uważał Potocki za zupełnie naturalny, dowodzi niejedno inne miejsce, a zwłaszcza kazanie, włożone w usta księdza (*Iovialitates* 146 nstp.), w którem sumiennego chłopa przyrównano do konia, „składającego się zawsze“ na kolana, ilekroć „osiadał“ go cesarz Juliusz. Z tem przekonaniem zrósł się tak poeta, że jako dowcip przytacza, gdy on sam kucharza za zbyteczną gadatliwość poczęstował „kańczugiem po szyi“ (*Ateneum* 1896, IV, str. 6), i gdy inni innych poddanych za podobne przewinienia „pomacali“ kijem lub obu-

[1] Na schyłku XVII. wieku nie chce Potocki mimo wszystko uwierzyć, że „antypodzi mogą być do nas piętami zwróceni“ („Wojna chocimska“, str. 317 i na innych miejscach).

chem po ziobrze. Nie odbiega to wcale od „Wojny chocimskiej“„ gdzie (str. 76) „chłop nałożony cepom, pługu, bronie“ i gdzie owo klasyczne, homerowskie porównanie (str. 353):

Tak chłop, kiedy trzysta plag kijmi weźmie w udy,
Nie wskok się z miejsca porwie, ale jako dudy
Obwiśnie i trzeba go podnosić pod pachy.

* * *

Jesteśmy u kresu pracy prof. Brücknera, którą z powodu obfitej lecz niejednolitej treści nazwałbym raczej: *Analecta critica* do charakterystyki Wacława Potockiego i dziejów piśmiennictwa polskiego z XVII. stulecia. Nieco tylko dokładniejsza recenzya musiała urość do rozmiarów osobnego artykułu, gdyż w krótszych ramach nie można ogarnąć tego dzieła wielkiej erudycyi, zawierającego taką obfitość nowych całkiem poglądów i nieznanych dotąd szczegółów. Wypełniła się teraz postać Wacława i nabrała nierównie wyraźniejszych kształtów. Zapatrzony w nią szan. autor zapomniał o tem, że w miarę jak roztaczał przed nami coraz wyrazistszy obraz, stawało się również coraz pewniejszem, iż nieprzeliczone utwory tłumacza *Argenidy* są nowym dowodem upadku wszelkiej szlachetniejszej formy pod koniec naszego barokowego okresu. W odniesieniu do Potockiego nie było to jeszcze pewnem po ogłoszeniu „Wojny chocimskiej“,— dzisiaj po „Spuściźnie rękopiśmiennej“ nie ulega już, mem zdaniem, żadnej wątpliwości. Potocki przypomina nam w tym względzie Klonowicza, pisarza w każdym wypadku wznoszącego się ponad przeciętną miarę, który jednak byłby lepiej zrobił, gdyby przynajmniej część utworów ogłosił był prozą, a nie wierszem.

Prof. Brückner, jak wszyscy lingwiści, o formę literacką niewiele się troszczy; pod wpływem też bogatej treści świeżo przez siebie odkrytego materyału pomija jego ciemne strony, widzi wszędzie same szlachetne pobudki i w rezultacie dochodzi do przesadnej charakterystyki, która każe mu nawet zaprzeczyć wartości typom zupełnie odrębnym, „znajdującym się w podręcznikach“ i uświęconym długoletnią tradycyą. Wspominaliśmy o tem już poprzednio; tu więc na zakończenie niech

paralela choćby z „takim“ Zimorowiczem posłuży za dowód, że *et hoc faciendum et illud non omittendum.*

O Potockim, jako człowieku i czynnym obywatelu, niewiele mamy do powiedzenia. Szlachcic małopolski, Śreniawita, dość zamożny, miał przed sobą otwarte pole do wszystkich obywatelskich zajęć, jakichby się jąć pragnął. Jak jednak w młodości, skutkiem obawy przed katolickim kierunkiem ówczesnej akademii krakowskiej, poprzestał na domowem, aryańskiem wychowaniu i nie wyjrzał poza granicę kraju, tak i później, po krótkiej żołnierce, osiadł spokojnie w Łużnej, powiększał powoli fortunę i, wyjąwszy czasy napadu szwedzkiego, nie wychylał się daleko poza obręb rodzinnej wioski, jeżdżąc tylko głównie na sejmiki do Proszowic. Życie płynęło mu jednostajnym biegiem wśród gospodarstwa, zajęć literackich, a także — nie waham się tego utrzymywać — wśród używania darów Bożych i rubasznej pogawędki; dowodem tego mnogość kulinarnych porównań w jego utworach, na co już p. Chlebowski zwrócił słusznie uwagę (*Ateneum* 1882, II, str. 469), dowodem i „Fraszki“, nietylko ślizkie lecz i trywialne. Tragicznym wypadkiem w jego życiu tylko strata dzieci, najbardziej interesującym porzucenie aryanizmu, podyktowane koniecznością.

Czynność literacka nader rozległa, niektóre utwory w istocie ogromem zdumiewające; ma bowiem do siebie literatura nasza XVII. wieku, że od czasów Twardowskiego rośnie wzdłuż i wszerz a maleje w głąb. Było to naturalnym skutkiem tego, że nie potrzeba już było wiele oglądać się na formę i kompozycyę, było wynikiem kierunku rodzimego, który nie zważał na stopień wykształcenia, zrywał łączność ze współczesną literaturą zagraniczną i żył co najwyżej dziełami u innych narodów już przestarzałemi, albo tradycyą klasyczną, o wiele mniej doborową, niż poprzednio. Potocki *par excellence* jest dzieckiem tego kierunku. Dróg nowych wcale nie szuka; do tego był zanadto samoukiem, który niewielkie pierwotne wykształcenie tylko powoli, własną pracą mozolnie rozszerzał. On przyjmuje jedynie to, co widzi naokół siebie i pozostaje pod widocznym wpływem Twardowskiego, którego wielce ceni i poważa. Najbardziej jednak zbliżonym jest

do Kochowskiego, z którym go łączy nietylko sympatya i szacunek, ale także prawie całkowita wspólność równych działów poezyi. Poematy religijne (z pewnym różnym odcieniem), epika historyczna, powieść współczesna i fraszki, — oto pola, na których obydwaj pracują. Tu są jeszcze tylko „Moralia“, a tam za to głośne „Klimaktery“. Gdybyśmy więc nawet nie mieli Potockiego, to nie licząc innych, pozostałby jeszcze Kochowski, typ o odmiennych wprawdzie zapatrywaniach religijnych, ale zresztą zupełnie podobny, z tej samej Małopolski i z tego samego stanu szlacheckiego. Szczegół to ważny, który uszedł uwagi szan. autora. A czy o Zimorowiczu możnaby także to samo powiedzieć?

Pierwotnie ubogi stosunkowo przedmieszczanin z prowincyi o odrębnym charakterze, który spolonizowawszy się do pewnego stopnia, poczyna wstępnym bojem dobijać się współdziedzictwa w naszej literaturze, rzuca się na pole, w ówczesnych stosunkach jedynie mu otworem stojące, własną przeważnie pracą i zabiegliwością dorabia się fortuny i godności, i staje wraz z innymi na czele rządów jednego z najważniejszych miast w całej Polsce. Nieszczęścia i anarchię ojczyzny odczuwa w nierównie dotkliwszej mierze niż Potocki. Wojny kozackie i spór z szlachcicem, zakończony niesprawiedliwym wyrokiem, przyprawiają go o stratę niemal całej fortuny. Ani tem jednak, ani stratą wszystkich prawie dzieci nie złamany, jako wierny od dzieciństwa katolik, szuka ukojenia w Bogu i nie przestając brać czynnego udziału w życiu publicznem broni rodzinnego miasta przed nawałą turecko-tatarską i wśród ogólnego zwątpienia ratuje je od anarchii. Bez niego Lwów byłby stał się choćby na chwilę kupą gruzów, a ten Lwów nie był Łużną podkarpacką, lecz niemałem ogniskiem handlowem i stolicą Czerwonej Rusi! Czyż ma Potocki równie piękną kartę w życiu?

Samouctwem niemal i późniejszem dopiero mozolnem rozszerzaniem wiedzy podobny do Potockiego, różni się od niego prawdopodobnie o wiele znaczniejszą świadomością języka łacińskiego. Łacina jego posiada wszystkie cechy rozwielmożniającego się coraz bardziej baroku, ale włada nią Zimorowicz nader

biegle. Czynność literacka o wiele szczuplejsza, bo też on pamięta jeszcze czasy, w których utworów nie mierzono na objętość. Forma u niego wprawdzie niedoskonała, lecz niejednokrotnie jeszcze niebrzydka i pociągająca, a staranność o kompozycyę widoczna. Gdzież są w dziełach Potockiego miejsca tak rzewne i podniosłe, jak w kolędach *Iesus, Maria, Ioseph* lub niektórych „Hymnach“ na Bogarodzicę, gdzież tak starannie wykończone jak w „Roksolankach“? Nawet tragiczność „Burdy ruskiej“ i „Kozaczyzny“ w „Sielankach“ idzie w parze z większym artyzmem, niż w analogicznych miejscach „Wojny chocimskiej“ lub „Moraliów“.

Formą różni, zbliżają się do siebie, co się tyczy treści, tylko w tem, że obaj tworzą poematy religijne i panegiryki wyłącznie szlachetniejszego pokroju. Zresztą późniejszy mieszczanin lwowski obraca się na zupełnie odmiennych polach. Zaczyna erotyką, przechodzi kolejno do lekkiej satyry, paszkwilu na protestantów, panegiryku religijnego i sielanki, zaaklimatyzowanej szczególnie we Lwowie i bądź co bądź znamienną rolę w naszej literaturze odgrywającej, a kończy utworami historycznemi, na których długi czas opierały się nasze wiadomości o cywilizacyjno-handlowem ognisku Czerwonej Rusi. Czyż jest zatem w polskiej literaturze druga podobna postać mieszczańska? A jeśli jej niema, jeśli to typ odmienny od innych w XVII. stuleciu, to wówczas należało się nim zająć koniecznie przy stosunkowo nierozległej naszej cywilizacyi i niepierwszorzędnej naszej literaturze, — a to nawet zupełnie w myśl nowego kierunku historyczno-literackiego.

Dr. Korneli Juliusz Heck.

JAN III. WAZA I MISSYA POSSEWINA.

(Ciąg dalszy).

Król Jan nie poprzestał na Possewinie i utrzymywał w Rzymie ciągle swoich agentów. Wiosną r. 1578 bawił w wiecznem mieście szwedzki *capitaneus* Lorenzo Cagnolo, a gdy ten wrócił (z końcem lipca już go w Rzymie nie było), zaraz wyręczył go Wawrzyniec Magnus, który już z końcem października (a może i wcześniej) stawił się w Kuryi[1]. Król obawiał się, żeby go Possewin nie przedstawił w Rzymie, jako katolika-papistę bez zastrzeżeń; miał też Possewina w podejrzeniu, że nie życzy sobie, żeby papież udzielił Szwecyi dyspenz, że papież gotów to uczynić, ale Possewin przedstawi to, jako niepotrzebne.

W Rzymie zajmowano się ciągle sprawą Kościoła szwedzkiego. Papież wysadził osobną komisyę z kardynałów do rozpatrzenia się w żądaniach królewskich. Cagnolo przywiózł tych żądań dwanaście. Były pomiędzy niemi takie, na które sobie król mógł był sam dać śmiało dyspenzę: żeby biskupi oskarżeni o zdradę stanu podlegali sądownictwu świeckiemu, żeby składali królowi przysięgę wierności — to było we wszystkich państwach katolickich. Nie trzeba było wielu dyplomatycznych zachodów, żeby klasztor pofranciszkański w Stokholmie użyć na katolickie kolegium szkolne, ani też, żeby ciało Gustawa Wazy pozostawić spokojnie w kościele, gdzie je złożono; nikt nie byłby żądał, żeby je wyrzucono z grobu! Nie stanowiło trudności żądanie,

[1] Theiner II, *Urkunden* nr, XXXIII, XLVIII, XLIX.

żeby rozdrapane za Gustawa Wazy dobra kościelne pozostały w ręku rodzin niemi obdarzonych; to już przepadło i nie dało się odrobić bez przewrotu ekonomicznego w kraju; wiedziano o tem w Rzymie dobrze. Te wszystkie punkty robią wrażenie, jakby zapytywano Rzym tylko przez grzeczność. Obok nich są znane trzy żądania: kielicha, języka narodowego i zniesienia celibatu, ale nadto znajdujemy dwa żądania nowe: żeby wolno było bywać na nabożeństwach luterskich i jeden punkt, świadczący dziwnie o „nawróceniu“ królewskiem. Prosił, żeby wolno było „katolickim księżom“ opuszczać przy mszy św. wezwania świętych i *memento* za umarłych, a jeżeli już opuszczać nie można, więc żeby przynajmniej nie odmawiali tego głośno (jakie to charakterystyczne!); nadto nie podobała mu się woda święcona. Wszystkie te żądania pomieszane są w chaotycznym układzie, jak wszystko, co w sprawach religii wychodziło ze Szwecyi; sprawa klasztoru franciszkańskiego traktowana na równi z artykułem dogmatycznym. Komisya wygotowała uczone memoryały i wywody teologiczne, motywując, dlaczego należy odrzucić z królewskich żądań: kielich, język narodowy, udział w nabożeństwach luterskich, zniesienie celibatu i wzywania świętych, modłów za umarłych i używania święconej wody. Na inne żądania komisya oczywiście przystała.

Elaborat komisyi był gotów w lipcu 1578 r., kiedy Possewin bawił już w Pradze. Cagnolo zawiózł go do Szwecyi. Przez ten czas Possewin jeździł równać polityczne ścieżki królowi szwedzkiemu. Nie mógł oczywiście wdawać się w dyplomatyczne sprawy bez zezwolenia Kuryi i choć inicyatywa do przyjęcia tego pośrednictwa wyszła od niego, samo pośredniczenie miało i mieć musiało na sobie piętno półurzędowej przynajmniej akcyi Stolicy Apostolskiej. Grzegorz XIII. był poinformowany przez kardynała Como, któremu Possewin posyłał bardzo obszerne relacye i o zdanie zapytywał, otrzymując od niego ciągle zlecenia, które były wynikiem narad w Kuryi. Zarzucano Possewinowi brak pokory zakonnej, ale nikt mu nie zarzucił braku posłuszeństwa i karności. Niema też w źródłach żadnego powodu do przypuszczenia, żeby wysłaniec papieski działał był na własną rękę. Dy-

plomatyczna missya Possewina, przedsięwzięta w Polsce i w Niemczech latem roku 1578, musi tedy być uważaną, jako uczynność Kuryi rzymskiej względem Jana Wazy, jako dowód, że Grzegorz XIII. jak najlepiej życzył królowi szwedzkiemu, szczerze się zajął jego kłopotami i w czem tylko mógł, pragnął mu dopomódz. Ta uczynność Kuryi tem bardziej zasługuje na podniesienie, że w Rzymie nie patrzano na sprawę nawrócenia króla tak różowo, jak Possewin, bo w Kuryi wiedziano lepiej od Possewina, co o tem sądzić, mając do czynienia co dopiero z missyą Cagnolego, o której punktach Kuryi przedstawionych Possewin na razie nawet — nie wiedział.

Najpierw pojechał Possewin do Warszawy i Krakowa, ażeby się zobaczyć z Anną Jagiellonką i z nuncyuszem (z Batorym samym nie widział się w tej podróży). Umawiał się o nieporozumienia szwedzko-polskie o Inflanty, powstałe jeszcze za Zygmunta Augusta. Owocem narad był projekt, żeby to zdać na sąd rozjemczy Grzegorza XIII. Batory zamierzał właśnie wyprawić do Rzymu z obedyencyą posła, którym miał być Paweł Uchański, synowiec prymasa. Dla rozmaitych przygodnych okoliczności, niemających politycznego znaczenia, Uchański stawił się przed papieżem dopiero w kwietniu 1579 r., kiedy Possewin powtórnie już w Polsce bawił, a stosunki polsko-szwedzkie tak się układały, że znowu poczęto umawiać się o sojusz i Goślicki jeździł z tem do Stokholmu. Czy sąd polubowny papieża nad nieporozumieniami o Inflanty odbył się, to wątpliwe i raczej przypuścić trzeba, że nie; uważano to widać potem już za zbyteczne. Zdaje się, że nikt się też nie upominał o ten wyrok polubowny; Batory go nie potrzebował nigdy, a Jan przystawał na tę drogę, jako na środek przewleczenia sprawy, żeby odłożyć sprawę o sojusz i zyskać na czasie [1].

W Krakowie widział się Possewin z dwoma nuncyuszami. Właśnie bowiem ustępował z tego stanowiska w Polsce Laureo, biskup Mondevi, a obejmował je Caligari. Od Laurea dowiedział się Possewin, że król szwedzki nie ze wszystkiem mu się jednak

[1] List Possewina do Batorego z 13 lipca 1578. *Nunz. Germ.* 92, str. 1; Zakrzewski, „Stefan Batory", str. 59—60.

zwierzał; od nuncyusza dowiedział się o zamiarze ubieżenia nadmorskiej duńskiej warowni Helsingör. Bawił właśnie w Polsce znany tu już szwedzki poseł Lorichs, i Laureo chyba tylko od niego mógł o tem powziąć wiadomość. Nie myślał wtenczas jeszcze król Jan ofiarować tej spodziewanej zdobyczy Filipowi II. *(non pensando però esso del Re cattolico)*. Czy próbował może namówić Batorego do wspólnej wyprawy na Danię? niewiadomo. Possewin nie spostrzegł się, że to rzecz zasadnicza w polityce Jana III. W raportach swych nie doniósł nawet całkiem o tem kardynałowi Como; dopiero w następnym roku przygodną o tem czyni wzmiankę, dodając, że go to nic nie obchodzi. Zapewne, nie obchodziło go bezpośrednio, jako missyonarza, ale powinien był interesować się bardziej politycznemi zamysłami króla szwedzkiego, żeby dobadać się, czy pomiędzy jego polityką świecką a kościelną nie zachodzi ścisły związek i jaki? Charakterystyczne to wielce dla Possewina. Stwierdzić tu tylko należy, że Jan III. udzielił o swym projekcie wiadomości wracającemu właśnie do Rzymu biskupowi Mondevi; zależało mu tedy na tem, żeby tą sprawą zainteresować zawczasu dyplomacyę papieską [1].

Z Krakowa ruszył Possewin do Pragi, do cesarza Rudolfa II. [2], który właśnie miał traktować o przymierze z poselstwem Iwana Groźnego; należało temu przeszkadzać. Miał tu też Possewin sporo zleceń dotyczących samej rodziny królewskiej. Sam król poruczył mu starać się umieścić na dworze cesarskim swego nieprawego syna z dawnych lat, imieniem Juliusza, a prócz tego polecić cesarzowi pięciu synów siostry królewskiej, Cecylii, owdowiałej margrabiny badeńskiej, pomówić też o interesach drugiej siostry królewskiej, Katarzyny, hrabiny fryzyjskiej. Nadto miał Possewin zasięgnąć wstępnych informacyj, czy nie znalazłaby się w cesarskim domu narzeczona dla

[1] Cyfra Possewina w *Nunz. Germ.* 92, str. 249.

[2] Do wyliczonych niżej interesów na dworze cesarskim jest dużo materyału w korespondencyi z r. 1578 w *Nunz. Germ.* 92. Najlepiej informuje list sekretarza króla szwedzkiego, Jakóba Typotiusa, do Jana Borgii, ambasadora hiszpańskiego w Pradze, pisany ze Stokholmu dnia 30 listopada 1578 r.; tamże p. 9—11.

królewicza i narzeczony dla królewny szwedzkiej. Wszystkie te sprawy załatwiły się gładko; tylko dla królewny nie umiano wskazać narzeczonego. Najważniejszą jednak częścią usług Possewina było, że wiózł z sobą projekt przymierza Szwecyi z Hiszpanią. Rudolf II. nietylko nie odmówił swej pomocy w tej sprawie, ale zajął się nią gorliwie i widocznie najgoręcej ją Filipowi II. polecił, skoro tego samego jeszcze miesiąca, w lipcu r. 1578, poseł hiszpański zawitał do Stokholmu. Tak tedy missya Possewina w Pradze wydała obfite owoce, król szwedzki mógł być zadowolony. Z Pragi pospieszył Possewin do Rzymu i zaraz do Neapolu, gdzie osobiście zajął się znowu wiecznie młodą sprawą barską.

Dziwnym trafem wyjeżdżającego ze Szwecyi Possewina miał zaraz zastąpić Warszewicki. Królowa Katarzyna kołatała ciągle, żeby jej przysłano więcej Jezuitów, a przedewszystkiem życzyła sobie Warszewickiego i nie spoczęła, aż go zwolniono z rektorstwa w Wilnie i na nowo do Szwecyi kazano się wybierać, dodając jeszcze trzech innych Jezuitów do pomocy. W maju r. 1578 zebrali się już w Brunsberdze gotowi do dalszej podróży, czekając na okręt i wiadomości od Possewina. Niespodziewanie Possewin przybył osobiście i to z tak radosną nowiną, że król już nawrócony! W czerwcu r. 1578 czterech Ojców wybrało się do Stokholmu z najlepszą otuchą w sercu. Prócz Warszewickiego był w tej drużynie O. Wysocki Jędrzej; innych nazwisk nie znamy. Good i Fornier pozostali byli w Szwecyi, bawił tam stale O. Norvegus Nicolai i Belgijczyk, świecki kapłan Feyt; u królowej było dwóch kapelanów: Jan Herbest i staruszek ksiądz Wojciech. Oprócz tych pozostało jeszcze było z dawnych lat dwóch księży przy klasztorze w Wadstena; zniedołężniali starcy odwykli już nawet od sprawowania funkcyj kapłańskich, mieli tylko wartość żywej tradycyi i strzegli murów św. Brygitty z pietyzmu dla świętego miejsca. Wraz z nimi było w państwie Jana III. księży katolickich razem 12, z tego Jezuitów 5 [1].

[1] Theiner pisze tylko o dwóch Jezuitach, Warszewickim i Wysockim; ale Possewin w liście do kardynała Como z Krakowa 1 lipca 1578 r. pisze:

Liczba ta miała się zaraz zmniejszyć o jednego, a mianowicie o Herbesta.

Herbest zapatrywał się na sprawę szwedzką zgoła inaczej, niż Possewin i reprezentował w Stokholmie niejako kardynała Hozyusza w przeciwieństwie do kardynała Como. Król go niecierpiał i radby go się pozbyć ze dworu; i sam Herbest chciał wreszcie opuścić Szwecyę, gdzie i tak na nic się nie mógł przydać, odkąd król wyraźnie zaznaczał na każdym kroku niełaskę; doszło wreszcie do tego, że wzbronił mu dostępu do siebie! Possewinowi Herbest także nie był w Stokholmie pożądany i byłby go chętnie zaraz zabrał z sobą. Tylko królowa Katarzyna nie chciała go puścić, pókiby nie przyjechał kto na jego miejsce, nie chcąc już być sama z ks. Wojciechem. Gdy w czerwcu r. 1578 czterech Jezuitów wyjechało z Brunsbergi do Stokholmu, odpadła i ta trudność i Herbest dostał dymisyę, ale pod szczególnym warunkiem: król kazał mu przyrzec sobie, że przez rok cały nie pokaże się w Rzymie! Bał się, że mógłby tam szkodzić jego akcyi dyplomatyczno-kościelnej i wyjawić niejedno, co osłabiłoby dobrą opinię o królu, a wzmocniłoby stronnictwo Hozyusza. Herbest pojechał do Włoch, żeby się zbliżyć do Hozyusza, z którym pragnąłby się zobaczyć przy jakiej sposobności; ale Hozyuszowi trudno już było wybierać się w drogę, a Herbestowi nie godziło się przyjeżdżać do Rzymu. Jak 18 lipca r. 1578 wyjechał był ze Stokholmu, tak w połowie grudnia dojechawszy do Padwy, stanął tam namyślając się, co dalej począć ze swoją osobą i walcząc nadto jeszcze z trudnościami materyalnemi. Król Jan III. skąpcem bynajmniej nie był, przeciwnie, możnaby przytoczyć cały szereg przykładów jego hojności, zwłaszcza względem duchowieństwa i to katolickiego; Jezuici bywali w kłopocie, jak się zasłonić przed tą hojnością, skoro nie wolno im było przyjmować darów. Było to tedy umyślną demonstracyą ze strony króla, że Herbesta odprawił bez należytego zao-

---

„co'l Padre Varsovitio si mandarono tre altri nostri bene informati à Stocolmio". *Nunz. Germ.* 92, p. 1.

patrzenia, tak, że gdy ten dojechał do Padwy, środki jego pieniężne były już wyczerpane [1].

Janowi III. tem bardziej zależało na wydaleniu nieufającego mu Herbesta, że właśnie zjeżdżał do Stokholmu poseł króla katolickiego. Był nim Franciszek Erasso, hiszpański *capitaneus,* wsławiony w Niderlandach wojownik. Przybył w sam raz w tydzień po wyjeździe Herbesta, a więc dnia 25. lipca 1578 r. [2]. Bawił w Szwecyi długo, przeszło rok. Należy z tego wnosić, że nie przywoził żadnej stanowczej decyzyi od swego pana, ale miał sobie poleconem obserwować dwór stokholmski, o ile zapewnienia Jana III. zasługują na wiarę. Król zaś robił na Erassie wrażenie wcale niekatolickiego monarchy i przymierze z Filipem II. nie doszło do skutku.

Poseł hiszpański w samą porę bawił w Stokholmie i gdyby nie jego obecność, byłoby może źle ze stokholmskimi Jezuitami. Dnia 26 października 1578 r. wrócił z Rzymu ajent królewski, kapitan Cagnolo, wioząc całe pliki listów, na które i król i Warszewicki czekali z upragnieniem. Jezuici otrzymali kopię elaboratu owej komisyi, która zajmowała się przedyskutowaniem dwunastu żądań królewskich. Possewin polecał, żeby króla utrzymać jak najdłużej w wątpliwości, przygotowywać go na odmowną odpowiedź, co do pięciu punktów, ale nie mówić, że odmowa już nastąpiła urzędowo. Zastrzegał to dla siebie, że sam króla o tem zawiadomi; taki był zaufany w sobie samym, iż nie wątpił, że gdy on będzie przy królu, król pomimo odmowy pozostanie „nawróconym“. Był wielki kłopot z wykonaniem tego zlecenia Possewina, bo przecież Cagnolo musiał dostać w Rzymie jakąś odprawę i wiedział, z czem jedzie! Czy Warszewicki zaniedbał porozumieć się należycie z Cagnolem, czy też nie udało mu się nakłonić go na swą stronę, dość, że król od niego dowiedział się o wszystkiem, nawet o tem, że

[1] List Possewina do kardynała Como z Bolonii 24 grudnia 1578 r. w *Nunz. Germ.* 92, p. 23 i drugi z Pragi 9 marca r. 1579; tamże p. 56.

[2] Theiner I, str. 56. W korespondencyi przechowanej w *Nunz. Germ.* 92, pierwsza o nim wzmianka jest dopiero w liście Typotiusa do Jana Borgia z 30 listopada 1578 r. (w dopisku do listu, p. 11).

papież jemu i królewiczowi Zygmuntowi gotów udzielić pozwolenia na komunię *sub utraque*. Dowiedział się też, że na siedm jego żądań Kurya przystała. Król był podejrzliwy i posunął się do przejmowania listów. Nie na wiele zdały mu się listy zabrane Cagnolemu, a adresowane do Jezuitów z Rzymu, bo były cyfrowane! O. Good, sekretarz missyi jezuickiej w Stokholmie, zwrócił się do króla z prośbą o oddanie tych listów. Król tłumaczył się, że Possewin pozwolił mu otwierać wszystkie listy (?) i twierdził, że ma nawet klucz do cyfer. To już oczywiście tylko tak udawał! Odtąd król przejmował stale każdy list i przetrzymywał go u siebie. Dwa razy kazał przywołać do siebie O. Gooda i dysputował z nim o swoich żądaniach; o ileby poglądy jego miały być mylne, kazał sobie na piśmie podawać zbijanie ich, ale sam tych elaboratów potem nie czytał, tylko który ze sekretarzów, „a ten nigdy królowi treści pisma należycie nie wyłuszczy". Na audyencye nie dopuszczał król Jezuitów, chyba tylko rzadko i to po obiedzie, lub po kąpieli, *quo tempore sui eum fugiunt;* wtenczas, podczas siesty, lubiał urządzać sobie dysputę teologiczną. O. Good potwierdza znaną już skądinąd metodę tych dysput: nie da zabrać głosu, co trzecie słowo przerywa, a sobie nigdy przerwać nie pozwoli. O. Good doszedł w styczniu 1579 do przekonania, że niewiele jest nadziei, żeby król mógł zostać katolikiem. Poczęła się budzić w królu niechęć ku Jezuitom, bo ich podejrzywał, że mają dyspenzy, ale nie chcą ich ogłosić; Jan III. nie przypuszczał bowiem, żeby Kurya miała nie zastosować się do jego życzeń! *Quapropter me semel adiuravit per Deum vivum etc., ut dicerem, an conticuissem aliqua ex concessis sibi a Sua Sanctitate?* Good nie mogąc powiedzieć wprost, że Kurya odmawia dyspenz, wymawiał się, że czeka jeszcze jakiego listu, a zresztą rozstrzygnie się to za przyjazdem Possewina. Król nie mógł dłużej zapanować nad sobą i wybuchnął łajaniem Jezuitów, że gotowi sprzeciwić się nawet samemu papieżowi, jeżeli im postępowanie Ojca św. się nie spodoba; twierdził, że się sam o tem przekonał na jednym z listów. Wobec tak ciężkiego zarzutu Good zobowiązał się ten list należycie odcyfrować i uczynił to: była tam właśnie

odmowa pięciu żądań królewskich. Ale żaden z królewskich sekretarzy nie miał odwagi odczytać królowi treści listu; tak się bano jego gniewu! Zaręczano tylko królowi, że Good mówił prawdę.

Położenie Jezuitów było widocznie nieznośne, skoro zdecydowali się na taki środek rozpaczliwy, jak decyfrowanie listu wobec sekretarza królewskiego, i na wyjawienie tego, co w myśl ich instrukcyj miało pozostać tajemnicą aż do przybycia Possewina. Widocznie się bali, że król poprosi ich o wyjazd ze Szwecyi, lub też wogóle jakiejś katastrofy. Wyczekiwali też Possewina *hiante ore,* a przynajmniej powrotu Wawrzyńca Magnusa, nowego ajenta królewskiego w Rzymie. Na Possewina mieli jednak czekać jeszcze długo, bo aż do końca lipca r. 1579.

W samą porę przydała się tedy obecność ambasadora hiszpańskiego i jego protekcya. Wobec Erassa Jan III. chciał się wydać jak najlepiej. Toteż kiedy raz Gothus, upsalski „arcybiskup", powstał przeciw O. Wawrzyńcowi Norwejczykowi, król mu zakazał, żeby się w te sprawy nie mieszał i żeby się nie wtrącał w to, jakich spowiedników ma król lub królowa. Wyraził się nawet o Gothusie: *suscepit archiepiscopatum cum honore, degradabitur cum dedecore* [1].

Ale gdy królewicz Zygmunt pragnął na Boże Narodzenie r. 1578 przystąpić do sakramentów po katolicku — król temu przeszkodził [2]. W murach swego domu był innym, na zewnątrz innym chciał się wydawać.

Nie darzyło się w tym czasie Janowi III. Zamiast pełnomocnika do zawarcia sojuszu, przysłał mu Filip II. kontrolera na dwór i czem dłużej Erasso siedział w Szwecyi, tem częściej podchwycił coś, co musiało go zrazić, a przez to tem bardziej osłabiało nadzieje tak pożądanego sojuszu! Na dobitkę wojsko szwedzkie w Inflanciech stoczyło potyczkę z Moskwą, potyczkę

[1] Dwa listy Gooda do Generała z 30 października 1578 i 10 stycznia 1579 r. w *Nunz. Germ.* 92, p. 44 i 42. Różne drobne wiadomości rozrzucone po rozmaitych listach, tamże p. 42—47.

[2] *Nunz. Germ.* 92 p. 30.

zwycięską wprawdzie, ale bardzo niepożądaną, skoro Jan III. pragnął pokoju z Moskwą, pókiby się nie rozprawił z Danią. Iwan Groźny postępował ciągle naprzód w Inflanciech, o nic nie dbając i nie wypowiadając wojny posuwał swoje pułki ku okolicom zajętym przez Polaków i Szwedów. W październiku r. 1578 i polski i szwedzki oddział wojskowy znalazł się pod Kiesią (Wenden), prawdopodobnie dlatego, że polscy i szwedzcy przywódzcy lubili się nawzajem — obserwować i być blizko siebie, żeby nikt z nich nie mógł zrobić nic takiego, coby na przyszłość mogło zaszkodzić interesom drugiego państwa. Dziwny to był stosunek Polski a Szwecyi w Inflanciech; były to państwa tam rywalizujące, a więc sobie wrogie, ale wojny prowadzić z sobą nie chciano, a przymierza też nie zawarto... Dnia 21 października r. 1578 niespodzianie zbliżył się do nich oddział moskiewski, oczywiście po to, żeby i Szwedów i Polaków z pod Kiesi odpędzić, a gród dla Iwana zająć. Polacy nie mieli najmniejszych wątpliwości, że skoroby tylko wojsko moskiewskie pojawiło się na terytoryum polskiem, należy z niem walczyć, a więc szykowali się do bitwy. Cóż mieli począć Szwedzi? Wycofać się z placu boju, tuż przed bitwą, która ich zaskoczyła niespodzianie? To byłoby ucieczką co dla rycerskiej strony tej sprawy, a pod politycznym względem byłoby faktycznem oświadczeniem się przeciw państwu polskiemu, a zarazem faktycznem dopomożeniem Moskwie! Nie było innego wyjścia, jak złączyć swój oręż z polskim, i tak ze zbiegu okoliczności powstało nagle współdziałanie wojska polskiego i szwedzkiego. Jan III. rozgłosił tę potyczkę po całym świecie i jakby jaką wygraną walną bitwę przedstawiał sukces swych żołnierzy; wyzyskał tę sposobność do nadania sobie blasku i sławy wojennej — ale nie miał wcale zamiaru wsławiać się powtórnie. Odtąd szwedzkie oddziały były już zawsze dalej od stron, w którychby się nadarzyć mogła okazya dania pola i o drugiem współdziałaniu z wojskiem polskiem i litewskiem nikt już nie posłyszał. Król Jan radby raczej zawrzeć pokój z Moskwą, zanim jeszcze Batory oficyalnie Moskwie wojny nie wypowie-

dział; na sojusz z Polską dosyć miał czasu, dopiero, gdyby się nie udało ułożyć z Moskwą bez względu na Wilno [1].

Te kłopoty źle wpływały na stosunek króla do Rzymu, bo nawiązanie stosunków z Kuryą miało dlań o tyle wartość, o ileby go właśnie uwolniło od kłopotów politycznych. Dnia 31 listopada r. 1578 pisał do Rzymu imieniem królewskiem sekretarz Jakób Typotius (którego Possewin uważał za katolika) upomnienie o dyspenzy. Zaznaczał *nulla ratione pietatem in Regna illa invehi posse, nisi tria illa concedantur;* miał na myśli kielich, usunięcie celibatu i język narodowy w liturgii, bo te trzy żądania uważali w Stokholmie za główne, rozumiejąc, że wzywanie świętych i t. p., są już drugorzędnemi rzeczami, o które nie powinno być kłopotu. Potrzebę dyspenz motywowano argumentem *aliam esse restituendae, aliam fundandae religionis catholicae rationem* [2].

Jan III. nie wiedział, że właśnie w Rzymie interesy jego stoją bardzo dobrze i Kurya, przekonana przez Possewina, gotową była nadal wspierać jego politykę. Były wprawdzie w Rzymie różne wątpliwości; boteż Possewin ze swem twierdzeniem, że króla nawrócił, nie mógł jednak niejednej sprzeczności wytłumaczyć. W kollegium kardynalskiem znowu były zdania rozdwojone i część, z Hozyuszem na czele, nie chciała całkiem dopuścić, żeby Possewin powtórnie jeździł do Szwecyi. Polski

---

[1] List Typotiusa do Jana Borgii w *Nunz. Germ.* 92, p. 9 i allegat do niego p. t. *Eventus belli,* tamże p. 12. „Cum enim non obscura sit inter Imperialem Maiestatem et Magnum Moscorum Ducem amicitia, non dubitamus, quin dictus Magnus Moscoviae dux multum, ut debet, sit Imperiali Maiestati concessurus. Nihil autem est, quod non speremus Imperialem Maiestatem facturum in graciam Regis catholici et Illustritatis Vestrae".— Potem podane są warunki, na jakich król szwedzki pragnąłby pokój zawrzeć. — Bitwa pod Kiesią opisana szczegółowo, fol. 12. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to ta sama bitwa, o której robi wzmiankę Szujski w „Dziejach Polski", tom III, wydania zbiorowego (1894) str. 75. Czy zaś jest identyczną z wymienioną u Zakrzewskiego l. c. str. 99 bitwą pod „Mojan", dociec nie mogłem.

[2] *Responsa ad capita litterarum secretarii Typotii scriptarum ad Illm. Comensem ultima die Novembris 1578. Nunz. Germ.* 92, p. 14 i autograf Typotiusa, tamże 31.

kardynał głośno mówił, że *humilitate, non suadae medulla, ad munus apostolatus obeundum opus esse;* raziły go u Possewina *elati spiritus, quos ipsi quoque fratres eius noverunt, sed forte corrigere non poterant.* Possewin koniecznie chciał jechać i podejmował się dokończyć rozpoczętego dzieła; liczył niezmiernie wiele na swój wpływ osobisty; byle on tam był, wszystko będzie dobrze! W najlepszej wierze (to nie ulega wątpliwości) przypisywał sobie wielki wpływ na Jana Wazę, podczas gdy był nieświadomie narzędziem w jego ręku! Kardynał Como podzielał zapatrywania Possewina i ostatecznie zwyciężył nad Hozyuszem. Dnia 1 grudnia r. 1578 otrzymał Possewin papieskie *breve,* mianujące go wikaryuszem apostolskim na wszystkie kraje północne pozostające w stanie missyjnym: Węgry, Ruś, Moskwę, Litwę, Pomorze, Saksonię i Szwecyę.

Sam papież i kardynał Como przykazali przy tem Possewinowi, ażeby odtąd nie udzielał Hozyuszowi żadnych wiadomości tyczących się missyi szwedzkiej. Opozycya była tedy w Rzymie zupełnie złamana [1].

Possewin wybierał się tedy powtórnie na Północ, podczas gdy Herbest zajechał do Padwy. Osobistej nieprzyjaźni wcale między nimi nie było i Herbest napisał do Possewina, że chciałby się z nim zobaczyć. Nuncyusz zamierzał jechać na Medyolan, nie było mu do Padwy po drodze; zaproponował przeto, że zjadą się w Bolonii, skąd rozchodzą się drogi włoskie. Wieczorem 23 grudnia r. 1578 przybył Possewin do Bolonii; nazajutrz Herbest odwiedził go.

Possewin ucieszył się bardzo, że Herbestowi nie wolno jechać do Rzymu; domyślił się zaraz, dlaczego król to sobie wymówił; że tu chodzi o to, żeby Herbest *come affettato assai al Signor Cardinale Varmiense non diminuisse con qualche ragionamento la bouna opinione et affezione che Sua Santità ha*

---

[1] Cf. Zakrzewski, „Stefan Batory", str. 123, przypisek. — List Possewina do kardynała Como z Heilsbergi z dnia 18 czerwca 1579 r. tłumaczy tak niechęć Hozyusza: „perche ne in Roma, ne dapoi io gli comunicai le cose di Suecia per haverlomi à bocca prohibito Sua Santità et Vostra Signoria Illustrissima". *Nunz. Germ.* 92, p. 133.

versa quella Maestà. Ale nużby go wezwał do Rzymu sam papież? W takim razie, na wyraźny rozkaz Głowy Kościoła, Herbest musiałby pojechać; królowi mógł tylko przyrzec, że sam z własnego popędu do Rzymu nie zajedzie, ale nie mógł obiecywać, że nie usłucha Ojca św., gdyby go tam wezwał. Hozyusz czynił zaś starania w tym kierunku; dotychczas napróżno, jak Herbest zwierzył się Possewinowi. Starania te mogłyby jednak innym razem odnieść skutek; niebezpieczeństwo zagrażało ciągle. Possewin uważał to przesadnie za rzecz bardzo doniosłą, żeby Herbesta nie wpuścić do Rzymu. Zaraz po rozmowie z nim pisze przeto do kardynała Como (i to w sposób niezwykle bezwzględny), żeby jako oddalić z Włoch niewygodnego świadka ze Stokholmu; prosi, żeby mu dać ze sto skudów i wyprawić do Krakowa, gdzie Batory chętnie go przyjmie i da miejsce kaznodziei przy którym z tamtejszych kościołów; przydać się również może przy urządzaniu seminaryów w Polsce. Jakoż z początkiem marca r. 1579 Herbest był już w Krakowie [1].

Possewin miał od Grzegorza XIII. upoważnienie, ażeby, gdyby już żadną miarą tego nie można było uniknąć, dać dyspenzę co do kielicha samemu tylko królowi i to sekretną; miał jej udzielić osobiście i tylko ustnie. Skoro się podjął powtórnej missyi, sądził widocznie, że to wystarczy. A tu tymczasem, podczas gdy on dążył na Północ, nadszedł do Rzymu ów list Typotiusa z 30 listopada 1578 r. W Kuryi zdumiono się nad tą sprzecznością między zapewnieniami Possewina, a tonem listu królewskiego sekretarza. Odpowiedziano: *vix credere unquam poterit eius Sanctitas ea verba, quae modo proposita sunt, aut eorum sensum, ex eius (regis) mente prodiisse.* W miesiąc zaledwie po tem, w sam dzień Nowego Roku 1579 wyprawił Typotius znowu energiczne

[1] Narzekał potem Possewin, że za to przeniesienie Herbesta jest w niełasce u Hozyusza i Anny Jagiellonki. List z Heilsbergi do kardynała Como dnia 18 czerwca 1579 r. *Nunz. Germ.* 92, p. 133. — W czerwcu 1579 r. ofiarowano Herbestowi koadjutoryę lwowską; nadto nadawał mu Batory plebanię z dochodem 300 florenów. Herbest odmówił, motywując tem, że papież posłał go do Krakowa, a nie gdzieindziej. Z listu Possewina w *Nunz. Germ.* 92, p. 126.

pismo o *tria illa toties frustra postulata;* list kończył się w ten sposób, że upomina się *(cohortatur)* kardynała Como i całe kollegium, żeby nie zaniedbali przystać na te żądania. Jan III. gotował już sobie furtkę do odwrotu![1]

Gdy Possewin przybył wreszcie do Szwecyi, sam zdziwił się, jak król się zmienił. Nie umiał sobie tego inaczej wytłumaczyć, jak tylko przypuszczeniem, że Jan III. jest cierpiącym na umyśle[2]. Król był zdrów, i właściwie wcale się nie zmienił. Jakim był naprawdę, wiedział Hozyusz od początku, a O. Good od stycznia r. 1579; tylko Possewin do końca się łudził.

IV.

Z końcem r. 1578, czy też na samym początku r. 1579 zjechał do Stokholmu książe Karol Sudermański, głowa opozycyi przeciw wyznaniowym zakusom króla Jana, podpora i nadzieja mizoliturgów. Przeciwieństwa wyznaniowe stanowiły zarazem o kierunku politycznym; i na tem też polu trzymał się Karol drogi odmiennej od starszego brata. Possewin narobił królowi niepotrzebnie opinii skrytego katolika pomiędzy katolickimi dworami; ale jeszcze usilniej robili mu opinię papisty wszyscy jego wrogowie, mizoliturgowie, zwolennicy Lutra w kraju i za granicą. Wszak nie mogli mieć lepszego środka zdyskredytowania Jana III. wśród wszystkich akatolików, jak obwołując go papistą, do czego nie brakowało im zresztą pozorów powyrywanych luźnie z tego skomplikowanego zbiegu okoliczności, przez jaki przegmatwywała się właśnie polityka królewska w ostatnich leciech. O wojnę z Danią chodziło Janowi III., a głos publiczny twierdził, że mu chodzi o przywrócenie katolicyzmu. Król nie mógł wyjawić swych planów, boby go to naraziło od razu na wojnę z Danią, do której nie był przygotowany i tak znalazł się w położeniu fałszywem i bardzo przykrem dla siebie. A już

[1] Cytowane już *Responsa ad capita litterarum secretarii Typotii.*

[2] „Puo esser alcuno errore nell' intelletto del re". *Nunz. Germ.* 92 p. 186.

wcale a wcale nie mógł się zwierzyć przed bratem Karolem, bo książe Sudermański był zwolennikiem ortodoksyi luterskiej, a przez to samo już — w ówczesnych stosunkach — znajdywał się na jednej linii politycznej z Fryderykiem II. Duńskim.

Podczas gdy król marzył o przymierzu z Filipem II., książe równocześnie szukał oparcia u protestanckich książąt Rzeszy. Mając już 29 lat (* 1550) postanowił się ożenić, a wybór padł na Annę Maryę, elektorównę Palatynatu. W Palatynacie był dawniej kalwinizm wyznaniem panującem; elektor Fryderyk III., twórca „heidelberskiego katechizmu", był takim zagorzałym kalwinem, że luteranów powypędzał z kraju. Wręcz przeciwnie postępował teraz jego syn, Ludwik VI., który objął rządy co dopiero, w r. 1576, gorliwy zwolennik Lutra i przyjaciel polityczny króla duńskiego. W jednym też zgadzał się Ludwik VI. w zupełności ze swym ojcem: w nienawiści do Hiszpanii i do polityki habsburskiej. Dwaj młodsi jego bracia brali też czynny udział w wojnie niderlandzkiej; najmłodszy, Krzysztof, poległ pod Moole (1574) jeszcze za życia ojca. Zanosiło się na jakąś ligę specyficznie luterską, zwróconą przeciw katolicyzmowi, jakoteż przeciw kalwinizmowi, tudzież przeciw wszelkim innowacyom przeciwnym luterskiej ortodoksyi. Będąca właśnie taką innowacyą „liturgia" króla Jana, traktowaną była na równi z „papizmem" i Fryderyk II. odzywał się publicznie, że nie ścierpi, żeby Szwecya miała być papistyczną. Nie byłby też tego ścierpiał Karol Sudermański.

Dziewosłęby brata były królowi jak najbardziej nie na rękę, a cóż dopiero pobyt księcia w stolicy, na dworze, w samraz, gdy tam przebywał poseł hiszpański, Erasso. Dwa wręcz sobie przeciwne kierunki polityczne zderzały się z sobą ostro codziennie; Karol starał się króla odwieść od szukania związku politycznego i rodzinnego z Habsburgami, a gdy to okazało się niewykonalnem, starał się przeszkadzać i bruździł, ile mógł, odwodząc umysły od króla, przysparzając mu przeciwników, trudności i drobnych dworskich kłopotów. Posłowi hiszpańskiemu odgrażał się Karol wręcz, że pomści śmierć Krzysztofa, stryja

swej narzeczonej [1]. Poczynał sobie tedy nietylko śmiało, lecz zuchwale, o nic nie dbając. Wiedział, że Jan niema na tyle potęgi, żeby z nim zrobić to, co niegdyś Janowi Eryk, a potem Jan Erykowi wspólnie z Karolem. Król musiał utrzymać oficyalnie dobre stosunki z bratem, bo przymierza z Hiszpanią i z cesarzem jeszcze nie miał, a zaczepienie Karola mogło wywołać wojnę domową pod hasłem walki przeciw papizmowi, a to byłoby zbyt niebezpieczne dla króla, podczas gdy książe miałby sprzymierzeńców licznych i w kraju, przedewszystkiem luterską niemiecką ludność stolicy, i gotowych sojuszników za granicą. Jan był wobec Karola bezbronnym dopóty, dopóki go podejrzywano o katolickie dążności. Toteż postanowił podejrzenia te z siebie zrzucić; postanowienie niełatwe jednak do wykonania i niebezpieczne także z drugiej strony wobec pobytu posła hiszpańskiego. Jan był między młotem a kowadłem.

Odetchnął nieco, gdy książe Sudermański wyjechał, choć wyjazd ten zakończył się nieprzyjemnym skandalem dworskim, skoro Karol z Erassem nawet się nie pożegnał [1]; było to demonstracyjnem rzuceniem rękawicy. Ciężko też było królowi śledzić dalszą podróż brata, bo wybrał się w drogę przez Danię; podejrzywał, że tam w Kopenhadze knują coś przeciw niemu. Ślub Karola z Anną Maryą odbył się na wiosnę w Heidelbergu; osobę króla szwedzkiego reprezentował na nim stary Lorichs. Po powrocie pary młodej do Szwecyi miały się odbyć w kraju wielkie uroczystości weselne i król bał się tego; z trwogą wyczekiwał jesieni, czy też powrót Karola nie będzie początkiem wojny domowej. Z tem większą niecierpliwością wyczekiwał z Rzymu owych dyspenz, któreby okazały szlachcie szwedzkiej, że pamięta o odrębności szwedzkiego Kościoła, a dworom katolickim, że pozostaje w jedności z Rzymem; otrzymanie dyspenz otoczyłoby go nadto aureolą, jako tego, który skutecznie pracował nad „połączeniem Kościołów“. Zapewne, gdyby możliwe

[1] Z listu O. Wilhelma Gooda do Generała Zakonu, pisanego ze Stokholmu dnia 10 styczniu 1579 r., *Nunz. Germ.* 92, p. 42. Z tej wzmianki należy wnosić, że Karol bawił w tym czasie w Stokholmie.

były dyspenzy takie, jak je pojmował Jan Wazowicz, łączenie wyznań byłoby bardzo łatwem zadaniem.

Właśnie na Wielkanoc r. 1579 dopuścił się król nowego bałamuctwa teologicznego, a nader znamiennego. Oświadczył, że przystąpi do spowiedzi i wybrał sobie na spowiednika nie kogo innego, jak Jezuitę Warszewickiego. Possewin byłby to uważał za prostą konsekwencyę dokonanego przez się rzekomego nawrócenia. Ale król gotów był kajać się w konfesyonale tylko pod tym warunkiem, że potem przystąpi do Stołu Pańskiego *sub utraque* i to z rąk już nie Warszewickiego, lecz jednego ze swoich „biskupów", imieniem Marcina. Nie widział w tem nic niemożliwego; chciał pogodzić w praktyce obydwa wyznania, praktykując w ciągu jednej godziny naprzemian po katolicku i po lutersku. Napróżno Warszewicki tłumaczył mu niewykonalność monstrualnego pomysłu; nie dał się przekonać, a skoro Jezuita nie chciał przystać na taką zgodę, poszedł do Marcina i komunikował — bez spowiedzi [1].

A tymczasem zmierzający ku Szwecyi Possewin łudził się nadzieją, że uda mu się tam osadzić katolickiego biskupa i wiózł już z sobą gotowego kandydata.

Na upsalskiem arcybiskupstwie utworzył się znowu wakans przez śmierć Laurentiusa Petri Gothusa w r. 1579. Król nie spieszył się z obsadzeniem wakansu; przeciwnie, było mu to na rękę, że na czele szwedzkiego Kościoła będzie stać sam bezpośrednio; jakoż przez kilka lat wakans ten trwał. Jezuici niepotrzebnie czynili zabiegi, żeby król zaraz następcy nie mianował. Przy tej sposobności zażartował sobie król z O. Gooda, pytając go o zaproponowanie następcy. Warszewicki doniósł o tem Possewinowi, zaraz jednak dodał, że należy wątpić, czy król myślał to na seryo. Ale zapalny Possewin wziął to jednak na seryo! [2] Do obsadzenia stolicy upsalskiej wszyscy przywiązywali (i słusznie) wielką wagę. Luteranie cieszyli się, że może tym razem uda się wprowadzić na naczelne stanowisko mizoliturga, a zwo

[1] Z listu Warszewickiego, *Nunz. Germ.* 92, p. 99 alinea 2.
[2] *Nunz. Germ.* 92, p. 100.

lennika „Porządku“, tj. agendy kościelnej z r. 1571. Jakoż właśnie w tym czasie odzywają się coraz głośniejsze pogróżki z obozu Karola Sudermańskiego. Król postanowił przeczekać burzę, aż się stronnictwo filoliturgów tak wzmocni, żeby bez obawy mógł mianować arcybiskupem jak najpowolniejsze sobie narzędzie, gdy pozyska już pewność, że uda mu się przeprowadzić w Szwecyi s w o j e wyznanie. Czy miał kandydata upatrzonego już w r. 1579, to niepewne. Possewin zrazu przypuszczał, że król ma na myśli imiennika rostockiego profesora, Chytraeusa, ministra luterskiego w Stralsundzie, „który w sercu swem, jak sam mówi, i jak mówią inni, jest w znacznej części katolikiem“. Trzebaby wejrzeć szczegółowo w dzieje miasta Stralsundu, chcąc wiedzieć, czy „znaczna część“ katolicyzmu uznawana przez Chytraeusa była tą samą „częścią“, która cieszyła się łaską królewską, czy też może każdy z nich inną część sobie upodobał. Ostatecznie Chytraeus arcybiskupem królewskim nie został. Został nim znacznie później Andreas Laurentii Björnman, przedtem biskup w Wexiö.

Trzeba Possewinowi przyznać, że zawsze miał program; żadna chwila nie zastawała go nieprzygotowanego. Gdyby się udało jakkolwiek osadzić w Szwecyi biskupa niedzielącego katolicyzmu na „części“, byłoby to lepsze znacznie od nawracania króla. Było już po różnych seminaryach kilkunastu szwedzkiej młodzieży, studyujących teologię; gdyby był biskup szwedzki, utworzyłoby się zwarte grono, gotowe znosić prześladowania, a propagujące katolicyzm tem lepiej, że nie narażone wobec rodaków na tę podejrzliwość, z jaką patrzano na cudzoziemców. Jan III., tak zakłopotany brakiem *sacerdotium* w swem państwie, nie przyjąłby jednak papistycznego biskupa. On sobie wyobrażał, że skoro owa młodzież, którą pozwalał zabierać do kollegiów jezuickich na kontynencie, wróci do kraju z kapłańskiemi święceniami, da się przekonać czy zmusić do przyjęcia j e g o liturgii i jego wyznania, a wtenczas to wyznanie, sprawowane przez prawych kapłanów, którym żaden papista nie zarzuci nieformalności święceń, przez to samo już będzie katolickiem, choć nie będzie papistycznem. Gdyby się znalazł jaki biskup papi-

styczny, któryby przyjął jego liturgię, byłoby mu najprzyjemniej, ale nie zdarzała się sposobność... Possewin postanowił próbować, czyby się nie udało podsunąć królowi biskupa, tak, jak na rektora stokholmskiego kollegium podsunął już O. Wawrzyńca Norwejczyka. Było kilku biskupów niderlandzkich, pozbawionych swych katedr przez zamieszki religijne i wypadki wojenne. Proponował tedy Possewin, żeby który z nich przybył do Szwecyi, udając niemieckiego kupca, jadącego do Jezuitów stokholmskich od Fuggerów z Augsburga[1]. Jednego z tych biskupów niderlandzkich radził zrobić arcybiskupem upsalskim, a na sufragana dodać mu krajowca, żeby się przy tamtym uczył praktyki biskupiej. Kandydata na tę sufraganię miał z sobą. Był nim Wawrzyniec Magnus, ten sam, którego Jan III. wyprawił do Rzymu jesienią r. 1578; ajent królewski, który teraz dopiero wracał do kraju, razem z Possewinem.

Magnus nawrócił się w tej podróży, a było to nawrócenie całkiem inne, niż Pontusa de la Gardie. Magnus miał silną rodzinną tradycyę katolicką, będąc siostrzeńcem dwóch ostatnich katolickich prymasów Szwecyi, Jana i Olafa Magnusów. Sam też czuł powołanie do stanu duchownego.

Miało to zależeć od konstellacyj politycznych, jak długo i o ile Jan III. zechce jeszcze przybierać się w pozory katolicyzmu. A tymczasem Possewinowi nieszczególnie wiodło się z interesami poruczonemi mu przez króla szwedzkiego.

Possewin z Rzymu pojechał najpierw do Niemiec, do Monachium i Augsburga, gdzie konferował w sprawach kościelnych z księciem bawarskim, załatwiał sprawy seminaryów: fuldeńskiego i ingolsztadzkiego. Dnia 20 lutego r. 1579 przybył do Pragi, i tu zabawił do 25 marca. Naradzał się z nuncyuszem Malaspiną i ambasadorem hiszpańskim Janem Borgią, u którego zastał właśnie listy króla szwedzkiego do cesarza i Filipa II. z 30 listopada, 1 i 5 grudnia 1578 r. Cesarz zwlekał z odpowiedzią i Borgia cieszył się, że Possewin dopomoże mu odpowiedź wydostać i od razu zabierze ją z sobą do Szwecyi. Cho-

[1] Kilkakrotne wzmianki w korespondencyi Possewina z tego roku.

dziło o projektowane małżeństwa pomiędzy Habsburgami a Wazami. Possewin otrzymał audyencyę dopiero 14 marca; cesarz tę sprawę zarezerwował *(reservò)* sobie, tj. zastrzegł, żeby się w tej rzeczy znosić tylko z nim samym, a nie z kanclerzem i żeby wogóle układy te nie przechodziły przez kancelaryę cesarską. Listy i pisma potrzebne do Szwecyi miały być wygotowane w ciągu tygodnia; rzeczywiście, w sam raz za tydzień, 1 marca, dostał odprawę. Co do małżeństw między jedną z sióstr cesarskich a królewiczem Zygmuntem i pomiędzy królewną a arcyksięciem Ernestem, kazał cesarz przywołać Possewina tego dnia z rana i powiedział mu, że o małżeństwie arcyksięcia z królewną niema co mówić *(non conveniva pensar)*, ale niema nic przeciw połączeniu królewicza ze swą siostrą, zważywszy, że przez to wyświadczyłoby się dobrodziejstwo *(benefizio)* szwedzkiemu królestwu i uwzględniając dawną koligacyę z domem Jagiellońskim *(l'antica parentela con quella casa, massime della parte della madre)*. Zastrzegał się cesarz, żeby cała ta sprawa traktowana była w głębokiej tajemnicy *(sia molto segreta)*. Zastrzeżenie to znaczyło, że cesarz jeszcze za nic nie ręczy i chce sobie zachować wolność wycofania się bez jakichkolwiek trudności. Przyrzekał cesarz tylko połowę, a i tę tylko połowicznie.

Gorzej było, że chybiły zupełnie rachuby odwrócenia od Szwecyi wojny moskiewskiej za pośrednictwem cesarskiego dworu. Rudolf II. traktował już o przymierze — z Batorym! a to rozbijało w puch nadzieje króla szwedzkiego, który nie chciał wojować z Moskwą, nie chciał łączyć się z Batorym, lecz pozostać neutralnym podczas wojny polsko-moskiewskiej. Cesarz stał z wiosną r. 1579 zupełnie po stronie Batorego i proponował Janowi, żeby Szwecyę wciągnąć do układów pokojowych polsko-moskiewskich, a zatem wspólnictwo oręża i pokoju z Polską! Cesarz parł Szwecyę do zawarcia sojuszu z Batorym przeciw Moskwie! Oświadczył, że teraz nie przyjmie zupełnie pośrednictwa pomiędzy Szwecyą a Moskwą, bo skoro traktuje z Batorym, nie wypada mu posyłać równocześnie do Moskwy *(non era buono il dar ombra à Pollacchi)*; chybaby dopiero później kiedyś mógł tam wyprawić od siebie poselstwo, a więc i pośre-

dnictwo jego musi być odłożone na czas nieograniczony [1]. A tu wrzała przecież wojna! Odroczenie oznaczało odmowę, i jeżeli Jan III. nie chciał narazić się na samotną walkę z Moskwą, musiał teraz traktować z królem polskim; musiał decydować się na tę wojnę, a przestać myśleć o wojnie duńskiej. Próbował jednak do ostatka zwlekać i udało mu się to, bo też Iwan Groźny nie zaczepiał już Szwedów, żeby ich nie zmuszać znowu do łączenia oręża z Polakami. Iwan Groźny zrozumiał dobrze sytuacyę i dzięki temu mógł jeszcze król szwedzki oddawać się przez jakiś czas swym marzeniom o pogromie Danii. Dlatego też układy jego z Batorym pozostały nadal takie niewyraźne, pozbawione stanowczości; pozostały bowiem nadal nieszczere.

Batory sojuszu ze Szwecyą pragnął, ale też wymagał, żeby Szwecya wzięła na się odpowiedni podział ciężarów wojennych i jawnie wystąpiła do wojny z Moskwą. Wyprawił do Stokholmu w poselstwie księdza Goślickiego, żądając, żeby Jan III. dostarczył mu 12.000 wojska [2], wobec którego-to żądania król szwedzki uchwycił się znowu polityki zwłok i przewlekań. Równocześnie, gdy poseł polski bawił na szwedzkim dworze, jeździł Possewin do Wilna.

Z Pragi, od Rudolfa II., pojechał Possewin najpierw do Olomuńca, gdzie urządzał duże seminaryum teologiczne dla missyj północnych, a stąd ruszył do Krakowa i stanął w stolicy Polski dnia 1 kwietnia r. 1579. Zastał tu Herbesta, którego kazania cieszyły się wielkiem uznaniem szlachty i mieszczaństwa. W Krakowie doszło go wezwanie od nuncyusza Caligariego, żeby pojechał do Wilna dla zobaczenia się z samym królem. Possewin pojechał do Warszawy, gdzie bawił nuncyusz, u Anny

[1] Do tych spraw w Pradze list Possewina do kardynała Como z Pragi 21 marca 1579, *Nunz. Germ.* 92, p. 59.

[2] Dalsze listy Possewina. *Nunz. Germ.* 92, fol. 60—112. — W Wilnie oglądał w ręku Skargi list Hozyusza, w którym kardynał pisał: „Possevini ratio agendi non usquequoque mihi probatur". Possewin wyrzeka na jakiegoś Brisiniciusa w Rzymie, że dołki pod nim kopie. Podejrzywa, że aż do Szwecyi wyprawiają listy mające szkodzić jego missyi i dodaje: „Il che tutto doppo molte altre cose ch'io taccio se non facesse à proposito per la causa di Dio havrei sepelito con eterno silentio". — *Nunz. Germ.* 92, p. 133.

Jagiellonki i tu spędzili razem Wielki Tydzień i święta. Possewinowi spieszyło się do Szwecyi i choć Caligari nalegał, postanowił podróż do Wilna odroczyć do innej sposobności. Pojechał przez Włocławek wprost do Gdańska, gdzie stanął dnia 1 maja r. 1579. Nie znalazł jednak żadnego okrętu do Szwecyi, tylko mały statek rybacki, jadący w stronę Gotlandyi; wyprawił więc na nim jakiegoś młodzieńca *(verso la Gottia un giovine in una piccola nave)*, aby króla zawiadomić o swem przybyciu i poprosić o wygodny okręt do Rewla. Nie mogąc jechać od razu do Szwecyi, zdecydował się na Litwę, ażeby zaś potem nie tracić czasu, nie zamierzał już wracać do Prus, ale chciał się przeprawić z Rewla, a gdyby zaś nie nadszedł na czas okręt od króla szwedzkiego, jechać wprost lądem przez Finlandyę. Wstąpił jeszcze po drodze do Brunsbergi, żeby zwizytować tamtejsze seminaryum, a potem spiesznie ruszył do Wilna. Bawił w Wilnie około dwóch tygodni, utwierdziwszy zapewne Batorego w jak najlepszej opinii o królu Janie. Była między nimi mowa o sojuszu szwedzkim, o missyi księdza Goślickiego; wysłano z Wilna kuryera do Goślickiego, żeby wracając ze Szwecyi zobaczył się koniecznie z Possewinem i wszystko mu opowiedział. Ułożono, że Possewin pojedzie tym samym okrętem, którym Goślicki wróci i ażeby uskutecznić to spotkanie, na którem Batoremu widocznie zależało, zmienił Possewin plan podróży i do Prus powrócił. Dnia 18 czerwca r. 1579 był już w Heilsberdze, skąd zajechał znowu do Brunsbergi, czekając, rychło-li nadejdzie z Elbląga wiadomość o przybyciu okrętu z Goślickim. Wiadomość ta nadeszła dopiero 1 lipca, a wnet potem nadjechał sam Goślicki, który przyjechał do Possewina, do Brunsbergi, żeby spełnić wyraźne polecenie Batorego.

Już w Wilnie zaczął Possewin odbierać złe nowiny. Doszedł go tam list kardynała Como, pisany jeszcze 4 kwietnia, z wiadomościami o natarczywych żądaniach dyspenz, z czem zwrócił się Typotius — jak już wiemy — powtórnie do Kuryi rzymskiej. I od królowej Katarzyny nadchodziły wieści, że sprawa coraz gorzej stoi. Wobec tego przykazywał kardynał

Como przyspieszać wyjazd do Szwecyi [1]. Rzeczywiście, przez pobyt i wpływy ks. Sudermańskiego stracono w Stokholmie dużo. Król czekał Possewina, bo liczył na dyspenzy. Z końcem maja r. 1579 powiedział otwarcie O. Goodowi, że w przeciwnym razie Possewin niema poco przyjeżdżać, bo on wycofa się całkiem od „połączenia“, nie myśli bowiem narażać siebie i syna na utratę korony [2]. Dopytywał się, ilu Possewin przywiezie z sobą towarzyszy i dawał do zrozumienia, że woli, żeby ich było mniej, niż więcej; przystał wkońcu na trzech księży. O. Good chciał jechać naprzeciw Possewina, ale król nie pozwolił. Dopiero w połowie czerwca wyjechał do Prus ksiądz Fornier, ale w towarzystwie sekretarza królewskiego, Jana Swerkera, przydanego Possewinowi, jako straż honorowa. Dnia 27 czerwca otrzymał Possewin list od Warszewickiego, pisany bardzo ostrożnie, ale niemniej przeto ostrzegający wyraźnie, że król zażąda spełnienia swych życzeń *usque ad minimum quadrantem* [3]. Fornier i życzliwy sprawie Swerker (miał brata w seminaryum w Brunsberdze) złożyli również nie bardzo zachęcające relacye. Król stawał się coraz bardziej nieobliczalnym dla nich; już to popierał sprawę katolicką, już też wraz zrobił coś takiego przeciw katolicyzmowi, czegoby się nikt nawet nie spodziewał [4]. Possewin wielce był zdziwiony tem wszystkiem, co świadczy, że nie znał się na

[1] Theiner I, str. 560.

[2] *Nunz. Germ.* 92, fol. 98, al. 4: „Dixit enim mihi aperte aliquando, mirum sibi videri, quamobrem Reverentia Vestra (Possevinus) rebus infectis ad se redire vellet“; zaś fol. 99, al. 1: „se nihil omnino facere posse in causa religionis nec velle tum se ipsum, tum filium in discrimen regni amittendi adducere“.

[3] List z 6 czerwca 1579, *Nunz. Germ.* 92, p. 148.

[4] *Nunz. Germ.* 92, p. 154. List Possewina do kardynała Como z Brunsbergi 8 lipca 1579 r.: „hor favorendo il negozio cattolico, hora concedendo agli heretici molto piu di quel che non solo non convenerebbe, ma che anco si poteva pensar“. — Theiner I, str. 563 podaje, że równocześnie popsuły się nawet stosunki z posłem hiszpańskim, że król unikał Erassa, a nawet od czerwca 1579 r. zerwał z nim wszelką styczność. Były rzeczywiście przykre zajścia z Erassem, ale p ó ź n i e j. Wiadomość Theinera wydaje się tem bardziej przedwczesną, że w korespondencyi Jezuitów szwedzkich z tego czasu nietylko niema nic takiego, (a czyżby o tem nie pisali?), ale nawet jest właśnie wzmianka, że Erasso jest ciągle przy królu.

ludziach. Wszak spodobał mu się nawet Iwan Groźny, o którym niedługo miał napisać, że był „słodkim i kochającym poddanych panem“.

Ale nikt nie odmówi Possewinowi wielkiego charakteru. Nie cofał się, a każdej chwili gotów był choćby śmierć ponieść służąc sprawie katolickiej. Z Heilsbergi jeszcze pisze do kardynała Como, że dużo będzie przeciwieństw i trudności, które rozmaicie trzeba będzie przezwyciężać, *et forse con lo spargimento del sangue di coloro che vi si adopereranno;* nie cofnąłby się przed tem! Przypomina, że przez trzysta lat nie było w dziejach Kościoła nic innego, jak tylko *spander il sangue dei Papi.* Na kilka dni przed wyjazdem z Elbląga pisze, że jeżeli missya jego okaże się bezowocną, będzie można przynajmniej powiedzieć: *Abeamus hinc, curavimus Babylonem et non est sanata* [1].

Tem przykrzej było Possewinowi, im większe rokował sobie nadzieje, wyjeżdżając z Rzymu z początkiem grudnia r. 1578. W ciągu tych siedmiu miesięcy ileż złudzeń! Uważał króla za nawróconego, teraz wybierał się już na nawrócenie Szwecyi, przygotowywał się do wznowienia w tym kraju katolickiej hierarchii.

Possewin zapytywał z drogi swych braci zakonnych w Stokholmie, jakby król to przyjął, gdyby Magnus przyjął święcenia kapłańskie? Odpisał Warszewicki w połowie czerwca r. 1579, że król możeby się nie gniewał, byle tylko tego nie rozgłaszać! Równocześnie jednak wyzyskać król pragnął pomysł Possewina na swoją korzyść. Zgadzał się na wyświęcenie Szweda, ale osobę sam wyznaczył. Oto ten sekretarz królewski, Swerker, (także taki „katolik w znacznej części“), którego król posyłał po Possewina, miał polecone, żeby wrócił wyświęcony na księdza. Jezuici zwrócili uwagę królewską na to, że Swerker przecież żonaty; odpowiedział: *nihil referri, dum sit virgo!* Trudno było z nim debatować; ale o wypełnieniu tego życzenia oczywiście nie mogło być mowy. Miał racyę Warszewicki, że król chciałby mieć prawdziwego biskupa, ale z tem zastrzeżeniem, żeby wy-

[1] *Nunz. Germ.* 92, p. 129—130 i 158.

święcał na księży, kogo król wskaże, chociażby żonatych. Tem bardziej zależało teraz Possewinowi na wyświęceniu Magnusa, i dokonano tego pospiesznie; przyjął sakrę z rąk biskupa chełmińskiego.

Possewin zdecydował się na to nagle, w pierwszym tygodniu lipca r. 1579, dowiedziawszy się, że wakuje nietylko arcybiskupstwo upsalskie, ale też biskupstwo w Abö w Finlandyi. Magnus wyświęcił się pomiędzy 8 a 13 lipca r. 1579. Odbyło się to sekretnie, a jednak wiedziano o tem na dworze szwedzkim; rozgłosił rzecz chyba sam król? Zanim jeszcze Possewin wsiadł w Elblągu na okręt, mówiono sobie w Stokholmie, że papież posyła Magnusa na arcybiskupa upsalskiego. Czyżby to był manewr, żeby Magnusowi tem pewniej zamknąć drogę do tej godności?[1]

Wśród takich okoliczności wsiadał Possewin na okręt dnia 14 lipca, a 24 lipca r. 1579 przybywał powtórnie do Stokholmu i w dwa tygodnie potem uważał króla za niespełna rozumu.

Król bawił w Upsali, a Possewina zatrzymano w Stokholmie i dalej jechać nie dano, pod pozorem, że król niebawem do stolicy wróci. Jakoż po dwóch tygodniach zawitał Jan III. do Stokholmu i udzielił tu posłuchania posłom tatarskim, którzy przybyli w sprawie sojuszu przeciw Moskwie. Przybywszy, nie wzywał jednak wcale Possewina, nie dopuścił go całkiem przed siebie, ale wrócił do Upsali, pozwalając tym razem jechać za sobą. Dwór królewski bawił bowiem w Upsali, a król nie chciał

[1] Do ustępów o Magnusie *Nunz. Germ.* 92, p. 99, 120, 122, 148, 154, 155—157, 163, 178; listy Possewina, Warszewickiego i jeden samegoż Magnusa. Użyto przytem papieskiej dyspenzy *facolta extra tempora*. Theiner podaje, że go wyświęcał Kromer; to niemożebne, bo Kromer był tylko koadjutorem warmińskim i nie miał prawa wyświęcania kapłanów. Narzeka na to Possewin w jednym liście do kard. Como: „E'solo il Sr. Cromero coadjutore di Varmia qui in Prussia s e n z a esser V e s c o v o, e t s e f o s s e potrebbe dar gli ordini, consecrar sacerdoti“ etc. Possewin namawiał go, żeby się wystarał o konsekracyę na biskupa, a Kromer tłumaczył mu, dlaczego nie chce tego robić przez wzgląd na Hozyusza. List Possewina do kard. Como z 13 lipca 1579 r., w *Nunz. Germ.* 92, p. 178. Hozyuszowi kończyło się już pełne zasług życie; umarł w trzy tygodnie po tej rozmowie, dnia 5 sierpnia 1579 r.

Possewina przyjąć inaczej, jak tylko ściśle oficyalnie. Okrzyczany papistą, chciał zrzucić z siebie te podejrzenia i pilnował się, żeby mu nikt nie mógł zarzucić, iż knuje z Possewinem jakieś tajne spiski na „ewangelię“ (piątą — jak mawiał Hozyusz). Sprawę wyznaniową wprowadził król na radę koronną, prawdopodobnie pod wpływem pogróżek Karola Sudermańskiego, być może, że nawet za jego pobytu w Stokholmie. Ażeby senat szwedzki miał rękojmię, że nie myśli o prostym powrocie do katolicyzmu, złożył król przysięgę, że nie połączy się z Kościołem rzymskim bez dyspenzy na komunię *sub utraque*. Senatowi złożonemu z filoliturgów wystarczało to, a król niczego tą przysięgą nie przesądzał i do luteranizmu się przez to nie zobowiązywał.

Wieść o tej przysiędze doszła Jezuitów na krótko przed przybyciem Possewina; gorzej było, że sama królowa przyznawała znowu mężowi słuszność i sama nie widziała innego sposobu wyjścia; pocieszała za to, że przy innych dyspenzach król nie będzie się tak twardo upierać. Jezuici odbyli naradę pod przewodnictwem Possewina i wszyscy zgodzili się na to, że w danym razie trzeba będzie żądanie kielicha przedłożyć jeszcze raz Stolicy Apostolskiej [1]. Poczem Possewin pojechał do Upsali. Pragnął, ażeby go król przyjął *privatamente*, jako *persona, che come s u o servitore era ito per s u o i negozii*, ale odbyło się wszystko właśnie demonstracyjnie urzędowo. Musiał uroczyście „wjeżdżać“ do Upsali, otoczony orszakiem, król wysłał naprzeciw niego aż dwie mile, musiał pozdrowić króla wobec całego zgromadzonego dworu. Ceremonialne to posłuchanie odbyło się pomiędzy 13 a 15 sierpnia r. 1579 [2]. Łacińska przemowa Possewina przeszła

[1] „Il rè si risolve che non può innovar niente nella Religione cattolica senza la communione sub utraque almeno per lui, per il Principe et sua corte e dice di trovarsi ligato con giuramento di non far niente in materia di religione senza questo. La regina dice che il Rè fa questo per non haver altro mezzo migliore per promovere la religione cattolica. Il Rè mostra di non far tanta difficultà neli dui altri articoli“. List Possewina do kardynała Como ze Stokholmu dnia 10 sierpnia 1579 r., pisany, zanim jeszcze widział się z królem. *Nunz. Germ.* 92, p. 186.

[2] Theiner I, 566, podaje datę wjazdu 10 sierpnia, a że przyjęcie u dworu

najpierw cenzurę królewską; powiedział w niej tylko to, co dałoby się mówić publicznie nawet wobec zaciętych luteranów, tj. że wielu książąt chrześcijańskich pragnie związku z królem szwedzkim i wręczył papieskie *breve*. Jan III. odczytał je po cichu, a dziękując wyraził się, że przyjmuje je *ea veneratione, qua decet Universalis Ecclesiae pastoris litteras et salutationem accipere* i trzymał przy tem czapkę w ręku. Jan III. często zapędzał się daleko, wpadając w oratorski zapał i temu należy przypisać to wyrażenie, tak katolickie; wspomnieć też należy, że otoczenie tych słów słuchające składało się z filoliturgów, bo mizoliturgom król oczywiście godności dworskich nie dawał; a więc nie można tym słowom przypisywać takiego znaczenia, jakie posiadałyby, gdyby były wyrzeczone wobec słuchaczy ortodoksyjnie luterskich.

Potem przeszedłszy z Possewinem do drugiej komnaty, zapytał go, czy przybywa w charakterze nuncyusza papieskiego? Pytanie takie musiało stanowić istną niespodziankę; boć jeżeli Possewin jeździł w oficyalnym charakterze posła wiedeńskiego lub polskiego dworu, a nie Kuryi, toć nie dlatego, żeby Kurya temu była przeciwną! Pod świeżem wrażeniem tego szczególnego pytania domagał się Possewin w Rzymie, żeby zaraz wyprawić kogo, jako nuncyusza; ale potem nie powtórzył już tego żądania, a dalsze jego listy nie zachęcały też Kuryi do tego [1].

Po tej pierwszej audyencyi zapadł Possewin na febrę i przez

odbyło się we dwa dni potem, wypadłoby przeto na 12 sierpnia. Ale 10 sierpnia był Possewin jeszcze w Stokholmie, gdyż datował stamtąd list. *Nunz. Germ.* 92, p. 186. Przypuściwszy, że zaraz po wysłaniu tego listu otrzymał wezwanie do Upsali i zaraz wybrał się w drogę (siedm mil), otrzymamy jako *terminus a quo* na wjazd dzień 11, a na posłuchanie 13 sierpnia. Na 25 sierpnia przypada drugie posłuchanie, a w pierwszym liście z Upsali pisze, że przedtem przez dziesięć dni chorował, a więc przynajmniej od 15 sierpnia, który to dzień stanowi *terminus ad quem*. O pobycie króla w Stokholmie donosi Possewin kardynałowi Como. w *Nunz. Germ.* 92, p. 186, a o staraniach o prywatne przyjęcie, p. 190.

[1] Wiadomości o pierwszem posłuchaniu na podstawie listu do Como, *Nunz. Germ.* 92, p. 190. Na nuncyusza proponuje „quella persona, di cui scrissi di Brunsberga"; w listach z Brunsbergi, które się dochowały, jest mowa o biskupach niderlandzkich, zwłaszcza haarlemskim i o Magnusie.

dziesięć dni leżał w łóżku. Dopiero 25 sierpnia miał drugie posłuchanie, a raczej konferencyę, która trwała trzy godziny[1]. Treść była zwyczajna; król domagał się dyspenz, a zwłaszcza kielicha, przynajmniej dla siebie i dworu, tudzież żeby mszę odprawiano po szwedzku, przynajmniej w dnie powszednie; w święta mogłaby być po łacinie. Dodał król, że związany przysięgą nie może żadną miarą odstąpić od komunii *sub utraque*.

W trzy dni potem, 28 sierpnia, przysłał król do Possewina czterech sekretarzy po urzędową odpowiedź Kuryi na swoje żądania. Possewin nie miał im nic więcej do powiedzenia ponadto, co onegdaj w trzechgodzinnej rozmowie dostatecznie królowi wyłuszczył. Tłumaczył sekretarzom, dlaczego Kurya nie może przystać na owe dyspenzy. Ale nazajutrz, 29 sierpnia, powtórzyło się to samo; król znowu przysłał tych samych sekretarzy po to samo! Powiedział im natenczas, że papież gotów uczynić pewne ustępstwo, co do kielicha, ale jakie, powie tylko samemu królowi i przypuszcza, że król będzie zadowolony. Przysyłanie sekretarzy tłumaczył sobie niedowierzaniem, że król przypuszcza, że on z czemś się kryje. Interpretacya wcale nieprzemyślna, bo choć król Possewina naprawdę miał w podejrzeniu, nie mógł przecież przypuszczać, że wobec sekretarzy powie więcej, niż wobec niego samego. Dwukrotne wysłanie sekretarzy było krokiem oficyalnym i stwierdzeniem, że król przed senatem niczego nie ukrywa. Possewin się nie zoryentował i napisał do króla z zapytaniem, czy n a p r a w d ę upiera się przy kielichu dla owej przysięgi? Król nie rozgniewał się o pytanie, ale widząc, że Possewin nie rozumie sytuacyi, posłał do niego jeszcze pierwszego konsula stokholmskiego, a ten wyłuszczył, ile-to król zyska na uroku i powadze w Szwecyi, jako pośrednik między Kościołami, jeżeli uzyska dyspenzy, gdyby zaś bez dyspenz uznał Kościół rzymski, mógłby tron utracić, bo w Szwecyi senatorowie *(consiglieri)* królów osadzają

[1] W cytowanym już liście *Nunz. Germ.* 92, p. 190, pisze, że posłuchanie było „wczoraj", a list ma datę z Upsali dnia 26 sierpnia 1579.

na tronie i strącają. Skoro konsul mówił takie rzeczy, będąc przez króla posłanym, widocznie było to umówione, żeby na Possewina wywrzeć nacisk i wmówić w niego, że rzeczywiście tronowi Jana III. zagraża niebezpieczeństwo. Gdybyż się udało otrzymać dyspenzę! Wobec mizoliturgów nicby nie stracił, a dwory katolickie i Kuryę rzymską mógłby łudzić dalej![1]

(Dok. nast.).

Dr. Feliks Koneczny.

[1] Twierdzenie, że na drugiem posłuchaniu mówił król o przysiędze, opieram na tem, że dnia 28 sierpnia miał Possewin o niej autentyczną wiadomość a nie miał innej sposobności dowiedzieć się o tem z ust króla samego, jak 25 sierpnia, gdyż na pierwszem posłuchaniu dłuższej i poufnej rozmowy nie było. Wiadomość o odwiedzinach sekretarzy i konsula z obszernego cyfrowanego listu do kardynała Como z 17 września 1579. *Nunz. Germ.* 92, folio 228—237. Szczegóły, o które tu chodzi, znajdują się fol. 234. Żądania królewskie, wyrażone na drugiem posłuchaniu, przedstawione na podstawie listu do papieża, *Nunz. Germ.* 92, fol. 240, w którym Possewin rozróżnia, czego król żądał w Upsali, od większych potem żądań, z któremi wystąpił w Stokholmie.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Noetyka. *Ks. dr. Franciszek Gabryl,* profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z zasiłkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków. Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej. 1900. (W 8-ce, str. 305).

Pewność poznania ludzkiego wogóle, tem więcej pewność poznania filozoficznego, była zawsze kwestyą dla filozofii ważną i zasadniczą. Dowodem tego chociażby tylko filozofowie-sceptycy wszystkich czasów. Mimo to aż do drugiej połowy XVIII. stulecia filozofia nie wysuwała zagadnienia o pewności na samo czoło swoich badań, zajmowała się niem raczej okolicznościowo, to w logice, to w psychologii, to w innych swych działach. Bo nawet wątpienie Descartesa nie potrafiło jeszcze na tym punkcie wywołać ogólnych zmian radykalnych. Zasługa to dopiero Kanta niemała, że swoim krytycyzmem aż do zgubnej ostateczności posuniętym zmusił wszystkich późniejszych filozofów do szczególniejszego i osobnego traktowania tej kwestyi, do systematycznego omawiania samych podstawowych założeń pewności namysłowej. Od czasów też Kanta dopiero zjawia się raz po raz osobny dział filozofii, poświęcony badaniu prawdy i wartości poznania, pod rozmaitemi nazwami: teoryi poznania, kryteryologii, epistemologii, noetyki. I nowość, acz po większej części pozorna tylko, i niewątpliwa zasadniczość przedmiotu sprawiły, że teorya poznania zaczęła występować coraz despotyczniej, obniżać znaczenie innych części filozofii, a nawet odmawiać im miana filozofii. Wielu filozofów-krytycystów zaczęło określać filozofię wogóle jako „wiedzę i krytykę poznania“. Na tem podniesieniu noetyki straciła ogromnie logika przedewszystkiem, stała się bowiem od czasów

Kanta nauką czysto formalną, tj. nauką o podmiotowych formach myślenia ludzkiego bez względu na treść i prawdę myślenia. Dziwna rzecz, że wpływ Kanta odbił się świadomie czy samorzutnie na tych nawet myślicielach, którzy do wszystkiego prędzej woleliby się przyznać, niż do zarażenia się od Kanta. Na myśli mamy neoscholastyków. — Już u dawnych scholastyków rozróżniano dwie logiki: mniejszą i większą. W pierwszej podawano początkującym ze względów pedagogicznych nie filozoficznie, ale praktycznie i w sposób katechizmowy niejako, pewien zasób terminów, pojęć, przepisów, schematów syllogistycznych *(logica minor* czyli *imperfecta,* albo też *summulae),* w drugiej traktowano te same rzeczy, ale systematyczniej, wszechstronniej i z filozoficznem pogłębieniem *(logica maior* czyli *perfecta).* U neoscholastyków XIX. stulecia natomiast zjawia się najczęściej inny podział logiki: na logikę formalną czyli dyalektykę, odpowiadającą dawniejszej logice mniejszej, i na logikę materyalną czyli krytykę, która, ściśle rzecz biorąc, niczem się nie różni od pokantowskiej teoryi poznania czyli noetyki. Nawet u neoscholastyków z ostatnich lat dziesiątków, którzy wracają po części do starego podziału logiki (np. Pesch, Urraburu, Schiffini i inni), trudno zaprzeczyć wyraźnego wpływu nowszej noetyki.

Historycznie zatem noetyka występuje oddzielnie od logiki. Na prawdę jednak jest dużo racyj rzeczowych, przemawiających za tem, ażeby teoryi poznania nie oddzielać od logiki właściwej, jeno dwie te rzeczy łącznie traktować, jak to po części robią niektórzy autorowie w Niemczech (Sigwart, Wundt, Schuppe) i wielu najnowszych autorów angielskich (np. Bosanquet, Hobhouse, Creighton).

Pierwsza systematyczna noetyka polska, piękny dar ks. profesora Gabryla, złożony *Almae Matri Jagellonicae* w roku jubileuszowym, suponuje już logikę, idzie więc utartym szlakiem historycznym, duchem zaś i treścią zbliża się najwięcej do podręczników neoscholastycznych. Przypatrzmy się jej bliżej.

Na samym wstępie autor zupełnie słusznie zdaje sprawę ze stosunku swojej noetyki do Kantowskiego krytycyzmu. Zestawia więc swój punkt wyjścia z punktem wyjścia Krytyki czystego rozumu i wprowadza w tym celu rozróżnienie między krytyką samych władz poznawczych a krytyką aktów poznania. W ten sposób wyłania się logicznie określenie noetyki jako „nauki, która przez krytyczną analizę aktów poznania, a nie przez krytykę samego rozumu uczy, kiedy, zapomocą jakich źródeł i w jakich granicach poznanie nasze może być na pewno prawdziwe“ (str. 4). Szkoda jednak, że autor w całym wstępie jest

bardzo skąpy w słowach i wstrzemięźliwy, przez to zaś może mniej jasny, niż we właściwej treści dzieła. Czy nie możnaby tu bowiem do pewnego stopnia słusznie zauważyć, że samo określenie noetyki może jest za mało zwięzłe, wytłumaczenie zaś określenia może za mało obszerne. Rzeczywiście zdaje się nam, że nie dla wszystkich czytelników powyższe rozróżnienie będzie dostatecznie zrozumiałe, że tem samem nie wszyscy zgodzą się łatwo na to, jakoby w punkcie wyjścia Kanta i krytycystów tkwił z konieczności rzeczy błąd *petitionis principii*, zaś po uwzględnieniu owego rozróżnienia znikała w teoryi poznania wszelka trudność dyaleli zasadniczej.

Samą noetykę autor dzieli na trzy części. Pierwsza zajmuje się możliwością pewności, druga źródłami poznania, trzecia najwyższem kryteryum prawdy.

Ażeby można ściśle i jasno rozprawiać o pewności poznania, stwierdzeniu jej lub zaprzeczeniu, trzeba przedewszystkiem zdać sobie dokładnie sprawę z tego, co należy rozumieć przez prawdę i fałsz poznania, co przez pewność umysłu, a co przez niepewność i wątpienie. Dlatego też początkowe rozdziały pierwszej części wprowadzają, analizują i uzasadniają ścisłe określenia tych pojęć, dla noetyki każdej niewątpliwie bardzo zasadniczych. Dalsze dopiero rozdziały omawiają sceptycyzm. Same dzieje sceptycyzmu, jego niezliczone sprzeczności i potworne niedorzeczności, jego zarzuty, najrozmaiciej przerabiane a przeciwko wszystkim szkołom dogmatycznym podnoszone, jego rzekome racye, same przez się najradykalniej zawsze się znoszące — wszystko to, w jasnem postawione świetle, jest najprostszem i najlepszem stwierdzeniem zasadniczej i rdzennej zdolności rozumu ludzkiego osiągnięcia prawdy, dojścia do pewności. Niema w istocie tak zagorzale dogmatycznej sekty jak sceptycyzm. Sceptycyzm i sceptyczny krytycyzm swojem bezwzględnem niszczeniem i burzeniem dostarczają trzeźwej filozofii i najtrwalszego fundamentu i najbezpieczniejszego punktu wyjścia do dalszej pracy filozoficznej, w dodatnim kierunku podjętej. Wszak zdolność poznania, którąby z natury swej była skazana na ciągłe a konieczne mylenie się i błądzenie, nie mogłaby też bezwzględnie i nigdy ani podejrzywać błędu, ani o prawdziwości swego pozuania powątpiewać. — Dla lepszego i wszechstronniejszego wyjaśnienia tej podstawowej kwestyi pomieścił autor na końcu pierwszej części treściwy przegląd i krytykę metodycznego wątpienia Descartes'a i Hermesa.

Namysłowe stwierdzenie sprzeczności i niemożebności sceptycyzmu

a tem samem zasadniczej możebności i niewątpliwości dogmatyzmu jest jednocześnie bezpośredniem stwierdzeniem faktu, że umysł ludzki musi mieć jakieś powszechne kryteryum prawdy i ostateczną racyę swojej pewności. Autor nasz jednak woli przesunąć tę kwestyę do trzeciej części, chcąc przedtem w drugiej zająć się szczegółowo źródłami poznania. — Najzawilszy to zapewne i najtrudniejszy dział w całej noetyce. I ogromny obszar materyału i mnóstwo kwestyj spornych, i moc zagadnień dotąd niewyjaśnionych a coraz bardziej zaciemniających się, i niekończący się szereg najrozmaitszych i najdziwaczniejszych prądów i zapatrywań to rozbieżnych, to równoległych, to krzyżujących się i przecinających wzajemnie, zwłaszcza z najnowszej doby ewolucyi filozoficznej — oto wystarczające chyba racye, żeby niejednego odciągnąć i odstraszyć jeśli nie od zajmowania się kwestyami noetycznemi, to przynajmniej od pisania dzieł noetycznych. Jeśli kiedy, to w naszych czasach filozofia poznania jest jednocześnie i najważniejszą i najtrudniejszą nauką. Z licznych i wielkich trudności zdał sobie dokładnie sprawę ks. profesor Gabryl, a mimo to nietylko podjął się napisania noetyki, lecz, co ważniejsza, z zadania tego wywiązał się bardzo dobrze. Zwłaszcza druga część jego książki jest w istocie nietylko najobszerniejsza (prawie 200 stronic), ale i najlepsza.

Neoscholastycy wyróżniają zazwyczaj pięć źródeł ludzkiego poznania: 1) świadomość, 2) zmysły zewnętrzne, 3) pojęcia, 4) wnioskowanie, 5) wiarę w innych ludzi. To znaczy, że w wydawaniu rozlicznych sądów opieramy się najczęściej albo na samej tylko świadomości własnej, albo na postrzeżeniach zmysłowych, albo na analizie pojęć, albo na wnioskowaniu krótszem lub dłuższem, albo też na świadectwie innych ludzi. Pewność sądów bezpośrednich świadomości jest tak oczywista, iż, ściśle rzecz biorąc, nikt jej nie zaprzecza, bo zaprzeczyć naprawdę nie może. Dobrze też autor robi, że z kwestyą tą załatwia się krótko i węzłowato. Nie tak łatwa sprawa z sądami postrzeżeń zmysłowych. Prawda, że realizm naiwny uważa i tę wielką kategoryę sądów za bezpośrednio oczywistą, prawda, że myśliciele średnich wieków mogli śmiało w tej mierze przyłączyć się do mniemania zdrowego rozsądku — szczęśliwe jednak dla filozofii czasy średniowiecza dawno minęły, systemy filozoficzne XVIII. wieku i idealistów niemieckich zrobiły swoje, wycisnęły widoczne piętno na umysłowości spółczesnej i nadwerężyły niemało oczywistość sądów postrzeżeniowych: doszło nawet do tego, iż neoscholastyk takiej miary, jak Gutberlet, nie waha się powiedzieć, że łatwiej jest obecnie udowodnić istnienie Pana Boga, niż istnienie

świata zewnętrznego! Być może, że powiedzenie Gutberleta jest retoryczną czy filozoficzną hiperbolą, faktem jest, że potrzeby dzisiejsze są inne, niż były w wieku św. Tomasza i Duns Scota. Do tych potrzeb dzisiejszego środowiska i otoczenia zastosował się też ks. Gabryl w swej książce. Zaczyna od idealistycznych poglądów na tę kwestyę. Przedstawia nam więc w długim korowodzie zapatrywania fenomenalistów starożytnych (§. 11.), subjektywizm Hobbesa, Kartezyusza, Lockego (§. 12.), idealizm Berkleya i Leibnitza, okkazyonalizm Malebranche'a (§. 13.), transcendentalny idealizm Kanta (§. 14.), idealistyczne systemy różnych odcieni Fichtego, Schellinga, Hegla, Schopenhauera, Schuppego (§. 15.), wreszcie najnowsze poglądy na naturę jakości zmysłowych (§. 16.). Po takiem dopiero przedstawieniu poddaje te poglądy najpierw krytyce ogólnej (§. 17.), następnie krytyce szczegółowej (§. 18.). Cała ta krytyka wiedzie do konkluzyi, że rozum, oparty na postrzeżeniach zmysłów, może na pewno poznawać istnienie przedmiotów materyalnych i ich przypadłości (§. 19). Nie dosyć na tem. I kierunek idealistycznemu przeciwny, realistycznym zwany, nie posuwał się naprzód w ciągu dziejów filozoficznych jednym tylko szlakiem, i jego pień wydał liczne a rozłożyste konary. I te więc prądy, nieraz od prawdy daleko odbiegające, autor poddaje gruntownej analizie, uwzględniając przedewszystkiem teorye najnowsze: transcendentalny realizm Hartmanna i najmłodszą latorośl filozoficznej myśli niemieckiej, empiryokrytycyzm Avenariusa. Wreszcie zatrzymuje się dłużej przy umiarkowanym realizmie neoscholastycznym, do którego i sam się przyłącza.

Pojęcia i ich analiza nastręczyły znowu mnóstwo trudnych i zawiłych kwestyi. Nominalizm z konceptualizmem średniowiecznym, jego późniejsze formy ewolucyjne: aprioryzm, empiryzm i pozytywizm, ultrarealizm scholastyczny i realizm umiarkowany — wszystko to stara się ks. Gabryl we właściwem świetle przedstawić, we wszystkiem prawdę od fałszu sumiennie oddzielić, ze wszystkiego co najlepszego wybrać i utrwalić. Następny rozdział o umiarkowaniu wydaje się nam nieco za kusy w porównaniu do innych rozdziałów, zapewne dlatego, że autor wiele szczegółów odnoszących się do tej kwestyi musiał już poruszyć w logice. Ostatni rozdział drugiej części omawia przejrzyście znaczenie i wartość świadectwa ludzkiego.

W trzeciej części autor rozprowadza krytycznie najpierw te kryterya prawdy, które najczęściej trzymają się zdala od prawdy. I tu znowu nie zadowala się omówieniem starszych tylko kryteryów: Kartezyanistów, Fideistów, Tradycyonalistów, Szkoły szkockiej, ale

uwzględnia i myślicieli z najnowszych czasów jak Spencera, Sigwarta, Windelbanda, Avenariusa, neokrytycystów francuskich. Usunąwszy w ten sposób z drogi różne zapory i zawady, przystępuje do roztrząśnienia właściwego kryteryum prawdy, oczywistości. Jasna to rzecz oczywistość, zwłaszcza, jak długo się jej nie chce objaśniać, ale właśnie skutkiem swej jasności wcale nie łatwa do jasnego omówienia. Trudniejszą jeszcze staje się oczywistość dla tego, kto zaznajomił się z nowszą literaturą scholastyczną. Większość bowiem neoscholastyków, wprowadziwszy w podręcznikach swoich rozróżnienie oczywistości przedmiotowej i podmiotowej, zastanawia się dalej, która z nich jest ostatecznem kryteryum prawdy logicznej. Naturalna rzecz, że za tem rozróżnieniem poszło rozdwojenie w szeregach neoscholastycznych: jedni są za oczywistością przedmiotową, drugim przemawia więcej do przekonania oczywistość podmiotowa. Zdaje się nam, że słuszność jest po jednej i po drugiej stronie, że spór ten cały, o ile obejmuje tylko neoscholastycznych myślicieli, jest po części przynajmniej *lis de verbo*, bo w gruncie rzeczy jedni i drudzy w swych kryteryach obu oczywistości koniecznie wymagają. Ks. Gabryl w swej noetyce idzie za tymi, którzy upatrują ostateczne kryteryum w oczywistości przedmiotowej; zaznaczyć atoli wypada, że nie traktuje tej kwestyi za ciasno, a obrońców oczywistości podmiotowej wcale nie potępia bezwzględnie. Szeroką tę wyrozumiałość możemy tylko jak najmocniej pochwalić i przyjąć ją z prawdziwą wdzięcznością, zdaje się nam ona jednak pewną niekonsekwencyą wobec tego, że autor przedtem odrzuca bez wszelkich zastrzeżeń kryteryum Kartezyanistów.

Kończy książkę rozdział o granicach poznania ludzkiego. Ważna to rzecz dla filozofa. Przecież sam Kant określił gdzieś nie mniej dowcipnie jak głęboko filozofię jako naukę o granicach rozumu ludzkiego. Dlatego wobec ważności tej kwestyi sądzimy, że z rozdziału tego mogłaby urość w drugiem wydaniu osobna część książki, któraby jednocześnie jasno i dokładnie wytłumaczyła, dlaczego rozum ludzki, rozporządzając samemi tylko źródłami poznania do prawdy wiodącemi, mimo to tak często w ważnych nawet rzeczach prawdy nie osiąga, owszem najgrubszy nieraz fałsz za prawdę uważa.

Taka jest w głównych zarysach osnowa książki. I wielka mnogość nagromadzonego materyału i długi szereg rdzennie zasadniczych kwestyi poruszonych i dużo prawdziwie zajmujących pytań jasno postawionych i rozwiązanych składa się zatem na treść tego dzieła. Jeśli do ważności i ciekawości samej treści dodamy jeszcze, że autor nasz

posiada w wysokim stopniu dar jasności w rozumowaniu, w przedstawianiu zaś rzeczy dar płynnej potoczystości, to nie będziemy potrzebowali wyrażać nadziei, że książka ks. Gabryla rozbudzi u wielu czytelników drzemiącą lub uśpioną myśl filozoficzną i przyczyni się niemało do wzmocnienia i utrwalenia w naszej filozofii kierunków dodatnich, do zatamowania i ukrócenia prądów ujemnych.

Na tem kończymy sprawozdanie nasze z książki ks. Gabryla. Żeby jednak mocniej jeszcze i wyraźniej zaznaczyć, że dzieło to stawiamy wysoko w literaturze neoscholastycznej wogóle, a tem bardziej w literaturze filozoficznej polskiej, pozwolimy sobie na dołączenie do sprawozdania trochę krytyki. A nie chodzi nam wcale o podnoszenie jakichkolwiek zarzutów przeciw autorowi, bo zarzutów żadnych naprawdę nie mamy — jedno, coby książce samej słusznie zarzucić można, tj. brak ostatniej starannej korekty, pomijamy z rozmysłem — chcielibyśmy tylko zrobić kilka uwag ogólniejszej natury, któreby i czytelników zająć i naszem przynajmniej zdaniem do ulepszenia drugiego wydania przyczynić się mogły.

Zaczniemy od uwagi najogólniejszej. Noetyka jest częścią filozofii najbardziej z swej natury krytyczną i podstawową. Zadaniem jej stwierdzić i ugruntować dalszy przynajmniej teoretyczny fundament nie tylko dla siebie samej, ale i dla logiki i metafizyki i etyki. Jeśli tak jest, noetyka powinna zająć się przedewszystkiem krytyczną analizą pierwszych czy ostatecznych zasad naszego poznania. Przecież i samo wątpienie i stawianie pytań i wydawanie sądów tak twierdzących jak przeczących i wnioskowanie tak dedukcyjne jak indukcyjne, ma swe konieczne założenia podstawowe, bez których żaden z tych aktów wartości krytycznej posiadaćby nie mógł. Otóż zdaje się nam, że wykrycie, jasne postawienie i sformułowanie, wyświetlenie, o ile to w rzeczach przez się jasnych możliwe, systematyczne ugrupowanie i powiązanie tych zasad i założeń należy również do głównych zadań każdej noetyki. Wiemy dobrze, że wielu autorów zadowala się w tej mierze powiedzeniem, iż do zasadniczych prawd należą wszystkie prawdy bezpośrednio oczywiste, żadnej zatem dyskusyi nie podlegające, przyznajemy nawet, że powiedzenie to najzupełniej z prawdą zgadzać się może, nie uważamy go jednak za wystarczające dla filozofa zwłaszcza w naszych czasach, kiedy właśnie zasady najbardziej podstawowe najbardziej bywają podkopywane, kiedy rzeczy najjaśniejsze należą do filozoficznie najtrudniejszych. W książce ks. Gabryla znajdujemy te zasadnicze kwestye wielokrotnie poruszone: i przy krytyce

sceptycyzmu i przy rozbiorze sądów analitycznych i przy omówieniu indukcyi, wolelibyśmy jednak i bardzo pragnęli, żeby w tych rzeczach było mniej skąpstwa literackiego, a więcej systematyczności filozoficznej.

Druga nasza uwaga odnosi się do kwestyi idealizmu. Autor, rozpoczynając krytykę idealistycznych teoryi poznania, stosuje do nich przysłowie: w każdej bajce jest połowa prawdy. Bardzo słusznie. W dalszem atoli rozprowadzeniu rzeczy tej połowy prawdy nigdzieśmy nie napotkali. Autor bowiem broni realistycznego poglądu, podług którego to, co spostrzegamy poza nami, nietylko istnieje, ale nadto istnieje tak, jak spostrzegamy, tak iż co do tych dwu punktów nie widzimy żadnej różnicy między realizmem naiwnym a realizmem filozoficznym szanownego autora. Różnica właściwa będzie tylko w uzasadnieniu, ale i to nie wielka. Podług noetyki ks. Gabryla istnienie świata zewnętrznego przyjmujemy na podstawie przyczynowości, za istnieniem zaś właściwości przedmiotów zewnętrznych w taki sposób, jak je spostrzegamy, dowodów właściwych niema żadnych. Innemi słowy podług autora sądy nasze i istnienie przedmiotów zewnętrznych byłyby dowodliwe, mianowicie zapomocą prawa przyczynowości, natomiast sądy postrzeżeniowe o własnościach zmysłowych przedmiotów zewnętrznych musiałyby być bezpośrednio oczywiste. W tych dwu punktach, zdaje się nam, możnaby krótko sformułować realizm naszej noetyki. Przyznajemy bardzo chętnie, że ks. Gabryl ma za sobą w tej mierze przeważającą większość myślicieli neoscholastycznych, mimo to nie wahamy się wyznać szczerze, że nie widzimy dostatecznych racyj ni za jedną częścią tego poglądu, ni za drugą. Co więcej, naszem zdaniem, należałoby raczej wprost przeciwnie powiedzieć; sądy postrzeżeniowe istnienia są bezpośrednio oczywiste, zaś sądy postrzeżeniowe jakościowe nie należą wcale do sądów bezpośrednio oczywistych. Wytłumaczymy pokrótce jedno i drugie.

Kto nie przyjmuje bezpośredniej oczywistości sądów postrzeżeniowych istnienia, lecz chce dopiero udowadniać prawdziwość ich na podstawie zasady przyczynowości, ten przed udowodnieniem może i powinien wątpić przynajmniej metodycznie o istnieniu jakiejkolwiek rzeczy poza swoją jaźnią i nie powinien opierać niczego na istnieniu świata pozapodmiotowego: inaczej to wyrażając, ten powinien przedtem stanąć na zasadniczem stanowisku idealizmu, że tylko jaźń fenomenalna istnieje i jej modyfikacye. Przeciwko zaś zajęciu takiego stanowiska możnaby, naszem zdaniem, zrobić dwie uwagi. Pierwsza, że kto

raz zajmie, choćby metodycznie tylko, stanowisko idealistyczne, ten bez niekonsekwencyi z tego zaklętego koła wybrnąć nie potrafi. Druga znowu uwaga następująca. Ażeby przyczynowość mogła być słusznie tutaj zastosowaną, potrzeba koniecznie, tak się nam przynajmniej zdaje, przed dowodem jeszcze przypuścić możliwość bytów pozapodmiotowych i ważność dla nich zasady przyczynowości. Tymczasem, jak długo jest się na stanowisku idealistycznem, tak długo zasada przyczynowości może mieć zastosowanie wyłącznie tylko na polu czysto podmiotowem, do wzajemnego wpływu na siebie subjektywnych stanów, wrażeń i wyobrażeń.

Nie uważalibyśmy natomiast sądów postrzeżeniowych o właściwościach ciał za bezpośrednio oczywiste, czyli nie zdaje się nam rzeczą bezpośrednio jasną, że t. zw. zmysłowe jakości ciał istnieją w ciałach tak, jak do naszej świadomości dochodzą. Jedną racyą naszą jest właśnie analogia ze świadomością. Bezpośrednie sądy świadomości są podług wszystkich niewątpliwe, o tyle jednak tylko, o ile nam podają istnienie jakichś aktów i stanów wewnętrznych; nikt zaś nie twierdzi, że te sądy są zawsze i bezpośrednio prawdziwe, o ile się odnoszą do natury i genezy zjawisk psychicznych. Jeśli zatem słusznie należy to zastrzeżenie zrobić co do świadomości samej, to tembardziej, zdaje się nam, trzeba to zastosować do postrzeżenia i sądów postrzeżeniowych i powiedzieć, że sądy te są prawdziwe, o ile wypowiadają istnienie przedmiotów lub ich właściwości, natomiast niekoniecznie są prawdziwe, o ile sięgają do natury tych właściwości. A przecież powiedzieć, że barwy, zapachy, tony, smaki itp. istnieją formalnie w rzeczach, nie jest nic innego, jak określić i to jak najściślej i najdokładniej przedmiotową naturę tych jakości. Niema bowiem dla nas nic tak dokładnie znanego, jak owe najprostsze, najpierwotniejsze czucia i wrażenia, podstawowe elementy naszego życia psychicznego. W każdem dalej wrażeniu zmysłowem rozróżniamy zazwyczaj dwie rzeczy: samo czucie psychiczne i podnietę zewnętrzną. Strona psychiczna jest najczęściej bardzo jasna (np. wrażenie barwy białej), za to trzeba mozolnej pracy, nieraz wieków całych, żeby choć w przybliżeniu poznać naturę podniety (najrozmaitsze promienie świetlne zmieszane). A przecież, gdyby treść naszych wrażeń istniała formalnie w rzeczach, wtedy ani rozróżnienie owo, ani badanie podniety nie byłoby potrzebne. I jeszcze jedno. Gdyby jakości zmysłowe znajdowały się formalnie w rzeczach, natenczas wszyscy ludzie musieliby te same własności rzeczy w taki sam sposób postrzegać. Tymczasem

zdaje się nam, że rzecz to co najmniej wątpliwa. Bo najpierw, chociażby tak było, nie mielibyśmy żadnego sposobu przekonania się o tem. Jak mógłbym ściśle stwierdzić, że piżmo np., którego nie lubię, takie samo wrażenie wywiera na drugiego człowieka, jak na mój zmysł powonienia? Co więcej, są dość poważne racye, przemawiające raczej za tem, że właśnie jest przeciwnie. Wrażenia powonienia, smaku u zdrowych ludzi normalnych dostarczają licznych w tej mierze przykładów. A nawet wrażenia wzroku. Jest znaczny procent ludzi ślepych na szereg barw czerwonozielony, są nawet ślepi na wszystkie barwy widma tj. barwy pstre. A coby było, gdyby wszyscy ludzie posiadali oczy takie, jak ślepi na barwy niektóre lub nawet jak ślepi na wszystkie pstre barwy? Prawdziwej niemożebności w tem nie widzimy. Prawda, że ludzie w sądach swych o jakościach zgadzają się po większej części, ale ta zgoda możebnaby była i wtenczas, gdyby wrażenia dwu ludzi były zupełnie różne, nawet wprost sobie przeciwne. Dajmy bowiem na to, że jeden człowiek odbiera wrażenia wzrokowe w taki sposób jak ja, tj. promienie świetlne o falach najdłuższych widzi czerwono, dalsze pomarańczowo, żółto itd., promienie wreszcie o falach najkrótszych fiołkowo, drugi zaś widzi wprost przeciwnie: promienie najdłuższe fiołkowo itd., a najkrótsze czerwono — naturalna rzecz, że ten drugi będzie nazywał wrażenia swoje, chociaż w gruncie rzeczy odmienne, zupełnie tak samo, jak pierwszy i obaj będą mogli być przekonani, że odbierają wrażenia jednakowe. Przypadek taki, absolutnie rzecz biorąc, wydaje się nam możliwy; czy jest w rzeczywistości, powiedzieć nie można, jeśli jest, nie można go wykazać. I nie możemy się przy takiem założeniu dopatrzyć żadnego błędu we wrażeniach zmysłowych, owszem zdaje się nam, że ta pewna podmiotowość wrażeń, zawsze jednak od podniety zewnętrznej zależna, jest wielkiem dobrodziejstwem dla nas i umożliwia nam dopiero życie psychiczne. Bo cóżby to była za straszna męczarnia, gdybyśmy ton słyszeli jako pewną ilość drgań materyi, a barwę widzieli jako dokładnie obliczone biliony drgań eteru! Zresztą bezpośredniem celem zmysłów jest praktyczna i wygodna informacya naszego ustroju, przystosowana do potrzeb naszego życia niższego, nie zaś prawda logiczna. Uparty więc i złośliwy obrońca podmiotowości naszych wrażeń zmysłowych mógłby nawet obrońcom formalnych jakości w rzeczach zarzucić τὴν τοῦ ἐλέγχου ἄγνοιαν. I możeby w tem była przynajmniej mała część prawdy.

Ostatnia nasza uwaga dotyczy indukcyi. Wynieśliśmy wrażenie.

że autor ułatwił sobie zanadto tę kwestyę, pojmując indukcyę dzisiejszą w duchu indukcyi Arystotelesa i opierając ją wyłącznie na zasadzie, że co należy do natury rzeczy, występuje z nią zawsze i koniecznie. Bardzo być może, że jest w takiem wyjaśnieniu wielka część prawdy — zaprzeczać temu nie mamy bynajmniej zamiaru — nie wydaje się nam jednak, ażeby w tem tłumaczeniu była cała prawda. Nie chodzi nam też o obronę jakiejkolwiek innej teoryi indukcyi, bo na razie nie mamy sami gotowego poglądu na tę bardzo trudną kwestyę logiczną, co najwyżej uważalibyśmy za rzecz najbezpieczniejszą i może najpewniejszą powiedzieć, że problemat ten mimo cenne wskazówki Arystotelesa i Scholastyków i mimo obszerne a liczne nowożytne logiki indukcyjne czeka jeszcze cierpliwie na rozwiązanie. Dlatego tem śmielej podamy kilka wątpliwości, które nam dzieło ks. Gabryla nasunęło.

Najpierw autor nie tłumaczy dostatecznie, dlaczego można uważać dzisiejszą indukcyę za źródło prawdziwie pewnych sądów ogólnych. Jeśli indukcyę pojmiemy jako wniosek różniący się od syllogizmu, natenczas problematyczność jej wyniku na pierwszy rzut oka przynajmniej zdaje się oczywistą. Należałoby więc naszem zdaniem podnieść tę rzecz wyraźniej i dokładniej wyłuszczyć, chociażby z tego tylko względu, że wielu znakomitych logików i to z czasów najnowszych, kiedy indukcya bardzo jest w modzie, uważa indukcyę za wniosek tylko mniej lub więcej prawdopodobny. Dość wspomnieć tak poważnych myślicieli w dziedzinie logiki, jak Jevons, Sigwart, B. Erdmann, Liebmann. Trudność ta po części lub raczej pozornie znika, jeśli się z Frickem, Mercierem i innymi będzie sprowadzało wszelką indukcyę do jednego lub kilku syllogizmów, wtenczas jednak zjawiają się nowe trudności. Na jedną z nich zwrócimy uwagę. W ostatniej hipotezie indukcya naszej noetyki dałaby się przedstawić w następujący sposób:

Co należy do natury A, to występuje z niem zawsze i koniecznie.
B należy do natury A.
Więc B występuje z A zawsze i koniecznie.

Oczywista rzecz, że teraz zasada, która miała być podstawą indukcyi, będzie tylko jej przesłanką większą. Prócz tego przesłanka mniejsza będzie naprawdę wynikiem jakiejś i to właściwej indukcyi. Narzuca się więc mimowoli pytanie, na jakiej zasadzie ta ostatnia indukcya opierać będzie pewność swoją. Zdaje się nam, że podstawa ta musi się różnić od zasady w przesłance większej wyrażonej.

Nie bylibyśmy również za tem, ażeby indukcyę dzisiejszą spro-

wadzać w całości do indukcyi Stagiryty. Podług świeżo ogłoszonych studyów i badań H. Maiera (*Die Syllogistik des Aristoteles*, II, 1, Tübingen, Laupp, 1900), odznaczających się i gruntownością i szczegółowością niemiecką, trzeba u Arystotelesa wyróżnić indukcyę dyalektyczną, mającą na celu dowiedzenie jakiejś prawdy z pewnem prawdopodobieństwem i indukcyę naukową, służącą do wykrycia prawd i zasad ogólnych. Ostatnia indukcya Arystotelesa polega w gruncie rzeczy na refleksyjnem powtórzeniu samorzutnego procesu odrywania (obstrukcyi) w czasie tworzenia pojęć. Tą drogą dochodzilibyśmy podług Stagiryty nawet do pierwszych zasad bezpośrednio oczywistych, na co zresztą zwrócili już uwagę różni neoscholastycy, w ostatnich czasach zwłaszcza ks. Urraburu w swej Logice i ks. Czaykowski w *Przeglądzie powszechnym*[1]. Otóż zdaje się nam, że indukcya ks. Gabryla zbliża się w istocie do tej naukowej indukcyi Arystotelesa. Przeciwko przeprowadzeniu takiej paraleli między postępowaniem indukcyjnem a uogólnianiem pojęć nie mielibyśmy znowu nic do zarzucenia, gdyby tylko paralela ta nie obejmowała wszelkich indukcyj. W przeciwnym razie nasuwają się nam nowe wątpliwości. Gdyby indukcye naukowe polegały rzeczywiście na dochodzeniu tylko do pojęć ogólnych, czy możnaby wogóle uważać jeszcze logicznie indukcyę za wnioskowanie właściwe, za podstawę jakichkolwiek sądów powszechnych i koniecznych? czy byłaby naprawdę jaka różnica między wynikami indukcyi a sądami analitycznemi? czy możnaby wogóle uważać jeszcze sądy syntetyczne ogólne za możliwe? To też ks. Urraburu np. (*Logica*, p. 795 sq.) nie przyjmuje istotnie wyróżnienia sądów ogólnych na syntetyczne i analityczne, lecz uważa je wszystkie za analityczne. Czy jest prawda w tym poglądzie, trudno byłoby nam orzec, a może i zgodzić się na to, że jest w nim niewątpliwie konsekwencya logiczna, to chętnie przyznajemy, owszem wyraźnie zaznaczamy.

I dlatego zdaje się nam, że nie można każdej indukcyi w dzisiejszem znaczeniu porównywać z Arystotelesowską ἐπαγωγή, co zresztą i sam Maier przyznaje. Chodzi bowiem najczęściej w dzisiejszych indukcyach naukowych nie o uogólnienie pojęć, ale o wykrycie i zbadanie praw, według których pewne zjawiska odbywają się w świecie, albo też o stwierdzenie związków przyczynowych, jakie mogą zachodzić między dwu lub kilku zjawiskami. W pierwszym razie indukcya opiera się ostatecznie na założeniu, że wszelki byt jest racyonalny,

[1]) *Przegląd Powszechny*, 1894 t. XLIV i 1895 t. XLV.

czyli na zasadzie racyi, w drugim zaś przypadku założeniem indukcyi koniecznem jest samo prawo przyczynowości.

Oto najważniejsze punkta, których gruntowne wyjaśnienie i wszechstronne roztrząśnienie pragnęlibyśmy widzieć w wyczerpującej noetyce czy logice. Być może, że wymagania nasze są za wygórowane, jednak być też może, że nie są bez wszelkiego uzasadnienia. To drugie wydaje się nam rzeczą ważniejszą od pierwszego.

Kończymy naturalnem zastrzeżeniem, że uwagi powyższe nie mają najmniejszej pretensyi do nieomylności. Chociaż bowiem i noetyka ks. Gabryla i każda filozofiia może i musi stwierdzić teoretycznie, że rozum ludzki jest z natury swej nieomylny, to jednak wszystkie filozofie wykazują w swym historycznym rozwoju praktycznie, że filozoficzny rozum ludzki potrafi łatwiej rzekomy pozór za samą prawdę uznać, niż dotrzeć niezawodnie do kryształowego jądra prawdy.

Ks. J. Nuckowski.

Święty Franciszek z Assyżu. *Edward Porębowicz.* Warszawa, 1900.

Ubolewać przychodzi, że p. Porębowicz przy niniejszym życiorysie św. Franciszka przeważnie czerpał ze źródeł bądź co bądź zamąconych rdzenną różnicą pojęć i przekonań od przekonań katolickich. Trzeba wyrosnąć z jednego pnia, wierzyć, w co wierzył św. Franciszek, bronić, czego on bronił, miłować, co on ukochał, aby go właściwie przeniknąć. A chyba znakomity zresztą pisarz jak Paweł Sabatier, z natury rzeczy musiał stać na punkcie widzenia całkiem różnym, i nie dziw, że Kościół, dbały o nietykalność świętych swoich, postawieniem na index głośnego życia św. Franciszka ostrzegł wiernych przed błędnem tłumaczeniem niejednego w temże życiu momentu. Obok Sabatier'a, polski autor przywodzi wielu innych, podobnież obcych katolickim przekonaniom, przedewszystkiem tego Gebhardta, tak zaciętego w swej nienawiści sekciarskiej do papiestwa, a którego nasz Klaczko z świadomością jego wartości i rzetelności niejednokrotnie zasądził. Tem dotkliwiej razi to powracanie z upodobaniem do krynic bezwyznaniowością zamąconych, że rzadko się spotykamy z pewniejszemi i czystszemi źródłami, a samychże Bollandystów u wstępu p. Porębowicz, zda się, pomawiać o jakiś brak sumienności, o zamilczanie faboł, co nie dogadzały ich poglądom, a rozwijanie raczej tych, które takowe popierają. Niesłuszne to posądzenie, zważywszy na znaną ścisłość uczonego grona, dla którego w ostatnich jeszcze dniach słysze-

liśmy wyraz najgłębszego uznania, padający z ust chyba o klerykalizm nie podejrzanych, bo od samego Mommsena.

Z tem zastrzeżeniem co do źródeł, wypada wziąć w rękę książeczkę p. Porębowicza, aby potem swobodniej i spokojniej ulegać czarowi przedmiotu i pióra zarazem. Pan Porębowicz nie od dziś był poniekąd pasowany na to, aby w te zaklęte wkroczyć sfery. Dante nie po raz pierwszy okazał się być *duco e maestro*, wiodącym w franciszkańskie zaświaty. Przed blizko pół wiekiem, inny umysł wykwintny, zastanowiwszy się nad filozofią chrześcijańską, zawartą w „Boskiej Komedyi", sięgnął do jej kolebki, studyując tych „poetów franciszkańskich", którzy wyprzedzili *l'altissimo poeta*. Z wielu względów istnieje jakieś powinowactwo ducha i pióra między Fryderykiem Ozanamem a Edwardem Porębowiczem, z jednaką miłością zwracają się oni ku tej bujnej epoce, która tem bujniejsze wydawała charaktery i na zupełniejsze zdobywała się całopalenia...

Życiorys, którego tytuł wypisujemy powyżej, jest raczej literacką aniżeli hagiograficzną pracą: obraz to epoki, nacechowanej pełnią „wrażliwości, o pierwotnej jedności życia i sztuki". „Każdy tam człowiek, uważa słusznie p. Porębowicz, jest równocześnie artystą i poematem".

I oto znawca owych czasów i owych ludzi, przeprowadza nas naprzemian po szlakach historyi i ścieżkach umajonych cudnemi *Fioretti*, które podniosłością i naiwnością zarazem, dostrajają tok niniejszej książeczki do harmonii franciszkowych. Grają one tak misternie pod piórem p. Porębowicza, że czytelnik ma ochotę zaliczyć go do powstałych *giullari di Dio*, Bożych śpiewaków, jak siebie i towarzyszów swoich rad nazywał sam św. Franciszek. Studya romańskie, przekłady, w których wytworność idzie o lepsze z wykwintnością, wszystko to razem wzięte tak nagięło styl Porębowicza i pióro, że północne dźwięki nabrały słodyczy południa, i w poważną, surową mowę ojczystą włożyć zdołał wiele z tej miękkości i muzykalności, z tej eurytmii, właściwej włoskim i prowansalskim pieśniom, które tak misternie tłumaczy.

Autor dokładnie obeznany z kronikami spółczesnemi, obraca się wśród nich swobodnie, zdumiewając nas bogactwem erudycyi, którą szafuje bez końca i bez cienia pedanteryi zarazem. Maluje nam w ciemnych farbach ówczesne zepsucie, oraz rozliczne próby dźwignięcia ludzkości z choroby i upadku, skrzepienia jej, udoskonalenia, uszlachetnienia. Powtarzają się one próby przez cały ciąg wieku, aby

się nareszcie skrystalizować w św. Franciszku. Wśród tych dążeń do doskonałości i udoskonalenia, osobne budzi zajęcie postać Joachima de Floris, którego działanie przypada głównie na koniec XII. wieku. Był to przedewszystkiem apostoł wieczystej ewangelii, jak swą naukę nazywał, oraz głosiciel trzeciej epoki obiecanego Parakleta, która po okresie Ojca w Starym Zakonie, Syna w nowym, erą Ducha św. zamknie poczet wieków. Ciekawą jest rzeczą, ażali pisma Joachima de Floris znane były Zygmuntowi Krasińskiemu.

Ale wszystkie reformatorskie próby zawodziły, mimo dobrej woli i dobrej wiary, niejednego z inicyatorów ruchu, dążącego do naprawy społecznej, bo ruch ten chciał iść samopas, niezależnie od Kościoła. Zaczem rychle następowały zboczenia, obłędy, pokutne szały raczej aniżeli stanowcze ku lepszemu zwroty. I oto występuje tu wyższość, bo świętość Franciszka z Assyżu. Kościół odwlekał zatwierdzenie jego dzieła, sprzeciwiał się nadzwyczajnej surowości ubóstwa i zaparcia, jako przechodzących ludzkie siły, utrudniał, bodaj łamał na razie myśl pierwotną Założyciela. Ten zaś, w miejsce buntu, w upokorzeniu znajdował raczej doskonałą uciechę, *la perfetta letizia*, jak to zwierzał ukochanemu uczniowi, bratu Leonowi. Owszem, wyrzucony drzwiami, wracał przez okno, jak sam kiedyś papieżowi oświadczył, czując się zawsze synem Kościoła, przywiązanym i nieodłącznym od Piotrowej jedności i opoki. Ta to pokora, ta uległość rozstrzygnęła o zachowaniu jego zamiarów, ocaliła myśl jego, oblekła ją w skuteczność i trwałość pożądaną. A jak dalece w czyn wprowadzał wyzucie się z własnej woli, najlepiej dowodzi koniec jego życia, gdy ten Apostoł, ten cudotwórca, ten rycerz Boży, kochanek ludu, poeta i pieśniarz, zezwolił na zmiany w ustanowionej przez się regule zakonnej, ustąpił z przewodnictwa, zdał na nieomylny wyrok Kościoła oryentacyę własnego dzieła i własnej myśli. W tej to chwili najwyższej z siebie ofiary, nastąpiła i najszczytniejsza łaska i odpłata za pokorę i poddanie wiernego sługi, Pan go naznaczył piętnami własnej męki. Im dalej w to cudowne życie, tem się bardziej podnosi nastrój tej pięknej, miłej, serdecznej książeczki, zamieniającej się stopniowo w przedziwny poemat. Nieznane dawnemu światu uczucia raz po raz drgają w duszy Franciszka, z jego serca tryskają. Umiłowaniem Przyrody, zbrataniem się z Przyrodą, otworzył on nowe źródło rozradowania i uszlachetnienia ludzi. Nie obcem mu było patryotyczne uczucie, które dziś mieć chcą ogólnie za wykwit i wyskok nowoczesny. Umierający, schorzały, ociemniały, jeszcze wyciągał ręce ku miastu rodzinnemu i błogosławił

mu, aby następnie cieszyć się do końca i krzepić pieśnią, bo jak wspomina jeden z jego biografów *mortem cantando suscepit.*

Ten apostoł wyrzeczenia był zarazem apostołem wewnętrznej radości. Nikt szczerzej nie praktykował, nie zalecał świętego wesela. *Servite Domino in laetitia*, było hasłem życia tego męża Bożego, który szedł przez życie śpiewając, aby świadczyć, jak dobremu Panu służy. Przesiąknięty franciszkańską tradycyą tercyarz, Dante, w myśl św. Założyciela trzeciego Zakonu, ponurych zanurzał w błotnej topieli i za grzech smutku bezbożnego mieścił winnych kędyś w najgłębszej piekielnej czeluści... Stąd też podwójny, uzdrawiający wpływ serafickiego Franciszka na świat spółczesny, na epokę swoją, rozpuszczoną i rozpasaną, na ludzi pogrążonych w ziemskich rzeczach aż do przesytu i zwątpienia. Gdyby tak na nasze mętne i smętne czasy zjawił się drugi Franciszek, zwalczający materyalizm ubóstwem, rozstrój harmonią własnej duszy i pieśni, smutek i rozczarowanie weselem Ducha św.! Na zdziałanie cudu, cudownego potrzeba człowieka, któryby, jak to pięknie wyraża p. Porębowicz, imał się heroicznych środków nawracania ludzi, bo „grzech waży ciężko, aby go wyważyć, trzeba mu przeciwstawić ofiarę dobrowolnego cierpienia".

A, wskazawszy nam, jak się ludzkości wypłacił słodki patryarcha z Assyżu jałmużną czynu i ofiary z siebie, p. Porębowicz wskazuje jeszcze, ile jej dał jałmużny Piękna, bądź wpływem na rozwój pieśni, bądź podnietą do rozwoju sztuki... I skwapliwie też zbiera ślady pieśni św. Franciszka, przytacza główniejsze i znane onej urywki, wspomina następców i naśladowców w utrzymaniu lutni zakonnej. Czy jednak ma słuszność przypisując bratu Giaconimo di Verona ponury raczej nastrój? Jeżeli nas pamięć nie zawodzi, ten to właśnie franciszkański poeta napisał waryant prozy o Matce Boskiej Bolesnej: *Stabat Mater dolorosa*, na kolędową nutę, *Stabat Mater speciosa*, o stojącej nad żłóbkiem, nie boleściwej, lecz radosnej matce. Tak samo zdziwiło nas, iż wymieniając główne arcydzieła sztuki, które w życiu i postaci św. Franciszka znalazły natchnienie, nie wspomina posągu wyrzeźbionego w drzewie przez Alonza Cano, który nad innych, kusząc się o wykonanie podobizny świętego, potrafił dać wyraz jego duszy.

Dawno nie zdarzyło się nam spotkać książki tak niewolącej i porywającej zarazem, jak ta, którą znakomity tłumacz Dantego poświęcił św. Franciszkowi. Kwiat to umbryjski, na polską przeszczepiony ziemię. A im bardziej czaruje nas swą misterną i mistyczną

wonią, tem większy żal, iż posiadając w sobie taki zasób katolickiego ciepła, taką znajomość wieków wiary i ofiary, zbyt często, zamiast snuć z skarbów własnej wiedzy i własnej duszy, czerpać wprost z pierwotnych źródeł niczem nieskażone świadectwa, przejmuje i podejmuje inne, traktujące rzeczy Boże, sprawy nadprzyrodzone, ludzi wyjątkowych i wybranych, jakoby z kondescendencyą, z wyrozumieniem na objaw patologiczny, bodaj pobłażaniem dla naiwności dawniejszych wieków. Szkoda pióra i talentu p. Porębowicza, szkoda jego duszy tak przesiąkniętej Pięknem i Prawdą, na takie czerpanie z „cystern rozwalonych“ protestanckiej czy nawet żydowskiej erudycyi, zachwycającej się św. Franciszkiem kosztem Kościoła.

M.

Ukraińska rytmika ludowa w poezyach Bohdana Zaleskiego napisał *Aleksander Kolessa*. (Osobne odbicie z „Księgi pamiątkowej uniwersytetu lwowskiego“). Lwów, 1900. (W 8-ce większej, str. 78).

Szan. autor, znany historykom literatury polskiej z dwu cennych rozpraw o Zaleskim, pisanych w języku ruskim, a mianowicie o śladach wpływu Żukowskiego na poezyę ukraińskiego słowika i o oddziaływaniu ruskich ludowych pieśni na jego utwory, przedstawił w omawianej rozprawie nadzwyczaj cenne szczegóły, tem cenniejsze, że nikt ich dotąd nie poruszył. Co prawda — zachwytów nad melodyjnością i rytmicznością utworów Zaleskiego u nas nie brakowało, począwszy od Mickiewiczowskich prelekcyj paryskich. Ogólnikami zbywali przyczynę tego zjawiska: Cybulski, Tyszyński, Cegielski i Jenike. Nikt atoli nie zadał sobie trudu, ażeby powód melodyjności wyświetlić, zbadać go dokładnie a wszechstronnie.

Zadania tego żmudnego podjął się szan. autor, jak zaś ono było żmudne, ile pracy i czasu kosztowało, zrozumie każdy, kto przeglądnie systematykę wzorów rytmicznych, znajdujących się w poezyach Zaleskiego, ułożoną przez dr-a Kolessę na str. 21—48, gdzie od cyfr i znaczków rytmicznych roi się każda strona. Zestawienie takie stu trzech rytmicznych wzorów świadczy, że żaden z polskich poetów nie jest w stanie dorównać Zaleskiemu pod względem rozmaitości form rytmicznych. Melodyjność i dźwięczność wierszy Zaleskiego „polega przedewszystkiem w idealnej prawie zgodzie między akcentem gramatycznym a akcentem rytmicznym, w ścisłem przestrzeganiu wierszy czystych trochaicznych lub amfibrachicznych, w nagłych przejściach

od jednego typu rytmicznego do drugiego w tymże samym wierszu, w bogactwie typów form wiersza i różnorodności ich kombinacyi, w misterne, po większej części symetrycznie zbudowane zwrotki". Zawdzięcza Zaleski wpływowi ukraińskich ludowych pieśni jeden bardzo ważny warunek melodyjności wiersza — zgodę między logicznemi grupami słów a grupami słów rytmicznemi, u niego bowiem rzadko kiedy przechodzi logiczny koniec pewnej części zdania do następnego wiersza. Ostrożnie zaś postępował szan. autor, oceniając wpływ ukraińskich form rytmicznych na poezyę Zaleskiego, uważa bowiem wzory tych tylko utworów, których treść została zapożyczona z ukraińskich pieśni ludowych, za pochodzące ze źródła ukraińskiego, jeśli zaś uznaje w którym rytmie ukraińskie jego pochodzenie, mimo że treść utworu nie jest zapożyczoną z pieśni ludowych, to z pewnością tylko wtedy, jeśli forma rytmiczna jego stanowi dominującą typową właściwość ukraińskiej poezyi ludowej. Na podstawie drobiazgowych badań udowadnia nam autor, że forma rytmiczna u następujących utworów Zaleskiego została zapożyczona z pieśni ludowych ukraińskich: „Nieszczęśliwej rodziny", „Wzgórka pożegnania", „Złotej Dumy", „Ducha od stepu", „Teligoły", „Gęślarza-weterana", „Potrzeby Zbaraskiej", „Co ja widział dzisia", „Wyjazdu bez powrotu", „Zakochanej", „Pochodu", „Ukazania", „Zaranka", „Zozulina", „Dwojakiego końca", „Ladmo", „Ślicznego chłopca", „Młodo zaswatanej" i kilku innych. Na 38 typów rytmicznych form z Zaleskiego 15 pochodzi ze źródła ukraińskiego, a ze 103 rytmicznych wzorów 51 ma w swojej budowie jako część składową jeden lub więcej wierszy ukraińskiego pochodzenia. Rzadko zachowywał Zaleski w całości budowę zwrotki taką, jak ją widział w ukraińskich pieśniach, lecz tworzył z poszczególnych ukraińskich wierszy przez połączenie z wierszami innego pochodzenia nowe oryginalne całości.

Jak tedy widzimy — rozprawa dr-a Kolessy przynosi nowy materyał do wyświetlenia twórczości poetyckiej Zaleskiego, materyał uporządkowany w pewne kategorye, cenny a ważny. Zaznaczyć należy, że tak sumiennych prac z dziedziny historyi literatury polskiej nadzwyczaj niewiele ukazało się w ostatnich czasach. Na tem też większą wdzięczność z naszej strony zasłużył szan. autor, że jakkolwiek nie ma dla nauki polskiej żadnych obowiązków, obdarza ją cennemi rezultatami swoich niejednokrotnie bardzo mozolnych studyów.

Stanisław Zdziarski.

Stanisława Orzechowskiego „Fidelis subditus" w redakcyi 1-ej z r. 1543 wydał *Teodor Wierzbowski*. („Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich" XVI—XVIII. w., zeszyt XIV). 1900. (W 8-ce, str. 4 nl. + 22).

Z jak wielką korzyścią dla nauki są połączone powtórne wydania pism naszych poetów i prozaików minionych stuleci, o tem nie potrzeba chyba wiele mówić. Nadmienić wystarczy, że wiele z nich — to unikaty, sprawiają więc niemało kłopotu z ich wypożyczeniem z tej czy innej biblioteki. „Biblioteka" tedy, wydawana przez prof. Wierzbowskiego, jest prawdziwie cenną publikacyą, zwłaszcza, że postępuje w daleko szybszem tempie od takiejże biblioteki, wydawanej sumptem Akademii Umiejętności. Tym razem wszelako mamy do czynienia nie z przedrukiem traktatu Orzechowskiego, lecz z pierwszą redakcyą *Fidelis subditus*, wydaną z rękopisu biblioteki ordynacyi hr. Krasińskich w Warszawie. Ważna zaś jest ta redakcya, bo późniejsza, wydana w Krakowie w r. 1584, jest zmieniona przez przepisywaczów i samego jej wydawcę Górskiego, jak to w przedmowie wykazał prof. Wierzbowski. Utwór zaś ten Orzechowskiego jest najważniejszym ze wszystkich jego drobnych traktatów pierwszego okresu jego literackiej działalności, bo zawiera zarodki myśli, jakie później zostały obszernie rozwinięte w „Chimaerze" i „Quicunxie", albowiem i w *Fidelis subditus* widoczne są tendencye demagogiczno-szlacheckie Orzechowskiego, rozwijane na tle katolicyzmu. Przyczynę nieogłoszenia drukiem pierwszej redakcyi tego traktatu upatruje prof. Wierzbowski w zuchwałym tonie wielu ustępów jego. Do niniejszego wydania dołączony został z metryki koronnej wyrok królewski w sprawie parocha ruskiego Czosnowskiego i jego poddanych, o której to sprawie Orzechowski w swoim traktacie wspomina.

Stanisław Zdziarski.

Jan Kochanowski, życie i dzieła. Zarys biograficzny przez *Władysława Nehringa*. „Życiorysy sławnych Polaków", Nr. 12. Petersburg, 1900. (Str. 82 w 8-ce min.).

Nadzwyczaj szczęśliwie stało się, iż życiorys Kochanowskiego w galeryi sławnych Polaków wyszedł z pod pióra prof. Wł. Nehringa, bo szan. autor nie od dziś jest znany jako specyalista w XVI. wieku, nie od dzisiaj interesował się żywo tym poetą, kiedy jeszcze w roku 1881 napisał piękną pracę o „Trenach", a w trzy lata później o „Odprawie posłów greckich". Co więcej, trudności, jakie spotykają ka-

żdego, ktoby chciał dzisiaj pisać o Kochanowskim, zdołał prof. Nehring usunąć dzięki swojemu oryginalnemu poglądowi na twórczość poetycką i na życie największego pieśniarza polskiego w XVI. stuleciu. Zrozumie zaś dobrze trudności te, komu znajoma jest literatura o Kochanowskim, kto wie, jak ogromny skok zrobiła historya literatury od pracy Przyborowskiego i Hoffmanowej do wspaniałego studyum prof. Tarnowskiego i sumiennej z mrówczą pracowitością napisanej monografii Romana Plenkiewicza o Kochanowskim. Mimo tylu prac, jakie ponadto pojawiły się obficie w r. 1884 z okazyi uroczystego obchodu w Krakowie, wiele jeszcze błędów zawierają biografie poety. Kwestya zwłaszcza, podniesiona po raz pierwszy, o ile nas pamięć nie myli, przez p. Bron. Chlebowskiego w pracy p. n. „Jan Kochanowski w świetle własnych utworów", a kontynuowana ciągle do dzisiaj przez takich nawet historyków literatury jak prof. Brückner (*Ateneum*, 1891, II) i prof. R. Plenkiewicz, czy mianowicie w pismach poety nie należy szukać materyału biograficznego — błąka się bez ustanku.

Na szczęście rozprawka prof. Nehringa wolna jest od usterek i uchybień w tym względzie, gdyż szan. autor jest od dawna stanowczym przeciwnikiem zaznaczonej przez nas powyżej kwestyi i niejednokrotnie w *Kwartalniku historycznym* w recenzyach prac, tyczących się Kochanowskiego, ją z całą stanowczością zwalczał. Jako wyborny dalej znawca XVI. wieku, a szczególniej pism Kochanowskiego — nie dopuścił prof. Nehring, ażeby rozbiór utworów poetyckich zdradzać mógł jakie niedostatki.

Nadzwyczaj słusznie, naszem zdaniem, zawarł szan. autor biografię na 10-ciu stronach (str. 11—20), wskutek tej zwięzłości bowiem opuścił wszystko niepotrzebne, a uwydatnił za to te fakta, które przyczyniły się do rozwoju twórczości. Reszta pracy (str. 21—82), poświęcona jest rozbiorowi pism Kochanowskiego. Mogłoby się komu zdawać, iż nieproporcyonalnym jest ten podział, skoro biografia stanowi 6-tą część całości. Nam się atoli wydaje, iż w tem niema żadnej nieproporcyalności i podział taki tylko uznanie wzbudzić powinien, czas bowiem, ażebyśmy usunęli z pomiędzy siebie to przekonanie z gruntu najmylniejsze, jakoby równowaga między biografią a rozbiorem utworów w studyum historyczno-literackiem musiała być zachowana. Bo przecież życie poety o tyle tylko należy do historyi literatury, o ile przyczyniło się do genezy dzieł danego pisarza, my jednak wolimy mówić o kamizelce, aniżeli o poemacie czy poecie.

Kolejno w chronologicznym porządku przechodzi szan. autor w pracy swojej utwory, podając najprzód treść krótką i zwięzłą, a następnie uwagi swoje i spostrzeżenia obce. Rozbiór zaś ten pism Kochanowskiego zaleca się nietylko trafnością uwag prof. Nehringa, ale i objaśnieniami po większej części historycznemi, które nawet przeciętnemu czytelnikowi czynią dostępnem dokładne poznanie nietylko utworu, ale i warunków, w jakich powstał, a przy pismach politycznej tendencyi także ówczesnego stanu umysłów i opinij w danej sytuacyi. Z tego nadto względu ma praca prof. Nehringa poniekąd też popularyzatorskie znaczenie.

Stanisław Zdziarski.

Kościelisko, niedokończony poemat S. Goszczyńskiego. *Zygmunt Wasilewski.* (*Kuryer warszawski,* 1900, nr. 296—298).

Jeżeli z tego miejsca zwracamy uwagę na pracę drobną pod względem rozmiarów, pomieszczoną w piśmie codziennem, czynimy to ze względu na jej ważność, jakoteż z tej przyczyny, że z pewnością żaden historyk literatury nie będzie szukał źródeł do twórczości Goszczyńskiego w dzienniku politycznym współczesnym. Za błąd nawet poczytujemy ogłaszanie nowych materyałów naukowych w pismach codziennych, gdyż tam przechodzą one niepostrzeżenie.

Nieogłoszonych dotąd pism Goszczyńskiego jest spora ilość, jakkolwiek wielki już czas, ażeby spuścizna po tym poecie była dostępna nauce. Nie chcemy rozważać, czyja w tem wina, że prace tego poety leżą w rękopisach, prace ważne nietylko dla twórczości Goszczyńskiego, ale także dla biografii wielu innych poetów, choćbyśmy z tego miejsca wymienili tylko „Pamiętnik“ jego, jakoteż obszerny traktat o Mickiewiczu, obydwie rzeczy leżące najspokojniej w archiwum Muzeum Rapperswylskiego. Należy spodziewać się, że p. Wasilewski, wielki wielbiciel poezyi Goszczyńskiego, zechce rychło wydać także inne prace poety, jak dotąd kilka z nich opublikował z pożytkiem dla nauki.

O świeżo wydanych fragmentach „Kościeliska“ wiedzieliśmy bardzo a bardzo mało. Z listu Bielowskiego wiadomo, że jesienią 1832 roku zabrał się Goszczyński do pisania tego poematu. Tymczasem, zanim zdążył plan ułożyć, Bielowski zaprosił poetę do wzięcia udziału w publikacyi *Ziarnie.* Goszczyński uległ prośbie i postanowił dać do tego wydawnictwa urywek „Kościeliska“ ze sceną sobótki, postanowił jednakże dać jakąś mniej lub więcej zaokrągloną całość. Stąd też po-

szło, że wiele ustępów z innych części poematu przeniósł do „Sobótki". A przeniósł ustępy najpiękniejsze. Toż później nie miał już ochoty do wykończenia dalszych ustępów „Kościeliska" i pracy zaniechał. Pozostał z niej tylko luźny szkic i kilkadziesiąt wierszy.

Zanim przejdziemy do owych fragmentów, musimy zakwestyonować jedno twierdzenie, wypowiedziane przez p. Wasilewskiego we wstępie, tyczące się „Sobótki". Szan. wydawca „Kościeliska" zaprzecza, jakoby „Sobótka" była utworem „ścisłym pod względem etnograficznym". Że ona jest pod względem etnograficznym cennym dokumentem, że w jej genezie wzięły udział wierzenia i zabobony góralskie, to udowodniłem niedawno w *Tygodniku polskim* (1900, nr. 34—35). Jeśli tedy weźmiemy pod uwagę te modyfikacye, jakie w wprowadzonym elemencie ludowym Goszczyński musiał uczynić ze względów artystycznych, to nic nie stanie nam na przeszkodzie, ażeby „Sobótkę" nazwać utworem „ścisłym pod względem etnograficznym". Zarzut bowiem jedyny, jaki p. Wasilewski przeciwko tej ścisłości przytoczył, nie jest wystarczający i nie da się utrzymać. P. Wasilewski powiada, że Goszczyński nie mógł spotkać się z sobótką ludową w Tatrach, bo ludność tatrzańska nie zna jej obecnie. Że jej nie zna dziś, kiedy obrzędy ludowe nikną z dniem każdym, to nie jest jeszcze żadnym dowodem, ażeby uroczystość ta nie istniała w r. 1832. A zresztą, czyż tutaj koniecznie musiał ją widzieć poeta, czy nie mógł jej widzieć w innej okolicy i tak wprowadzić translokowaną do swojego poematu?

Pierwotny pomysł „Kościeliska" był rozwlekły i kto wie, czy nie stało się lepiej że Goszczyński najpiękniejsze z niego ustępy wprowadził do „Sobótki". W ten bowiem sposób stworzył utwór bardzo wysoko stojący pod względem artystycznym, z takiego zaś planu, jaki do nas się dochował, trudno wnioskować, ażeby „Kościelisko", gdyby było napisane, dorównało pod względem artystycznym „Sobótce". Szan. wydawca jest w tej mierze przeciwnego od nas przekonania. Nie możemy się nadto zgodzić z p. Wasilewskim na jeden pogląd jego. Jaki miał zamiar p. Wasilewski wydając urywki i plan „Kościeliska", o tem dowiadujemy się w nrze 2-gim, miał on mianowicie „na myśli poetów dzisiejszych: może znajdzie się, pisze, dzisiaj chęć sprostania zamiarom Goszczyńskiego; może który z dzisiejszych poetów, przeczytawszy projekt „Kościeliska", zapragnie ująć poetyckie życie Tatr w ramy wielkiego poematu". Wątpię, ażeby który z poetów współczesnych podjął plan już spustoszony przez Goszczyńskiego dla „So-

bótki", ażeby naginał myśl swoją do cudzego planu. Próby zresztą uzupełnienia utworów niedokończonych przez inne osoby, bywały po większej części chybione.

Nie możemy wszelako zataić, że wydanie planu „Kościeliska" ma znaczenie dla historyków literatury, gdyż pozwala im wglądnąć głębiej w genezę „Sobótki", rozpatrzeć się w planach i pomysłach poetyckich — niewykonanych.

Stanisław Zdziarski.

Lais. *Kazimierz Lewandowski.* Kraków 1900.

Trudno odgadnąć, jaki mógł mieć cel p. Lewandowski, wydając ten zbiorek niby — poezyj. Chciał powiększyć bibliotekę półświatka? Ale i tam zapewne nie lubią się nudzić, a to wszystko, przy swoim cynizmie, takie nudne, takie puste, tak bez iskry talentu, taka tandeta pozszywana z modernistycznych frazesów, że aż litość bierze. Jedynym ideałem tego pana jest rozwiązłość, — a poza nią jak się dusza jego przedstawia? Bardzo trafnie określił siebie w tych słowach:

Ja się wlokę zwarzony pośród psów i ludzi,
I wdycham chorobliwe mglistych dni opary,
Nudę kobiet, ziewanie psów i konwulsyjne spazmy żebraczki,
Wszystek znudzony i smutny.
Wlokę się, mieląc w ustach znudzenia sarkazmy.

Wolno temu panu być młynem od znudzonych sarkazmów, ale— litości — niech drugim takiej mąki i męki oszczędzi.

Ks. Jan Pawelski.

Poza ziemskie światy. *Julia Zawadzka.* We Lwowie. Nakładem autorki. 1900. (Str. 43).

Trudno dzisiaj w naszem piśmiennictwie o utwór religijny. Znajdujemy wprawdzie u polskich poetów częste wzdychania do nirwany, do Buddy, znajdziemy czasem jakąś nieokreśloną religię przyrody, jakieś dążenia panteistyczne, nie spotykamy jednak tych religijnych wierszy, które z płomieniejącego gorącą wiarą serca wypływają i budują na realnym gruncie nauki chrześcijańskiej. A jednak jest to pole tak wdzięczne i tak olbrzymie, że potrafiło stworzyć np. w literaturze niemieckiej a jeszcze więcej we francuskiej i nowo-katalońskiej prawdziwe klejnoty szczerego uczucia i wysokiej doskonałości. Ci, którym Bóg nie poskąpił talentu, wolą nim na innych polach pracować — pieśń re-

ligijna pozostała prawie wyłącznie własnością słabszych i nieznanych zdolności.

W wzwyż wymienionym zbiorku spotykamy wiersze o głębokim nastroju duchownym. Nie będą one zbytnio czytane, bo ich treść zanadto odbiegła od tej strawy, do której dzisiaj ludzie przywykli; a przecież, chociaż forma nie dosięga wogóle wymagań krytyki, dużo tam jednak pięknych myśli, dużo szczęśliwych pomysłów i pogłębienia rzeczy, nie brak i czysto zewnętrznych dodatnich przymiotów, jak odpowiednich obrazów, porównań i przeciwstawień; niektóre, np. „Legenda“ utrafiły w ton popularny, inne, jak „Cudowna noc“ są prawie bez zarzutu.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z doliny łez. *Jan Łada.* We Lwowie. Nakładem i czcionkami Drukarni Ludowej. 1900. (Str. 272).

Łzami pisane te obrazki i do łez też pobudzić mają, ale do łez, które wypłyną z serca, bijącego uwielbieniem i płonącego miłością dla polskiej ziemi, tej ziemi niedoli, która tak się gnie pod nadmiarem krzyżów, ale też i zdumiewa swem bohaterstwem. Cel ten autor osiągnął. Ton powiastek, znanych nam już z rozmaitych pism, jest na pierwszy rzut oka tak smutny, że chciałoby się prawie zrozpaczyć o sprawiedliwości i prawdzie życia, w którem gwałt tryumfuje nad słusznością a zbrodnia nad cnotą. Czarne są barwy dobierane przez autora a kontrasty w przedstawieniu jeszcze groźniejszym ich wygląd robią. Nie dosyć, że żywo maluje np. tęsknotą trawioną duszę wygnańca, pędzącego żywot tułaczy na obczyźnie i z tej tęsknoty schodzącego na manowce, nadto pokazuje nam jeszcze, (a jest to szczęśliwym pomysłem) jak ten kraj ukochany, co to dla wszystkich ma serce „a dzieciom własnym skąpi chleba“, odpycha swego syna i na nowo tułać mu się każe, podczas gdy obce miasta, krom miłości i szczęścia, wszystko mu dają. Smutek ten, cechujący obrazki zbiorku, nie jest czemś oderwanem, zrodzonem tylko w wyobraźni, ale wypływa z tych zdarzeń, przez które przechodziła ziemia polska, i z miłości dla tych niw, nawiedzanych cierpieniem i płynących łzami. Miłość też ojczyzny przebija w każdym szkicu, a jest ona tak szczerze, tak rzewnie przedstawiona, że choć na chwilę wzruszyć i porwać musi; wystarczy przeczytać tylko pierwszy lub drugi obrazek, a łatwo się o tem przekonać. I jeżeli smutek wiejący z kart książki, nie przygniata czytelnika, to sprawia to przedewszystkiem owe uczucie miłości a zarazem i ta okoliczność

że autor wskazuje na Opatrzność i podnosi serce do nieba, które tyle cierpień nie może pozostawić bez nagrody i zapłaty. Z tego też względu najwięcej podoba nam się mistrzowskie prawie opowiadanie „Na śmierć“, które daje tak wierny obraz strasznych minionych chwil i przejść, a daje ten obraz w ślicznych opisach, jakie i w innych opowiadaniach się znajdują, a których nie potrzebowałby się wstydzić i pierwszorzędny talent.

Najmniej podoba się nam dobrze skądinąd wykończony obrazek „Kra! Kra! Kra!“, bo za wiele w nim bólu, za wiele zwątpienia i niesprawiedliwości, a żadnej chwili jasnej, żadnego promienia słońca. I jeżeli co jeszcze zarzucić mamy, to czasem trochę niefortunne wmieszanie elementu humorystycznego i zbyt lekkiego (np. str. 85) w treść bolesną, dotykającą największych tragedyj ludzkiego serca.

Ks. Wiktor Wiecki.

Życie Eucharystyczne Najświętszej Maryi Matki Boskiej Eucharystyi. Napisał *ks. Kazimierz Siedlecki.* Warszawa 1900. (Str. 357, w 8-ce).

Jeden z kapłanów Zakonu Paulinów, ks. Siedlecki, ubogacił skarbiec dzieł religijnych pracą, której tytuł na czele umieściliśmy. Oparty na dziełku O. Eymarda, założyciela Zgromadzenia kapłanów Najświętszego Sakramentu, pod tytułem: „Miesiąc Maryi Matki Najświętszego Sakramentu“, rozwinął w czterdziestu rozdziałach barwny, a ściśle dogmatycznie pojęty i przeprowadzony obraz życia Najświętszej Bogarodzicy i Jej stosunku do Najświętszego Sakramentu. Wielka znajomość Ojców Kościoła, i liczne a trafne wplatanie ich zdań w tkaninę własnych myśli, nadają pracy ks. Siedleckiego cechę bardzo poważną i pewną, choć tytuł nowy może budzić w niejednym umyśle podejrzenie „sztucznie naciągniętej i na efekt liczącej u czułych dusz nowinki“. Przyznam się, iż takiego wrażenia sam doznałem, biorąc po raz pierwszy dzieło ks. Siedleckiego do ręki; chcąc się przekonać o słuszności podejrzenia, czytałem uważnie, lecz z każdą niemal stronnicą wrażenie słabło, a były chwile, w których zdało się, iż czytam wielkie karty ręką Świętych przed wiekami pisane. A wielką musiała być praca pobożnego autora, gdy się raz po raz spotyka obok starych Ojców Kościoła, i nowych, i najnowszych duchownych pisarzy, jak Nicolasa, ks. biskupa Pelczara, ks. Krechowieckiego, ks. biskupa Kossowskiego, O. Maryana Morawskiego, ks. biskupa Gay, O. Franzelina, WO. Drużbickiego, ks. Mayeta, O. Fabra, O. Oliviera, O. Rembielińskiego, ks. Spissa, OO. Prokopa i Honorata, ks. Smolikowskiego, WO. Tesniera,

i wielu, wielu innych. Każdy niemal rozdział stanowi jakby osobny traktat duchowny, wyczerpujący swój nagłówek, a choć całe dzieło omawia „Życie Eucharystyczne Najświętszej Panny“, mimo to rozdziały pojedyncze opisują odrębne cechy tego życia, jak np. Marya nasza Matka w Wieczerniku, Apostolstwo Maryi, Eucharystyczne rozmyślanie Maryi, Życie Jezusa w Maryi, Marya po Wniebowstąpieniu swego Syna, Marya doskonała Służebnica Najświętszego Sakramentu i t. p. Ten sposób traktowania przedmiotu wskazał i ułatwił wielce cel dzieła tak kapłanom, jak i osobom świeckim. Kapłani bowiem mają świeżą materyę na czterdzieści z górą kazań czy to majowych, czy też zastosowanych do pojedynczych świąt i uroczystości Matki Bożej; wystarcza bowiem streścić choćby pobieżnie rozdział każdy, aby mieć wspaniałe kazanie, pełne głębokich myśli i rzewnych uczuć miłości i hołdu ku tej, którą jako sprawczynię zbawienia naszego czci cały Kościół. Pobożni czciciele Maryi poza stanem duchownym żyjący, i dusze zakonne mają w dziele ks. Siedleckiego nietylko obfitą materyę do czytań duchownych, lecz i olbrzymie pole do codziennych rozmyślań, bo choć autor nie dzieli pojedynczych rozdziałów na tak zwane punkta, jednak sposób pisania jest tak prosty, tak pobożnie przemawiający do rozumu i serca, tak nieraz naśladujący szczęśliwie styl świętego Bonawentury, iż zda się prosić czytelnika, aby traktował go jako podręcznik do rozmyślania codziennego.

Skończmy przytoczeniem słów o tej książce jednego z najpoważniejszych pisarzy duchownych. Z listu ks. biskupa Pelczara do szanownego autora wyjmuję następujące słowa: „O ile z pierwszego rzutu oka poznać mogłem, i myśl jest piękna i wykonanie staranne; nie wątpię zatem, że to dzieło, w którem oryginalność pomysłów i obfitość dowodów łączy się z duchem pobożności, przyczyni się“ do wzrostu znajomości czci i miłości Maryi.

Ks. Alfred Wróblewski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Institutiones iuris naturalis seu philosophiae moralis universae secundum principia S. Thomae Aquinatis (ad usum scholarem adornavit) *Theodorus Meyer S. I.* P. II. Ius naturae speciale. Friburgi Brisgoviae. Herder, 1900. (Str. XXVI i 852).

Napisać książkę szkolną, zastosowaną do potrzeb uczniów, a podającą im nietylko ogólne zarysy etyki i prawa, lecz nadto wchodzącą dokładnie w szczegóły, ogarniającą cały pochód myśli ludzkiej w tym zakresie od najdawniejszych aż do nowszych czasów; uzasadnić swoje twierdzenia krótko a głęboko; spostrzedz zawsze okiem pewnem i spokojnem, gdzie leży sprzeczność błyskotliwego frazesu i blichtrem uczonej ścisłości okrytego sofizmatu — słowem napisać dzieło stosunkowo zwięzłe a gruntowne — było niełatwem zadaniem, którego się podjął ks. Meyer. I wywiązał się z niego ze wszechmiar chlubnie.

Tom I. niniejszego dzieła: *Ius naturae generale continens ethicam generalem et ius sociale in genere* (str. XXX i 498) wyszedł już w r. 1885. Całe zaś to dzieło jest częścią a równocześnie i zakończeniem, poważnego wydawnictwa filozofii neoscholastycznej p. t. *Philosophia Lacensis,* liczącego razem sporych 11 tomów, z których 8 przypada na ś. p. Tillmana Pescha *(Institutiones logicales* 3 tomy, *Institutiones philosophiae naturalis* 2 tomy, *Institutiones psychologiae* 3 tomy), jeden tom na Hontheima *(Institutiones theodicaeae),* a dwa tomy etyki na Meyera. Wzmiankowani autorzy byli profesorami filozofii scholastycznej w Maria-Laach, nim prawo banicyjne *Kulturkampfu* zmusiło ich szukać schronienia na obczyźnie. Maria-Laach było ściśle złączone z działalnością profesorską i literacką O. Meyera. Skoro Pius IX. wydał w r. 1864 encyklikę potępiającą najważniejsze błędy naszego stulecia (t. zw. *Syllabus),* poczęli Jezuici niemieccy pisać rozprawy uzasadniające potępienie owych błędów.

Zeszytów takich p. t. *Stimmen aus Maria-Laach* wyszło w ciągu lat kilku dwanaście, a dziewiąty z nich *(Die Grundsätze der Sittlichkeit und des Rechts. Nach Massgabe der im Syllabus §. VII. verzeichneten Irrthümer.* 1868 r. stron 276) przypada na O. Meyera. Jestto trafna i gruntowna diagnoza choroby zwanej liberalizmem, płynącej z oderwania moralności od Boga i prawa publicznego od zasad etyki naturalnej i chrześcijańskiej.

Kiedy O. Meyer pisał *Grundsätze,* można bez przesady powie-

dzieć, że literatura etyki, na podstawach prawa naturalnego opartej, w Niemczech prawie nie istniała. Z wyjątkiem Trendelenburga, który z zamiłowaniem uprawiał Arystotelesa i na tle jego zasad napisał: *Naturrecht auf dem Grunde der Ethik* (Lipsk I. wyd. 1860, 2 wyd. 1868), panował wszędzie w etyce racyonalizm, panteizm i materyalizm; nawet wśród profesorów katolickich znajdowali się tacy, którzy odrywali prawo publiczne od naturalnego. Z lepszych podręczników scholastycznej filozofii moralnej mieli Niemcy dwa tylko, i to w dodatku tłumaczenia z włoskiego (A. Taparelli S. I. *Versuch eines auf Erfahrung begründeten Naturrechts.* 2 tomy Regensburg 1845) i z hiszpańskiego (J. Balmes *Lehrbuch der Ethik,* Regensburg 1852). To też Meyer jako profesor etyki musiał się zwrócić do przeszłości. Oparł się tedy na Arystotelesie, św. Tomaszu z Akwinu, a z jego komentatorów uwzględnił szczególnie bystrego i subtelnego Suareza. Niedosyć na tem. Trzeba było zapoznać uczniów z błędami najnowszymi, z którymi się jeszcze nie uporała scholastyka, a które panowały wszechwładnie pod nazwą „moralności niezależnej" i rościły sobie wyłączne prawo do ścisłości naukowej. Owocem tedy długoletniej a sumiennej pracy był dwutomowy litografowany manuskrypt *Elementa philosophiae moralis,* który już po r. 1870 znajdował się w ręku uczniów jako podręcznik do wykładów. Ten właśnie rękopis stał się podstawą do obrobienia omawianego przez nas dzieła.

Encyklika Leona XIII *Aeterni Patris* (4 sierp. 1879), wzywająca szkoły katolickie do gruntownych studyów filozofii chrześcijańskiej na podstawie św. Tomasza z Akwinu, dała pochop Jezuitom niemieckim rozprószonej prowincyi nadreńskiej do rozpoczęcia z następnym rokiem wydawnictwa *Philosophia Lacensis,* w którem i Meyer wziął udział. Osłabiony jednak dolegliwościami sędziwego wieku mógł w pracy postępować tylko powoli. Wartość dzieła nic na tem nie straciła, owszem zyskała. Autor nietylko obrobił rzecz całą nadzwyczaj gruntownie i sumiennie, ale nadto przesunął kolejno przed oczyma naszemi całą najnowszą literaturę etyczną, którą z okazyi wykładanych przez siebie tez uwzględnić musiał.

We wstępie t. I. podaje M. pojęcie filozofii naturalnej i jej historyi (p. I—XXVII). Część I. omawia prawo natury ogólne, a mianowicie elementa i warunki aktów woli ludzkiej, ich cel naturalny, własności fizyczne i moralne, normę wiążącą moralnie akty woli czyli obowiązki *(lex),* subjektywny *dictamen* moralny: sumienie. Część II. obejmuje prawo socyalne ogólne, a mianowicie: socyologię ogólną i istotną spój-

nię organizmu socyalnego czyli prawo *(ius)*. Ujęty w t. I. właściwy materyał etyki ogólnej umieszcza M. w osobnych tezach, w których wyjaśnia przyjętą przez się terminologię i zasadnicze pojęcia, a następnie przeprowadza dowody na każdą część postawionej tezy.

Konkluzye ważne płynące wprost z dowodów tezy umieszcza najczęściej w t. zw. *corollariach*. Nadto dodaje czasem *scholia*, czyli uwagi, zawierające dokładniejsze wyjaśnienia rzeczowe i historyczne. Na końcu trudniejszych kwestyj znajdujemy jeszcze osobne rozdziały podające klucz do rozwiązania zarzutów, pełne trafnych, głębokich i zwięźle ujętych wskazówek. Przed tezami polemicznemi streszcza autor jasno rozmaite szkoły, a zwłaszcza zasady ich twórców i przewódców, zbija je też z godnością, spokojem i precyzyą. Obok dawnych błędów występują tu na pierwszy plan nowsze, głównie w kwestyi normy rozróżniającej dobro i zło moralne; eudemonizm i utylitaryzm subjektywny i socyalny, ewolucyonizm altruistyczny, empiryzm moralny, progresywizm humanitarny, pesymizm, pozytywizm moralny, deontologizm rozumu autonomistycznego (Kanta) i deontologizm racyonalistyczny panteistów. Te błędne teorye uwzględnia O. M. również, kiedy omawia normę obowiązującą i pojęcie prawa *(ius)*. Wobec tego, że od lat mniej więcej 25 nastąpił w filolozofii wielki i walny zwrot do Kanta, ks. Meyer szczególną poświęca mu uwagę, zbijając gruntownie jego mylne i bałamutne zasady, wnoszące do logiki i metafizyki idealny sceptycyzm, i burzące konsekwentnie w etyce właściwe pojęcie obowiązku i prawa, przez oderwanie moralności od jej źródła, Boga. Ks. M. wykazuje w całej etyce ogólnej nadzwyczaj sumiennie i głęboko, że bez podstaw metafizycznych zasady moralności udowodnić się nie dadzą. To też nie dziw, że t. zw. „etyka niezależna“ wysuwa cały arsenał erudycyi, by je obalić. Dlatego również podaje w I. t. swej filozofii moralnej przed każdą zasadniczą kwestyą ogólną „syntezy propedeutyczne“ już to z zakresu metafizyki ogólnej, już to z dziedziny psychologii, teodicei naturalnej i kosmologii ogólnej, uzasadniając zwięźle zasady metafizyczne niezbędne jako podstawy do badań w dziedzinie etyki. Oparty na tych zasadach, rozwinął szczególnie gruntownie rzecz o szczęściu, normie moralności. Traktaty o prawie naturalnem *(lex naturalis)* i pojęciu samego prawa *(ius)* należy zaliczyć do klasycznych.

Przechodzimy z kolei do właściwej osnowy, naszej oceny tj. do t. II.: *Ius naturae speciale*. Tu bierze on pod uwagę różnorodną zależność człowieka i płynące stąd prawa i obowiązki. Całość zawiera

w sobie trzy części: I. Prawo indywidualne czyli absolutne. II. Prawo socyalne prywatne, III. Prawo socyalne publiczne. W części I. wyjaśnia stosunek człowieka do Boga, prawa i obowiązki względem siebie samego, podstawowe prawa i obowiązki indywidualne człowieka względem ludzi indywidualnych. W rozdz. 1 tej części zbija ks. M. luźne pojęcia o religii, jakie w ostatnich zwłaszcza czasach wyrobiła t. zw. *Religionswissenschaft*, naznaczająca we wszystkich religiach jako wspólne podścielisko — instynkt i niewytłumaczone jakieś uczucie *ein unbestimmter, schwärmerischer Drang*, i wskazująca jako ideał jakąś religię nieokreśloną, nic wspólnego z rozumem niemającą, na którą się zgodzić może i buddysta indyjski i panteista w guście Renana i neokantianista i ewolucyonista w guście H. Spencera. Meyer zbija te mrzonki i określa jasno pojęcie religii, uzasadniając płynące z niej obowiązki wewnętrzne i zewnętrzne. W tem miejscu pozwolimy sobie zwróciw uwagę na pewien szczegół. Pod koniec §. 2. o naturze i pochodzeniu religii podług wynalazków nowoczesnej nauki, znajdujemy po krytycznem ocenieniu zapatrywań Fr. Paulsena, następujące zdanie: *Multo minus cynicus nihilismus et religiosus et moralis a Nietzsche denique inventus ullatenus meretur, in quo hic utiliter immoremur.* Nam się jednak wydaje, że byłoby to niezmiernie użytecznem, gdyby autor w tem lub innem miejscu podał krótką treść błędnych deliryów Nietzschego i wykazał, dlaczego je odrzucić i potępić należy (jak to uczynił Cathrein w 3 wyd. swej *Moralphilosophie* t. I. str. 140). W rozdz. 2. i 3. traktuje między innemi gruntownie rzecz o samobójstwie i pojedynku, odpowiadając zwięźle na trudności w tych kwestyach się nasuwające. Część II. *(Ius sociale privatum)* przedstawia nam jednostkę socyalną tj. rodzinę w ścisłem i szerszem tego słowa znaczeniu. Przed oczami naszemi przesuwają się podstawy prywatnego prawa socyalnego: małżeństwo, wzajemne stosunki rodziców do dzieci, służba jako uzupełnienie rodziny i rzecz o niewolnictwie. W tej także części szczególnie jasno i gruntownie, choć zwięźle (p. 126—237), traktuje autor o prawie własności, dziedziczenia i kontraktach, i rozprawia się szczegółowo z nowoczesnemi teoryami socyalistycznemi Lassala'a i Marx'a. Część III. *(Ius sociale publicum)* dzieli się na dwie księgi: w pierwszej *(ius civile publicum, Staatsrecht)* mowa o prawie państwowem wewnętrznem, a więc najpierw o błędnych teoryach co do genezy państwa tudzież o celach i jego zadaniach. Zbija po porządku radykalizm socyalny, teoryę „kontraktu socyalnego", system sukcessywnej agregacyi prywatnej, fatalizm historyczny i legitymizm historyczno-racyo-

nalny; załatwia się następnie z fałszywemi teoryami tyczącemi się celu państwa, na gruncie indywidualizmu, liberalizmu i progressyzmu opartemi, a więc t. zw. *Rechtsschutztheorie*, *Culturstaatstheorie* i *fortgechrittene Rechtsstaatstheorie*. Przedłożywszy wreszcie tezy o właściwem zadaniu państwa, przechodzi z kolei do kwestyj, wchodzących w zakres ekonomii politycznej i społecznej. Zajmuje się zatem kwestyą o rozmaitych narodowościach w obrębie jednego organizmu politycznego, kwestyą o genezie władzy i jej translacyi, o formach rządu, stosunku władzy państwowej do poddanych (przyczem rozbiera obszernie kwestyę uzurpacyi władzy i wewnętrznej rewolucyi), o czynnościach właściwych władzy publicznej (prawodawstwo, wymiar sprawiedliwości, administracya i egzekutywa polityczna), o obowiązku służby wojskowej i militaryzmie, a wreszcie o sprawiedliwej normie rozkładania podatków, o wolności wyznań religijnych i szkolnictwie. Rzecz o narodowościach jednego państwa rozbiera w dwóch kwestyach: „Czy istnieją pewne prawa naturalne narodowościowe, które nawet w razie politycznego zjednoczenia z innym narodem mocniejszym powinny być uważane za nietykalne“ i „Czy różne części składowe tego samego narodu, historycznie i politycznie rozdzielone, mogą sobie windykować na podstawie prawa naturalnego władzę ponownego zjednoczenia się w jedno ciało polityczne?“ (t. zw. „zasada narodowościowa“). Pierwszą kwestyę rozstrzyga ks. M. twierdząco, dowodząc, że każdy naród lub jego część, choćby pozbawiona samoistnego bytu politycznego, ma prawo naturalne do egzystencyi narodowościowej, a w szczególności do zachowania swego języka i używania go przynajmniej w zwykłych stosunkach towarzyskich. W tej kwestyi zastrzega się autor jasno, że w tej mierze powinny być najpierw absolutnie ściśle przestrzegane obopólne ugody, zawarte przez naród włączający i włączony, a nadto, lub w braku takiej ugody, uroczyste przyrzeczenia dane przez naród anektujący narodowi anektowanemu. Niezależnie zaś od tych traktatów i przyrzeczeń ma naród anektowany prawo naturalne do egzystencyi nacyonalnej, obejmujące przynajmniej używanie wolne ojczystej mowy i narodowych (godziwych) obyczajów i zwyczajów. Szkoda tylko, że autor w swej, jasnej zresztą i zdecydowanej, odpowiedzi wyraża się trochę niepewno o prawie używania języka ojczystego w szkołach. Mówi bowiem: *„ut autem lingua conservetur, necesse est, ut eius usus saltem in vulgari sociali commercio vigeat nec proinde a scholis institutioni popularium deputatis quasi omnino excludatur“*. Czy to ma oznaczać, że w szkołach ludowych powinno się udzielać „choć

trochę" języka ojczystego? Nam się zdaje, że etyka powinna jaśniej i dobitniej określić nawet w tym względzie prawa narodów słabszych. W przeciwnym bowiem razie mógłby ktoś po przeczytaniu tego miejsca mniemać, że ks. M. jest za prawem mocniejszego, czego absolutnie ze związku całości przypuścić nie można.

Drugą kwestyę t. j. „zasadę nacyonalną" *(Nationalitätsprincip)* rozwiązuje bardzo sumiennie i subtelnie. Najpierw zwraca uwagę, że kwestya ta należy częścią do prawa publicznego wewnętrznego, częścią zaś wchodzi w zakres prawa międzynarodowego. Ks. M. rozstrzyga ją w tem miejscu jako kwestyę prawa publicznego wewnętrznego przecząco przeciwko twierdzeniom Bluntschli'ego i R. v. Mohla, którym w pewnych warunkach (dojrzałości i godności narodowej tudzież konieczności dla celów narodowych), sama narodowość wystarcza jako tytuł do prawa zdobycia niezawisłości polityczno-narodowej lub do połączenia się z inną częścią samoistną swego narodu. Natomiast mówiąc później o prawie międzynarodowem zaznacza ks. M. wyraźnie, że pogwałcone prawa obcych narodów nie ulegają żadnym przedawnieniom (o ile się je opiera na prawie naturalnem), uwalniającym od restytucyi, i piętnuje przymierza państw i ich intrygi celem pozbawienia bytu politycznego niezależnych narodów bez żadnej podstawy prawnej jako gwałt oczywisty, prawu natury przeciwny.

W kwestyi, skąd podmiot władzy władzę otrzymuje, udowadnia autor dobitnie różnicę nauki dawniejszych scholastyków od teoryi „kontraktu społecznego" i supremacyi ludu. Mówiąc o formach rządu, nie jest zupełnym przeciwnikiem konstytucyonalizmu, przyjmuje go tylko z licznemi zastrzeżeniami; pod pewnemi warunkami uznaje godziwość przymusu szkolnego a w regulacyi stosunków ekonomiczno-socyalnych obstaje za prawem interwencyi władzy państwowej.

Księgę II. części III. zawierającą prawo międzynarodowe, dzieli na 3 rozdziały: o prawie międzynarodowem w ogólności, o prawie międzynarodowem wojennem i o potrzebie trybunału międzynarodowego celem stanowienia obowiązujących praw wspólnych i rozwiązywania spornych kwestyi internacyonalnych. Prawo międzynarodowe jest a autora częścią prawa naturalnego. Zbija tu zasady t. zw. szkoły historyczno-pozytywistycznej, wykazując dosadnie, że prawo międzynarodowe pozytywne o tyle tylko może mieć moc istotnie obowiązującą, o ile przyjmuje za podstawę prawo naturalne. Nader gruntownie obrobił kwestyę interwencyi międzynarodowej.

Część II. i III. wypadły w tym tomie prawdziwie klasycznie.

Każdy, kto pisać będzie w zakresie ekonomii polityczno-społecznej i o prawie międzynarodowem, nie może się nie liczyć z Meyerem, zwłaszcza że autor traktuje o wszystkich najnowszych teoryach i postulatach prawno-etycznych i prawno-państwowych.

Mnogość i różnorodność kwestyj traktowanych w tem zasłużonem dziele nie pozwala nam na bardziej szczegółową ocenę. Sądzimy jednak, że samo wskazanie, choć ogólnikowe, zawartej w niem treści zachęci kompetentnych do przeczytania książki Meyera, której i przeciwnicy nie będą mogli odmówić ścisłości i sumienności w przeprowadzaniu dowodów, jakoteż znajomości etyczno-prawniczej literatury. T. II. ma równie dokładny jak t. I. spis rzeczy, zawierający podział tez, a nadto dla lepszej oryentacyi spis nazwisk i rzeczy, odnoszący się do całego dzieła.

Ks. Eugeniusz Hełczyński.

Histoire de S. Jean-Baptiste de la Salle. *J. Guibert.* Paris. Librairie Ch. Poussielgue. 1900. (Str. XL, 725).

Zauważyć należy w dziejach Kościoła, w zmieniającej się wedle wieków i potrzeb czasu „psychologii świętych" wyraźną ewolucyę. W pierwszej połowie stuleci chrześcijańskiej ery widnieje raczej unikanie świata, dążność do kontemplacyi, szukanie przedewszystkiem osobistego wydoskonalenia. Zrazu pustelnicy wybiegają do Tebaidy, zaludniają puszczę Nitryjską. Później następuje okres surowych reguł, krat, klasztorów od świata ściśle odgraniczonych. Oczywiście, mówimy tu o prądzie głównym, uogólniając kierunek, w którym zawsze bywały wyłomy. Im bliżej dni naszych, tem widoczniejszy zwrot ku posłudze bliźnich, ku praktycznym trudom, ku poświęceniu i pracy. Od trzech wieków nie powstają już żadne kontemplacyjne zakony, natomiast mnożą się nieustannie instytucye, przeznaczone do niesienia ulgi cierpiącej ludzkości, do niesienia światła błądzącej. Do rzędu tych nowoczesnych Świętych, odpowiadających wymaganiom trudnych naszych czasów, Kościół zaliczył Jana de la Salle, założyciela braci Szkół chrześcijańskich. W życiu jego napróżno szukać mistycznych zachwytów, cudownych zdarzeń i legendowych blasków. Ale acz wylane na zewnątrz wielkiem zadaniem wychowania dziatwy ubogiej, to życie było ciągłą modlitwą wewnętrzną, a jeśli cudotwórczą nie słynął mocą, największym cudem dzieło, do którego przywiązał swe imię, w którem ducha swego zostawił. Wystarczy wspomnieć, że bracia Szkół chrześcijańskich ratują dziś duszę Francyi od zalewu bezbożno-

ści, że na przełomie dwóch wieków, to jest w r. 1900, zakonna rodzina Jana de la Salle liczy około 20.000 członków, rozsypanych po wszystkich częściach świata i kierujących wychowaniem około 400.000 uczniów bądź szkółek ludowych, bądź pensyonatów fachowych, kształcących rolników, przemysłowców lub rzemieślników. Do tych cyfr należałoby doliczyć cały szereg pokrewnych Kongregacyj nauczających, które we Francyi powstały pod impulsem Jana de la Salle, a które drugie tyle liczą członków i niemniejszą ilość uczniów. Wśród tych zgromadzeń wyróżniają się zakłady błog. Grignon de Montfort, oraz stowarzyszenie młodych nauczycieli, założone przez świątobliwego brata smutnej sławy ks. Lamennais, Jana de la Mennais, o którego beatyfikacyę w tej chwili czynne w Rzymie rozpoczęły się zabiegi. Głośny za życia kapłan runął w przepaść odstępstwa, cichy jego brat bodaj dostąpi najwyższego w Kościele uczczenia.

Biografii Jana de la Salle podjął się Sulpicyanin, ks. Guibert, profesor przy Instytucie katolickim w Paryżu. Wspólną francuskim hagiografom swadą rozszerzył w nieskończoność swą pracę, wypełniającą przeszło 700 stronnic bitego druku. Wśród nadmiaru drobiazgów i szczegółów, ginie niemal naczelna postać i z trudnością przychodzi ogarnąć życie i zasługi, utopione w morzu wiadomości ściśle zadokumentowanych. Postaramy się czytelnikom naszym oszczędzić trudu przewertowania tego olbrzymiego tomu, kładąc nacisk na ważniejsze ustępy.

Przedewszystkiem na wstępie znalazł się ciekawy i wyczerpujący rozdział o szkołach ludowych w średnich wiekach. Dziś liberalizm i masonerya próbują skonfiskować na własną korzyść upowszechnioną oświatę, dowodząc samochwalczo, iż ona jest ich zasługą i dziełem. Owszem, Kościół pomawiają o pielęgnowanie ignorantyzmu i ciemnoty, bodaj reformacyi przypisując początek ludowego nauczania. Nigdy bezczelniejszego kłamstwa nie zapisała historyografia, zamieniona w wielką konspiracyę przeciw prawdzie w ciągu ostatnich trzech wieków. Dopiero za dni naszych, z sumienia ściślejszych pracowników padło *Fiat lux* na zarosłą ostem niwę dziejową — i zdumiony świat widzi rozwianie nagromadzonych systematycznie fałszów. Pokazuje się niezbicie, że Reformacya cofnęła oświatę, zniszczyła cywilizacyę i upiętrzyła w dziedzinie szkolnictwa tyle bodaj ruin, ile ich później Rewolucya z kolei przyczynić miała. W średnich wiekach nie było niemal parafii, któraby własnej nie posiadała szkółki. W cieniu każdej katedry wyższe rozwijały się szkoły, a Kościół rozpalał żarliwie ka-

gańce oświaty, zalecając bezpłatność nauczania ludowego. Z czasem atoli, w miarę przyrostu ludności, liczba zakładów naukowych okazała się niedostateczną, a bezpłatność nie zawsze mogła być przestrzeganą. Przedewszystkiem u wstępu do nowożytnych czasów uskarżano się na brak nauczycieli. Kobiety pierwsze spróbowały wyrównać niedostatek i zejść w arenę ludowego nauczania. Św. Karol Boromeusz dał popęd sprawie założeniem Urszulanek w 1537 r., zaczem jęły się mnożyć kongregacye żeńskie nauczania, o cały wiek wyprzedzające męskie tego rodzaju zakłady. Dopiero w 1651 przyszedł na świat ten, który miał zabezpieczyć dzieciom Francyi, ludowi francuskiemu, przystępne, praktyczne, chrześcijańskie a narodowe wykształcenie i wychowanie.

Rodzina jego pochodziła z Katalonii, wnosząc w żyły jego tę domieszkę krwi rycerskiej, która wybuchać zwykła bohaterstwem lub świętością. Iberyjscy święci porywają osobnym animuszem. Dość wspomnieć Dominika de Gusman i Teresę de Ahumada, Ignacego z Lojoli i Jana Bożego. Rodzina La Salle osiadła w mieście historycznem Reims, kędy królowie Francyi spieszyli po chryzmat monarszy. Jan Chrzciciel de la Salle był najstarszym z dziesięciorga rodzeństwa zbożnie chowanego przez chrześcijańskich rodziców. Dzieckiem jeszcze ulubioną znajdował rozrywkę w naśladowaniu świętych obrzędów, w przebieraniu się za księdza, śpiewaniu liturgicznych pieśni i odprawianiu nabożeństwa z pobożnością, która wykluczała myśl prostej rozrywki. Oddany do szkół, przez całych lat dziewięć młody Jan zaledwie w domu rodzicielskim słyszał dźwięki mowy rodzinnej. W szkole przemagała łacina. Rozmowy nawet tylko po łacinie bywały prowadzone. Dziś to dla nas język umarły. W XVII. wieku żył on jeszcze w pełni, uchodził za międzynarodową mowę, jedynie godną głębszych prac i trudów. Język francuski w takiej pozostawał wzgardzie jak dyalekt prowincyonalny, którym nie raczą się odzywać wykształceńsi ludzie.

W dwunastym roku życia młody Jan zwierzył się rodzicom z chęcią obrania stanu duchownego, a choć wówczas nierzadkiemi bywały tak przedwczesne powołania, rodzice nie bez żalu zgodzili się na to postanowienie najstarszego syna, któremu chcieli przyszłość swego nazwiska i domu przekazać. Jedenastoletniemu pacholęciu niebawem udzielono tonsury, a w kilka lat później, stosunki rodzinne, poparte wybitnemi zdolnościami młodego kleryka, zaopatrzyły go w kanonikat kapitulny przy katedrze w Reims. Ale nasz Święty nie obrał stanu duchownego dla świeckich dostojeństw i zapragnął wyższemi

studyami teologicznemi przygotować się do kapłaństwa. Seminaryum paryskie św. Sulpicyusza jeszcze było całe owiane duchem świątobliwego swego założyciela, ks. Olier. Tam tedy Jan de Salle zamieszkał, sposobiąc się do doktoratu Sorbony. Dwa lata przepędził w tej szkole doskonałości, gdy nagle śmierć obojga rodziców zniewoliła go do powrotu w rodzinne progi. Zastał w osieroconym domu sześcioro młodszego rodzeństwa, oglądającego się za jego radą i sercem. Na razie obowiązki wobec nich przyjęte pochłonęły go całego. Wychowanie braci, z których najmłodszy miał zaledwie lat sześć, zarządzanie ojcowskim majątkiem z największą sumiennością i praktycznością, kierowanie losem sióstr, zastąpienie im rodzicielskiej opieki, wszystko to przez następne lata wypełniło jego życie. Nie tracił wszelako z oczu swego właściwego powołania, nie przerywał studyów teologicznych, raz po raz rekollekcyami zastępując stały pobyt w seminaryum, aż nareszcie w r. 1698 kapłańskie otrzymał święcenia i odprawił pierwszą Mszę św., otoczony wieńcem braci i sióstr, którzy w nim ojca upatrywali. I oto niebawem zarysowało się posłannictwo, do którego Bóg go przeznaczał.

Raz więcej w życiu Jana de la Salle przychodzi spostrzedz działanie ducha Bożego i woli Bożej w zapoczątkowaniu każdego potrzebnego w danej chwili dzieła. Szkoły nadto łaciną przesycone, właściwie już elementarnego wykształcenia nie dostarczały, nauczanie bezpłatne zniknęło, a przedewszystkiem ogólnie narzekano na brak nauczycieli, na niedostatek ich wyrobienia i podniesienia do wysokości zadania. Naraz różni ludzie, w różnych miastach Francyi podjęli tę myśl, postanowili złemu zaradzić, kształceniem nauczycieli ludowych, przedzierzgnięciem ich rzemiosła w powołanie, uprzystępnieniem nauk elementarnych dla klas ubogich. Rozliczne w tym kierunku dokonane próby, opatrznościowem zrządzeniem zeszły się w ręku Jana de la Salle, który miał skrystalizować cały ten prąd dobroczynny w Instytucyi Braci szkółek chrześcijańskich. Inni zdali na niego własne zamiary, powierzyli mu dopełnienie własnej myśli. Żyjący wśród rodziny młody kapłan nie od razu podjął zwierzone sobie zadanie. Rozumiał, że w takie dzieło wypadłoby mu całą włożyć duszę. Nie ciągnęło go też wcale obcowanie z ludźmi niższego wychowania, poufałość z prostakami, a przeczuwał, że do niczego nie dojdzie, jeżeli się z niemi nie zżyje, jeśli ich nie przygarnie do swego domu. Powoli, zwalczywszy przyrodzone wahania i wstręty, założył w pobliżu jedną i drugą szkółkę, organizując w niej nauczanie bezpłatne, dla dzieci najuboż-

szych, pozbieranych z ulicy i wydartych zgorszeniu. Stopniowo jął zapraszać nauczycieli owych szkółek do swego stołu; miał to być zawiązek zgromadzenia, a zarazem i początek wielkich prób życia świętego założyciela. Niebawem bowiem rodzina jego znalazła niewłaściwem towarzystwo prostych nauczycieli dla braci przy Janie zamieszkałych. Pod pozorem, iż takie zbliżenie nie licuje z ich urodzeniem i wyższem w społeczeństwie położeniem, wydarto młodemu kapłanowi opiekę nad rodzeństwem, odebrano mu braci, a jakkolwiek cierpiał nad tem rozłączeniem i zrobioną sobie krzywdą, zamiast odstąpić od pługa, do którego rękę przyłożył, postanowił cały się oddać zbożnemu dziełu ukształcenia nauczycieli ludowych. Sam wśród nich teraz zamieszkał, a zrywając stopniowo z wszystkiemi węzłami, łączącemi go ze światem, wyzbył się dostojeństw kapitulnych, opuścił dom własny, sprzedał przypadający nań dział ojcowizny, rozdał wszystko ubogim, sam zaś osiadł wśród wybranej gromadki, która miała stać się zawiązkiem Instytutu Braci szkół chrześcijańskich. Ten wielki pan, niedawno urodzeniem i majątkiem zajmujący wysokie w Reims stanowisko, a skutkiem wykwintnego wychowania i poloru wzdrygający się przed bliższem obcowaniem z ludźmi niższego poziomu i prostaczych obyczajów, teraz dobrowolnie wszystko opuszczał, z całą zrywał przeszłością, byle się oddać na usługę rozpoczętego dzieła. Dzień 24 czerwca 1682 r. powszechnie bywa święconym w Zgromadzeniu Braci, jako dzień narodzin ich Kongregacyi. W dniu tym Jan de la Salle przeniósł się do domu, gdzie poprzednio umieścił był kilkunastu młodzieńców, których sam chciał wyrobić i wychować na nauczycieli ludowych.

Nie będziemy wdawać się w biograficzne szczegóły fundacyi, która przechodziła przez zwykłe rzeczy Bożych koleje: a więc doznała i prześladowań i przeciwieństw bez liku, i napaści ze strony nieprzyjaciela ludzkości, usiłującego w zawiązku stłumić dzieło zbawienia wielu. Czytamy o latach wielkiego niedostatku, w których fundator Braci zmuszony był o żebranym chlebie swoją utrzymywać gromadkę, a jeszcze okruchami dzielił się z uboższymi, w epokach głodu dziesiątkującego nieraz ludność Francyi. Wielka ufność w Panu, który o każdym robaczku pamięta, dodawała mu odwagi, której udzielał swym synom.

Sam święty fundator nigdy się nie zachwiał wśród prób bez liku: to zamierzone fundacye nowych szkółek zawodziły, to zazdrość płatnych nauczycieli wzniecała burze przeciw Braciom. Tu sameż ich szeregi przerzedzały się skutkiem niedostatecznego powołania, najdzielniejsze siły ubywały młodemu zgromadzeniu, bądź wystąpieniem, bądź przed-

wczesnym zgonem. Tam motłoch napadał na szkółkę, aby ją zrabować i zniszczyć, tam znów władze parafialne lub rządowe stawiały opór niezależności bezpłatnego nauczania. Wtrącano się w regulamin Instytutu, pomawiano założyciela o zbytnią surowość, narzucano mu zmiany zasadnicze nawet w zewnętrznym stroju Braci. Niezłomny i cierpliwy, nigdy na włos nie ustąpił z wytkniętej drogi, znosząc łagodnie i wytrwale piętrzące się trudności i burze. Z czasem tylko nabrał rosnącej nieufności do własnej osoby i zdania. Jął mniemać, iż zawadza rozwojowi Instytutu, ściąga nań niegodnością własną próby godzące raczej w niego samego. Zawsze pokorny, pod koniec życia usuwał się coraz więcej od przewodniego stanowiska, złożył nawet przełożeństwo, nie śmiał brać decyzyi i nowych podejmować się fundacyj. Przez ostatnich ośm lat więcej się modlił aniżeli czynnie rządził zgromadzeniem, które mu zawdzięczało byt swój i rozwój cały. Najdotkliwszą w życiu świętych próbą, doświadczenia jego prawie zawsze płynęły ze strony ludzi zacnych, pobożnych i duchownych. Oczywiście potęgowało to ciężkość krzyża wkładanego na jego ramiona, nie przez nieprzyjaciół Chrystusowych, lecz przez sługi Kościoła, przez mężów powagą i zasługą wybitnych. Nic nie wyczerpnęło pokory i łagodności Jana de la Salle, nic też jego stałości nie złamało. Co raz postanowił o Instytucie, nigdy nie uległo zmianie. Przedewszystkiem celem Zgromadzenia pozostało bezpłatne nauczanie ludu za pomocą szkółek, w których co najmniej po dwóch wykładało Braci. Kształcenie nauczycieli ludowych było obok owych szkółek podwójnem zadaniem Zgromadzenia. Później rozrosło się to zadanie w różnych kierunkach: w kierownictwie szkół zawodowych, szkółek poprawczych, a nawet po części i szkół normalnych z dołączonemi internatami. Ale zawsze ludowe, elementarne nauczanie stanowiło i stanowi jądro i cel Kongregacyi, a pod tym względem święty jej założyciel stanął na wyżynach uprzednio nie dosięgniętych przez żadnych pedagogów. To też dziś samiż nieprzyjaciele wiary zmuszeni są uznawać jego powagę w dziedzinie ludowego wychowania. On je właściwie stworzył w dzisiejszem pojęciu tego zadania. On ojcem metody dziś rozpowszechnionej i przyjętej w szkołach elementarnych całego świata.

Trzy są bowiem sposoby nauczania: niegdyś przemagał sposób indywidualny, kiedy nauczyciel uczył i przesłuchiwał każdego po kolei ucznia, co uniemożliwiało liczniejsze korzystanie z nauki mistrza. Za dni naszych pojawiła się metoda lankasterska, oparta na mutualizmie, czyli pomocy dzieci udzielanej nauczycielowi wyborem pilniejszych i bystrzej-

szych „dziesiętników“. Już w XVII. wieku znano i wypróbowano tę metodę, ale Jan de la Salle przeprowadził inną, dziś ogólnie przyjętą i najskuteczniejszą metodę nazwaną symultanną, to jest wykładu ogólnego dla całej klasy, choćby najliczniejszej, postępującej wspólnością uwagi, pilności i trudu.

Chcąc dać poznać istotę szkół chrześcijańskich i właściwy ich ustrój, trzeba nam wejrzeć w podwójną regułę, tę, która stanowi o powołaniu Braci, i tę, która o ich nauczaniu rozstrzyga. Duch szkół i Braci, to duch samegoż założyciela, owoc jego długoletnich doświadczeń i rozmyślań. Spisując ustawy swego Zgromadzenia, przedewszystkiem czerpał z Reguł nadanych Towarzystwu Jezusowemu przez św. Ignacego, oczywiście z przystosowaniem do posłannictwa właściwego nauczycieli ludowych.

Z góry zakreślił im granice, postawił zadanie i wskazał powołanie. Instytut szkół chrześcijańskich wedle określenia świętego założyciela, ma być dziełem apostolskiem, zajmującem się dziećmi ubogich, aby z nich chrześcijan uczynić. To też uogólniając oświatę chrześcijańską, Jan de la Salle nie chciał aby jego Synowie wychodzili poza zakres ludowego nauczania. Z góry postanowił, iż Bracia będą Zgromadzeniem zakonnem, nie kuszącem się nigdy o święcenia kapłańskie, na żadne wyjątki tu reguła nie dozwala, i dlatego też, przy kształceniu nowicyuszów, łacina zupełnie bywa wykluczoną. Nasz święty ogromnie polegał na potędze modlitwy, przestrzegał w szkółkach ćwiczeń pobożnych codziennych, polecał, aby z każdej klasy zawsze dwóch do trzech uczniów kolejno w kaplicy odmawiało różaniec, dla nieprzerwalności modlitwy nad wszelkie ludzkie środki skuteczniejszej.

Za dni naszych, gdy niedostatek katechizmowego rusztowania w życiu znaczy się ogólnym rozstrojem, warto przypomnieć jak poczesne miejsce święty założyciel przyznał wykładowi katechizmu, codziennie przez pół, w dnie świąteczne przez półtory godziny udzielanego. „Nauczyciel nie ma używać kaznodziejskiego tonu, ale wciąż stawiać pytania, nieraz jedno i to samo kilku uczniom z kolei, aby całej klasie dobrze przedmiot wyjaśnić. Posługiwać się będzie najłatwiejszemi, najprzystępniejszemi wyrazami, które nie wymagają tłumaczenia, baczyć będzie, aby zapytania i odpowiedzi były najkrótsze i najtreściwsze, mało mówić, dużo pytać, w pytaniu umieścić odpowiedź, zachować przynależną powagę, nigdy nie dawać okazyi do śmiechu ani też do znudzenia jednostajnością wykładu, nigdy nie przerywać lekcyi łajaniem i karami nie w porę“, oto wskazówki zostawione przez święto-

bliwego nauczyciela. Uczono tedy czytać i pisać po francusku, ortografii i rachunków, dawano dzieciom ten stopień kultury, który odpowiadał ich położeniu i wymaganiom ich życia, nie budząc, jak to za dni naszych bywa niezaspokojonych losem aspiracyj. Metoda La Salle'a upowszechniła się niebawem i stała się podstawą całego elementarnego nauczania. Każde dziecko mające przed oczyma książkę jednaką, idzie za ogólnym całej klasy postępem, co ułatwia symultanność wykładu i wspólność nauki. Św. Jan de la Salle określił też wyraźnie kodeks środków poprawczych, powtarzał, iż karność i stanowczość nigdy się w twardość surową przedzierzgać nie powinna. Atoli powtarzał, iż gdy rady ojcowskie i wpływ moralny nie pomoże, raczej należy do rózgi się uciekać, aniżeli na rozpuszczenie niesfornych zezwalać.

Określiwszy zadanie Instytutu pobożny założyciel dokładnie też oznaczył, czego wymaga od synów swoich zakonnych. Reguły przezeń spisane pozostały dotąd podwalinami zgromadzenia. Podług nich Brat szkół chrześcijańskich jest zakonnikiem-nauczycielem dla bezpłatnego kształcenia dzieci ubogich. Stopniem udzielanej im nauki, odpowiednio sposobi synów ludu do zdobycia sobie uczciwego w życiu stanowiska, a kształcąc ich w wierze i cnocie, podnosi poziom warstw rękodzielniczych i wskazuje na wynagrodzenie niebieskie.

Aby się całkiem oddać apostolstwu społeczno-chrześcijańskiemu, brat szkół chrześcijańskich zrywa wszystkie węzły doczesne, wyrzeka się wyższych stopni naukowych, zamykając się w obrębie tych tylko wiadomości, których ma dziatwie udzielać.

Do tego apostolstwa koniecznem duch wiary i ukochanie dusz, a te dwa bodźce tylko się wyrobić dadzą na podstawie spotęgowanego życia wewnętrznego. Dobry zakonnik będzie dobrym też nauczycielem. Suknię dla synów swoich święty założyciel wybrał jak najprostszą, obuwie i płaszcz używany w owej epoce przez ubogich z ludu; odtąd ta szata zakonna Braci szkół chrześcijańskich zrosła się z dziejami narodu, stała się godłem poświęcenia, nie w samym tylko zakresie nauczania. Czy głód dziesiątkował Francyę, czy zaraza szerzyła śmiertelność, czy wojna zakrwawiała ojczystą ziemię, wszędzie widniała stale czarna suknia duchownych Synów błogosławionego Jana, oni unosili rannych z pobojowiska, oni służyli dotkniętym powietrzem, oni ostatkami chleba dzielili się z głodnymi.

Uderza roztropność przepisów, stanowiących o całym dniu pojedyńczego brata. Nigdy on nie jest osamotnionym, życie ogarnięte wspólnością bratnią, nawet klasy podzielone są oszklonemi ścianami tak, iż

bracia wciąż się nawzajem widzą i razem żyją, modlą się, pracują. Boże dzieciątko jest ideałem, do którego dążyć mają w wychowaniu dziatek. Podstawą instytutu, zdaniem świętego założyciela, to cztery węgły oparte na modlitwie myślnej, obecności Bożej, duchu wiary i skupieniu. Umartwienie uważał Jan de la Salle za konieczny warunek doskonałości, i zalecał pokutne ćwiczenia Synom swoim tak przykładem jak i radą, ustawami zawarowaną. Do nowicyatu Braci już w siedmnastym roku życia przyjętym być można; w dziewiętnastym wolno roczne składać śluby, po upływie lat dziesięciu związać się dożywotniemi.

Benedykt XIII. ostatecznie zatwierdził instytut Braci szkół chrześcijańskich, potwierdził regułę odpowiadającą wymaganiom trudnego nieraz, lecz rodzajnego zawsze apostolstwa ludowego. Święty Jan de la Salle długiemi modlitwami i doświadczeniem całego życia przygotował się do spisania tych ustaw zdumiewających mądrością i praktycznością, a utrzymujących jego ducha w zgromadzeniu, które się rozrosło jak ziarnko gorczyczne, bo jeśli w 1717 r. żyło 102 Braci pod tą regułą, w r. 1900 obowiązuje ona do 20.000 Synów św. Jana.

Tymczasem do nieustannych krzyżów przyłączyła się fizyczna niemoc, reumatyzm, który go przez resztę życia trapić miał dotkliwie. Zdawało się na razie iż umrze: „Polecam wam wielkie posłuszeństwo i wielką jedność“ powtarzał gasnącym głosem, a gdy lekarze polecali zmianę powietrza, powrót w rodzinne strony, odpowiedział: „Rodzinnem powietrzem Braci jest niebo!“ Danem mu było dłużej jeszcze pozostać wśród ukochanej drużyny. Zachowało się sporo jego listów, rozpraw, sprawozdań. Warto przypomnieć doskonałą jego obronę nauczania w ojczystym języku, wówczas dla łaciny pogardzanym, a w którym upatruje on jedyne narzędzie przeniknięcia dusz prostych nauką religii. Znalazły się i urywki przemów, jakiemi zagrzewał ducha swych synów: „Jesteście jakoby robotnikami, zbierającymi pokłosie, za żeńcami zostawione, a poniechane i podeptane kłosy. Waszą pociechą jest, że ich tyle zebrać możecie pełnemi rękoma, aby je odnieść do spichlerzy Ojca niebeskiego. Jeżeli nie wstępujecie na stopnie ołtarza, ni kazalnicy, nie chrzcicie ani rozgrzeszacie, nie imacie się kadzielnicy, aby świątynie Najwyższego napełniać wonnym dymem, na was spada zaszczyt gotowania Panu żywych przybytków i pracowania nad uświęceniem opuszczonej dziatwy. Jeżeli w kościele bywają chlubniejsze powołania, niemasz bodaj użyteczniejszego. Dość po świecie mnichów i zakonników, zbyt mało katechetów z powołania nauczających młodzież“.

Powstały w Reims, wypróbowany w Paryżu, Instytut szkół chrześcijańskich ostatecznie w Rouen się rozwinął i ustalił. Tam też święty fundator miał złożyć swoje kości i umrzeć wśród braci. Jak to wspomnieliśmy wyżej, w ostatnich latach krył się i usuwał z przewodniego stanowiska, chciał służyć i słuchać, sposobić się na śmierć i wypraszać łaski dla swego Instytutu. W końcu wyzuł się nawet swoich książek, aby w zupełnem ubóstwie, jak najmniejszy z Braci poddawać się przełożonym. Długa choroba nie wyczerpała jego pogody, nie ostudziła zapału do modlitwy i umartwienia. Umarł w dniu Wielkiego Piątku 1719 r. nie dokonawszy lat sześćdziesięciu ośmiu. W chwili zgonu zerwał się jakby dla powitania kogoś: wyszedł na spotkanie Zbawiciela, któremu tak wiernie służył i służyć nauczał. Zaledwie oczy zamknął uprzedzający wyroki Kościoła głos powszechny obwołał jego świątobliwość. Robotnicy i maluczcy opłakiwali w nim ojca, kapłani wzór doskonały, Zgromadzenie Braci duszę Instytutu. Pochowanym został w Rouen, zrazu w kościele, później, za rozpoczęciem procesu beatyfikacyi, w r. 1835 przenieśli Bracia święte zwłoki do kaplicy domu własnego, gdzie od r. 1888 wystawione są ku uczczeniu wiernych. Charakteryzując jego działalność, biograf dodaje naczelne rysy tej wyjątkowej postaci. Zmysł praktyczny cechował każdy jego krok, każde słowo: czy działa, czy mówi, czy pisze, zawsze czyni to aby być użytecznym, ażeby nauczać, ażeby być dokładnie zrozumianym. Stąd jasność jego wysłowienia, stąd skuteczność jego znojów. Wykwintny w obejściu, dusze niewolił, dusze otwierał sobie czarem dobroci udoskonalonej łaską. Umiał być kochanym, rozpalając serca żarem własnej dla bliźniego miłości. Przypomnieć się godzi iż Rewolucya francuska, która tyle ruin upiętrzyła, tyle dzieł znakomitych rozwiała niepamiętną bezbożności nawałą nie oszczędziła i szkół chrześcijańskich. Gdy święty umierał założyciel, Synowie jego dwudziestu dwom przewodniczyli zakładom, z których jeden znajdował się w Rzymie, wszystkie inne we Francyi. Trzeci z kolei następca fundatora, Brat Tymoteusz, w ciągu trzydziestoletniego przełożeństwa, dzieło św. Jana de la Salle do niebywałego doprowadził rozkwitu mnóstwem powołań i nowych fundacyi. W pamiętnym r. 1789 zgromadzenie liczyło w przybliżeniu 121 zakładów we Francyi, 6 zagranicą, do 1000 braci, a około 36.000 uczniów.

Gdy wybuchła Rewolucya zdawało się, iż burza wszystko zmiotła i zwiała. Nie ostała się ani jedna ze szkółek chrześcijańskich, dwa zaledwie domy Braci przetrwały straszną dobę społecznego rozstroju:

w Rzymie i Orwieto. Reszta Braci rozpierzchła się po Francyi, zastępując niejednokrotnie wygnanych kapłanów. Potajemnie gromadzili wiernych, czytali z nimi modlitwy mszy św., czytali ewangelię, uczyli katechizmu i prawd wiary, której gasnący płomień starali się utrzymać i rozniecić, mimo wichrów bezbożności zwycięskiej. Rychlej aniżeli się spodziewano, wybiła dla Kościoła godzina pokoju. Zaledwie Bonaparte uchwycił ster władzy, aliści wuj jego, kardynał Fesch, tak skutecznie jął orędować za Braćmi szkół chrześcijańskich, iż już w r. 1803 powrót ich został legalnie dozwolony i zatwierdzony, z centralną siedzibą w Lugdunie. Kardynał Fesch, arcybiskup tegoż miasta, sam rozpisał wezwanie do rozproszonych Braci, aby się stawili pod sztandar ukochanej Reguły. Zewsząd odpowiedzieli na to radosne orędzie, przywodząc za sobą licznych kandydatów do nowicyatu niebawem otworzonego. Z biegiem lat stanął na czele zgromadzenia mąż, który miał mu ostateczny zapewnić rozkwit, mąż należący do rzędu wybitniejszych XIX. wieku postaci. Komuż nieznanem imię Brata Filipa, którego krzepkie, wieśniacze oblicze uwiecznił pendzel Horacego Verneta w nieporównanym portrecie? Urodzony w r. 1792 przez trzydzieści sześć lat zarządzał Zgromadzeniem, a jeśli zastał wstępując na przełożeństwo 324 domów Braci chrześcijańskich, których było wówczas 2.700, umierając w r. 1874, zostawił ich 11.500, a z kolei utworzyć mu przyszło 1002 nowych zakładów, tak we Francyi jak i za granicą, w innych nawet częściach świata. Za jego rządów powstało 101 szkół chrześcijańskich w Ameryce, 43 w Afryce, 26 w Azyi. Niejeden zakład Braci przybrał zawodowe cechy, znalazły się pod ich kierunkiem szkoły handlowe, przemysłowe, rolnicze. Drugi następca Brata Filipa, Brat Irlidy, idąc w ślady swego poprzednika, głównie umiłował małe nowicyaty, gdzie młode pacholęta wcześnie zaprawiał do powołania nauczycieli chrześcijańskich. On też pierwszy zrozumiał, iż nauczanie chrześcijańskie winno dać się poznać na międzynarodowych popisach, i skorzystał z wystawy powszechnej z r. 1878, aby na chwałę Bożą obrócić ten rodzaj reklamy. Naśladując ów przykład jednego ze swych najznakomitszych kierowników, Bracia szkół chrześcijańskich i w tym roku stanęli w zawody, odnosząc niebywałe tryumfy pedagogiczne, stwierdzone mnóstwem nagród, odznaczeń i medali.

Żyje tedy święty założyciel w Instytucie duchem jego zagrzanym, żyje w pokrewnych kongregacyach, które od niego zapożyczyły przewodnich haseł i metody, żyje bodaj w całemże nowoczesnem nauczaniu, które, niestety, zapierając się zbyt często ożywczego tchnienia

wiary, zaczerpnęło jednak u wielkiego wychowawcy dziatwy ubogiej wskazówek oryentujących dzisiejszem elementarnem wykształceniem. Wobec laicyzacyi i bezwyznaniowości nauki, Bracia chrześcijańskich szkół w znacznej części podjęli akcyę obronną, skorzystali z swobody nauczania wywalczonej niegdyś przez dzielnych szermierzy katolickich, i wolnemi szkołami utrzymywanemi hojnością wiernych sypią wał ochronny przeciw naciskowi bezbożności i masonii. Ta ostatnia raz po raz wznieca nowe przeciw zakładom Braci burze, zakończone stale pohańbieniem oszczerców, jak to w ubiegłym jeszcze roku miało miejsce w Lille, gdy niewinnego Brata Flamidyana usiłowano oskarżyć o ohydną zbrodnię. Sprawdziwszy tedy heroiczność cnót świętego założyciela, stwierdziwszy nieskazitelność jego doktryny w epoce zarażonej jansenizmem, przystąpiono do beatyfikacyi wielebnego sługi Bożego, podniesionego do czci Ołtarzy w dniu 19 lutego 1888 r., aby w dwanaście lat później, przez tegoż papieża Leona XIII., w ciągu miłościwego lata, kanonizacyi wielkiego miłośnika dziatwy ubogiej się doczekać. Nie brakło i ziemskich hołdów składanych dobroczyńcy ludu. W Rouen stanął z ofiar groszy ubóstwa, składanych po całym świecie, gdziekolwiek Bracia posiadają szkółki, posąg dłuta Falguière, przedstawiający św. Jana de la Salle uczącego dzieci, w Reims rzeźbiarz Montagny podobną odtworzył grupę. Gounod napisał kantatę, poeci jak Henryk de Bornier opiewali świętego nauczyciela. A jak gdyby samo niebo chciało stwierdzić wyrok Namiestnika Chrystusowego, nadprzyrodzone łaski, wyproszone za pośrednictwem nowo kanonizowanego świętego, jęły rozsławiać jego potężne orędownictwo, i cześć jego rozszerzać.

Tak tedy, kończy rzecz swoją sumienny biograf, temu, który opuścił pałac rodzicielski, ażeby życie swe i świetne nazwisko ukryć w domu ubogich nauczycieli, Bóg w nagrodę zgotował najchwalebniejszy tryumf, którym radują się wierni powszechnego Kościoła, raduje mianowicie 20.000 zastęp Synów św. Jana de la Salle i blizko pół milionowy tłum uczniów szkół chrześcijańskich.

M.

Vollendete und Ringende. Dichter und Dichtungen der Neuzeit geschildert von *Richard Maria Werner*. Mit neunzehn Porträts. Minden i W. J. C. C. Bruns' Verlag. 1900. (W 8-ce str. IX., i 320).

Chcąc w właściwem sprawozdaniu z najnowszej książki. p. R. M. Wernera, profesora germanistyki na uniwersytecie we Lwowie, zachować zupełny spokój i bezstronność sądu, trzeba poruszyć przedtem

przykrą sprawę przedmowy. „Od wielu lat obcuję prawie tylko z książkami, one utrzymują mnie w związku z moim narodem, podczas gdy wśród obcych przebywam". To słowo „obcy" razi już tutaj zważywszy, że tak silny nacisk kładzie na nie autor. Lecz przykrość rzeczywistą sprawia dopiero dalszy ustęp: „Kto z dala od swoich w nieprzyjacielskiem otoczeniu *(in gegnerischer Umgebung)* przeżył czasy ciężkich walk, od których nie mogą się uwolnić nawet ci, co są najbardziej pozbawieni narodowościowych uprzedzeń, ten słyszy tyle słów nagany dla swego narodu, że zawsze go bronić, lub gdy to nie jest możliwem, usprawiedliwiać będzie". Profesor lwowskiego uniwersytetu skarżący się publicznie na nieprzyjacielskie otoczenie jest zjawiskiem przykrem, w tym zaś wypadku tem bardziej, że jak wiemy napewne całe społeczeństwo polskie, o ile prof. Werner ma z niem do czynienia, okazywało mu zawsze szacunek dla jego głębokiej wiedzy i pięknego charakteru; zresztą zaś my Polacy jesteśmy zawsze wobec cudzoziemców tak uprzedzająco grzeczni. Nastały istotnie czasy „ciężkich walk", ale te nienawiści rasowe i narodowościowe ustają lub przynajmniej przycichają w sferze sztuki i literatury. I dlatego mimo wielkiego szacunku dla prof. Wernera żal nam, że w cierpkiej chwili opuścił stanowisko wyższe ponad wzajemne oskarżania się, że w książce literacko-naukowej uderzył w ton, może niezgodny z powołaniem profesora polskiego uniwersytetu...

Po przedmowie następuje dwadzieścia drobnych rozpraw literackich, połączonych pięknym tytułem *Vollendete und Ringende*. Oczywiście tu i ówdzie przedmiot ciekawy dla Niemców mniej zainteresuje naszą wykształconą publiczność, bo są pisarze albo i w swej ojczyźnie w dalszym szeregu stojący lub też zbyt mało wybitni, aby mogli zająć uwagę czytelników innej narodowości. Tak opuszczamy n. p. ustęp o Leitnerze, poecie, jakich ostatecznie jest wielu, dalej rozdziały o Franklu, który już poza granicami Austryi, w Niemczech jest znany lecz chyba niezmiernie rzadko czytany; o Waldmüllerze, którego rysunek polskiej szlachty w powieści *Das Vermächtnis der Millionärin* (1870) według p. Wernera nadzwyczajnie zaciekawił Kraszewskiego, wreszcie o M. Schmidt'zie, W. Fischerze, kobiecych piórach: P. Justus, S. Höchstetter i i. Lepiej zyskać miejsce na omówienie ustępów o pisarzach bądź już trochę u nas znanych bądź istotnie w obecnej chwili szczególnie poznania godnych.

Odnosi się to n. p. do Emanuela Geibla, zmarłego przed szesnastu laty, dla polskiej publiczności zaś z jej szkodą nigdy nie żyją-

cego. A szkoda, bo Geibel jako liryk nie posiada wprawdzie porywającej siły, lecz ma talent szczery i bardzo charakterystyczny. Ani cienia brutalności lub tylko pospolitości; zawsze powaga, równowaga uczucia, nigdy nie udanego, nie sztucznie roznamiętnionego, pewien arystokratyczny wstręt przed wszystkiem, co jest w życiu nizkiem i podłem; jak charakterystycznym jest jego opór przeciw rewolucyjnym ruchom r. 1848, a jego słowa wtedy wypowiedziane godne są zanotowania:

„Freiheit ist wie ein starker Wein;
Dem Manne wird sie stets gedeihn;
Aber ihr zecht und schreit wie Knaben,
Ihr werdet morgen Kopfweh haben.

To też bożyszczem tłumów nigdy nie był, lecz dla czytelników uciekających przed wrzawą codziennego życia, jego liryka staje się oazą spokoju, szczerości uczucia.

Tej ostatniej, otwarcie mówiąc, nie wiele widzimy w liryce Pawła Heyse'go. Prof. Werner, który wziął sobie za zadanie „bronić a jeśli to nie jest możliwem, usprawiedliwiać", w tym ustępie jest za mało stanowczy, chociaż między wierszami czyta się niejednokrotnie surowszy sąd. Ogromnie ciekawem jest zestawienie Heysego wierszy na przedwczesny zgon synka z nieśmiertelnemi „Trenami". W obu razach boleść wielka i niewątpliwie szczera a jednak jej poetyczny wyraz o ileż bardziej bezpośrednim i szczerym jest u polskiego poety. Sam autor chwaląc je bardzo wymownie, musi dodać: „nigdy się nie zapomina, że to są wiersze; boleść, która z taką sztuką utrwala się w wierszach, zdaje się przyglądać się sobie w zwierciedle". Ta wyrafinowana technika, artystycznie niesłychanie wyrobiona, jest ozdobą ale i słabą stroną liryki Heysego. Poeta żyje w świecie artystycznej ułudy, buduje sobie jakiś piękniejszy, lepszy świat, zachowuje wszędzie olimpijski spokój, rażący nieraz jako brak uczucia. Heyse jest głośnym, jako nowellista a ta sława o ile odnosi się do techniki utworów tych jest zasłużoną, to też z drobniejszych jego poetyckich dzieł najlepszemi są epiczno-liryczne romance. Tu bowiem z natury rzeczy pięknie przedstawiony epicki element ułatwia zapomnienie, że liryczne uczucie nie jest głębokie.

Geibel już umarł, jest więc i w materyalnem znaczeniu „skończonym", Heyse dziś starzec 70-letni chyba też u kresu rozwoju stanął. Ci dwaj wraz z przed kilku tygodniami zmarłym Adolfem Pichlerem jedyni może z omawianych przez autora pisarzów w zupełności należą do „skończonych". I Pichler jest u nas prawie niezna-

nym a dopiero ostatnie lata rozniosły jego imię poza granice ściślejszej ziemi rodzinnej. Jest nią Tyrol a autor trafnie wnioskuje, jak zbawiennym był wpływ ojczystej gleby na poetę, żyjącego niejako na pograniczu świata germańskiego i klasycznego. Szkoda, że niema zestawienia Pichlera z Roseggerem, tkwiącym tak głęboko w niedalekim, styryjskim gruncie. Rosegger jest naiwniejszym, Pichler niewątpliwie głębszym i większym artystą. Wykształcony na lekarza, z zamiłowaniem uprawiając geologię, w swoich podróżach po Włoszech wchłonął w siebie klasyczną kulturę, a to połączenie wpływów rodzinnej ziemi ze światem starożytnym dało epika z jednakową sympatyą odtwarzającego świat tyrolski i włoski. Jego najwybitniejsze poematy są: *Der Hexenmeister,* z bohaterem samotnikiem, uważanym za zbrodniarza a szlachectwem duszy górującym ponad oskarżycielami, *Fra Serafico,* opowieść o młodym zapaleńcu, rzucającym się bez rozwagi w wir walk o niepodległość a po wielu zawodach chroniącym się w ustronie, gdzie służy Bogu jako kapłan, ludziom jako lekarz, wreszcie *Zaggler Franz,* historya tyrolskiego chłopa zrazu wśród studyów naukowych marzącego o świetnej roli filozofa, dochodzącego jednak w końcu do skromnego przekonania, że jego powołaniem jest: być dobrym ojcem, dobrym mężem. Prof. Werner wspomina, że Pichler rzucił w r. 1840 plan dramatu *Der Student,* w którym miały znaleźć echo ówczesne wypadki w Austryi i powstanie polskie z r. 1831.

Załatwiwszy się ze „skończonymi" pisarzami nie odrazu można przejść do tych, których autor nazywa *Ringende.* W pięknym i mile brzmiącym tytule książki jest, jak tak często w ścisłem kategoryzowaniu, brak uwzględnienia stadyów środkowych, przejściowych. Wśród autorów, których omawia prof. Werner jest wielu, którzy nie są ani *vollendet* ani *ringend.* Co oznacza pierwszy termin, tłomaczyć nie potrzeba; natomiast wydaje się koniecznem porozumienie się co do nazwy *ringend.* Sadzę, że są to tylko ci artyści, którzy z wielką siłą woli, energii walczą o większą dojrzałość ducha, talentu; pojęcie twardej walki, wysiłku mieści się w wyrazie *ringend.* Otóż okazuje się, że jest wielu pisarzów, którzy nie będąc „skończonymi", nie stojąc u kresu rozwoju, bynajmniej nie walczą, nie wysilają się w kierunku doskonalszego rozwoju, lecz poprostu torem normalnym, bez wysiłku, niejako samą siłą naturalnego rozwoju, postępują naprzód. Ich autor w tytule nie uwzględnił, chociaż w książce samej o nich mówi.

Zaliczamy do nich n. p. bardzo uzdolnionego i bardzo sympatycznego Karola bar. Torresani, który ciągle się rozwija jeszcze,

lecz absolutnie bez charakteru jakiejkolwiek walki, jakiegokolwiek przymusu, zamiaru stanowczego postępowania naprzód i w górę. Torresani jest niezmiernie miłym oficerem piszącym powieści. Trafnie trzyma się swojej sfery. Jako oficer armii austryackiej miał sposobność poznania tych różnorodnych narodowości i krajów, z jakich się monarchia składa. Ma dużo daru obserwacyi i wiele zręczności w opowiadaniu, to też jego książki czyta się z prawdziwem zajęciem a rozmaitość dobrze przedstawionego tła czyni je nawet kulturalnie cennemi. Naczelną zaletą zaś jest zupełna szczerość i świeżość: p. Torresani nigdzie nie chce uchodzić za coś wyższego, nigdy nie pozuje na głębokiego myśliciela. Ta ujmująca skromność w parze z świeżością pióra niestępionego t. zw. fachową pracą literacką, pewien serdeczny, niekiedy naturalnie szorstki ton eksoficera, komizm, nie unikający nawet grubszych efektów, lecz nigdy nie lubujący się w błocie lub „pikanteryi", to wszystko składa się na sylwetkę autora *Schwarzgelbe Reitergeschichten, Die Juckerlcomtesse, Steyriche Schlösser* i wielu innych powieści i zbiorów nowell. W pierwszej z wymienionych książek jest także opowiadanie z galicyjskiem tłem: rzecz dzieje się w Brzeżanach i przedstawia tragiczną miłość pomiędzy austryackim kapitanem generalnego sztabu a Polką, Filipiną Broniecką; tragizm polega na echach smutnego r. 1863, bo bohaterka, gorąca patryotka, zostaje członkiem tajnego spisku i oczywiście marnie ginie. Prof. Werner w zakończeniu rozdziału pyta się, jak Torresani zachowa się wobec społecznych kwestyj dzisiejszych czasów. Otóż sądzimy, że pisarz przekroczyłby tu zakres i rodzaj swych zdolności. Zresztą leży przed nami ostatnie dzieło Torresani'ego *Von der Wasser- bis zur Feuertaufe*, na szczęście nie wychodzące poza granice bezpośredniej obserwacyi autora.

Rozwój pchany nie tylko naturalnym biegiem ludzkich rzeczy, ale i świadomą wolą poety widzimy dopiero u Klary Viebig. Korzystamy ze sposobności, aby czytelników zapoznać z tą autorką, stojącą dziś w pierwszym szeregu niemieckiej literackiej produkcyi. Wybiła się zaś z szarego tła nie dzięki rozgłośnej reklamie, lecz własnym talentem i usilną pracą nad jego rozwojem. Ma w swoich opowiadaniach dwa *milieu*, związane ściśle z losami jej życia. Opisuje albo szmat ziemi w okolicy pasma gór Eifel, pomiędzy Mozelą, Renem a belgijską granicą, lub też życie wyższych, literackich, artystycznych i bankierskich sfer berlińskich: tam się urodziła, tu przebywa jako żona urzędnika jednej z największych niemieckich księgarni nakładowych. Do pierwszej grupy należą przedewszystkiem *Kinder der Eifel,*

dramat *Barbara Hobaer*, nowelle *Vor Tau und Tag*, wreszcie ostatnia powieść *Das Weiberdorf*, w drugiej celują romanse *Dilettanten des Lebens* i *Es lebe die Kunst!* Klara Viebig jest zdecydowanym realistą, nie tendencyjnym naturalistą; lubi silne, pełne kolory, zwłaszcza w odmalowywaniu wiejskiego tła i wiejskich ludzi, ale nie lubuje się w przedstawianiu brudu i szpetności, chociaż daleka jest od pruderyi lub trwożliwości. Jako szczery realista nie hołduje pesymizmowi, owszem bije w niej gorące stwierdzenie i pragnienie życia, nie zaś rozpacz i negacya. Ten zdrowy pogląd na świat uchronił ją właśnie od tendencyjnego naturalizmu z jednej a kobiecej sentymentalności z drugiej strony. Jest to dziwnie charakterystycznem, jak wiele kobiet piszących pod męskim pseudonimem, mimo woli zdradza swą kobiecość a przeciwnie inne nie wstydzące się swej płci, mają zacięcie i hart męski: Klara Viebig do nich należy.

Prof. Werner chce niemiecką literaturę przed jej mniemanymi nieprzyjaciółmi „bronić“ a przynajmniej „usprawiedliwiać“. Jest to tendencya niewątpliwie szlachetna, patryotyczna, lecz krępuje ona bezstronność historyka literatury i krytyka. Jeżeli gdzie ta, powtarzamy, szlachetna tendencyjność wychodzi książce na szkodę, to pewnie w ustępie o Ryszardzie Dehmel'u. Kiedyś z okazyi sprawozdania z książki J. E. Grotthuss'a *Probleme und Charakterköpfe* była mowa o tym liryku, przewodniku pewnego odłamu niemieckich modernistów. Już tam musiało się o nim wydać sąd dość surowy, bo charakterystyczną cechą Dehmela jest sztuczność, wymuszona oryginalność, przechodząca ostatecznie w chorobliwą dziwaczność. Dziś, po latach coś dwóch, sąd chyba z tym większym naciskiem trzeba koniecznie powtórzyć i śmiemy przypuszczać, że gdyby nie owa tendencya, prof. Werner nie tylko ubocznie, pomiędzy liniami podobnie osądziłby poetę. Więcej surowości i stanowczości przydałoby się tu bardzo. Godzimy się z autorem, że najlepszym jest Dehmel w liryce, uderzającej w ton poezyi ludowej, przedewszystkiem w kołysankach; dodamy, że jedynie tu wydaje nam się poeta szczerym. Szkoda, że autor nie mówi o nim jako o poecie dramatycznym, wątpimy, czy zdołałby n. p. „obronić“ jego dziwaczne *Tanz- und Glanzspiel, Lucifer* z ideą syntezy świata pogańskiego z chrześcijańskim (wyrażoną poprzednio w wierszu *Venus-Madonna)*; „usprawiedliwić?“ może, ale takie „usprawiedliwienie“ ma znaczenie w kryminalistyce a nie w estetyce i krytyce.

Z większem zadowoleniem czyta się ustęp o również dzisiaj już zmarłym Ludwiku Jacobowskim, bo tutaj autor nie potrzebuje i nie

chce ani „bronić“ ani „usprawiedliwiać“. Talent twórcy *Loki'ego* mówi sam za siebie. Jacobowski, redaktor dwutygodnika *Die Gesellschaft* zajmował wśród niemieckich modernistów osobne stanowisko. Nie będąc przewodnikiem nie był naśladowcą, jest samym sobą. „Współczesny“ w każdym calu nie goni za dziwaczną oryginalnością, korzeniami swojej poezyi, liryki czy powieści, tkwi przedewszystkiem w własnej duszy. Jest subjektywnym jak każdy szczery liryk, ale sądzi się objektywnie, nie pieści się z sobą, nie pozuje, nie bawi się drobnostkami. Porównanie następujących po sobie wydań jego liryków dowodzi rozumnej autokrytyki: poeta jest coraz surowszym dla siebie; zanim jaki wiersz przedrukuje, bada przedtem, czy on tego wart. Stąd w jego liryce niema banalności, niema drobiazgowości, jest jakieś wyższe, prawdziwie męskie dążenie. Jeżeli kto, to Jacobowski obok pani Viebig istotnie zasługują na zaszczytną nazwę *Ringende*. Jacobowski jest Żydem; że i w tym zakresie stać go na spokój i niezamglone rasowem uprzedzeniem spojrzenie, dowodzi jego powieść *Werther, der Jude*. Autor pozostając Żydem i potępiając krzykliwy i brutalny antysemityzm, jak on się w Niemczech rozwinął, rozumie przecież, ile sami Żydzi są winni. Jeżeli jego bohater upada z swoim programem etycznej reformy Żydów, to nie bankrutuje tu idea lecz tylko słaby, nieudolny jej przedstawiciel, nie darmo nazwany Wertherem. W powieści *Loki* Jacobowski zaczerpnął znowu z bogatej skarbnicy starogermańskiej mitologii, dał fabułę wznoszącą się wysoko ponad szablonowość codziennej *Unterhaltungslektüre* a w obrobieniu tematu okazał tyle plastyki, siły elementarnej, że nawet przez usiłowania symbolistycznego wytłumaczenia tego romansu, ma się dzieło dużego i samodzielnego talentu.

Ostatnie ustępy książki nie zajmują się poszczególnymi pisarzami z osobna, lecz albo pewnemi motywami poetyckiemi, lub też liczniejszemi grupami autorów. Dużą ciekawość wywołuje rzecz o „Śmierci i umieraniu“. Prof. Werner wskazuje na częste opracowywanie tego tematu w dzisiejszej literaturze i wylicza — szkoda, że tylko wylicza — kilkanaście odnośnych powieści, nowell i dramatów. Obszerniej zaś zestawia Schnitzler'a nowelle *Sterben* ze studyum Dąbrowskiego „Śmierć“ i sądzi, że da się przytem wykryć moment wyjaśniający psychologię narodów. Polskie dzieło występuje mianowicie jako „bardziej męskie lecz także i twardsze, bardziej skondensowane ale i ciaśniejsze, niemieckie natomiast jest bardziej kobiece, ale miększe, bardziej zaokrąglone i szersze. ‚Studyum‘ ma charakter naukowej pracy, ‚nowella‘ jest dziełem sztuki“. Mamy wielki szacunek dla młodej a już tak zasłu-

żonej porównawczej metody w nauce historyi i estetyki literatury, ale jednak widzimy jak często prowadzi ona do rezultatów nieścisłych lub wprost fałszywych; uwzględnia bowiem zazwyczaj tylko różnice rasy, epoki, nie widzi różnic w indywidualnościach danych pisarzów. Tak jest i w paraleli pomiędzy Schnitzlerem a Dąbrowskim: wysnuwanie wniosków z zakresu psychologii narodów wydaje się nam conajmniej za śmiałem. Ani bowiem Dąbrowski nie jest Polakiem κατ' ἐξοχήν ani Schnitzler Niemcem; ten ostatni jest chyba już raczej Wiedeńczykiem, południowym Niemcem. Więc Polacy tworzą dzieła naukowe a Niemcy dzieła sztuki? Tyle w tem prawdy, co i w twierdzeniu wprost przeciwnem...

Myśl zebrania wszystkich współczesnych poematów o Messyaszu była bardzo trafna, a ten rozdział przynosi wiele ciekawych szczegółów; więcej jest ich niż rozumowej syntezy. Tak n. p. Fryderyk W. Helle zaczął w r. 1870 a skończył w r. 1896 olbrzymi poemat o Messyaszu; rzecz obejmuje 82 pieśni, ma około 50.000 heksametrów, i zawiera się w trzech dużych tomach. Poeta jest katolikiem, ma według prof. Wernera wielką powagę, dzieło jego jest jednak nie bardzo udałem. W dalszym ciągu omawia się tu powieść Ryszarda Vossa z czasów cesarza Tyberyusza p. t. *Der neue Gott*, Wallace'a znanego powszechnie *Ben-Hura*, Maksa Bruns'a epiczny poemat *Der Täufer*, Sudermanna głośny dramat *Johannes*, oraz nieznany nam romans Emeryka Gatti'ego *Der König der Juden*. Krytyka *Johannesa* Sudermanna jest surowa a słuszna, na porównaniu z Hebblem co do zdolności opracowywania biblijnych tematów dzisiejszy poeta oczywiście bardzo źle wychodzi. Szkoda tylko, że autor nie ograniczając się do niemieckiej literatury (mówi o Wallace'ie) nie wspomina Rostand'a „Samarytanki", która powstała przed dramatem Sudermanna; również wyszłoby na korzyść estetycznej analizy dzisiejszych *Messiasdichtungen* uwzględnienie religijnej strony i w motywach samych i w uczuciu widza czy czytelnika.

W osobnym dodatku do tego rozdziału autor porusza ciekawą sprawę, pozostającą zresztą w bardzo luźnym związku z dzisiejszą literaturą, której książka ostatecznie jest poświęcona. Przyczynek ten wynikł raczej ze studyów autora nad Hebblem czynionych w innym celu. Oto u Hebbla w pośmiertnych papierach znalazł się dziwny *passus: Judas ist der Allergläubigste*. Prof. Werner bada, skąd to zdanie się wzięło i stawia hipotezę, zapewne prawdziwą. Hebbel czytał w r. 1835

rzecz niejakiege Vortmann'a *Rettung des Judas Ischariot*, bo otrzymał ją do recenzyi. Jej autor zaś siląc się na dowcip i spryt tłumaczy sprzeczność, jaka, według niego, zachodzi pomiędzy faktem, że Chrystus Pan wybrał sobie tylko uczciwych ludzi za Apostołów, a zdradą Judasza. Osobiście wdzięczni jesteśmy prof. Wernerowi za ten wypisek z papierów Hebbla i jego wytłumaczenie. Pisząc w właściwym czasie na tem miejscu o dramacie Driesmans'a *Judas*, nie wiedzieliśmy skąd poeta powziął dziwaczny pomysł rehabilitacyi zdrajcy, teraz przypuszczamy, że albo od Hebbla albo tą samą drogą co i ten ostatni. Co prawda, to prof. Werner na odwrót pisząc o *Moderne Messiasdichtungen* nie wie o Driesmans'ie i jego *Judaszu*.

Książkę zamykają ustępy „Nasze czasy" i „Epilog". Z otwartością obowiązującą krytyka nawet tam, gdzie dla niego jest przykrą, wyznajemy, że oba rozdziały obiecują stanowczo więcej niż dotrzymują. „Nasze czasy": a więc będzie synteza wszystkich zasadniczych idei, wszystkich prądów, kierunków, jakie nurtują w dzisiejszej literaturze niemieckiej i razem składają się na jej obecny obraz. Rozdział ten nie będzie mógł być tylko zebraniem omówionych już w książce zjawisk, bo widocznem jest przecież, że ona ich wszystkich nie wyczerpała. Heyse, K. Viebig, Dehmel, Jacobowski, Schnitzler i wszyscy ci, o których poprzednio była mowa, oni przecież jeszcze nie tworzą całokształtu dzisiejszej literatury niemieckiej. Chcąc go otrzymać trzeba dodać wiele jeszcze zasadniczych barw i wiele odcieni. Nie wiem najprzód, czy można dać obraz naszych czasów nie uwzględniając dramatu, a ten zostawił sobie autor do innego tomu; w naturalnej konsekwencyi powinien być odłożonym i wizerunek naszych czasów. Jest on bardzo niekompletny i ostatecznie powierzchowny może dlatego, że na ośmiu stronicach trudno dać zupełny pogląd na wielką i różnorodną całość. Końcowy Epilog wreszcie ma tytuł absolutnie za szumny. Jest to coś o wiele skromniejszego: proste uzupełnienie wiadomości o przedstawionych w ciągu dzieła pisarzach o ile oni wydali nowe książki w czasie pomiędzy napisaniem odnośnych artykułów o nich a wydrukowaniem całej książki. Tem małem rozczarowaniem kończy się lekturę książki bardzo zajmującej, pisanej z jakiemś serdecznem ciepłem, często aż bezstronności szkodzącem, książkę bardzo pouczającą, lecz może trochę za natarczywie i za pospiesznie przez niecierpliwego nakładcę z biurka autora zabraną.

Dr. Józef Flach.

Filippo Lippi. Trauerspiel. *Eberhard König.* Berlin. S. Fischer. 1899. (Str. 180).

Dramatyczne utwory Königa, aczkolwiek jest ich dotąd tylko kilka, odznaczają się jednak rozmaitością treści, wykazują liczne wpływy, jakim ten pisarz podlega i kierunki, którym hołduje. W *Gevatter Tod,* utworze mniej wybitnym co do wartości, który mimo to wystawiono na wiosnę roku zeszłego w Berlinie, łatwo np. wykazać wspomnienia z Wagnera lub Göthego. König wszedł tam na drogę symboliczną a już z natury swej niezbyt jasne obrazy, symbolami jeszcze więcej przesłonił. Dziwi nas to na prawdę, bo pierwszy zaraz jego utwór *Filippo Lippi,* poprzedzający pojawienie się *Gevatter Tod,* posiada w sobie wiele wybitnych przymiotów, odznacza się jasnością tak planu jak i przeprowadzenia i przypomina nam strukturą swą raczej dramata Schillera, aniżeli dzisiejszych pisarzy. Osnowa wymienionego dzieła następująca: Filippo Lippi, malarz-zakonnik, poznał na publicznej uroczystości we Florencyi Lukrecyę Buti, a szczęśliwy traf pozwolił mu uratować dziewczynę, kiedy zapadła się estrada, na której królowała, wieńcząc zwycięzców. Pod zmienionem nazwiskiem wkradł się w łaski ojca Lukrecyi, pozyskał sobie miłość dziewczęcia i wyjawił jej swą tajemnicę. Nieprzyjaciel jego, Borbottone, otworzył ojcu oczy, Lippi musiał uciec do swego klasztoru; tutaj, ścigana i prześladowana przez ojca, udała się również Lukrecya, ale nieprzyjaciele Lippiego i tam ją znaleźli. W walce został Borbottone ciężko ranny, Lukrecyę osadził Buti gwałtem w klasztorze, gdzie, dowiedziawszy się o zmyślonej śmierci artysty, zgodziła się z ciężkiem sercem na złożenie ślubów zakonnych. Lippiemu, który rozpaczał po utracie Lukrecyi a nie wiedział, gdzie się ona znajduje, zaproponowano tymczasem ozdobienie świątyni w klasztorze Santa Margherita — tam też odnalazł Lukrecyę i Bogu poświęconą zakonnicę w ciemnej nocy uprowadził z klasztoru, przechowując ją na razie w domu swego przyjaciela Ghioberti'ego; sam wybrał się do Rzymu, aby u Ojca św. uzyskać zwolnienie od ślubów i pozwolenie na pojęcie w małżeństwo zbiegłej mniszki. W Rzymie załatwił szczęśliwie swą sprawę, lecz kiedy powracał z radosną nowiną, padł od sztyletu Borbottona.

Z tego krótkiego i niedokładnego streszczenia widać już, że cały dramat jest pełen życia, ognia a zarazem i kolorytu. Akcya postępuje logicznie i prędko, a wielką jej zaletą jest to, że przedstawieniu na scenie nie będzie robiła żadnych trudności. Dramat daje nam wprawdzie dość jednostronny obraz epoki, ale ten jednostronny obraz przed-

stawia w każdym razie wiernie. Charakter Lippiego rysuje się w głównych konturach, tak, jak go nam rzeczywistość dała. Jest to człowiek lekko pojmujący życie, sprzeniewierzający się świętym obowiązkom, jakie sam na siebie włożył, zapalający się zbyt łatwo i również łatwo z jednej ostateczności w drugą wpadający. Wesołej i swobodnej rzeszy artystów przeciwstawia König demoniczny charakter moralnie upadłego Borbottona i złego ducha Lippiego, ciotki Lapacci, której nienawiść udaremnia wszelkie plany i dążności malarza.

Autor w dramacie swym musiał też potrącić o mniej delikatne strony, a czyni to z pewną lubością; nie jest nigdzie wstrętnym, za to tu i owdzie trochę ślizkim, a te mniej skromne sceny, przedstawione w pięknej formie, mogą wywołać większe wrażenie, aniżeli nawet sceny nieskromne; żywioł erotyczny za wiele występuje. Charakter znów Lippiego, jeżeli z jednej strony przedstawia go nam ogólnie tak, jakim był, to z drugiej jednak strony jest sam w sobie sprzeczny; widać, że utwór pisał protestant, który nie rozumie walk, jakie dusza przechodzić musi, tem bardziej jeżeli ta dusza przemieszkiwała w ciele zakonnika. Gdyby autor był umiał pogłębić swego bohatera, nie wkładałby z pewnością w usta jego słów jak np., że Matka N. nie może już na niego się gniewać, bo znalazł miłość i serce dziewicze·

Und sieh, sie zürnt mir nicht mehr,
Die Hohe, ewig Reine; sel'ge Stille
Blickt sie in's Herz mir (str. 59).
Jetzt sollst du mir Rede stehen, Maria.
Wie lang warst du mir bös Gebenedeite:
Nicht mehr unwürdig ist die Hand, dies Auge;
Jetzt seh ich den erlösenden Frauenblick,
Der mir die Seele erhellet (str. 53).

Na bluźnierstwo znowu zakrawa ustęp, gdy Lippi, odnalazłszy Lukrecyę w klasztorze, postanawia ją uprowadzić:

Gott wusste Rath, er wird auch weiter helfen.

Tak nie postępuje ani nawet zepsuty zakonnik — niepokój zawsze się pokaże, a tu tego niepokoju ani śladu. I znajomi i przyjaciele Lippiego i Lukrecyi uniewinniają ich postępowanie:

Was ist so gar Verworfenes, Unerhörtes
An deiner That?

a poza tem wygłaszają zasady katolickie. Te błędy w charakterze Lippiego, Lukrecyi i ich znajomych psują wrażenie, jakieby dramat skądinąd wywołać potrafił.

Ks. Wiktor Wiecki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

NOWY PRĄD NA WSZECHNICY BUDA-PESZTEŃSKIEJ.

Zaledwie przebrzmiały główne uroczystości jubileuszowe we Węgrzech, a już donoszą gazety dziwne wiadomości z Budapesztu. Oto uniwersytet tamtejszy, założony przez kardynała Pázmany ku „chwale Bożej", zaczyna powoli targać pęta, jakie nałożył na niego rząd żydowski i wyłamywać się z pod władzy i praw loży.

Znanem jest jeszcze wszystkim wiosenne zajście na wszechnicy węgierskiej; zbrodnicza, dotąd nie wykryta ręka, sprofanowała krzyże węgierskich koron zdobiących nowy gmach uniwersytecki. Chrześcijańska młodzież akademicka wystosowała z tego powodu do ministra wyznań adres, w którym zażądała umieszczenia znaku krzyża św. we wszystkich ubikacyach gmachu i prosiła zarazem, by senat na przyszłość obmyślić zechciał środki uniemożliwiające podobne gwałty. Minister oddał całą tę sprawę fakultetowi prawniczemu, a rezultaty ostatniej sesyi tegoż fakultetu leżą przed nami. Uchwalono więc, że krzyż zostanie zawieszony w salach przeznaczonych dla obrad i uroczystości i że będzie odtąd używanym tak przy składaniu przysiąg, jak i przy promocyach doktorskich. Rozporządzenie to umotywowano organizacyą wszechnicy, w której ten zwyczaj był od

dawnych czasów zachowanym; w ostatnich dopiero latach pozwolili sobie rektorzy bez uwzględnienia ministeryum i senatu akademickiego na własną rękę ten im nienawistny znak z murów akademii usunąć. Fakultet prawny zażądał dalej kaznodziei uniwersyteckiego i postanowił otworzyć katedrę dla etyki chrześcijańskiej; członkowie zgodzili się wreszcie i na obchód jubileuszu zaprowadzenia chrześcijaństwa w Węgrzech, osobnem, w tym celu zwołanem posiedzeniem.

Pierwszy więc krok, aby katolicyzmowi na uniwersytecie wrócić prawa, których sama sprawiedliwość wymaga, już uczyniony; jak się jednak wobec tych rezolucyj zachowa senat i minister wyznań, tego dzisiaj jeszcze z wszelką pewnością przewidzieć nie można [1]. Liberalna i żydowska prasa lamentuje w każdym razie na wyścigi. Gazety ich przepełnione kwiatkami stylistycznemi, jak: „upiory reakcyi, barbarzyństwo średniowieczne, ciemnota, fanatyzm, rekatolicyzowanie“ i t. p. Ironia losu sprawiła jednak, że w niebacznej chwili, dążący do uszczęśliwienia ludzkości liberalizm zdjął maskę, pokazując jak liberalizm właściwie rozumieć trzeba; żydowskie dzienniki biadają, że nie odjęto dotychczas uniwersytetowi resztek samodzielności, tak jak powoli odjęto mu najdrobniejszy nawet ślad charakteru katolickiego. Czy podobnie czułe wynurzenia oddadzą liberałom węgierskim a może i światowym wielką przysługę o tem wątpić można.

ZE STOSUNKÓW SZKOLNYCH WE WŁOSZECH.

Z niemałem zaciekawieniem i zainteresowaniem się oczekiwali Włosi programu nowego prezydenta ministrów, Saracco, który-to program pojawił się w listopadzie ubiegłego roku. Program, zawierający szesnaście punktów, wymaga istotnie olbrzymiej pracy i olbrzymich wysiłków również olbrzymiej dozy dobrej woli, o czem, niestety, pozwalają sobie powątpiewać pesymistycznie nastrojone umysły. W gruncie rzeczy nie znajdujemy w tem przedłożeniu nowego pro-

[1] W ostatniej chwili doniosły gazety, że wniosek fakultetu prawniczego, poparty również przez fakultet teologiczny, został odrzucony.

gramu nic nowego; takie nowe postulaty stawiali i poprzednicy p. Saracco, co on sam w skromności swej zresztą przyznaje, a prócz tego wszystko, co tam powiedziano, można zastosować i powiedzieć o ustroju każdego konstytucyjnego państwa — nie o to nam jednak chodzi. Chcemy tylko roztrząsnąć jeden punkt, odnoszący się w wielkiej mierze do życia katolickiego, a tym punktem jest część programu omawiająca stanowisko państwa do szkoły.

Stosunki szkolne we Włoszech są tak opłakane, że trudno znaleźć kraj, któryby pod tym względem mógł rywalizować z Półwyspem Apenińskim. Istnieje wprawdzie program szkolny, lecz na papierze jedynie; dlatego też łatwo zrozumieć, że 63% całej ludności nie potrafi pisać ani czytać. Na 181 gimnazyów i liceów liczy 26 niespełna po 50 uczniów, 116 mniej niż 40, 4 około 36, a gimnazyum państwowe w Pazaro tylko 26. Włochy mają dalej 17 uniwersytetów. Na 8 z nich uczęszcza mniej więcej po 1000 słuchaczów, na 5 mniej niż 500, a na 2 nawet niespełna po 200. Każdy uczeń gimnazyalny kosztuje rząd 1500 lirów a uniwersytety pochłaniają miliony, których znowu niema skąd brać.

Jak dotychczas, wychowywały szkoły włoskie tylko roznamiętniony proletaryat. Wychodziła z nich cała armia z niczego niezadowolonych i niemających zapewnionego bytu ludzi i ci pomnażali całą tę armię destrukcyjnych żywiołów, na których jako ostateczna przystań czekała albo kula samobójcy albo więzienie karne.

Wobec tych stosunków dziwne wywołuje wrażenie program p. Saracco. Dąży on mianowicie do poprawienia losu nauczycieli, rozdzielenia wyższych szkół elementarnych od szkół ludowych, sumienniejszej kontroli szkół i popierania powagi nauczycieli i profesorów. Piękne to wprawdzie rzeczy, ale one same położenia nie zmienią, a najważniejszego elementu w reformie szkół, elementu religijnego, minister nie uwydatnił, choć sam przyznać musi, że ze szkół rządowych wychodzi niezadowolony z Boga, ze świata, z prawa i z siebie żywioł. I nic dziwnego; przecież ze szkół królewskich wyrzucono wszystko, co tylko jakkolwiek

tchnęło katolicyzmem. Wizerunki Chrystusa zastąpiono portretem Garibaldiego, nauki religii prawie się nie udziela, pragnień i żądań rodziców nikt nie uwzględnia.

Czy może ludności nie zależy już nic na katolickiem wychowaniu dzieci i młodzieży? Przeciwnie! W Medyolanie pozwoliła sobie loża, czując się tam nader silną, znieść wykład religii w szkołach komunalnych; ku jej zapewne miłemu zdziwieniu 85% wszystkich ojców rodziny zrobiło rekurs. Że lud wymaga i żąda wychowania katolickiego, że zatem wszelkie reformy religię koniecznie uwzględnić powinny, pokazuje to i ta niesłychanie mała frekwencya szkół rządowych. Do tych szkół wysyłają swoje dzieci urzędnicy, ludzie zależni od loży i szukający karyery w służbie państwowej, a wreszcie ci wszyscy, których synowie otrzymują w instytutach królewskich wolne miejsca. Bez porównania większy procent kształci się za to w zakładach katolickich, i dlatego też konwikty i szkoły kongregacyjne i zakonne są przepełnione, a liczba dzieci wychowywanych po katolicku o kilka lub kilkanaście razy wszystkie inne przewyższa. Tak więc nikogo nie zadziwi okoliczność, że na posłuchaniu u Ojca św. w dniu 7 listopada brało udział około 30.000 uczniów z niższych szkół katolickich w samym Rzymie, nie licząc w to studentów i alumnów z rozmaitych naukowych zakładów rzymskich. Kto więc chce przeprowadzić reformę do pożądanego celu wiodącą, musi wpierw uwzględnić potrzeby życiowe, bez których reforma sama będzie niemożliwą i pozostanie chyba na zawsze w dziedzinie abstrakcyi.

Z DZIEJÓW RYTUALIZMU ANGIELSKIEGO.

Kwestya rytualna w Anglii wikła się coraz bardziej. Wielu z rytualnych księży przechowywało po kościołach Sakrament Ołtarza, pozornie, dla zaopatrywania chorych i umierających; pozornie tylko, bo w rzeczy samej chodziło im o czysto katolicką adoracyę. Jeszcze w roku 1899 zawezwano przełożonych kościelnych do zaprzestania tej praktyki; nie chcieli się oni jednak tym rozkazom poddać i odnieśli całą sprawę do swych biskupów i arcybiskupów z zapytaniem, czy Kościół anglikański na przechowywanie N. Sakramentu pozwala.

Przed kilku miesiącami wyłuszczyli arcybiskupi z Canterbury i York swe „zdanie co do przechowywania Sakramentu Ołtarza dla chorych i umierających“. Zawikłaną kwestyę rozwiązał prymas anglikański w ten sposób: „po zgłębieniu wszystkich racyj doszedłem do przekonania, że Kościół narodowy na przechowywanie absolutnie nie pozwala, że więc jak długo prawo to nie będzie zniesione, nikt tej praktyki trzymać się nie może“. Dodał jednak, że wolno każdemu działać na swych zwierzchników w tym sensie, by oni żądane zmiany przeprowadzili.

Ta decyzya dygnitarzy Kościoła anglikańskiego, oparta na prawie cywilnem a pomijająca zupełnie praktykę codziennego życia, wywołała pewną burzę. Biskupi spodziewali się posłuszeństwa, tymczasem mimo gróźb wielka część trzyma się dawniejszego sposobu postępowania; takich postanowiono więc stawić przed władzami publicznemi. Gorsza, że scysye nastąpiły w samej *English Church Union*. Pewna część rytualistów chciała się poddać rozporządzeniom władzy duchownej, utrzymując, że na razie będzie bardziej korzystnem posłuszeństwo, aniżeli opór, że decyzye biskupie nie dotykają znowu tak bardzo istotnych części wiary (!), że opinia publiczna źle zrozumie ich nieposłuszeństwo, tem bardziej, iż już przedtem postanowili nie stanąć przed sędziami cywilnymi, że wreszcie nie przyszedł jeszcze czas, by *par force* odegrać wielką rolę przed światem i upajać się własną wielkością. Na to odpowiedzieli lord Halifax i Athelstone Riley, przywódcy rytualistów, w gazetach i pismach, że posłuszeństwo ma swe granice, które decyzye arcybiskupów przekroczyły, że zatem można, jak i przedtem, św. Sakramenta po kościołach przechowywać. Dla dodania powagi temu postępowaniu wydalono nawet ze związku 143 członków, co jednak wobec ogólnej liczby 39.000 uczestników *English Church Union* nie wywarło zbytniego wrażenia. Zdawała się więc grozić schizma w samem łonie rytualistów; *Times* i konserwatywne dzienniki protestanckie tryumfowały i przepowiadały prędkie rozwiązanie stowarzyszenia, które już tylko miało być kwestyą czasu. Wielka powaga lorda Halifaxa zażegnała na razie burzę, grożącą zagładą całej partyi i wkrótce po potępieniu praktyki przechowywania św. Sakra-

mentu przez biskupów, ogłosili rytualiści swoje *Credo,* w którem podnoszą, że idąc zgodnie „z jednym, świętym, katolickim i apostolskim Kościołem", usilnie wierzą w przemianę chleba na ciało a wina na krew Chrystusa a to za działaniem *(operation)* Ducha św. i mocą słów konsekracyjnych, że zatem Chrystus, rzeczywiście i prawdziwie obecny w Sakramencie Ołtarza pod postacią chleba i wina, ma tam być czczony i adorowany, że więc dlatego „uwzględniając obecne warunki, w jedności z nauką Kościoła odważamy się nasze stanowisko względem wiary utrzymać i ogłaszamy, że będziemy stać wiernie przy wszystkich zdaniach i praktykach, jakie z tej nauki dla całego katolickiego Kościoła Chrystusa wypływają". Deklaracya ta została też na najbliższem posiedzeniu przez ogół przychylnie przyjętą.

Rytualiści nie musieliby jednak być protestantami, gdyby ich to lub owo w owem *Credo* nie drasnęło. Rozpoczęły się więc dawnym zwyczajem długie a bezskuteczne dysputy, czy Chrystus w Sakramencie Ołtarza jest obecnym duchownie tylko, czy też materyalnie; dysputy nie łagodziły, owszem rozogniały i dlatego pewna część członków zgromadzenia zaprotestowała w adresie do lorda Halifaxa przeciwko deklaracyi, choć ją przedtem była przyjęła. Deklaracya ma podobno, jak utrzymuje adres, zanadto materyalnie pojmować obecność Chrystusa Pana pod postacią chleba i wina; konkluzya znów odnosząca się do praktyk jest zbyt uogólniona i „mogłaby się łatwo odnosić do tych, z którymi nie sympatyzujemy" (katolików), sam ton adresu jest oprócz tego zbyt wojowniczy i obrażający władzę duchowną.

Takim jest obecny stan kwestyi rytualistycznej; nie każe on zbyt wiele po przyszłości się spodziewać, tem bardziej, że, jak nadmieniliśmy wyżej, sam rząd myśli energicznie zabrać się do robienia porządku. Nie jest to ostatecznie żadną nowością. Już za drugiego ministerstwa Disraëli w r. 1874 zorganizowano walkę policyjną i sądową przeciwko rytualistom, karano ich surowo, wtrącano do więzień, lecz prześladowani wyrośli w opinii publicznej na męczenników, a prawo odnoszące się do uregulowania kultu zewnętrznego poszło w niepamięć. Większe jeszcze upokorzenie czekało rząd w sławnym, pięć lat ciągnącym

się procesie biskupa Lincoln w r. 1888, gdyż ostatecznym wynikiem było definitywne wprowadzenie w życie zasady o absolutnej wolności i niezależności religijnej w Anglii. Zarzucono wówczas biskupowi między innemi używanie kielicha z winem i wodą, zastosowanie świec na ołtarzu i różnych ablucyi a przedewszystkiem wprowadzenie znaku krzyża św. Sobór biskupi w Canterbury uwolnił oskarżonego od winy, wytknął mu tylko dwa błędy a mianowicie: mieszanie wina i wody w czasie nabożeństwa i używanie krzyża. Rząd nie odważył się jednak ukarać Lincolna stosownie do brzmienia praw z r. 1874, powziął tylko do wiadomości uchwały soboru z Canterbury. W dzisiejszych warunkach wolno się domyślać, że rząd w dwudziestym wieku nie będzie mniej liberalnym od dawniejszego, i że nie będzie on utrudniał wielkiej liczbie wybitnych osób trzymania się zasad przez sumienie im nakazanych. Faktem jest tylko, że jak długo przeciwności z zewnątrz uderzać będą, rytualiści potrafią im się oprzeć; niebezpieczeństwo stanie się dopiero groźnem, gdy w ich łonie powstaną niesnaski i nieporozumienia i nie dadzą się załagodzić.

DEMONSTRACYA ANTYKATOLICKA W LONDYNIE.

Spokojny tymczasem i względnie szczęśliwy rozwój Kościoła katolickiego w Anglii chciała utrudnić demonstracya antykatolicka w maju, która jednak przyjęła znamię raczej burdy ulicznej, aniżeli poważnego protestu. Sądy orzekły różnemi czasy, że dawne prawa wyjątkowe przeciwko Kościołowi katolickiemu straciły już swą moc obowiązującą. Dlatego też postanowili katolicy londyńscy urządzić w roku zeszłym, jak to od niejakiego czasu corocznie robili, uroczystą procesyę 28 maja, w dzień św. Augustyna, biskupa z Canterbury. Nie podobało się to niższym warstwom protestanckim, postanowiono więc procesyę czynnie znieważyć a jeżeli się da, i rozbić. Predykant baptystów, Frank Smith, pułkownik Whale i jakiś uliczny kaznodzieja, ogłosili wszelkim prawowiernym protestantom, że nie zniosą katolickiego bałwochwalstwa na ulicy, wzywają więc wszystkich, by się porozumieli między sobą co do obrony czystej religii. Zebrało się dwustu mniej więcej

protestantów z pospólstwa, podczas gdy olbrzymia procesya katolików rozwinęła się na przestrzeni jednej mili angielskiej; czterystu policyantów pilnowało porządku. Zderzenie wkrótce nastąpiło. Pułkownik Whale, obsadziwszy poprzednio ulicę, zwrócił się ze swymi towarzyszami przeciw procesyi a wywijając jakimś pergaminem i starą biblią, zawołał głośno: „protestuję przeciw temu bałwochwalstwu, procesya sprzeciwia się prawom państwowym“. Jeden z uczestników procesyi o gorącym charakterze udowodnił pułkownikowi w tej chwili trochę za namacalnie, że podobny protest na ulicy jest dość niebezpieczny i nie odpowiada zasadom *savoir-vivr'u* — był to sygnał walki, która szczęściem obeszła się bez rozlewu krwi a skończyła na guzach i szturchańcach. Policya prędko z bijatyką się uporała, a chwilowo tylko zastawiona procesya szła dalej i skończyła się po pięciu godzinach. Ostatecznym rezultatem całego zajścia było więc kilka podbitych oczu, kilka senzacyjnych artykułów, trochę wymyślania na „nieokrzesanych katolików, którzy swych wrogów przewracali jak kręgle tak... że co jeszcze miało nogi, zwiało natychmiast z placu boju“; wszystko to nie bardzo niebezpieczne a przedewszystkiem bez żadnego wpływu na dalsze stosunki.

ZASĄDZENIE KARDYNAŁA LANGÉNIEUX.

Jakżeż inaczej wobec tego przedstawia się katolicka Francya w zajściu z Reims!

Jak zwykle tak i w tym roku postanowił arcybiskup z Reims, kardynał Langénieux, uświęcić dzień zaduszny uroczystem nabożeństwem na cmentarzu. 30 października uwiadomiono ustnie sekretarza kardynała, że na mocy prawa z 10 czerwca r. 1879 zakazuje przedstawiciel władzy w Reims, Charles Arnould, wszelkich publicznych manifestacyj religijnych. Zupełnie słusznie odpowiedziano mu na to, że takiego ustnego rozporządzenia nie można uważać za miarodajne i nie może też znieść ono zwyczaju, który mimo prawa przez dwadzieścia lat był praktykowany i uznany przez rząd. Mer z Reims poznał, że się trochę zagalopował, pchany jednak fanatyczną nienawiścią wystosował piśmienny memoryał, w którym łaskawie wprawdzie

pozwalał na odwiedzanie cmentarza i składanie na grobach kwiatów przez prywatne osoby i pojedynczo, lecz mimo to obstawał przy pierwotnej dyspozycyi. Kiedy więc kardynał, nie uwzględniając powagi mera, ubrany w szaty pontyfikalne udał się na czele licznego orszaku wiernych na cmentarz dla dopełnienia zwykłych ceremonij, stanął przed nim komisarz centralny, Paysant, i w imieniu prawa zażądał ku ogólnemu zdumieniu obecnych natychmiastowego powrotu do kościoła, grożąc w przeciwnym razie karami. Krótka a pełna godności odpowiedź brzmiała: „pójdę dalej, bo taki mój obowiązek". Nabożeństwo na cmentarzu odprawiło się z powagą i spokojem.

W kilka dni potem wręczono tak kardynałowi jak i kilku z jego księży pozwy sądowe za przekroczenie ustawy; na liście proskrypcyjnej umieszczono nawet nazwiska dzieci chórowych i członków bractw, o ile brali udział w nabożeństwie. Wytoczono więc kardynałowi i jego kapłanom proces, który musiał jednak być odroczonym o piętnaście dni, gdyż sędziowie chcieli w tej tak ważnej sprawie upozorować przynajmniej już naprzód postanowione zasądzenie kardynała. Powtórny proces odbył się w pierwszych dniach grudnia; kardynała, obwinionego o zbrodnię nieposłuszeństwa loży, skazano na 2 franki, każdego zaś z księży na franka kary.

Co o zajściu tem sądzić? Chodziło tu widocznie o nowe szykany; powolny loży mer, chciał się jej przypodobać a może i na względy zasłużyć, dlatego też wydał ten, jak niżej powiemy, zupełnie niesłuszny zakaz. Że tak jest rzeczywiście, wynika choćby i z tego, że ten sam nieodrodny syn matki-loży zakazał, rzekomo na mocy powyższego prawa, przejścia licznej, nadeszłej zdala pielgrzymce, przez miasto z dworca kolejowego do katedry. Nikt również wątpić nie może, że zasada wolności i równości, którą się liberalna Francya tak szczycić lubi, została w tym wypadku zupełnie pominiętą i zapomnianą. Wszak w tym samym dniu udała się w Marsylii garść bohaterów, gotujących biednej ludzkości raj na ziemi, z czerwonym sztandarem na czele na cmentarz, aby tam wygłosić podżegające mowy i złożyć na grobie jednego z swych wiernych sojuszników, Gastona Crémieux,

straconego w roku 1871 za gwałty i rozboje publiczne, wieńce z nieśmiertelników. Tej procesyi ani policya ani mer-socyalista nie przeszkodzili, i przeszkodzić nie mogli, bo chodziło tu o demostracyę antykościelną, a w kraju wolności tylko Kościołowi bronić się nie wolno.

Mieszkańcy z Reims od pierwszej chwili zaraz dobrze to zrozumieli, dokąd cała komedya zmierzała i co oznaczała i dla tego też już następnego dnia pokryły się mury miasta plakatami, zawierającemi nader energiczne lecz słuszne protestacye przeciwko gwałtom i bezprawiom. Nie mogło się to podobać merowi i jeszcze gorzej dla kardynała i katolicyzmu usposobiło go to bardzo szczere i otwarte napiętnowanie jego postępowania.

Czyż zresztą była jaka wina po stronie arcybiskupa? Naszem zdaniem nie; mer przekroczył zupełnie swą władzę a kardynał w takim wypadku nie był obowiązanym do żadnej uległości. Sam twórca prawa z r. 1879, Diancourt, wyraźnie zaznaczył, że nie obejmuje on swem rozporządzeniem ceremonii dnia zadusznego; o tem świadczył również zwyczaj, gdyż mimo wydanego prawa corocznie, już za urzędowania najrozmaitszych merów, odbywała się procesya na cmentarz, a przecież i poprzednicy Arnoulda chyba tak gorliwymi katolikami nie byli! Czuli to dobrze reprezentanci rządu w toku obrad i dla tego niezręcznie ominęli tę kwestyą, powołując się jedynie na samo prawo, choć temu prawu kler zawsze ulegał. Na interpelacyę w tym względzie odpowiedział sąd wrzaskami ulicy, sprowadzonej z całego miasta, aby tak dać dowód ogólnego oburzenia na Kościół za jego nieposłuszeństwo.

Mimo więc świetnej obrony, mimo że adwokaci przeciwnej strony nie potrafili odpowiedzieć na dowody wykazujące całą słuszność postępowania kardynała Langénieux, skazano obwinionych wbrew wszelkim zasadom słuszności. Nie chodzi tu wprawdzie o śmieszną karę dwóch a względnie jednego franka, ale o podeptanie sprawiedliwości, o pogwałcenie praw przynależnych każdemu, o ukrócenie wolności, tej wolności tak bardzo we Francyi reklamowanej; chodzi wreszcie o niesłuszną, fana-

tyczną, nienawistną walkę z katolicyzmem, walkę nieprzebierającą w środkach ani w celach. Z tego też punktu widzenia sprawa z Reims posiada większe znaczenie, jak się na pierwszy rzut oka zdawać może.

Ks. Wiktor Wiecki.

Zjazdy w 1900 roku.

I. austryacki kongres antyniewolniczy w Wiedniu.

Sprzedaż niewolników w Afryce, jeżeli nie na rynkach publicznych, to jednak potajemnie, dotąd istnieje. Nie mówiąc o niewoli domowej i strasznem poniżeniu kobiety, koło 500.000 ludzi rocznie zostaje sprzedanych jak zwierzęta, i to teraz, na progu niemal wieku XX!

Słusznem jest, by Europa, której ludy tak bardzo osobistą i narodową wolność cenią, nie patrzyła bezczynnie na taką krzywdę społeczeństwa ludzi czarnych wprawdzie, ale zawsze ludzi, systematycznie i z okrucieństwem wyrządzaną; to też za inicyatywą Sodalicyi św. Piotra Clavera odbył się w Austryi, w Wiedniu samym, I. przeciwniewolniczy kongres, a odbył się świetnie. Szerokie warstwy publiczności, od wysokich przedstawicieli Kościoła zacząwszy, licznie reprezentowanego kleru, wielu misyonarzy afrykańskich i arystokracyi — aż do ubogich wyrobników w kongresie udział wzięły. Opiekunka Sod. św. P. Cl., Jej Ces. Kr. Wysokość arcyksiężna Marya-Józefa obecnością swą zaszczyciła III. wieczorne zgromadzenie.

Oprócz trzech uroczystych zebrań wieczornych w większych salach odbywały się codziennie kilkogodzinne posiedzenia członków kongresu w sali dolnej gmachu byłego ces. kr. uniwersytetu, gdzie roztrząsano kwestye zniesienia niewolnictwa w Afryce dotyczące, i większością głosów przyjmowano, lub odrzucano sformułowane już wnioski. Na zebraniach wieczornych miewały miejsce przeważnie odczyty.

I. wieczorne zgromadzenie odbyło się 20. listopada, w sali „Związku rzemieślniczego“, i było powitaniem, — w imię Boskiego Zbawiciela i dla złożenia Mu hołdu u schyłku XIX. wieku — rozpoczynającego się kongresu. Oprócz mowy głównego kierownika kongresu, ks. dr. Hugona Mioni, mowy dopieroco obranego prezesa, hr. Kuefsteina, tudzież pozdrowienia Pasterskiego w imieniu kardynała księ-

cia arcybiskupa Gruschy, i słów burmistrza, d-ra Karola Lueger'a, przemawiali dnia tego liczni zastępcy nie mogących przybyć osobiście biskupów wielu dalszych nawet dyecezyj jak: Pragi, Lwowa, Salzburga i innych, jakoteż przedstawicieli kilku stowarzyszeń austryackich, a między innemi znanego chlubnie „Związku Maryi" *(Marien-verein)* dla Missyj afrykańskich. Mowa prałata d-ra Fisher'a-Colbrie: „O celu i zadaniu kongresu" zamknęła to I. powitalne posiedzenie.

Reprezentanci dwunastu różnorodnych kongregacyj misyjnych byli obecni. Wielu w ciągu trzech dni trwania kongresu publicznie przemawiało i słuchacze mieli sposobność z własnych ust tych apostołów afrykańskich o Misyach się dowiedzieć. Wśród dostojników duchowieństwa świeckiego migały habity zakonników misyonarzy: czarne, a także białe, gdyż i OO. Trynitarze z krzyżami na piersiach i członek Zgromadzenia „Białych Ojców" kardynała Lavigerie w kongresie udział wzięli.

II. zebranie wieczorne jeszcze było liczniejsze niż dnia poprzedniego. Po otwarciu posiedzenia przez prezesa zabierali głos kolejno przedstawiciele kilku stowarzyszeń misyjnych, a mianowicie: O. Geyer (przełożony Synów Najśw. S. J. w Mühland koło Brixen), O. Lebeau (prowincyał Oblatów św. Franciszka Salezego), O. Euschoff (Benedyktyn z klasztoru św. Otylii), O. Acker (przełożony OO. Ducha św.), O. Ruez (Franciszkanin), tudzież wiceprezes, hrabia F. Harrach, jako naoczny świadek handlu niewolnikami w Marokko i temuż towarzyszących okoliczności, na które wzdryga się cała natura człowieka. Hymn na cześć Bogarodzicy w języku kafryjskim, przez młodziutkiego Murzyna z Zambezi odśpiewany, urozmaicił przyjemny ten wieczór, a dowcipnie przez O. Ruez'a wyrzeczone słowa o propagandzie druku na korzyść misyj rozweseliły audytoryum, pozyskując je dla tego nawskróś chrześcijańskiego i humanitarnego dzieła.

Na obu zgromadzeniach odczytywano telegramy z różnych stron w wielkiej nadeszłe ilości. Ojciec św., Leon XIII. i prefekt św. kongregacyi propagandy, Jego Em. kardynał Ledóchowski przysłali kongresowi swoje błogosławieństwo.

III. i ostatnie zgromadzenie kongresu, w dniu 22. listopada, zaszczycone wyżej wzmiankowaną obecnością arcyksiężnej Maryi Józefy, było tryumfem szlachetnej sprawy dla Boga i najbardziej upośledzonych bliźnich podjętej. Już przed godziną oznaczoną tłumy śpieszyły zająć miejsca nienumerowane na galeryi, nieco później zapełniły się parter i loże, najobszerniejszej sali stolicy, sali muzycznej, 2000 osób mie-

szczącej. Hymny: na cześć Zbawiciela świata i ku uczczeniu św. Piotra Clavera artystycznie, przez znany w Wiedniu chór św. Barbary, pod dyrekcyą ks. Wł. D. Sadowskiego, wykonane, były hasłem rozpoczęcia uroczystości; poczem ks. dr. Hugo Mioni odczytał referat sprawozdawczy z czynności kongresu. Następnie O. Konrads, przedstawiciel „Białych Ojców", zaznaczywszy iż nie żałuje dalekiej podróży, jaką dla uczestniczenia w pracach kongresu przedsięwziął, w krótkich słowach odmalował działalność w Afryce Zgromadzenia, którego jest członkiem. Piękną mowę miał O. Giese z klasztoru św. Gabryela, tudzież Jego Emin. ks. biskup Pellet, missyonarz Stowarzyszenia Liońskiego. Przed wstąpieniem na mownicę i po zejściu z takowej Jego Eminencyi, w sali rozbrzmiały dwukrotnie psalmy: 111. i 112., ułożone przez Bortmiańskiego, a prześlicznie przez mieszany chór oddane.

Ku zadowoleniu też wielu słuchaczy mówiła gen. kierowniczka Sodalicyi św. Piotra Clavera, hr. Ledóchowska, o powstaniu tego pomocniczego stowarzyszenia misyjnego, którego zadaniem jest rozpowszechnienie w Europie, za pomocą czynnej propagandy, poznania działalności misyonarzy afrykańskich, a co za tem idzie niesienie pomocy Misyom afrykańskim w pieniądzach, powołaniach i modlitwie. Liczne oklaski przerywały kilkakrotnie mowę czcigodnej prelegentki, zakończoną słowem: do widzenia, za dwa, lub trzy lata, na następnym kongresie! Zdarzało się jednak w ciągu ostatnich dni paru kilkakrotnie słyszeć głosy życzenie wyrażające, by kongres podobny co roku miejsce miewał.

Sprawiedliwość czcigodnej kierowniczce generalnej Sod. św. P. Cl. na I. wieczornem zgromadzeniu kongresu oddano publicznie. Zdumiewającem jest w istocie, jak jedna słaba kobieta, ufna tylko w pomoc Bożą i świętość swej sprawy, zdołała Sodalicyę św. Piotra Clavera do życia powołać, w ciągu lat kilku zaledwie zainteresować znaczną część Europy dziełem oswobodzenia ludów afrykańskich z duchowych i cielesnych więzów, a teraz — doprowadzić z takim trudem do skutku ten I. austryacki antyniewolniczy kongres.

Jednocześnie z kongresem otwartą została w Wiedniu wystawa aparatów kościelnych i powiększonego muzeum afrykańskiego przy Filii Sod. św. P. Cl. (I. Bächerstrasse 20). Od rana do wieczora liczni zwiedzają je goście, z zajęciem przedmiotom wystawionym się przypatrując. Niektóre rzeczy z Krakowa przysłane powszechną zwracają uwagę. Powodzenie wystawy jest tak wielkie, że o kilka dni musiano ją przedłużyć. *y.*

Kronika ekonomiczno-socyalna.

Lex Millerand. — Związek austryackich towarzystw rolniczych. — Wywóz drzewa. — Obrońcy teoryi wolnego handlu. — Komunikacye wodne. — Polityka kolonialna na międzynarodowym kongresie socyalistycznym. — Podwyższenie podatku od wódki.

Manifest komunistyczny Marksa i Engelsa z r. 1848 kończy się zapewnieniem, że cele ich stronnictwa dadzą się tylko osiągnąć na drodze „gwałtownego przewrotu istniejącego porządku społecznego". Rewolucya w programie zwolenników Marksa już od dawna była teoryą, w praktyce zdobywano mandaty, ale nie budowano barykad. Tego rodzaju łudzenie samego siebie, nie mogło być objawem stałym. Dziś rewolucya przestała być stereotypową a do niedawna niezbędną częścią składową mów programowych, wygłaszanych przez naczelników stronnictwa. „Posybilizm" czyli dążność do urzeczywistnienia swych żądań w ramach istniejącego porządku społecznego przez powolne i legalne jego przekształcenie na korzyść ludności robotniczej święci zwycięstwo we wszystkich obozach socyalistycznych; najsilniej zaznaczył się ten zwrot we Francyi, może właśnie dlatego, że w tem społeczeństwie istnieje długoletnia tradycya rewolucyjna, która nauczyła ludność, że barykadami można łatwo wywalczyć zmiany polityczne, ale nie społeczne i ekonomiczne.

We Francyi rządzi obecnie ministerstwem handlu socyalista p. Millerand. Dzięki temu mamy ciekawą, a rzadką sposobność badania, w jaki sposób program socyalistyczny przechodzi ogniową próbę praktyki. Francuski minister handlu przedłożył izbie niższej projekt ustawy o sądach rozjemczych, zawiera on między innemi charakterystyczne postanowienia o strejkach. Ustawa dotyczy przedsiębiorstw zatrudniających conajmniej 50 robotników, jest ona bezwzględnie obowiązującą dla przedsiębiorstw państwowych, fakultatywną dla prywatnych. Na wypadek, jeżeli okaże się rzeczą niemożliwą załagodzenie sporu wyrokiem sądu rozjemczego, robotnicy mogą uchwalić rozpoczęcie strejku bezwzględną większością głosów z zachowaniem jednak formalności ustawą przepisanych. Uchwała obowiązuje także robotników przeciwnych strejkowi, którym w razie niezastosowania się do woli kolegów grozi p. Millerand w imieniu państwa surowemi karami. Oczywiście, także

postanowienie o podjęciu na nowo pracy jest przymusowem dla mniejszości, chcącej wytrwać dalej w bezrobociu.

Jeśli cofniemy się myślą o sto lat wstecz, nie trudno dostrzedz, że od czasów rewolucyi francuskiej zaszły zasadnicze zmiany nietylko w poglądach taktycznych. Rewolucya francuska pod pierwotnym wpływem pojęć liberalnych zniosła cechy, to jednak jej nie wystarczyło. Ustawodawstwo owoczesne, z pominięciem idei liberalnych, zakazało ludziom tego samego zawodu łączyć się w związki dla obrony wspólnych, zawodowych interesów (zakaz koalicyi). Ustawa o syndykatach z r. 1884 przyznaje osobowość prawną korporacyom zawodowym, otacza je opieką państwa. Posybiliści objąwszy rządy, chcą umocnić przymusem państwowym łączność i solidarność sfer robotniczych. W Anglii taka ustawa byłaby oczywiście niepotrzebną, członkowie tamtejszych związków robotniczych *(trade-unions)* dają przy każdej sposobności dowody niezwykłej karności, opartej na trafnem zrozumieniu i na poczuciu, instynktownem niemal, potrzeby solidarnej działalności dla obrony wspólnych interesów. Francuski minister handlu chce przez ustawę wytworzyć w warstwach robotniczych ducha asocyacyi zawodowej. Rozszerzanie praw i zakresu działania większości jest może właściwem każdej demokracyi, ale zazwyczaj staje w sprzeczności z poszanowaniem należnem woli jednostek — jednym przykładem więcej *lex* Millerand.

* * *

Z dniem 31 grudnia 1903 r. upływa szereg traktatów handlowych, t. zw. traktatów „grudniowych“, a zwłaszcza na lat 12 zawarta umowa z Niemcami, największym odbiorcą naszych wytworów, a zarazem największym dostawcą towarów, przez poddanych austro-węgierskich zakupowanych za granicami monarchii. W razie braku dotyczących umów międzynarodowych o wysokości ceł rozstrzyga autonomiczna taryfa celna, a zatem ustawa wydana przez władze prawodawcze danego państwa, która może zatem każdej chwili jednostronnie być zmieniona. Podczas gdy traktaty handlowe ustanawiają cło na pewien w umowie oznaczony przeciąg czasu, zachodzi tu zatem ważna różnica między traktatami handlowemi a politycznemi, które w zasadzie są wieczyste, nie opiewają bowiem na oznaczony przeciąg czasu; wysokość cła może uledz zmianie w tych wypadkach tylko za obustronną zgodą. Autonomiczna taryfa celna jest podstawą do zawierania traktatów; państwa przyznają sobie wzajemnie, w umowach międzynarodowych tego

rodzaju, odnośnie do pewnych towarów cła niższe od tych, które ustanawia autonomiczna taryfa celna.

Z chwilą wygaśnięcia traktatów handlowych obecnie obowiązujących, pobierałaby Austrya cła w wysokości, przewidzianej autonomiczną taryfą celną z r. 1882, oraz nowelą do niej z r. 1887. Postanowienia w tych ustawach zawarte są dziś niewątpliwie przestarzałe. Wobec szybkich zmian w nowoczesnych stosunkach ekonomicznych byłoby dziwnem, gdyby było inaczej. To też rządy austryacki i węgierski postanowiły ogłosić w ciągu r. 1901 nową autonomiczną taryfę celną, oraz wezwały izby handlowe i przemysłowe, niemniej towarzystwa rolnicze do wyrażenia zdania o ukształtowaniu wysokości ceł na przyszłość. Ze względu na znaczne trudności połączone z wypracowaniem opinii w tej tak obszernej, a tak zawiłej kwestyi, izby handlowe i przemysłowe z jednej, a towarzystwa rolnicze z drugiej strony utworzyły dwa związki dla tem skuteczniejszej obrony wspólnych interesów zawodowych. Do związku izb nie należy izba górno-austryacka z siedzibą w Lincu, do związku towarzystw rolniczych nie przystąpiło lwowskie towarzystwo gospodarskie, obejmujące Galicyę wschodnią.

Związek austryackich towarzystw rolniczych zasługuje na baczną uwagę z dwóch względów: raz jako wyraz pożądanej solidarności sfer rolniczych w sprawach ekonomicznych, dotyczących ich własnego zawodu, po drugie jako objaw nieznanego poprzednio w tej warstwie wytwórców zajęcia się doniosłemi sprawami polityki handlowej, która dawniej była niemal wyłącznym monopolem izb handlowych i przemysłowych. Związek ogłosił przed kilku tygodniami projekt autonomicznej taryfy celnej z wyłącznem uwzględnieniem towarów przez rolników wytwarzanych. Projekt jest naśladownictwem systemu francuskiego, obejmuje zatem cła maksymalne i minimalne; pierwsze z nich są podstawą do rokowań o traktaty handlowe z innemi państwami, drugie oznaczają z góry granicę ustępstw, poniżej której nie wolno będzie zejść pełnomocnikom austro-węgierskim przy zawieraniu umów, oczywiście na wypadek przyjęcia tej zasady.

W Niemczech koła agrarne zgodnie domagają się od rządu wprowadzenia systemu francuskiego, który także i po drugiej stronie Wogezów jest wyrazem dążeń skrajnie protekcyjnych ze szczególnem uwzględnieniem interesów rolniczych. W Austryi objawił się zasadniczy rozłam w tym ważnym punkcie; oba galicyjskie towarzystwa rolnicze oświadczyły się przeciwko systemowi francuskiemu, bronionemu z wiel-

kim naciskiem przez wszystkie inne korporacye rolnicze, tak austryackie, jak węgierskie.

Przeciwnicy podwójnej autonomicznej taryfy celnej, obejmującej zatem tak cła maksymalne jak minimalne, twierdzą, że system francuski wyklucza możność zawarcia korzystnych traktatów handlowych na dłuższy okres czasu, że wprawdzie skutecznie powstrzymuje przywóz obcych towarów, ale nie zapewnia wywozu za granicę wytworom, w kraju przez rolników produkowanym. Rolnicy niemieccy i francuscy nie mają tak znacznych interesów eksportowych, jak rolnicy tutejsi, to też oni mogą się ograniczyć do obrony własnego, wewnętrznego targu przed zalewem zagranicznej konkurencyi, natomiast w Austryi wchodzi w grę zapewnienie sobie zbytu w innych państwach przedewszystkiem w Niemczech na nasze drzewo, na jaja, owoce, na słód, cukier, chmiel, jęczmień i t. d. Trzeba nam zatem zabezpieczyć się przed niespodziewanemi a dowolnemi podwyżkami ceł ze strony tych państw, do których wywozimy nasze płody, wiadomo zaś, że tylko za pomocą traktatu handlowego możemy ustalić cła na pewien przeciąg czasu. Taryfa podwójna utrudnia, niemal uniemożliwia zawarcie traktatu, rokowania są poniekąd bezprzedmiotową grą w otwarte karty, gdyż znane są dokładnie granice ustępstw, które można wywalczyć. Zwolennicy systemu francuskiego podnoszą natomiast szkodliwy wpływ na ceny dowozu obcych płodów rolniczych.

* * *

Jak ważnym artykułem wywozowym dla Galicyi jest drzewo, tego najlepszym dowodem rzadka zgodność w postępowaniu krajowych towarzystw rolniczych z jednej, a Izb handlowych i przemysłowych z drugiej strony, o ile chodzi o zabezpieczenie tej gałęzi eksportu przed szkodliwemi zarządzeniami taryfowemi lub celnemi.

Fabrykanci papieru domagają się po wygaśnięciu obecnie obowiązujących traktatów handlowych, a zatem z dn. 1 stycznia 1904 r. wprowadzenia cła wywozowego w kwocie 50 halerzy w złocie od 100 kg. drzewa cienkiego *(Schleif- und Celluloseholz)*, chcąc przez to zapewnić sobie zakupno surowca po cenach niższych od dotychczasowych, a właściciele tartaków chcą nałożyć na wywóz drzewa okrągłego *(Klotz und Rundholz)* cło w wysokości 30 hal. w złocie od 100 kg.

Towarzystwo Gospodarskie we Lwowie zwołało konferencyę,

w której wzięli udział delegaci lwowskiej i krakowskiej Izby handlowo-przemysłowej, niemniej obu centralnych towarzystw rolniczych i przedstawiciele Galicyjskiego towarzystwa leśnego. Obecni oświadczyli się jednogłośnie na podstawie referatu dr. Benisa, sekretarza krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej, przeciw jakimkolwiek cłom wywozowym na drzewo.

Cła te, jak już wspomniałem, weszłyby dopiero w życie za lat trzy. Fabrykanci papieru, chcąc zatrzymać potrzebny im surowiec w kraju już teraz, dążą do osiągnięcia tego celu przez podwyższenie taryf kolejowych na drzewo. Ministerstwo z wiosną b. r. zarządziło już nawet podwyższenie taryf od 15-go kwietnia, ale ostatecznie udało się rząd przekonać o potrzebie cofnięcia tego rozporządzenia, natomiast ministerstwo kolei korzystanie z nizkiej stosunkowo taryfy uczyniło zależnem od wypełnienia szeregu uciążliwych formalności, przeciwko którym zgodnie zaprotestowały krakowskie towarzystwo rolnicze i tutejsza Izba handlowa i przemysłowa.

* * *

Minęły już od dawna czasy powodzenia teoryi, która wolność handlu wypisała na swoim sztandarze; hasłom Cobdena pozostała wierną Anglia, poniekąd Holandya, w innych państwach prądy protekcyjne, występują coraz to silniej, w Niemczech np. a także w innych krajach w obronie konsumentów stają właściwie tylko socyaliści, na tegorocznym kongresie socyalistycznym niemieckim uchwalono rezolucyę, domagającą się obniżenia wszelkich ceł, a w szczególności ceł obciążających przywóz do Niemiec środków spożywczych, uchwała zatem zwraca się w pierwszym rzędzie przeciwko dążeniom sfer agrarnych. Robotnicy fabryczni mają podwójny interes w obniżeniu ceł na płody rolnicze: chodzi im jako konsumentom o zapewnienie sobie taniej dostawy materyałów spożywczych, jak zboża, mięsa, jaj, masła i t. d., a następnie o zbyt przez nich wyrabianych wytworów przemysłowych, narażonych w drodze represalij na oclenie w krajach, które wywożą swe płody rolnicze do Niemiec. Zresztą podwyższone przez cła koszta utrzymania robotnika podrażają towar, a zatem utrudniają wywóz.

Uchwała ta dowodzi wymownie, że socyalizm jest stronnictwem miejskiem, które na wsi nie potrafi uzyskać trwałego poparcia. W ostatnich latach robiono w Niemczech usilne starania o pozyskanie na wsi głosów dla socyalistycznych kandydatów. Stanowisko zajęte w sprawie

polityki handlowej przez ostatni zjazd niemieckich socyalistów stoi w rażącej sprzeczności z temi usiłowaniami.

* * *

Na ostatniem posiedzeniu krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej przeprowadzono obszerną dyskusyę w sprawie komunikacyj wodnych i budowy kanałów w Austryi. Podstawą obrad był wyczerpujący referat dr. Benisa, sekretarza Izby. Jak wiadomo rząd wystąpił z obszernym programem inwestycyj, które chce przeprowadzić w najbliższych latach; zamierzoną jest między innemi budowa drugiego połączenia kolejowego między Wiedniem a Tryestem kosztem stu kilkudziesięciu milionów koron, aczkolwiek dla Galicyi stworzenie dogodnej sieci komunikacyj wodnych przez regulacyę rzek i połączenie ich kanałami jest rzeczą daleko pilniejszą. Projekt rządowy pomija zupełnem milczeniem kwestyę komunikacyj wodnych.

Uczynienie rzek spławnemi musi oczywiście poprzedzić, względnie postępować równolegle z budową kanałów, gdyż w przeciwnym razie, gdy niema co łączyć, kanały byłyby bezużyteczne. To też przyspieszenia ślimaczego tempa regulacyi naszych rzek, a przedewszystkiem Wisły jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. W zakres tych robót wchodzi budowa przystani w Nadbrzeziu, preliminowana za małą stosunkowo kwotę 600 tysięcy koron, której potrzebę sejm stwierdził swą uchwałą. Ponadto zachodzi potrzeba budowy kanałów San-Dniestr, oraz Wisła-Odra. W Czechach i w Austryi dolnej domagają się od dawna połączenia Dunaju, Łaby, Mołdawy i Odry. Rzeczą przedstawicieli naszego kraju jest sprzeciwić się temu projektowi, jeśli równocześnie nie uskuteczni się połączenia Wisły z Odrą. Wiedeńskie towarzystwo dla budowy kanałów zwołało w tej sprawie wiec do Wiednia na 13 grudnia; w wiecu wezmą udział przedstawiciele krakowskiego towarzystwa rolniczego, niemniej tutejszej Izby handlowej i przemysłowej.

* * *

Międzynarodowy kongres socyalistyczny, który niedawno obradował w Paryżu uchwalił 27 września b. r. rezolucyę potępiającą stanowczo politykę kolonialną mocarstw europejskich. Powodem, który popycha państwo do zdobyczy zamorskich, jest, jak głosi uchwała, dążność do wyszukania nowych miejsc zbytu dla rodzimej produkcyi, leży bowiem w naturze wielkiej kapitalistycznej wytwórczości, że z biegiem lat zatacza coraz to szersze kręgi. Połączenie tych dwóch faktów

związkiem przyczynowym jest niewątpliwie trafnem; chęć zdobycia złotego runa, nie jest może jedynym, ale jest bądźcobądź jednym z głównych powodów wojen kolonialnych. Ale uchwała międzynarodowego kongresu socyalistycznego zataja prawdopodobnie mimowoli drugą połowę prawdy, zaznaczając z zapewne niekłamanem oburzeniem, że „celem zdobyczy zamorskich jest zwiększenie zysków pobieranych przez kapitalistów i podtrzymywanie kapitalistycznego systemu produkcyi". Podczas ostatnich rozpraw w parlamencie niemieckim, których przedmiotem było zatwierdzenie wydatków na wyprawę chińską, socyaliści piorunowali przeciwko bezprawiom popełnionym w ciągu tej wojny, ale w praktycznej Anglii warstwy robotnicze nie protestowały przeciwko zaborowi Oranii i Transwaalu. Objawu tego nie można tłumaczyć wyłącznie patryotyzmem, odgrywało tu także znaczną rolę przeświadczenie, że szczęśliwa polityka kolonialna podnosi nietylko dywidendę akcyonaryuszów, ale i zarobki robotników. Cały szereg fabryk angielskich, niemieckich i innych musiałby uwolnić swych robotników, gdyby nagle utracił zbyt w koloniach. Od kilkudziesięciu lat jesteśmy świadkami polepszania się dobrobytu wśród robotników fabrycznych, objaw ten jest w znacznej mierze uwarunkowany potępianą przez socyalistów polityką kolonialną z nieodłącznemi od niej nadużyciami.

* * *

Od dawna upragniona sanacya finansów krajowych przybierze prawdopodobnie konkretne kształty w najbliższym czasie; oczywiście otwarcie nowego źródła dochodów dla skarbu krajowego nastąpi przez podwyższego podatku od wódki, siła podatkowa naszej ludności nie pozwala na zwyżkę w już nadmiernie wyśrubowanych dodatkach do podatków bezpośrednich, natomiast nie jest wykluczonem nakładanie nowych podatków spożywczych, a z pośród nich podatek na wódkę ma tę wyższość nad innemi, że podrożenie wódki zmniejsza jej konsumcyę, obok celów skarbowych a zatem materyalnych, przemawiają także pewne względy moralne za tą formą opodatkowania ludności.

Niestety temu dodatniemu objawowi towarzyszy często zjawisko ujemne: ludność zastępuje wódkę surogatami tańszemi wprawdzie, jak wódka, ale też znacznie szkodliwszemi dla zdrowia. W Irlandyi i w niektórych okolicach Żmudzi i Litwy, w ostatnich latach niestety także i u nas na wsi, szerzy się w zastraszający sposób zwyczaj odurzania i usypiania sumienia eterem. To też prawdopodobieństwo podwyższania podatku od wódki powinno skłonić właściwe władze do zwrócenia ba-

cznej uwagi na handel eterem, który powinien być sprzedawany wyłącznie w aptekach i to za receptą lekarską.

W Rosyi uregulono tę kwestyę daleko lepiej. Doświadczenie uczy, że najłatwiej wykorzenić szkodliwą potrzebę przez zastąpienie jej mniej niebezpieczną. Nadwyżki osiągnięte przez zaprowadzenie monopolu wódczanego przeznaczył rząd rosyjski na rzecz kuratoryi trzeźwości, które przez zaprowadzanie tanich herbaciarń ludowych odciągają skutecznie ludność od szynków. Ograniczenie handlu eterem jest rzeczą potrzebną, ale jest to środek czysto negatywny, który sam przez się jest mało skuteczny w walce z nałogiem tak silnym jak pijaństwo.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Druk ukończono 29 grudnia 1900 r.

JOSÉ ROUMANILLE.

Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską.

Od kilku lat dziesiątek zwraca się coraz częściej wzrok literatów i krytyków do dalekiej Prowansyi. Ale bo też dziwne tam dzieją się rzeczy! Do niedawna jeszcze grobowa cisza zalegała rozległe błonia Camargui, a po skalistych górach wiatr tylko tęsknie zawodził i roznosił woń smutnego rozmarynu, tego narodowego Prowansyi kwiatu, symbolu jej duchowego życia; kolebka trubadurów, którzy niegdyś dźwiękami swej pieśni nieśli poezyę i czar, gdzie tylko biły gorące, żądne wrażeń serca, spała snem twardym. A jednak pod tym żałobnym całunem pulsowało życie, z popiołów powstał nowy feniks, tylko piękniejszy od feniksa przeszłości — i odrodzenie się tego rozkosznego ptaka przykuwa do siebie oko i umysł i podziwieniem napełnia dusze. I słusznie.

W chwili, kiedy rewolucya, co wstrząsnęła światem, wyryła swe piętno i na literaturze i kiedy nawet na tem słonecznem polu poezyi jesteśmy świadkami rozmaitych prądów i wpływów i kiedy jedne z tych prądów, błyszcząc wszelkiemi barwami tęczy, jak ona pryskają i przechodzą bez głębszego wrażenia, inne przynajmniej do czasu pewne wywołują zamieszanie a inne jeszcze radykalne powodują zmiany, powstaje tam, na odległem południu, w całej krasie nowy świat baśni i ułudy, a tak różny i odrębny od wszystkiego, co dzisiaj spotykamy, tak przepeł-

niony życiem i świeżością swego wiosennego powstania, że musiał zwrócić na siebie uwagę ogółu.

I jak cała przeszłość Prowansyi jest poetyczną, jak poetyczną ona sama, tak poetycznem i rzewnego uroku pełnem jest powstanie i rozwój tego nowego piśmiennictwa.

W Saint-Rémy, pobożnym ogrodnikom darował Bóg dziecię. Dziecięciem tem, jednym z tych ulubieńców Boga, na którego czole jeszcze w kolebce składa czysty pocałunek anioł natchnienia, był José Roumanille, przyszły twórca nowo-prowansalskiej szkoły. W dwudziestym roku życia napisał on wiersz w języku francuskim, który został nawet drukowany przez jakąś małomiasteczkową gazetę. Oszołomiony tem powodzeniem młody poeta, chciał się podzielić swym tryumfem z ukochaną matką i przeczytał jej pierwszy utwór swej wyobraźni. Matka, zacna lecz prosta prowansalska wieśniaczka, słuchała z uwagą czytającego syna, ale łzy wielkie, ryjące głębokie bruzdy na jej twarzy wskazywały jasno, że nie potrafiła zrozumieć swego dziecka, bo język jego był jej nieznanym. To spostrzeżenie napełniło boleścią duszę młodego piewcy. Przypomniał sobie, że pogardzany dzisiaj język prowansalski, kryje jednak skarby trubadurów i że jak niegdyś tak i dzisiaj mogą w nim zabrzmieć pieśni uczucia i serca. I to „dziecko z Saint-Rémy, powiada Saint-René Taillandier [1], które pisało wiersze francuskie bez najmniejszych pretensyj literackich, będzie je odtąd pisało po prowansalsku i będzie miało cel wytknięty przed oczami", a celem tym jest powołanie do życia przeszłości, rozbudzenie ducha narodowego i oddanie skarbów umysłu i serca do rąk nawet i tym ubogim i prostym, którzy poza swoim ciasnym zakresem idei nic innego nie znają. Chwila, która nakłoniła Roumanilla do powzięcia tego planu, rzuciła i podwalinę pod dzisiejszą prowansalską szkołę literacką, a ta jak z zacnego powstała źródła, bo z źródła miłości rodzicielskiej, tak też zacnem będzie się kierować hasłem, wyrażonem w tych serdecznych słowach

[1] *La nouvelle poésie provençale* w *Revue des deux mondes* r. 1859, t. 28, str. 808.

swego założyciela: „Wiernie stojąc przy naszej wierze, jesteśmy romańskimi prowansalczykami, w łódce Piotrowej strzeż nas, miłujące Serce“.

* * *

Na wszystkie strony przecinają Prowansyę góry Alpiny, przybierające w południowej części nazwę Maures ze skalistą płaszczyzną Crau u stóp swych; oblewają ją rzeki: Rodan, Durance i Var. W przejściach, jakim z biegiem czasów ulegała Prowansya, przybierała też rozmaite imiona. Rzymianie nazywali *Provincia* lub *Provincia Gallia* dzisiejszą Prowansyę, Delfinat i Languedoc. W czasie wędrówek narodów, kiedy północną i zachodnią część tej rzymskiej prowincyi zajęły ludy germańskie, ograniczono starą nazwę do szmatu ziemi rozciągającego się między rzekami Rodanem, Durance i morzem Śródziemnem; nazwa ta ustaliła się powoli i obecnie nazywamy Prowansyą całą prawie południowo-wschodnią część Francyi, przylegającą do morza.

Naród, zamieszkujący ten zakątek, różni się od innych Francuzów tak swym charakterem, jak i językiem. Wystarczy, zauważa Kreiten, udać się trochę w dół Loary, aby poznać, że nie przebiegnie się z językiem Racine'a i Corneille'a całej Francyi. Pomiędzy Alpami i Pirenejami, morzem Śródziemnem i Oceanem Atlantyckim ku północy aż do ujścia Girondy, rozbrzmiewa wszędzie język prowansalski; posługuje się nim i wieśniak w polu i rzemieślnik przy pracy i kapłan w kościele. Bo ten język ma za sobą wiekową tradycyę, a choć długi czas był zapomnianym, w naszym wieku prawie wzgardzonym (*patois* nazywał go Paryżanin), to okazał on jednak siłę żywotną i pozostał wiernym spuściznie ojców.

Historya języka prowansalskiego, jak i historya kraju, w którym dziś prawie niepodzielnie panuje, bogata w przejścia i różne koleje. Początek swój wywodzi on ze starego Rzymu. Język łaciński bowiem, za panowania Rzymian w Gallii, rugował stamtąd powoli wszelkie idiomaty krajowe. Zaniesiony do Prowansyi przez kohorty rzymskie, zebrane z całego świata, stracił w ustach

żołnierzy już wiele ze swej klasycznej piękności a zmienił się do niepoznania w wymowie na pół jeszcze barbarzyńskich Gallów, którzy do fałszywej pronuncyacyi dodali nadto różnicę szczepów i mnóstwo słów ojczystych, gdyż na wyrażenie niektórych pojęć językowi rzymskiemu, zdaniem tubylców, brakowało słów. Chociaż więc wspólny pierwiastek we wszystkich tych odmianach zawsze dał się łatwo wykazać i chociaż, jak uczy historya, w mniej więcej ósmym wieku w całej dzisiejszej Francyi panował niepodzielnie jeden język (zepsuty i obcemi słowami zeszpecony idiomat łaciński), to jednak różna wymowa i większa lub mniejsza ilość przeszczepionych ściśle krajowych pierwiastków, potęgowała coraz bardziej tę różnicę. Powolna ale stała i konsekwentna praca wieków rozdwoiła wreszcie język średniowiecznej Francyi poniżej i powyżej Loary i ta pierwotna *lenga romana* rozpadła się na dwie grupy, północną i południową, czyli na tak zwaną *langue d'oil* i *langue d'oc*. Podczas kiedy grupa północna zachowała w sobie przeważnie pierwiastki celtyjskie, germańskie i czysto-łacińskie, to w skład grupy południowej wszedł element liguryjski, grecki a nawet gocki i niemiecki wraz z innemi słowami z czasów wędrówek narodów [1]. Stąd też znać ciągłe zmiany i postęp w języku południowej Francyi. Między prowansalskiem średniowiecznem a dzisiejszem znachodzi się różnica w samej pisowni, w gramatyce i w bogactwie wyrażenia; w nowych jeszcze czasach uwydatnia się silny wpływ francuski, który ostatecznie przyczynia się tylko do łatwiejszego zrozumienia języka prowansalskiego.

To przez Francuzów długi czas tak pogardzane *patois*, nie jest więc tylko dyalektem francuskim, ale językiem, który obok francuskiego i razem z nim, od niego jednak nie bardzo zależnie, powoli się rozwijał i w osobną mowę rozwinął. Naturalnym biegiem rzeczy okoliczności sprzyjały więcej językowi Francyi północnej i dlatego też możnaby sądzić, że tam przedewszystkiem literatura zakwitnie; tymczasem przeciwnie się stało. Słoneczne niebo Prowansyi snać ukochało ten lud, który miało

[1] De Villeneuve, *Statistique des Bouches-du-Rhône* III, str. 130 i nast.

ogrzewać swemi promieniami, a wicher szumiący nad zielonem błoniem Camargui i skalną opoką Crauy, wionął w serca owe melodye, które miały zajaśnieć i zadźwięczeć w pełnem poetycznych ułud pojawieniu się trubadurów.

I rzecz dziwna! Występ trubadurów przedstawia nam fakt, nieznany w historyi literatury. Pierwsze wiadomości nasze o tej zamierzchłej szkole rycerskich pieśniarzy, pojawiają się w jedenastym wieku a odnoszą się one do pierwszego trubadura Wilhelma IX. z Poitiers (1071—1127). Z nim stanęła poezya trubadurów od razu u szczytu, w pełnym rozkwicie i wydoskonalonej formie; nie znajdujemy w przeszłości Prowansyi żadnych przygotowań, żadnych przejść, żadnych łamań się i walk, każdy utwór jest tu doskonały. „Trubadurzy pojawili się, jak z nieba spadłe gwiazdy“ [1]. Jak się to stało?

Na ten tak nagły i tak od samego początku doskonały rozwój wywarło wielki wpływ polityczne i fizyczne położenie kraju. Podczas kiedy północna Francya, niszczona wojnami i złą administracyą, trawiona niesnaskami domowemi i chciwością książąt i władców, nie mogła odpowiednio wzrastać, to południowa część kraju, wolna od tych plag, doszła pod łagodnemi prawami do pewnego stopnia dobrobytu i umysłowego wykształcenia. Kiedy znów w r. 1112 wygasła linia hrabiów z Arles, którzy nad wielką częścią Prowansyi panowali, przypadły ich posiadłości w udziale hr. Rajmundowi Berengarowi z Barcelony; ten odstąpił w 1125 r. kawał kraju hrabiom z Tuluzy; czterdzieści prawie lat później połączono Prowansyę z Aragonem, ponieważ hrabiowie barcelońscy w r. 1137 tę koronę posiedli. Przedtem jeszcze przez małżeństwo Berengara z księżniczką Dulce, panią wschodniej Prowansyi, dostały się hiszpańskie obyczaje i hiszpańskie życie nad brzegi dolnej Loary; Katalończycy przybyli do Prowansyi i nadali jej językowi dużo giętkości, elegancyi i pewnych cech, które już na zawsze miały się w mowie uwidocznić. Stosunki między temi krajami były wówczas tak ścisłe, że, we-

[1] Kreiten, *Felibre und Felibrige* w *Stimmen aus Maria-Laach*, r. 1875, t. VIII, str. 59.

dług Mistrala, jeżeli jakaś wybitna piękność zasłynęła w Marsylii, Aix lub Awinionie, w Barcelonie rozmawiano o niej, jak o sąsiadce. Stąd też, powiada Fastenrath, „w Prowansyi, gdzie niebo jest zawsze błękitne i przeźroczyste, gdzie mieszkańcy lubują się w zabawach i tańcach, a niewiasty posiadają tę piękność kształtów, jakie podziwiamy u Wenery z Arles, musiał się przedewszystkiem rozwinąć kwiat uczucia, poezya“ [1]. A trzeba przyznać, że hrabiowie barcelońscy robili wszystko, co było w ich mocy, aby tę wątłą roślinkę wyhodować i do najwyższego doprowadzić rozkwitu. Oni przedewszystkiem popierali trubadurów, którzy często w otoczeniu t. zw. *jongleurs* przebiegali zamki rycerskie i dwory książęce, niosąc z sobą w hołdzie miłości pieśń i lutnię. Wolność ich była nieograniczoną. Choć nawet z nizkich pochodzili rodów, otworem stały im jednak wszystkie podwoje, broniła ich przyjaźń potężnych panów, uważano ich za równych książętom. Nie dziw więc, że taki śpiewak, Guido Folquet, syn zubożałego rycerza, zamieniwszy w późniejszem życiu lutnię na habit, a purpurę kardynalską na mitrę, zasiadł jako Klemens IV. na stolicy papieskiej.

Zamiłowanie sztuki i poezyi i „wesołej umiejętności“ *(gai saber)* roznosili trubadurzy po dworach szlacheckich, a w ludzie tymczasem rozbudzali zmysł poetyczny żonglerzy.

Żonglerzy (po prowansalsku *joglar, joglador)* byli śpiewakami z profesyi. Stali oni czasami na żołdzie trubadurów i deklamowali ich pieśni przy dźwiękach muzyki; rezydowali też stale na dworach mniejszych lub większych książąt francuskich a wtenczas otrzymywali nazwę *Ménéstrels*, przedewszystkiem jeżeli sami tworzyli; częściej jeszcze przebiegali kraj w różnych kierunkach i zajmowali swych niewybrednych słuchaczy opowiadaniami, poezyą epiczną lub satyryczną, wygłaszaną przy towarzyszeniu instrumentów. Jeżeli w takich warunkach życiu moralnemu trubądurów można było wiele robić zarzutów, to prowadzenie się żonglerów, z którymi łączyły się nie rzadko śpiewaczki *(jongleresses)*, nie odpowiadało i skromnym nawet wymaganiom. Dlatego

[1] *Catalanische Troubadoure der Gegenwart,* str. XXII.

też, chociaż ich wszędzie chętnie witano a chętniej jeszcze im się przysłuchiwano i chociaż ich życie, pod otwartem spędzane niebem, przyciągało do siebie pewnym poetycznym urokiem, to jednak nie znajdowali oni tej opieki, jaką kraj otaczał trubadurów — owszem Kościół i państwa, na spółkę, ciężkie na nich nakładały kary. Przy tem wszystkiem nie da się zaprzeczyć, że obok trubadurów, i żonglerzy przyczynili się w swoim rodzaju nie mało do podniesienia, a raczej zamiłowania poezyi.

Przy dalszem omawianiu nagłego powstania i rozwoju poezyi trubadurów, trzeba zwrócić uwagę jeszcze i na wpływy maurytańskie, które z Hiszpanii dostały się do Prowansyi; wpływy te były tak potężne, że zdaniem krytyków „kwiat prowansalski zakwitł na łodydze maurytańskiej“ [1]. Poezya maurytańska owych czasów przedstawia oku znawcy wdzięczne pole. Namiętna jak sam wschód, dumna i dzwoniąca do walki, jak islam przy swem założeniu, wabiła do siebie tysiączną ułudą. Dzieł obszernych nie potrafiła stworzyć, bo przy jej ogniu i namiętności brakło jej wytrwania i spokoju; nie dała nam utworów głębokich, bo brakło jej poważnego pojmowania życia, którego celem była wojna i miłość. W liryce zato rozsypała szczodrą dłonią barwne klejnoty, nie myśli wprawdzie, lecz obrazów, formy, niespodziewanych i nieprzewidzianych rymów i zwrotów; dała nam jednem słowem wzór poezyi lekkiej i wdzięcznej, pełnej powabu i rozkoszy. „Śmiała i stanowcza w obrazowaniu, płonąca namiętnością, niesłychanie uczona, architektoniczna i muzykalna w formie — taką była poezya arabska“. To też niezatarte piękno wycisnęła ona na piśmiennictwie prowansalskiem, wyodrębniającem się od piśmiennictwa francuskich truwerów i powstających literatur północy.

Dzieła prowansalskie, szczególniej z pierwszych czasów odznaczają się dlatego niesłychaną, poprawnością i pewną naturalną sztuką, w formie. Rymy doskonałe, kapryśne, tajemnicze, jak echo odbijające się od ściany lasu, wybujałe jak kwiaty wiosenne, silnie brzmiące jak strumień toczący się po kamie-

[1] Kreiten, l. c. str. 59.

niach; budowa zwrotek i pojedynczych wierszy niezrównana; obrazy tak barwne, że aż rażą swym blaskiem a odurzają swą wonią, szczęśliwe pomysły — wszystko tam znajdujemy. Aż żal, że w tej tak cudownej szacie przemieszkiwa prawie niepodzielnie duch niezdrowy i niebacznych do siebie wabi.

Wiersze trubadurów są na pierwszem miejscu wierszami miłości, tak dalece, że według Fastenratha miłość i poezya były jedną i tą samą rzeczą[1]. Trubadurzy sami nazywali swoje rymy prawami miłości. Kobieta była królową turniei i literackich igrzysk, ku jej uczczeniu wydzwaniali oni pieśni swego serca, jej wola była święta; na „sądach miłości“ *(puys de amor, cours d'amour)* ona rozstrzygała wszelkie sprawy; jej wyrokom, każdy chętnie się poddawał. Ten kult kobiety otaczał trubadurów jakąś tajemniczością, nie dziw więc, że różne wieści o każdym wybitniejszym z pośród nich chodziły. Że to korzenie się przed kobietą i uznawanie jej zalet, to ubóstwianie jej, nie było znów tak bardzo platonicznem, pokazuje nam historya; nie daremnie przecież hrabia z Roselló kazał zamordować piewcę Wilhelma de Cabestany, a serce jego podał swej żonie do stołu. Treścią też utworów trubadurów jest miłość w różnej przedstawiona formie; wskazują to choćby rozmaite nazwy, nadawane ich poematom. I tak mamy tam zwykłą pieśń miłosną, *canzó* zwaną, podczas gdy *albada* opisuje rozstanie się narzeczonych wczesnym porankiem, a *serena* opiewa pragnienie ponownego spotkania się przy blaskach księżyca. Uczucie miłości przedstawia jeszcze *pastorela, salutz d'amors* czyli listy miłosne, często także *planch* czyli treny, *vaquera* do *pastoreli* podobna, a szczególniej *descort,* dziwaczne zjawisko poetyczne, opisujące w rozmaitych odrazu metrach i językach ból i tęsknotę niewzajemnego uczucia.

Sam fakt tych melodyj miłosnych nie może ostatecznie nikogo tak bardzo razić, wypływał on bowiem w wielkiej swej części z okoliczności i warunków czasu; trzeba co najwięcej zganić prawie wyłączne panowanie tego pierwiastku. Rzecz jednak staje się trochę podejrzaną, gdy się bliżej treści owych romansów

[1] Fastenrath, l. c. str. XXII.

przypatrzymy. Uderzy nas przedewszystkiem fakt, że miłość jest tam pojętą zbyt poziomo i zbyt po ziemsku. „Trzeba umieć, przedrzeć się przez cały las dziewiczy filologicznych trudności do tak zachwalanego jeziora trubadurów, aby pojąć i zrozumieć rozczarowanie, które zawłada umysłem i sercem, gdy się wreszcie stanie przed tą nawpół wyschłą laguną i co chwila zastanawiać musi, czy na tym ślizkim gruncie można jeszcze krok jeden uczynić. Tam błyszczące kwiaty zioną zabójczą woń, zdziczałe rośliny ranią kolczastemi liśćmi, a blade wodne róże pływają nad głębiami trzęsawisk“ [1]. Bo też naprawdę zazdrość, złamanie przyrzeczonej wiary, namiętna zmysłowość, rozpacz, lekkomyślność, to refren, który w wszystkich tych pieśniach się powtarza; wszak i w podręcznikach tak mało znaleźć można wyjątków z poezyi trubadów, boć niejeden dzisiejszy mistrz ledwie w tym względzie swoim prowansalskim poprzednikom sprostać zdoła.

Tę słabą stronę trubadurów musieli uznać nawet najzapaleńsi ich wielbiciele; tłumaczyli ich tem, że owe pieśni były owocem chwili, skutkiem aktualnego natchnienia i wypływały z ducha czasu. Uniewinnienie to jednak nie na wiele się zda, bo w każdym razie głównym kontyngensem wierszy trubadurskich jest zmysłowa, rozpustna miłość, a jako taka estetycznego wrażenia wywołać nie potrafi; budzi tylko niesmak i obrzydzenie i chybia celu, bo nie uczy bynajmniej cenić kobiety i kłaniać się przed jej pięknością, ale raczej uczy jej pożądać, wytyka jej słabe strony i namiętności. Wystarczy zresztą popatrzeć się do jakiegoś obszerniejszego dzieła, zajmującego się życiem i pieśniami trubadurów, a łatwo się przekonać, że nie wiele przesady w naszem twierdzeniu [2].

Oprócz tych *canzó* spotykamy jeszcze w zbiorkach prowansalskich moralne i polityczne *serventesios*, satyryczne pieśni, które przechodziły trochę za często w paszkwile, gdzie wymyślania, grubiaństwa, drwinki i nienawiść musiały zastąpić nowość po-

[1] Kreiten, l. c. str. 61.

[2] E. Grabowski, „Trubadurowie prowansalscy“ w „Dzieje literatury powszechnej“ t. II., str. 803 i nast.

mysłów i dowcipu. Jakżeż bowiem inaczej nazwać np. jeden z *serventesios* Sordela, który wzywa odrazu Fryderyka II., Ludwika św., Henryka III., Fernanda III. św., króla Aragonii Juima I., króla Nawary i hr. z Tuluzy do zjedzenia serca Blaca, by tym sposobem choć trochę nabrali z jego dzielności i odwagi! Nie inaczej przedstawiają się przeciwko Kuryi rzymskiej zwrócone *serventesios* Peir'a Cardenal, który odwrotną drogą z mnicha puścił się na fale swobodnego życia trubadurów lub Wilhelma Figueir'y i innych; wszak, choćby treść ich satyr i paszkwilów w części przynajmniej była rzeczywistą i prawdziwą, to jednak każda przesada na gorsze zraża i odsłania umysł nie bardzo szlachetny.

W jednym tylko kierunku wydała poezya trubadurów utwory względnie doskonałe a mianowicie w kierunku pieśni rycerskiej. W przeciwstawieniu do owego odłamu swych towarzyszy, którzy opiewali jedynie miłość i to abstrakcyjną, opisują trubadurzy-rycerze własne doświadczenia i przygody. Jeżeli o pierwszych bez rozminięcia się z prawdą, twierdzić można, że kto jednego z nich czytał, czytał wszystkich, gdyż brak im indywidualnego pojęcia i eksklusywnego zapatrywania się na życie, to drudzy, opisując koleje, przez które sami przechodzili, stają się oryginalnymi i wyciskają na wierszach swych znamię własnego, osobistego charakteru, malują z fotograficzną prawdą świat uczuć, w danej chwili w duszy się rodzących, przedstawiają jednem słowem prawdę żywotną a oryginalną i dają nam wierny obraz epoki; szkoda tylko, że tych pieśni rycerskich tak bardzo, bardzo mało. Prawda! i o nich pesymistyczny i zrzędzący krytyk powie, że były tylko owocem chwili i jak piorun z chmury wytryskały z nagle rodzącej się namiętności, niezależnie od samej sztuki, któraby niemi kierowała. Na ten pogląd można się rozmaicie zapatrywać, nie można jednak zaprzeczyć prawdy twierdzeniu, że pieśni rycerskie wogóle są za dzikie, krwiożercze, niepohamowane tak, że albo zupełnie uniemożliwiają, albo przynajmniej osłabiają niepomiernie wrażenie estetyczne; chrześcijaństwa w nich nie znać, wpływ Maurów ubezwładnił je zupełnie.

O elemencie religijnym trubadurów może lepiej zamilczeć.

Poezya ich zajmowała się zanadto rzeczami tej ziemi, aby w niej religia swój potężny, a tak piękny wyraz znaleźć mogła. Najczęściej powstrzymywali się oni od wplatania pereł religii do wieńca swych nierzadko zwiędłych kwiatów; to też ich pieśni religijne są przeważnie słabem naśladownictwem średniowiecznych łacińskich wzorów; gorącości i głębi uczucia, polotu myśli, śmiałości wyrażenia, oryginalności pomysłów tam nie szukać, a nawet pieśni krzyżowe są z małemi wyjątkami pieśniami rycerskiemi, gdzie pierwiastek religijny służy tylko dla dekoracyi, główną za to treść stanowi rozbój i walka.

Gdybyśmy wobec tego, co po prawdzie nie jest naszem zadaniem, chcieli porównać poezyę trubadurów z niemieckimi *Minnesängerami,* musiałoby to porównanie wobec obfitości treści w niemieckiej liryce, wobec serdeczności i prostoty uczucia, wobec naturalności w przedstawieniu, wyjść dla pierwszych bardzo na niekorzyść, tem bardziej, że średniowieczna liryka niemiecka dopiero wtenczas zboczyła na bezdroża, gdy się do niej przedostały wpływy pieśniarzy południowych.

Uderza wreszcie w literaturze trubadurów każdego dziwne, choć z tego, cośmy wyżej powiedzieli łatwo wytłumaczalne zjawisko, brak dłuższych utworów a szczególniej brak prozy. Niedobry to znak, bo „literatura, która nie posiada epiki w prozie lub poezyi, musi zginąć, jak ginie człowiek bez czynu żyjący tylko uczuciem“ [1].

Ten też szybkiemi kroki zbliżający się upadek poezyi trubadurów poprzedzał zanik artystycznego smaku, który przyjął poprostu olbrzymie rozmiary. Pojawił się on głównie w formie. Jeżeli ta zewnętrzna szata liryki prowansalskiej czarowała w pierwszych chwilach swą powiewnością, powabem i niewymuszonym a jednak wyszukanym artyzmem, to w dalszych latach w pogoni za oryginalnością zaszła tak daleko, że wrócić już się nie mogła i musiała runąć w przepaść. Pod poezyą zaczęto powoli rozumieć używanie trudnych form i rzadkich rymów; w jednej i tej samej pieśni posługiwano się najrozmait-

[1] Kreiten, l. c. str. 63.

szemi rodzajami wiersza i metra, niektórzy jak Raimbaut de Vaqueiras pisali pojedyńcze ustępy jednej pieśni w kilku od razu językach, aby tym sposobem łatwiej swoją wprawę wykazać. To niezdrowe wybujanie sztuki rymotwórczej znamionowało ciężką a groźną chorobę, którą tylko czuła opieka zwycięsko zwalczyć mogła. A tu opieki znikąd nie było, przeciwnie, nastały dla tej delikatnej roślinki wprost zabójcze czasy i zadały jej cios stanowczy, śmiertelny.

Poezya trubadurów wyrosła z wieku, była wykwitem czasu, a kiedy u nas do zrozumienia artystycznego dzieła potrzeba przedewszystkiem poznać autora, który je stworzył, a z indywidualności pisarza dopiero iść dalej, to w ocenie liryki prowansalskiej trzeba na pierwszem miejscu i prawie wyłącznie zapoznać się z kulturą — autora można zostawić na boku. Dla tego też z upadkiem kultury i zanikiem ówczesnego towarzystwa, musiał się naturalnem następstwem łączyć upadek trubadurów. I tak się stało. Włochy, dla których przedtem śpiewacy prowansalscy byli miłymi gośćmi, zamknęły im swe otwarte podwoje, kiedy Prowansya stanęła po stronie niebezpiecznej sekty Albigensów; na dworach północnej Francyi zajęli truwerzy miejsce śpiewaków południa. Zmienił się stan rzeczy i w samej Prowansyi. Zajścia XIII. wieku zniszczyły jej polityczne i literackie znaczenie i samodzielność. Karol andegaweński przeniósł swój wpływ i blasku potęgę na dwór sycylijski i do Neapolu, gdzie język prowansalski został wyparty przez włoski; następni królowie popierali z małymi wyjątkami również element włoski. Niedługo potem literatura włoska ustąpiła przed półwyspem iberyjskim, a muza Hiszpanii musiała znów w walce losów przyznać palmę pierszeństwa północno-francuskiemu piśmiennictwu. Literaturę prowansalską nie było stać na siły potrzebne do walki wobec takich wrogów. Nie dała ona wprawdzie tak prędko za wygraną. Jeszcze za Karola andegaweńskiego zaprowadzono te sławne „sądy miłości“, które doszły nawet do niebywałego rozkwitu; Joanna I. neapolitańska otoczyła troskliwą opieką działalność trubadurów; król Réné usilnie się starał o nowy blask poezyi prowansalskiej. W Tuluzie zaprowadzono igrzyska kwiatowe *(jeux floraux)*, od-

zwierciedlające cały czar i urok tych czasów, przedewszystkiem gdy pod koniec XV. wieku pojawiła się poetyczna postać Clemencyi Isaury, ale to wszystko nic nie pomagało, potrafiło tylko przeciągnąć na jakiś czas konanie, ostatnia jednak godzina już wybiła.

Jedyną jaśniejszą chwilą w tych zapasach z losem i wymownym ich dokumentem jest dzieło spisane na życzenie i za inicyatywą króla Réné, które zawiera życiorysy trubadurów prowansalskich. Dzieło to, którego autorem jest nieznany bliżej zakonnik z *Iles d'or*, zawiera nader cenne przyczynki i wskazówki do życia i pism średniowiecznych prowansalskich śpiewaków, ale pokazuje niestety, że życie trubadurów odpowiadało ich pieśniom, a pieśni życiu.

Tak więc wygasła poezya w Prowansyi, ale w nowej postędze powstała nowa szkoła na dalszem południu a szczególniej w Katalonii. A gdy literackie zabytki Prowansyi utonęły w fali zapomnienia, musiał i sam język coraz więcej ustępować przed północno-francuskim, który ostatecznie zostawił sobie wyłącznie monopol elegancyi, smaku i artyzmu. Wycofał się z życia publicznego i literackiego a rozbrzmiewał tylko po wsiach Prowansyi, dźwięczał w gronie familijnem, można go było usłyszeć i w kościele; tracił jednak coraz więcej i więcej na znaczeniu, aż zdawało się, że prawie zupełnie w czasie rewolucyi zaginął. A jednak dziwnem zrządzeniem, rewolucyi wiele zawdzięcza. Bo jeżeli na wschodzie pod tchnieniem rewolucyjnych prądów buntowały się państwa i szukały swej niezależności ujarzmione kraje, to i na zachodzie dały się odczuć te same prądy, tylko więcej w sferze ducha, dążyły one bowiem do wywołania z grobu dumnej, blaskiem promieni poezyi osypanej przeszłości. W Irlandyi Moore, w Flandryi Conscience, w Bretanii Briseux — wszyscy oni szperają w czasach ubiegłych i znajdują tam skarby, świadczące o wysokiej kulturze i wielkiem zamiłowaniu piękna wieków minionych. A ponieważ i uczeni całego świata z coraz większem zaciekawieniem i zainteresowaniem się w ową tajemniczą przeszłość zaglądać poczynali, nie może nikogo zadziwić, że i w Prowansyi okazały się tendencye o tym samym kie-

runku; potrzeba było jedynie siły i potęgi ducha, aby z tej żarzącej się iskierki wywołać wielki płomień, któryby pięknością swego blasku wszystkich oczy na siebie zwrócić potrafił; ta siła i potęga znalazła się w Roumanille'u i szkole, którą on stworzył. Ułatwił mu zadanie w Gaskonii popularny Jansemin a w Sewenach markiz de Fare-Alais.

* * *

„W małym ocienionym drzewami domku urodziłem się (8 sierpnia 1818 r.) jako syn ogrodników w ogrodach z Saint-Rémy. Z pomiędzy siedmiu dzieci ja byłem pierwszy. Całe noce czuwała ma słodka matka przy swym chorym ulubieńcu w kołysce. Dziś wkoło mej chaty wszystko słoneczne i zielone; ale daleko od swego gniazdka z kwiecia uwitego wzdycha i trzepoce się zbiegłe ptaszę. O! błagam Cię, Boże, niech błogosławiona Twa ręka, kiedy już do dna gorzki puhar życia wypiję, zamknie me oczy tam, gdziem świat ten ujrzał". W tych prostych a rzewnych słowach opowiada nam Roumanille o pierwszych chwilach swego dzieciństwa. Matka, Pierrette de Piquet, zaszczepiła w serce, jego miłość Boga, „a ja, nieletnie dziecię, ukochałem Jezusa który małe dzieci miłuje", ale zarazem uczyła go cenić, poznawać i kochać ten drogi, rodzinny kraj. Kołysany do snu czarodziejskiemi powieściami babki, która tym sposobem rozbudzała w sercu jego zamiłowanie przyrody i piękna, mógł później słusznie wołać: „Ach! gdybym to wszystko opisał, co mi babka opowiadała, jak piękne dzieło potrafiłbym stworzyć". I tak swobodnie, idylicznie prawie spływało mu to życie w jego domu rodzinnym, ubogie w nadzwyczajne zdarzenia, ale wyrabiające powoli tego ducha i to usposobienie, które tak wielką rolę miało odegrać w przyszłej jego działalności, odzwierciedlającej w sobie miłość kraju i religii. Nie brakło i scen wesołych, jak ta np. gdy miał śpiewać w kościółku rodzinnym w czasie uroczystego nabożeństwa solowe *Credo* a zanucił zamiast tego *Cantate Domino* ku wielkiemu przerażeniu kantora, który rzucił mu w swej rozpaczy na usta i oczy zatabaczoną chustkę, tak, „iż mi się zdawało, że mam w oczach żarzące się węgle". Po

ukończeniu nauk, jakie mu miejsce rodzinne dać mogło, został młody jeszcze i niedoświadczony profesorem w małym pensyonacie w Nyons, a w jakiś czas potem w Awinionie. Tu też zaszło zdarzenie, którego ważności wcale nie przeczuwał, a które odbiło się na przyszłości nowej szkoły. Pomiędzy uczniami jego zasiadało młode pacholę o latach jeszcze dziecięcych, ale trawione już gorączką tworzenia. Kiedy pewnego razu nauczyciel wyprowadził swoich uczniów na nieszpory do kościoła karmelitańskiego, zauważył jak dziecię coś ukradkiem notowało. Zbliżył się do niego Roumanille i zabrał podejrzany papier, a ku zdumieniu swemu zauważył, że cały był pokryty wierszami prowansalskiemi — było to tłumaczenie jednego z psalmów. „Takem się czuł tem poruszony, mawiał później, żem płakał z radości". Po skończonem nabożeństwie zawezwał nauczyciel ucznia do siebie, przeczytał mu kilka ze swoich utworów, roztoczył przed nim plan przywrócenia drogiemu językowi dawnego blasku i tego wieczora zawiązała się szczera przyjaźń pomiędzy temi dwiema duszami, które tak wielką miały odegrać rolę w niedalekich czasach; pacholęciem tem był późniejszy „Wirgili" Prowansyi, Mistral. Przyjaźń ta, powstała wśród tak prawie sielankowych okoliczności, miała trwać życie całe. Kiedy sława Mistrala dosięgła zenitu a wszyscy nim się tylko zajmowali, Roumanille radował się najwięcej tem wywyższeniem swego ulubieńca; Mistral nawzajem zawsze był wdzięcznym „staremu patryarsze z Saint-Rémy", uważał go za swego mistrza i wodza, który potrafił „zakląć w swe harmonie płacz ludu, śmiech dziewcząt i kwiaty wiosny", i dowiedziawszy się o śmierci swego długoletniego druha, mógł bez przesady pisać do żony zmarłego: „muszę powiedzieć, żem stracił połowę samego siebie".

Zajęcia profesorskie nie pozwalały Roumanille'owi oddawać się wiele poezyi, chociaż jej całkiem nie zaniedbywał; zato służyły mu jednak w innym względzie. Praca nadała jego duchowi poważny i praktyczny kierunek; wiadomości jego rozszerzały się, i powoli wyrabiała się w nim tendencya, którą wyraził później w swoich pismach: jego dzieła miały przedewszystkiem

zbawiennie oddziaływać na moralność i oświatę ludu; chciał na pierwszem miejscu drugim służyć.

Do tego też celu wiodła go posada korektora, jaką otrzymał w jednej z pierwszych drukarni w Awinionie. Zakres idei rozszerzył się, przy tem nowem zajęciu, a że umiał patrzeć na świat i, jak trafnie powiedział jeden z krytyków, zrozumiał, że chcąc zbawiennie oddziaływać na drugich, trzeba raz wglądnąć do książki a dwa w życie, pogłębił w krótkim czasie umysł, czego zaś nie dokonał sam rozum, dokonała bystra obserwacya, i dlatego też podziwiać trzeba w jego wszystkich utworach wierność i prawdę życiową. W Awinionie stykał się z rozmaitymi ludźmi, zawsze jednak przestawał najwięcej i najchętniej z prostym ale zdrowym ludem prowansalskim i tu też rozpoczął swą misyę literacką. Jego moralne, tryskające dowcipem i życiem fraszki, opowiadania i bajki zrobiły go w krótkim czasie ulubieńcem publiczności, a nim sława jego stała się głośną wśród uczonych i arystokracyi, była już wielką u ludu, który tak ukochał.

Zniechęcało go w tej działalności wielkie zaniedbanie języka przepełnionego nowemi, źle wymawianemi i zmienionemi słowami. Błąd ten trzeba było usunąć — ale jak? Starych trubadurów znał za mało i nie mógł ich na razie badać tak, jak było potrzeba. Szukał więc innej drogi, wiodącej bezpośrednio do celu a wypróbowanej już u innych narodów. W towarzystwie awinińskiego humorysty, Cassana, przebiegał okoliczne wioski, wszedł w pełne pracy i zaparcia się życie niższych warstw w Awinionie samym, a gdy Cassan zabawiał dowcipem swym oczarowanych wieśniaków, którzy trochę podejrzliwie patrzali się z początku na tych dwóch nie bardzo sobie osobiście znanych mężczyzn, notował Roumanille gorączkowo każde słowo, każdy oryginalny zwrot i frazes języka, który w tych właśnie warstwach, wolnych jeszcze od niepotrzebnych naleciałości kultury, nieskazitelnie prawie się przechował. Tym sposobem rósł mu zasób słów i wyrażeń, którym potrafił wrócić cały wdzięk, czystość i świeżość przeszłości. Teraz dopiero nastał złoty wiek dla jego twórczej działalności, której rezultatem był zbiorek

poezyj, wydanych w r. 1847 pod tytułem: *Li Margarideto,* „Stokrótki".

Zbiorek ten, wydany w przeddzień zaburzeń politycznych, zwrócił uwagę przeważnie tylko Prowansyi, tem bardziej zato zainteresowała jego proza. I do ukochanej Roumanille'a bliższej ojczyzny poczęły ze wszystkich stron zlatywać się posępne kruki, a przypominając sobie, że w Awinionie dano w r. 1791 hasło rewolucyi, podburzały i buntowały przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy. Niebezpieczeństwo było groźne, bo cóż łatwiejszego, jak wyzyskać nieokiełznane i rozbudzone namiętności niewykształconych mas; a że niebezpieczeństwo to dla Prowansyi zostało zażegnane, było to wielką a może i wyłączną zasługą Roumanille'a. Znał dobrze lud, któremu był całą duszą oddany a lud sam znał niemniej dobrze i kochał swego wieszcza, którego utworom tyle wesołych chwil zawdzięczał. Korzystając ze swego wpływu, wypowiedział Roumanille wysłańcom rewolucyjnym wojnę na śmierć i życie, a ich dewizie o równości, wolności i braterstwie przeciwstawił inną o posłuszeństwie, sprawiedliwości i miłości. Do tego celu nie mogła poezya skutecznie służyć, zamienił ją więc na razie na prozę. Zebrał wszystkie zarzuty buntowników, powtórzył je ich własnemi słowami a dopiero potem zjadliwym sarkazmem i gryzącą ironią lecz zarazem silną i nieubłaganą logiką obracał je w niwecz; główną uwagę zwrócił na wykazanie słabych stron tych deklamacyj, ich wewnętrznych sprzeczności i bardzo szczęśliwie odsłonił interesy osobiste buntowników, ich pobudki egoistyczne, a uczynił to tak szczęśliwie, że lud nietylko przejrzał, ale się zupełnie od apostołów przewrotu odwrócił.

Kolejno wyszły najpierw w jakiejś gazecie awiniońskiej a potem w osobnych broszurach satyry, jak je nazywają inni, pamflety: *Li Club, Li Partejaire* („Komuniści"), *Un Rouge em'un Blanc, La Ferigoulo* („Macierzanka")[1] i *Li Capelan.* Dyalogi te są wzorami politycznej bystrości, słuszności w obserwacyach, ciętej satyry, zdrowego ale druzgocącego dowcipu, który jednak

[1] Symbol jednej z rewolucyjnych partyj.

wskazuje, że autor nie chciał nim zabijać, tylko ratować. Roumanille pokazał tu, że jeżeli w życiu potrafił sobie zjednać serca ludzkie, to znowu w pismach swoich potrafił na nich grać i do szlachetnych celów je naginać. Zdruzgotał przeciwnika, lecz nie pastwił się nad nim, walczył tylko w słusznej obronie własnej.

Arcydziełem prawdziwem prozy jest dyalog *Li Capelan.* Zebrał tu Roumanille wszystko, co kiedykolwiek przeciwko klerowi pisano, a wykazawszy ze zwykłą ciętością bezpodstawność tych oszczerstw i potwarzy, zakończył hymnem pochwalnym o godności kapłana, wskazując na rolę jego w historyi narodów w życiu pojedynczego człowieka. „Gdy się znajdziesz na łożu śmiertelnem, kiedy śmierć ze swojemi walkami do ciebie się zbliży, kogóż chciałbyś mieć przy sobie, by ci podał chleb, który życie daje, zaopatrzenie na ostatnią drogę? Któż wyciśnie znak krzyża na ustach twych bladych i na sercu, tem sercu pełnem strachów śmiertelnych? Któż ma cię do snu wiecznego złożyć w ramiona twego Boga i powiedzieć ci: duszo chrześcijańska, idź w pokoju?“ A na to przekonany i nawrócony wróg kleru odpowiada z sercem skruszonem i łzą w oku: „kapłan“.

Polemika ta uczyniła głośnem imię poety. Broszury prozaiczne Roumanille'a czytano powszechnie, gazety francuskie tłumaczyły je na wyścigi, w Paryżu należały one do dobrego tonu, hr. Chambord publicznie własnoręcznym listem mu dziękował, a Ojciec św. Pius IX., który poznał przez pośrednictwo arcybiskupa z Awinionu, mgr. Debelay, jego obronę kapłańskiego stanu, w pochwalnym liście winszował apologecie, „że z taką siłą umiał bronić godności kapłańskiej“.

(Dok. nast.)

Ks. Wiktor Wiecki.

MURZYŃSKA CYWILIZACYA NAD NIGREM [1].

I.

Mapa Środkowej Afryki zaczernia się coraz bardziej od nazw gór, jezior, osad i rzek, od nazw zwłaszcza różnorodnych plemion, których mnogość i dziwaczne brzmienia zaciężą srogo w programie jutrzejszych gimnazyalnych nauk. Niedawno temu jeszcze karta owa była rozkoszą studentów: wprawdzie Egipt przedstawiał twardy a konieczny do zgryzienia orzech, innych wybrzeży też, zwłaszcza północnych, nie można było pominąć, ale cały środek świecił nieskalaną białością, istnie balsamiczną dla serc dziecinnych zgryzionych złośliwością, z jaką — im na przekorę — nagromadzono tyle państewek w Rzeszy Niemieckiej, tyle wysp w Archipelagu, tyle miast w Anglii lub Włoszech! Niema jednak światła bez cienia, więc i na tem śnieżnem afrykańskiem niebie była plama: pomiędzy pustynią Sahary a przestworzem nieznanego kontynentu czerniał punkt samotny i tajemniczy: Tombuktu. Tak na mapie jak w wyobraźni zdawał się królować wśród bezbrzeżnej przestrzeni. Dziś przeciwnie — znacznie spokorniał, zatarł się i zginął wśród mnóstwa napisów. Nawet w słownikach geograficznych niełatwo go znaleźć, bo ludzie mędrkując, jak zwykle, przekręcają nazwę pisząc raz

[1] *Tombouctou la Mystérieuse* par Félix Dubois. Paris. Librairie Flammarion 1897. — *Sur le Niger et au pays des Touaregs. La Mission Hourst* par le Lieutenant du vaisseau Hourst. Paris. Librairie Plon. 1898.

Timbuktu, to znów Tumbuktu, podczas gdy dawna pisownia Tombuktu jest jedynie właściwą, bo najbardziej zbliżoną do pierwotnego brzmienia Tombutu. W miarę jednak jak imię „królowej pustyni“ zaciera się na mapach, w rzeczywistości mgła tajemnicy otaczająca ją dotąd co dnia rzednieje; dziś mamy fotograficzne odbicia jej ulic i rynków, jej targowisk i portu. Z ogromu stojących a zamieszkałych ruin możemy brać miarę tego, czem był ów gród afrykański, nim go zniszczyła barbarzyńska ręka koczowniczych ludów pustyni. Dziś francuska flaga powiewa ze szczytu warowni, francuskie bagnety czuwają nad bezpieczeństwem karawan ładujących towary Północy z grzbietów wielbłądzich na łodzie Nigru, to też mieszkańcy oddychają swobodniej, pewni swego życia i mienia.

Znamy Tombuktu — a oprócz niego znamy niedostępne niedawno wybrzeża Nigru, znamy nadewszystko stolicę starego państwa Songhoi, Dienne, klejnot staroegipski, nie tknięty ręką czasu ni ludzi. Inne miasta, jak Gao, Ualata i inne niemal zniknęły; w ich miejscu sterczą pagórki cegieł zmieszanych napowrót z ziemią, z której były zlepione. Inne, mniejsze wyniosłości oznaczają grobowce wielkich wodzów i królów grzebanych z bronią, klejnotami, sprzętami a nawet i kucharzami, którzy im służyli za życia. Będzie w czem kopać, gdy pod zwycięską stopą Europy umilkną bratobójcze walki sudańskich szczepów a żołnierze ustąpią miejsca uczonym. Obecnie już trafiają się ciekawi puszczający się w głąb czarnego kontynentu nie dla handlu i nie dla zdobyczy; tacy budzą najżywsze zdziwienie tubylców; być może, iż i w Europie większość nad nimi potrząśnie głową, bo to przecież żadna *business* badać dzieje i oświatę wybrzeży Nigru. U nas zwłaszcza poczytanoby za waryata takiego Feliksa Dubois, co sam jeden odbył tę szaloną wędrówkę, której owocem jest gruby, gęsto ilustrowany tom pod tytułem *Tombouctou la Mystérieuse*. Można zauważyć, iż nieraz samotny i ubogi podróżnik przebrnie szczęśliwie krainy, gdzie wyprawy liczne i zbrojne we wszystko, co przezorność ludzka obmyśleć może, trafiają co krok na ciężkie zapory. Tak np. pewien misyonarz niemiecki przeszedł bez eskorty ni broni, z prostym parasolem w ręku

góry Kilimandżaro ku zdumieniu i zazdrości głośnych podróżników.

Wiek XVI., złoty wiek u nas i w całym umysłowym świecie, był też epoką największego rozkwitu grodów sudańskich. Sława Tombuktu, jedynego z nich, do którego wprost od Śródziemnego morza dochodził handel, rozeszła się po Europie wtedy dopiero, gdy ta świetność zaczęła upadać. Wprawdzie Portugalczycy kupczyli tam pojedynczo tak w XVI. jak w XVII. wieku, były to jednak wysiłki prywatne, po których nad brzegami Nigru nie zostało wspomnienia. Mądry minister Ludwika XIV. Colbert, pierwszy zrozumiał znaczenie sprawy i wygotował plan dotarcia do Tombuktu od strony Senegalu; rzecz jednak mimo aprobaty królewskiej nie weszła w czyn. Zato Szkot Mungo-Park dotarł w r. 1795 do brzegów Nigru, w dziesięć lat później zapuścił się znacznie w głąb kraju a choć mu wrogie bandy Tuaregów wstęp do Tombuktu wzbroniły, przecież pamięć jego, pod mianem *Bancibatigui,* człowieka z wielką brodą, po dziś dzień tam zachowała się żywą. Sporządzony przezeń opis Sudanu dziś jeszcze uderza trafnością spostrzeżeń i znajomością kraju. Odtąd Anglia nie szczędziła pieniędzy ni ludzi, by wejść w stosunki handlowe z zapustynnymi ludami, ale jakoś nie bardzo się szczęściło. W r. 1825 wysłany Laing, po dłuższym już pobycie w Tombuktu wzbudził podejrzenie miejscowych władz jakoby był szpiegiem, skutkiem czego został z rozkazu ich zamordowany na drodze w powrocie a wszystkie papiery jego przepadły. Tak więc niejeden Europejczyk doszedł już był do Tombuktu ale żaden — ze znanych — nie wrócił. Pierwszy, któremu się to udało, był Francuz René Caillié. Dziwny to był człowiek, charakterem i losem przypominający Schliemanna. Urodzony ubogo w r. 1800 na prowincyi we Francyi i od dzieciństwa sierota, uczęszczał tylko do wiejskiej szkółki, nauczył się czytania, pisania i jakiegoś rzemiosła, które wnet znienawidził. Pożyczał gdzie mógł książki i mapy, i zapaławszy ciekawością do Środkowej Afryki, po kilku latach puścił się w drogę do Senegalu; miał lat 16 i 60 franków w kieszeni. Pierwsza podróż spełzła na niczem; zamiast nad Niger dostał się w służbę do Guadalupy, skąd

w r. 1818 powrócił do Senegalu i przyłączył do wyprawy angielskiej. Przyjęto go za darmo, to jest, że pracując jak inni, nie pobierał płacy i znosząc wszystko, co inni znosili, musiał pieszo biedz obok jeźdźców. Nie dziw, że biedny chłopiec rozchorował się i zmuszony był powrócić do Francyi. Powrócił, ale nie na długo; w r. 1824 znów był w Senegalu i tu z powodzeniem prowadził handel. Nie po to jednak przyjechał; przed nim w oddali majaczyło wciąż Tombuktu. Chcąc przysposobić się do wyprawy, udał się w przebraniu wschodniem do Maurów szczepu Bakras, udając, że chce się sturczyć i między nimi pozostać. Wycierpiał tysiące bied, zniósł głód i straszną chorobę szkorbutu, ale dopiął celu; powrócił do St. Louis obznajomiony doskonale nietylko z językiem arabskim ale z wszelkiemi zwyczajami tuziemców. Wtedy to jął do władz francuskich szturmować o środki — 6000 fr. na urządzenie wyprawy; chciał z Senegalu przejść w szerz Afrykę aż do Egiptu, ale napróżno — odepchnięto go wszędzie. Działo się to w chwili, gdy Anglia wydawała 18 milionów na próby dotarcia do środka Afryki! Caillié tedy udał się do kolonii angielskiej Sierra Leone. Tu nie urządzono mu wprawdzie wyprawy, ale zajęto się nim; dzięki protekcyi gubernatora Turnera dostał znaczną posadę, na której wkrótce zebrał dostateczny fundusz, aby własnym kosztem módz puścić się w drogę. Reszta jego przygód powszechnie jest znaną; wszystkim wiadomo, że przebrawszy się znów w turban i burnus podał się za Egipcyanina porwanego w dzieciństwie w niewolę przez Franków i powracającego na Wschód, by po pielgrzymce do grobu Proroka, osiąść na nowo między swoimi w Egipcie. Teraz jednak dopiero dowiadujemy się, jak głębokie opowieść jego wywarła wrażenie w Tombuktu, jak imię jego otoczyła legenda, którą ojcowie przedstawiają dzieciom, jako przykład miłości ojczyzny i wiary. Nie wiem czy dobrze uczynił Dubois, odzierając ją z blasków złudzenia, wyjawiając, iż mniemany bohater Sidi-Abdallah, był panem René Caillié, prostym wędrowcem francuskim a w oczach mahometan — oszustem..

Caillié zawdzięczał Anglikom możność rozpoczęcia wyprawy; pomimo to powodzenie jego wzbudziło ich zazdrość.

Gdy wrócił, zaprzeczyli złośliwie wieściom, jakie przywoził. Natomiast urządzili z wielkim sumptem inną wyprawę, której celem było jezioro Czad. Na prośbę rządu pruskiego pozwolono wziąć w niej udział dwom Niemcom, z których jednym był wsławiony odtąd dr. Barth. Ten, gdy wszyscy inni uczestnicy wyprawy wymarli, dokonał jej sam jeden poparty przyjaźnią szeika z rodu Kunta, Ahmeta El Bakay. Zwiedził przytem znaczną część brzegów Nigru i tak dobre po sobie zostawił wspomnienie, iż dziś na imię Abdul-Kerima, jak Bartha zwano w Afryce, wszystkie niemal otwierają się wrota. Pomimo to, charakter oficyalny, w jakim Barth jako poseł rządu angielskiego w Tombuktu przebywał, stanął mu na przeszkodzie gdy usiłował wniknąć w tajniki życia miejscowego, które Caillié, otoczony aureolą męczennika-pielgrzyma, zdołał był zbadać swobodnie. Anglia wszakże próbowała skorzystać z nawiązanych przez swego „posła“ stosunków; liczono na wpływ szeika El Bakay, ale się przeliczono, gdyż wpływ ten, choć rzeczywisty i wielce dodatni, został był przecież pod wrażeniem wdzięczności znacznie przecenionym przez Bartha. W głuchem a usilnem współzawodnictwie z Francyą o przewagę w Sudanie, W. Brytania nie odniosła zwycięstwa: ostateczny układ, zawarty w r. 1898, przyznał jej część znacznie mniejszą, obejmującą dzikie południowe wybrzeża morskie i bieg dolny Nigru, podczas gdy Francya, krom wolnej żeglugi po całej rzece, zyskała najżyźniejsze i najbogatsze części Pierścienia — *La Boucle du Niger.*

Zachód Środkowej Afryki żyje przez Niger. Czem Nil dla Egiptu, tem Niger dla Sudanu; on jeden wraz z bogatemi dopływy broni kraju żyjących przed naciskiem piasków Sahary. Przychodzi jednak chwila, gdzie piaski okazują się silniejszemi, wtedy Niger zbyt wielki, aby wśród nich utonąć, jak Keria-Daria w Palmirze, skręca bieg wprost na południe, tworząc ów sławny Pierścień, ponad którym rozpasały się żądze europejskiej chciwości. Do niedawna dostęp do rzeki od strony zachodu był trudny; broniły go bagna, puszcze leśne i zbrojne bandy krajowców. Za naszych czasów już jenerał Faidherbe po trzykroć napróżno się wyprawiał — umarł nie ujrzawszy wód Nigru. Wielu

dzielnych oficerów francuskich krwią swoją i potem oblało te ziemie; szkoda, iż zawsze w ślad po bohaterach przychodzą handlarze... Wkrótce już będzie na nich pora. W r. 1895 posłany w misyi hydrograficznej porucznik okrętowy Hourst, przebył cały bieg Nigru aż do ujścia; po nim nieco czy przed nim (nie wiadomo bo nie podaje daty), puścił się wodną drogą do Tombuktu Feliks Dubois. Jego opis życiodajnej rzeki Sudanu jest wielkim hymnem pochwalnym: młody autor przejął się obrazowością Wschodu i nie znajduje dość słów dla wyrażenia swojego podziwu. Staje się jednym z *griotów*, piewców ludowych, którym Niger zawdzięcza pierwotną swą nazwę *Dialiba* — rzeka pieśniarzy.

Poczęty wśród gór Niger, dochodzi już po 13 kilometrach do szerokości 25 metrów, wtedy jednak znika na chwilę pod poszarpaną masą żelazistych skał. Wybucha napowrót wśród świętego boru, otoczonego tajemniczością i czcią, podtrzymywaną starannie przez miejscowych kapłanów. Mnogie tu bowiem składane bywają ofiary, nie ludzkie, jak w Dahomeju, ale bydlęce; z tych najlepsze, wykrojone z pod skóry, części, dla kapłanów zostają, podczas gdy reszta wołu, wypchana słomą, rzucona jest falom na pastwę. Owa kolebka Nigru jest krainą największych deszczów. Od lutego do lipca woda leje się z nieba potokiem. Stąd też mnóstwo kaskad i strumieni spływających ku rzece, która wkrótce roztacza się na 150 metrów. Zeszedłszy na dolinę toczy się zrazu spokojnie wśród przecudnych brzegów, okrytych całem bogactwem roślinności podzwrotnikowej. Tu ziemia żyzna, więc i wylew jest niepotrzebny. Dopiero za Diafarabe zaczyna się potężna działalność Nigru. Wzmocniony olbrzymim dopływem rzeki Bani toczy ku północy ogrom swych wód, kędy wiatr wznieca burze jak na pełnem morzu i nawet w pogodę falami rozbija się o brzeg. Płynie nie pojedynczo lecz rozdzielony, tworzy po sobie trzy olbrzymie delty, łącząc główne odnogi gęstą siecią kanałów, spływając w szerokie jeziora, aby wreszcie na dłuższy czas do wspólnego łoża powrócić. Tu już zaczyna się walka z pustynią, która, gdyby nie Niger, zajmowałaby wielką część Sudanu. Obroną przed nią są coroczne wylewy. Wezbranie

i opadnięcie wód odbywa się regularnie tak, jak na Nilu, roznosząc użyźniający muł na tysiące kilometrów kraju. We wrześniu, np. w pobliżu Mopti, wody roztaczają się na szerokość 140 klm. w prawo i tyleż w lewo, zamieniając na wzgórzach rozsiane wioski w mnóstwo wysepek, między któremi roją się szybkie pirogi. Po ustąpieniu wód, mieszkańcy podpalają pozostałe z przeszłego roku trawy, poczem sieją proso, ryż lub inne zboże, które tak spiesznie dojrzewa, iż po niem może nowa siejba i nowe żniwo nastąpić. Jeziora a raczej limany znajdują się u końca sfery wylewów; Niger napełnia je znów kanałami, po części dość znacznemi, by nawet w czasie najniższych wód umożliwić łodziom handlowym żeglugę. Do Tombuktu wielkie wody dopływają w styczniu. Tu już wały piaszczyste tłoczą się po lewym brzegu tamując rozlew; dalej znów piętrzą się ciemne zapory skał; Niger staje się olbrzymim potokiem szumiącym wśród głazów. Dalsza żegluga niemożliwa bez przewodnika, łodzie zahaczają się o podwodne skały, osiadają na rafach, rozbijają dziób o niespodziane zapory. Gdy jednak rzeka już śmiało ku południowi skręciła a brzeg od prawej strony rozwarł się znowu szeroko, rozpoczynają się napowrót wylewy tem obfitsze, iż na jeden bok tylko zwrócone, aż wreszcie nową utworzywszy deltę, olbrzym Sudanu wrzuca do Atlantyku bogactwo swych fal. Deszcze opadłe u źródeł Nigru potrzebują półtora roku, aby się dostać do morza!

Jeżeli Niger służy Sudanowi, ma też osobną ludność na swoje usługi. Są to rybacy i wioślarze, zamieszkujący nadbrzeżne wioski, znaczne zdala mnóstwem rozwieszonych sieci. Po miastach również zajmują osobne dzielnice. Czarni są ale różni od reszty mieszkańców patrzących na nich z pewną pogardą; mówią o sobie, iż przed wiekami przyszli tu „od wielkich gór ze Wschodu“, gdzie również nad wielką rzeką mieszkali, jako królewscy rybacy. Lecz gdy jeden z królów chciał ich przymusić do pracy nad budową domów i mostów, otruli go, uciekli i aż tu się oparli nad wielką rzeką, przypominającą im kraj rodzinny. Zowią ich *Somonos* lub *Bozos;* łagodni są, niezmiernie względem swoich i obcych, grzeczni i uczynni, i nad wszelki wyraz we-

seli. Dubois poznał ich dobrze, gdyż dotarłszy koleją żelazną, szeroką i wązką, a wreszcie konno do Bammaku (dziś już kolej skończona), gdzie jedyną dlań drogą stały się fale Nigru, musiał się, sam z czarnym służącym, powierzyć ich usłużnej opiece. Na samotnej łodzi o 8 metrach długości i 2.50 szerokości, osłoniętej słomianą budą od słonecznego skwaru i krótkich ale gwałtownych deszczowych burz, przebył z nimi długie tygodnie między niebem a wodą, podziwiając ich wytrzymałość, ich skromność w jedzeniu, ich dobry humor, niezmącony nigdy i niczem. Na brzegach, w miarę jak szli ku północy, osady były gęstsze, w miejsce małp wyzywających krzykami z daleka, przybiegały czarne dzieciaki bawiące się na piasku i witały ich europejskim ukłonem wojskowym. Ogromne stada koni o kształtach arabskich, garbatych wołów i długowełnistych owiec pasły się po łąkach, gromady kaimanów drzemały, wygrzewając się na mieliznach, o zmierzchu tu i ówdzie różowe pyski hipopotamów wyłaziły nad wodę, ptaki o błyszczących piórach zbliżały się niespłoszone do łodzi. Brzegi, po większej części płaskie lub lekko faliste, zieleniały w oddali ciemną linią lasów, te jednak zwolna rzedniały, drzewa traciły olbrzymiość kształtów, niektóre, nawpół podmyte, chyliły się nad wodą, inne, porwane ubiegłym wylewem, zaścielały dno rzeki. Na wielkiem jeziorze Debo ląd zniknął z oczu zupełnie, poza niem brzegi okryły się coraz żywszą, wilgotną zielenią; przysiągłbyś — mówi autor — że to krajobrazy Normandyi lub Anglii. Tu nie lasy już ale gaje naśladujące najpiękniejsze parki, tylko że wśród alei napróżno się szuka wież zamku. Ale dalej znów zmiana: palmy, kaktusy, krzaki o szarych liściach oliwnych, coś niby Palestyna lub Egipt. Poza El Uad Hadż (Rzeka Pielgrzyma) kraj staje się bardziej pustynny; osady, z powodu wylewów, oddalają się od rzeki, cisza zalegająca brzegi świadczy o niepokoju mieszkańców drżących jeszcze przed napadami rozbójniczych band Tuaregów. Nareszcie w pobliżu Tombuktu bieleją piaski — pustynia spotyka się z rzeką. Oczywiście obrazy te zmieniają się w miarę wzbierania lub opadania wód, brzegi okazują się skaliste lub gładkie, wioski, które zdawały się być na płaszczyźnie, sterczą na wzgórzu; co więcej, o pewnych porach

rzeka zarasta ogromnemi trawy, wśród których łódź toruje sobie drogę jak po bezdennej łące.

Wieczory były cudne; na noc zazwyczaj podróżnik zatrzymywał się w pobliżu osady, gdzie, zapoznawszy się ze starszymi z krajowców wywoływał ich dawne wspomnienia. Wtedy na czarnych, białą brodą i włosem okolonych obliczach, występował uśmiech wesoły; opowiadali o przeszłej świetności doliny Nigru, zniszczonej rozbójniczemi wojnami, o dniach hulaszczych spędzonych w Tombuktu, o wielkiem mieście Gidio na jeziorze Debo, zniknionej stolicy zniknionego mocarstwa. Sudan jest dziś jeszcze jedną z najbogatszych krain na świecie: bogatą w płody ziemi, w bydło, konie, miód, pióra strusie, żelazo i złoto, którego pokłady, prawie na powierzchni ziemi u brzegów górnego Nigru leżące, dostarczały w ostatnich wiekach olbrzymi haracz ściągany przez sułtanów Maroku: gdziekolwiek jednak stąpa się po tej obiecanej ziemi, wszędzie słyszy się tylko żal za przeszłością, której dziś sterczą zaledwie ruiny. Stara cywilizacya, zdeptana kopytami nowożytnych Numidów, co krok wyłania się z pod prochu i gruzów: istotnie, wobec odkryć, jakie co dnia na wszelkich punktach kuli ziemskiej się czynią, trudno ostoi się teorya o „pierwotnej hordzie“, o dzikim, niemal zwierzęcym stanie ludzkości w przedhistorycznych czasach. Toż niedawno dowiedziano się, iż ruiny warowni stojących w południowej Afryce, nad brzegami Tugeli, tam, kędy dziś krew ludzka leje się o złoto, są szczątkami budynków wzniesionych przed 25-ciu czy 26-ciu wiekami dla straży kopalni tegoż samego złota, o które, zapewne podobnie jak dziś, toczyły się walki! W Sudanie, głównym zbiornikiem handlu było Tombuktu. Do niego wszakże handel ten od Zachodu płynął za pośrednictwem pięciu miast handlowych: Bammaku, Niamina, Segu, Sansanding i Dienne, zwanych „pięciu perłami Nigru“. Pierwsza z owych „pereł“, Bammaku, skąd zazwyczaj rozpoczyna się podróż wodna dla jadących z Senegalu na północ — to dziś fort francuski; samo miasteczko, o białych domkach z niepalonej gliny, wywoziło głównie złoto, orzechy *kola* i owoce drzewa *karite* zastępujące kakao i masło; dalej Niamina, Segu i Sansanding, to kraj bawełny: po dziś

dzień ludność brzegów Atlantyku przekłada sukno seguańskie nad europejskie wyroby. Segu było przez czas jakiś stolicą Tukulorów, z niej władcy tychże, Omar el Hadż i Ahmadu, siali postrach i zniszczenie wokoło. Obecnie dom Omara zmieniony jest w biuro poczt i telegrafów, a pałac króla Ahmadu, dzięki grubości swych murów, posłużył za podstawę warowni, którą komendant francuski przystroił w szkarpy i wysokie zęby strzelnic naśladujące w karykaturze starą architekturę miejscową. Miasto duszne i ciemne, o wązkich uliczkach, poczyna, jak cały kraj okoliczny, od przyjścia Francuzów podnosić się po długiej przebytej burzy. Podobnie w Sansanding. Musiała to być niegdyś (sądząc po miejscowem znaczeniu nazwy), obwarowana osada; dziś króluje tu z ramienia Francuzów czarny Senegalczyk, Manemba, dawny urzędnik w sekcyi poczt i telegrafów, twórca linii telegraficznej wzdłuż granic Senegalu, zbudowanej wśród ustawicznej walki z Tukulorami. Francuzi założyli w St. Louis t. zw. „Szkołę Zakładników", *Ecole des Otages*, gdzie wychowują synów murzyńskich wodzów, by potem powierzyć im zarząd części opanowanej krainy. Pomysł jest dobry, gdyż w ten sposób mogą przyswoić ludność, którejby nie dali rady przemocą. Dotąd, jeśli wierzyć można podróżnym francuskim, rządy ich wzbudzają raczej wdzięczność niż trwogę: kraj był przez długie lata w niewoli maurytańskich szczepów, dziś zmienił tylko władców i cieszy się chwilowo osobistem bezpieczeństwem i ciszą. Manembe zagospodarował się już dobrze w Sansanding, gdzie jest, zda się, lubiany przez swoich i stanowi istną opatrzność dla przejeżdżających Europejczyków. Przywdział napowrót strój wschodni i, z uwagi na większość poddanych, wyznaje z grubsza islamizm. Gdy jednak trafi się jakiś gość z Europy, a wieczorem ze służby tylko wierni jego Senegalczycy zostaną, wnet zastawioną bywa wieczerza w czysto francuskim stylu, talerze i sztućce zmieniają się za każdą potrawą a wino czerwone, szampan i likiery wyłażą z królewskiej piwnicy. Manembe ma kilka żon, synów jednak chowa w St. Louis w chrześcijańskiem kollegium — pytanie na co wyrosną wobec dwulicowości ojcowskiej?

II.

„Naprzeciw wioski Kuakuru — pisze Feliks Dubois — opuściliśmy Niger wjeżdżając na jeden z naturalnych kanałów, niosących w dal żyzność wraz z wodami wylewu. Między zacieśnionemi brzegami, niedostępnemi wielkim falom odświeżającego wiatru, zdało nam się, żeśmy z pełnego morza wstąpili w głąb lądu. Gdy zaś mijała dwunasta godzina naszej żeglugi po owym kanale, naraz Bozosy stojący u przodu zatrzymali się wsparci na bambusowych tykach, któremi pchali łódź. Skryty pod moją strzechą widziałem tylko wysoki brzeg, gdyż postacie ich zasłaniały mi horyzont. Nie pojmując czemu się zatrzymali, chciałem już łajać. Oni jednak na mój głos odwrócili zdumione twarze i wskazując rękami coś, czegom nie mógł dostrzedz, wyszepnęli głosem wzruszonym: Dienne“.

„Odbywali tę podróż po raz pierwszy i stawali zdumieni widokiem niespodzianym grodu, o jakim nigdy w życiu nie marzyli, oni, którzy przecież znali większe miasta, jak Segu, Niamina lub Sansanding. Było tu coś, czegom i ja sam dotąd nie widział: zmięszanie i podziw murzyna nie nad jakimś wymysłem europejskim, ale czemś należącem do jego ojczyzny! Skoczyłem na przód łodzi i z kolei stanąłem zdumiony... Oto obraz, jaki mi się przedstawił. Wielka płaszczyzna bez najmniejszej falistości, bez wioski, bez śladu człowieka; gdzieniegdzie tylko drzewo tworzące ciemną plamę na żółto zielonej przestrzeni. Wśród tej pustyni bielejący pierścień wody a nad nim, jak czub palmy wśród piasków, podłużna masa murów wysokich i regularnych sterczaca na ścianie brzegów wysokich także i niemal równie prostopadłych jak mury. Nad murami zaś ogromny snop wystających dachów, teras, palm, szczytów, baniastych wierzchołków drzew: całość bijąca życiem bujnem, silnem i zdrowem, które z daleka nęci i wita radośnie“.

„Słońce się chyli; jaskrawe blaski zwrotnikowego nieba tworzą gwałtowny kontrast jasności i cienia. Z tego miejsca, w tej chwili widok istotnie uderzający — pojmuję wzruszenie Bozosów. Oświetlony z tyłu całokształt grodu, głęboki i wzniosły,

maluje się czarno podczas gdy w prawo i w lewo dolina płonie. Na tem jasnem tle ziemi i nieba Dienne odkrawa się ostro bez łączności, bez przejścia, podobnie jak żywotność jej wytryska wśród otaczającej pustyni bez przedmieść, bez jednej chaty dokoła. Zda się, jakoby wszystko, co żyło w przestrzeni, schroniło się na tę górną wyspę, która króluje w dal majestatyczna, opiekuńcza i silna".

„W miarę jak łódź moja sunęła po kanale biegnącym wprost ku środkowi miasta, brzegi i mury zdały się coraz wyżej wyrastać z opasującej je fali. U stóp ich rozciąga się port, kędy drzemią łodzie zupełnie różne od zwyczajnych pirog, prawdziwe statki o wielkich, nieznanych kształtach. Po wyjściu na brzeg i przebyciu murów, zdumienie wzmaga się i jakoby krystalizuje w umyśle: patrząc na miasto wewnętrzne, człowiek formalnie słupieje i nie wie już właściwie, gdzie się znajduje. Czyżby anioł Habakuka przeniósł mnie nagle o tysiąc mil od Sudanu? W tym kraju chat i lepianek dziecinnej prostoty, któżby spodziewał się napotkać nagle miasto, prawdziwe miasto... Jak sobie wytłumaczyć te ulice szerokie i proste, te domy o kilku piętrach, zazwyczaj dwóch, i jakby zarysem trzeciego, ich fasady stylowe, dziwnego, uderzającego kształtu. I całe miasto jest takie, a zdaje się ogromnem oczom odzwyczajonym od europejskich stolic. Zjawisko jest tak dziwnem w kraju murzyńskim, iż natychmiast powstaje pytanie: skąd ten napływ nieznanego życia, skąd ta cywilizacya dość silna, aby na dziele swojem wyryć jednolite swe piętno, stworzyć swój styl? Myśl biegnie do najbliższego wpływu cywilizacyi kalifów. Pełno tu islamizmu dokoła, więc razem z wiarą mogła przyjść i sztuka. Ale nie — niema nic arabskiego w tym stylu. Ani śladu kopuły, banalnej już, bo tak częstej w Syryi, w Algierze, w Egipcie. Masywne a proste linie gmachów diennеńskich nie mają nic wspólnego z wysmukłemi pałacami Damaszku albo Kairu, z misternemi arcydziełami Kordoby, Grenady, Sewilli. To nie styl bizantyński, ni grecki, ni rzymski. Jeszcze mniej styl gotycki lub jakikolwiek zachodni: ślady cywilizacyi europejskiej bledną w miarę oddalania się od morza".

„A jednak, oto w pamięci mojej majaczą kształty ciężkie, majestatyczne, do tych podobne. Wspomnienie to dalekie, z przeciwnego końca Afryki. Tłem ich jest brzeg innej rzeki, równie potężnej jak Niger. Tylko, że z temi kształtami nie wiąże się żadne wspomnienie życia. Ten styl zdobił miasta umarłe lub miasta umarłych; widziałem go w martwych grodach Faraonów, tam nad brzegami Nilu, w gruzach starożytnego Egiptu".

„Jakżeż się dostał tutaj poprzez tyle wieków? Jakim cudem zdobi dziś miasto żyjące? Cóż to za kolonia egipska, której nikt dotąd nie wykazał istnienia? Potrzeba mi było klucza tej zagadki; przerwałem tedy podróż z postanowieniem pozostania na miejscu jak długo jej nie rozwiążę. I wtedy rozpoczęły się długie gawędy z naczelnikiem, starszymi i marabutami miasta, przyczem, do tradycyj ustnych, przyłączyły się pisane dokumenty arabskie. Szczęściem zwłaszcza było znalezienie całkowitego egzemplarza wielkiej kroniki wybrzeży Nigru: *Tarik è Sudan,* księgi od dawna poszukiwanej przez uczonych oryentalistów. Miałem sposobność uzupełnienia i objaśnienia niejednego z jej ustępów żywem podaniem, opowieściami przekazywanemi z ojców na synów. Powoli zasłona tajemnicy opadła. I teraz mogę powiedzieć, jak stary Egipt, kolebka wszelkiej naszej zachodniej oświaty, wniknął swym dobroczynnym wpływem aż w głąb murzyńskich stref. Mogę powiedzieć przez kogo ten wpływ był rozsiany, i w jaki sposób dochował się aż do nas ów odblask cywilizacyi egipskiej, ów promień jej zachodu, równie przejmujący, dla ludzi chciwych tajemnic przeszłości, jak widok krótkich a olśniewających zachodów słońca tej podzwrotnikowej krainy".

Od brzegów Atlantyku do Dienne spotkać można różne rodzaje murzynów; wszystkie szczepy jednak równają się typem: nosy płaskie, wargi grube, włosy wełniste i kręte. U Bozosów też nieco różne lecz zawsze murzyńskie rysy wyglądają z pod śpiczastej czapki, z ponad opiętej, zazwyczaj dziurawej kurtki, ufarbowanej w białe i niebieskie pasy. Dopiero w Dienne uderza nagle typ inny: postać wysmukła, wysoka, silna i zwinna, nos długi, prosty i często śpiczasty, wargi cienkie, oczy osadzone

głęboko, wyraz inteligentny i żywy — całość częstokroć uderzającej piękności, zwłaszcza u dzieci, których skóra znacznie jaśniejsza, dochodzi dopiero z czasem do zupełnej czarności. Strój ich przeważnie jest biały; gdy zaś któregokolwiek zapytasz skąd ojcowie jego przybyli, wnet z pod śnieżnych draperyj podnosi się dłoń hebanowa i pokazuje na wschód. Rodowa ich nazwa brzmi: Songhoi. Próżno jej wszakże szukać u historyków; jeden Leon Afrykańczyk czyni raz o nich wzmiankę. Barth, w opisie podróży, mówi o nich długo ale nieświadomie, i nie dziw, bo do Dienne nie zaszedł, pytał Arabów a nie ludzi miejscowych i *Tariku* nie czytał. A oto co mówi *Tarik* — nieoceniona kronika Sudanu:

„Pierwszy król Songhoi zwie się Dialljaman. Imię to złożone jest z arabskiego zdania: *dia min el Jemen* — przyszedł z Jemenu. Opowiadają, iż Dialljaman opuścił Jemen wraz ze swoim bratem. Wędrowali po ziemi Bożej, aż ich los zaprowadził do krainy Kokia. Kokia było miastem Songhoisów, położonem nad wielką rzeką i bardzo starem. Istniało już za Faraonów. Mówią, iż jeden z nich sprzeczając się z Mojżeszem, sprowadził stąd czarowników, by ich przeciwstawić Prorokowi".

„Obaj bracia doszli do miasta w stanie takiej nędzy, że ledwie byli podobni do ludzi. Skóra ich popękała od kurzu i skwaru; byli nieomal nadzy. Gdy poprosili o gościnność, zapytano ich skąd przychodzą: Przyszliśmy z Jemenu — odpowiedzieli. Zapomniano imiona ich a przezwano natomiast: ‚Przychodźcami z Jemenu', co w skróceniu zmieniło się na Dialljaman".

„Starszy Dialljaman zamieszkał w Kokia. Bogiem, czczonym u Songhoisów, była ryba okazująca się w pewnych epokach nad powierzchnią rzeki ze złotym pierścieniem u nosa. Wtedy gromadzili się, słuchali rozkazów i napomnień ryby, poczem stosowali się do jej wyroczni. Dialljaman obecnym był wraz z ludźmi z Kokia przy podobnem zjawisku. Poznawszy, iż byli w oczywistym błędzie, ukrył w sercu swojem zamiar zabicia fałszywego bóstwa i Bóg dopomógł mu w zamiarze. Pewnego dnia, przed oczami całego ludu uderzył dzidą rybę i zabił ją".

„Wtedy tłum cały obwołał go królem"...

Z kroniką w ręku Dubois rozpytywał uczonych w Dienne, gdzie stało owo miasto Songhoisów — Kokia? Odpowiedzi były zgodne: Daleko, daleko na wschód od Gao! — a inni dodawali: To miasto z krainy Misr! Zaś kraina Misr w języku sudańskim, to dolina Nilu, a samo Misra — to Kair. Stąd bardzo prawdopodobny wniosek autora, iż ojczyzną Songhoisów była Nubia, tam bowiem typ do songhojskiego podobny spotyka się na południu od wyspy Filae. Przypuszcza również, że opuścili Kokię w połowie VII. wieku, wyparci uciskiem pierwszych muzułmańskich zdobywców, i że wyszli pod wodzą tegoż jeszcze Dialljamana. Droga ich wiodła na południe od pustyni Libijskiej, na północ od jeziora Czadu, przez Agades, gdzie dotąd język pokrewny jest z songhojskim, a zatem i ze staroegipskim. Nareszcie stanęli nad Nigrem, gdzie wody było dużo a ziemia jak w Egipcie użyźniona wylewem. Zastawszy mieszkańców płochliwych i cichych, których dziś jeszcze miejscami można napotkać, zajęli kraj bez oporu i założyli stolicę swoją Gao. Dotąd tam, w krainie Burrum, opowiadają o przyjściu Faraona... Z Gao Songhoisy poczęli rozszerzać swe posiadłości na zachód, aż w r. 765 założyli Dienne na południowo-zachodnim krańcu swych ziem. O Egipcie nie zapomnieli: przez parę wieków jeszcze handel ich szedł w stronę Nilu raczej niż do Maroko, pomimo, iż Nil był o 8 miesięcy drogi a Maroko o dwa.

Tarik wymienia trzy dynastye w dziejach songhojskich: pierwsza dynastya Dia (od Diallamana) panowała od r. około 700 do 1355 i liczyła 31 królów. Z tych Dia Kussaj roku 1010 przyjął islamizm i choć znaczna część poddanych pozostała pogańską, odtąd już władcy songhojscy wyznawali wiarę Proroka. Przez cały ten czas kraj ich pozostawał w dawnych granicach, podczas gdy tuż obok wzrastało królestwo Mali. I stało się, że w r. 1326 władca Malinków najechał ziemię Songhoi, zmusił króla Dia Siboi do uznania swego zwierzchnictwa i do oddania mu obu synów do służby. Wtedy Dienne skorzystało z wstrząśnienia, aby się wybić na niepodległość.

Zakładnikom wszakże dłużyła się niewola. Starszy z królewiczów, Ali Kolon, namówił brata, wdrożyli konie swoje do

długiego biegu, poczem pewnego dnia, wysłani przez swego pana za jakąś sprawą handlową, zboczyli z drogi i uciekli wprost do ojczyzny. Tu Ali został królem i, odzyskawszy niepodległość, dostał przydomek *Sunni* tj. Oswobodziciel. Wkrótce zaś nazwano go nie już tylko Oswobodzicielem ale Zdobywcą. Przez długie lata miecz jego siał postrach po sąsiednich krajach, granice Songhoisów rozszerzyły się znacznie, Dienne wróciło do posłuszeństwa, wielkie miasto Giddio zniknęło zniszczone do szczętu; Tombuktu — dotąd poza obrębem państwa leżące — zostało zdobyte i odtąd, dzieląc losy królestwa, wzrastało z niem razem w moc i zamożność i z niem pospołu upadło. Sunni Ali utonął, wracając do Gao ze swej ostatniej wyprawy; w życiu dwie tylko poniósł porażki, pamięć jego wszakże budzi pod piórem muzułmańskich autorów, równie jak w ustach muzułmańskich uczonych, same obelżywe wyrazy: przypomina się Niemiec Thietmar piszący o Chrobrym. Trudno też nie wspomnieć o Chrobrym czytając, iż Ali Zdobywca niekiedy w nagłym gniewie skazywał na śmierć najmilszych lub najużyteczniejszych sobie ludzi, że ich wtedy ukrywano w więzieniu i ukazywano dopiero po ochłonięciu władcy, który ich witał z radością. Nie gwałtowność jednak zaszkodziła Alemu w oczach marabutów. Islamizm ogarniał wówczas tylko wyższe warstwy narodu, a i tu wielu było mahometanami dla formy, lud prosty biegł do czarowników lub też do bożyszcz, które nawet po większych miastach miały świątynie. Otóż Ali, urodzony z matki poganki, spędził był pierwszą młodość w jej rodzinie, wśród pogan, a objąwszy tron spełniał leniwie i chłodno przepisy Koranu; za jego przykładem szedł dwór. Gdy zaś marabuci, przywykli wszystkiem w Songhoi kierować, poczęli przeciw niemu występować otwarcie, poskromił ich, surowo karząc zaborem dóbr a niekiedy i śmiercią. Tych wprawdzie, którzy się zajmowali tylko wiedzą i modlitwą, otaczał czcią i dobrobytem ale to nie zyskało mu przebaczenia.

Ali, jak mówiliśmy, utonął powracając z wyprawy. Z zamieszania po jego śmierci skorzystał główny jego wódz i minister, człowiek najczęściej w gniewie przezeń skazywany na śmierć, Mohammed ben Abu Bekr, aby, zwalczywszy prawego następcę,

opanować tron. Uzurpator z nazwy Askia, która do imienia jego przylgnęła, uczynił sobie przedmiot do chluby; po nim nosił go każdy z jego potomków. Dla państwa teraz nowa nastała era. Mohammed rzucił się cały w objęcia islamu, marabutów obsypał łaskami i złotem, co więcej, odbył pielgrzymkę do Mekki a wracając przez Egipt uznał uroczyście zwierzchnictwo kalifa. Tu również zawiązał stosunki ze światem uczonych arabskich, głównie z pisarzem Essojutim, studyował prawa i różne sprężyny rządu Powróciwszy nad Niger jako emir Mohammed el Hadż (pielgrzym) rozpoczął pracę nad organizacyą państwa. Z pomocą brata swego Omara zapewnił sobie zdobycze Alego, posuwając granice aż po Atlantyk; w kraju zaś ustanowił wojsko stałe (wcześniej niż w większości państw europejskich), piechotę, liczną bardzo, uzbroił w łuki, konnicę, złożoną po części z koczowniczych Tuaregów i innych posiłkowych hufców, uzbroił w dzidy, wodzów oddział w hełmy i pancerze. Na Nigrze zbrojna flotylla strzegła bezpieczeństwa żeglugi. A szczęściem było czego strzedz. Dzięki opiece króla, który zaprowadził jednostajną miarę i wagę, a wszelki wyzysk surowo karał, handel zakwitnął a z nim weszło bogactwo: Dienne było głównym rynkiem dla kupców krajowych, Tombuktu dla stosunków z Marokiem, Tuatem i t. d. na północ i zachód, Gao zasilało wschód tj. Egipt, Tripoli i inne. Za kupcami z daleka przybywali uczeni z Maroka, Kairu, Tuatu, Algieru i Gadames; pod ich tchnieniem rozbudził się sam Sudan i wydał własnych pisarzy: Tombuktu stało się ogniskiem nauki. Stało się też siedzibą świeżo ustanowionego Szeika-ul-Islam, zarządzającego sprawami duchownemi. Przytem dwór króla czy też emira naśladował strój i zwyczaje dworu kalifa, kobiety zamknięto w haremach; sam Askia Mohammed rzadko bardzo pokazywał się poddanym tak dla wzbudzenia ich czci jak przez obawę „uroku“: snać wielka mądrość nie broniła go od zabobonu. Działo się to wszystko w początku wieku XVI., w kraju ludzi czarnych, za przewodem władcy murzyna. Cywilizacya arabska podziałała nań jako słońce, pod którego ciepłem zakwitło nasienie przyniesione niegdyś z Egiptu; zakwitło zaś na swój

własny sposób, od Arabów biorąc tylko impuls a zachowując własną treść i soki.

„Odrodzenie“ w Sudanie przypadło na ten sam czas, co Renesans w Europie zachodniej i zakończyło się też równocześnie. Już w roku 1529 rozpoczął się schyłek. Askia Mohammed po 35 latach panowania, osłabiony na umyśle i siłach, został zrzucony z tronu przez syna i odtąd datuje się epoka zawichrzeń, częstych zmian na tronie, cechujących upadek państw. Olbrzymia maszyna rządowa wielkiego Askii funkcyonowała stale, brakło jednak potężnej dłoni twórcy, aby jej bronić, Sudan zaś był bogaty; miał góry złota i sól kamienną w Thegazie, był więc otoczony zazdrością: „Smoła jest lekarstwem na świerzb u wielbłąda a Sudan na ubóstwo u ludzi“, mówiło marokańskie przysłowie. Pierwsi też władcy Maroka spostrzegłszy rozprzężenie w Sudanie, poczęli grozić. W r. 1547 upomnieli się o położone na pograniczu kopalnie soli; na razie okupiono im się złotem 10.000 mitkalów, około 150.000 franków. Lecz już r. 1583 kalif El-Mansur (Almanzor—zwycięzca) upominał się znowu, i sól Thegazy, jedyna w Środkowej Afryce, w jego pozostała ręku. Był to dopiero początek. W r. 1590 basza Dżuder, na czele niewielkiego wojska, wtargnął do państwa Songhoi, miał jednak ze sobą 3.000 muszkietników i działa nieznane jeszcze w Sudanie. To też gdy król Askia Ishak z 30.000 piechoty i 20.000 jazdy, otoczony zgrają wróżbitów, wystąpił na jego spotkanie, szala zwycięstwa nie wahała się ani chwilę. „W mgnieniu oka — mówi *Tarik* — Songhoisy poszli w rozsypkę przerażeni dymem, hukiem i kulami padającemi jak grad“. Wielu nie myślało nawet bronić się — usiedli na tarczach, czekając śmierci. Inni wołali o *pardon* wzywając litości w imię wspólnej wiary, ale napróżno — najezdcy rżnęli ich jak owce, dumni z wyższości swej rasy: „Hufce dnia rzuciły się na hufce nocy i białość jednych starła czarność drugich“, śpiewali potem nadworni poeci Mansura. Istotnie było to zwycięstwo rasy białej nad czarną, ale, jak wszystkie podobne zwycięstwa, dokonane nie dla cywilizacyi lecz dla złota. Popłoch ogarnął był kraj cały; Askia Ishak schronił się na południe, ofiarując zwycięzcom olbrzymi haracz w niewolnikach i złocie,

tak wielki, iż Dżuder, uznając propozycye za dobre, odesłał je do Maroka. Sam zaś, czekając na odpowiedź swego pana, wkroczył bez oporu do Gao. Łup naonczas Mansurowi posłany przechodził oczekiwanie, począł sypać dokoła zdobytemi skarby wydając wielkie tryumfalne festyny, zewsząd garnęły się deputacye, aby mu winszować, i było czego: „Marokańczycy bowiem — mówi *Tarik* — znaleźli w Sudanie jeden z najszczęśliwszych krajów tego świata tak co do zamożności i dobrobytu jak i bezpieczeństwa i zdrowia na każdym punkcie i na każdem miejscu. Były to dobroczynne skutki błogosławionych rządów emira wiernych Askii Mohammeda El Hadż...“ Na widok owych nieprzeliczonych skarbów, El Mansurowi zawróciło się w głowie. Propozycyi Ishaka nie przyjął i w miejsce mądrego Dżudera posłał innego baszę, Muhmuda, który rozpoczął erę najsroższego ucisku. Pretendent do tronu Askia Koghu, któremu Ishak był w ostatniej chwili miejsca ustąpił, został wraz ze swoim orszakiem zawalony gruzami domu, w którym był uwięziony; 83-ch członków rodziny królewskiej stracono. Z Tombuktu, które poskromiono gwałtownie, wywleczono w kajdanach uczonych i marabutów, i wysłano do Maroka, skąd większość nie miała powrócić. Równocześnie szczepy zawojowane przez Songhoisów podnosiły głowę i pustoszyły kraj na południu i na zachodzie.

W roku 1595 dzieło zdobywców było skończone — garstka Songhoisów, broniących niepodległości, wyrznięta. Marokańskie załogi zajęły główne punkta Nigru; Gao i Dienne pozostały najważniejszemi miastami kraju, *centrum* nowego rządu wszakże przeniosło się z Gao do Tombuktu, gdzie Mahmud osadził niedobitka rodu królewskiego, Askię Sulejmana, z tytułem króla Songhoi. Ten miał pod kontrolą baszy, istotnego władcy państwa, prowadzić dalej system administracyi Askii Wielkiego w królestwie uszczuplonem przez bunt nadgranicznych prowincyj. Trwało tak lat 20; wkrótce jednak po śmierci El Mansura (1604) rozprzężenie w samem Maroko rozluźniło węzły łączące z niem ziemie Sudanu. Marokańczycy pozostali tam panami, ale już od 1613 r., gubernator kraju bywał nie już mianowany przez sułtana ale wybierany z pomiędzy urzędników miejsco-

wych, zaniedbano odmieniać lub wzmacniać siły załogi, aż wreszcie przestano Sudanem się trudnić, dbając tylko o haracz, znaczny, ale coraz mniej regularnie słany do stolicy. Powoli też w ciągu XVII. w. cały system rządowy rozprzągł się w Sudanie; w XVIII. w. nie było już mowy o zdobywcach i o podwładnych, gdyż Marokańczycy przez małżeństwa stopili się z Songhoisami i utworzyli pośrednią rasę Rumasów, nazwaną tak od dawnych muszkieterów *(Rumas)* Mansura. Nie było już rządu ani Askiów, kraj stał każdej napaści otworem.

Niedługo też było czekać na napaść. Tuaregowie, opuszczając piaski Sahary, zalegli bogate pastwiska i role północnego Pierścienia Nigru, w r. 1770 zdobyli Gao a w r. 1800 rozproszyli się po całym kraju. Od zachodu znów przyszedł szczep Fulbe. Wbrew mniemaniom wielu Europejczyków wywodzących Tulbejczyków od egipskich Fellahów, można, według wyraźnych słów *Tariku*, wykazać ich pochodzenie z senegalskiego Adraru. Jest to pasterski lud berberyjski, podobnie jak Tuaregowie, zaliczany do rasy białej. Prawdopodobnem jest, że Maurowie, wypędzeni z Hiszpanii, wyparli ich z pierwotnych siedzib aż w piaski Adraru, skąd powoli, gnając swe trzody coraz bardziej na wschód, przenieśli się do bogatej ziemi Massina, wchodzącej długo w skład songhojskiego mocarstwa. Po upadku Askiów Fulbejczycy jedni z pierwszych odzyskali swą niepodległość i wreszcie sami utworzyli potęgę dość znaczną, zorganizowaną około 1813 r. przez zręcznego szeika Ahmadu. Ten sfanatyzowawszy swój naród, dowiódłszy mocą sfałszowanych proroctw i dokumentów, że jest moralnym spadkobiercą praw Askii Wielkiego, dwunastym kalifem i poprzednikiem Mahdiego, złamał w ciągu 30 lat przewagę Rumasów w dawnem Songhoi i nareszcie zdobył Tombuktu (1827). Był muzułmaninem, niemniej przeto chciwym i okrutnym; jeszcze za życia jego mieszkańcy Tombuktu wołali sąsiednie ludy o pomoc przeciw najezdcom. Umarł r. 1844 a za następców jego nie działo się lepiej. Miejscowej ludności było źle, Europejczycy doznawali srogiego obejścia; za ich to rządów nie mógł Barth uzyskać dostępu do miasta. Wkrótce jednak od górnego Nigru przyszedł nowy najazd, stokroć straszniejszy. Tu wzrósł był

w potęgę szczep Tukulorów zrodzony z mieszaniny murzynów i Fulbejczyków. Wódz jego, Omar El Hadż, mieniąc się znów posłannikiem Bożym, zaczął zwalczać „niewiernych“. Niewiernymi zaś zwał wszystkich, którzy mu się nie poddawali po dobrej woli. Złupiwszy i zniszczywszy południe Sudanu, zwrócił się ku północy przeciwko królestwu Fulbe. Zgniótłszy ostatniego jego władcę w walce pod Sofarą, sam po niejakim czasie poległ wskutek powstania zwyciężonych Fulbejczyków zostawiając synowi swemu dziedzictwo walk i zatargów. Równocześnie na lewym brzegu Nigru powstawał nowy prorok, słynny wódz zbójów i handlarzy ludźmi, Samori. Zbójem przynajmniej mienią go Francuzi tak, jak Omar El Hadż mienił niewiernymi wszystkich niechcących uledz pod jego przemocą. Był to, jak dotąd, ostatni wielki wróg, z jakim trójkolorowe sztandary walczyć musiały nad brzegami Nigru; po zajadłej obronie został wraz z synami pojmany w październiku r. 1898.

Dzięki nieprzyjaźni między wszystkiemi temi najezdniczemi szczepami, zajęcie dawnego państwa Songhoi przyszło stosunkowo łatwo Francuzom. Mieszkańcy dziwują się tym zdobywcom, którzy nie łupią, nie palą i nie biorą ludzi w niewolę. Niekiedy, jak mówiliśmy, witają ich jako zbawców; dziwują się spokojowi i bezpieczeństwu po trzech wiekach burz strasznych, przez jakie chyba żadna inna nie przechodziła kraina. Marokanie, Tuaregi, Fulbejczycy, Kuntowie, Tukulorzy rzucali się kolejno na ten raj ziemski, deptali w imię Boga tę cywilizacyę, wykwitłą z mądrości egipskiej i arabskiej wiedzy. Nie dziw, że wpośród walk praca rolnicza ustała i handel się przerwał. Opustoszały rynki targowe, bo ani łodzie nie mogły krążyć po rzekach ni karawany po szlakach. Ludność zdziesiątkowana wojną, głodem i porywaniem w niewolę, uciekała w dal; całe prowincye zamieniły się w pustynie. Obecnie Francuzi cieszą się nadzieją, że, dzięki płodności rasy murzyńskiej i zawsze dobroczynnym wylewom Nigru, kraj się zaludni i wzbogaci na nowo. Nam, patrzącym nie francuskiemi oczyma, trudno tę nadzieję podzielać: cywilizacya europejska bywa zazwyczaj zwiastunem zagłady dla ras kolorowych. Nie upłynie stu lat a w miejsce

Tuaregów i Tukulorów będą nad Nigrem walczyć ze sobą syndykaty handlowe; resztki ludności czarnej będą dogorywać po kątach lub wynajmować się w dobrowolną niewolę i nędzę do robót fabrycznych, w miastach zakwitną giełdy, teatra i handelki. Zanim więc ten ostatni, najgroźniejszy najazd nastąpi, zobaczmy, co z dawnych wieków zostawiły ludy pustyni.

(D. c. n.).

T. Wodzicka.

JAN III. WAZA I MISSYA POSSEWINA.

(Ciąg dalszy).

Wkrótce potem przeprowadził się król z całym dworem do Stokholmu i Possewin pojechał za nim. Dnia 13 września wezwał go Jan III. do siebie. To trzecie posłuchanie trwało aż cztery godziny. Król żądał już znacznie więcej, niż w Upsali i przy końcu posłuchania zażądał kielicha dla wszystkich „katolików“ w Szwecyi. Wyraził obawę, że wkrótce Karol Sudermański i senatorowie zażądają od niego nowej przysięgi, żeby skorzystać ze sposobności i strącić go z tronu. Potem mówił już nie o kielichu samym, ale o „trzech punktach“, z których kielich uważał tylko za najważniejszy. Rzucał się na Jezuitów, że udzielają komunii pod jedną postacią i uniósł się *(s'infiammi)* do tego stopnia, że groził wydaniem zakazu, żeby nie śmieli tego robić. Odgrażał się, że się uda po dyspenzy do patryarchy carogrodzkiego, jeżeli mu papież dalej będzie odmawiać.

Wtedy Possewin odkrył wreszcie królowi, jakie to ustępstwo Stolica apostolska gotowa uczynić. Papież przystawał, żeby samemu tylko Janowi III. wolno było przyjmować komunię *sub utraque* i to tylko sekretnie, podczas gdy przystępując do Stołu Pańskiego publicznie, winien to był czynić pod jedną tylko postacią. Stolica apostolska udzielała tu dyspenzy *ad personam,* żeby zażegnać wątpliwości sumienia Jana III. Tak bowiem rzeczy przedstawiał Possewin; twierdząc, że król pała żądzą nawrócenia kraju, że sam już nawrócony i tylko ma osobiste skrupuły

o kielich! Possewin grubo się mylił, zmylił tedy Grzegorza XIII. i opinię całej Europy. Teraz przynajmniej Possewin przejrzeć był powinien. Przynajmniej od tej rozmowy z Pontusem powinny być *clara pacta.*

W kilka dni po tej audyencyi wrócił Karol Sudermański, a wracał znowu przez Danię, na wyraźne zaproszenie Fryderyka II. Mogło to być tylko prostą grzecznością względem Palatyna, i także względem Szwecyi, ale Jan III. wietrzył ciągle spiski. Dnia 24 września 1579 r. wjechał książe Karol z żoną do Stokholmu, a z nowożeńcami książe Dwumostów i poselstwo od Palatyna. Rozpoczęły się uroczystości, a Jana III. opanował chorobliwy strach; ciągle mu się zdawało, że z tego wesela musi coś złego dla niego wyniknąć. Jezuici przewidywali, że podczas obecności Karola nie będzie im wolno nawet prywatnie odprawiać nabożeństwa[1]. Zaraz też nazajutrz po przyjeździe księcia kazał król powiedzieć O. Norvegusowi, że może sobie ruszać do domu, skoro nie może udzielić komunii *sub utraque* i odprawiać mszy po szwedzku. Następnie jeszcze przez Warszewickiego kazał oświadczyć wszystkim Jezuitom, „niejedno, co było nieprzyjemnem". Potem się jakoś umitygował *(si mitighi)* i Norvegus został w Stokholmie; ale kazań miewać nie mógł; padła na Jezuitów wielka trwoga i sam Possewin pisze, że trzeba będzie być ostrożniejszym[2].

Dnia 5 października znowu oficyalna wizyta; przysyłał król do Possewina Pontusa de la Gardie i dwóch sekretarzy z oznajmieniem, że żąda nietylko *sub utraque* dla wszystkich swoich poddanych *(in tutti questi regni),* ale też mszy w języku narodowym; wzywali go imieniem królewskiem, żeby zaraz o tem

---

[1] Wiadomości o ślubie Karola i o jego pobycie w Danii powtarzają się bez końca w korespondencyi Possewina, który w zapatrywaniach na konstellacye polityczne był jakby echem Jana III! Ustępy, na których oparto konstrukcyę, są w *Nunz. Germ.* 92, p. 42, 179, 191, 210, 237.

[2] Do trzeciego posłuchania i tych tu wiadomości: cyfrowane noty Possewina w *Nunz. Germ.* 92, p. 196 i druga p. 205; list z 25 września tamże p. 210, cedula tego listu p. 209, wreszcie list do papieża p. 240, a zwłaszcza 242.

dał znać papieżowi. Possewin odparł, że już papieżowi o tem pisał; pisał rzeczywiście już nieraz. W Rzymie zresztą umiano już na pamięć królewskie „punkta“, ale tym razem miał to przedstawić, jako żądanie senatu szwedzkiego, a tej dystynkcyi zrozumieć czy nie mógł, czy nie chciał? Wdał się (niepotrzebnie) w dysputę z wysłannikami królewskimi, tłumacząc im, dlaczego te dyspenzy są niemożebne i powołując się na swe dawniejsze oświadczenia ustne i pisemne. Przeciw żądaniu kielicha dodał nowy argument, że z własnych podróży po Szwecyi wie, że niesposób jest mieć tu tyle wina, ażeby lud mógł dosyć często przystępować do Stołu Pańskiego; ministrowie protestanccy używali przecież często zamiast wina — piwa!

Possewin tracił grunt pod nogami i ze stanowiska zaczepnego schodzi już na obronne. Zwrócił się do delegatów z żądaniem przynajmniej wolności dla wykonywania obrządków katolickich; wszak katolicy nie mieli dla siebie ani jednego kościoła, ani nawet cmentarza osobnego dla siebie. Zaczęto mówić o O. Wawrzyńcu Norwejczyku. Jeden z sekretarzy powiedział, że król pozwoliłby mu pozostać w Stokholmie, ale pod warunkiem, żeby publicznie mszy nie odprawiał i żeby w kazaniach unikał kwestyj wyłącznie katolickich (tj. takich katolickich, których król nie przyjął do swej „liturgii“). Motywował to obawą rozruchów w mieście. Odparł Possewin, że on pierwszy wstrzymałby Norvegusa, gdyby z jego powodu miało się zanosić na rozruchy, ale wszak kapłan ten przebywa tu już trzeci rok i nigdy nie było o to obawy. Co do warunków, pod jakiemi ma mówić kazania, przyjmować ich nie można; jeżeli król go nie chce, pójdzie gdzieindziej uprawiać winnicę Pańską, a za króla będzie się modlić. Na to powiedziano mu, że król wogóle nie chce już mieć do czynienia z Jezuitami, ale przywoła Kartuzów, a o dyspenzy uda się do patryarchy carogrodzkiego, antyocheńskiego, albo aleksandryjskiego [1].

W cztery dni potem kazał król zapytać Possewina, czy

[1] Rozmowę tę opisuje sam Possewin w liście do kardynała Como ze Stokholmu dnia 9 października 1579. *Nunz. Germ.* 92, p. 216—222.

już pisał do papieża i zażądał kopii tego listu. Possewin odpowiedział, że napisał, ale że papież i tak nie pozwoli na więcej, niż już pozwolił [1]. Tego samego też dnia Possewin rzeczywiście wyprawił list do Grzegorza XIII.; był to już trzeci z rzędu list ze Szwecyi (tak przynajmniej sam twierdzi). Pisze, że wysyła ten list tylko dla tego, że to przyrzekł uczynić. Zwraca uwagę Ojca św., że gdy książe klewejski prosił o kielich tylko dla swojej osoby, prosił przez kilka lat, a dyspenzy nie otrzymał [2]. Zbiedzony Possewin dodaje w innym liście, że „gdyby nie łaska Boża, nie mogliby Jezuici być pewni ani dnia nietylko pobytu, ale ani nawet życia".

Równocześnie opuścił Szwecyę poseł hiszpański, udając się do Madrytu z tajną missyą, żeby Filipa II. skłonić do wyprawy na Helsingör nad Sundem, przez co król hiszpański trzymałby w swem ręku znaczną część handlu flandryjskiego na Bałtyku, bo od jego woli zależałoby, czy pozwoli okrętom ich przepływać. Nie mogąc sam zebrać się na wojnę z Danią, chciał do niej skłonić Filipa II., mniemając, że pozyszcze go widokiem zagarnięcia ważnej nadmorskiej twierdzy duńskiej. Byle tylko osłabić Danię! Erasso zwierzył się z tem Possewinowi, pocieszając go, że jeżeli uda się ta „impreza", będzie mógł Filip II. wywrzeć nacisk i na religijną sprawę w Szwecyi [3]. Katolicyzmu byłaby jednak „impreza" wcale nie przywróciła w Szwecyi; tylko król Jan przestałby się bać Danii, a mniejby się bał brata Karola i tem śmielej wprowadzałby — nie katolicyzm — lecz swoją „liturgię". Po pokonaniu Danii ani sojusze katolickie, ani układy z Rzymem nie byłyby mu już do niczego potrzebne!

Osoby posła, „kapitana" Erassa, nikt nie lubił: ani król, ani Jezuici; ale najbardziej niecierpiała go siostra królewska, kalwinka, margrabina wdowa badeńska, z którą miał nawet jakąś głośną sprzeczkę w sierpniu r. 1579. Margrabina trudniła się drobnemi intrygami, a korzystając ze swego wpływu na

---

[1] Dalszy ciąg tegoż listu, p. 226.
[2] *Nunz. Germ.* 92, p. 240.
[3] Cytowana już cyfra w *Nunz. Germ.* 92, p. 249.

króla, kopała kolejno dołki pod różnemi osobami niemiłemi sobie. Ni stąd ni zowąd zaczęto zarzucać Erassowi jakieś nieoznaczone bliżej knowania przeciw królowi. Possewin podejrzywał sekretarza Typotiusa i „kapitana“ Pawła Ferrari, że szykanują Erassa, przekupieni przez Niderlandczyków, ażeby nie dopuścić do przymierza pomiędzy Szwecyą a Hiszpanią. Oskarżano Erassa, że się lekceważąco wyrażał o królu (świadkiem był jakiś rzemieślnik, domownik posła, który uciekł od niego); Erasso zaś twierdził, że to właśnie Typotius tak się wyraził w rozmowie z nim o królu. W każdym razie niema żadnego powodu do przypuszczeń, żeby powodem nieporozumienia była jakaś sprawa polityczna; plotki i intrygi pałacowe niemające związku ni z polityką ni z historyą, doprowadziły jednak do tego, że Erasso był pod ścisłym nadzorem. Rozeszła się wieść po Europie, że Erasso jest w więzieniu! Sam papież wysłał *breve* do Jana III., upominając go, żeby nie łamał prawa narodów, nie wierzył oszczerstwom i pozwolił posłowi odjechać, a jeżeli w czem zawinił, będzie ukarany przez swego monarchę. Ale Jan III. nie zamyślał wcale więzić Erassa w Szwecyi, ani go też nie wyganiał nagle, bo poseł przygotowywał się do podróży przeszło miesiąc (od końca września) a wyjechał ostatecznie oczyszczony z zarzutu. Sama bowiem markiza badeńska, gdy się wybierała do Niemiec i Włoch dla szukania promocyi swych synów, tknięta jakoś sumieniem, na wyjezdnem udzieliła królowi jakichś wyjaśnień, skutkiem których do więzienia poszedł — Typotius[1]. Fakt wyjazdu Erassa tłumaczy się zaś dostatecznie ową „elzinorską imprezą“; sprawa była sekretna i tajemnica wymagała, żeby Erasso sam z tem jechał do Filipa II.

[1] *Nunz. Germ.* 92, p. 195, 211, 228, 231 i nienumerowana ćwiartka pomiędzy p. 269 a 270 z napisem „No 7“; wszystko listy Possewina. Jak łatwo było Possewina wywieść w pole, okazało się i przy tej sposobności; długo mniemał Possewin, że Typotius popadł w niełaskę za pisanie owych listów do Rzymu, w których gwałtownie domagał się dyspenz! Widocznie król wmówił tak w Possewina, a to przedstawienie rzeczy przeszło także do Theinera. Druga wersya, że Typotius był przekupiony przez Stany Niderlandzkie także wątpliwa, bo w takim razie król Jan byłby go dłużej trzymał w więzieniu, niż dwa tygodnie.

Proponując katolickiemu królowi duński port wojenny, myślał Jan III. tylko o osłabieniu Danii, ale nie o wzmocnieniu katolicyzmu. Od Kościoła rzymskiego był teraz równie dalekim, jak zawsze i jeżeli w czem była różnica, to chyba w tem, że teraz właśnie był szczerszym w tym względzie. Okazywało się to i z postępowania z Possewinem i z postępowania z własnym synem.

Ten królewicz — to nasz Zygmunt III.; przyjrzyjmyż się przy sposobności jego pierwszej młodości. W roku 1579 miał lat 14.

Wszyscy missyonarze szwedzcy, choć ciężkie przechodzili chwile, nabierali otuchy w przyszłość wobec wielkiej pobożności i gorącego przywiązania do katolicyzmu młodego królewicza; źródła nasze pełne też pochwał dla niego. Jan III. zrazu zostawił zupełną swobodę matce w wychowywaniu religijnem syna; wiemy, że nie chciał przesądzać, jakie wyznanie wybierze sobie Zygmunt dorósłszy. Odkąd jednak senat wdał się w sprawę reform religijnych Jana III., gdy obóz Karola Sudermańskiego okrzyknął króla papistą, król zaczął baczyć, żeby przywiązanie syna do katolickiego Kościoła nie zwróciło się przeciw niemu i zażądał, żeby Zygmunt bywał na szwedzkiem nabożeństwie. Nie były to nabożeństwa luterskie, bo takich nie było na dworze królewskim, lecz owe specyalne nabożeństwa według królewskiego mszału; w każdym razie jednak nie było to nabożeństwo katolickie i katolik nie powinien był na niem bywać. Należało to atoli do przekonań Jana III., że katolik może bez grzechu uczęszczać na nabożeństwa protestanckie; żądał nawet natarczywie, żeby Rzym uznał to za zasadę i dziwił się, co przeciw temu mieć można. Possewin stwierdza, że wiele zresztą osób mniemało w najlepszej wierze, że papież pozwolił na to katolikom żyjącym pod rządami protestanckiemi, ażeby w ten sposób uniknęli prześladowań; w Niemczech znalazł Possewin nawet księży, którzy tego wybiegu używali. Pisał też do kardynała Como, żeby sprawę tę przedstawił papieżowi i że Grzegorz XIII. powinienby coś zrobić, żeby ten błąd rozwiać. Łatwo to było powiedzieć; ale wszak on sam i wszyscy jego towarzysze nie zdołali tego wy-

tłumaczyć Janowi III! Król wymagał od syna rzeczy w jego przekonaniu całkiem prostej i to nikogo nie zdziwiło. Ale nastała konsternacya, gdy sama Katarzyna Jagiellonka kazała synowi usłuchać ojca, bo się bała skandalów. Jan III. był gwałtownik, gotów był narobić krzyku, a nawet posunąć się do bicia, gdy mu się kto dłużej opierał. Widocznie zdarzyło się już coś takiego w rodzinie królewskiej, skoro królowa z góry to przewidywała. Rzeczywiście, gdy raz w połowie listopada 1579 r. Jan kazał synowi iść na protestanckie nabożeństwo, a Zygmunt odpowiedział, że woli raczej stracić koronę i życie, król uniósł się i wymierzył synowi — ośm policzków *(otto schiaffe)*. Pomimo to Possewin wytężył wszystkie siły, żeby tylko królewicza utrzymać w wytrwałym oporze. Spowiednikowi królowej, Warszewickiemu, przesłał instrukcyę, jak się ma zachować w tym wypadku; instrukcya surowa, nie folgująca w niczem, grożąca karami kościelnemi. *Aut-aut;* albo królowa jest katoliczką i nie puści syna na innowiercze nabożeństwo chociażby się o to z królem poróżnić miała; albo — nie jest prawą katoliczką. Instrukcye wypełniono ściśle i wszyscy Jezuici wystąpili jawnie przeciw zmuszaniu Zygmunta do bywania na tych nabożeństwach. Possewin zaś napisał do króla z prośbą o audencyę. Jak w zeszłym roku niesłusznie go wychwalał i wynosił pod niebiosy, tak znowu teraz coraz gorzej się o nim wyrażał i pisze np. 22 listopada 1579 r. do swego kardynała: *Il re non sa che strada tenere con le sue instabilità, con le quali è reso odioso affatto à Dio et à gli uomini.* Król na list — nic nie odpisał i Possewin w tym roku wogóle już się z nim nie zobaczył.

Tymczasem dnia 30 listopada *(die sti Andreae)* odwołano znowu królewicza na nabożeństwo szwedzkie i to w sposób demonstracyjny, bo podczas gdy ksiądz Wysocki odprawiał właśnie nabożeństwo w kaplicy królowej. Katarzyna kazała synowi pójść. Wysocki zgromił ją o to surowo od ołtarza i takie czynił wyrzuty, że zaniepokojona w sumieniu swem królowa cały dzień płakała *(flevit)*. Warszewickiego przy tem nie było. Gdy wrócił, pocieszał królowę, dodawał jej otuchy i pouczał, jak ma pokierować rozmowę z królem. Gdy jednak Katarzyna

zobaczyła się z mężem, nietylko nic nie wskórała, ale jeszcze bardziej go pobudziła do gniewu. *Ille furere incipiens* posyłał trzy razy do Jezuitów, każąc oświadczyć, że jeżeli nie przestaną wywoływać nieporozumienia między nim a królową, pokaże im, że on tu jest królem i panem, każe ich uwięzić i odesłać do króla duńskiego. *Dedimus ei responsum, sicut decebat membra Societatis* (pisze Warszewicki), ale to króla jeszcze bardziej rozgniewało. Zaczął lżyć papieża (w gniewie poznaje się ludzi!), kardynałów i obrzędy katolickie. Córce, Annie, zakazał, żeby nie chodziła na kazania katolickie w dnie świąteczne, tylko w powszednie (w święta miała zapewne uczęszczać publicznie na protestanckie). Dowiedziawszy się o tem Possewin polecił, żeby się na przyszłość wstrzymać od publicznych upomnień królowej od ołtarza lub z ambony; wpływać na królowę ciągle, ale nic nowego nie wprowadzać, a króla trzeba będzie przebłagać.

Król obstawał przy swojem, młody królewicz Zygmunt przechodził przez zbyt ciężkie walki, jak na tak młodego chłopca. Miał się stać kamieniem obrazy pomiędzy ojcem a matką! Poczynał się wahać i ustępować naleganiom ojca. Warszewicki jędrnie określił sytuacyę na dworze: ...*rex sit obstinatus, puero animus desit et regina, quamvis regi repugnet, quantum potest, ut illa dicit, apertas tamen inimicitias et contentiones nolit cum eo suscipere.* Jezuici proponowali, żeby królewiczowi, skoro uczęszcza na tamte nabożeństwa, nie dawać do pocałowania patyny; sprzeciwił się temu Possewin i bardzo słusznie zwrócił ich uwagę, że królewski chłopczyna chodzi tam zmuszony, robiąc *quod nolit,* z bojaźni i strachu *qui cadit in virum constantem.* Miano jednak wątpliwości, czy królewicz nie popadł w klątwę na podstawie bulli *Cenae Domini;* odparł Possewin, że zapyta o to papieża i rzeczywiście prosił w najbliższym liście kardynała Como, żeby tę sprawę przedstawił do rozstrzygnięcia Ojcu św. W liście tym wyłuszcza w długim wywodzie cały szereg swych wątpliwości, *pro et contra,* ze stanowiska teologicznego, nie przypominał sobie żadnego podobnego precedensu, któryby wskazał, jak w takim

wypadku należy postąpić. Odpowiedzi papieskiej nie znamy; prawdopodobnie była pomyślna dla królewicza.

Nie wesołe były te młode lata Zygmunta, a były mu pod niejednym względem „rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". Wobec tych wiadomości o nim, nie może ulegać żadnej wątpliwości, że Zygmunt III. był katolikiem z głębokiego przekonania i z gorącego przywiązania do Kościoła, które pochodziły jeszcze z lat chłopięcych, kiedy nie mógł był kierować się polityką, a szedł tylko za głosem serca i sumienia. Katolicyzm Zygmunta III. nie jest sztuczny, jest szczerem wyznawstwem. Znaczyły się też już w chłopcu hart i wytrwałość, obstawanie przy swojem, gotowość do ofiar i ponoszenia szkód, byle zaznaczyć wyznawaną zasadę.

Zarazem jednak dowiadujemy się, że królewicz nie celował zdolnościami, ani pojętnością. Possewin, który tak lubiał się zachwycać ludźmi, o Zygmuncie twierdzi, że jest *d'ingegno e complessione alquanto tarda, ne molto apprensiva.* Jeżeli Possewin tak pisze, można wierzyć, że królewicz zdolności umysłowych posiadał niewiele[1].

Prześladowanie królewicza nie miało jednak trwać długo, gdyż w Polsce zaczęto się zastanawiać nad tem, kto miałby być królem po najdłuższych dniach Batorego, a i sprawa inflancka, chęć zażegnania grożącej jeszcze od czasów Zygmunta Augusta wojny szwedzkiej, i dynastyczne jagiellońskie tradycye sprawiały, że zwracano wzrok na dwór szwedzki. Król Jan sam od dawna marzył o polskiej koronie, zamiary takie trafiały tedy u niego na grunt tem sposobniejszy. Ale w takim razie królewicz musiał być wychowany po katolicku.

Niespodzianie jednak, z końcem r. 1579, wyłania się kandydatura nie Zygmunta, lecz Anny Wazówny. Projekt ten, trwający zresztą niedługo, był pomysłem nuncyusza Caligariego. Była już o tem mowa, że królewny Anny cesarz nie chciał

[1] Listy Possewina do kardynała Como z 9 października, 16 listopada, 22 listopada i 31 grudnia 1579 w *Nunz. Germ.* 92, fol. 223—225, 252, 257, 269, 281—288; Warszewickiego do Possewina z 2 listopada, 2 i 8 grudnia 1579; tamże fol. 263, 277, 280 i jeden list Possewina do Warszewickiego z grudnia 1579, tamże fol. 278.

dopuścić do swej rodziny i na staranie o wydanie jej za arcyksięcia Ernesta odparł krótko, że niema o tem nawet co mówić! Caligari proponował teraz, żeby królewnę wydać za synowca króla polskiego, imieniem także Stefana, a który był starszym synem wojewody siedmiogrodzkiego, Krzysztofa. Cel małżeństwa wyrażony jasno: *tener unite queste due corone.* Possewin porozumiał się zaraz z Katarzyną Jagiellonką i pozyskał jej przyzwolenie. Do króla napisał list dnia 21 listopada 1579 r. (Przebywali bowiem na różnych miejscach: Possewin w Torvesund, a król w Arös). Possewin chwycił się projektu nuncyusza, jako ostatniej deski ocalenia dla swej missyi, *se non si vuole con indignità et rottura di tutto il negozio chiudere.*

Wkrótce się dowiedziano, że plan ten jest niewykonalny, bo Stefan Młodszy ożenił się z miłości *(per amore)* z jakąś baronówną siedmiogrodzką bez wiedzy króla polskiego, który za to zerwał z nim stosunki [1].

Doprowadzony do rozpaczy Possewin, że nic się nie udaje,

[1] O tym Stefanie Młodszym w historyi nic nie słychać. Za autora projektu uważam Caligariego, bo pierwsza wzmianka o tem w listach Possewina jest wystylizowana, jako odpowiedź na polecenie dane przez polskiego nuncyusza. Dalsze losy tego Stefana wyjaśnia notatka, dopisana później, jako przypisek, do str. 270 *Nunz. Germ.* 92. Powiedziano tam na końcu: *et hora non sta bene con suo avo,* a więc *(hora)* notatka pisana za życia króla Stefana. Ten Stefan był tedy starszym od swego brata Zygmunta, późniejszego wojewody siedmiogrodzkiego, który urodził się r. 1573. Gdyby bowiem był choć o rok młodszy od Zygmunta, miałby w roku śmierci króla Stefana (1586) lat dopiero dwanaście. Widocznie był nietylko starszy, ale znacznie starszy od Zygmunta, skoro się mógł żenić jeszcze za życia króla. Król Stefan ignorował go potem zupełnie i dlatego księciem siedmiogrodzkim został potem młodziuchny (13-letni) Zygmunt, słynny niestety — z niedołęstwa. W r. 1579 uchodził widocznie ów Stefan za królewskiego spadkobiercę. Gdyby mieć bliższe wiadomości o jego życiu, wyjaśniłaby się niejedna doniosła sprawa. Odkąd bowiem król zerwał z tym synowcem, był bez spadkobiercy w Polsce, gdyż Zygmunt i drugi synowiec Andrzej, chowany w szkołach pułtuskich (w r. 1580 był w 3-ciej klasie) był za młody, żeby można było przypuścić jego wybór na króla w razie przedwczesnej śmierci Batorego. Zwraca też uwagę okoliczność, że o kandydaturze Zygmunta szwedzkiego myślał Jan III. już po śmierci Zygmunta Augusta, potem ta sprawa znika zupełnie z horyzontu politycznego i znowu nagle się pojawia w r. 1580.

liczył jeszcze tylko na sprawę barską, spoczywającą w ręku neapolitańskiego wicekróla, Mendozy, na ten olbrzymi spadek, którego jedna część wystarczyłaby na wzbogacenie szwedzkiego króla. Sądził widać, że możnaby za ten spadek kupić u Jana III. wolność nawracania i odprawiania nabożeństw katolickich w Szwecyi. Pisze też do swego kardynała w ostatni dzień roku 1579, jakoby rezultat rozpamiętywań dziejów tego roku: *Non veggo altro rimedio per hora, che di Napoli*[1]. Być może, że tym razem miał słuszność, ale tego „lekarstwa“ nie chciano wydać z apteki, bo Filip II. lubiał być katolikiem najbardziej na wojnie, potrzebował dużo żołnierzy i dużo na to pieniędzy, chociażby cudzych.

V.

Nowy Rok 1580 zastał Possewina na zamku Katarzyny Jagiellonki w Torvesundzie, czekającego ciągle, czy król nie wezwie go do siebie; dopiero 15 stycznia przyjechał dworzanin królewski, zapraszając do Wadsteny, gdzie Jan III. od pewnego czasu przebywał. Possewin nie mógł jechać zaraz, bo lód był za słaby, a trzeba było przebyć jezioro Wetter, sądził, że pojedzie za ośm do dziesięciu dni, ale podróż się zwlokła i dopiero 8 lutego stanął na miejscu. Był tam król z całym dworem, bo w Wadstenie miał się odbyć sejm.

Wadstena (Włosi wygładzili sobie tę nazwę na Vasteno) jest małem miasteczkiem nad jeziorem Wetter, liczącem dziś do 3000 mieszkańców; nigdy też nie była dużą. Ale Wadstena należy do najbardziej historycznych miejsc w Szwecyi. Patronka kraju, św. Brygida (właściwie Birgitta zmarła w Rzymie r. 1373), tu owdowiawszy założyła pierwszy swój klasztor, macierzysty dla całego zakonu rozgałęzionego potem w Szwecyi, Polsce i Włoszech (należy odróżniać te „Brygidki“ od zakonu założonego przez św. Brygidę irlandzką, zwaną Maria Hibernorum, który nie rozszerzył się nigdy na Wschód). Wystawiono tu potem wspaniały kościół, zaliczany do pereł budownictwa europejskiego

[1] *Nunz. Germ.* 92, p. 281.

i sprowadzono doń relikwie świętej z Rzymu. Otoczony czcią całego narodu klasztor takiej zażywał czci, że protestanccy reformatorowie nie śmieli się nań targnąć. Nie umiano sobie wyobrazić Szwecyi bez tego klasztoru. Gustaw Waza, tu w Wadstenie w r. 1520 okrzyknięty gubernatorem, gdy potem burzył urządzenia katolickie, na Wadsteńskie Brygidki targnąć się nie śmiał, bo oburzyłby przeciw sobie wszystkich i poruszyłoby się pospólstwo. W tem miejscu świętem dla każdego Szweda, nie śmiano nikomu zadawać gwałtu; zdarzyło się, że ta i owa zakonnica dała się omamić, ale która chciała, mogła pozostać w klasztorze; a chcących była większość i tak się stało, że gdy w całej Szwecyi nie wolno już było wyznawać publicznie katolicyzmu, gdy w całym kraju pastorowie urągali katolickim instytucyom, tu nad Wetterem istniał ciągle żeński klasztor i nie śmiano go znieść. Było to ostatnie schronisko Kościoła, do którego bano się szturmować. Ale forteca ta miała zginąć od nieustannego oblężenia; nie było nowicyatu, potem nie było księży, ustały nabożeństwa, zabrakło środków materyalnych do naprawy klasztoru; przez pół blizko wieku pozbawiony jakiejkolwiek opieki klasztor doszedł do tego stopnia ruiny, że dokładne wykonywanie reguły stało się fizycznem niepodobieństwem. Nie było wkońcu przed kim przystępować do Sakramentów św., a zakonnice zostały na miejscu, strzegąc relikwij narodowej patronki przed profanacyą. Zabrano im wkońcu kościół na luterskie nabożeństwa. Ograniczone do swego chóru, nie dawały się zbić z tropu i strzegły miejsca, przechowywały tradycye; te staruszki, których grono przerzedzała wciąż śmierć, niczego się już nie spodziewały; wiedziały, że sprawa ich przepadła, i że gdy na ostatnią przyjdzie doczesna kolej, wszystko się skończy; a jednak trwały na stanowisku, bez nadziei zwycięstwa, lecz dla zasady, z poczucia obowiązku.

Przyjazd Possewina stał się i dla nich błyskiem nadziei, przez jakiś czas nawet wielkim błyskiem; poczem nastąpić miało tem gorsze rozczarowanie. Possewin poznał Wadstenę już za pierwszym pobytem w Szwecyi, obecnie udzielał tu bierzmowania i dokonał obłóczyn kilku nowicyuszek. Spowiednikiem i ka-

pelanem zakonnic został Magnus, który nie otrzymał dostępu na dwór królewski [1].

Przybyłego do Wadsteny Possewina nie wezwał jednak król do siebie, tylko kazał go przez sekretarza zapytać, czy nie ma czego nowego, jakiego zlecenia lub listu z Rzymu, żeby o tem pomówił z senatorami. Odparł, że oświadczył już królowi wszystko, co miał do oświadczenia, a w liście do kardynała Como pisze, że trzeba będzie chyba niedługo opuścić Szwecyę. Właśnie nazajutrz miała nastąpić profanacya wadsteńskiego kościoła: ślub Pontusa de la Gardie z nieprawą córką królewską Zofią. Pontusowi obojętnem było, w jakiem wyznaniu żyje; król kazał, żeby kościelne uroczystości ślubne odbyły się po lutersku a msza według królewskiej liturgii, i kościół wadsteński nie po raz pierwszy stał się zborem protestanckim. Ale po raz pierwszy udzielano w nim ślubu, co w kościołach Brygidek regułą zakonną było zakazane. Uroczystości weselne rozpoczęły się 14 lutego 1580 r. i trwały przez kilka dni. Był to niejako wstęp do sejmu; okazywał król publicznie, że nie jest papistą.

Sejm zaczął się 19 lutego. Zwołany był dla radzenia o wojnie z Moskwą. Ale sejm zaczął obrady nie od politycznych spraw, lecz od religijnych. Możnowładztwo, zbogacone na sekularyzacyi dóbr kościelnych, zdobywało się na coraz śmielsze skargi i wyrzuty ujęte w formę urzędowych memoryałów od senatu; działo się to za sprawą obecnego na sejmie Karola Sudermańskiego, bez którego opieki nie śmieliby wystąpić tak śmiało. Zażądali od króla, żeby się na sejmie oczyścił z zarzutów i podejrzeń, jakoby pragnął przywrócić zniesione przez Gustawa Wazę wyznanie i że nie zmierzają do tego te zarządzenia kościelne, które poczynił, ażeby się zbliżyć do „czystości

[1] W całej korespondencyi Possewina pełno zajmujących szczegółów o Wadstenie. Wspaniałe budowle zamku i dawnego klasztoru mają monografię w publikacyi p. t. *Svenska konstminnen fron medeltiden och renässansen afteckнade och beskrifna pa foranstaltande af svenska foruminuesforeningen. Sjette Haftet. Vadstena slott. Stockholm s. a.* O Brygidkach zobacz dzieło Maxa Heimbuchera: *Die Orden und Kongregationen der katholischen Kirche.* (Paderborn 1896). Erster Band, str. 90 u. 505—510.

pierwotnego Kościoła"; żądano przeto oświadczenia, że liturgia królewska nie ma być pomostem do katolicyzmu. Rękojmię miały stanowić trzy polecenia, o których wydanie upraszano: zakaz przywozu i używania katolickich książek w Szwecyi (które Jezuici rozrzucali po kraju), obsadzenie katedr nauczycielskich samymi tylko zwolennikami „czystej ewangelii" (a więc usunięcie Wawrzyńca Norvegusa) i wychowanie królewicza w wyznaniu augsburskiem. Żądania te zwrócone były przeciw katolicyzmowi, bo nie śmiano wystąpić wręcz przeciw liturgii; użyto więc pozoru, jakoby ta liturgia nasuwała obawy powrotu do katolickiego Kościoła. Wymaganie jednak „czystej ewangelii" było wystosowane niemniej przeciw królewskiemu wyznaniu, a w sprawie wychowania Zygmunta wymieniono wyraźnie wyznanie augsburskie. Nie wiemy, czy król dał na to urzędową odpowiedź. Dalsze jego zachowanie się świadczy jednak wymownie, że intencye sejmu zrozumiał, bo odtąd ze zdwojoną energią zabrał się do zapewnienia panowania wynalezionemu przez siebie wyznaniu; o tyle tylko się zmienił, że nie omieszkał już żadnej sposobności, żeby zaświadczyć czynami, że „liturgia" niema związku z papizmem [1].

Potem dopiero zabrał się sejm do spraw politycznych. Domagano się pokoju z Moskwą, czujności względem Batorego (któremu nie bardzo życzono powodzenia) i sojuszu z protestanckimi książętami Rzeszy.

Sytuacya polityczna stawała się coraz niekorzystniejszą dla planów króla Jana. Nadzieje przedsiębrania wojny duńskiej malały coraz bardziej. Od Filipa II. nie nadchodziła wcale odpowiedź, co do „elzinorskiej imprezy". Pora nie była też do tego stosowna. Właśnie w r. 1579 siedm prowincyj niderlandzkich zawarło było unię utrechtską, wojna miała tam zawrzeć ze zdwojoną siłą, a nadto miał król hiszpański dwa jeszcze przedsiębiorstwa w toku. Od r. 1560 nastały w Irlandyi ciągłe powstania przeciw religijnemu i politycznemu uciskowi Anglii;

[1] Listy Possewina do kardynała Como z 8, 13, 14 lutego, 19 marca 1580 w *Nunz. Germ.* 92 p. 310—313 i 317. Theiner, t. I, str. 607.

Filip II., mający Irlandyę nadaną sobie lennem od papieża, wspierał te powstania i właśnie z początkiem r. 1580 znaczniejsze tam wyprawił posiłki. Równocześnie, 31 stycznia 1580, umarł kardynał Henryk, ostatni z Braganzów portugalskich, a Filip II. natychmiast zgłosił swe pretensye do sąsiedniego królestwa i zaraz wojsko tam wysłał. Wobec tych trzech przedsięwzięć i wojen: w Niderlandach, w Irlandyi i w Portugalii, niesposób było zabierać się jeszcze do czwartego i wszczynać wojnę z Danią; chociażby tedy nawet Filip II. zgadzał się był w zasadzie na propozycyę szwedzkiego króla (co jednak bardzo wątpliwe), było to na razie niewykonalne i Jan III. na ten rok nie mógł się nawet łudzić. Sam zaś o własnych siłach nic Danii zrobić nie mógł, nie mając pieniędzy na wojsko, nie mając ich nawet na tyle, żeby spłacać regularnie sumę zastrzeżoną Fryderykowi II. pokojem szczecińskim. Wobec dobrych stosunków Karola Sudermańskiego z dworem duńskim, tudzież wobec popularności, jaką książe Karol zdobywał sobie, jako obrońca kraju przed rzekomem niebezpieczeństwem papizmu, trudno też było przypuścić, żeby wojna duńska miłą była większości poddanych króla Jana i żeby się dali skłonić do ofiar na nią. Nie chciano żadnej wogóle wojny, bo kraj był zubożały, potrzebował pokoju do rozwoju i Szwedzi gotowi byli do ofiar nie na wojnę, lecz przeciwnie, do ofiar, żeby wojny nie było. Gotowi byli nawet opuścić Inflanty, byle z Moskwą ani z nikim wogóle o nie nie wojować. Król sam nie chciał wojny inflanckiej, a tymczasem tok wydarzeń parł ku niej coraz bardziej. Batory już zaraz w r. 1577 bronił się w Moskwie, w następnym roku organizował wielką wojnę, a w r. 1579 brał już Połock. Iwan starał się o pokój, Jan Waza cieszył się, że wojna się przerwie, ale Batory nie przystąpił do rokowań i na rok 1580 gotował wyprawę jeszcze walniejszą: nastawał rok Wieliża, Uświaty i Wielkich Łuków. Gdy szczęście wojenne wciąż sprzyjało Wielkiemu Stefanowi, należało przewidywać, że im później pokój będzie zawarty, tem więcej Inflant przejdzie pod polskie panowanie, a wszakżeż król polski rozpoczął wojnę pod tem hasłem, że musi posiąść c a ł e Inflanty! Zwiększało się coraz bardziej nie-

bezpieczeństwo, że Moskwa, gdy w pokoju przyzna całe Inflanty Polsce, tem samem uzna szwedzkie pretensye za niebyłe: jedynym sposobem ocalenia tych pretensyj zdawało się teraz dążyć do tego, żeby przyszły pokój objął także Szwecyę, a do tego trzeba było zawrzeć przedtem sojusz z Batorym. Toteż teraz, przestając na razie myśleć o Danii, Jan III. coraz gorącej pragnie sojuszu z Polską, ale — równocześnie coraz mniej na tym sojuszu zależy Polsce i Batory obojętnieje wkońcu całkiem dla tej sprawy. Król szwedzki liczył na pośrednictwo cesarza Rudolfa; ale z Pragi zapowiedziano, że dopiero na rok przyszły, 1581, zamierza się wyprawić poselstwo do Moskwy [1]. Ani więc Filip II., ani Rudolf II. na nic się królowi Janowi nie zdali. Stracony był dla niego do reszty cały trud starania się o dobrą opinię w Rzymie i u katolickich dworów; ta opinia straciła też już dla niego wartość.

(Dok. nast.).

Dr. Feliks Koneczny.

[1] Zrazu przyrzekano to na rok 1580, ale potem znowu odłożono. *In hunc annum dilata erat Caesaris ad Moschum legatio;* z listu Possewina do królu szwedzkiego z 9 sierpnia 1580 w *Nunz. Germ.* 92 p. 371.

ŚWIĘTYCH OBCOWANIE.

VIII.

ŚWIĘTYCH OBCOWANIE WE MSZY PIERWSZYCH WIEKÓW — W SKŁADZIE APOSTOLSKIM — W „PASTERZU“ HERMASA.

RZUT OKA NA PRZEBYTĄ DROGĘ.

Jużeśmy obeszli po kolei wszystkie miejsca, gdzie się znajdują uczestnicy wspólności świętych. Widzieliśmy na ziemi poczet dzieci Bożych, zrośnięty w jedno ciało mistyczną solidarnością zasług i całego duchowego życia. Widzieliśmy w czyścu, dusze święte, w pokoju Chrystusowym, zmywające resztki plam swych godowych szat, a zostające w komunii z temże ciałem, zraszane ochłodą jego modlitw i ofiar eucharystycznych. Widzieliśmy w niebie główną, już definitywnym kształtem obdarzoną, część tego ciała: świętych cieszących się Bogiem i obcowaniem między sobą, a nie przestających być w czynnej komunii z nami.

Dla wyjaśnienia stanu dusz w tych różnych miejscach, posługiwaliśmy się i najnowszą teologią; nie pomijaliśmy i mistyków. Ale, gdy szło o udowodnienie istnienia tych miejsc, a raczej tych różnych stanów dusz, i o wykazanie wiążącego je współuczestnictwa, to opieraliśmy się wyłącznie na źródłach z pierwszych paru wieków: na Piśmie św., na Aktach męczeńskich, na epitafach katakumbowych, na świadectwach spółczesnych prześladowaniom pisarzy. — Czyniliśmy tak, nie dlatego, jakobyśmy

nie uznawali jednakiej dogmatycznej powagi późniejszych głosów Kościoła, Ojców świętych i soborów — wierzymy przecież, że i takie dogmaty, które dopiero po szeregu wieków do wyraźnej świadomości Kościoła doszły, niemniej nieomylnie w apostolskim depozycie wiary się mieściły — ale dlatego, że ten właśnie dogmat o świętych obcowaniu jasno już przyświecał wyznawcom Chrystusowym w owej pierwotnej dobie; — dlatego też, że pomniki owych czasów mniej zostały dotychczas przez teologów wyzyskane; — i dlatego wreszcie (przyznajemy to chętnie), że epoka ta bohaterska ma szczególny jakiś urok dla badacza. Miło jest z takimi ludźmi i z zabytkami ich myśli przestawać.

Zanim porzucimy tę piękną epokę, i to, czego nas pouczyła o świętych obcowaniu na ziemi, w czyścu i w niebie, rozpatrzymy się jeszcze, czy niema w niej świadectw koncepcyi zbiorowej całej wspólności świętych i jedności mistycznego ciała? — Szukać będziemy tych świadectw: w liturgii mszalnej — gdzie do dziś dnia brzmią nam w uszach takie wyrazy, jak *communicantes;* dalej w Składzie Apostolskim — w którym codzień odmawiamy: „Wierzę... w świętych obcowanie“; wreszcie w sławnem swego czasu dziele Hermasa „Pasterz“, które wewnętrzne życie Kościoła szerzej omawia, zapewnie więc i naszego dogmatu nie pomija.

* * *

WE MSZY DZISIEJSZEJ.

Msza, jaka się obecnie u nas, w rzymskim obrządku odprawia, w swych głównych i najstarszych częściach dosadnie uwydatnia wiarę w świętych obcowanie[1]. W prefacyi, wspaniałym wzlotem jednoczy się Kościół z chórami Serafinów i wszystkiemi mocami niebios, w śpiewaniu dzięki Ojcu Przedwiecznemu, przez syna jego Chrystusa. W kanonie też, dwa razy wspomina przy ofierze i wylicza poczet świętych; przyczem trzyma się praktyki pierwszym wiekom właściwej: że wyłącznie męczenników (i Matkę Boską, rozumie się) wy-

[1] Thalhofer. *Handbuch der kath. Liturgik.* II Band. I Abth., 2 Abschn., 2 Haupt. § 31.

mienia[1]. Czyni też *memento* czyli wspomnienie przy ofierze o zmarłych, prosząc dla nich — słowami, które żywcem przypominają katakumbowe napisy — o miejsce *refrigerii, lucis et pacis.*

Podobnie też, na początku kanonu, ma miejsce *memento* za żyjących, przy którem pojęcie komunii między nimi charakterystycznie się określa. Kapłan, podniesiony ku niebu i zjednoczony z wiernymi przez odśpiewanie prefacyi, błaga najłaskawszego Ojca, żeby przyjął tę ofiarę za Kościół katolicki, za jego zwierzchników, papieża i biskupa, i za innych biskupów, w komunii z Kościołem zostających, których kanon pięknie nazywa „uprawiaczami katolickiej i apostolskiej wiary". Poczem wymienia kapłan Bogu tych, których mu chce osobliwie przy tej ofierze polecić. Wreszcie modli się szczególnie za wiernych przy ofierze obecnych — czyli, jak ich po starodawnemu nazywa: „wszystkich dokoła stojących".

W tem miejscu wymawia celebrujący wyraz: *communicantes,* „współuczestniczący" — i zaraz przechodzi do wspomnianego już wyliczania świętych: *et memoriam venerantes, imprimis gloriosae semper Virginis... sed et beatorum etc.* — Co znaczy, do czego się odnosi to *communicantes?* Nie można tego słowa złączyć w jedno zdanie z następującemi słowami, jakoby tu była mowa o wspólności ze świętymi w niebie; albowiem między tym słowem a następującemi, wstawia Kościół, na większe święta, wzmiankę o tychże: np. *communicantes — et diem sacratissimum celebrantes, quo beatae Mariae intemerata virginitas huic mundo edidit Salvatorem — sed et*

---

[1] Ostatni z wymienionych w kanonie męczenników, są święci Jan i Paweł, uwieńczeni za Juliana Apostaty; to jednak nie dowodzi, żeby sam kanon nie był dawniejszy; jest bowiem rzeczą naturalną, że Kościół rzymski, w miarę jak mu przybywało nowych, sławniejszych męczenników, dodawał wzmianki o nich w swym kanonie.

W ustępie kanonu wspominającym świętych przed konsekracyą, jest zwrot *Genitricis Dei ac Domini nostri,* w którym czuć położony nacisk na bóstwo Chrystusa, a więc czas walki z aryanizmem. Ale czuć zarazem, że to słówko *Dei ac* jest późniejszą wstawką, łamiącą zwykły i naturalny tok takiej modlitwy: *Genitricis Domini nostri Iesu Christi, sed et beatorum* i t. d. I to więc nie świadczy przeciw starożytności tego tekstu, ale raczej przemawia za nią.

memoriam venerantes etc. [1]. To *communicantes* stoi więc osobno, jest samo w sobie zdaniem, które nic innego znaczyć nie może, jak tylko: współuczestniczenie wiernych między sobą. Sens więc tego tekstu jest: „My tu obecni (po wyjściu nieświętych: pokutników i katechumenów), oraz wspomniani wyżej biskupi i wierni w jedności Kościoła zostający, współuczestniczący między sobą (czyniący tą liturgią akt współuczestniczenia); a nadto wielbiący pamięć Matki Boskiej i świętych...“ i t. d.

WE MSZY PIERWSZYCH WIEKÓW.

Tak się przedstawia rzecz o świętych obcowaniu we mszy dzisiejszej. Co z tego znajdowało się w liturgii pierwszych wieków? Historya mszy św. nie jest jeszcze ukończona. W ostatnich jednak czasach znaczne zrobiła postępy, tak dalece, że uczony Benedyktyn Dom Cabrol w dziele w tym roku wydanem *Le livre de la prière antique*, na podstawie badań poprzedników, Duchesn'a, Probst'a, Warren'a, Thalhofer'a... i własnych, mógł spróbować odtworzyć mszę, odprawianą w Rzymie, w katakumbie św. Domitylli, na początku III. wieku. Ciekawe są szczegóły schodzenia się wiernych, wśród nocy, wzdłuż drogi Ardeatyńskiej, i następnie po gankach podziemnych, pokrytych symbolicznemi znakami, aż do przestronej krypty, gdzie ich dyakoni rozmieszczają według przepisanego porządku, w oczekiwaniu spełnić się mającej ofiary. Piękne są obrzędy mszy wstępnej, *missae catechumenorum:* rzewna litania albo supplikacya za wszelkie potrzeby Kościoła i świata; psalmodya, przeplatana czytaniem ksiąg świętych; czytanie ewangelii; kazanie i błogosławieństwo biskupa — po którem, na wezwanie dyakona, katechumeni i pokutnicy wychodzą.

Ale jeszcze piękniejsza, i bliżej nas tu obchodząca jest msza główna, istotna ofiara, *missa fidelium.* To, co nazywamy Prefacyą i Kanonem, to stanowiło (i po dziś dzień stanowi) jedną modlitwę ofiarną, albo eucharystyczną. U Greków zowie się ona ἀνάφορα, ofiarowanie; u łacinników zaś, od najdawniejszych cza-

[1] Takie wstawki przychodzą na Boże Narodzenie, na Trzech Króli, na Wielkanoc, na Wniebowstąpienie i na Zielone Świątki.

sów, pierwsza jej część nazywa się *praefatio;* druga *actio,* czyn ofiarny, lub *canon actionis,* norma czynu; z czego dziś została utarta nazwa „Kanon“ [1]. Że było przy tej modlitwie ofiarnej wspominanie świętych męczenników, oraz *memento,* czyli modlenie się szczegółowe za żyjących, i modlenie się za umarłych — więc, że się wyrażała w niej, niemniej jak w naszym kanonie, komunia między wszystkiemi dzielnicami mistycznego ciała Chrystusa — to nie ulega wątpliwości. Najstarsze liturgiczne zabytki i wszystkie wogóle liturgie te elementa zawierają; z tą tylko różnicą, że ustawiają je rozmaicie. — W starożytnej też mszy to wspominanie żywych i umarłych szerzej się roztaczało, niż w dzisiejszej: czytano imiona ich ze znanych już nam „dyptyków“. Na wezwanie dyakona, wierni modlili się za różne stany i osoby, a kapłan kończył odpowiednią formułą.

JAK DAWNY JEST TEKST KANONU.

Co więcej, sam tekst prefacyi i kanonu naszego zdaje się sięgać, w znacznej części, aż do czasów katakumbowych. Urywki z niego, i całe nawet ustępy, odnajdują się w najstarszych zabytkach. Dzieło *De Sacramentis,* mylnie przypisywane dawniej św. Ambrożemu, ale, według uczonego Duchesna, jeszcze współczesne Damazemu, przytacza niemal słowo w słowo cały środek kanonu, od słów: *quam oblationem ratam, rationabilem* i t. d., aż do słów: *quod tibi obtulit summus sacerdos tuus Melchisedech* [2]. „Księga papieska“ *(Liber pontificalis)* pisana, jak tenże Duchesne wykazał, w początkach VI. wieku, mówi o kanonie mszalnym jak o dawno ustalonej formule; wspomina nawet, że św. Leon wstawił weń, po wzmiance o ofiarach Abla i Melchizedecha, słowa: *sanctum sacrificium, immaculatam hostiam;* co suponuje, że już w początkach V. w. tekst ten egzystował.—Że

[1] Kanon starożytny, o którym tu mówimy, kończy się przy Modlitwie Pańskiej. Komunia, z jej przygotowaniem (frakcyą hostyi) i dziękczynieniem, stanowi osobną część, która pierwotnie odbywała się może w zupełnem milczeniu. W każdym razie modlitwy dziś przy niej używane pochodzą z czasów daleko późniejszych.

[2] Duchesne, *Les origines du culte chrétien.* ch. VI.

istniał jeszcze o wiek wcześniej, za Damazego, dowodzi tego polemika niejakiego dyakona Hilarego, przeciw temuż tekstowi [1].— Sam początek owej modlitwy ofiarnej brzmiał już w III. wieku temi samemi słowy co dzisiaj: *Dominus vobiscum — Et cum spiritu tuo — Sursum corda! — Habemus ad Dominum — Gratias agamus Deo Domino nostro! — Hoc aequum et iustum est* i t. d. Znajdujemy je przytaczane u św. Cypryana i w najstarszych liturgiach [2].

Cała ta modlitwa po konsekracyi, wspominająca o „Ablu, słudze (pacholęciu) Boga“ i Abrahamie „patryarsze naszym“ i Melchizedechu „najwyższym kapłanie“, i następnie błagająca Boga, „aby zanieść kazał to, co ofiarowane, na ołtarz swój najwyższy, przez ręce świętego Anioła swego“, tj. zapewnie Chrystusa, tak archaicznie nazwanego [3] — cała ta modlitwa, mówię, ma cechę takiego archaizmu, takiego niedokreślenia, takiego bezpośredniego opierania się na wspomnieniach Starego Zakonu i obrzędach Synagogi — że starszą jest pewnie od wszystkiego, co w liturgiach greckich znajdujemy, i przenosi myśl naszą do samych pierwocin Kościoła, do tych czasów kiedy pisano Naukę XII. Apostołów, z jej liturgicznym fragmentem, te same cechy mającym [4].

W napisach wreszcie grobowych z wieków prześladowań, spotykamy raz po raz urywki zdań z modlitw liturgicznych po dziś dzień używanych, a w szczególności z kanonu naszej mszy. W czem uczeni, Le Blant [5], Hirsch [6] i inni, słusznie widzą dowód,

---

[1] Niedouczony dyakon Hilary, autor pisma: *Quaestiones Veteris et Novi Test.,* sądził, że Melchizedech był Duchem św; stąd zarzuty, jakie miał przeciw tekstowi kanonu. Duchesne l. c.

[2] Cypr., *De oratione Dominica;* Duchesne l. c.; Dom Cabrol, *Le livre de la prière antique,* ch. 7; Bingham, *Origines,* l. XIII, 5, 6.

[3] Tak samo Hermas, między I. a II. wiekiem, nazywa Chrystusa „Aniołem najdostojniejszym“, ὁ σεμνότατος ἄγγελος. *Visio* V, 1, 2 (według podziału Funka).

[4] Sam Duchesne zwraca uwagę na szczególną „imprecyzyę“ tej modlitwy, jako znamię wysokiej jej starożytności, wyższej od greckich zabytków. Przypuszcza on też, że ów Anioł wspomniany w tym ustępie kanonu może łatwo, „w tekście tak starożytnym“ oznaczać Chrystusa.

[5] *Les Inscriptions chrétiennes de la Gaule.*

[6] *Die Acclamationen und Gebete der altchristliche Grabschriften.* Von Dr. J. P. Hirsch, Prof. der Univ. zu Freiburg. Köln 1897.

że te modlitwy już w katakumbowych nabożeństwach obijały się o uszy wiernych, i stąd przypominały im się, gdy na swych grobach ryli epitafy. — Nagrobek np. niejakiej Sukcesy, z rodziny senatorskiej:

HIC REQVIESCIT SVCCESSA C · M · F
IN SOMNO PACIS CVM (SI)GNO FIDEI...[1]

żywcem przypomina charakterystyczny fragment z kanonu naszego, mianowicie z *memento* za umarłych: *qui nos praecesserunt cum signo fidei et dormiunt in somno pacis.* — Profesor fryburski Hirsch, w odczycie na kongresie uczonych katolickich r. 1897, wykazał, że każde słowo z tego *memento* znajduje się powtórzone w napisach grobowych pierwszych wieków [2]. Inne jeszcze spotkania się grobowych napisów z fragmentami liturgii podał tenże w cennej swej pracy o „Aklamacyach" starochrześcijańskich [3].

Otóż, jeżeli faktem jest, że nasza msza (właściwie prefacya i kanon) zachowała wiele ustępów czy urywków z prastarej liturgii, sięgającej III. wieku, jeśli nie wyżej — to pytam: czy nie jest bardzo prawdopodobnem, że i nasze *communicantes* z tejże epoki pochodzi? Słowo to, postawione tak absolutnie, bez orzeczenia, przerzuca myśl w epokę, kiedy św. Cypryan, i kler rzymski, piszący do Cypryana, i chrześcijanie kartagińscy w kajdanach, używają potocznie tegoż słowa, tak samo bez orzeczenia: *communicatio, communicavimus, communicat ille...*[4] W żadnym innym czasie ten sposób mówienia nie jest potocznym w literaturze chrześcijańskiej. Krótko mówiąc: to *communicantes* wygląda nam na fragment, którego kształt i faktura wskazuje na pochodzenie z III. lub II. wieku.

---

[1] „Tu spoczywa Sukcesa, rodu senatorskiego niewiasta, we śnie pokoju, ze znakiem wiary". *(c · m · f* znaczy: *clarissimae memoriae femina).* Hirsch, *Die Acclamationen und Gebete der altchristl. Grabschriften.*

[2] *Compte rendu du quatrième Congrès scientifique international des catholiques, tenu à Fribourg, du 16 au 20 Aout 1897.*

[3] W wyżej przytoczonej książce *Die Acclamationen,* rozdz. IV, *Die epigraphische und die liturgische Gebete für die Verstorbenen.*

[4] Patrz rozdziały II i III niniejszej pracy, *Przegl. Powsz.* 1899, październik i listopad.

Zarzucićby można przeciw temu, że, według zdania Duchesna, za którym idzie Dom Cabrol i kilku innych uczonych, w III. jeszcze wieku modlitwa eucharystyczna improwizowaną była, za każdym razem, przez biskupa lub kapłana celebrującego; nie można więc mówić o przechowaniu się szczątków ówczesnego liturgicznego tekstu, jeżeli ten tekst nie istniał. — Prawda, że uczony Duchesne zrobił to przypuszczenie, a właściwie przejął je (może bezwiednie) za anglikańskimi „antiliturgistami", których już Bingham zbijał [1]. Z drugiej strony jednak, inni badacze, jak Probst i Bickel, do zupełnie innych doszli wniosków [2]. Jakoż — nie uwłaczając wielkiej powadze Duchesna — z jego hipotezą pogodzić się nie możemy. Przemawia przeciw niej naprzód wspomniany fakt, że przechowały się dotąd, nietylko myśli, ale zdania, fragmenty tekstu liturgii, sięgające co najmniej III. wieku. Przemawia przeciw tejże hipotezie po drugie, że jest niepsychologiczna: w niczem ludzie tak prędko nie dążą do urobienia stałych form, jak w rzeczach, które uważają za najważniejsze i najświętsze. Oczywista rzecz, że obrzęd ofiarny chrześcijan zacząć się musiał od improwizowania apostołów, i pierwszych ich uczniów, którym wkładali ręce na kapłaństwo. Ale w najkrótszym czasie, z improwizacyi musiały się wyłonić siłą rzeczy pewne formy, bądź pismu, bądź pamięci powierzone. Formy te były różne w różnych Kościołach, z powodu szerokiej autonomii biskupów w sprawach liturgicznych; ulegały też ewolucyi czasu, skracając się, a nabierając więcej precyzyi; ale były to zawsze konkretne formy [3]. — Istniały od najdawniejszych czasów księgi

[1] Bingham, *Antiquit.* l. XIII, cap. V: *De origine et usu liturgiarum in praescriptis et statis precationum formulis in Ecclesia primitiva.*

[2] Probst, w *Liturgie der drei ersten christlichen Jahrhunderte;* Bickel, *Messe und Pascha,* utrzymują, że przez trzy pierwsze wieki zachowywała się z małemi wyjątkami i odmianami liturgia, którą później wcielono do Konstytucyj Apostolskich.

[3] W IV. wieku, kiedy dekret Konstantyna wyprowadził Kościół z ciasnoty katakumb i domów prywatnych, liturgia rozwinęła się i rozszerzyła w pewnych częściach, będących w związku z nowemi warunkami miejsca i okazałości kultu. Tak powstało śpiewanie *Introitu,* podczas uroczystego wchodzenia biskupa i towarzyszącego mu kleru; podobnie powstały modły

czyli zwoje, zwane u Greków *euchologia*, u Rzymian *libri* lub *libelli sacramentorum*, osobne dla kapłana, osobne dla dyakona z tekstem, który ten ostatni wygłaszał. Sam Duchesne o tych zwojach wspomina[1]. Czy nie naturalną jest rzeczą przypuścić, że one już w III. albo i II. wieku istniały?

Wszystkie niemal jakie mamy pomniki, odnoszące się do starożytnej liturgii — począwszy od najstarszej i zapewnie pierwszego wieku sięgającej „Nauki dwunastu apostołów", aż do „Konstytucyj Apostolskich", których część liturgiczna pochodzi, jak powszechnie przyznają, z III. wieku — przytaczają określone fragmenty modlitw eucharystycznych, albo i modlitwy te w całości[2]. Świadczą więc pomniki o rozbudzeniu się, w samem zaraniu życia Kościoła, owej potrzeby spisania tekstu mszalnego[3].

Wreszcie podstawa tej całej hipotezy o improwizacyi kanonu jest zgoła niedostateczna. Głównym i jedynym pozytywnym argumentem za nią jest słówko z Apologii św. Justyna. Opisując eucharystyczną ofiarę, mówi Justyn, że po wstępnych modłach i czytaniach, kapłan nad chlebem i winem „czyni modlitwy i dziękczynienia z całej swej siły" (ὅση δύναμις αὐτῷ)[4]. — Otóż te

i obrzędy *Offertorium*, w czasie uroczystego znoszenia przez lud chlebów i wina, i wybierania z nich części do ofiary. Ale nic nie wpłynęło na rozszerzenie samego kanonu. Ten pewnie został, jaki był, albo jeszcze się trochę skrócił i uporządkował.

[1] *Origines du culte chrétien.* ch. IV.

[2] Podaje te teksty i omawia ks. prof. Bilczewski w dziele „Eucharystya", cz. I, rozdz. 3, 4 i 5. Dodać do nich jeszcze trzeba nowo odnalezioną księgę, zwaną „Testamentem Jezusa Chrystusa", której materyał liturgiczny sięga również przynajmniej III. wieku

[3] Zwracam też uwagę na słowo kanon. Kanon znaczy: prawo, norma; odnośnie więc do modlitwy eucharystycznej, oznacza określoną formułę tej modlitwy. Kanon przytem jest słowem greckiem, którego Rzymianie nie używali, mając dużo słów własnych na wszelkie pojęcia prawnicze. Słowo więc kanon nie mogło wejść w użycie Kościoła rzymskiego, jak tylko w takim czasie, kiedy język grecki był językiem zwyczajnym tego Kościoła i ludności miasta; to zaś było w pierwszym i drugim wieku; w ciągu trzeciego stanowczo ustało. Z tego wynikałoby, że formuła modlitwy eucharystycznej *(canon actionis)* była już w tymże czasie w Rzymie ustaloną i przepisaną. Nie przywiązujemy do tego szczegółu więcej wagi, niż należy; sądzimy jednak, że i on coś znaczy.

[4] Justin., *Apolog.* I, 67.

słowa „z całej swej siły“, nie koniecznie wyrażają wysiłek improwizowania — jak chcą zwolennicy tego poglądu; mogą one doskonale oznaczać wysiłek nabożeństwa, zapał, w odmawianiu ustalonej formuły [1]. Dowodem tego, że tego samego zwrotu ὅση δύναμις używa św. Grzegorz z Nazianzy, kiedy wzywa wiernych do odmówienia z zapałem pieśni Mojżeszowej o zatopieniu Faraona, ażeby podziękować Bogu za pogrom Juliana Apostaty [2].

Ostatecznie, gdybyśmy nawet przyjęli pogląd Duchesna, jeszcze trzebaby uznać, że niektóre przynajmniej ustępy modlitwy eucharystycznej ustalone były używaniem w III. wieku, skoro mamy pozytywne na to dowody. Duchesne zresztą wcale się temu nie sprzeciwia. Owszem, opisując porządki liturgiczne owej najstarszej epoki, zwraca na to uwagę, że szczególnie w Rzymie kanon mszy był już wówczas ustalony. „W Rzymie, są to jego słowa, kanon był prawie nieodmienny“ [3]. — Więc koniec końcem, nawet w tym poglądzie i zgodnie z Duchesnem, zachowują swą moc racye i powody, które nasze *communicantes* do III. lub II. wieku odnoszą. Msza, jaka się w katakumbach odprawiała, wyrażała, niemniej niż dzisiejsza, wiarę w komunię wiernych między sobą, i z czyścem i z niebem.

* * *

PIERWOTNE FORMY SYMBOLU.

W Składzie Apostolskim wzmianka o świętych obcowaniu jest nieco późniejsza; i ona jednak jest bardzo dawną.

Najnowsze badania o Składzie coraz więcej przemawiają na korzyść odwiecznego podania, że ta formuła z czasów apostolskich pochodzi [4]. Rozsiane po świecie Kościoły przechowywały ją z czcią

[1] Bingham, *Origines* XIII, 5, 5.

[2] *Orat.* III, *quae est invect.* I *contra Julian.* — Duchesne wolno tłumaczy to ὅση δύναμις u Justyna, słowami: *aussi longtemps qu'il peut,* przez co już swój pogląd podstawia.

[3] *Origines du culte,* ch. IV, § 1, 105.

[4] Bäumer Suitbert, *Das Apostolische Glaubensbekenntniss. Seine Geschichte und sein Inhalt.* Mainz. Kirchheim 1893, str. VIII, 240. — Blume Clemens, *Das Apostolische Glaubensbekenntniss.* Freiburg im Br. Herder 1893, str. XVI, 304. — B. Dörholt, *Geschichte des Symbols.* Z protestantów, najwięcej się przyczynił do wyświecenia historyi Symbolu Caspari, *Ungedruckte, unbe-*

największą; nic z niej uronić nie pozwalały, ale dodawały do niej niektóre wyrazy wyjaśniające, w miarę, jak tego wymagała walka z powstającemi w różnych miejscach herezyami. Jeden Kościół rzymski, jak świadczy Rufinus, piszący pod koniec IV. wieku, zachował aż do jego czasu pierwotną formułę, bez dodatku; zapewnie dlatego, że mniej od innych Kościołów trapiony był domowemi herezyami [1]. Rufinus, omawiając Symbol Kościoła akwilejskiego, którego był kapłanem, wyszczególnia, czem się tenże od rzymskiego różni, a tem samem formułę tego ostatniego podaje. Formuła ta, najstarsza, krótsza jest o kilka zdań od dziś używanej [2]; a między temi zdaniami brakującemi, jest właśnie artykuł o świętych obcowaniu. Formuła akwilejska, już bardzo do dzisiejszej zbliżona, również o tym dogmacie milczy.

Dzisiejsze nasze Wierzę w Boga znajduje się dosłownie w kazaniach *De Symbolo,* przypisywanych niegdyś św. Augustynowi, rzeczywiście jednak pochodzących od pośledniego jakiegoś pisarza z VI. lub VII. wieku [3]. Ale dziś i dawniejsze znamy pomniki, świadczące o istnieniu w Symbolu artykułu o świętych

---

achtete und wenig beachtete Quellen zur Geschichte des Taufsymbols und der Glaubensregel. Christiania 1866—1879, 4 tomy. Dalej jego *Alte und neue Quellen zur Geschichte des Taufsymbols.* Christiania 1879. *Das Apostolische Glaubensbekenntniss.* Berlin 1892. — W *Przeglądzie Powszechnym* umieści też dzisiejszy ks. arcybiskup Bilczewski poważną pracę p. t. „Geneza i historya Symbolu apostolskiego“ (*Przegląd Powszechny* 1894, maj i czerwiec). Sam też napisałem przyczynek do tych studyów: „O słowach pod Pontskim Piłatem“ (*Przegl. Powsz.* 1895, XLVI, 314), powtórzony w niemieckiem piśmie teologicznem, *Zeitschrift für katholische Theologie,* 1895.

[1] Rufinus, *Commentarius in Symbolum Apostolorum.*

[2] Symbol starorzymski, według Rufina, jest taki: 1) Credo in Deum Patrem omnipotentem; 2) et in Christum Iesum (albo: Iesum Christum), Filium eius unicum, Dominum nostrum; 3) qui natus est de Spiritu Sancto et Maria Virgine; 4) qui sub Pontio Pilato crucifixus est et sepultus; 5) tertia die resurrexit a mortuis; 6) ascendit in (albo: ad) coelos; 7) sedet ad dexteram Patris; 8) inde venturus est iudicare vivos et mortuos; 9) et in Spiritum Sanctum; 10) sanctam ecclesiam; 11) remissionem peccatorum; 12) carnis resurrectionem.

[3] *Sermones de Symbolo* 237—244 *in Append. Augustini.* Kraus (w *Realencycl.: Symbole*) przypisuje je Cezaryuszowi z Arles z końca V-go lub początku VI-go wieku.

obcowaniu. Faustus, najpierw mnich Leryneński, od r. 452 biskup w Riez w Prowancyi, nazwany przez Gennadiusza *egregius doctor*[1], zostawił, prócz innych dzieł, cenną homilię o Symbolu, którą dopiero w najnowszych czasach odnaleziono i stanowczo mu przyznano[2]. W homilii tej, nietylko wymienia on świętych obcowanie, jako artykuł Symbolu, ale argumentuje z tego artykułu przeciwko herezyi Wigilancyusza, i to w taki sposób, że suponuje istnienie tych słów w Symbolu od dawniejszych czasów.

FORMUŁA NICETY.

To świadectwo Faustusa uchodzi wogóle za najdawsze, jakie posiadamy o naszym artykule. Istotnie, jednak jeszcze dawniejszym — o czem spodziewamy się czytelników przekonać — pomnikiem zawierającym ten artykuł, jest „Wykład Symbolu dla ubiegających się o chrzest“ świętego Nicety. Są tu dwie kwestye sporne: naprzód, czy to dzieło podaje świętych obcowanie jako artykuł Symbolu; a po drugie, kiedy, względnie przez jakiego Nicetę napisane było. Po wyłożeniu artykułu *Sanctam Ecclesiam catholicam,* mówi dalej autor: *Ergo in hac Ecclesia crede te communionem consecuturum sanctorum etc.* (wierz zatem, że w tym Kościele posiędziesz świętych obcowanie). Forma tego zdania narzuciła niektórym myśl, że jest to może tylko dalsze wyjaśnienie artykułu *Sanctam Ecclesiam,* a nie przytoczenie następującej części składowej Symbolu. Istotnie, to zdanie, w oderwaniu wzięte, mogłoby być tak zrozumiane; ale kiedy się odczytuje całą tę *Explanatio,* to wątpić nie można, że Nicetas wymienia komunię świętych, jako artykuł Symbolu. Wszystkie wogóle artykuły przytacza on w ten sposób: nie, jako zdania odosobnione, ale powiązane gramatycznie z poprzedzającym tokiem mowy, i przeplatane własnemi słowami. Co więcej, przed pojedynczemi zdaniami Symbolu, powtarza on systematycznie słowo: *credo, credens, crede,* uwydatniając tym zwro-

[1] *De viris ill.* c. 85.

[2] Caspari, *Alte und neue Quellen zur Geschichte des Taufsymbols.* Christiania 1879. — Brison. *Der Katholik.* 1887, tom II, str 386; także Bardenhewer, *Patrologie,* str. 556.

tem mowy, jakoby podkreśleniem, że są częściami formuły wiary [1]. Otóż i przywiedziony w miejscu swem artykuł o świętych obcowaniu ma, jak widzieliśmy, ów charakterystyczny nagłówek: *c r e d e te sanctorum consecuturum communionem.*

Świadectwo więc Nicety o naszym artykule w Symbolu jest niewątpliwe; zbadać teraz trzeba z jakiego czasu ono pochodzi. — Baroniusz przypisał je Nicecie, który był biskupem Akwilei od r. 454 do 485. Za nim poszło kilku nowszych autorów [2], i Migne przedrukował tę Eksplanacyę, wraz z mniejszemi tegoż pióra dziełkami, pod nazwą *Sancti Nicetae Aquileiensis,* załączając obszerną rozprawę Piotra Braidy, broniącą tegoż zdania [3]. Ale zdanie to połączone jest z tyloma trudnościami i takich wymaga naciągań, że zdaje się, jakoby Baroniusz i inni tego poglądu zwolennicy stracili z oczu istnienie drugiego Nicety, o pół wieku dawniejszego, który był biskupem Remezyi w Dacyi [4] i przyjacielem św. Paulina z Noli; odwiedził go dwa razy, w r. 398 i w 402, i wkrótce potem umarł. Otóż ten Nicetas, a nie tamten, jest autorem naszej Eksplanacyi. Dowodem tego naprzód jest jasne, współczesne świadectwo Gennadiusza, który przypisuje to dzieło Nicecie, *Romatianae civitatis episcopo.* — Wprawdzie Baroniusz, i ci, co za nim idą, łamane sztuki robią, żeby tę *Ro-*

---

[1] Tak np., po wyłożeniu pierwszego artykułu, mówi autor: „Credens ergo in Deum Patrem, statim te confiteberis c r e d e r e *et in Filium eius Iesum Christum...*“ Niżej znów: „Sequitur ut c r e d a s Dominicae passioni et *passum* confitearis Christum, *crucifixum* a Iudeis“ etc. I znowu: „C r e d i s *et in Spiritum Sanctum...*“ Dalej: „Post confessionem beatae Trinitatis iam profeteris te c r e d e r e *sanctam Ecclesiam catholicam*... Ergo in hac una Ecclesia c r e d e te *communionem* consecuturum *sanctorum*... C r e d i s deinde in *remissonem peccatorum*... Consequenter credis et *carnis* tuae *resurrectionem* et in *vitam aeternam*“.

Rzecz ta jest ostatecznie udowodnioną w Roczniku teologicznym z Bonn: *Neue Jahrbücher für deutsche Theologie,* t. IV, str. 275—343 i 416—469.

[2] Bardenhewer, *Patrolog.* str. 412.

[3] *Sancti Nicetae, episcopi Aquileiensis, Explanatio Symboli habita ad competentes.* Migne, *Patrol. lat.,* t. LII, col. 866.

[4] Dziś Ak-Palanka, w Serbii, między Niszem a Pirotem. W Dacyi było kilka kolonij wojskowych rzymskich, i podobno Remezya taką kolonią była. Mógł więc tam panować w III. i IV. w. język łaciński, i biskup remezyański mógł pisać traktat dla katechumenów, nie po grecku, ale po łacinie.

matianam civitatem zindentyfikować z Akwileą. Ale żadne sztuki nie pomogą przeciw samemu zestawieniu tych nazw: *Romatiana* jest widocznie lekką korrupcyą słowa *Remesiana*, a z nazwą Akwilei nie ma nic wspólnego.

Dowodem drugim jest forma symbolu, której autor Eksplanacyi używa. Biskup akwilejski wykładałby niewątpliwie katechumenom formę akwilejską. Tę ostatnią, jaka była około r. 400, znamy z traktatu *De Symbolo* Rufina. Otóż formuła autora Eksplanacyi znacznie się od niej różni — tak znacznie, że wiedząc jak twardo stały wówczas Kościoły przy swych formułach wiary, przypuścić nie możemy, żeby w przeciągu tego półwieku, jaki upłynął między Rufinem a Nicetą z Akwilei, symbol tego Kościoła takiemu uległ przeobrażeniu. — Co więcej, porównując dokładnie obie formuły, postrzegamy w ich sposobie różnienia się pewne znamię (na które, o ile wiemy, nie zwrócono dotąd uwagi) dowodzące zupełnej niemożliwości, by jedna forma z drugiej pochodziła. Mianowicie forma Nicety, nietylko mieści zdania, których Rufinowa nie ma, ale też zdania pomija, które w Rufinowej się znajdują[1]. Otóż symbole w pojedynczych Kościołach odmieniały się li tylko przez dodawanie zdań wyjaśniających — nigdy przez odejmowanie raz przyjętych części. Forma więc Nicety nie może być dalszym rozwojem formy Rufinowej, i wogóle symbolem akwilejskiego Kościoła być nie może. Dowód ten sam przez się wystarcza.

Dodać można, jako trzeci dowód, treść dzieł Nicety. Wiadomo, że ówcześni pisarze kościelni uwzględniali zawsze w pewien sposób najnowsze herezye, o których wieść rozchodziła

---

[1] Różnica jest naprzód w tem, że zamiast konstrukcyi słowa *credo* z ablatywem, *credo in Deo Patre*, której się trzyma w całym swym ciągu forma akwilejska, Nicetas zachowuje konstrukcyę z akuzatywem: *credo in Deum*... Dalej akwilejska dodaje: *Patre invisibili et impassibili*, czego Nicetas nie ma. W artykule o narodzeniu Chrystusa, akwilejska rozróżnia: *natus de Spiritu Sancto ex Maria Virgine*, formuła zaś Nicety mówi bez różnicy, jak starorzymska: *ex Spiritu Sancto et Maria Virgine*. Akwilejska też dodaje: *descendit ad inferna*, czego ani rzymska ani Nicety nie ma. Ta ostatnia znów do *ecclesiam* dodaje *catholicam*, załącza *communionem sanctorum*, i na końcu wymienia *vitam aeternam*, czego w akwilejskiej niema.

się dziwnie prędko po Kościele; stąd stosunek danych dzieł do herezyi określa datę tych dzieł. Otóż Nicetas nasz walczy w swych pismach: *De ratione fidei, De potentia Spiritus sancti, De diversis appellationibus Christo convenientibus*[1] przeciwko aryanizmowi, sabillianizmowi, macedonianizmowi; o nestoryanizmie zaś i eutychianizmie nic nie wie[2]. Nie może to więc być późniejszy Niceta, akwilejski, ale musi być dawniejszy, remezyański[3].

Tak więc i na Zachodzie, w Prowancyi, artykuł o świętych obcowaniu ma miejsce w Składzie Apostolskim, w połowie V. wieku — i na Wschodzie Europy, w Dacyi, znajduje się tenże artykuł w Symbolu, jeszcze wcześniej, bo na przełomie między IV. a V. wiekiem. Nadto tak Nicetas jak i Faustus traktują ten artykuł nie jako nowość, której wprowadzenie do Symbolu trzeba dopiero usprawiedliwić, ale jako rzecz znaną, utartą, na której oprzeć się można. — To nas doprowadza do wniosku, że w tym samym czasie, kiedy Rufin pisał swój traktat o Składzie Apostolskim, i kiedy Kościół rzymski, konserwatywniejszy od innych, nie był jeszcze wprowadził artykułu o świętych obcowaniu w swój starodawny Symbol — w tym samym czasie, mówię, już różne Kościoły artykuł ten w swej formule wiary miały. A wkrótce potem zapewnie rozszerzył się ten artykuł i po innych Kościołach Zachodu, nie wyjąwszy rzymskiego[4].

Co mogło być powodem do wprowadzenia tego dodatku?

---

[1] Dziełka te podane są razem z Eksplanacyą u Migne'a, w tomie LII „Patrologii łac.".

[2] Wysiłki Braidy, by wykazać, że autor wiedział o eutychianizmie są płonne, i trudno zrozumieć, że Bardenhewer je pochwala.

[3] Obszerniejsze wywody czytać można w monografii, którą o tem wydał Ernest Hümpel: *Nicetas Bischof von Remesiane* w Roczniku teologicznym z Bonn: *Neue Jahrbücher für deutsche Theologie*, 4. Band.

W całej tej kwestyi: kiedy artykuł o świętych obcowaniu dostał się do Symbolu, zasięgnąłem rady autora znakomitej historyi Symbolu *(Geschichte des Taufsymbols)*, ks. prof. d-ra Bernarda Dörholt'a, który obecnie nad drugim tomem swego dzieła pracuje. Ten z największą uprzejmością udzielił mi cennych i szczegółowych wskazówek, z których wiele skorzystałem. Za co składam mu tutaj należną podziękę.

[4] Na Wschodzie dalszy rozwój miejscowych symbolów, i wogóle używanie tychże, ustało zupełnie; bo tak zrozumiano tam dekret Soboru chalcedońskiego, nakazujący poprzestać na formule wiary nicejskiej.

Dogmat w nim wyrażony już od dawna, jakeśmy się o tem przekonali, był w świadomości wiernych. Jak dalece był też naukowo, teologicznie wyrobiony, o tem się przekonamy, gdy będziemy w swojem miejscu rozbierać odnośną część Eksplanacyi Nicety. Do wprowadzenia jednak nowych wyjaśnień do symbolów powód dawały, zwyczajnie, nowopowstające herezye Kiedy sobie przypomnimy, że około tego czasu grasował po Zachodzie hałaśliwy kacerz Wigilancyusz, który właśnie, między innemi błędami, przeczył modlitwom świętych za nas, za bałwochwalstwo poczytywał cześć oddawaną męczennikom i relikwiom ich [1], — to narzuca się myśl jemu to przypisać, że dał powód do wprowadzenia dodatku o świętych obcowaniu. Bliżej jednak w historyę tego czasu wglądając, widzi się: najpierw, że wpływ Wigilancyusza był bardzo mały; sekty żadnej nie stworzył; ledwo w teologicznych kołach o nim wiedziano; po drugie, data wystąpienia Wigilancyusza jest za późną; pismo św. Hieronima *Contra Vigilantium*, skreślone w wirze walki, przypada na r. 406. Dodajmy i to, że Faustus, jakeśmy widzieli, właśnie przeciw Wigilancyuszowi występuje z tym argumentem, iż świętych obcowanie jest artykułem symbolu — co nie miałoby sensu, gdyby ten artykuł był dopiero przeciw niemu wstawiony. — Przypuszczam, że wieść o bluźnierstwach Wigilancyusza, przyczyniła się do rozszerzenia tego uzupełnienia symbolu po Kościołach, które go jeszcze nie miały; były jednak Kościoły, które znacznie wcześniej tę formułę zaprowadziły, bądź dla stłumienia jakichś lokalnych błędów, niezaznaczonych w historyi, bądź dlatego po prostu, by jaśniej wiernym określić dogmat: bo i to się, na Zachodzie przynajmniej, wydarzało.

* * *

»PASTERZ« HERMASA.

Otwórzmy wreszcie księgę Pasterza, o której nikt nie wątpi, że z pierwszych czasów Kościoła pochodzi. Z trzech części, z których składa się ta dziwna księga, pierwsza zawiera szereg W i d z e ń. Okazuje się Hermasowi —

[1] Hieronim, *Contra Vigilantium* i *Epistola* 109.

tak się autor sam nazywa — Kościół, w postaci sędziwej niewiasty, naprzód słabej, schorzałej, potem coraz pełniejszej zdrowia i piękności, dla wyrażenia różnych stanów i stopni oczyszczenia, przez które przechodzą wierni w drodze do świętości. Niewiasta ta daje Hermasowi różne przestrogi, zwłaszcza o potrzebie pokuty. Poczem okazuje mu budującą się wspaniałą wieżę. Aniołowie, niby robotnicy, wydobywają z nurtów kamienie; jedne odrzucają na bok, drugie ustawiają na wznoszących się murach, inne obciosują. Wieżą tą, jak wykłada Hermasowi tajemnicza niewiasta, jest ona sama, Kościół. Ona też mu tłumaczy symbolizm każdego szczegółu tego budowania. Nareszcie pokazuje mu straszliwą bestyę, gotową pożreć całą tę wieżę, oznaczającą przyjść mające wielkie prześladowanie.

W drugiej części okazuje się Hermasowi, pod postacią pasterza, anioł, i przekłada mu dwanaście P r z y k a z a ń, określających wiarę i życie chrześcijańskie. — W trzeciej wreszcie części znajduje się długi poczet P o d o b i e ń s t w, w których autor — a właściwie ów Pasterz-anioł nauczający go — bliżej omawia zagadnienia, przeważnie moralne, dotknięte w drugiej części. W jednym jednak z tych podobieństw, powraca on do symbolu budującej się wieży, wskazanego w pierwszej części, i jeszcze rozszerza jego tłumaczenie. Przeważna rola, jaką odgrywa w tym utworze ów anioł pod postacią pasterza, jest widocznie powodem tytułu tej książki.

KTO JEST TEN HERMAS?

Kto jest ten Hermas? Kiedy tę książkę napisał? U najstarszych Ojców Kościoła, Hermas uchodził za męża apostolskiego; a księga jego za Pismo św. — Św. Ireneusz w II. wieku cytuje ją bez wahania jako Pismo [1]. Tak samo ją wielokrotnie cytuje, jeszcze przed końcem tegoż wieku Klemens Aleksandryjski [2]; tak samo Hipolit [3]; tak samo Tertulian, gdy

---

[1] *Contra Haeres.* l. IV, c. 20, n. 2.

[2] Stromat. l. I, c. 29 etc.

[3] W Komentarzu do Daniela, świeżo wydanym i opracowanym przez berlińską „Komisyę do Ojców Greckich".

jeszcze jest katolikiem [1]; kiedy zaś przystaje do sekty Montona, a w Hermasie znajduje rzecznika odpuszczenia grzechów, wtedy piętnuje go nazwami fałszerza, przyjaciela nierządników i t. p. [2]. Origenes też często Pasterza przytacza, uważa go za księgę wielce szacowną, prawdopodobnie, nie napewno jednak, do Pisma św. należącą [3]. Późniejsi: Euzebiusz, Atanazy i inni, nie mniej ją cenią, ale już jej do Pisma nie zaliczają [4].

Nowsi i najnowsi uczeni wszelkich obozów, uznają powszechnie, że dzieło Hermasa nie jest późniejszem od połowy II. wieku [5]. Jedni odnoszą je do czasu Piusa I., między r. 138 a 150, za świadectwem odnalezionego w przeszłym wieku Fragmentu Muratorego [6]; drudzy odrzucają świadectwo tego Fragmentu i odnoszą Pasterza, zgodnie ze starymi Ojcami, do czasów apostolskich [7]; trzeci sądzą, że pisany był za papiestwa Klemensa, pod koniec I. wieku [8].

My nie czujemy potrzeby zapuścić się w ten spór: bo i ci co najpóźniejszą oznaczają Hermasowi datę, nie przekraczają środka II. wieku. Swoją drogą, zdaje nam się trudnem do pojęcia, żeby taki Klemens, sławny erudyt, piszący w Aleksandryi przed końcem II. wieku, taki Ireneusz piszący w Gallii około r. 175, nie tylko znali Pasterza, ale mieli go za księgę starą, z czasów apostolskich pochodzącą (bo za taką mieć go musieli, skoro go za Pismo św. brali) — jeżeli ten Pasterz pisał się do-

---

[1] *De Oratione*, c. 12. Zwracam szczególnie uwagę na słowa: *imo contra scripturum fecerit, si quis in cathedra aut subsellio sederit.*

[2] *De Pudicitia*, c. 10.

[3] Migne, w proemiach do Pastora, podaje 15 miejsc Origenesa, w których Pastora cytuje. *Patr. Graec.* II, 825.

[4] Tamże.

[5] *Pasterz* pisany był pierwotnie po grecku; tekst jednak grecki dawno zaginął; znaliśmy go tylko z dwu tłumaczeń łacińskich i z wielu cytat greckich Ojców. Niedawno dopiero udało się Tischendorfowi odnaleźć tekst grecki w jednym z monasterów góry Atos.

[6] Funk, Harnak, Brük, Heyne, Bardenhewer i t. d.

[7] Le Nourry, Tillemont, Ceiller, Lardner i t. d. u Funka *Opera Patr. Apost.* I *Prolegom.* str. 115.

[8] Gaab, Zahn, Caspari, Mayer, Peters.

piero około r. 150, w Rzymie. Żadnej na to u rzeczników tego zdania nie znajdujemy odpowiedzi.

Więcej nas obchodzi, co niektórzy z dzisiejszych uczonych [1] Hermasowi zarzucają: że błądził we wierze, zwłaszcza o Trójcy, mieniąc Ducha św. Synem; że udawał natchnionego i przypisywał sobie wizye, których nie miał, skoro dzieło jego nie jest Pismem św.; że wreszcie podawał się za kogo innego niż był, jak to zwykli byli czynić autorowie dzieł apokryficznych. — Nam się zdaje, że szersze zapoznanie się z materyałem dogmatycznym owej epoki byłoby zapobiegło tym zarzutom. Przecież owe dziwne i dla naszych uszu rażące sposoby wyrażania się o Trójcy, u Ojców przednicejskich, nie są rzadkością, i nie dowodzą (jak dogmatyści wiedzą), żeby ci Ojcowie błądzili. — Kiedy Hermas nazywa Ducha św. synem, nie mówi o jego stosunku do innych osób Trójcy, ale o jego funkcyi w Kościele, gdzie gospodarzy, nie jak sługa, ale jak syn w domu ojcowskim. Skrajniej jeszcze wyraża się Tertulian, bo nazywa Ducha św. *villicus Christi*, włodarzem, któremu Chrystus zalecił swą winnicę. A przecież wiadomo, że Tertulian nie odmawiał Duchowi św. bóstwa [2]. — I ten sam Hermas, który jasno, jak wszyscy przyznają, pojmuje bóstwo Syna, Logosa, nazywa go jednak nieraz bądź aniołem, bądź posłańcem [3]. — Szczęściem Ojcowie, i spółcześni i późniejsi, czytając Hermasa, lepiej go rozumieli. Żaden herezyi w nim nie upatrzył; a to byłoby zupełnie niemożliwem, gdyby był w tak grube błędy przeciwko Trójcy popadł [4].

Twierdzenie również, że Hermas nie mógł mieć prawdziwych wizyj, skoro z czasem Kościół odsądził jego dzieło od kanonu Pisma św. — twierdzenie to, mówię, uraża dogmatykę. Można przecież mieć najprawdziwsze wizye i objawienia, i spi-

---

[1] W szczególności Bardenhewer, *Patrologie.*

[2] Podobnych zdań wiele się naczytać można u Francelina, *De Deo Trino.*

[3] *Visio* v, i indziej.

[4] Już Lumper (*Historia theologico-critica SS. Patrum* 1783 u Migna w t. II) napisał szczegółową obronę dogmatyki Hermasa. Nie widzę, żeby Bardenhewer i inni uwzględnili jego argumenta.

sywać je, a nie mieć właściwego autorom ksiąg świętych natchnienia w pisaniu; jak i odwrotnie, można mieć to natchnienie i księgę świętą pisać, bez żadnych widzeń ani objawień. To są rzeczy zupełnie różne. — Mógł także autor Pasterza użyć formy opowiadania widzeń, jako formy czysto literackiej; mógł przytem przenieść czytelników w inny czas, przybrać imię któregoś z uczniów apostolskich, bez ubliżenia prawdzie, bez chęci wprowadzenia w błąd czytelników — u których mógł suponować, że wiedzą o co idzie. Kto temu przeczy, ten zdaje się nie pamiętać o zwyczajach literackich ówczesnych. Przecież od kiedy Plato tak świetnie użył tej formy w swych dyalogach filozoficznych, powtarzała się ona raz po raz i u Greków i u innych pisarzy. Nawet autor Księgi Mądrości, piszący po grecku, zapewnie w Aleksandryi, przemawia śmiało w osobie Salomona [1]; a przecież jest autorem natchnionym i dzieło jego jest Pismem świętem [2].

Wobec tych różnych możliwości, jeżeli mamy powiedzieć, co sami o Hermasie sądzimy, powiemy krótko: uważamy go za prawego i prawowiernego katolika; takie nam zrobiło wrażenie czytanie jego dzieła; (takie też robiło na spółczesnych Ojcach). Przypuszczamy nawet, na własną rękę, że był w Kościele rzymskim presbyterem: myśl tę nasuwa nam to, że w Widzeniu II. otrzymuje on polecenie, żeby je spisał w dwóch egzemplarzach, i sam je czytał z „presbyterami, którzy przewodniczą Kościołowi“, podczas gdy Grapte (widocznie dyakonisa) ma je opowiedzieć wdowom i sierotom. Co do czasu, w którym napisał Pasterza, przystajemy, dla podanych wyżej powodów, do zdania średniego: że pisał za papiestwa św. Klemensa. Co zresztą odpowiada zupełnie

[1] Patrz cap. IX, 7, 8.

[2] Zupełnie inaczej niż Hermas przedstawiają się autorowie niektórych dzieł apokryficznych, u których znać dążność do wprowadzenia w błąd co do autorstwa swych pism. — Z tego znów co Hermas mówi o potrzebie i skuteczności pokuty, nie można wnosić, jak to czyni Bardenhewer, że ma już na oku początki montanizmu, bo naprzód toby przekroczyło najpóźniejszą datę, jaką można jego dziełu naznaczyć. A potem Hermas pisze wprawdzie szeroko o pokucie, ale nie z akcentem polemicznym, lecz objektywnie i tetycznie.

tekstowi, wedle którego każą Hermasowi posłać jeden ze wspomnianych egzemplarzy swego pisma Klemensowi, a ten „ma je przesłać do innych miast: jego to bowiem jest rzeczą (do niego, jako do biskupa rzymskiego, to należy), ażeby rozesłał je po dalszych kościołach“ [1].

Sądzimy wreszcie, że Hermas miał jakieś prawdziwe widzenia lub sny inspirowane. Widzenia przecież takie i sny były na porządku dziennym u chrześcijan ówczesnych. Często o nich mowa w Aktach Męczenników [2]. Hermas spisał swe widzenia, jak potrafił: rozwlekle i niedołężnie, nie bez zapomnień i wstawek. To stanowi zawartość pierwszej części jego dzieła. Potem dodał drugą i trzecią część: bo zdało mu się to potrzebne, dla wyjaśnienia i uzupełnienia nauk w Widzeniach podanych. Przyczem użył dalej tej samej formy, co w pierwszej części: jakoby posłaniec niebieski do niego mówił — może dlatego, że uważał to za rozwój i przystosowanie tejże samej nauki. — Mielibyśmy w takim razie w „Pasterzu“ pierwszy okaz tych dzieł, jakich cały poczet wydali mistycy wieków średnich i nowszych czasów, gdzie pierwiastek Boży zmieszany jest z a w s z e z większą lub mniejszą domieszką ludzkiego, błędom podległego, pierwiastku.

Wszakże, czy Hermas miał prawdziwe widzenia, czy nie miał, w każdym razie dzieło jego odzwierciedla, czynnie lub biernie, pojęcia i przekonania współczesnego mu środowiska chrześcijańskiego, czy to w pierwszym, czy choć w drugim wieku. Więcej nam nie potrzeba.

CO NAUCZA HERMAS O NASZEJ RZECZY?

Jakież więc są pojęcia Hermasa o tej społeczności świętych, która jest przedmiotem naszego badania? — W Kościele Hermas widzi, nie garstkę wiernych, ledwo znaczącą wśród ogromu pogańskiego świata — ale najwspanialsze i najogromniejsze z utworów Boga. Widzi już, jak w przy-

---

[1] Po grecku jeszcze wyraźniej: Πέμψει οὖν Κλήμης εἰς τὰς ἔξω πόλεις, ἐκείνῳ γὰρ ἐπιτέτραπται.

[2] Patrz *Passio SS. Perpetuae et Felicitatis* i inne.

szłości „wszystko się ściele pod stopami wybranych“ [1]. A w przeszłości widzi tenże Kościół, jako najpierwsze z dzieł Stwórcy, dzieło, które Bóg naprzód zamierzał, gdy „z nicości wywoływał wszystko, co istnieje“ [2]. „Dla Kościoła, naucza śmiało Hermas, stworzony jest świat“ [3]. I dla tego też Kościół okazuje mu się w postaci niewiasty sędziwej, że „on pierwszy (w rzeczonym sensie) stworzonym jest“ [4].

Kościół ten, u Hermasa, jest i wojujący: bo okazuje mu się w różnych stopniach oczyszczenia, jako niewiasta zawsze białowłosa, ale raz w krześle, złamana niemocą, drugi raz silniejsza, stojąca, trzeci raz pełna życia i przepiękna [5]. I tenże Kościół jest także tryumfujący: bo ta sama niewiasta posadzając Hermasa obok siebie po lewej stronie, prawą stronę zachowuje dla męczenników [6]. Ona też aniołom rozkazuje, i posyła ich budować świętą wieżę [7].

Ale najwspanialszym i najgłębszym wyrazem naszego dogmatu jest właśnie ta budująca się wieża, którą niewiasta zdumionym oczom Hermasa odsłania. „Nie widziszże, mówi mu, naprzeciw siebie wieży wielkiej, która się buduje nad wodami, z kamieni kwadratowych, przepysznych? A budowało wieżę w kwadrat sześciu młodzieńców, którzy byli przyszli z niewiastą. Prócz tego mnóstwo mężów przynosiło kamienie, które dobywali, jedne z wody, drugie ze ziemi, i przywlekali je do sześciu młodzieńców; ci zaś brali je i ustawiali. Kamienie, które dobywano z wody, kładziono wszystkie tak jak były; zdatne bowiem były i nadawały się do złączenia z innemi kamieniami; a tak się jeden z drugim spajał, że znać nie było miejsca złączenia; i tak wyglądała budowla wieży jak gdyby była z jednego kamienia wystawiona. Z reszty zaś kamieni, tych które przyno-

---

[1] *Visio* I, III, 4.
[2] *Visio* I, I, 6.
[3] *Visio* II, IV, 1.
[4] Tamże.
[5] Wszystko to wyłożonem jest w Widz. III, od rozdz. X do XIII
[6] *Visio* III, I, 9.
[7] *Visio* III, I, 7.

szono ze ziemi, jedne młodzieńcy odrzucali, drugie zaś ustawiali na budowli; niektóre rozbijali i odrzucali daleko od wieży. Innych zaś wiele kamieni leżało dokoła wieży i nie było użytem do budowli: były bowiem, bądź chropowate, bądź ze szczelinami, bądź otłuczone, bądź białe a krągłe, do budowy nie przydatne. Widziałem także jak owe kamienie, które odrzucano daleko od wieży, staczały się na drogę; i nie zostawały na drodze, lecz staczały się dalej z drogi na bezdroża; inne zaś wpadały w ogień i paliły się; inne jeszcze padały opodal wody, i nie mogły się do wody stoczyć, jakkolwiek chciały się do niej dostać“ [1].

Co znaczy ta wieża, to rzecz jasna: „Wieżą, mówi wyraźnie niewiasta, jestem ja, Kościół“ [2]. Że woda, nad którą wznosi się budowla, oznacza chrzest, przez który trzeba się oczyścić, by do Kościoła należeć; oraz, że ci, co kamienie do budowli znoszą, i ci sześciu co je ustawiają, to są aniołowie niższego i wyższego rzędu — to również niewiasta sama Hermasowi tłumaczy. Ale uważmy szczególnie, z jakich materyałów ta wieża się składa: czy z ludzi żyjących, czy z umarłych? A jeżeli z żyjących, czy tylko sprawiedliwych zawiera, czy także grzeszników? Na pierwsze pytanie odpowiedź mamy wyraźną: „Kamienie kwadratowe i białe, a zdatne do złączenia — czytamy w dalszym ciągu tej Wizyi — to są apostołowie i biskupi i t. d., którzy służyli czysto i święcie wybranym Bożym, jedni już spoczywający, drudzy żyjący jeszcze“ [3].

Co do drugiego też zagadnienia, myśl Hermasa żadnej nie zostawia wątpliwości: z pomiędzy kamieni, niektóre znajdują odrazu umieszczenie w murze i spajają się z nim doskonale: są to obmyci chrztem lub cierpieniami; — inne odkładają na bok: „to są ci co zgrzeszyli, ale mają chęć pokutować; odrzuceni są od wieży, ale niedaleko: bo przydadzą się do budowy, jeśli pokutę czynić będą“. Niektórzy wpadają na bezdroża wątpień, inni w płomienie zmysłowości; lecz i oni nie są beznadziejnie stra-

[1] *Visio* III, II, 4–9.
[2] *Visio* III, III, 3.
[3] *Visio* III, V, 1.

ceni; i oni pokutować jeszcze mogą i znaleźć miejsce w wieży: „póki się wieża buduje; gdy się zaś skończy to budowanie, już miejsca nie znajdą i będą potępieni". — Uwagi godny jest symbol kamieni białych, a przytem okrągłych: to dusze szlachetnego gatunku, ale bogactwami obciążone; te dobrze obciosane być muszą, nim się do budowli przydadzą. — Jedna tylko jest kategorya takich kamieni, które mistyczni murarze tłuką na kawałki i odrzucają „daleko od wieży". „To są synowie nieprawości; przystali bowiem do wiary obłudnie i nie wyzuli się swych nieprawości. Dla nich niema zbawienia, bo nie są zdatni do budowli, dla nieprawości swoich" [1].

WIEŻA HERMASA JEST SPOŁECZNOŚCIĄ ŚWIĘTYCH.

Taki jest skład tej wieży-Kościoła. Cóż to za skład dziwny! Jeżeli ten Kościół i żyjących i umarłych zawiera, gdzież się on buduje? czy na tej ziemi, czy już na terenie wieczności? A jeżeli żyjących zawiera, czemu nie i grzeszników? przecież i oni do Kościoła należą! — Grzesznicy mogą zapewnie do ciała Kościoła, jakoby zewnętrznie, należeć — ale nie należą do tej najściślej duchowej spójni, którą nazwiemy później „duszą Kościoła" — a którą już dawno znamy pod nazwą „komunii świętych". Widzieliśmy, jak chrześcijanie w II. i III. wieku głęboko rozumieli tę spójnię — jak li tylko świętych do niej wliczali, wyłączali zaś starannie nietylko „obcych wierze", ale i katechumenów, i grzeszników, póki pokutą nie zgładzili win. Spójnia ta świętych, acz się i w zewnętrznych praktykach starych chrześcijan wyraża, jest jednak natury tak duchowej i transcendentnej, że niezależną jest od warunków miejsca i czasu, i zarówno żyjących na ziemi wiernych, jak i do lepszego przeniesionych życia, w jeden żywy organizm łączy. I to starzy chrześcijanie, jak już wiemy, rozumieli doskonale.

To też właśnie rozumie i naucza Hermas. Wieża jego niezupełnie odpowiada zwykłej definicyi Kościoła; jest ona duszą Kościoła, rdzeniem jego; zbiorem dusz, które komunia świętych łączy. Dlatego buduje się ona i po tej i po tamtej stronie

[1] *Visio* III, cc. v, vi.

śmierci — a właściwie niezależnie od granic światów [1]. Dlatego również wyłącznie świętych w swój skład przyjmuje, grzeszników odrzuca — ale, jak się pięknie wyraża Hermas, „niedaleko od siebie“: bo nie traci nadziei odzyskania ich przez pokutę — co zupełnie odpowiada znanej nam praktyce: odcinania grzeszników od komunii Kościoła, przy widocznych ostrożnościach, aby ich nie odciąć zupełnie [2].

Ta wieża Hermasowa, wraz z nauką w niej zawartą, tak się wryła w umysły starych chrześcijan — bo tak odpowiadała ich sposobowi myślenia — że aż się odbiła we freskach, któremi swe podziemia ozdabiali. W katakumbie Kaliksta, w pewnej krypcie, położonej w pobliżu sławnej kaplicy św. Sykstusa, widać fragment pięknego fresku, przedstawiającego naszą wieżę. Archeolodzy odnoszą to malowidło do II. wieku [3]. Niemniej pięknie malowany, a prawie w całości zachowany fresk, znajdujący się w katakumbie neapolitańskiej, ten sam przedmiot odtwarza [4]. Temu upodobaniu starych chrześcijan w dziele Hermasowem nie dziwimy się. W innych zabytkach owych czasów znaleźliśmy też naukę o świętych obcowaniu, jasno, nieraz głę-

---

[1] Nawet Funk, którego tego rodzaju kwestye zwykle nie interesują, zwraca uwagę na to, że wieża Hermasa obejmuje jedynie sprawiedliwych, a nie grzeszników, i to zarówno umarłych jak i żyjących (*Opera Patrum Apost.* str. 351, pierwszy przypisek do III Widzenia).

[2] Nie rozbieram tu ponownego traktowania tegoż symbolu Wieży w III. części dzieła Hermasa (Podobieństwo IX), dlatego, że jak już wspomniałem, jest to tylko rozszerzenie tej samej rzeczy, z dodaniem mnóstwa szczegółów, ale bez zmiany w głównych rysach i naukach.

[3] Funk, *Opera Patrum Apost.* t. I, str. 358, w przypisku.

[4] Rysunek tego fresku podaje Garucci, w swej *Storia del arte christ.* t. II, tab. 96. Widać tam budującą się wieżę, z wielkich, ociosanych głazów; widać też opodal leżące, mniej foremne kamienie; a murowaniem zajęte są trzy urocze, w długie chitony strojne, dziewice. Dlaczego dziewice, a nie młodzieńcy? Dlatego, że malarz miał głównie na myśli drugi opis tej budowli, podobny, jak wspomnieliśmy, w III. części dzieła Hermasowego. Tam, oprócz młodzieńców-aniołów, największy bierze udział w budowie dwanaście dziewic, oznaczających tyleż cnót. Otóż malarz, zwyczajem powszechnym u tych, którzy przedmioty symboliczne malują, wybrał kilka postaci, które za najważniejsze uważał, ażeby przedstawiały to całe mnóstwo pracujących około wieży, których Hermas opisuje.

biej niż tu, wyrażoną; nigdzie nie znajdujemy jej tak syntetycznie, w takim wspaniałym całokształcie przedstawionej, jak w tej książce Hermasa.

* * *

RZUT OKA NA TO CO PRZED NAMI ZOSTAJE.

Skończyliśmy, przy Boskiej pomocy, pierwszą część naszej pracy o świętych obcowaniu.

Zostaje przed nami, według programu skreślonego we Wstępie [1], część druga, w której zapuścimy się w badanie podstaw tej tajemniczej spójni dusz, w powyższych studyach skonstatowanej. Przekonamy się, że korzeniem tej komunii dusz między sobą, jest ich unia z Chrystusem — unia tak realna, że Chrystus w każdej duszy rzeczywiście mieszka, żyje i działa.

Zaczem stanie przed nami, jak mówiliśmy we Wstępie, jeden duchowy organizm, którego głową jest Chrystus, a komórkami, wszystkie stworzenia miłością z Nim połączone — i aniołowie i ludzie — w niebie, w czyścu, na ziemi — od początku świata do końca. W tym duchowym organizmie poznamy istotę i duszę Kościoła; w ciele zaś jego zewnętrznem i widzialnem, główne narzędzie, którem czerpie z historycznej ludzkości materyał i przetwarza go w swój wyższy byt — aż dojdzie do przeznaczonej sobie miary i piękności.

Nie zaniechali wprawdzie teologowie pisać o mieszkaniu Boga w duszy, w swych traktatach o łasce. Jest to jednakże jeden z przedmiotów mniej dotąd wystudyowanych w teologii. A przytem, indziej mówią teologowie o tem mieszkaniu Boga w nas, indziej o duszy Kościoła, indziej o świętych obcowaniu: nam zaś idzie o wykazanie, że ta spójnia między świętymi opiera się wewnętrznie i koniecznie na ich indywidualnem zjednoczeniu z Chrystusem — i że jedno z drugiem stanowi duszę Kościoła. I przekonani jesteśmy, że to wszystko zawiera się w Piśmie św. i w nauce Ojców.

---

[1] *Przegl. Powsz.* 1899, styczeń, „Wstęp do studyum o świętych obcowaniu“ str. 10, 11, 12.

W trzeciej wreszcie części, zobaczymy jak to zjednoczenie dusz z Chrystusem, rzuca nowe światło na tajemniczy związek dusz między sobą. W pierwszej części stwierdziliśmy tylko fakt: że ten związek istnieje, że się wyraził i w Piśmie św. i w świadomości starych chrześcijan; tu starać się będziemy ten związek, ile możności, wytłumaczyć. Badać też będziemy jego immanentne prawa: zobaczymy, czemu, i w jakich granicach, wysługi lub odsługi jednych udzielają się drugim; jakim sposobem i pod jakiemi warunkami, wstawiania się świętych wpływ wywierają na ziemi — a nasze modły i zadośćczynienia spływają na czyściec. Zobaczymy, jak dalece modły, zasługi, cierpienia dusz Bogu miłych wpływają nawet na zewnętrzny bieg historyi Kościoła i świata — a nierównie więcej wpływają na ewolucyę owego wewnętrznego, mistycznego organizmu, który jest przedmiotem naszych studyów. Przedstawi się nam suma darów mu przeznaczonych, jako utworzona, czy kupiona, za nieskończoną cenę wysługi Chrystusowej; ale nie spływająca na ludzkość, jak tylko w oznaczonej każdego czasu mierze, i za pomocą przecudnego systemu środków przywłaszczających łaski — systemu, który zależnemi czyni dusze, nietylko od Chrystusa, ale i jedne od drugich: tak, że przy każdej łasce co spływa, nietylko krew Chrystusa jest czynną, ale i spółczynną jest, bądź dusza, która ją otrzymuje, bądź inne, które na tym lub na tamtym świecie ją wypraszają lub wysługują. Stąd wyjaśnią się nam: z jednej strony, owe przenoszenia łask, z człowieka na człowieka, z narodu na naród; z drugiej strony, zsyłanie cierpień na niewinnych, za winnych, i tym podobne, tajemnicze prawa. A we wszystkiem okaże się nam nieskończona Dobroć, która chce, żeby stworzenia przyczyniały się i pomagały jedne drugim do brania darów, odwiecznie im przeznaczonych — i Mądrość nieskończona, która ma w tem upodobanie, aby nietylko w najwyższej z łask, tajemnicy Wcielenia, ale i we wszystkich wogóle łaskach „sprawiedliwość i pokój całowały się“ [1].

[1] Psal. LXXXIV, 11.

Nakoniec, jeżeli Bóg pozwoli, zobaczymy, że głównym czynnikiem tej komunii dusz z Chrystusem i między sobą — i symbolem jej najwyższym — i zadatkiem jej trwania na wieki — jest przenajświętsza Eucharystya. Dlatego tak mało mówiliśmy o niej dotychczas — choć co krok wspomnienie o niej się narzucało — że zachowujemy to na zakończenie.

Ks. Maryan Morawski.

„KRZYŻACY“ SIENKIEWICZA.

Niejeden i niejednokrotnie wybiegał myślą ku tej odległej epoce, mrokiem pięciu wieków zasnutej, a takim urokiem owianej, i pytał dziejów ciekawie o jej ducha i czyny. Jak ci ludzie żyli, jak myśleli, jaką miłością biły im serca i jakie przewodnie świeciły im gwiazdy?

Równo przed laty 40 dał na to jakąś odpowiedź Szajnocha swą wielką monografią o Jadwidze i Jagielle. Obraz historyczny o szerokich rozmiarach, wykonany z wielką, jak na owe czasy, ścisłością krytyczną, błyszczący takiemi zaletami uczucia i polotu, które nic ścisłości nie ujmując, wlewają tylko tętniące życie, — jak, mimo wielu braków, pewną perspektywę tych czasów dawał, tak i do duszy i wyobraźni przemawiał. Nieraz też pod wpływem jego opisów stawały przed myślą szeroko rozpostarte ziemie, nieprzebytym borem po wielkiej części porosłe, trzęsące się od moczarów i topielisk, a wśród tych ziem bieliły się na równinach murowane grody i wyrastały tu i ówdzie ze wzgórz zamki rycerskie, z powiewającym u szczytu proporcem herbownym, opodal zaś zamków, już wpośród osad włościańskich, ciemniały najbardziej może typowe wizerunki owego czasu, modrzewiowe dworki szlacheckie, o kopułkowym dachu, z przeźroczystemi błonami w oknach, otoczone budynkami gospodarskiemi, sadem i pasieką.

Stało też przed myślą w ogólniejszych zarysach i życie ówczesne. Możnowładztwo zabiegające na dworze królewskim

o zapewnienie sobie potęgi i wpływu, poza tem zaprzątnięte wiecami sądowemi, sejmowemi zjazdami i poselstwem, — szlachcic, często jeszcze w chłopskich butach i kożuchu, oddaje się gospodarstwu, polowaniu, objeżdżaniu sejmików, wyprawia uczty i zabawy, a nieraz i w karczmie gra z kmieciami w kostki, albo też wypuszcza kmieciom grunta folwarczne, a sam żyje rzemiosłem wojennem, jako wolny ochotnik ościennych książąt, — łamiący polszczyznę niemiecki mieszczanin wyładowuje bryki kupieckie i na handlu porasta w dobrobyt, — kmieć wreszcie nie tyle jeszcze rolą trudni się, jak raczej pasterstwem, pszczelnictwem, łowami i rybołostwem. Prócz znanych powszechnie ówczesnych wypadków historycznych, prócz głośnych turniejów, uczt miejskich w refektarzach klasztornych, awanturniczych przygód rycerskich i przysłowiowych dowcipów błaznów dworskich, przesuwa się przed wyobraźnią i wiele innych drobnych a znamiennych rysów codziennego życia tej epoki. Za Szajnochą „możemy tam na folwarku klucza książkiego dostrzedz włodarza... ładującego szkuty łasztami jarzyny i oziminy, aby je spławić do Gdańska. Nad Wisłą, wielkim smugiem ciągną łowcowie i zwołują osadę na przełaję. Tam pod oną lipką, sołtys z gromadą i ławnikami kmiecymi, przysiężnikami, na wiejskie zasiadł sądy. Ówdzie rybak brodzi z więcierzem po jeziorze, żegnając się od topielców. W poblizkiem miastku, w gospodzie, marnotrawny wojewodzic igra w kostki z chlebojedźcami pana krakowskiego, a rozpustne żaki klasztorne wśród facecyj i dykteryjek, z łacińska przyśpiewują sobie przy kuflu: Est bona vox Nalej! — melior pij! — optima Wypij!... — Osławionemu sromoceniem się szlachcicowi rybałtowi, zgorszeni mieszczanie Ząbek, Glinka i Pępek wraz z przyjaciółmi Wątróbką i Małpą zadają nieszlachectwo, lecz stryjcowie obżałowanego przysięgają przed sądem: Tako nam Bóg dopomóż i święty jego krzyż, jako Mikołaj nasz brat i nasz szczyt i naszego klejnotu, — a brat Mikołaj uniewinniony. W tymże samym czasie gdzieś na Sędziszowej niwie Podkomorzy rozmierza morgi sąsiednie, a zwołana osada wygłasza przysięgę graniczną: Z ziemieśmy poszli a ziemią mamy być. Tak nam Bóg dopomóż i święty

jego krzyż, jako widzimy prawą granicę między miastem Siewierzem a między wsią Tulikowem...“

Wygląd ogólny tej epoki nie jest jednak jednolity i po bliższem wpatrzeniu rozumie się, że nie wszystko jest tam idealne. Widzi się wzrastającą z dniem każdym kulturę, cywilizacyę, wielką politykę, zarówno też i wiele pierwotności. Powstaje stąd jednak w wielu objawach stan przejściowy, chwiejny, niejasny. Z jednej strony, mądra gospodarka wewnętrza Kazimierza, zaoszczędzenie i wzmożenie sił narodu, zaczyna wydawać bujne plony. Razem z trzebieniem lasów, budowaniem gościńców, kastelów i kościołów, przychodzi i wzrost wiary i wyższa oświata i polor zachodnich obyczajów rycerskich, a w zewnętrznej polityce siła ta wewnętrzna przejawia się w takich, przełomowych wypadkach, jak zjednoczenie i chrzest Litwy i pogrom krzyżactwa. Ale, z drugiej strony, pod rycerskim polorem, kryje się jeszcze prostaczość wyobrażeń, widzi się też często i olbrzymi chaos w pojęciach religijnych i luźność moralną, w tej samej jednostce miesza się ze szlachetnemi przymiotami nieokrzesaność i poziomość instynktów. Tłum szlachty nie odbiegł jeszcze daleko od stanu pierwotności, jest jeszcze w dobie przemiany i rozwoju, a stąd i historyczny typ temperamentu i charakteru polskiego nie istnieje jeszcze, lecz dopiero ukształcać się poczyna.

Tak, w najogólniejszem streszczeniu, przedstawiała się nam ta epoka po dziele wielkiego historyka. Pragnęło się poznać ją jeszcze bliżej pragnęło się, aby jak najrychlej spełniła się obietnica, dana przed laty przez mistrza powieści historycznej, że kiedyś napisze „Krzyżaków“. Rozumiało się jednak trudność podobnego przedsięwzięcia. Pomijając już tę dalszą trudność, jaką przedstawia wniknięcie w życie indywidualne, w najskrytsze zakątki duszy tak odległej epoki, w czem powieść historyczna sięga głębiej od historyi, — widziało się jasno, że nawet to, co historya dać powinna, a więc dokładny obraz wypadków wraz z ścisłem określeniem ich przyczyn, wyrazistą nadto fizyognomię ogółu i przeciętnych typów, że nawet to nie jest jeszcze we wszystkiem ustalone i pewne. Po dziele Szajnochy trzeba było o niejednej sprawie sąd zawiesić, bo w wielu szczegółach

domaga się ono jeszcze sprostowania, w innych sprawdzenia. Podobny los dzieli i późniejsze opracowanie tej epoki, w Dziejach Polski Jakóba Caro. Co do tych lat zaś, które ta powieść objąć może, historyografia poza punkt, na jakim dwa te opracowania stanęły, w zasadzie nie wyszła. Jest pewna ilość nowszych monografij, ale epizodycznych, całości nie obejmujących. Taksamo i ze źródłami. Obszerne relacye Długosza domagają się sprawdzenia i uzupełnienia. W ostatnich czasach przybyły wprawdzie nowe źródła, kodeksy wydane przez Prochaskę, Smolkę, Lewickiego, „Rachunki dworu“ Piekosińskiego, ale to jeszcze mało.

Daleko więc jeszcze do tej chwili, w której historyografia ostatnie słowo o tej epoce powie. A wobec tego będzie musiał powieściopisarz sam całą pracę odrabiać, we wielu szczegółach musi się koniecznie krępować, aby nie stanąć w sprzeczności z historyczną prawdą, co wcale tworzenia nie ułatwia. Gdyby jednak ta trudność była przezwyciężona, gdyby tak odległa od nas epoka, nietylko czasem, ale i pojęciami i dążeniami i życiem całem, zjawiła się w powieści nie tylko, o ile na to historyczne dane pozwolą, wiernie, ale i żywo i wyraziście, byłoby to zwycięstwo niepowszednie.

A i druga trudność, ale już czysto artystycznej natury. Jak tę, tak niejednolitą epokę ujmie wyobraźnia artysty? Szajnosze, jako historykowi, szło tylko o oddanie rzeczywistości, o prawdę, — wyobraźnia i uczucie grały tylko rolę posiłkującą. Tam, gdzie nasuwał się pod pióro wypadek podniosły, tam podnosiło się i uczucie, gdzie zaś stawała pozioma rzeczywistość, tam występował przedmiotowy dziejopisarz. Artyście jednak idzie przedewszystkiem o piękno i to, jeżeli ma być powieść historyczna, bohaterska, mająca zapewne wejść w „szereg książek, pisanych dla pokrzepienia serc“, o piękno nie jakiekolwiek, ale wielkie, wzniosłe, szlachetne. Pociągać będzie wyobraźnię powieściopisarza ku tej epoce idealny urok, jakim opromieniają ją nazwiska Jadwigi i Jagiełły, dzielność Witołda i wielu ówczesnych rycerzy, apostolska misya Polski na Litwie i zjednoczenie się z nią, zwycięstwo grunwaldzkie, romantyczne przygody owych czasów, nawet pierwotność tych czasów i patryarchalność. Ale,

gdy poza tę zwierzchnią warstwę wyobraźnia i myśl sięgną głębiej, gdy staną wobec form i postaci przejściowych, powikłanych, niezdecydowanych, które jednak koniecznie w ramę powieści wciągnąć trzeba, bo stanowią istotne znamię epoki, to czy nie przyjdzie z niemałą trudnością walczyć? Dla powieści czysto realistycznej trudność to niewielka, ale dla bohaterskiej, z natury rzeczy idealizującej, poważna. Czy nie będzie trzeba co chwila zniżać skrzydła i z poety zmieniać się w realistycznego obserwatora.

Kiedy wreszcie długo oczekiwana i tak gorąco upragniona powieść zjawiła się, zrozumiało się, że były jeszcze inne trudności, których nawet nie przeczuwało się, z samej ówczesnej historyi płynące. Ale o nich już przy samym rozbiorze.

A teraz już nam wprost w szeroko otwarte wrota wielkiej powieści.

* * *

Kiedyś po latach, już z pewnej odległości, tak koniecznej dla wydania całkowicie dokładnego sądu, przyszły krytyk literacki piszący studyum o twórczości Sienkiewicza, będzie mógł dojść do bardzo obfitych, a nadzwyczaj ważnych i ogólniejsze znaczenie mających wyników. Przy innym wybitnym artyście, poecie, czy powieściopisarzu, tworzącym głównie z wyobraźni, niema się nieraz dosyć danych do określenia granic i charakteru twórczości. Inaczej przy powieściach historycznych Sienkiewicza. Wobec tego, że Sienkiewicz przed pisaniem powieści gruntownie studyuje odnośne opracowania i źródła, a następnie przy tworzeniu stara się aż do najdrobniejszego szczegółu o zgodność z historyą, krytyk po przerobieniu w ślad za autorem całego jego materyału przygotowawczego, już temsamem zdobędzie sobie stanowisko dogodne dla obserwowania i określenia jego twórczości. Będzie wtedy widział jasno, gdzie w powieści kończy się historya, a zaczyna wyobraźnia, jakie dany szczegół historyczny przybrał kształty i rozmiary w powieści, jak bieg wypadków historycznych wpływał na kompozycyę całości, jakie szczegóły bardziej wyobraźni

powieściopisarza odpowiadały, a które pomijał milczeniem, i inne tym podobne relacye. W ten sposób dokonana analiza a następnie synteza na dziełach pisarza tej miary, nie tylko istotę jego twórczości odkryje, ale i na tajniki twórczości artystycznej wogóle niejeden rozjaśniający promień rzuci.

Nasunął nam tę uwagę sam początek powieści, a raczej połowa pierwszego tomu, odnosząca się do Jadwigi. Gdyby tylko szło o główny cel powieści, o Krzyżaków i ich pogrom pod Grunwaldem, to możeby było o wiele dla kompozycyi dogodniej Jadwigi nie wprowadzać. Tak już nieszczęśliwie składa się historya, że od śmierci Jadwigi do bitwy pod Grunwaldem istnieje przerwa dwunastu lat (1399—1410), a w tych dwunastu latach stosunek między Polską a Krzyżakami ciągle naprężony, ciągle niepewny, raz się zaostrzający, to znowu łagodniejący, przemija, a raczej wlecze się leniwo bez żadnych ważniejszych wypadków. Gdyby wzięło się tylko kilka ostatnich lat przed bitwą grunwaldzką, to byłoby i dosyć miejsca na ekspozycyę i dużo raźniejszem tempem szłaby akcya. Ale powieść o tych czasach bez Jadwigi? I tu widzi się istotny rys Sienkiewicza, w powieściopisarzu poetę.

Zjawia się więc ta święta i mądra pani, a rola jej jest niezwykle misternie obmyślana. Słyszy się o niej dużo, ale widzi się ją tylko dwa razy, — raz modlącą się na mszy, a drugi raz już na katafalku. To wielkie światło, zjawiające się na samym progu powieści, ukazane z daleka, jakby na odległym widnokręgu, ponad ludźmi, i to pod sam swój zachód, tak, że jeden tylko promień i to ostatni rzuca na ziemię, a potem zachodzi na zawsze, rozlewa na całą powieść pogodę słoneczną, anielską, ale i cichą i smutną, nastrój wysoko idealny i zarazem tragiczny. W pomyśle takim tkwi wielki artyzm.

Przy Jadwidze Jagiełło. Także utrzymany na dalszem tle, kilka tylko razy bliżej przysunięty, raz popędliwy i dający się porwać nagłemu gniewowi, kiedyindziej odmalowany w swej gorącej i kornej pobożności. Wogóle historyczne postacie owych czasów cofnęły się w tej powieści w głąb. Witołda widzi się tylko raz, pod Grunwaldem, książęta Janusz i Ziemowit nie

odgrywają wybitniejszej roli; wyraziście nakreślona jest żona księcia Janusza, Anna Danuta, ludzka, prosta, pobożna, ale rola jej jest także drugorzędną, tylko posiłkującą. Nie widzimy także z bliska wybitniejszych rycerskich postaci. Kilkakrotnie tylko wymieniony jest po homerycku ich poczet, — więc „Marcin z Wrocimowic, herbu Półkoza, Powała z Taczewa, Paszko Złodziej z Biskupic, Zyndram z Maszkowic, Jaxa z Targowiska, Krzon z Kozichgłów, Zygmunt z Bobowy i Staszko z Charbimowic“, wreszcie najsłynniejszy między słynnymi, wzór rycerzy, Zawisza Czarny. Przez krótką chwilę jaśnieje z bliska niezłomny charakter Jaśka z Tęczyna, rycerska dusza Zawiszy, mądrość Zyndrama z Maszkowic, ale tylko przez chwilę.

Jest jednak na bliższym planie jedna rycerska postać niezwykła, w tak licznej rycerskiej galeryi Sienkiewicza zupełnie nowa, łącząca w sobie, przy pierwotności owych czasów, bohaterstwo rycerskie z trylogii z bohaterstwem chrześcijańskiem z „Quo vadis“. Jurand, pan na Spychowie, zrazu krwawy mściciel zamordowanej swej żony i postrach Krzyżactwa, jakiś olbrzymi, groźny, ponury tur, w odwiecznej kniei zaszyty i dokoła zniszczenie niosący, a potem bohater cierpienia i miłości chrześcijańskiej, prawie święty, — jest kreacyą tak oryginalnie pomyślaną, a tak potężnie przeprowadzoną, że już sam jeden o wartości tej powieści mógłby decydować.

Na pierwszym planie drobna szlachta. Jeszcze od wielkiej polityki, od wielkiego świata borami zaścianków odgrodzona, spędza żywot w biegu codziennych spraw, potocznych przyjaźni i zawiści, i gospodarskich kłopotów. Czasem tylko, gdy dojdzie słuch o wojnie, lub o jakiemś ważniejszem zdarzeniu, to oczy wybiegną w dal, poza graniczną miedzę i wyższą myślą zaprzątną się głowy. Widzi się i takich, co czy to dzielnością, czy fortelem, czy szczęśliwym zbiegiem przypadków wypływają już na wierzchnią falę, ale, ani u jednych, ani u drugich, szerszej głowy, głębszej myśli, śmielszego zakroju na podnioślejsze bohaterstwo nie szukać. Nie idealizowani, nie przykrojeni na miarę swoich potomków z trylogii, lecz oddani w swej niewyrobionej prostocie dusz, w swem niejednolitem zmieszaniu pierwotności

z animuszem rycerskim, — natury prostacze, ale zacne i szczere, i dzielne i tęgie, choć nie imponują, chwytają jednak za serce. Na karku głowa ciasna, ale niewypaczona, w sercu instynkty poziome, ale i krzepkie moralne zdrowie i wysoko odczuwana rycerska cześć, a w stosunku do Boga, choć bają o dyabłach i skrzatowi piekielnemu złożą podarek, to jednak noszą w sercu głęboką, rzewną, prostą wiarę.

Takim jest główny bohater tej powieści, młody szlachcic, Zbyszko z Bogdańca. Charakter pierwotny, jeszcze nieokrzesany, odznaczający się siłą fizyczną, odwagą, męstwem, łączący też z tą pierwotnością i tkliwość uczucia i poczucie czci rycerskiej, i zacny, choć niewykształcony i niezastanawiający niczem nadzwyczajnem temperament.

Nie o imponowanie też, lecz o wierne odtworzenie ówczesnej duszy idzie pisarzowi. Widzi się w tej duszy ogromną pokrewność z naturą, więc niezmierną szczerość i prostotę, a zarazem gorączkowe prawie rwanie się do ruchu i czynu. Chce pokazać komuś swoją miłość i uwielbienie, to nie zna na to innego sposobu, jak tylko „gdzieś lecieć, kogoś popłatać, coś zdobyć i samemu przytem karkiem nałożyć“. Ten płomień życia przechodzi w czynność bez żadnych głębszych refleksyj, czasem Zbyszko nie wie, co mu brakuje, rozumie tylko, „że nie wytrzyma, że go palą ręce i pali się w nim dusza cała“. Nie jest już jednak ta pierwotność złowrogą, już jest ujętą w karby, wiele złych pierwiastków już stopiła wiara i obyczaj rycerski. Ale nie wszystko — jeszcze dzikość czasem wyszczerzy przytarte kły. I w tym niezrównoważonym układzie pierwiastków pierwotnych i pierwiastków cywilizacyjnych, z których pierwsze dużo ciężej zaważają na szali, tkwi istota tej duszy.

Albo ten drugi odcień ówczesnego typu, stryj Zbyszka, jego opiekun i doradzca, Maćko, dzielący przygody jego i zamysły, a stąd, jakby zlewający się z nim w jedną działającą osobę. Stryj jest zarówno jak bratanek mężny i odważny, jest jednak bardziej przemyślny i obrotny, w czem czasem przypomina Zagłobę, jest przytem wielkim chciwcem na majętność ale nie dla siebie. Jest to doskonały przedstawiciel wielu z ów-

czesnej szlachty, co trudem i zabiegliwością podnosili ród swój z pospolitego szlacheckiego gminu do dostojniejszego znaczenia. Idea rodowości pochłania całego Maćka; dla niej jest chciwym na dobytek, dla niej walczy o sławę, dla niej tak miłuje Zbyszka, ostatnią latorośl swego rodu, że gotów za niego życie oddać.

A duchowieństwo? W akcyi stoi wprawdzie na dalszym planie, ale w charakterystyce wiele zajmuje miejsca. Oczywiście, że charakterystyka ta dodatnio dla ówczesnego duchowieństwa wypaść nie mogła, wspomnijmy, że były to czasy schyzmy zachodniej. Więc zjawia się przy stole królewskim historyczny „Kropidło“, więc w innem miejscu wzmianka o drugim złym biskupie. Piotr Wysz, którego Jadwiga przeciw zaleconemu przez Bonifacego IX. Manfiolemu, synowcowi tegoż papieża, przy biskupstwie utrzymała, wspomniany tylko przelotnie tak, że rysów jego charakteru nie widać. Sympatycznym, choć nie silnym charakterem jest ksiądz Wyszoniek, kapelan na dworze mazowieckim, głowa nie tęga, samodzielności nie wiele, ale zacny, pobożny, usłużny. Za to wyższy ustrój duchowy przedstawia inny kapelan, człowiek gorącej modlitwy i żarliwej wiary, ksiądz Kaleb.

W jaskrawem świetle zjawia się opat z Tulczy, szlachcicza-zawadyaka w duchownej sukni. Jak huknie przy mszy, to aż jaskółki pod pułapem z gniazd wylatują, a świece na ołtarzu o dziesięć kroków zdmuchnie. Impetyk niepohamowany, nawet przy lepszym humorze co chwilę się zaperza i toczy gniewnemi oczyma po słuchaczach, o cóż dopiero, gdy się zapali o lada co gniewem, — zaraz trzaśnie w stół pięścią, całą izbę w mig naklnie, a wywaliwszy drzwi nogą, zaczyna swoich szpylmanów okładać łagą. Zgrają tych szpylmanów otoczony, jedzie konno z kordem przy boku, a dziwi się kto temu, to zaraz mu opat wytłumaczy: „kiedy ojciec święty mieczów księżom zabraniał, to pewnikiem myślał o ludziach nizkiego stanu; szlachcica bowiem Bóg stworzył do broni, a ktoby mu ją chciał odjąć, tenby się odwiecznym Jego wyrokom przeciwiał“. Nie wydaje się mu też dziwnem pozwać przeciwnika na udeptaną ziemię, bo „gdym we zbroi, to ja nie ksiądz, tylko szlachcic“. Mimo takiej teologii

i takich obyczajów ma też pretensye, że jako „osoba duchowna“, potrafi „tajemnice boskie wyrozumieć“. Oczywiście pod tą chropowatą powłoką bije w głębi serce uczciwe, całe tylko nieszczęście, że się opat z swojem powołaniem minął.

Ileż tu w samem kreśleniu postaci bogatej inwencyi! Ot, znowu dwie, na wskróś należące do tamtych czasów. Jeden oczajdusza, mający jednak, jak się zdaje, jakąś krztę uczciwości na dnie serca, Sanderus, przekupień odpustów i relikwij, tak w tej epoce powszechnie czczonych, włóczy się po całej ziemi z pakami, a w nich ma mieć i kopyto osiołka, na którym się odbyła ucieczka do Egiptu, i pióro ze skrzydeł archanioła Gabryela, i szczebel z drabiny, o której się śniło Jakóbowi, nieco rdzy z kluczów świętego Piotra i inne tego gatunku świętości. Drugą, bardzo oryginalną postacią, jest rycerz, z zachodnich krajów, de Lorche, doskonale uchwycony typ ówczesnego, już zmanierowanego rycerstwa Zachodu. W całem obejściu wytworny, chciwy przygód, dla których zabłąkał się aż do Polski, przesadnie względem płci pięknej sentymentalny, zawsze ma jakąś panię serca, o której cześć w każdej chwili gotów stanąć w szranki, a ile razy ujrzy jakąś piękną dworkę, pyta z całą powagą, zupełnie na seryo: „czy to jest pewna, że ta panna jest śmiertelna, czyli też to jest właśnie anioł, albo święta“.

Krzyżacy już mniej inwencyą intrygują; przedstawiają się tak, jak zna się ich powszechnie z historyi. Pycha, chciwość podstęp, przewrotność, zdziczenie moralne, posuwające się aż do rozpusty i morderstwa, raz w mniejszym, raz w większym stopniu, nieraz wszelką miarę ludzkiego pojęcia przechodzące, wszystko to, jak wstrętne larwy przesuwa się przed oczyma. Czasem tylko w tej ciemnej norze jakiś blady promień uczciwości przelotnie się zabłąka.

A akcya powieści?

Jest najpierw widocznem, że wpłynął na jej kompozycyę sam bieg wypadków historycznych. Celem ostatecznym powieści było zobrazowanie konfliktu między Krzyżakami a Polską, zakończonego pogromem zakonu. Że zaś w tych latach dwunastu,

jakie powieść obejmuje, od ostatnich chwil Jadwigi po bitwę grunwaldzką, konflikt ten nie przejawiał się w wybitniejszych wypadkach politycznych, ogólniejsze znaczenie mających, niepodobieństwem więc było akcyę przewodnią na tym konflikcie oprzeć, — choć z drugiej strony, jakaś akcya, na nim oparta, przy głównym celu powieści, była konieczną. Powstały więc dwie akcye. Akcya konfliktu politycznego przewija się gdzieś w dali, górą powieści, zwolna, aż wreszcie dochodzi do stanowczego momentu, — powieść zaś właściwą wypełnia akcya inna, tocząca się na tle życia prywatnego. Druga ta akcya w wielu punktach łączy się ściśle z pierwszą, jest epizodem z poważnionych stosunków między Polską, a Krzyżactwem, ale poza tem ma także na celu przedstawić bieg życia, przygody rycerskie i uczuciowe ówczesnego szlachcica, a ubocznie także i całe życie ówczesne nietylko Polski, ale i Litwy, i Krzyżackiego Zakonu i dalszego Zachodu, w charakterystycznych jego przejawach. Czy tak obszerną, tak rozgałęzioną akcyę udało się autorowi ująć w jednolitą artystycznie kompozycyę? Kilka usterek możnaby wskazać, o czem poniżej, ale całość kompozycyi nakazuje szacunek. Kiedy zrozumie się te trudności, jakie stawiała jedności artystycznej sama historya, gdy obejmie się to mnóstwo najróżnorodniejszych szczegółów, jakie ta powieść odtwarza, z których każdy roztacza się przed okiem z najzupełniejszą swobodą, a mimo to nie psuje architektonicznej jedności, to podziwiać się musi pewną siebie rękę. Linia kompozycyi bynajmniej nie jest prostą, owszem łamie się w skręty, ale skręty harmonijne, to znowu rozgałęzia się w sieć drobnych linijek, które jednak w dalszym biegu ponownie w jedno łożysko zlewają się. Na samym wstępie, naprzykład, zjawia się królowa Jadwiga, która wprawdzie z akcyą stoi w luźnym stosunku, ale też jest tak pojęta, że artyzm kompozycyi tylko podnosi. Najpierw nie jest ona cząstką architektonicznej linii, lecz jest tylko do niej wpleciona, jako ozdoba, nie występuje, jako osoba działająca, ale kilku malarskimi rysami zakreślona zjawia się, jako uroczy obraz, na ołtarzu zawieszony. Potem obraz ten akcyi nie przygniata, nie przerywa, jest w nią

misternie jakby w ramę, jak jaśniejąca perła dla blasku w koronę wstawiony. U stóp tego obrazu akcya, jakby gałązka bluszczu wije się swobodnie i zatoczywszy naokoło niego skręt, obramia go, a potem biegnie dalej. Albo jak swobodny, a przytem i oryginalny jest zakręt tej linii przy wprowadzeniu podwójnej miłości bohatera powieści, Zbyszka. Już sam pomysł tej podwójnej miłości, ze względu na jednolitość kompozycyi, jest próbą nadzwyczaj śmiałą. Jednem słowem, nic w tej kompozycyi sztucznego, nic naciąganego; jak w życiu, tak w powieści mnóstwo zakrętów, mnóstwo rozgałęzień, splatających i rozplatających się na przemiany. Wyrwany jest po prostu z historyi kawał życia ówczesnych społeczeństw, wraz z mnóstwem indywidualnych egzystencyj — i tak, jak ta ogólna historya niejednostajnie biegła, jak te jednostki żyły i w różnych kierunkach działały, tak wszystko toczy się, żyje i działa w tej powieści. Przy czytaniu kompozycyi prawie nie czuje się, dopiero gdy od tej budowli na krok się oddali, ogląda się z uwielbieniem w jej liniach i konturach potężną duszę artysty, która mnogość i różnorodność w spójną i ozdobną jedność stopiła.

Akcya ta druga związana jest z postaciami Zbyszka i Maćka, włodyków z Bogdańca, głównie Zbyszka; w dalszym ciągu z tą akcyą, jako dopływ poboczny jednoczy się akcya Juranda ze Spychowa. Maćka i Zbyszka widzimy kilka razy na własnej zagrodzie, w szlacheckim dworku, ale przeważnie w drodze, na wozie, czy na koniu, po całym obszarze ziem polskich, litewskich i krzyżackich. Obydwaj, zwłaszcza Zbyszko, pojęci są na wzór wielu ówczesnych rycerzy, którzy na jakiś czas wypuszczali gospodarstwo w inne ręce, a sami, czyto jako wolni ochotnicy ościennych książąt, czy we własnym kraju trudnili się rzemiosłem wojennem, lub przygód rycerskich szukali. W tem ciągłem podróżowaniu, w tej chciwości przygód odźwierciedla się na wskróś duch tej epoki. Więc obaj w ustawicznym ruchu, — raz w Tyńcu, raz w Krakowie, to Olkusz, Sieradz, Łęczyca, Płock, Bogdaniec, Warszawa, Ciechanów, — Małopolska, Wielkopolska, Mazowsze, Litwa, Żmudź, ziemie krzyżackie, wszystko to, jak

w kalejdoskopie, przesuwa się bezprzerwnie przed oczyma. A wszędzie w trop za nimi idą niezwykłe zdarzenia. Raz zdaje się już, że wypadnie jednemu z nich położyć głowę pod topór katowski, kiedyindziej omal nie ginie, przywalony olbrzymiem cielskiem tura, to znowu pojedynki, to kłopoty z Krzyżakami, lub trudy i przygody wojenne. W tej ich drodze i wśród tych przygód widzimy zblizka i dwór królewski i dwory książęce, klasztory i opactwa, komturye krzyżackie i rycerskie kastele i szlacheckie dworki i karczmy przydrożne. Przy pierwotnym stanie ziemi, przy moczarach, kniejach, porosłych podszytym borem, drogach nie do przebycia, na których jadący muszą sami wóz dźwigać, widzi się i rosnącą kulturę, kościoły i grody murowane, gościńce wybite okrąglakami i zamożność mieszczańską i bogate stroje rycerskie. Widzi się i słyszy, jak mądra gospodarka Kazimierza Wielkiego wydaje obfite plony, jak rosnąca z dniem każdym siła narodu zaczyna szukać ujścia na zewnątrz, jak po ziemiach królestwa, z głuchą zawziętością potężnego ludu, gotują się wszyscy na idący zwolna dzień grunwaldzki, — tu rycerze oglądają w skupieniu miecze, topory, rohatyny, hełmy, ówdzie kowale dzień i noc biją młotami w żelazne blachy, kowając zbroje grube i ciężkie.

Do tej ustawicznej podróży, do tego ustawicznego szukania przygód, pędzi obydwu rycerzy już sam duch ówczesnej epoki, jakiś powiew rycerskich zwyczajów z Zachodu, gdzie podobne wyprawy na wielką skalę urządzano. Tylko, że na Zachodzie w owych czasach wyprawy te przeszły już w pospolitą włóczęgę, zmanierowały się i zwyrodniały w awanturniczość, nie były środkiem do jakiegoś wyższego celu, ale były celem same w sobie, *Abenteuer*, awantura dla awantury. Ten cień zwyrodnienia złagodził u swoich bohaterów Sienkiewicz; prócz chciwości przygód i chęci zbogacenia się, włożył im w serce szlachetniejszą i głębszą pobudkę — miłość; Zbyszkowi miłość kobiety, Maćkowi miłość Zbyszka i silny, samozachowawczy instynkt rodowy. Ta miłość głównie pcha ich do ciągłego ruchu.

Miłość kobiety w „Krzyżakach“ jest nadzwyczaj oryginalnie pojęta. Dodajmy jednak, że oryginalną wydaje się nam lu-

dziom dzisiejszym, którzy pięć wieków po tej epoce żyjemy. W tych czasach, gdzie dzieci w kolebce wiązano już w małżeństwo, gdzie wogóle nie oglądano się zbyt na wiek kobiety, bo nawet starszym matronom rycerze składali swoje ślubowanie, najnaturalniejszą w świecie jest ta miłość Zbyszka ku nieletniej Danusi, córce Juranda ze Spychowa.

Dziecko, nierozwinięte dziecko, tak, że żadnego głębszego rysu nie ma w swej fizyognomii duchowej, tak nawet, że prawie jej duszy nie widać, ale dobre, kochające stworzenie, przedstawiona jest Danusia raczej po malarsku, niż powieściowo, jakby rozwiewne, nieziemskie zjawisko, „jakby jakowaś figurka z kościoła, albo z jasełeczek“, tak, że Zbyszkowi, pierwszy raz na nią patrzącemu, wydaje się być aniołem, a potem zdaje się mu, że ją niegdyś widział, ale nie pamięta, „czy we śnie, czy gdzieś w Krakowie, na szybie kościelnej“. Stąd i miłość ta jest idealna, jakby pobożna a tak jakoś nieuchwytna, że czytelnik dzisiejszy raczej na nią patrzy, niż ją odczuwa.

Ale nie zapominajmy, że w ówczesnym przeciętnym szlachcicu polskim tkwiły dwa, oddzielne od siebie pierwiastki. Jeden napływowy, rycerski, przejawiający się w miłości w formach idealnych, na Zachodzie już zmanierowanych w przesadny sentymentalizm de Lorcha, lub zwyrodniałych w rozwiązłość, a drugi rodzimy, pierwotny, krzepki, czerstwy, ale mało jeszcze ogładzony i dość ku ziemi ciążący. Dwa te pierwiastki, zachodnia rycerskość i pierwotność słowiańska, dopiero w późniejszej epoce stopiły się w przeciętnym typie szlacheckim w jednolitą całość, ale teraz dość jeszcze od siebie odstawały. Tę dwupierwiastkowość najsilniej zaznaczył Sienkiewicz w tem, że przy boku Zbyszka postawił dwie kochające go kobiety. Jedna Danusia, a druga dzielna, krzepka, gospodarna, szlachcianka, Jagienka ze Zgorzelic. Zrazu, kiedy się ją widzi w lesie polującą na koniu, możnaby mniemać, że to kopia Basi Wołodyjowskiego, ale wkrótce poznaje się, że typ to zupełnie odmienny. Bez krzykliwości, bez dąsów i grymasów, nie jakaś wyjątkowa, kozacka natura, ale polska natura pierwotna, i dlatego dzielna i wytrwała, a z tą dzielnością łącząca całą pełnię kobiecości, niewyszukanej, nie-

dość nawet ogładzonej, niedość oględnej, nieposiadającej tego wdzięku, jaki daje kobiecie nienarzucająca się bierność, ale za to szczerej, prostej, umiejącej gorąco miłować i dla tej miłości wiele poświęcić. Naturalnie, że i miłość Zbyszka ku tej kobiecie jest od pierwszej jego miłości odmienną.

* * *

Wejdźmy w szczegóły, zlekka tylko wiążąc je wątkiem powieści.

Powieść zaczyna się z chwilą, kiedy w całem królestwie oczekują szczęśliwego rozwiązania Jadwigi. Zwyczajem owych czasów, lubiących wszystkie uroczystości uprzedzać, Jagiełło wysłał scholastyka Wojciecha Jastrzębca do papieża Bonifacego z listem zapraszającym na chrzciny, tymczasem na tę uroczystość, i na zabawy i turnieje z nią połączone, zaczynają już do Krakowa zjeżdżać liczni goście zagraniczni, posłowie czescy, węgierscy, rakuscy i krzyżaccy, kniazie ruscy, kniazie i bojarzynowie litewscy i tłumy szlachty. Przybyli też na tę uroczystość, z orszakiem Witolda, Maćko i Zbyszko z Bogdańca. Widzimy ich w scenie wstępnej w Tyńcu, w gospodzie „pod lutym turem“, jak, w otoczeniu kilku ziemian i mieszczan, gawędzą przy sytnem piwie. Scena ta, jako żywe i śmiałe wprowadzenie od razu w świat zupełnie od naszego odmienny, wprost doskonała. Tyle tu charakterystycznych szczegółów rozsypanych dokoła, że dzisiejsze oko co krok zatrzymuje się z zaciekawieniem. I te włosy Maćka, ujęte w siatkę naszywaną paciorkami, i czerwone czapki mieszczan, z cienkiemi końcami zwieszającemi się aż na łokcie, i płowy kaptur gospodarza Niemca z kołnierzem wycinanym w zęby i te gliniane stągiewki, w które Niemiec leje sytne piwo, i kmotr Gamroth chwalący się, że mimo starości jeszcze sztukę wilgotnego sukna pod jedną pachą dźwignie, a potem gawędy o wojennych przygodach, o złych duchach gnieżdżących się po kniejach, tak bardzo z młodocianą wyobraźnią ówczesnego społeczeństwa licujące, gawędy, w których głównie siła fizyczna jest przedmiotem podziwu, — wszystko to roz-

rzucone obficie, a z nadzwyczajną swobodą i nakreślone wyraziście, wtajemnicza nas od razu w tamtoczesne życie.

Następna scena przysuwa nam to życie jeszcze bliżej, a przytem jest uosobieniem wdzięku. Urocza, pełna prostoty sielanka, po jakich dzisiaj nawet wspomnienie znikło. Przypadek szczęśliwy nadarza, że do tej samej gospody wstępuje po drodze księżna mazowiecka Anna Danuta, ze swoim dworem, a między dworkami znajduje się i Danusia. Zachwycająca prostota księżnej i całego jej dworu, i swoboda, z jaką nawiązuje się rozmowa i zabawa, i to barwne otoczenie różowych i liliowych wianuszków panien dworskich, z których jedne mają w ręku lutnie, inne pęki kwiatów, świeżo uzbieranych po drodze, zwłaszcza ta malownicza scena, kiedy wpośród siedzących rybałtów staje na ławie w niebieskiej sukni i czerwonych trzewiczkach Danusia i zaczyna swojej księżnej grać na lutni i śpiewać pieśń ludową. Uwieńczeniem tej prostoty i wdzięcznej naiwności jest chwila, kiedy Zbyszko, zachwycony widokiem Danusi, korzystając z dobrej sposobności, klęka przed nią i średniowiecznym zwyczajem składa jej rycerskie ślubowanie. Słowa tego ślubowania są nadzwyczaj charakterystyczne i ze względu na ducha epoki i na język ówczesny. Ślubuje więc Zbyszko, że powiesi w Krakowie kartę z napisem „jako panna Danuta Jurandówna najurodziwsza jest i najcnotliwsza między pannami, które we wszystkich królestwach bydlą“. A ktoby temu się sprzeciwił, z tym ślubuje potykać się na śmierć i życie, chybaby przeciwnik „w niewolę radziej poszedł“. I to mu jeszcze nie wystarcza. „A potem — uznawszy od pana Mikołaja z Długolasu, jako mać panny Jurandówny za przyczyną Niemca z pawim grzebieniem na hełmie, ostatni dech puściła, ślubuję kilka takich pawich czubów ze łbów niemieckich zedrzeć i pod nogi mojej pani położyć“.

I tamtoczesna pieczęć na tem ślubowaniu: „Tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż“.

Nawiązał się już więc węzeł akcyi, dalszy jej ciąg w Krakowie.

W Krakowie wchodzimy w życie rojne i gwar tłumów. Widzimy i dwór królewski i zastęp dobrańszego rycerstwa, a u stóp

zamku wielotysięczne masy ludu, oczekujące na nowinę o królowej. Tymczasem nowiny z zamku idą niepomyślne, spada wieść o przedwczesnej słabości Jadwigi, potem o śmierci nowonarodzonego dziecka, wkońcu, jak grom, śmierć królowej. Zajścia te, choć nie są nakreślone powieściowo, ale opisane historycznie, opisane są jednak z siłą i wielkie sprawiają wrażenie. Jak potężnie przełożył pisarz cichą śmierć na wstrząsający moment dramatyczny, kiedy czerniejące morze ludu, niepewne, co się na zamku dzieje, nagle słyszy z przerażeniem dzwon na wieży katedralnej, a potem dzwony w mieście całem, potem ukazuje się czarna chorągiew z trupią głową pośrodku.

Nadmieniliśmy już poprzednio, jak podniosłe wrażenie sprawia wprowadzenie w tę powieść Jadwigi, i w jakim stosunku stoi wprowadzenie to do akcyi. Dodajmy jeszcze, że ma ono też swoją wielką wartość ze względu na ekspozycyę. Widzimy przy tej sposobności przelotnie i stolicę kraju i wyższy świat ówczesny, poznajemy potęgę państwa na wewnątrz i znaczenie jego za granicą.

Przy śmierci królowej i przy jej pogrzebie Zbyszko nie był obecnym. Zamknięty był w tym czasie w więzieniu. Tak sobie wziął do serca ślub zrobiony Danusi, że u stóp jej złoży kilka pawich czubów, że skoro tylko w drodze z Tyńca do Krakowa ujrzał krzyżackiego posła, natarł nań natychmiast. Do rozlewu krwi nie doszło, ale, gdy Krzyżak sprawę przed króla wytoczył, nieszczęśliwego Zbyszka odprowadzono do turmy. Ile w tym międzyczasie, po wyroku na śmierć a przed egzekucyą, scen rzewnych, jak odwiedzająca go Danusia nic nie umie powiedzieć, tylko z pod stulonych rzęsów płyną jej łzy obfite, lub kiedy strapiony Maćko chce ofiarować za Zbyszka swą głowę. A przedewszystkiem jak dziwnie w tej tragicznej chwili, w której każdy pokazuje czem jest, przejawia się prosta, szczera, a szlachetna ówczesna natura. Kiedy Maćko chce Zbyszka przebrać w swoje ubranie i w ten sposób ułatwić mu ucieczkę, a sam za niego zostać w turmie, choć mu nawet tak argumentuje, że sam kniaź Witold w ten sposób ratował się z więzienia, Zbyszko przekonać się nie daje i ofiary nie przyjmuje. A racya? „Wiecie —

odpowiada — kniaź Witold, wielki kniaź; ma ci koronę z rąk królewskich, bogactwo i panowanie — a ja, ubogi ślachcic — jeno cześć...“ A jaka twardość, jakby tępość tych natur, wobec zbliżającej się śmierci i to z ręki kata? Choć i Maćkowi żal Zbyszka, tak, że własną za niego chciałby położyć głowę, i Zbyszkowi własnego życia, to jednak jak naiwnie się pocieszają: „Ty się nie frasuj — mówi Maćko. — Nie będą twoje kości szukały jedna drugiej na sądzie ostatecznym. Trumnę ci kazałem sporządzić taką, że i kanonicy od Panny Maryi nie mają lepszych. Nie zginiesz ty, jako ścierciałka. Ba! i tego nawet nie dopuszczę, żeby mieli ścinać na tem samem suknie, na którem mieszczanów ścinają. Jużem się z Amylejem zgodził, że da całkiem nowe tak zacne, że starczyłoby i królowi na poszycie kożucha“. Jak znowu charakterystyczne jest pojęcie o życiu, jakie ma Zbyszko, najszczersze i z najgłębszego dna duszy płynące, bo na progu śmierci: „Hej mocny Boże! Konie pod sobą mieć i jeździć po polach, po szerokich. Żal ginąć młodemu! Okrutny żal!“

„Giną ludzie i z konia!“ — odparł Maćko.

„Ba! Ale ilu sami przedtem nabiją!...“

Mimo wstawiennictwa księżnych i rycerstwa, mimo powszechnego współczucia, zbliża się egzekucya. Znowu tłumy ludu na mieście, któremi Sienkiewicz tak zawsze wprawną ręką umie poruszać, w dali na rynku pomost z czerwoną sylwetką kata i pochód Zbyszka na śmierć. Lecz czuje się, że do ostateczności nie dojdzie, że nie na darmo powiedział kasztelan, — znajdźcie „prawo alibo pozór“, a uwolnię go. Jakoż służy ten epizod do zacieśnienia węzłów między Zbyszkiem a Danuśką, która, przy nierozwiniętem dziecięctwie sama zacieśnićby ich nie potrafiła. W ostatniej chwili przypomniano sobie, że istnieje stary obyczaj, że gdy na prowadzonego na śmierć chłopca rzuciła niewinna dziewczyna zasłonę, na znak, że chce za niego wyjść za mąż, tam samem zbawiała go od śmierci i kary. Przed samem więc rusztowaniem następuje śliczna scena. Czekająca tam Danusia zrywa z głowy białą zasłonę, owija w nią głowę Zbyszka, a jednocześnie woła z całej siły rozpłakanym, dziecinnym głosem:

„Mój ci jest! mój ci jest!“

Tych kilka scen może już dać pojęcie o wybitnym charakterze tej powieści, o głębokiem wczuciu się w życie, obyczaje i dusze ówczesne. Jesteśmy w innym zupełnie świecie, w samem sercu średniowiecza. I inne stroje i obyczaje, i inne objawy życia, a jak odmienne dusze. A zwłaszcza to, że nic w tem nie znać dzisiejszego punktu patrzenia; rozumowania, pobudki czynów, każde ocenienie najprostszego jakiegoś zjawiska, słowem, cała psychologia dusz tak się rozwija i toczy, jak się w tamtych duszach toczyła. Pisarz wpatrzył się dokładnie w tamtoczesne światła i cienie, zrozumiał i odczuł ich grę i, przejąwszy je w siebie jak zwierciadło, z całą wiernością odtworzył.

Po wielkim i gwarnym świecie krakowskim miłym kontrastem jest cichy dworek w Bogdańcu, dokąd musiał się Zbyszko z chorym Maćkiem udać. Znowu pełno szczegółów charakterystycznych — i ten Zych, każący przed progiem postawić miskę z jadłem dla bożków pogańskich, albo ci dwaj zakochani szlachcice, co za despekt od panny, wyrządzony w przedsionku kościelnym, wywierają złość na kamiennym głazie, tocząc go z wściekłością przez cały cmentarz. Na pierwszym planie widzi się zakochaną w Zbyszku Jagienkę, której Maćko byłby bardzo dla Zbyszka rad, głównie dlatego, że ziemia, jaką przyniosłaby z sobą na wiano, sąsiaduje z Bogdańcem, a i Zbyszko zaczyna się w niej zakochiwać. Przystają z sobą często, polują razem raz na niedźwiedzie, drugi raz na bobra — dwa te polowania bardzo szczęśliwie, ze względu na epokę, wplecione — a na tem tle pierwotnej natury, wśród dzikich lasów, rośnie w nich miłość wzajemna, prosta, krzepka, z silną przewagą zmysłowości, tak u tych ludzi prostych naturalna, niepotrzebnie tylko tu i ówdzie jaskrawszymi barwami malowana.

Ale sielanka ta trwa niedługo. Po pewnym czasie Zbyszko siada na koń i rusza na dwór księcia mazowieckiego, gdzie przebywała Danusia, a po drodze rychło się z nowego afektu otrząsa. Trafia na dwór mazowiecki w Prasznyszu, gdzie książę urządza łowy ku uczczeniu krzyżackich gości, jednym z nich najohydniejsza postać w tej powieści, starosta ze Szczytna,

Danweld. Jaśnieje tu obrazowość i energia stylu. Opis ranka przed łowami, następnie łowów samych przepiękny, ogromnie żywy, plastyczny, a jedna scena wystarcza, by odsłonić do dna przewrotność krzyżacką.

W akcyi, z wprowadzeniem Kryżaków, następuje zwrot nowy, niespodziewany. Danweldowi wpadła w oko uroda już rozkwitłej w dziewicę Danusi, a że Danusia w dodatku była córką Juranda, na którego nowe skargi przed księciem żadnego nie odniosły skutku, knuje więc, po odjeździe z mazowieckiego dworu, plan jej porwania. Plan przewrotny, a we wszystkich szczegółach przebiegle obmyślany, ażeby i dziewczynę porwać, a następnie i przybywającego po nią Juranda dostać w ręce, udaje się całkowicie. Jest w tym pomyśle porwania pewne powtarzanie się pisarza z poprzednich powieści, ale pojmuje się doskonale, że jeśli kiedy to przy tej epoce, jest ono na miejscu.

Przybywają więc wysłańcy krzyżaccy, nibyto od Juranda ze Spychowa i wręczają zmyślony list, wzywający Danusię do ojca, któremu po wypadku przy pożarze ma grozić ślepota i dlatego, nim go ciemności ogarną, chciałby jeszcze córkę zobaczyć. List zastaje Danusię przy łożu Zbyszka, od nieszczęśliwej przygody na polowaniu walczącego ze śmiercią. I tu znowu scena, patyną średniowiecza pokryta, piękna, pełna przecudnej rzewności i mistycznego uroku. I lament Zbyszka za mającą odjechać Danusią i wyznania miłości, tak gorące a proste „...bo choćby i murawa na mnie porosła, dusza o tobie nie zapomni, by i na Pana Jezusowym dworze, by i u samego Boga Ojca na pokojach...", a potem spowiedź i komunia dwojga młodych po północy i ślub potajemny, i ta noc cała, nibyto weselna, a tak smutna, pełna złych przeczuć tak, że co chwilę urywa się rozmowa, a tam za oknem wiatr czasem wstanie w ośnieżonym lesie i znowu cichnie, to znów psy zaszczekają na wilki w stronę boru, w szparach komina zagrają świerszcze zawzięcie i piszczą palące się bierwiona — wszystko to nastraja na ton przedziwny, trudny nawet do oddania słowem. Zmieszanych jest z wielką artystyczną miarą kilka różnych estetycznych pierwiastków, których w literaturze zazwyczaj nie spotyka się społem, — wyrazisty

realizm opisu, owiany idealnym urokiem chwili, a chwilami przesłaniany gazą symbolizmu i prostota łącząca się z niezwykłością i wdzięk z tajemniczością i tragizmem. I kiedy ta, w białej ślubnej sukni, z tak symbolicznym wiankiem nieśmiertelników na skroni Danusia, z brzaskiem poranku gotuje się do drogi i siada do sanek, to tak, jakby biała, nieświadoma niczego gołąbka wpadła już w szpon krwiożerczego sępa.

Następuje kilka scen, w których zdrada na jaw wychodzi i Jurand, nie widząc innej rady, gotuje się w drogę do Szczytna. Kazał spisać ostatnią wolę, w której Zbyszka spadkobiercą mianował, przyjął Sakramenta święte, i gotów na wszystko pojechał sam jeden po najdroższą źrenicę swoją, Danusię.

Po dotychczasowym, względnie dość spokojnym tonie powieści następujący teraz szereg scen, o pierwszorzędnej potędze i sile, wywołuje niezwykłe wrażenie, — coś, jakby po falistej, wzgórzami pogarbionej płaszczyźnie szła nagle czarna, niebotyczna ściana poszczerbionych skał. Tyle tu mocy, tyle wzniosłości, miejscami tak olbrzymiej, że w tylu i tak potężnych scenach poprzednich powieści Sienkiewicza równej jej chyba nie było. Najwyżej wznosi się człowiek w ofierze i zaparciu samego siebie, a choć potęgę ofiary podziwiało się w powieściach Sienkiewicza niejednokrotnie, choć nawet bywały tam poświęcenia przedmiotowo większe, to jednak podmiotowo większego nie było nigdy, nie było też nigdy takiego skierowania tylu silnych promieni w głębię tego poświęcenia. Ten straszny rycerz niezwyciężony, nieumiejący ugiąć karku, który tylu Krzyżaków podeptał, jedzie sam poto, by być przez nich podeptanym. A jak sam ogromnie to upokorzenie odczuwa, jak zdaje mu się, że cały porządek świata wywrócony na nice, jak serce w nim wyje, by wilk, co grot w sobie uczuł. Jednak zmaga się sam ze sobą, chwyta się za bary z swojem twardem sercem i z onego wzgórza przed szczytnowskim zamkiem nie zjeżdża dopóty, dopóki żelazną wolą nie pęta gniewu i nie czuje, że wola go nie zawiedzie. A potem ten szereg upokorzeń przed zamkniętą bramą Szczytna; gdy musi czekać na zimnie przez cały dzień i przez całą noc, obrzucany śniegiem i gruzem, naigrawany przez

knechtów i przeklinany, jak później pod wieczór na żądanie komtura oddaje konia i broń, a sam w zgrzebnym worze, z pochwą przywiązaną na powrozie u szyi czeka aż do rana, i znowu urągowisko i stek obelg w komnacie przed komturem, wśród ciżby rycerzy, giermków i knechtów krzyżackich — i to wszystko zniesione cierpliwie, zrazu z duszą zdrętwiałą, później z niezmierną cichością i pokorą, to ogromnie potężne i wzniosłe. I zaraz bezpośrednio po tej jednej potężnej scenie, jak błysk piorunu, spada druga, ale potężna inną potęgą, wściekłości, szału, oburzenia, męstwa i dzielności, gdy na wzmiankę Danwelda o przyszłej hańbie córki, Jurand w jednej chwili zmienia się w płomień, czy w burzę, a roztrzaskawszy komtura o posadzkę, chwyta za miecz pod ścianą stojący i niesie w tłum Krzyżactwa śmierć i zniszczenie.

Ile z tą postacią Juranda złączył Sienkiewicz tragizmu, jakie stopniowanie bohaterstwa? I ta scena straszna, gdy mu w ciemnym lochu wytapiają Krzyżacy pochodnią wzrok, wyrywają język i ucinają prawicę, i ta następna tragiczna, gdy później puszczony przez nich w świat na łaskę i niełaskę losu, złamany nędzarz, ślepy, niemowa, wlecze się gościńcem i szczęśliwym trafem przez swoich jest poznany, a potem scena, ze wszystkich wzniosłych najwznioślejsza, gdy do gruntu zmieniony, uszlachetniony, uświęcony, nie chce wziąć zemsty nad wrogiem, który go wzroku i mowy pozbawił, ale, rozciąwszy mu więzy na rękach, obdarza wolnością.

Pełno w tej części powieści scen silnych i wstrząsających,— niepokój Krzyżaków i trwoga przed duchami w komnacie komtura, pojedynek Zbyszka z Krzyżakiem Rotgierem, w której Krzyżak, w obronie przewrotnego kłamstwa, pada trupem, i ta noc w kaplicy przy Rotgiera zwłokach. Ta ostatnia scena u Sienkiewicza niezwykła, bo może trochę za efektowna, byłaby bardziej na miejscu u Wiktora Hugo. Taksamo pewne wrażenie przesady, choćby to nawet było z historyą zgodne, wywołują te trupy, zwisające u szubienicy, w chwili gdy Jurand do Szczytna przyjeżdża. Bardzo silnie i oryginalnie, może pod wpływem dzisiejszego symbolizmu, jest nakreślonem samobójstwo starego

Krzyżaka, gdy zgnębiony, zrozpaczony, wśród burzy lasem jedzie, a po jednym boku śmierć na kościotrupie końskim, z drugiego zaś czarny upiór, popychają go do zbrodni.

A Danusia? Szukają jej Zbyszko i Maćko po wszystkich kątach, aż na dalekiej Żmudzi i tu biorą udział w powstaniu Żmudzinów. Dwa tu prześliczne ustępy: Obóz żmudzki wśród lasów i potyczka z Niemcami. Wreszcie w głębokiej żmudzkiej kniei trafiają na ślad uwożonej Danusi. Jaka to tragiczna chwila, gdy na serdeczne wołanie Zbyszka, Danusia przerażona, nieprzytomna, chowa się po kątach ciemnej izby, wyrywa mu się z ramion i szepce zdyszanym głosem: „Boję się, boję się, boję się!“ Już go nie poznała, bo tyle przejść zmąciło jej duszę i zwichnęło umysł. Taką nieprzytomną, walczącą ze śmiercią wiezie nieszczęśliwy Zbyszko w kołysce do swoich, do Spychowa. Przed samym Spychowem odzyskuje Danusia na chwilę przytomność. I tu znowu przecudowna, pierwszorzędnej piękności, chwila, gdy na przygrzanej słońcem, wonnej łące, w cieniu dzikiej gruszy, zamieniają oboje ostatnie w życiu słowa i spojrzenia, krótkie, urwane, a takie rzewne i gorące, a potem ten niepokój Zbyszka, biorącego tę chwilę przytomności za początek ozdrowienia, gdy twarz Danusi czyni się coraz bledsza, a na twarzy osiadają drobne krople potu, i ta rozpacz i przerażenie i zaklęcia, gdy poznaje, że to już konanie. Nadbiegają pachołkowie od koni i wraz z niewiastami służebnemi zaczynają wśród wielkiej, polnej ciszy odmawiać litanią. Przed końcem litanii otwiera Danusia jeszcze raz oczy i umiera. „Niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal. Zbyszko klęczał w cieniu, przy noszach, z głową na kolanach Danusi, bez ruchu i słowa, sam jak martwy, a oni krążyli to bliżej, to dalej, rwąc złoty kaczeniec i dzwonki i obficie rosnące różowe smółki i białą, pachnącą miodem, drobniczkę. W wilgotnych dołkach znaleźli też lilie polne, a na miedzy przy ugorze janowiec. Aż gdy już mieli pełne naręcze, otoczyli smutnym korowodem nosze i poczęli je maić. Pokryli więc prawie

całkiem kwieciem i ziółmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonków i lilij bielała, cicha, ukojona snem nieprzespanym, pogodna i anielska“.

Jaki to rzewny, a malowniczy opis, jakby malowidło, na ścianie zawieszone.

I zaraz po tej rzewnej elegii moment niezwykle silny, gdy Jurand uwiadomiony o zbliżającym się pochodzie, z czerwonemi jamami w miejsce oczu, macając kosturem, wyrusza z orszakiem naprzeciw, a uklęknąwszy przy zwłokach córki, obejmuje ją jednem ramieniem, drugie zaś pozbawione dłoni, wznosi w górę, jako niemą skargę przed Bogiem.

Od porwania Danusi, aż po tę chwilę wrzało w powieści; wiele scen silnych, wstrząsających, pełno przygód i napięcie niezwykłe. Odtąd bieg znowu spokojny. Zdrętwiały po śmierci żony Zbyszko, szuka ulgi w podróży i w wojnie, wyprawia się do Malborga i do Witolda na wojnę z Krzyżakami, z wojny schorzały wraca do Bogdańca. Danusi mu ciągle żal, ale już miłość jego, tracąc stopniowo ziemskie pierwiastki, zmienia się coraz bardziej w cześć nabożną.

Przejście w duszy Zbyszka od miłości Danusi do miłości Jagienki było dla oddania w powieści przedsięwzięciem nadzwyczaj trudnem. Z tej trudnej próby wyszedł Sienkiewicz zwycięsko o tyle, że przejście to przeprowadzone jest zupełnie psychologicznie i, że nie narusza jednolitości akcyi. Nie budzi już jednak żywszego interesu i współczucia czytelnika. Już z pewną biernością patrzy oko na nawiązywanie się tej drugiej miłości i na szczęśliwe następnie małżeńskie pożycie Zbyszka i Jagienki.

Przejścia dotychczasowe mogły zająć lat kilka, do bitwy więc pod Grunwaldem jeszcze daleko. I tu się odczuwa pewien brak kompozycyi. Odstęp między ożenieniem się z Jagienką a bitwą pod Grunwaldem żadnym już ważniejszym wypadkiem powieściowym nie jest wypełniony, ciągle tylko mowa to o zbliżającej, to odwlekającej się wojnie. W rzeczywistości historycznej tak było, naprężenie to wojenne wlokło się szereg lat, ale w powieści można było tej zwłoki i przerwy szczęśliwym układem wypadków uniknąć.

Wojna wreszcie wybucha. Widzimy szeroko zatoczony obraz obozu polskiego, nakreślony za Długoszem, pięćdziesiąt chorągwi polskich, czterdzieści Witolda, i kwiat naszego rycerstwa i dzicz tatarską, watahy Besarabów, Wołochów, Serbów, Żmudź. Ale z przeciwnej strony potęga karna, zwarta, cała w żelazo zakuta, — „dwadzieścia dwa narodów“. Chwila samym swoim ogromem imponuje. W opisie bitwy niema tego szalonego rozmachu Sienkiewicza, tej potęgi słowa, która w duszę szum i wicher wrzuca, opis jest więcej historyczny, spokojny, prosty, prostotą jednak, która wcale majestatu chwili nie umniejsza, owszem pozwala ogromowi być samym sobą. I ten potężny głos stu tysięcy: „Boga Rodzica, Dziewica“, i te dwie masy ludów rzucające się na siebie, potem szereg pojedynków, gdzie znowu olbrzymią siłę i dzielność ludzi pierwotnych się podziwia, wkońcu olbrzymi cmentarz trupów, to wszystko donośnie do duszy mówi.

Trochę przykra jest chwila, gdy Maćko z Bogdańca zarzyna mściwie Kunona, chciałoby się to zarzynanie mizerikordyą i charczenie Krzyżaka mieć gdzieś na dalszem tle. I jeszcze zaznaczmy jedną usterkę kompozycyi, — oto bitwa grunwaldzka, będąca epilogiem akcyi pierwszej, nie stoi w ściślejszym związku z akcyą drugą powieści. Pragnęłoby się, by Zbyszko i Maćko odegrali w niej wybitniejszą rolę.

Lecz to już drobnostki. Wobec ogromu chwili czytelnik powtarza za autorem, słowo za słowem: „Więc tobie, wielka, święta przeszłości i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!“

* * *

Jak wypadnie ogólny sąd o tej powieści, — a najpierw ze stanowiska historyi?

Poznaliśmy już, jaki obszar rysów charakterystycznych objął w „Krzyżakach“ Sienkiewicz. Żądać, by ujął wszystkie, byłoby przesadą, żądanie takie można stawiać monografii historycznej, a nie powieści. Więc choć nawet pewnych wybitniejszych zdarzeń i rysów się nie widzi, niema się o to żalu, — ani o to, że niema

wzmianki o powstającej wtedy Jagiellońskiej Akademii, lub o tak powszechnem wtedy czynszownictwie, albo, że nie uwzględnił pisarz tak barwnego zjawiska, jakie przedstawiają ówcześni rymownicy, pieśniarze, wajdeloci, kuglarze, krotochwilnicy, którzy tłumami przez Polskę przeciągali, ani nawet wreszcie o to, że w charakterze szlachcica nie zaznaczył pewnej niechęci do możnowładztwa, która już wówczas nurtowała. Z interesu tylko czysto artystycznego pragnęłoby się widzieć bliżej dziką, kudłatą Litwę, zwłaszcza potężny temperament Witolda.

Jeżeli jednak, poza temi szczegółami postawi się ogólniejszą kwestyę, czy powieść ta daje wierny obraz ówczesnej Polski, to bez zastrzeżenia odpowiedź twierdząco wypaść nie może. Należy rozróżnić moment społeczno-polityczny od momentu życiowego epoki, a choć rozróżnienie to nie jest zupełnie ścisłe, jednak posługujemy się niem, bo dobrze oddaje nam myśl. Na ówczesny moment społeczno-polityczny składają się głównie dwa przejawy: wysoki rozkwit przemysłu, handlu i kultury, i drugi, przeobrażenie się polityki zaściankowej w wielkopaństwową. Pierwszy przejaw jest zaznaczony, acz stosunkowo do swoich olbrzymich rozmiarów, lekko tylko i ogólnikowo, o drugim natomiast bardzo mało się słyszy. Czy należy o to robić zarzut? Bynajmniej. Najpierw handel i polityka tak mało nadają się do artystycznego utworu, a potem powieści tej głównym celem nie jest zobrazowanie ówczesnej Polski, lecz tylko jeden rys z tego obrazu, stosunek jej do Krzyżaków. Uwzględnienie tych momentów podniosłoby zapewne wartość historyczną powieści, inna rzecz czy artystyczną, ale wobec głównego celu niezbędnem nie jest.

Natomiast moment życiowy, a więc charakter, temperament, bieg życia ówczesnych ludzi, odczuty, pogłębiony, odtworzony z niezwykłą potęgą; dowodów na to przytoczyliśmy dość. Jedno tylko. Pragnęłoby się, by prócz życia drobnej szlachty ukazanem nam było i życie możnowładztwa, które tak wybitną wówczas odgrywało rolę, by prócz typów szlacheckich stała na bliższym planie jakaś historyczna postać rycerska, taki naprzykład Zawisza Czarny. Na bliższym tylko, a nie na głównym,

bo to, że na głównym planie tej powieści stoi przedstawiciel szlacheckiego tłumu, uosabia nam dobrze ten fakt, iż poza zwierzchnią warstwą wybitniejszych rycerzy i możnowładztwa, tam tkwiła przyszła siła narodu.

A teraz, jakie ogólne wrażenie co do artystycznej wartości powieści?

Słyszeliśmy tu i owdzie zdanie, że powieść ta od poprzednich powieści historycznych Sienkiewicza słabsza i niższa. Przyznajemy, że takie może być pierwsze wrażenie, po głębszem jednak wglądnięciu poznaje się, iż bezwzględne takie porównywanie w samej swojej podstawie szwankuje.

Przedewszystkiem trzeba wejść w zamiar i cel autora z samej powieści widoczny, a wobec tego zamiaru i celu trzeba sobie powiedzieć, że w głównym swym zrębie jest to inny odcień powieści, powieści więcej zwróconej w głębię ducha epoki i w głębię dusz ówczesnych, aniżeli ku czynom i wypadkom. A odczucie tej głębi jest potężne, oddane po mistrzowsku, obejmujące tyle szczegółów i wnikające tak w najdrobniejsze objawy, że tego przymiotu w tym stopniu w poprzednich powieściach nie było. Dodajmy jeszcze, co wartość tego przymiotu zwiększa, że odczucie to było dużo trudniejszem, aniżeli przy poprzednich powieściach, gdy epoka tak oddalona i tak odmienna.

Trzeba dalej wejść w historyę ówczesną. Typ szlachecki musiał wystąpić w powieści, a trudno, typ ten, historycznie rzecz biorąc, nie jest typem z trylogii Sienkiewicza. Trudność przy oddaniu tego niewykształconego typu mógł mieć nawet Sienkiewicz większą, aniżeliby miał inny pisarz, on, który typ rycerza XVII. wieku tak ukochał, że prawie trudno pojąć, jak mogło mu jeszcze coś serca dla innego typu pozostać. Każdy rys tam, każdy wypadek z tym typem łączący się, przy całym realizmie opisu, tak blaskiem tej miłości jest przelśniony, że nawet najdrobniejszy wydaje się czemś niezwykłem, a cóż dopiero o potężnych i wielkich mówić. A jednak i ten niewykształcony szlachcic średniowieczny jest przezeń ukochany i to ukochany gorącą miłością, tylko miłość ta jest mądra i oczu na prawdę historyczną nie zamyka. Wyraziliśmy na początku roz-

prawy obawę, czy przy kreśleniu tego typu nie przemieni się poeta w realistycznego obserwatora. Otóż w sposób przedziwnie harmonijny — i w tem jeden z najpiękniejszych blasków tej powieści — poeta z realistą się połączył. Prawda kazała przedstawić ułomność typu i niewyrobienie, a miłość gorąco odczuła prostotę mu właściwą i wdzięk.

Nietylko w dusze ówczesne, ale i w sam bieg historycznych wypadków wejść trzeba, ażeby tę powieść słusznie ocenić. Podziwiało się w tamtych powieściach olbrzymi ruch wojenny, tłum bitew, potyczek, tego w tej powieści niema, ale bo i w ówczesnej polskiej historyi ich niema. Ciągła tylko gmatwanina krzyżacka, ciągle stosunek niewyraźny, chwiejny, a jako taki, tak mało do powieści bohaterskiej nadaje się.

Z tego założenia autora i z tych warunków historyi poszło, że mniej postaci wielkich, mniej scen silnych, mniej raźności i energii akcyi, niż w poprzednich powieściach, ale za to głębsza charakterystyka, więcej rzewności, wdzięku i prostoty.

Poza tem przyznajemy, że wiele tu ekspozycyi historycznej w miejsce plastyki i obrazowania, czuć też czasami coś, jakby znużenie pisarza. I pod tym względem powieść ta od poprzednich historycznych niższa.

Język jędrny, silny, jak zwykle obrazowy, jakżeż przecudownie w szacie ówczesnych form wygląda. Trudno dość się napatrzeć tej swobodzie, z jaką ten język oddaje najróżnorodniejsze myśli, uczucia i nastroje, jak nie cieniowaniem, lecz kilku potężnymi cięciami, nie subtelnością psychologiczną, lecz momentami wpadającemi na pierwszy rzut w oko, znaczy odrazu fizyognomie ludzkie, wywołuje nowe sytuacye i stwarza malowidła.

Ponad te wszystkie blaski droższą jest krzepiąca siła moralna tej powieści: i to łagodne tchnienie, płynące od dworów i dworków ówczesnych i ten silny, ożywczy wiatr idący z Jurandowej wyżyny, zwłaszcza ta siła moralna, która w pogromie i znicestwieniu przewrotności i zbrodni tkwi.

* * *

W epokę Jagiełły szedł przed laty Szajnocha i napisał monografię, szedł potem Szujski i stworzył dramat, stamtąd wyniósł Matejko olbrzymi obraz, a dziś Sienkiewicz wraca z powieścią.

Jest jakaś dziwna, a nieprzeparta siła, która wszystkich lepszych synów tej ziemi w jej przeszłość dziejową pędzi. Jakgdyby chcieli z dawnych prochów, i z dawno przebrzmiałych szczęków oręża stworzyć na dzisiejszej ruinie jakąś nową duchową twierdzę.

I stwarzają — a przed naszemi oczyma stwarza ją dalej ten ostatni poprzednich wielkich duchów spadkobierca. Zsuwają się wiązania z minionych dni, prochy i kości bohaterów zbiegają się w kształty obrzymie i idą, jako krzepiciele serc, na duchowe dowództwo tej nowej warowni. Z poza odchylonej mgły dziejowej to błysną srebrne blachy kniazia Jaremy, to białe szaty Kordeckiego, a tam w dali na dwóch przeciwległych sobie krańcach, z pól Chocimia i z pod borów Grunwaldu polśniewają dwa zwycięskie miecze, Sobieskiego i Jagiełły.

A jak kiedyś Krasiński ze wzgórz starego Rzymu wysyłał swego Irydiona na ziemię mogił i krzyżów, tak z tej ziemi powraca ku wiecznemu miastu ten pisarz, by z ciemnych krużganków katakumb wynieść i do rycerskiej siły dodać moc i siłę największą w świecie, która świat zwyciężyła.

To też słusznie, że w tych radosnych dniach jubileuszu cały naród składa mu swoją wdzięczność i cześć.

Ks. Jan Pawelski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Historya filozofii w Polsce na tle ogólnego rozwoju życia umysłowego. *Henryk Struve.* Zeszyt I. Wiadomości przygotowawcze. Warszawa. 1900.

Między darami, złożonemi w hołdzie Wszechnicy Jagiellońskiej w 500-letnią rocznicę jej odnowienia, wybitne niewątpliwie miejsce zajmie wymienione dzieło prof. Struvego, którego pierwszy zeszyt mamy w rękach. Trudno z jednego zeszytu sądzić o całości, a jednak już ten początek zawiera tyle ważnych szczegółów, tyle pełnych znaczenia poglądów, a jako wstęp stanowi przecież o tyle całość dla siebie, iż warto zająć się nim, nie czekając na dalszy ciąg. Nie znam zaiste nikogo, któryby do napisania historyi filozofii w Polsce był tak przysposobiony, jak nim jest prof. Struve. Tu nie wystarczą literackie wiadomości i choćby nawet wszechstronne literackie wykształcenie, aby módz taką podjąć pracę, do tego potrzeba jeszcze czegoś więcej, potrzeba być przedewszystkiem filozofem, znającym gruntownie wszelkie wymagania dzisiejszego dziejopisarstwa filozofii, następnie trzeba znać bardzo dokładnie historyę średniowiecznej filozofii, a co najważniejsza, trzeba być uczonym, obdarzonym prawdziwie benedyktyńską cierpliwością i usilnością, aby się przepracować przez ogrom literatury, tak drukowanej jak i w rękopisach znajdującej się, literatury pisanej po łacinie, przyczem należy uwzględnić, że podjęty trud dla umysłu badacza bardzo szczupłe tylko przyniesie korzyści.

Wszystkie te przymioty prof. Struve posiada i jak z pierwszego już zeszytu sądzić możemy, dzieło jego będzie pracą, za którą wszyscy, zajmujący się umysłową przeszłością narodu polskiego, wdzięczni mu

być powinni — podwójnie zaś wdzięczni, pracownicy na niwie polskiej filozofii, którzy brak takiego dzieła bardzo dotkliwie uczuwają. Jeżeli w XX. wieku ma się wśród Polaków rozwinąć ruch filozoficzny, to ważnym, prawie niezbędnym do tego warunkiem było ukazanie się takiego dzieła, jakiem będzie dzieło prof. Struvego. Pierwszy zeszyt zawiera, jak już wspomnieliśmy, wiadomości wstępne i dzieli się na pięć rozdziałów: 1) Znaczenie, przedmiot i zadania historyi filozofii w Polsce. 2) Źródła i metoda. 3) Literatura historyi filozofii w Polsce. 4) Charakter narodowy filozofii polskiej. 5) Podział na okresy. Przejdę w krótkości te pięć rozdziałów, podnosząc najważniejsze w nich myśli, pozwolę sobie jednak poczynić także parę krytycznych uwag, pragnąłbym zaś gorąco, aby wielce zasłużony autor może choć niektóre z nich w dalszym ciągu dzieła uwzględnił.

Na wypowiedziane zaraz na wstępie uwagi godzę się najzupełniej; nic słuszniejszego jak zdanie, że „w badaniach historyi filozofii uwydatnia się najwyraźniej rozwój umysłowy, zarówno całej ludzkości jak i pojedyńczych narodów, filozofia bowiem jest w istocie swojej nauką badającą krytycznie zasady wiedzy ludzkiej w celu dojścia do ogólnego na świat poglądu". „Póki naród nie ma filozofii, dopóty działalność jego na polu estetycznem, poznawczem i społecznem ma przeważnie charakter instynktowy". Autor na stronie 7-ej pisze, że wahał się czy nie nazwać swojej pracy: „Historyą filozofii polskiej" w tem samem znaczeniu, w jakiem mówimy o filozofii indyjskiej, greckiej, angielskiej, francuskiej, niemieckiej. Bardzo dobrze jednak postąpił, iż pozostał przy tytule: „Historya filozofii w Polsce", gdyż „aby nadać nauce filozofii odcień narodowy, do tego potrzeba zupełnej dojrzałości umysłu i twórczego ducha, zdolnego wdrożyć badania przedmiotowe w nowe samodzielne tory, u nas zaś w tem pojęciu możnaby mówić o filozofii polskiej, mając na oku pewną jej odrębność dopiero w wieku XIX. od chwili wystąpienia na widownię Wrońskiego, Kremera, Trentowskiego, Libelta i Cieszkowskiego". Na takie zapatrywanie nie zgodziłbym się z autorem, gdyż według mojego przekonania początki filozofii polskiej i to filozofii bardzo mądrej, żywotnej a niestety później zupełnie zaniedbanej, należałoby cofnąć więcej wstecz a mianowicie do Jana Śniadeckiego, a może kto wie, czyby się jej nie dało cofnąć aż do Stanisława Leszczyńskiego. Autor przyznaje wprawdzie, że zawiązki samodzielnych filozoficznych dążności można spotkać już u pisarzy XVI. wieku, nie byli oni jednak filozofami we właściwem tego słowa znaczeniu. Ogólny cel swojego dzieła określa prof. Struve

w sposób bardzo jasny i trafny w następujących słowach: „wyśledzenie obydwu współczynników w rozwoju filozofii u nas, obcego i narodowego, oraz wykazanie jak oba na siebie oddziaływały i jak się ze sobą łączyły, aż doszły do owej organicznej spójni, w której już ich bez słusznej analizy ani rozerwać ani sobie bezwzględnie przeciwstawić nie podobna“ (str. 10).

Drugi rozdział poświęcony jest źródłom, pracom pomocniczym i metodzie historyi filozofii w Polsce. Wykaz źródeł dowodzi najlepiej, z jaką nadzwyczajną gruntownością autor przygotowywał się do swojej pracy. Szkoda jednakże, że tu pominął całkiem źródła rękopiśmienne znajdujące się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej i w Ces. bibliotece w Petersburgu. Na str. jednakże 15-tej wymieniony jest Wł. Wisłockiego, „Katalog rękopisów biblioteki Jag.“, nie wątpimy więc, że odpowiednie źródła rękopiśmienne przytoczy i uwzględni autor na właściwych miejscach w dalszym ciągu dzieła. Godnym uwagi jest rozdział trzeci, w którym prof. Struve zajmuje się pracami swoich poprzedników na polu dziejów filozofii w Polsce. Rozpoczynając od Hugona Kołłątaja trzeba przyznać, że nie pominął chyba żadnego, uwzględnia nawet drobne wzmianki a niektórym pracom istotnie poświęca może za wiele miejsca, za wielki to względnie do ich wartości nieraz zaszczyt...

Najważniejszemi z całego wstępu są ostatnie dwa rozdziały, t. j. czwarty, zajmujący się charakterem narodowym filozofii polskiej, tudzież piąty, w którym przeprowadzony jest podział na okresy. O tych dwóch ostatnich rozdziałach wypada powiedzieć cośkolwiek więcej.

Dlaczego autor już we wstępie zajął się ideą filozofii narodowej, wyjaśnia nam to na str. 40 w następujących słowach: „Ponieważ poglądy naszych myślicieli na czynnik narodowy w historyi filozofii w Polsce bardzo są różne a nawet często sprzeczne z sobą; przeto dla wyjaśnienia tej sprawy tak ważnej przy samem przedstawieniu rozwoju filozofii u nas okazuje się potrzeba bliższego rozpatrzenia się w tych poglądach i wyprowadzenia z ich rozbioru odpowiednich wniosków“. Jako pierwszego, który usiłował nadać filozofii charakter narodowy, wymienia prof. Struve Trentowskiego, dalej przechodzi do Libelta, Aug. Cieszkowskiego a kończy na Tyszyńskim, poglądy zaś ich skupia w następującem zdaniu: wygłaszają wszyscy powyżej przytoczeni myśliciele przekonanie, „że filozofia polska przedstawia nowy, najwyższy szczebel w rozwoju myśli powszechnej, że ona dopiero urzeczywistni ostateczne cele życia umysłowego ludzkości“. Otóż ustęp drugi 4-go rozdziału zajmuje się odpowiedzią na pytanie, jak mogła u nas tego rodzaju idea

powstać. Autor sięga aż do XVIII. wieku. Wymienia Jana Dębińskiego (1727), Szym. Majchrowicza (1764), dalej Kołłątaja, Surowieckiego, Lelewela, Czarnockiego wreszcie Hoene Wrońskiego, którzy wszyscy mówili o wyższości to narodu polskiego, to wogóle ludów słowiańskich nad innemi, dalej rozwodzi się nad Mochnackim, Mickiewiczem, Towiańskim, którzy w wysokim stopniu przyczynili się do wytworzenia poglądu na najwyższe posłannictwo polskiej filozofii, nie poprzestaje jednak na tem w ustępie 3-im, szuka ogólniejszego tła w umysłowym ruchu europejskim, wykazując bardzo trafnie, że idea szczególnego posłannictwa filozofii polskiej opiera się na przeświadczeniu, że ludzkość wstępuje w nowy trzeci okres swego rozwoju. Rewolucya francuska tę wiarę obudziła, a Hegel zastosował ją do filozofii niemieckiej, dowodząc, że Idea najwyższa objawiła się bezpośrednio ludzkości w jego systemie. „Nie dziw, że za przykładem mistrza stało się nieomal zwyczajem powszechnym wśród ówczesnych myślicieli uznawać własną filozofię za najwyższy wyraz rozwoju umysłowego“ (str. 56). Oczywiście pogląd taki autor nasz ocenia bardzo krytycznie i pisze na str. 58, że: „dziś już niema wśród Polaków poważnego myśliciela, któryby dowodził, że filozofii polskiej należy się przodujące stanowisko w ogólnym rozwoju filozofii“. Natomiast, oceniając ruch filozoficzny polski, spokojnie i trzeźwo wykazuje prof. Struve następujące trzy zasadnicze cechy filozofii polskiej (st. 65): 1) „Dążność życiowa (praktyczne zastosowanie wyników filozofii do życia narodowego góruje zazwyczaj ponad czysto teoretyczny rozbiór zasad). 2) Tendencya syntetyczna, polegająca na objęciu jaknajszerszych kręgów myśli w celu zjednoczenia ich. 3) Żywość i obrazowość wysłowienia (chęć przemawiania nie do kasty uczonych, lecz do szerszych warstw wykształconego ogółu)“. Na wszystkie te trzy punkty chętnie się godzę. Jednak do tych trzech cech myśli filozoficznej w Polsce pragnąłbym, aby autor dodał jeszcze czwartą: t. j. że filozofia polska starała się zawsze utrzymać się na gruncie chrześcijańskim, tak że nawet w kierunkach, w których rzeczywiście od idei chrześcijańskiej odstępywała, przecież czyniła to do pewnego stopnia bezwiednie i do tego wcale się nie przyznawała. Chęć utrzymania chrześcijańskiego charakteru, oto mojem zdaniem, najwybitniejsza cecha filozoficznej myśli polskiej, zdaje mi się, że autor mógłby uznać i tę czwartą cechę, wątpię bowiem, aby go powstrzymał od tego fakt pojawienia się u nas bardzo płytkiego pozytywizmu, który jakiś czas propagowano po różnych pismach i pisemkach, a który nie zdobywszy się na żadne poważniejsze dzieło zamiera. Wszak sam prof. Struve

kierunkowi temu żadnego a przynajmniej bardzo małe przypisuje znaczenie. Charakter syntetyczny naszej polskiej filozofii wyjaśnia autor następującemi słowy (str. 69): „Obejmują polscy myśliciele cały obszar filozofii zazwyczaj szerzej niż najwięksi nawet filozofowie innych narodów, gdyż wśród tych ostatnich każdy miał przeważnie na oku swoich narodowych poprzedników, podczas gdy naszemi poprzednikami są myśliciele wszystkich narodów". Jeżeli filozofia polska pójdzie istotnie za temi złotemi słowy, wówczas można jej w XX. wieku piękną rokować przyszłość. Bardzo zajmujące i nader cenne są również uwagi nad stylem i formą filozoficzną, godziłoby się, aby nasi dzisiejsi pracownicy na niwie filozofii dobrze wbili je sobie w umysł, gdyż niestety niejasność i bałamutność w myśleniu a wielkie zaniedbanie w stylu, przeładowanym nieraz zwrotami, przyjętemi żywcem z niemieckich i francuskich książek, zaczyna się i u nas coraz więcej rozpowszechniać. W uwagach jednakże autora nad polskim filozoficznym stylem, jest przecież bardzo wiele prawdy. Nawet gdy Polak po niemiecku książkę napisze, to znać, że to pisał nie Niemiec, prostota, jasność, temperament z każdej przemawiają stronnicy. (Przykład z najnowszej literatury, prace dra Wartenberga wydane po niemiecku). Rozdział czwarty kończy prof. Struve następującą uwagą: „Praca myślicieli polskich może mieć wielką przyszłość, jeżeli się znajdą wybrani, którzy skorzystają należycie z zasobów umysłowych wszystkich cywilizowanych narodów i z całą energią niestrudzonego ducha wezmą się do sumiennej pracy nad przetrawieniem tych zasobów i nad ich samodzielnem ukształtowaniem w kierunku życiowym, w celu wytworzenia możliwie pełnej i wszechstronnej syntezy wiedzy ludzkiej. *Audentes Deus juvat*". Oby tak było, dodajemy, ale to będzie tylko wówczas, jeżeli filozofujące umysły z gruntu chrześcijańskiego nie zejdą, jeżeli światło i ciepło tryskające z tego wieczystego źródła prawdy i dobra, nie przestanie ich ogrzewać.

Na zakończenie pozostaje nam jeszcze do rozważenia rozdział piąty, w którym autor omawia podział historyi filozofii w Polsce na okresy. Rozdział to bardzo ważny, gdyż tu zarysowywuje się pogląd autora na rozwój filozofii w Polsce; całe dalsze dzieło mamy ukazane jakby w perspektywie, tu nasunie się także najwięcej krytycznych uwag.

Charakterystykę okresów rozpoczyna prof. Struve od końca, czyni to zaś dlatego, gdyż ma z niektórymi swoimi krytykami własne do załatwienia rachunki. Już przed trzydziestu laty zajął się autor w swojej historyi logiki w Polsce podziałem dziejów naszej filozofii na okresy·

Wówczas okres ostatni nazwał idealistycznym i na niem skończył. Nie mógł istotnie zrobić inaczej, gdyż wówczas nowy ruch filozoficzny u nas jeszcze się nie objawił. W ćwierć wieku później zaczęto mu to wyrzucać. Pan Tomkiewicz w rozprawce „o Filozofii w Polsce", wytykając najniesłuszniej prof. Struvemu, że nie uwzględnił tego, co się pojawiło u nas, w dwadzieścia lat później dodaje do jego pięciu okresów jeszcze okres szósty, który nazywa kosmopolitycznym czyli pozytywnym. Otóż przeciw takiemu zapatrywaniu występuje prof. Struve w sposób bardzo stanowczy, wykazując, że ruch filozoficzny u nas w ostatnich trzydziestu latach nie zasługuje wcale ani na nazwę pozytywistycznego ani kosmopolitycznego. Charakteryzując płytkość naszego pozytywizmu, zapytuje: „Więc jakiem prawem mielibyśmy uznawać aspiracye pozytywistyczne „młodych" nie ujawnione w całym tym okresie żadnemi poważniejszemi pracami filozoficznemi za rys charakteryzujący naszą współczesną filozofię?" Autor słusznie podnosi, że właściwy ruch filozoficzny u nas w tym ostatnim okresie ujawnił się nie wśród pozytywistów lecz wśród przeciwników pozytywizmu. Daje więc temu ostatniemu okresowi nazwę krytycznego z tendencyą syntetyczną. „Krytyka zasad filozofii, oraz wzajemna krytyka rozlicznych szkół filozoficznych w celu wytworzenia nowych syntetycznych poglądów — oto rys charakteryzujący ostatni bieżący okres naszej filozofii" (str. 83). Okres ten zupełnie słusznie rozpoczyna autor z rokiem 1863, który to rok istotnie stanowi przełom w całem życiu umysłowem naszego narodu. Okres przedostatni zaś, nazwany idealistycznym z aspiracyami narodowemi na polu filozofii, rozpoczyna się u nas, zdaniem prof. Struvego, około roku 1830. Ustanowienie tej daty dla okresu idealistycznego nasuwa mi pewne wątpliwości, wszak ruch idealistyczny rozpoczyna się u nas o wiele wcześniej, rozpoczyna się na wileńskim już uniwersytecie; Gołuchowski w roku 1822 wydał rozprawę: *Die Philosophie in ihrem Verhältnisse zum Leben ganzer Völker und einzelner Menschen*, a wykładami swojemi rozbudził wśród młodzieży zapał do idealizmu. Mnie się wydaje, że okres przedostatni byłoby najwłaściwiej rozpoczynać z wpływem filozofii Kanta u nas i z chwilą jak życie narodowe zaczęło, dzięki rewolucyi francuskiej, dzięki dalej Napoleonowi i legionom, tak silnem uderzać tętnem. W takim razie podział filozofii w Polsce na okresy byłby zgodny z podziałem dziejów filozofii wogóle, ten fakt bowiem każdy musi uznać, iż z Kantem i z rewolucyą francuską rozpoczyna się nowy okres filozofii.

Załatwiwszy się z dwoma ostatniemi okresami, przechodzi prof.

Struve do pierwszego najstarszego. Krótką zaś jego i bardzo prawdziwą charakterystykę kończy następującą uwagą: „Pierwszy tedy okres filozofii w Polsce obejmuje zarówno scholastykę jak i dążności antyscholastyczne, począwszy od pierwszych zawiązków nauki na naszej ziemi; ponieważ zaś wszystkie wydatniejsze objawy na polu filozofii łączą się w tym okresie głównie z założeniem i rozwojem, wogóle z dziejami Akademii krakowskiej, przeto nazwać go można akademickim“ (str. 87). Ciągnie się on od środka XIV. aż pod koniec XVI. wieku.

A teraz przychodzi okres drugi, który prof. Struve nazywa jezuickim. Szanowny autor nie weźmie mi zapewne za złe, jeżeli się z nim co do charakterystyki tego okresu trochę posprzeczam. Trudno mi jednak milczeć, gdy chodzi o prawdę dziejową i o sprawiedliwość. Że prof. Struve nie jest przyjacielem Jezuitów, o tem wiedzieliśmy od dawna. Pod tym względem niechęci swojej już nieraz dał wyraz, szczególnie zaś bardzo żywo i dosadnie zaznaczył ją w swojej historyi logiki w Polsce. Sądziłem jednak, że badania historyczne nad wiekiem XVII. dokonane w ostatnich trzydziestu latach, nie pozostały bez wpływu na umysł tak wytrawny i spokojny, jakim jest umysł prof. Struvego. Tymczasem widzę, że pozostał on przy swoich dawniejszych uprzedzeniach. Oto jak charakteryzuje okres tak zwany jezuicki: „Jezuityzm rozszerzał się w Polsce tylko powoli, bo miał wielkie przeszkody do przewalczenia. Musiał naprzód wyrwać z korzeniem wszystkie latorośle nowego życia, które się rozwinęły w poprzednim okresie, musiał zawładnąć szkołą i zdolniejsze umysły wciągnąć znowu w sieci dogmatycznego formalizmu wieków średnich, a dopiero wtedy mógł wycisnąć swe piętno na dalszym rozwoju umysłowym narodu i stworzyć okres godny jego imienia i na polu filozofii“ (str. 87), a zaraz dalej pisze: „Wyłamując się z pod wszelkiej kontroli ze strony zarządu krajowego, przyznając nad sobą jedynie władzę generała zakonu, posiłkując się przy tem zręcznie pozorną naukowością, jako środkiem dla osiągnięcia swojego celu: nawrócenia, jeśli można, całego świata do siebie, wywierali Jezuici przy pomocy Akademii Wileńskiej, coraz głębszy wpływ na społeczeństwo i w końcu za panowania Zygmunta III. a szczególnie Jana Kazimierza, który sam był Jezuitą, udało się im zaszczepić w narodzie na dłuższy czas swoje zasady“. Przytoczyłem powyższe ustępy w całej rozciągłości, aby wykazać do jakiego stopnia może nawet tak znakomity uczony i myśliciel, jakim jest prof. Struve, ulegać raz nabytym uprzedzeniom i jak trudno jest pod ich wpływem zdobyć się na sąd wszechstronnie krytyczny i zupełnie przedmiotowy.

Nie mam ja tu wcale zamiaru pisać apologii Jezuitów, niewątpliwie są oni także ludźmi, o ile zaś chodzi o obronę, to sami najlepiej bronić się potrafią. Udało im się przecież niejeden już przesąd, dotyczący działalności ich zakonu, zwycięsko odeprzeć i nawet u najzaciętszych przeciwników wywalczyć dla siebie cześć i uznanie. Proszę bardzo szczerze prof. Struvego, aby zechciał wziąć do ręki dzieło dra Paulsena: *Geschichte des gelehrten Unterrichtes*, Lipsk 1896 i w tomie pierwszym na str. 408—412 odczytał ustęp o zakonie Jezuitów. — A przecież Paulsen to nie Jezuita, nawet nie katolik, ale protestant i skrajny racyonalista.

Nie wdając się więc w polemikę, niech mi wolno będzie następujące poczynić uwagi: Nikt nie zaprzeczy, że wiek XVII. jest u nas w Polsce cofnięciem się wstecz w dziedzinie ruchu i życia umysłowego, ale czyż można na seryo twierdzić, że to wina Jezuitów? Namiętne spory religijne wyczerpały u nas przy końcu XVI. wieku zasoby umysłowej energii, zamiast pójść tą drogą, którą nam wskazał Kopernik, myśmy się puścili na religijną i teologiczną swawolę. Oczywiste przykłady (n. p. aryanizm) dowodzą, że w usiłowaniach reformatorskich nie bylibyśmy się zatrzymali nawet tam, gdzie się niemiecki zatrzymał protestantyzm ale bylibyśmy doszli do zupełnej religijnej anarchii. Jeżeli więc w narodzie tak rozkiełzanym, tak indywidualistycznie usposobionym, jeżeli w państwie, które posiadało wolność polityczną, o jakiej się wówczas nigdzie nawet nie śniło, Jezuici przynajmniej na gruncie religijnym stworzyli pewną organizacyę, a w szlachcie do najwyższego stopnia niekarnej umieli utrzymać i rozbudzić gorącość uczuć religijnych i patryotycznych, to im się za to wdzięczność wielka należy. Gdyby nie Kościół i gdyby nie jego dzielni bojownicy w końcu XVI. i XVII. wieku, to bardzo możliwe, że bylibyśmy się już wówczas rozlecieli jak kupa piasku i stali się pastwą schyzmy a o Polakach mówionoby może dziś, jak o jakimś archeologicznym zabytku. Prawdą jest, żeśmy w XVII. wieku wielkich ludzi na polu myśli ludzkości nie dostarczyli, że znowu przykład Kopernika pozostał bez naśladownictwa, ale czyż to także wina Jezuitów? Energia umysłowa w narodzie we wszelkich kierunkach objawiać się i wysilać nie mogła, rozpolitykowana szlachta nie miała czasu zajmować się nauką, najszlachetniejsze charaktery, najwznioślejsze umysły poświęcały się za kraj i ojczyznę i roznosiły kości swoje po najdalszych kresach Rzeczypospolitej, w domu zostawały miernoty, skądżeż więc miał się brać materyał na uczonych i filozofów. Rozwój miast i mieszczańskiego stanu

szlachta stłumiła, a ten właśnie stan wydał w XVII. wieku u innych narodów największych uczonych i myślicieli. Czyż nie jest to zaiste ironią losu, że największy myśliciel XVII. wieku, największa chwała narodu niemieckiego, że Leibnitz z polskiej pochodził rodziny, która się do Niemiec przesiedliła. A temu przecież chyba Jezuici nie winni, tylko winien stan, w jakim się polskie znajdywało społeczeństwo. Gdyby się był u nas normalny, prawidłowy rozwój umysłowy utrzymał i tak dalej potęgował, jak to było w wieku XV. i do połowy XVI., to z wielkiem prawdopodobieństwem można przypuścić, że po Koperniku byłaby u nas przyszła kolej na geniusz w rodzaju Leibnitza. Że się stało inaczej, temu winna reformacya a nie Jezuici, którzy utrzymywali u nas takie szkoły, jakie wówczas istniały wszędzie, a nawet o wiele lepsze, gdyż przynajmniej pierwiastki humanizmu uwzględniali i do wykształcenia młodzieży zastosowali, wszak szkoły ich stały o wiele wyżej, od szkół tak zwanych akademickich, oni przy końcu XVI. wieku wyobrażali u nas postęp! Że zaś w szkołach swoich uprawiali filozofię i naukę scholastyczną, któż może im z tego zrobić zarzut? Gdzieżto pytamy i w jakim kraju, w jakich szkołach uczono w XVII. wieku innej filozofii, może w Anglii a może we Francyi lub w Niemczech? Prawie do połowy XVIII. wieku, wszędzie filozofia scholastyczna była w szkołach nauczaną. Czyż więc u nas mogłoby być inaczej? Trudno robić Jezuitom zarzut, że w XVII. wieku nie nauczali w swoich szkołach fizyki, mechaniki i wyższej matematyki, które jeszcze nie istniały. Czyż prof. Struve nie zwrócił na to uwagi, że Bacon, że Newton, to wszystko umysły XVII. dopiero wieku, a wpływ ich zaczyna wszędzie działać dopiero w wieku XVIII. Ale teraz idziemy dalej i pytamy, kto są ci i gdzie ich szukać, którzy w XVIII. wieku zaczęli u nas nowe idee w dziedzinie nauki szerzyć? Nie chcę nic ujmować zasług Konarskiemu, Wiszniewskiemu i Pijarom, ale zwracam uwagę na to, co pisze autor tak Jezuitom niechętny, jakim jest Władysław Smoleński, w dziele p. t. „Przewrót umysłowy w Polsce“ od str. 54—75. Pomimo całej swojej doktrynerskiej naiwności, przecież autor ten przyznaje, że Jezuici już w połowie XVIII. wieku do szkół swoich wprowadzili nowe nauki, że zaprowadzili pierwsze muzea i gabinety fizyczne, wobec zgromadzonej na jarmarkach szlachty dokonywali fizycznych eksperymentów, w Wilnie założyli pierwsze astronomiczne obserwatoryum, a Jezuita Rogaliński w roku 1765 wydaje pierwszą w języku polskim fizykę p. t.: „Doświadczenie skutków rzeczy pod zmysły podpadających“. Wpływom tegoż Rogalińskiego zawdzięcza nauka polska najświetniejszego swo-

go przedstawiciela z XVIII. wieku, t. j. Jana Śniadeckiego; oto co on sam pisze o sobie: „kończąc retorykę i dyalektykę w szkołach Lubrańskiego, zabrałem znajomość ze studentami i profesorami szkół jezuickich poznańskich i tam czasem przez ciekawość chodziłem na lekcye fizyki eksperymentalnej Rogalińskiego, która mi się bardzo podobała i gdzie nabyłem wstrętu do sekty perypatetyków, których filozofia była prawie powszechnie uczona". — Gdzieindziej powiada tenże sam Śniadecki, iż największy u nas cios scholastyce zadał Rogaliński swoją fizyką.

Wobec tak oczywistych faktów, czyż można podtrzymywać nieuzasadnione zarzuty? Na działalność Jezuitów w Polsce raz nauczmy się patrzeć porównawczo, szkoły ich sądźmy miarą szkół w innych krajach w tym samym okresie, a nie żądajmy od nich tego, czego oni zdziałać nie mogli. Nie przeczę wcale, że w filozoficznej literaturze XVII. wieku u nas mnóstwo jest dziwactw i śmieszności, mnóstwo także przesądów, ale czyż gdzieindziej było lepiej? Przecież cała tak zwana szkolna literatura filozoficzna z owych czasów u innych narodów jeszcze gorzej się przedstawia. Że zaś nie wydaliśmy w XVII. wieku Kartezyuszów, Baconów, Malebranchów i t. p., to wina nieszczęsnego wpływu reformacyi na nasz naród i wina kierunku, którym poszło całe nasze dziejowe życie przy końcu XVI. wieku.

Rozpisałem się nad tym przedmiotem może nawet za obszernie, ale wyznać muszę, iż mnie to dziwi, że myśliciel tak wybitny, jakim jest prof. Struve, nie może w sprawie działalności u nas Jezuitów zdobyć się na sąd spokojny, prawdziwie naukowy a wolny od wszelkich stronniczych namiętności. Otwarcie wyznaję, iż czułbym się bardzo szczęśliwym, gdyby moje słowa zwróciły uwagę Szanownego autora „Historyi filozofii w Polsce", spowodowały go do wszechstronnego porównawczego rozpatrzenia i więcej przedmiotowego ocenienia drugiego okresu dziejów filozofii w Polsce. — Koniec rozdziału piątego a zarazem i koniec całego pierwszego zeszytu stanowi ustęp p. t.: „Okresy historyi filozofii w Polsce ze stanowiska powszechnego prawa rozwoju myśli filozoficznej". Znaną swoją teoryę o trzech zasadniczych typach, t. j. dyalektycznym, krytycznym i konstrukcyjnym, uwydatniających się w dziejach powszechnych filozofii, stosuje tu prof. Struve do dziejów filozofii w Polsce. Otwarcie jednak muszę wyznać, iż cała ta teorya prof. Struvego mnie nie zadawalnia, zanadto znać jeszcze na niej wpływ Hegla. Rozprawa z tą teoryą jednak za dalekoby mnie

zaprowadziła, odkładam więc jej krytykę do innej sposobności. Na tem miejscu zaś niechaj mi wolno będzie na zakończenie wyrazić prof. Struvemu w imieniu wszystkich pracujących u nas, na niwie filozofii, gorące podziękowanie i wdzięczność za dzieło, którem nas obdarza a zarazem dodać i życzenie, aby mu danem było w najkrótszym już czasie oddać całość do rąk polskich czytelników.

Dr. M. Straszewski.

Słownik gwar polskich. Ułożył *Jan Karłowicz.* Tom pierwszy. A do E. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1900.

Owoc pracy przeszło trzydziestoletniej, dzieło to ma ogromną wartość dla filologów polskich, dla etnografów i w ogóle dla wszystkich, którzy się zajmują ludem bez żadnych ubocznych względów i celów.

Zwłaszcza zaś dla pierwszych.

W badaniach językowych, jak zresztą w każdej nauce ścisłej, niema rzeczy ważnych i mniej ważnych. Forma najbardziej na pozór błaha, wyraz na pozór najmniej znaczący, mogą się nieraz przyczynić do wyświetlenia całego procesu językowego, które to wyświetlenie znowu tłomaczy rozwój języka, jego żywot, prawa tym rozwojem rządzące, tem samem i jego początki, czyli w ogóle pomaga do zrozumienia istoty języka. Drobne fakta wiążą się z sobą w jednę całość, w jeden łańcuch; jakiś wyraz gwarowy dzisiejszy objaśnia niezrozumiały dotąd wyraz stary, ten znowu pomaga do zrozumienia całego zdania, całego zabytku językowego, pozwala wniknąć w jego treść i ducha, a to jest jednym z przyczynków do historyi kultury.

Filolog polski nieustannie dotąd borykał się z brakiem faktycznych danych o stanie dzisiejszych gwar polskich. Wiadomości o nich, zawarte w kilkunastu rozprawach (w wydawnictwach Akademii), były za szczupłe. Cała reszta materyału znajdowała się w stanie surowym: pojedyncze wyrazy i zwroty, pieśni i powieści, rozproszone po kilkudziesięciu tomach dzieł najrozmaitszych [1]. Otóż dla drobnego jednego szczegółu — a z tem wszystkiem ważnego — trzeba było całą tę

[1] Dzieła osobne, jak olbrzymia, kilkadziesiąt tomów licząca praca Kolberga, — Świętka, Kozłowskiego, Nadmorskiego i wielu innych; dalej wydawnictwa peryodyczne: krakowski „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej“ i „Materyały antropologiczne i etnograficzne“ (22 tomów), „Sprawozdania komisyi językowej“ (5 tomów), warszawska *Wisła* (13 tomów) i „Prace filologiczne“, lwowski *Lud* (6 tomów) i t. d.

ogromną masę wertować. Praca olbrzymia a rezultat nader niepewny. To też skutek z tego taki, że prac dyalektologicznych, traktujących obszary rozleglejsze, nie gwarę jednej wsi, nie mamy prawie wcale; że nie potrafimy dzisiaj podać podziału i charakterystyki gwar polskich, ani podanej naukowo uzasadnić; że tak ważne i konieczne porównywanie dzisiejszego stanu języka z dawnym rozwinięte jest bardzo słabo, a jeżeli w jakiej pracy jest, to raczej przypadkowo i na chybił trafił; że dotąd nie mamy odpowiedzi na bardzo ważne pytanie: o ile w pomnikach starej polszczyzny przebija się ówczesny stan ludowych narzeczy i gwar polskich. Czekało się więc z upragnieniem na pracę, któraby ten rozprószony materyał jakoś ułożyła, zestawiła i pozwoliła z niego korzystać.

Temu oczekiwaniu, temu pragnieniu odpowiada obecnie „Słownik gwar polskich". Spełnia on jedno z licznych marzeń badaczów języka polskiego, i oby tylko za tem jednem spełnieniem poszły inne *(exemplum:* akademicki słownik staropolski).

Dziełu takiej wartości i zasługi należy się przypatrzyć szczegółowo, nie zamykając zresztą oczu na usterki.

Oprócz wyrazów wyłącznie przez lud używanych, „gwarowych", „Słownik" zawiera także tak zwane prowincyonalizmy, to znaczy wyrażenia i zwroty, spotykane nie tylko u ludu, ale i w ustach ludzi wykształconych, ale tylko na pewnym obszarze, w pewnej prowincyi lub dzielnicy. Obficie zwłaszcza reprezentowana jest Litwa, to jest prowincyonalizmy w mowie Polaków, mieszkających na Litwie, wśród otoczenia litewskiego lub białoruskiego.

Przeważną oczywiście część „Słownika" zajmują wyrazy czysto ludowe. Zestawione zaś są w sposób bardzo i naukowy i praktyczny. Mianowicie:

Na czele autor pisze wyraz tak, jak brzmi lub jakby brzmiał (gdyby był) w języku literackim. Całkiem słusznie, bo wobec licznych, nieraz bardzo od siebie różnych postaci wyrazów ludowych, byłoby wprost niemożliwą rzeczą wybrać jeden z nich za typowy. Następują potem wszystkie, jakie się autorowi udało wyśledzić, formy ludowe tegoż wyrazu, i to nie tylko główne (w rzeczownikach pierwszy przypadek liczby pojedynczej, w czasownikach pierwsza osoba lub bezokolicznik i t. p.), ale jeżeli się w czemkolwiek różnią od form języka literackiego, to i inne, dalsze. Występuje to zwłaszcza wybitnie w wyrazach, których użycie jest bardzo rozszerzone. Tak na przykład pod

wyrazem będę znajdujemy osiemdziesiąt różnych form tego słowa, i to tylko w jednym czasie przyszłym [1].

Niemniej od form a może i więcej ważne są znaczenia; i te nasz słownik podaje możliwie najdokładniej. Znaczenie wyrazów jest rzeczą bardzo ważną dla psychologii języka. Tam się przedewszystkiem uwydatnia duch tego języka; tam widać pogląd na świat narodu, tym językiem mówiącego, — naturalnie o ile się ten pogląd w języku objawia. Gwary ludowe obok rozmaitości form różnią się od języka literackiego także rozmaitością znaczeń wyrazów, niejednokrotnie bardzo ciekawych i charakterystycznych. Wybieram ze „Słownika“ na chybił trafił kilka przykładów.

Wyraz ciotka znaczy w niektórych okolicach tyle, co „stara panna“; w jednej: „matka nieślubna“; w wielu miejscach słowo to oznacza chorobę (febra, świerzb); nawet wronę nazwano ciotuchną; powszechne jest wreszcie u ludu słowo „ciota“ = czarownica, jędza.

Pod wyrazem baba autor podaje piętnaście znaczeń: babka, żona, akuszerka, czarownica, sójka, duży snop, przyrząd do pokrywania lub zatykania pieca, gruby kawał drzewa do wbijania pali, rodzaj czapki, rodzaj gruszek, gwiazda, ciasto, stara gruba sosna, w kołowrotku do przędzenia część krótka, gruba, okrągła, na śrubie przy stołku umocowana, rodzaj ryby. Wyraz babka figuruje z trzynastu znaczeniami i staruszka, żebraczka, akuszerka, rodzaj gry, owad, roślina, ostatni snopek na polu zebrany, przyrząd do kosy, moneta, garnek, murek, gwiazdy, rodzaj grzybów.

W Augustowskiem lud nazwał Bismarkiem spirytus, przemycany z Prus w pęcherzach.

Wyraz dać ma w „Słowniku“ znaczeń dwanaście; przy każdem autor podaje całe zwroty i wyrażenia, z których znowu widać, że w każdem jest pewna ilość delikatnych ale wyraźnych odcieni.

I tak dalej, trzebaby przepisać większą część słownika, aby wskazać na wszystko, co ciekawsze.

Te znaczenia wyrazów są jednem z okienek, któremi do duszy ludu możemy zajrzeć. Takie na przykład rozszerzenie nazwy baba na rzeczy, ściśle biorąc nic wspólnego z babami niemające, jest bardzo charakterystyczne. Lud, nazywając babą snop, albo przyrząd do zatykania pieca, albo część kołowrotu, musiał widzieć pewne podobień-

[1] Ściśle biorąc będę jest czas teraźniejszy co do formy, a tylko co do znaczenia przyszły.

stwo, gdyż inaczej nie użyłby tej nazwy. I czy to podobieństwo widział na seryo, czy żartował, to jest ostatecznie obojętne: jakaś praca ducha, jakieś zapatrywanie się na świat, w każdym razie tu jest widoczne.

Przy każdym wyrazie, każdej formie i znaczeniu, są jeszcze całe wyrażenia i zwroty, jeżeli pod jakimkolwiek względem zasługują na uwagę. Tym sposobem zaś „Słownik“ Karłowicza jest czemś więcej, niż słownikiem. Z poszczególnych rysów składa się w nim cała dyalektologia polska. Nie jest ona tam już ostatecznie opracowaną, ale przez takie zebranie i ułożenie materyału jest walny krok ku temu zrobiony.

Jako dzieło pod każdym względem naukowe „Słownik“ podaje przy każdym wyrazie sposobność skontrolowania, czy jego dane, jego tłumaczenia i wyjaśnienia są prawdziwe, czy się zgadzają ze źródłami, i t. p. Dzieje się to oczywiście nie inaczej, jak przez cytaty. Zasługuje na uwagę niezrównana dokładność autora w cytowaniu; dość wskazać, że n. p. wyrazy z pieśni, wydanych przez Kolberga, figurują z cytowaniem seryi, tomu, strony, liczby porządkowej pieśni i liczby porządkowej strofy.

Źródeł wyczerpał autor wielką ilość. Naprzód wszystko wydane dotąd (Kolberg, „Zbiór wiadomości do antropologii“, *Wisła*, *Lud*, „Prace filologiczne“, cały szereg dzieł pojedynczych, nieznanych lub zapomnianych); oprócz tych zaś korzystał z kilkunastu rękopisów i wreszcie z własnych, obfitych i szczegółowych spostrzeżeń i zapisek. Za źródła służyły mu także pisma niektórych autorów, w których znajdują się wyrazy gwarowe, użyte z umysłu, albo mimowolne prowincyonalizmy (Dygasiński, Kosiakiewicz, Orzeszkowa, Zapolska i t. d.). Wyczerpanie źródeł jest więc możliwie najzupełniejsze. Że zaś to nie jest wszystko, że jeszcze ogromne skarby nie są wydobyte, to już nie jest winą autora „Słownika“; co tylko w danych stosunkach można było zrobić, jest zrobione.

Cóż tedy przez „Słownik gwar polskich“ Karłowicza, zyskuje nauka polska?

Przedewszystkiem mamy przegląd tego, co według dotychczasowych badań mowa ludu polskiego zawiera. Otrzymujemy dokładne daty co do poszczególnych wyrazów: czy ten lub ów wyraz jest tylko w gwarach ludowych, a nie istnieje w języku literackim; jakie są jego formy w różnych stronach, wskutek czego zyskujemy możność odtworzenia sobie formy pierwotnej, zasadniczej; widzimy odrazu, na jeden rzut

oka, jakie jest w gwarach bogactwo form, w przeciwieństwie do konwencyonalnego języka literackiego; mamy zebrane razem najrozmaitsze znaczenia tego samego wyrazu, i znowu zyskujemy przegląd geograficznego tych znaczeń rozprzestrzenienia.

Są to wszystko rzeczy dla filologa pierwszorzędnej wagi. Mając przegląd form, zrekonstruuje on sobie formę pierwotną, porówna z formą analogiczną w języku literackim i otrzyma tym sposobem pierwotną polską postać wyrazu — taka zaś forma pierwotna, zasadnicza, jest jednostką, którą można operować dla osiągnięcia wyższych naukowych zadań. Mając zestawione razem znaczenia tego samego wyrazu, filolog ma zebrany materyał do badania psychologii języka. Mając zaś podane geograficzne rozprzestrzenienie się pewnych wyrazów, może z tego wyciągać wnioski, n. p. co do pochodzenia tego wyrazu [1]. Wskutek istnienia „Słownika“ zyskuje także ogromnie wiele etymologia; albowiem przez równoczesne zestawienie i porównanie form i znaczeń najłatwiej można wykryć formę i znaczenie pierwotne i pochodzenie wyrazu. Język w ciągu wieków nieustannym ulega przeobrażeniom, zmienia się jego postać zewnętrzna i jego treść; pojedyncze wyrazy przekształcają się do niepoznania. Ale gdzieś, w jakimś zakątku, mogła się utrzymać forma starsza, pierwotniejsza — i ta stanowi ogniwo, za pomocą którego dojść możemy do początku łańcucha zjawisk językowych.

Nakreśliliśmy tylko z grubsza, jakie korzyści „Słownik“ przynosi filologii. Wtajemniczeni w arkana gramatyki wiedzą, że takie dzieła są potrzebne ciągle, nieustannie; przy każdej pracy, na pozór żadnego związku z gwarami niemającej, trzeba do takich książek zaglądać po ten lub ów szczegół. Jako przykład niech posłuży Linde, który, przestarzały, niedokładny, z licznymi błędami, nieustannie jest w rękach filologów i wprost pomyśleć się nie da, żeby się można bez niego obejść.

Lista zalet dzieła w ogólnych zarysach wskazana; lista niedostatków znajdzie właściwe sobie miejsce w piśmie specyalnem. Tu wskażemy na najważniejsze i najogólniejsze.

Słabą stroną dzieła są prowincyonalizmy, zwłaszcza zebrane z autorów. Bo albo je należało zestawić wszystkie, z całej Polski, albo

---

[1] Na przykład: wyraz a d e s t = świadectwo jest według Karł. tylko na Śląsku i w ziemi chełmińskiej; wniosek: przyswojony z niemieckiego niedawno; gdyby był przyswojony dawniej, w wiekach średnich, byłby więcej rozszerzony.

zgoła nie. Tymczasem w „Słowniku“ znajdujemy przedewszystkiem prowincyonalizmy z Litwy, w znacznie mniejszej mierze z Podola, i cokolwiek z Warszawy[1]. Czyby może nie było lepiej prowincyonalizmy ze „Słownika“ wyłączyć i zrobić z nich osobne dzieło?

Zwłaszcza widocznym jest ten niedostatek tam, gdzie autor cytuje prowincyonalizm z powieściopisarzy. Dlaczego uwzględniona jest Orzeszkowa albo (najniepotrzebniej w świecie) Zapolska, a pominięty zupełnie Prus, w którego pismach tyle jest wyrażeń i zwrotów prowincyonalnych i gwarowych? dla czego tego zaszczytu dostąpił Padalica, a opuszczony został cały zastęp pisarzy polskich (przeważnie dawniejszych), pochodzących z Rusi, których język jest tak charakterystyczny i obfitujący w prowincyonalizmy? Autor nie gardzi także pismami peryodycznemi i z nich czerpie czasem materyał, ale dzieje się to zupełnie bez systemu, zupełnie przypadkowo. Stąd mamy czasem jakiś wyraz z *Nowej Reformy,* czasem z *Przeglądu tygodniowego,* czasem z *Przyjaciela ludu* (wielkopolskiego), ale tylko dzięki temu, że wtedy a wtedy autor czytał właśnie to pismo, nawinęło mu się jedno wyrażenie, i to sobie zapisał; ale że w następnym numerze mogło być takich prowincyonalizmów dziesięć razy więcej, tego nie wziął pod uwagę.

Dążenie do największej dokładności spowodowało, że autor nie był zbyt surowy w dobieraniu źródeł. Stąd dostały się niektóre, którychbyśmy woleli nie widzieć. Tak n. p. przeważna część etnograficznych prac Màtyàsa ma zanadto wielki pociąg do upiększania przedmiotu, do fantazyowania nad nim; są to raczej powieściowo-psychologiczno-etnograficzne obrazki, aniżeli staranne a wierne materyały naukowe. Podobny charakter ma i „Sabała“ Stopki, i Matusiaka „Kwiaty polne“, i inne. W ogóle wobec takich prac, w których autor zanadto chce być artystą, zanadto jest pretensyonalny a za mało usuwa się w cień wobec materyału naukowego, wolałbym zachować pewną nieufność.

Spis źródeł mógłby być dokładniejszy (może w ostatnim tomie to będzie); tak jak jest dzisiaj, trzeba mieć przed sobą dokładny spis rozpraw, zamieszczonych w *Wiśle* albo w „Zbiorze“, bo sam odsyłacz do tej lub owej strony dzieła jeszcze nie powie, z której okolicy wyraz pochodzi, i t. p.

[1] Ściśle biorąc, te ostatnie nie są prowincyonalizmami, ale należą do tego rodzaju gwary, którą nazywamy angielskim wyrazem *slang;* są to wyrażenia brukowe, używane przez niższe warstwy ludności miejskiej a przeszłe stamtąd do ludzi inteligentnych.

Toby była w ogólności lista niedostatków. Porównawszy ją z listą zasług, otrzymamy ogromne *plus*, wobec którego wszystkie braki maleją i nikną. Każdy z filologów polskich pragnąłby się poszczycić podobnem dziełem; niechby miało i dwa razy więcej wad, byle miało tak wielką wartość, jak „Słownik gwar polskich“ Karłowicza.

Z powyższych powodów sądzę, że i Redakcya i czytelnicy *Przeglądu powszechnego* nie wezmą mi za złe, żem się o tem dziele tak szeroko rozpisał; mam to przekonanie, że o dziele nie codziennej wartości godzi się powiedzieć więcej, niż o efemerydach, i szczegółowo wskazać, w czem jest jego wielkie znaczenie.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Krytyka literacka we Francyi. *Edward Przewóski.* T. 2. Lwów. 1899.

Wykończeniu niniejszego dzieła przeszkodziła śmierć autora. Spuścizną literacką po zmarłym zajął się p. A. Lange i brakujące ustępy krótkimi wzmiankami uzupełnił. Wzmianki te nie nadają wprawdzie literackiego wyglądu książce, ale, jako instrukcya dla przeciętnego czytelnika, są praktyczne.

Tytuł jest za obszerny. — Książka nie obejmuje całej krytyki literackiej we Francyi, lecz ostatnią ćwierć XIX. wieku; ubocznie tylko, przy streszczeniu dzieła Brunetière'a o krytyce francuskiej, widzimy jej dzieje i charakterystykę. Nie jest to także systematyczne studyum o najnowszej krytyce francuskiej, lecz szereg sylwetek o niektórych wybitniejszych krytykach; autor rozbiera i ocenia tylko te dzieła krytyczne, które za jego czasów się ukazały. Mamy więc streszczenie książki Brunetière'a o ewolucyi krytyki literackiej we Francyi, streszczenie książki Morice'a o symbolizmie, streszczenie książki Hennequin'a o krytyce naukowej, prócz tego sylwetki Zoli, jako krytyka naturalistycznego, Roda, jako krytyka-moralisty, Lemaitre'a i Faguet'a. O reszcie krytyków krótkie notatki p. Langego.

Nie miałoby racyi podawanie treści ze streszczenia, wystarczy więc sąd ogólny. P. Przewóski przedstawia się jako umysł rzetelny, starający się zawsze daną rzecz dokładnie pojąć i określić, i jako umysł dość szeroki, umiejący odczuć i zrozumieć różne, nawet sprzeczne kierunki. Pewną tylko pobieżność zauważyliśmy przy streszczaniu książki Brunetière'a, wskutek czego niejedna charakterystyka, jaką Brunetière zawsze wyraziście kreśli, wypada tu słabo. Natomiast nie jest autor dość głębokim, nie ma wyrobionego poglądu, jaką krytyka być powinna. Najwidoczniejszem to przy Hennequinie, którego teoryę choć usiłuje

poddać krytyce, właściwej jednak krytyki nie daje. Wogóle lubi wymijać kwestye bardziej zasadnicze, choćby wymijać ich nie należało, stąd też zostawia nieraz skrajniejsze poglądy omawianych autorów bez należytego oświetlenia i oceny, co zwłaszcza tam, gdzie mowa o religii, przykro się odczuwa.

Sylwetki za to, w tym tomie mieszczące się, jako sylwetki, są bardzo udatne. Występuje wyraziście fizyognomia omawianego autora, zaznaczony jasno punkt wyjścia, cała ewolucya i zajęte stanowisko, a to wszystko na ogólniejszem tle współczesnem. Jest w tych sylwetkach talent pisarski, czuć też, że każda z nich kreślona jest przez umysł, który sprawę krytyki literackiej traktował *con amore*.

Ks. J. Pawelski.

Zwyczaje towarzyskie *(Le savoir-vivre)* wraz z nauką życia. Poglądy na zachowanie się w ważniejszych okolicznościach życia towarzyskiego. Wydanie trzecie. Kraków. 1900.

Autor dziełka, które obecnie ocenie poddać chcemy, kryje się skromnie pod wyrazem: „Wuj — swoim siostrzenicom: Marylce, Felisi i Lucylce w dowód szczerej życzliwości poświęcający swą pracę". A praca to niemała, skoro objęła całe życie ludzkie we wszystkich jego fazach i odcieniach towarzyskich; skoro nie pomija ani kościoła, podróży, balu, salonu, biesiady, koncertu, herbaty, i polowania i towarzyszy w roli uprzejmego mentora przy takich uroczystościach, jak: chrzest, pierwsza komunia św., małżeństwo i żałoba. Nader cenne są rozdziały, jakby na skrajnych biegunach będące, w których autor roztacza wszechświatowe prawidła koniecznej grzeczności, porównuje zwyczaje obcych krajów i narodów z naszemi, podaje sposoby zawiązania stosunków w świecie: obok zaś umieszcza rozdziały o tak subtelnych i drobiazgowych odcieniach grzeczności towarzyskiej, jakby pragnął, aby najlżejszy ruch, pozorna błahostka w czynie i znalezieniu się, znamionowała każdego, który pójdzie za jego nauką życia, jako gentlemana *pur sang*. Takimi są rozdziały o nagłówkach: „na ulicy, na schodach, w ogrodzie", „komplementa", „ukłon, uściśnienie ręki i przywitanie", „o cygarach", „listy i sposób pisania takowych" i t. p. Jedno mamy życzenie: niech to dziełko doczeka się setnego wydania, niech dotrze do wszystkich domów polskich, niech stanie się modłą postępowania całego społeczeństwa, a spełni swe zadanie, i najgorętsze pragnienie zacnego autora.

Skoro jednak wyraziliśmy życzenie „setnego wydania", z obowiązku szczerości pozwolimy sobie już „do czwartego wydania" przed-

łożyć szereg skromnych postulatów, we formie tak zwanych „poprawek".

Autor, snać katolik, wierzący, chyba wpół śnie napisał takie zdanie: „Zapraszając na obiad w piątek, czy się szanuje posty, czy nie, potrzeba kazać zrobić dwie zupy, jednę mięsną, drugą postną, i tyle potraw postnych, aby ci, którzy zachowują posty mogli się dobrze posilić. Jeżeli jednak gospodarz zapomniał przyrządzić obiad w ten sposób, byłoby ze wszech miar śmiesznem nie jeść wcale .. lepiej było nie przyjmować zaproszenia, aniżeli później grzeszyć brakiem taktu i grzeczności, zwłaszcza, że wiemy, jak kościół jest pobłażliwym w tej kwestyi" (str. 62).

Zamiast odpowiedzi, niech wystarczą następne pytania: 1) Czy śmiesznością jest chcieć wszędzie i zawsze zachować prawo swej wiary? 2) Czy chcąc uniknąć grzechu(?) przeciw grzeczności, wolno popełnić grzech przeciw Bogu? 3) Czy Kościół katolicki aż do śmiesznej słabostki ma być pobłażliwym, i bez przyczyny, dla przypodobania się „lekkomyślnym" gospodarzom domu, ma pozwalać na naruszanie swych przepisów? Chyba nie. Jak lekkomyślnością jest ze strony gościa katolika, przyjmować zaproszenie w dniach postu, bez zbadania, czy uczta odpowie prawu Kościoła; tak z drugiej strony „grzechem", i „brakiem charakteru" jest stchórzyć, i raczej podeptać prawo, niż narazić się na uśmiech szyderczy, lub narazić gospodarza na kłopot, zresztą bardzo mały — gdyż parę potraw postnych można w ostatniej chwili przygotować.

Przepięknym jest rozdział: „o zachowaniu się w kościele"; prosimy jednak o pominięcie w następnem wydaniu, wyrazu „pobłażania". (str. 18). Chrystus przebacza, i nieskończonem jest miłosierdzie Jego; „pobłażać" zaś nie może, gdyż jako Bóg, wyklucza wszelką słabostkę moralną charakteru.

Autor w tymże rozdziale porusza kwestyę śpiewu w kościele, i radzi „młodym osobom posiadającym piękny głos, i pewną znajomość śpiewu, aby znajdując się na wsi, prosili proboszcza o pozwolenie śpiewania na chórze podczas nabożeństwa". Przyklasnąć chyba należy tej propozycyi — gdyby nie obawa, niestety smutnem doświadczeniem uzasadniona, iż „młode osoby posiadające piękny głos" wprowadzają do kościołów naszych wiejskich i miejskich repertuar aryj i aryjek operetkowych, często tak niezgodnych z powagą świętego miejsca i najświętszych tajemnic, jak niezgodnym jest ich pierwotny tekst Offenbachowskich błazeństw. Piszący te słowa był świadkiem sola wy-

konanego na chórze, w którym pod piosnkę „dyabeł dziewczyna“, podłożono święte słowa „Ave Maria“. Pożądaną wobec tych nadużyć byłaby uwaga, aby „młode osoby posiadające piękny głos“ raczyły wykonywać w kościele utwory poważne, „z pierwszej ręki“ przeznaczone dla chwały Bożej.

Pragnęlibyśmy wreszcie pewnej zmiany na korzyść jasności w zdaniu następującem: „W rozmowie, jak we wszystkiem, co stanowi węzeł relacyj światowych — składać należy dowody wielkiej tolerancyi... bez czego konwersacya stałaby się ciężarem i przykrością nieznośną“ (str. 252). Zgodzilibyśmy się na to zdanie, gdyby na poprzedniej stronicy autor nie omawiał kwestyi rozmów religijnych i politycznych. Godząc się bowiem na zdanie autora, iż w salonie lepiej nie poruszać wcale tematów religijnych, żadną miarą zgodzić się nie możemy na „tolerancyę“ w rozmowie takiej. Czemże bowiem jest tolerancya, jeśli nie ustępstwem swego przekonania na korzyść przeciwnego, lub pochwaleniem tego, co rozum i sumienie potępia? Cóż więc począć? Nie wszczynać podobnych dysput; jeśli zaś kwestya religijna jest, jak to mówią, na stole, otwarcie wyrazić swoje zdanie — bez uporu — to jest, zamilknąć w razie oporu przeciwnika, i zgrabnie skierować rozmowę na inny temat.

Mimo tych kilku usterek, powtarzamy przekonanie nasze, iż autor z trudnego zadania świetnie się wywiązał, tyle prawdziwie głębokich i etycznie pięknych myśli nagromadził, wniknął tak głęboko w najżywotniejsze potrzeby „demokratyzującego się społeczeństwa“, iż należy mu się od nas szczere „Bóg zapłać!“ wraz z gorącem „Szczęść Boże!“ dziełku na drodze nietylko ugrzecznienia, lecz przez grzeczność umoralnienia najszerszych warstw społeczeństwa.

Ks. Alfred Wróblewski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Commentarius in Actus Apostolorum auctore *Josepho Knabenbauer S. I.* Tom I. Paryż. Lethielleux. 1899. (Str. 454).

Dalszym ciągiem Ewangelii św. Łukasza i niejako jej uzupełnieniem są Dzieje Apostolskie, napisane również przez tego Ewangelistę, na życzenie pierwszej gminy składającej się z chrześcijan nawróconych z pogan w Rzymie. Chcieli oni mieć obok historyi Chrystusa, także

i historyę Apostołów. Dzieło to jednak, opowiadając zaledwie o pięciu Apostołach i to jeszcze nie w zupełności, nie uczyniło zadość pragnieniom i dało powód do powstania apokryficznych „Dziejów Apostołów“ [1]. „Dzieje“ obejmują wypadki od wstąpienia do nieba Chrystusa Pana aż do niewoli św. Pawła w Rzymie. Wykazują walkę ducha ciemności ze światłością, kreśląc trudności i prześladowania pierwszych głosicieli nauki Chrystusa, już to ze strony Żydów, już ze strony pogan, bo Apostołowie, pomni na ostatnie słowa Mistrza „będziecie mi świadkami w Jeruzalem i we wszystkiej żydowskiej ziemi i w Samaryi i aż na krańce ziemi“ [2], głoszą wszędzie naukę krzyża i opowiadają ją Żydom i poganom.

Nauka ta napisana więcej w formie katechezy w trzeciej Ewangelii. Jako πρῶτος λόγος nowonawróconemu Rzymianinowi Teofilowi, znajduje swoje uzupełnienie i objaśnienie trudniejszych kwestyj w Dziejach Apostolskich δεύτερος λόγος, pisanych sposobem historycznym. Koniecznem bowiem było przestrzedz pierwszych chrześcijan, nawróconych z pogan przed zgubnymi wpływami nauczycieli żydowskich, chcących rytuał starozakonny nadal utrzymać i neofitów z pogan do zachowania go zmusić. Wykazać więc chciał św. Łukasz, że odjęcie królestwa Bożego od Żydów dla ich zatwardziałości i przeniesienie go do pogan było dziełem zrządzenia i kierownictwa Bożego, że zatem prawo Mojżeszowe zniesione, już przestaje obowiązywać. Ponieważ jednak św. Paweł główną położył zasługę w nawracaniu pogan i przez to ściągnął nienawiść i oszczerstwa Żydów, dlatego uczeń jego św. Łukasz, broni go wobec neofitów i to było drugim powodem napisania „Dziejów“. Apologia ta przeznaczona dla chrześcijan w Rzymie potrzebną była, bo wpośród chrześcijan rzymskich, znajdowali się już wtedy niektórzy „z domu Cezara“, a i nie mało było nawróconych z pierwszych rodzin obywatelskich. Gdy zaś złość żydowska wszędzie Apostoła narodów ścigała, przedstawiając go jako człowieka niebezpiecznego dla państwa i bardzo w swych dążeniach podejrzanego, bo ogłaszającego „Jezusa za króla“, dlatego też pewnie i do Rzymu doszły te oszczerstwa i tu mogłyby chrześcijaństwu szkodzić; zapobiedz temu było obowiązkiem głosicieli tej wiary. Obywatele rzymscy porzuciwszy pogaństwo, nie pozbyli się swego patryotyzmu. Całość i dobro

[1] Od V. wieku okazuje się wielka ilość tych utworów, z których najważniejsze, a) *Acta Apostolorum Petri et Pauli*, b) *Acta Pauli et Theclae*, obydwa po grecku napisane c) *Historia certaminis Apostolorum.*

[2] Dzieje Ap. I. 8.

państwa było dla nich tak samo jak przedtem drogiem i upragnionem. Ci więc na samą wieść, że głosiciel nowej nauki oskarżony jest o zbrodnie polityczne w swym kraju, przez własnych ziomków, tak nienawidzących berła rzymskiego, a pomimo nienawiści, broniących bezpieczeństwa tego panowania, przez oddanie wichrzyciela władzy, musieliby nabrać nieufności, albo raczej zupełnie odwrócić się od nauki Chrystusa i jej głosicieli.

Mógł więc a nawet i powinien św. Łukasz wybrać te fakta i okoliczności, któreby pokazały, że wichrzenie wywoływali Żydzi, a nie św. Paweł, który przeciwnie był zawsze pełen szacunku dla władzy cesarskiej, wzamian przez tę władzę szanowany i za niewinnego uznany.

„Dzieje“ poświęcił św. Łukasz Rzymianinowi Teofilowi [1] a przeznaczył je dla całej gminy chrześcijańskiej [2]. — W pierwszych 12 rozdziałach opisuje przeważnie dzieła św. Piotra, w następnych 16 prace i podróże misyjne św. Pawła. Ważność tej księgi Pisma św. polega na tem, że kreśli nam pierwsze początki chrześcijaństwa, a zarazem daje podstawę historyczną listom św. Pawła, wyjaśniając wiele szczegółów z samych listów trudnych do zrozumienia. Opowiadanie „Dziejów“ wydawało się starożytnym zawsze tak jasnem i prostem, że za zbyteczne uważali je objaśniać. Dlatego też mniej, niż inne księgi Pisma św. znajdują komentarzy.

Daleko więcej za to pracowali nad „Dziejami“ protestanci i racyonaliści, starając się wykazać ich nieautentyczność, zarzucając różne sprzeczności i błędy, by tym sposobem odmówić im boskiej powagi. Upatrywali mity w „Dziejach Apostolskich“, a mowy tu podane uważali za fikcye, zmyślone przez autora, na sposób dawnych pisarzy pogańskich, którzy tego rodzaju mowy sami układali. I nie wielu było katolickich uczonych, którzyby mogli tym baśniom kłam zadać, bo dotychczasowi nowsi komentatorowie, albo pisali przedtem, albo nie uwzględniali wszystkich potrzeb i nie tak jasno dobitnie a ściśle naukowo tłómaczyli tę księgę, jak to czyni O. Knabenbauer w powyżej przytoczonym komentarzu. Cenny ten nabytek literatury kościelnej jest

---

[1] Dzieje Ap. I. 1.

[2] Uczony Aberle w swem dziele, *Ueber den Zweck der Apostelgeschichte, Tüb. Quartalschrift 1855, p. 173—236. Einleitung* usiłuje udowodnić, że dzieło to przeznaczone dla trybunału Nerona, przed którym Apostoł narodów miał być sądzonym z zarzutów stawianych mu przez Żydów. Celem więc dzieła miało być zjednanie trybunału dla św. Pawła. Twierdzenie to jednak, nie mające gruntowniejszych podstaw, nie da się utrzymać.

źródłem wiadomości do zrozumienia tej części Pisma św., a zarazem znakomitą bronią przeciw napaściom protestantów i racyonalistów. Z tych uwzględnia głównie tylko najwybitniejszych [1] i dzielną daje im odprawę. Potrzeba jednak zaznaczyć wielką bezstronność O. Knabenbauera względem akatolików, jeśli w swych wywodach trzymają się zasad zdrowego rozumu i bez uprzedzenia, naukowo sprawę traktują. Z tymi autor zupełnie się zgadza i odpowiada na postawione kwestye samymi tylko ich cytatami [2].

Przed egzegezą czyli właściwym komentarzem, podaje O. Knabenbauer 20 str. wiadomości wstępnych. Udowadnia przeciw racyonalistom, że autorem „Dziejów Apostolskich“ nie może być kto inny, jak tylko św. Łukasz; wszak do naszego wieku wszyscy uczeni wraz z tradycyą to wiernie stwierdzali. Dopiero „nowsi krytycy“, chcąc przecież coś nowego powiedzieć, dowodami wymarzonymi chcieli wykazać, że nie jest nim św. Łukasz, lecz Timoteusz, Silwanus lub Tytus, albo też częściowo św. Łukasz a częściowo jeden z uczniów św. Pawła [3]. Inni twierdzą, że opowiadanie o św. Pawle jest zupełnie przeciwne nauce jego listów, że fakta są niedokładnie podane lub też opuszczone. Hipotezy takie zmierzają naturalnie do wykazania bezpodstawności „Dziejów“. By więc nikogo nie bałamuciły, wykazuje O. Knabenbauer, że są to tylko *somnia vigilantium*, mędrców, którzy chełpiąc się postępem wiedzy, nazywają się sami *sublimiores critici*, a w przeprowadzeniu dowodów i śmiesznych hipotez pozbywają się nawet zasad zdrowego rozumu!

Jak śmiesznymi są ci „wyżsi krytycy“ w swoich twierdzeniach, wykazuje autor, przedstawiając prospekt wyników ich naukowych badań [4]. Co jeden zbija, drugi za prawdziwe bierze; ośmiu ich przytacza, ani dwóch na jedno twierdzenie się nie godzi. Istna wieża Babel!

Tekstu trzyma się autor greckiego, wydanego według kodeksu watykańskiego **B** przez Tischendorfa, oraz Westcotta-Horta i przekładu wulgaty. Odmiany zaś różne tekstu *(lectiones variantes)* czerpie

---

[1] Wendt, *Handbuch über die Apostelgeschichte,* Göttingen 1888; Weiss, *Die Apostelgeschichte,* Leipzig 1893; Hilgenfeld, *Die Apostelgeschichte nach ihren Quellschriften untersucht in Zeitschrift für wissenschaftliche Theologie,* Leipzig, 895, 1896.

[2] Blass, *Acta Apostolorum editio philologica,* Göttingen 1895.

[3] Schleiermacher, *Einleitung ins N. T.* Berlin 1854. De Wette, *Einleitung.* Ed. §§. 115, Bleck, *Stu. und Krit.* 1836, S. 1026.

[4] Com. in Act. Ap. p. 10.

z kodeksu synaickiego, aleksandryjskiego **A**, paryskiego **C** (zwanego kodeksem Efrema), oraz z 11 innych, używając zarazem starożytnych przekładów.

Uwzględnia ściśle kwestye historyczne, których w komentarzu Beelena prawie nie znajdujemy. A za podstawę dowodów historycznych bierze przedewszystkiem dzieła Józefa Flawiusa, Tacyta i Swetoniusa. Oparty na nich kreśli dokładnie przy pomocy „Dziejów Apostolskich“ ówczesne stosunki polityczne, społeczne i patryotyczne narodu wybranego, z którego miał powstać kościół Chrystusowy. Wykazuje dlaczego ten naród został odrzucony, a na jego miejsce weszły nowe ludy, *quae in umbra mortis sedebant*, ludy pogańskie.

W tłómaczeniu mowy św. Szczepana (str. 119—137) do synedrimu żydowskiego, przeprowadza dobitnie, a jasno złość, przewrotność i upór Żydów w całej ich historyi. Wykazuje ich zarozumiałość plemienną i pogardę do obcych, jako nieuzasadnioną, bo przecież ani w ich ziemi, ani w nich samych nie było nic nadzwyczajnego, ni pociągającego. Nie była szczególną gleba, bo nie mogła wyżywić 75 osób rodziny Jakóba; nic dobrego nie było w ich patryarchach, bo zaprzedali z nienawiści swego brata. Mojżesz, ich prawodawca, kształcił się i wychował na dworze egipskim, a więc cudzoziemskim — objawienie dane Mojżeszowi również na obczyźnie.

Św. Łukasz, podając historycznie tak Żydów charakteryzujące fakta, ściągnął na siebie zarzut nowoczesnych „wyższych krytyków“, że był antysemitą. Odpowiada na to O. Knabenbauer [1], że takim nigdy nie był, bo i owszem, jeśli tylko znalazł w Żydach co pochwały godnego, to zaraz skwapliwie to podnosił.

I św. Pawła chcą widzieć krytycy przeciwnikiem Żydów, on również, jak widzimy z jego pracy apostolskiej [2], trzymając się rozkazu Chrystusa, wpierw niósł Ewangelię Żydom a przez nich odrzucony dopiero do pogan się zwrócił.

Z niezliczonych zarzutów wypada jeszcze przytoczyć zarzut podniesiony przez Hilgenfelda, jakoby pierwszy sobór jerozolimski bezpotrzebnie zastanawiał się nad kwestyą t. z. judaizantów, czyli pogan, przyjmujących naukę Chrystusa a chcących obrzezania, bo sprawę tę rozstrzygnął już św. Piotr, ochrzciwszy Korneliusza setnika, a wierni z uznaniem ją przyjęli (XI. 3. 18). Hilgenfeld wnosi z tego, że było

[1] L. c. p. 298.
[2] Tamże.

kilku autorów „Dziejów Apostolskich“, a ten, który o soborze pisał, o nawróceniu Korneliusza nic nie wiedział.

W odpowiedzi na ten zarzut, wyświeca O. Knabenbauer [1] ówczesne stosunki zupełnie inne w chwili, kiedy pierwszy poganin wszedł do Kościoła Chrystusa, a inne, kiedy bardzo wiele pogan uwierzyło i dało się ochrzcić. Był to dzień groźny dla faryzeuszów, kapłanów i doktorów zakonnych, chociaż już ochrzczonych. Przejęci uwielbieniem dla prawa *aemulatores legis*, nie chcieli dopuścić do przyjęcia pogan, a lud sam tak bardzo był do zakonu przywiązany, że Piłat dziwił się mocno, widząc całe masy o obnażonych karkach, padające przed żołnierzami przygotowanymi do rzezi i wołające, że raczej umrzeć wolą, niż zezwolić na najmniejsze przestąpienie mądrości Zakonu [2].

Tak więc lud i starszyzna obawiali się, że ze wzrostem pogan ochrzczonych zniknie ich naród w chrześcijaństwie i zaginie bez śladu i wieści sławne Izraela plemię.

Opierali zresztą swe przekonania na słowach Chrystusa: „Nie przyszedłem rozwiązywać Zakonu, lecz go uzupełnić“. „Jota jedna ani kreska jedna nie zaginie z prawa“. „Nie jest dobrze brać chleb synowski, a rzucać go psom“.

Z tych więc i tym podobnych powodów powstała kwestya judaizantów, i kiedy różni, różnie ją tłómaczyli, a sporom nie było końca, oddano tę sprawę pod sąd Apostołów; wskutek zmiany stosunków i okoliczności stała się ta kwestya bardzo aktualną i nic nadzwyczajnego, że się nad nią ponownie, na soborze jerozolimskim, zastanawiano.

Wogóle wszystkie swoje twierdzenia, objaśnienia i dowody przedstawia autor tak płynnie i potoczyście, że z prawdziwą przyjemnością czyta się to uczone dzieło.

Mniej jednak jasnym, a nawet zawiłym jest O. Knabenbauer w części introdukcyjnej, a to szczególniej w miejscach, gdzie za dużo używa cytatów.

Nie można się w zupełności zgodzić z uczonym autorem na jego tłómaczenie daru mówienia różnymi językami, jaki otrzymali Apostołowie przy zesłaniu Ducha św.

Wiersz *audiebat unusquisque lingua sua illos loquentes* [3], tłumaczy

---

[1] *Com. in Act. Ap.*, p. 255, seq.

[2] Josephus *Antiquit.* XVIII. 3. 1.

[3] *Com. in Act. Ap.* p. 45.

przypuszczeniem, że uczniowie i Apostołowie rozeszli się w zgromadzonym ludzie tak, że każdy ze zgromadzonych mógł być świadkiem i słuchaczem któregokolwiek z mowców. Boskiem zaś zrządzeniem stało się tak, że ludzie zgromadzili się według narodowości, a Apostoł do nich mówiący otrzymał dar mówienia ich językiem.

Przy zbiegowisku milionowego, różnorodnego tłumu, natrafia to tłumaczenie na wielkie trudności — bo ludzie ci, choćby siłą nadnaturalną byli pchani do punktu zbornego swojej narodowości, to przecież samiby iść musieli, a zanimby przez te tłumy nawzajem się cisnące przedostać się mogli do wyznaczonego miejsca, niejednemu w tym tłoku odechciałoby się pewnie słuchania, choćby nawet cudownego mowcy.

A do tego jeszcze św. Łukasz mówi, γενομένης δὲ τῆς φωνῆς ταύτης, συνῆλθε τὸ πλῆθος, więc natychmiast po usłyszeniu tego szumu stało się zbiegowisko, a tak potrzebaby było nowego cudu, aby w tak krótkim czasie lud zgromadzony na partye się rozdzielił.

O wiele prostsze jest tłumaczenie, które się O. Knabenbauerowi mniej podoba: Apostołowie otrzymują taki dar, że ktokolwiek ich słucha, rozumie ich mowę, bez względu na to, jakiej on jest narodowości.

Żałować wypada, że O. Knabenbauer w tłumaczeniu wiersza (str. 330), *multique credentium veniebant confitentes et annuntiantes actus suos*, (w tekscie syryjskim *confitentes peccata sua*), nie wyraził swego przekonania, czy to była spowiedź sakramentalna lub nie, zasłaniając się wraz z Calmetem dwuznacznością tekstu.

Kończy autor kwestyą, dlaczego św. Paweł tak długo był więziony i w śledztwie trzymany?

Otóż powołując się na Tacyta, Swetoniusa i Józefa Flawiusa twierdzi, że postępowanie karne u Rzymian rozciągało śledztwo na lat kilka.

To też i św. Paweł w więzieniu śledczem był trzymany przez lat cztery, chociaż w obliczu prawa rzymskiego tylko o kwestyę rytualną tu się rozchodziło, bo od innych zarzutów uwolnił go trybunał rzymski w Cezarei. Zresztą złość żydowska i w Rzymie św. Pawła znalazła, a obarczając go licznymi i różnymi zarzutami, wpłynęła na przedłużenie śledztwa.

Kilka wzwyż przytoczonych, ujemnych uwag, nie mogą zaszkodzić cennemu dziełu O. Knabenbauera, bo czytelnik znajdzie w niem wielką obfitość myśli, gruntowną wiedzę i ducha prawdziwie Chrystusowego. Szczególniej św. Paweł jest tak prześlicznie i porywająco

w oświetleniu własnych listów skreślony, że staje się niejako *Vox clamantis* do wszystkich kapłanów, po wszystkie czasy.

Ks. Dr. Stanisław Trzeciak.

Dante. *K. Federn.* Leipzig (Seeman). 1899. (Str. 235).

H. Grimm rozwija w jednej ze swoich rozpraw myśl, że właściwie czterech tylko poetów należy do literatury świata: Homer, Dante, Shakespeare i Goethe. Sądząc rzecz ze stanowiska historyi literatury, trzeba powiedzieć, że myśl ta jest nieco jednostronną i przesadną, ale z drugiej strony ma w sobie wiele słuszności. W każdym razie Dante należy do tych poetów literatury powszechnej, których sława żyć będzie po wszystkie wieki i których arcydzieła zawsze ludzkość zajmować będą, jak długo tylko trwać będzie miłość dla prawdziwej, rzetelnej poezyi. Nic więc dziwnego, że pojawiają się coraz to nowe dzieła o jego pismach, a krytycy nieustannie zaszczycają jego „Komedyę", ten najbardziej tajemniczy i najgłębszy utwór ze wszystkich dzieł poetycznych nowemi pracami literackiemi i estetycznemi. Aby jednak Dantego dobrze osądzić i jego nieśmiertelną „Komedyę" gruntownie zrozumieć, do tego jest bezwarunkowo konieczną znajomość jego czasów, bo właśnie Dante jest poetą κατ' ἐξοχήν średnich wieków. Z tego najsłuszniejszego stanowiska wychodzi i Federn i usiłuje dać na tle historycznym wszechstronne, głębokie zrozumienie dzieł wieszcza. Odtwarza przeto w pierwszej części obraz średnich wieków w ogólnych zarysach, ażeby następnie w drugiej części kroczyć ścieżkami Dantego przez ten świat ponury, odległy, dla nas na pół tylko oświetlony, ścieżkami jego życia. Niestety, nie jest ta monografia (by nasz sąd zaraz tutaj krótko sformułować) zbogaceniem literatury Dantego; czasy ówczesne są bardzo jednostronnie skreślone a arcydzieło poety scharakteryzowane powierzchownie, bez głębszego wniknięcia w świat idei. Na dowód wystarczy przytoczyć kilka uwag i charakterystycznych rysów autora.

Cały różnobarwny obraz średniowiecza we Włoszech uchwycony jest z punktu bardzo jednostronnego, wyłącznie protestanckiego, ze stanowiska niemal niewierzącego człowieka i dowodzi w wysokim stopniu powierzchownej znajomości ówczesnych prądów. Na podstawie z góry powziętych a dotąd dla siebie niewzruszonych zapatrywań twierdzi Federn, że wieki średnie są czasem barbarzyństwa, ciemnoty, tyranii ducha i ogłupienia, stąd też maluje je tylko w czarnych kolorach. Tem się łatwo tłumaczy niehistoryczna metoda autora, że przywodzi tylko

takie rysy, które dopasowują do ram utworzonego z góry obrazu. Dowodzi tego zaraz pierwszy rozdział: *Die Zerstörung der Antike.*

Że średniowieczna kultura nie mogła od razu wznieść się na wyżyny rozwoju, żaden znawca tych czasów nie zaprzeczy, ale mówić o zupełnym braku kultury, mającej przecież za podstawę cywilizacyę starożytną, jak to czyni autor, i na dowód tego przytaczać jako jedyny argument siedmiowiekowe pustoszenie Europy przez wędrówki narodów, napady Arabów i Saracenów jest w każdym razie nie bardzo historycznem i dostatecznem. Jest to rzeczą wiadomą, że zachowanie staro żytnej kultury zawdzięczamy przedewszystkiem klasztorom, gdzie łacińską poezyę wysoko ceniono i pielęgnowano. Dopiero w XIII. wieku upada ona wskutek rozkwitu nauk filozoficznych i teologicznych i wskutek licznych politycznych zaburzeń i wojen. Więcej przeto gruntowności byłoby tu rzeczą pożądaną. Przy końcu tego rozdziału przeprowadza autor porównanie między średniowiecznem brudnem a starożytnem błyszczącem od bogactwa i sztuki miastem, ażeby w ten sposób uwydatnić silną różnicę tych dwóch wieków. Obrachowane na efekt porównanie to jest trafnem, z punktu za to historycznego i naukowego jest dziecinnem i śmiesznem.

Drugi rozdział omawia nowe ideały, które przyniosło chrześcijaństwo. Tutaj właśnie zaznacza się ostro modernistyczne, sceptyczne stanowisko autora. „Ideałem starożytności, pisze autor, była godność, wzniosłość, wielkoduszność, ufność w swe siły i nieprzeparta stałość w działaniu. Chrześcijaństwo wynosiło pokorę, posłuszeństwo, ofiarę z siebie samego, — proste przeciwieństwo do tamtego“ (!). Normalnie rozwinięty i zdrowy rozum próżno się będzie silił na wykazanie tego przeciwieństwa, którego tu wcale niema. Nowy dowód, że uprzedzenie i logiczna ślepota idą ręka w rękę. Od każdego zresztą, choćby jako tako po chrześcijańsku wychowanego dziecka mógł się autor dowiedzieć, że chrześcijaństwo wszystkie owe przypisane starożytności ideały wielbi także jako swoje, tylko że pojmuje je w stopniu o wiele wyższym, wznoszącym się niekiedy aż do heroizmu. Podczas gdy, prowadzi dalej porównania cała starożytna kultura była tylko zmysłowo wesołą i dlatego tak bardzo artystyczną, wielbiącą swobodne a twórcze oddanie się życiu, — nauczał chrystyanizm zaparcia się i wyrzeczenia życia (!). Kościół był nieprzyjacielem piękna i wszelkiej uciechy światowej (!?); znowu zapatrywanie jednostronne a po części fałszywe, i nowy dowód, że autor nie ma żadnego zrozumienia ani pojęcia o prawdziwym duchu religii katolickiej. Ażeby scharakteryzować okru-

cieństwa Kościoła, trzeba było, oczywiście, powtórzyć starą, niemądrą bajkę o cesarzu Henryku IV., „jak trzy dni w pokutnych szatach stał w śniegu (!) przed Kanosą". Dziwnem jest tylko, jak rozum autora nie mógł pojąć, że przecież w takim wypadku cesarz musiałby albo umarznąć albo, w najlepszym razie, nabawić się silnego kataru, — a przecież o tem nie pisze żaden z ówczesnych kronikarzy, ani późniejsze dzieła historyczne; owszem nie wywietrzyli tego nawet najsubtelniejsi a Kościołowi niechętnie usposobieni szperacze.

Co autor w następnych rozdziałach o wiedzy średnich wieków, a zwłaszcza o scholastyce pisze, może tylko wywołać uśmiech rozumnego czytelnika i znawcy. Zapatrywanie Federna skupia się w tych słowach: „Uważane w samych sobie i w najbliższych swych rezultatach, są dzieła scholastyczne ogromną, sześciowiekową pracą Syzyfową koło tego, o czem wiedzieć nie możemy" (p. 63), — słowa, które wszelkiemu rozumowi zaprzeczają i najdowodniej pokazują, że autor nie ma pojęcia o właściwej scholastyce i jej znaczeniu. Tem trudniej to zrozumieć, ponieważ właśnie scholastyczna filozofia odżyła w ostatnich czasach i zajmuje sobą głębokie umysły i tęgich myślicieli, — a o tym prądzie pisarz, jako człowiek wykształcony, wiedzieć przecież powinien.

Te i tym podobne fałszowania i przekręcania prawdy historycznej znajdują się prawie na każdej stronie książki, a Kościół ma, według bystrych twierdzeń autora, strasznie wiele na sumieniu. Wszak sam upadek *Minnesängerów* i rycerstwa jest dziełem Kościoła i zakonów, a „Franciszkanie przedewszystkiem zniszczyli rycerską kulturę Niemiec" (!!) (str. 99).

Tyle o pierwszej części; w drugiej krótszej zajmuje się Federn życiem i arcydziełem Dantego. Odnośnie do Beatricy obiera pośrednią drogę, upatrując w niej za innymi badaczami podwójną istotę: Beatrice jest ziemską kochanką lat młodzieńczych Dantego, a zarazem symbolem. Ale już zupełnie po macoszemu traktuje główne dzieło Dantego, „Boską Komedyę". Na 28 stronach ostatniego rozdziału uporał się z nią całą. A jeżeli odliczymy jeszcze luźne i długie cytaty z samego poematu i wiele illustracyj, to na właściwy estetyczny komentarz pozostanie zaledwie 7 stron, — tak więc nawet głównych kwestyj niepodobna wystarczająco dotknąć. Rzeczywiście też dowiadujemy się od autora bardzo mało, a czytelnik, który nie zna dokładnie Dantego, z rozczarowaniem odłoży książkę na bok, bo po lekturze tyle wie, ile wiedział przed nią.

Zestawienie poematu z tłem czasu nie udało się, mimo długiej pierwszej części; każda bowiem część stanowi niezależnie od drugiej dla siebie całość, co oczywiście uniemożliwia zrozumienie utworu. Przytem autor bardzo sobie zadanie ułatwił: obrabiając „Piekło“ mówi o sławnym epizodzie Franciszki tj. cytuje go w całości, podobnie załatwia się ze sceną Ugolina, a potem podaje w krótkich słowach dalszą treść całego dzieła, mówi nieco o jego znaczeniu i budowie, i sądzi, że tym sposobem dał nam wystarczające zrozumienie poematu. To też jedynym rezultatam tej monografii o najgłębszym ze wszystkich poecie, jest żal czytelnika, że na dzieło o 235 stronach wiele czasu stracił a nie wzbogacił ani pogłębił swoich wiadomości. Niektóre dobre myśli tu i ówdzie rozrzucone, nie wpływają oczywiście na zmianę sądu o pracy, kiedy w niej pierwszy plan zajmuje to, co jest złem i fałszywem. Najcenniejszą rzeczą w całej książce jest najwyżej piękna oprawa, dobry papier, czytelny druk i, po części, luźne illustracye, choć i one pozostawiają wiele do życzenia, bo większa część wypadła dość licho i niewyraźnie.

Powyższe dzieło należy do zbioru p. t. *Dichter und Darsteller,* który to zbiór wydaje się być tylko finansową spekulacyą księgarską, obrachowaną na to, by zapomocą pięknej zewnętrznej strony książek a przedewszystkiem ilustracyj, ściągać grosz z kieszeni czytelników do worków księgarzy.

Ks. Maksymilian Kohlsdorfer.

Spemanns goldenes Buch der Weltlitteratur. Eine Hauskunde für Jedermann. Berlin u. Stuttgart. Verlag von W. Spemann. 1901. (Str. II, 912).

Oryginalne to dzieło! W modernistycznej, złotem błyszczącej okładce, zawiera na 912 str. dłuższe lub krótsze opracowania literatury powszechnej, przedstawia nam więc literaturę oryentalną, niemiecką, angielską, amerykańską, holenderską, skandynawską, włoską, francuską, hiszpańską, portugalską, rosyjską, polską, węgierską, rumuńską, nowogrecką, czeską, serbską i kroacką; w 609 alfabetycznie ułożonych biografiach zaznajamia nas z najnowszymi, przeważnie jeszcze żyjącymi autorami i illustruje te historyczno-krytyczne żywoty 424 udatnymi portretami, nie wliczając w to dalszych 131 portretów, wciągniętych w sam tekst literatury. W osobnych artykułach mówi nam nadto o powstaniu i rozwoju poezyi, o dziennikarstwie, o historyi i technice dramatu i teatru, o książce, a więc o bibliotece i księgarni, po-

daje cenne wskazówki dla początkujących pisarzy i zawiera jeszcze osobny dział aforyzmów o poetach, książkach i czytelnikach; na ostatniej zaś stronie uczy na dokładnym wzorze robić korektę drukową.

Dzieło to jest trzeciem czy czwartem w szeregu innych wpierw już pod ogólnym tytułem: *Spemanns Hauskunde*, wydanych. Wyszły dotąd: *Das goldene Buch der Musik*. *Das goldene Buch der Kunst* i *Das goldene Buch der Sitte*. Przyjęto je rozmaicie, szczególniej dzieło o muzyce spotkało się z ostrą krytyką, jeżeli się jednak uwzględni, że książki te nie są pisane dla fachowych, ale tylko dla przeciętnego czytelnika, to przyznać trzeba, że dość dobrze odpowiadają swemu celowi, którym jest oryentować publiczność w danej materyi i dać jakie takie pojęcie o przedmiocie. Wobec tego założenia krytyka właściwie ustaje, tem bardziej gdy śmiesznie nizką cenę uwzględnimy (6 marek). Dlatego tylko kilka uwag.

Od traktatów o literaturze powszechnej nie możemy wprawdzie wymagać, żeby nam dały pogląd szczegółowy, ale możemy żądać poglądu jasnego i prawdziwego, obejmującego całokształt danej gałęzi wielkiego drzewa piśmiennictwa. W tym punkcie „Złota księga“ nas nie zadawalnia. Poglądy na literaturę n. p. hebrajską są śmieszne, pisane z stanowiska już nie protestanckiego, ale wprost racyonalistycznego; autor zupełnie nie uwzględnia badań nowszych, a o katolickich pracach na tem polu nie ma nawet pojęcia. Brak należytej proporcyi utrudnia nie mało osiągnięcie zamierzonego celu. Literaturze niemieckiej poświęcono przeszło 160 stron, angielskiej przeszło 110, włoskiej za to 30, francuskiej 50, polskiej 13, portugalskiej 6, rumuńskiej, nowogreckiej, czeskiej, serbskiej i kroackiej razem 17. Utrudnia to niepomiernie oryentowanie się, a sądy autorów (dzieło jest pracą zbiorową), choć często prawdziwe, wydają się nieuzasadnionemi, ponieważ nic w tekście o nich nie wspominają, ani ich na utworach i autorach poszczególnych nie wykazują. Pomijając błędy nazwiskowe, musimy jednak podnieść tę niedogodność, że nie wyliczają zawsze najważniejszych przedstawicieli danej literatury, lecz, jak się zdaje, tylko więcej sobie znanych, a jeżeli jedne, choć w ogólnych zarysach, prowadzą do ostatnich czasów, jak n. p. literaturę polską, to inne kończą na autorach z przed 40 lub 50 laty.

Więcej możemy pochwalić biografie, które w rzeczy samej są prawie tylko biografiami, podającemi nam kilka dat z życia najwybitniejszych umysłów nowszych czasów. Nie są one, rozumie się, wyczerpujące, ale dość wystarczające. Sądów o pismach zwykle nie za-

wierają, a główną ich wadą jest to, że piszą przeważnie o Niemcach, mało za to o innych. Gdzie znajduje się miejsce dla tylu średnich talentów, zupełnie poza Niemcami nieznanych, tamby się mogło znaleźć i miejsce dla Jörgensena n. p. Colomy, Perez Galdosa, Parkera, Seebera lub pani Herbert. Z polskich spotkaliśmy: Sienkiewicza, Orzeszkową (te dwa z portretami), Prusa i Moszkowskiego. W każdym razie dział biograficzny jest prawie najlepszy, a nie wiele przynajmniej ustępuje działowi o dziennikarstwie, opracowanemu przez fachowego znawcę dra Ludwika Salomona, znanego już czytelnikom *Przeglądu*[1].

Goldenes Buch nie potrafi więc zadowolnić, może jednak oddać niemałe usługi, szczególniej jako pewien rodzaj encyklopedyi literatury.

Ks. Wiktor Wiecki.

Impressions et souvenirs d'aveugle. Par *Maurice de la Sizeranne.*

Nie brak we Francyi dziś braci połączonych ze sobą nietylko węzłami krwi lecz i jednością darów. Kilka takich talentów bratnich, dziwnie związanych sercem i piórem, wymienić w tej chwili można. Ledwo zniknęli bracia Goncourt, aliści się pojawili bracia Margueritte. Dziś o innej znów parze czytelnikom wspomnimy, o braciach de la Sizeranne. Różne ich losy, różne pole pracy: jeden, Robert, obdarzony zaostrzonym zmysłem i poczuciem zewnętrznego piękna, kreśli świetne studya estetyczne. Umie patrzeć a patrzy głęboko, i co więcej, uczy jak patrzeć należy, aby znaleźć piękno i takowe wchłonąć. Ale gdy tak brat jeden służy swemi oczyma szerszym kołom czytelników, drugi sam w dziesiątym roku życia ociemniały, światłem nie oczu swych lecz duszy próbuje rozjaśnić mrok nieszczęśliwych, którzy podobnie jak i on, pozbawieni są wzroku Całe życie poświęcił niesieniu ulgi braciom swoim w niedoli, dzieleniu się z nimi skarbami własnej pogodnej, jasnej duszy. Już przed kilkoma laty, Akademia francuska uwieńczyła jego rzewną książkę: *Les aveugles par un aveugle,* zawierającą istną psychologię tego ciężkiego kalectwa. Dziś w osobnem wydaniu zbiorowem, Maurycy de la Sizeranne zebrał pięć pełnych rzewnego wdzięku urywków. Oto tytuły tych odrębnych rozdziałów: „Dom“ (to jest czem jest dom dla niewidomego), „Co ociemniały widzi w podróży“, „Obłóczyny u Sióstr św. Pawła“ (jest to zgromadzenie złożone z ociemniałych), „Wnętrza ślepych“, „Prawdziwy organista chrześcijański“.

[1] *Przegląd Powszechny* r. 1900, t. LXVII, str. 280.

W różnych czasopismach pojawiały się owe urywki, zebrane w rzewnej całości. Na osobną wzmiankę zasługuje rozdział ostatni. Wiadomo jak dalece zmysł słuchu i muzykalności zwykły się rozwijać u ociemniałych. To też zakłady niewidomych i schroniska dostarczają przeważną liczbę organistów, stroicieli fortepianów, nauczycieli muzyki. Lebel, długoletni organista przy paryskim kościele St. Etienne du Mont, łączył z wielkim talentem niemniejszą pobożność. Modlił się grą swą na organach i pobudzał też wiernych do modlitwy. W sztuce upatrywał środek rwania dusz słuchaczy w niebiosa. Ale jeśli sam Lebel, który był prawie świętym, tyle z duszy swej wkładał w grę swoją, słusznie powtórzyć można, iż i jego biograf część swej gorącej, litościwej, współczującej duszy w tych kartach zostawił. Pan Maurycy de la Sizeranne jest sekretarzem Towarzystwa opieki nad ociemniałymi pod nazwą Walentego Haüy. Książeczkę jego starannie wydaną, sprzedają na cele rzeczonego stowarzyszenia. Idzie ona w świat z przedmową poety Coppée'go, gotowego podawać rękę i oddawać słowo każdej zbożnej robocie i dziełu chrześcijańskiej miłości. O p. de la Sizeranne można powtórzyć wiersz jenerała Morawskiego, poświęcony innej ofierze bolesnego kalectwa:

Noc mu oczy zalała,
Bóg rozjaśnił duszę.

M.

William Cotton Oswell, Hunter and Explorer by his eldest son. London, Hunemann. 1901.

Wiek XIX., docierając w głąb Afryki, słusznie chlubić się może rycerskim zastępem pionierów cywilizacyi, którzy pierwsi wytknęli, nieraz kosztem życia i zdrowia, szlaki którędy dziś chrześcijańska płynie oświata. Wśród tych pionierów, bodaj zawsze pierwsze miejsce, zachowa złożony w podziemiach Westminsteru, Dawid Livingstone. Atoli wśród tych co się najwięcej rozkoszowali w jego zapiskach, mało kto wspomina wieloletniego towarzysza jego wypraw, mało kto się domyśla jak znaczną część dokonanych przez Livingstone'a odkryć i podbojów należałoby odnieść do Williama Oswella, którego zaradność, dzielność, oraz nadzwyczajny zmysł eksploracyjny i rzadki talent prowadzenia ludzi, nieocenionej dostarczyły pomocy Livingstone'owi. Powróciwszy do domu, do ojczyzny, Oswell nie umiał się zdobyć na treściwe spisanie swych doświadczeń podróżnych. Imał się chętniej strzelby aniżeli pióra. Stosunek wzajemny Livingstone'a i Oswella nigdy się nie

zamącił. Pierwszy rad świadczył o odwadze przyjaciela i ogromnych usługach, które mu tenże oddał. W oczach Oswella, Livingstone pozostał zawsze niedorównanym podróżnikiem, sam o sobie skromnie mawiał, że powierzone sobie miał nogi karawany, bo utrzymanie ludzi i bydła, nie wspominał do jakiego stopnia bywał i onej głową. O powołaniu jego rozstrzygnął urlop otrzymany z powodów zdrowia w cywilnym zarządzie Indyi. Udał się wtedy do południowej Afryki. Niebawem, połączył się z Livingstone'm a organizacyą wspólnej wyprawy po przez bezwodną pustynię Kalahari, złożył dowody istnego geniuszu eksploratora. Myśliwskie jego zapiski z okolic lepiej nawodnionych są po prostu zdumiewające. Czytelnik niemal ubolewa nad zbyt wspaniałemi rozkładami, zważywszy, iż w nich nie rzadko znaleźć przychodzi znikające lub zanikłe już całkiem gatunki. Ale ubita zwierzyna ratowała od głodowej śmierci bierne pokolenie tubylców, co w części usprawiedliwia zbyt obfite rzezie. „Więcej tam bywało, pisze, zwierza aniżeli krzaków. Dalej, nad jeziorem Kamadu, zdybałem raz gromadę, bodaj 400 słoni drzemiących w cieniu gajów mimozy. Jak daleko okiem było sięgnąć, nie widziało się nic krom słoni, skupionych w pomniejszych gromadkach. Dla zmierzenia niesłychanej w tych stronach ilości zwierzyny dość nadmienić, iż jedna strzelba wystarczyłaby łacno, aby wyżywić przez całe miesiące karawanę złożoną choćby z 800 ludzi".

Oswell rzadko imał się pióra, umiał atoli wybornie oddać silniejsze wrażenia otrzymane w owych dniach niezapomnianych. Ale życie jego nie miało przeminąć wyłącznie wśród dalekich wędrówek. Niebawem domowe szczęście ustaliło jego przeznaczenie i stąd urosła druga część biografii, mniej barwna, lecz ogromnie ciekawa i pouczająca, przedewszystkiem odzwierciedleniem stosunku ojcowskiego wobec rosnących i dorastających synów. Listy Oswella pozwalają ocenić bardzo subtelne stopniowanie tego stosunku w miarę, jak chłopcy do męskiego przybliżają się wieku. Przedewszystkiem nie zapomina on nigdy, że sam był kiedyś malcem, studentem, bodaj swawolnikiem i doskonale umie się stawiać w położeniu dziecka. Zamiast morałów i łajań, wyrabia w nich zaufanie i stąd może im powtarzać podwójne zalecenia, aby nie pracowali nad siły, a w razie kłopotów finansowych, od razu się do niego uciekali i jeszcze zwierzali. W jednym np. liście uwalnia synów od konieczności zdobywania nagród szkolnych. Nagrody te nie zawsze rozstrzygają o zasłudze, a jemu tylko chodzi „o szczerą, wytrwałą, poczciwą pracę, nie nadwerężającą ślęczeniem sił fizycznych, bo takiej właśnie

trzeba w tym świecie, takiej tylko i niebo od nas wymaga... Co do mnie, pragnę was mieć przedewszystkiem bogobojnych i szczerych, następnie zdrowych i mocnych, a dopiero na ostatku, bez uszczerbku dla tamtych warunków, wykształconych i uczonych".

Na innem miejscu pyta synów czy pragną, aby zjechał na uroczyste święto szkolne. „Nie potrzebujecie mi mówić, że chłopcy nie zawsze radzi kolegom pokazać swych rodziców, nie żeby ich się wstydzić mieli, lecz z obawy, aby inni studenci nie wytknęli im jakich oryginalności lub dziwactw. Przecież sam byłem chłopcem i doskonale wyrozumiem waszym uczuciom, których wyraz urazić mnie nie potrafi".

Wyborne są rady jego dla synów, zaczynających już życie na własną rękę, jak im poleca wierność najbliższym obowiązkom i dobroć też dla najbliżej siebie postawionych ludzi.

Śliczne te listy ojcowskie nie ustępują podróżnym zapiskom towarzysza Livingstone'a. To też niniejszą publikacyę słusznie zaliczyć należy do rzędu lepszych książek, wydanych w Anglii na przełomie dwóch wieków. Płynie z niej ta krzepkość ducha, którą wyrabiać zwykły niebezpieczne wyprawy pionierów cywilizacyi.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

NOWA FAZA W RUCHU «LOS VON ROM».

Przed kilku zaledwie tygodniami wyczytaliśmy w gazetach niemieckich, że rząd pruski, któremu zagładą grozi Kościół katolicki a jeszcze więcej naród polski, postanowił nietylko utrudnić wszelką pracę apostolską dla polskich i czeskich robotników w diasporze i ograniczyć działalność zagranicznych misyonarzy dla katolików niemieckich, ale równocześnie wydał rozkaz, mocą którego wszyscy księża polscy i czescy dla emigracyi robotniczej w Niemczech pracujący, muszą pod grozą kar państwo opuścić. Zapewne jako *pendant* do tego tak mądrego rozporządzenia, przyniósł w dniu 30 listopada ubiegłego roku telegram z Weimaru decyzyę, zapadłą na posiedzeniach „związku ewangelickiego“, który polecił wysłać do Austryi czterdziestu protestanckich pastorów, aby pomagali tamże w szerzeniu się ruchu przeciwrzymskiego. Ażeby zaś tem skuteczniej cel ten osiągnąć można, ustanowił *Evangelischer Bund* na cele agitacyjne skromną sumę 200.000 marek!

Ta dobrze obmyślana krecia robota dziwnie odbija od powyższych rozporządzeń rządu niemieckiego, a ponieważ w samej Austryi nie może się zbyt dodatniemi rezultatami pochwalić — wszystkie bowiem te tysiące, które przerażone rozkładaniem się

katolicyzmu dążyły usilnie do pozyskania spokoju sumienia i postanowiły przejść do „czystej ewangelii“, istnieją przeważnie na papierze albo obejmują pewne indywidua, których odstępstwo od Kościoła dla samego Kościoła tylko zbawiennem było i być musiało, — uchwalono przerzucić się także do kraju słowiańskiego, do Czech, aby i ten naród mógł korzystać z błogiego szczęścia ewangelicznego. Uchwalono to tem chętniej, że niemieccy katolicy w Austryi, chociaż w ostatnich czasach odznaczali się zasadami bardzo, bardzo liberalnemi, nie umieli się jednak zdobyć na tyle odwagi, żeby iść w ślady odstępców i nie zerwali starych węzłów, łączących ich z Rzymem. Trzeba więc było szukać obfitszego połowu u Czechów, którzy jednak również nie potrafią czy nie chcą ocenić szczęścia, jakie im *Evangelischer Bund* z słodkim uśmiechem faryzeusza w darze przynosi.

A umieją związkowcy bardzo zręcznie zarzucać sieci. Robotnicy czescy w industryjnych obwodach kraju, zależąc we wszystkiem od swych przeważnie protestanckich panów, którzy rozmaitemi sztuczkami potrafili raz na zawsze przynależność do Kościoła katolickiego wypędzić im z głowy i z serca, „po wielkich walkach i wewnętrznem szamotaniu się“, — tak proroczym tonem głosi wychodząca w Bielic *Evangelische Kirchenzeitung für Österreich*, — ogłosili przed starostami, że występują z grona Kościoła, odbiegłego od nauki Chrystusa a idą jej szukać tam, gdzie ją jeszcze w pełnym rozkwicie znaleźć mogą. Nie zazdrościmy tego nabytku, który i tak na bardzo mało co się zda, ale „te walki i wewnętrzne szamotanie się!“ Odstępcy nie mogli walczyć ze swemi przekonaniami katolickiemi, bo ich nigdy nie mieli; — wiemy, jakie przekonania dziś w obozie robotniczym krążą — pozbyć się czegoś, czego się nigdy nie posiadało, do tego nie potrzeba szamotania się, przyjąć zaś na siebie ciężar, który żadnych prawie obowiązków nie nakłada a rozmaitemi korzyściami ziemskiemi do siebie woła, chyba też bez walki i przejść duchowych można, mimo to „Brutus mówi a wiem, że Brutus zacnym jest człowiekiem“.

Według dokładnych danych statystycznych, przeszło w Cze-

chach od 1 stycznia 1899 do 30 września 1900 roku, a więc w ciągu ośmnastu miesięcy, na protestantyzm 4135 osób. Liczba ta może się trochę niepodobać a nawet niepokoić; jeżeli jednak weźmiemy na uwagę teroryzm niemiecko-radykalnej partyi, presyę wywieraną przez właścicieli, którzy tysiącom robotników dają chleb, wielką ruchliwość wysłańców związku ewangelickiego, cały potop pamfletów, broszur i ulotnych pism, wystawiających ze zwykłem zamiłowaniem prawdy Kościół jako stek zbrodni a protestantyzm przeciwnie jako ideał wiary; jeżeli nie pominiemy dalej nadzwyczajnej obojętności religijnej szczególniej w północnych Czechach i niewystarczającego przeciwdziałania ze strony katolickiej, jak o tem świadczą nie bardzo pochlebne fakta; jeżeli nadto zwrócimy uwagę na samychże odstępców, którzy już dawno wszelkiej albo przynajmniej praktykującej wiary się pozbyli, to powyższe liczby wydają się śmiesznie małe. Odczuli to dobrze agitatorzy protestanccy a na pierwszem miejscu niespokojne duchy, pokutujące w *Evangelische Kirchenzeitung*. Przesadzają się też na wyścigi w szkalowaniu wszystkich i wszystkiego, cokolwiek stoi na ich drodze, wiodącej bezpośrednio do głoszenia czystej ewangelii, a następnie do symbolicznych pruskich b ł a w a t k ó w. Starym a praktyką czasów i wszelkich szlachetnych umysłów bardzo uzasadnionym zwyczajem, dostają się pierwsze i to nie najmniejsze cięgi Jezuitom (więc i oni na coś jeszcze się zdadzą!), za to, że misyami chcą podnieść w Czechach ducha katolickiego i samowiedzę religijną. Błogosławią też, choć trochę umiarkowaniej, policyę za konfiskaty gazet i broszur, choć te gazety i broszury tak niewinne i drogą malutkich tylko kłamstewek do wysokich dążą celów. Tyle jednak, co i Jezuitom, a może i więcej, oberwało się namiestnikom, czeskiemu i morawskiemu, hr. Coudenhove i Zerotinowi. A jakież ich zbrodnie? Oto namiestnik czeski wspomaga katolickie parafie datkami pieniężnemi, przeznaczonemi na budowę kościołów. Ten sam niebezpieczny wróg „urządza obławy na ewangelickich pastorów z k r a j u, a palcem nawet nie ruszy, gdy pod jego bokiem kapłan-książe Maksymilian saski, publicznie przeciw protestantom występuje“. Co więcej! Protestancki wikary z Komo-

tau czeka już jedenaście miesięcy na prawo obywatelstwa i upoważnienie, a czeka na próżno; pastor z Eger, choć rodowity Austryak, nie otrzymał jeszcze potwierdzenia, gdy tymczasem niemiecki Jezuita Kinzer (co za bezczelność!), wezwany przez klerykałów do walki z tak zbawiennym ewangelickim ruchem, już po czterech tygodniach w poczet obywateli zaliczony został! Czyż to nie okropne? A jednak prawie dosłownie tak pisze *Evangelische Kirchenzeitung* pod dniem 15 listopada 1900 r.

Że namiestnik urządza obławy na kilku przewrotnych i fanatycznych agitatorów niemieckich, którzy pod płaszczykiem czystej ewangelii z całkiem innemi noszą się planami i do trochę innych dążą celów, nic w tem znowu tak dziwnego; to nietylko jego prawo, ale i obowiązek. Zresztą byliśmy do niedawna i jesteśmy jeszcze dzisiaj w pewnem sąsiedniem państwie, gdzie bławatki kwitną, świadkami całkiem innych obław, urządzanych na ludzi spokojnych, których jedynym grzechem jest to, że ze słowem pociechy i pomocy religijnej idą do swych braci na Zachodzie, pracujących tam w pocie czoła na kawałek chleba, którego im ojczyzna dać nie może. A jeżeli już chodzi o równouprawnienie, to na takie braki skarżyć się nie mogą apostołowie tego kraju, w którym systematycznie to uprawnienie nietylko się pomija, ale i po barbarzyńsku pogwałca. Możemy cytować trochę inne fakta, niż to uczyniła *Kirchenzeitung*, która ostatecznie do dna rzeczy nie sięgła, lecz wolała, wzorem rycerza z Manszy, walczyć z wiatrakami. Nie ucisk, możemy to zdradzić i *Kirchenzeitung* i sławnemu organowi związku Ulrycha Huttena w Innsbrucku, nie ucisk przeszkadza krzewieniu się protestantyzmu w Czechach; tego ucisku tam niema. Możnaby owszem zarzucić, że urzędnicy, niepomni swych przysiąg, za małą tamę stawiają tej, hańbę tylko ludzkości przynoszącej, dżumie. Przywiązanie do Kościoła i wiary ojców, zdrowy zmysł ludności, pozostawionej samej sobie i miłość kraju powstrzymują ten potok, który gdyby raz tamę zerwał, musiałby całą krainę zalać i raz na zawsze pogrążyć ją w rozhukanych falach.

Zdaje się, że i Niemcy i wysłannicy *Bund*'u, zaczynają powoli to rozumieć, i dla tego ostatnie dnie przyniosły miłą nie-

spodziankę, połączenie się mianowicie radykałów niemieckich z husytyzmem czeskim, największym pangermaństwa wrogiem.

W roku 1895 przeszedł czeski ksiądz, Ischka, na starokatolicyzm, ożenił się, co na razie było najważniejszem, a starokatolicki biskup Herzog przyjął go do grona kleru szwajcarskiego. Od r. 1897 dążyły wszystkie jego krętactwa do zbudowania czeskiego narodowego Kościoła, czyli, jak się w założonem przez siebie piśmie *Narodni Katolik*, wyraził, chciał on utworzyć „autonomiczny czesko-słowiański Kościół, oparty na dawnych katolickich zasadach, a odpowiadający cyrylsko-metodyjskim i husyckim tradycyom narodu czeskiego". Do tego celu, pisze *Reichspost* z 5 listopada 1900 roku, prowadziły na pierwszem miejscu składki, urządzone dla wybudowania narodowego kościoła w Pradze; w kościele tym miał panować „czysty duch husycki", a wszelkie nabożeństwa miały się odprawiać w języku krajowym. Stare to sidła, wszędzie tak samo przez niespokojne umysły na niebacznych prostaczków zastawiane. Na przeszkodzie stanęło jednak prawo, zakazujące od czasów Ferdynanda II. podobnych nowości. Od kłopotów stąd wynikających mogło uwolnić Ischkę zaliczenie go do uznanego przez państwo starokatolickiego kleru. Cóż więc robić? Radykalni Niemcy nie chcieli nic o nim słyszeć i nie myśleli nim się zajmować, stąd też jego starania o poparcie partyi szły na marne.

Może się to wydawać trochę dziwnem, a było tylko politycznym fortelem. Niemcy dobrze to zrozumieli, że jeżeli poprą Ischkę, to powaga odstępcy wobec narodowościowych prądów w Czechach będzie zachwiana, a tak nie potrafi on nic wskórać przeciwko Rzymowi; Schönererowi zaś i głównemu szefowi jego sztabu, Wolfowi, najwięcej znowu o to chodziło. Udając więc, że nie sympatyzują z Ischką, oczekiwali tylko stosownej chwili, a chwila ta nadeszła w ubiegłym roku, gdy stanowisko apostaty było już trochę utwierdzonem. W maju 1900 r. przyjęto czeskiego herezyarchę za inicyatywą radykałów niemieckich do kleru starokatolickiego, a historya wykazała na nowo stary fakt, jak nienawiść Rzymu zaślepia i łączyć się każe między sobą najróżnorodniejszym elementom, które jedynie owa nienawiść wiąże;

boć jest powszechnie wiadomem, że z nazwiskiem Husa łączy się wspomnienie jednego z najsmutniejszych peryodów dla germanizmu. Miłość jednak tak gorąco ukochanego kraju, o której to miłości nadto tak się pięknie deklamuje i dla której dąży się nawet dość publicznie do wprowadzenia pierwiastków rozkładowych, konsekwetnie do zaguby państwa, które nie chce czy nie potrafi podobnym matactwom stawić wystarczającej tamy, patrzy się bardzo szeroko i pobłażliwie.

Wsparty wpływami radykałów, rozpoczął Ischka z niczem nie liczącą się gorliwością szerzyć fałszywą naukę i tumanić tłumy narodowem nabożeństwem, a szczególniej komunią pod dwiema postaciami. Ponieważ jednak, chociaż przyjęty do starokatolików, nie był mimo to przez rząd oficyalnie uznany, zakazało mu namiestnictwo praskie wszelkich funkcyj religijnych. Kiedy zakazy nic nie pomagały, aresztowała policya wiarołomnego księdza przy ołtarzu i jak był ubrany w szaty kościelne, zaprowadziła go do komisaryatu, gdzie uwolniony, najkrótszą drogą do kaplicy wrócił i tam rozpoczętej mszy dokończył. Aresztowano go powtórnie a kaplicę oddano pod nadzór. Krok ten władz czeskich był co najmniej nierozważny, takie postępowanie stwarza tylko męczenników. Nawiasem zaś mówiąc, cała ta błazeńska komedya dała pewnym naszym dziennikom znowu piękną okazyę, że mogły się rozwodzić nad nieposłuszeństwem, zgorszeniem i t. d. księdza, a przezornie opuściły małe słówko „starokatolickiego“ lub „apostaty“; takie jednak względy, gdy chodzi o przypięcie łatki Kościołowi i gdy się ma do czynienia z naiwną a niewybredną publicznością, nie są krępujące.

O ile nam wiadomo, dotychczas jeszcze nie został Ischka przez państwo uznany i nie może się też jeszcze bezkarnie oddawać swej husyckiej propagandzie. Swoją drogą, ten odradzający się Hus nie zrobi więcej złego od ewangelickich stowarzyszeń lub partyi radykalnej niemieckiej; apostata, który wszedł w związki małżeńskie z córą Germanii, potępił siebie samego nie tylko jako odstępcę od wiary, ale i jako odstępcę narodowościowego, a to prędzej czy później jego ziomkom oczy otworzy i zgubną działalność ubezwładni. A i Schönererowcy

i *consortes* cało z tej łaźni nie wyjdą, gdyż „historya stawi ich pod pręgierz jako pomagających czynom, które w swych konsekwencyach oznaczają konieczne wielkie poszkodowanie sprawy niemieckiej".

W ostatnich nadto dniach zaszło zdarzenie, rozdwajające potrosze partyę a rzucające zarazem dużo światła na działalność radykałów. Organ Wolfa, *Ostdeutsche Rundschau,* stał się naraz bardzo pobożnym; ogłasza pełne namaszczenia kazania, opisuje melodramatycznie kościelne uroczystości protestanckie, poleca ascetyczne książki a przedewszystkiem biblię i t. d. Nie podobało się to Schönererowi, Irowi i innym. W zjadliwym, pełnym osobistych wycieczek i bluźnierstw artykule, piszą oni, że tak nie można ruchu *Los von Rom* pojmować a samo hasło *Los von Rom* trzeba raczej zamienić na pytanie: *Bloss von Rom?* Z dalszych nader ciekawych wywodów dowiadujemy się wreszcie, że w całym tym prądzie chodzi im o wyzbycie się wszelkiej religii i o zbliżenie do Niemiec. Tak jasno radykali, zdaje się, jeszcze nigdy swego programu nie objawili.

AGITACYE PROTESTANCKIE W HISZPANII.

Polip jednak protestantyzmu nie zadawalnia się względnie łatwemi zdobyczami w Austryi, lecz wyciąga swe zatrute ramiona i dalej ku Południowi i na Zachód. Nie tak dawno temu skarżył się Ojciec św. na audencyi pielgrzymów angielskich na propagandę protestancką w samym Rzymie. Nie znane są nam jeszcze bliższe szczegóły tego przeciwkościelnego kierunku we Włoszech, szczęśliwym za to trafem wpadła nam w ręce mała, lecz wielce ciekawa i pewnie tylko dla wtajemniczonych jako manuskrypt drukowana broszurka, omawiająca wzrost kościoła ewangelickiego w Hiszpanii. Autorem jej jest aż zbyt w kołach katolickich znany pastor Flieder, jeden z największych wrogów Kościoła, sławny szczególniej ze swych judzeń na posiedzeniach związku Gustawa Adolfa, gdzie odważnie odchylił przyłbicę i dał się poznać jako namiętny, fanatyczny agitator na korzyść czystej ewangelii, mający dla katolików jedynie pogardę i niewysłowioną prawie nienawiść. Człowiek ten roztacza przed nami z niezwykłą szczerością stan

protestantyzmu w Hiszpanii, i pokazuje środki, jakie mu pomagają do większego jego rozwoju.

Dowiadujemy się więc, że protestantyzm w Hiszpanii rusza się niezwykle; mają tam ewangelicy dużo kościołów i kaplic, a to nie tylko po miastach jak Madryt lub Granada, ale i po ubogich, trudno dostępnych, gdzieś we wnętrzu kraju leżących wioskach; na czele tych kościołów stoją pastorzy hiszpańscy, a więc krajowcy. W wielu miejscach pootwierali szkoły, i to nie tylko ludowe, lecz i wyższe zakłady a „rodzice z lepszych nawet stanów przynoszą nam swe dzieci... i dużo mamy powodów do dziękowania Bogu, że wszystkie te dzieci dostają się do domów, w których znajdują chrześcijańskie wychowanie". W szkołach, obok nauczycieli niemieckich, wykładają nauczyciele krajowi; dziewczętami zaś zajmują się Hiszpanki, w Niemczech przeważnie kształcone, a tym sposobem przykładają rękę „do tak zaniedbanego chrześcijańskiego wychowania dziewcząt tutejszych". Czego nie potrafią szkoły, tego dokonują ochronki dość gęsto w Hiszpanii rozsiane; przejmują się tam biedne sieroty duchem ewangelii i nieskalanej nauki Chrystusa Pana a poznają obłudę i fałsze Kościoła. Propaganda nie byłaby jednak dobrze zorganizowaną, gdyby nie zakładano także *Christliche Vereine;* idylicznemi farbami opisuje nam Flieder powstanie jednego takiego *Verein*'u. Dowiadujemy się tam, że Bóg nawet cuda dla protestantów działa, bo trudności, które, jak się zdawało, powinny były uniemożliwić po prostu powstanie zgromadzenia, ustały właśnie w tej chwili i w tej godzinie, w której chrześcijański pastor wraz z innymi modlił się w tym celu w dalekiej Westfalii. Propagandę prowadzą w ten sposób, że po 4 fenigi sprzedają biblie po wsiach i miastach i wciskają je w ręce każdemu, kogo napotkają. Rodziców pozyskują dla czystej nauki przez urządzanie zebrań, popisów a nawet *Christbaum*'u. Wszystko to rzeczy bardzo ciekawe i dziwne światło na stosunki hiszpańskie rzucające.

Nie brak wprawdzie i przeszkód. Na pierwszem miejscu stoją znowu, rozumie się, Jezuici, których uczniowie, podmówieni przez swych nauczycieli, burzą kaplice i domy protestantów,

a każdy, minister czy szlachcic, czy też fabrykant, jeżeli tylko Fliederowi i towarzyszom przeszkadza, jest z pewnością narzędziem w ręku Jezuitów. Te trudności nie zbijają swoją drogą z tropu pastora Fliedera. Umie on się tak zakrzątnąć, że nawet rząd jego sprawę popiera, a kiedy jakaś hołota wybiła parę okien w kaplicy luterskiej w Granadzie i połamała kilka krzeseł, musiał rząd grube zapłacić odszkodowanie, choć z całą sprawą nie miał nic do czynienia. Ale Flieder i protestanci mają silną broń w ręku; składki, jakie np. w roku zeszłym dla uciśnionego kościoła w barbarzyńskiej Hiszpanii napłynęły, dosięgły pokaźnej sumy 102.635 pesetów a i tego jeszcze na agitacyę nie starczyło, gdyż rozchody o ośm tysięcy dochód przewyższały. To wszystko nie przeszkadza jednak Fliederowi ostatniemi słowy lżyć Hiszpanii a szczególniej Kościoła katolickiego; ciekawiśmy niezmiernie, jakby sobie rząd pruski postąpił z księdzem galicyjskim np., któryby w Niemczech dla nawracania protestantów zamieszkał i stamtąd słał do nas publicznie swe korespondencye, pisane w duchu fliederowskim. Lecz z małą zmianą *quod licet bovi*... Nietylko początek ale pewien nawet rozwój protestantyzmu, rozszerzającego się w niższych przeważnie sferach hiszpańskich, jest dla kleru nauką, jak trzeba do ludu się zbliżyć i z nim dla zwalczania wroga połączyć. Apryorystyczne tylko potępienia i wymyślania nic nie pomogą, potrzeba więcej oświaty w sferze ducha katolickiego.

Nam nakoniec nasuwa się mimowoli jeszcze kilka uwag. Niemcy potępiają tak zwane gwałty, jakich się dopuszczają w Austryi i Hiszpanii władze i ludność na protestantach. Jak wobec tego wygląda tolerancya niemiecka? Oto mały wianek kwiatków tolerancyjnych. W Saksonii główny nadzór nad Kościołem ma minister kultu, bez którego pozwolenia nic robić nie można; wszak wikaryusz apostolski otrzymał od niego upomnienie, za ogłoszenie poleconej przez papieża nowenny do św. Ducha. O potrzebie erygowania nowych parafij sądzą władze protestanckie, a nie uznały tej potrzeby np. w Oelsnitz, choć liczba katolików dochodzi tam do 2.500 dusz; na większe jeszcze trudności napotyka urządzanie nabożeństw peryodycznych. Ka-

płan, któryby w Saksonii pracować chciał, musi koniecznie z cesarstwa niemieckiego pochodzić i wszelkie studya w Niemczech kończyć; kapłan austryacki nigdy tam agitować nie może, a gdyby czasami miał kazanie, dał rekolekcye lub przewodniczył misyom, a nawet i mszę św. odprawił, dopieroby poznał łagodną rękę niemiecką. Zajścia w Wechselburgu są czytelnikom naszym z numeru grudniowego znane, a takich zajść jest wiele. A Brunszwik lub Meklemburg? *Facta loquuntur*...

Ks. Wiktor Wiecki.

Pogadanka o ruchu artystycznym polskim.

Rok ubiegły zrodził się pod znakiem jubileuszowym. Na klasyczną ziemię włoską płynęły tłumy pobożnych pątników, by w bazylice Piotrowej szukać ukojenia dla smutków i troski dusznej. Na stolicę dawną Piastów i Jagiellonów zwrócił oczy świat uczony i składał hołdy dla jej wiekopomnych zasług cywilizacyjnych. W środowisku zaś nowożytnej kultury, w stolicy Francyi nad brzegami Sekwany zbiegły się narody ze wszystkich zakątków ziemi i niosły, każdy co miał najcenniejszego, by chełpić się swoim geniuszem, by czarować wielkością lub szczytnością zdobyczy własnej pracy. A wśród tych zawodów wielkiego świata zabrzmiał niekiedy i odzew polskiego imienia, i gdy w Krakowie przypominał, żeśmy byli, tak tutaj głosił, że jesteśmy i być chcemy. Sztuka polska wskutek warunków, jakie stwarza położenie polityczne narodu, rozprysła się na części i nie dawała w Paryżu jasnego o sobie pojęcia, o jej obszarze, jaki zajmuje, ani też w całości nie przedstawiała tej siły produkcyjnej, z jaką się istotnie przejawia i bujnie rozwija. Warszawscy wystawcy znaleźli przytułek w wielkim pałacu sztuk pięknych w sekcyi rosyjskiej w dwóch grupach, krakowscy głównie w sali secesyi austryackiej i pawilonie austryackim. Wreszcie okazy tegowiecznej sztuki polskiej, staraniem rzeźbiarza p. C. Godebskiego, znalazły pomieszczenie w salonach *Kunsthändlera* Jerzego Petit'a. Koło polskie artystyczno-literackie w Paryżu wydało tedy katalog, który rozprószone dzieła ujął bodaj w jednym spisie, skoro nie było możliwem urządzenie jednolitej wystawy sztuki polskiej. Obesłanie wystawy było wogóle pod względem jakościowym słabsze, aniżeli to było życzeniem

społeczeństwa polskiego, a sztuka polska przedstawiając się niżej rzeczywistości nie odniosła tego tryumfu jak np. roku 1882, kiedy Józef Chełmoński zdobył wielki dyplom honorowy. Trzy portrety pendzla artysty Myrtona Michalskiego w sekcyi międzynarodowej pozyskały złoty medal. Jednozgodnem zdaniem, wystawa w oddziale austryackim nie dorównywała ogółowi wystaw państw innych, współzawodnictwo tutaj było zatem łatwiejszem, gdyby więc które z dzieł sztuki, z obrazów lub rzeźb, było istotnie arcydziełem, wyróżniłoby się niewątpliwie i wyniosło ponad poziom otoczenia, tudzież łacno zdobyłoby najzaszczytniejszą nagrodę, wobec tego zwłaszcza, że ilość odznaczeń dla każdej sekcyi była z góry oznaczoną. Z pomiędzy przeszło 200 wystawionych obrazów zdobył p. Mehoffer za portret panny J. medal złoty; tak więc malarstwo portretowe, które pozostanie zawsze kamieniem probierczym sztuki malarskiej, zapanowało nad innemi działami. W portrecie artysta ma zawsze najtrudniejsze zadanie dostosowania swych środków technicznych i artystycznych do portretowanej osoby, zindywidualizowania jej i uduchowienia. W portretach też najczęściej i najbardziej razi maniera, która niweluje tak łatwo ludzkie typy, tak wskróś od siebie odmienne, i czyni z nich jakby członków jednej rodziny, tymczasem nie łączą tych ludzi nawet najdalsze węzły pokrewieństwa. Pan Mehoffer zrobił sobie imię dobrego portrecisty już na wystawie lwowskiej r. 1894, na której zyskał medal złoty za pyszny portret rzeźbiarza p. K. Laszczki; namalowany był on z całym realizmem i odczuciem charakterystyki. Artysta używa w swych malowanych podobiznach obficie akcesoryów i nie poprzestaje na postaci, głowie lub popiersiu samem lub jej ruchu charakterystycznym, jak to widzimy najczęściej w mistrzowskich portretach Rodakowskiego lub wybornych studyach i portretach prof. Wyczółkowskiego, ale charakteryzuje postać jeszcze otoczeniem, stwarza niejako obraz rodzajowy, i ten rys znamienny odnajduje się również na ostatnim portrecie plebana ks. P. na wystawie krak. obrazów; tutaj tło wnętrza kościelnego gra tak wybitną rolę, że w pierwszej chwili patrzy się na obraz, jak na utwór rodzajowego malarstwa. Podpis dopiero koryguje naszą omyłkę. Z szeregu paryskich laureatów otrzymali Malczewski za „Błędne koło“ i „Melancholię“, przed któremi zatrzymywały się tłumy widzów, które odczuwały duszę poety choć nie rozumiały, Fałat, Pankiewicz, Pochwalski, Stabrowski, Tetmajer, Wyczółkowski i Weyssenhoff medale srebrne; zaś bronzowe medale dostali: pp. Badowski, Gerson, Hirszenberg, Jasieński, Kędzierski, Loewy, Masłowski, Piątkowski, Piechowski, Rozen, Ryszkiewicz,

Żmurko. Wzmianki pochwalne: Boznańska, Lentz, Mordasiewicz, Pawliszak, Pilichowski, Rapacki, Stanisławski i Weiss.

Donioślejszego znaczenia jest zwycięstwo w międzynarodowem współzawodnictwie, jakie odniósł p. Mączyński architekt, który na konkursie paryskim wziął pierwszą nagrodę za projekt willi i p. Mehoffer w oddziale witrażów, gdzie pomieszczono znane z wystaw polskich witraże fryburskie, — dzieło, nagrodzone we Fryburgu nagrodą konkursową, w Krakowie nagrodą im. Barczewskiego, a teraz w Paryżu medalem złotym.

Jest wprost rzeczą niemożliwą, aby w tej krótkiej pogadance o ruchu artystycznym mówić o każdym artyście lub nawet każdym obrazie, studyum, rzeźbie, których w samym Krakowie przesunęło się przed oczyma naszemi w roku ubiegłym około tysiąca. Przedewszystkiem trzebaby mówić o trzech najgłośniejszych, a tak rozmaicie ocenianych: Mehofferze, Wyspiańskim i Malczewskim, lecz że podobno Redakcya ma już w tym względzie swoje plany na niedaleką przyszłość, nie chcę więc wchodzić w drogę.

Wystawa jubileuszowa była najważniejszym momentem zgromadzenia całego szeregu pierwszorzędnych dzieł sztuki. W salach Sukiennic urządzono zbiorową wystawę prac p. Antoniego Piotrowskiego, wśród których (podobno symboliczna) „Matka", leżąca czy też śpiąca nad brzegami Nilu i otoczona krokodylem, tudzież wężem, pożerającemi jej niemowlęta, oryginalna pomysłem i swą barwnością plam kolorowych, nie porywała atoli widzów, nie rozumiejących o co właściwie idzie. Więcej od innych pociągał piękny pejzaż „W ogródku Tetmajera". Potem w dniach Świąt Zielonych otwarto wystawę jubileuszową. Pod względem jej zaaranżowania, umiejętnego rozłożenia dzieł sztuki i harmonizującej z nią dekoracyi przedstawiała się tak uroczo, jak nigdy dotąd. Urządzało ją towarzystwo malarzy polskich „Sztuka". Pod względem jakościowym była niepoślednią; oprócz tutejszych wzięli w niej wybitny udział warszawscy i petersburscy artyści. Między nimi krajobrazy Ferdynanda Ruszczyca siłą swoją nastroju, raz niezwykle tragicznego, jak w „Balladzie", gdzie wśród szalonego huraganu tuż nad brzegiem wód majaczeje pędząca z wichrem aleą brzóz kareta z czerwonem półdjablem na koźle, to znowu pełen poezyi, spokoju i wyrazu, jakby baśń skądś z finlandzkich lub litewskich podsłuchana nadwodnych okolic; widok to nocny „Nad upustem" przy młynie z jazem i szeroko poniżej rozlaną wodą, całość oblana metalicznem i magicznem światłem księżyca, które drga i połyskuje jak stal na falach kołysanych spadającym w dół strumieniem upustu. Pp. Kazimierz Stabrowski i Włodzimierz

Nałęcz reprezentują wspólność ideałów i najwidoczniejsze wzajemne oddziaływanie pod względem techniki, atoli z różnicami niemałemi: Stabrowski więcej miękki, lubuje się w półtonach, chłodny, w koncepcyi mglisty, tymczasem Nałęcz, jasny i zdecydowany. Toż samo do pewnego stopnia dostrzegalne pokrewieństwo duchowe na obrazach tegorocznych Chełmońskiego i Tetmajera, aczkolwiek pierwszy Warszawianin, drugi jest Krakowianinem, jednak pewna łączność i wspólność ideowa, mimo tak odmiennej techniki jest najwidoczniejsza. W świetności swego plaineryzmu Tetmajer nie ma sobie równego, Chełmoński w podpatrzeniu życia w naturze; na jego płótnie przyroda cała żyje i tchnie tą Boską pięknością, z jaką ją Stwórca stworzył. Czy na kwietnej pod lasem łące, gdzie jastrząb żeru chciwy na spokojnem tle krajobrazu zawisł w powietrzu, czy „Na folwarku", gdzie koń przepyszny rusza z miejsca, czy w „Szopce" lub na niezgłębionych jeziora wodach: „Świtezi", wszędzie czuć mistrza, który pulsujące życie natury przelewa z niesłychanym darem dostrzegawczym w ramy obrazu. Oddech trzęsawisk, topieli i pól niosą z sobą utwory p. Kaspra Żelechowskiego, folklorysty w sztuce malarskiej, który baśnie ludowe z całą zabobonną ich cechą, i siłą fantazyi, wierną, szczerą, tak jak ona się istotnie manifestuje, odtwarza na krajobrazach naszych podkrakowskich okolic. Jego nastrojowe „Nokturn" i „Wieczór" żywo pozostały w pamięci.

Tak jak w prof. Axentowicza portretach, albo też studyach zawsze rozkosznych niewieścich głów i kwiatów, tak w krajobrazowych widokach p. Eugeniusza Dąbrowy, którego zbiorową wystawę urządziło w grudniu Towarzystwo sztuk pięknych, widz przesyca się słodyczą farby, tonu i rysunku. Nawet opuściwszy wystawę pozostaje się pod wrażeniem, jakiego się doznaje po wyjściu z cukierni, jakkolwiek to rzeczy robione z talentem, woda wystudyowana po mistrzowsku, nastrój wieczornych i jesiennych widoków przy całem zaniedbaniu rysunkowem uchwycony pysznie, brzmią w nich melodye monotonne acz dźwięczne — jest sentyment, lecz na jedną i tę samą śpiewany nutę, wywołuje prędko przesyt, a powtarzając się, wzbudzić potrafi manię prześladowczą, przed którą niepodobna się ukryć. Szeroką skalę wrażeń objął w swych obrazkach pejzażowych prof. Stanisławski, z nim obfitością drobiazgów krajobrazowych rywalizuje rutynowany pejzażysta p. Austen, po wyższe sięgnął ideały p. Wodzinowski w swych krajobrazach kościółka drewnianego lub widoków ze Swoszowic, gdzie artysta urządził sobie pracownię i zamieszkał. Szczery i istotny koloryt i głęboki nastrój przelała w swe utwory para narzeczonych, dziś już mał-

żeńska p. T. Rychtera i panny Bronisławy Janowskiej. Dwóch młodych malarzy, pp. Stanisław Gałek i Jan Bukowski debiutowali na wystawie z dobremi rzeczami; pierwszy z nich dał nam wyborny obrazek p. t. „Pierwszy śnieg w Zakopanem“ i kilka innych tatrzańskich widoków, w których rozpoznaje się wybitną indywidualność artystyczną; drugi z nich, p. Bukowski, kolorysta zdolny wystawił kilkanaście obrazków rodzajowych, portretów pastelowych i pejzażów. Na ogół wziąwszy rok bieżący przyniósł nam niebywałą dotąd ilość studyów z naszych rodzimych niw i gór.

Dyrektor nowo kreowanej Akademii sztuk pięknych, Julian Fałat, na dzień uroczystego otwarcia Akademii wywiesił dwa większe obrazy olejne, na jednym namalował mieszkańca puszczy, łosia, sunącego wolno wśród zarosłych trzęsawisk wprost na widza, na drugim jezioro Świteź. Oba obrazy wyglądają na przekład akwareli na technikę olejną: braknie im tych pierworuchów, które dają pełnię życia podpatrzonej naturze. Z imieniem p. Fałata wiążą się zdarzenia tegoroczne weselszej i smutniejszej treści. Podniesienie Szkoły sztuk pięknych do godności Akademii napełniło szczerą radością miłośników sztuki polskiej, bo prócz tytułu przybywa wyższa dotacya posad profesorskich, co daje możność powoływania na katedry opróżnione tylko wybitnych artystów, którzy będą się mogli swobodniej niż dotąd jąć najwyższych zadań sztuki. Programowe mowy ministra Hartla i namiestnika hr. Pinińskiego, wypowiedziane na cześć sztuki polskiej i o jej szczytnych zadaniach, jakie ma do spełnienia wobec społeczeństwa polskiego i ludzkości, były manifestacyą podniosłą, żywe świadectwo dającą o tem, jak te czynniki, od których zawisłem było przeprowadzenie przekształcenia głęboko odczuły i wybornie zrozumiały warunki rozwoju narodowej sztuki. Patos przysięgi dyrektora, że dróg przekazanych kierunkiem przeszłości sztuka narodowa nie opuści, nie zatarł przykrego uczucia, które wywołało pozbycie się najdzielniejszej siły profesorskiej, bo Jacka Malczewskiego. Zaledwo minęło echo zatargu z Malczewskim, gdy z Warszawy doleciało inne, bardzo smutne, aż nadto znane, by je opisywać potrzeba.

Młoda Akademia ofiarowała ku uczczeniu 500-letniego jubileuszu naszej Jagiellońskiej Wszechnicy tablicę pamiątkową z bronzu w duchu secesyjnym z trzema postaciami królewskimi na sarkofagach, z jej okazyi ogłosił dr. Stanisław Tomkowicz niezmiernie interesujący fejleton w *Czasie* p. t. „Suggestya i sztuka“ na temat: *cacatum non est pictum*. Artykuł był napisany z werwą, z przekonaniem i jak się spodziewać należało

wywołał polemikę. Nie dzielimy poglądów ani jednych, ani drugich, bo autorzy pp. Wyczółkowski i Laszczka tablicy pamiątkowej bądź co bądź tworzyli w duchu własnej epoki, reprezentowali sztukę dzisiejszą a niekoniecznie mieli się nagiąć do pojęć zużytych choć pięknych przeszłości, ale w tem ma dr. Tomkowicz zupełną słuszność, że umyślne wykrzywienie linij prostych, tendencyjne rysowanie postaci, jak tylko ręka dziecka lub barbarzyńcy rysować potrafi, pisanie niekaligraficzne i z umysłu nierówno podpisów, rozmyślne niekonsekwencye architektoniczne, — może wreszcie symbolizować młodość naszej Akademii sztuk pięknych, lecz dalibóg nigdy nie będzie wzorem do naśladowania. To są sztuczki, nie sztuka, którąby godnie odzwierciedliła w sobie wyraz chwili i znaczenie sztuki polskiej, którąby była świadectwem artyzmu takich tęgich artystów, jakimi są niezaprzeczenie pp. Laszczka i Wyczółkowski i których talent widnieje nawet i z tej pracy, bo osiadła na nich i duma myśl, która zawsze będzie celem, będzie treścią i zaletą plastycznego dzieła. Druga tablica pamiątkowa na ślicznym dziedzińcu bibliotecznym wykonaną została w kamieniu wedle projektu p. Stanisława Barabasza i naśladuje ornament epoki gotyckiej; jest w niej dążność, ostatecznie nie osiągnięta, do dostrojenia jej do form gotyckich otoczenia. Więcej od niej harmonizuje z gmachem piękne i malownicze dzieło p. Cypryana Godebskiego, posąg bronzowy Kopernika, jako ucznia uniwersytetu, na środku podwórza, gdzie dawniej stała studnia. Pan Godebski jest jeszcze zwolennikiem dawnej romantycznej epoki rzeźbiarstwa i posiada w wysokim stopniu zmysł dekoracyjny, co i w biuście marmurowym Aleksandra Fredry, ustawionym sumptem p. Konstantego Wołodkowicza przed teatrem krakowskim, snadnie stwierdzić można. Kopernik jego jest poetyczną i harmonijną koncepcyą i należy do najlepszych dzieł artysty. Na zamówienie senatu akademickiego wykonał p. Wincenty Trojanowski, rzeźbiarz i medalier zamieszkały równie jak Godebski w Paryżu, medal pamiątkowy z wyobrażeniem siedzących, Kazimierza W., Jadwigi i Władysława Jagiełły; nie powiem, aby rozwiązanie tematu było szczęśliwe lub choćby oryginalne. Więcej natomiast zadawalniają rzeźby p. Antoniego Madejskiego, o którym mówiliśmy obszerniej w zeszłorocznej pogadance. Wykonany w Rzymie w bronzie wielki biust Matejki dla nowego pałacu Przyjaciół sztuk pięknych, cokolwiek w rozmiarach swoich zbyt wielki, ale niezwykle w wyrazie potężny, ma w sobie coś z Jowiszowej siły i majestatu, panuje nad gmachem całym, odczuwa się, że to jest olbrzym narodowej sztuki, który nie ma sobie równego,

dlatego panuje on nad całą ścianą frontową od strony placu Szczepańskiego niepodzielnie. Z drugiej strony od plant ustawiono już biusty malarza Rodakowskiego i architekta Księżarskiego. Na nowym gmachu powstał, według rysunków Jacka Malczewskiego, olbrzymi płaskorzeźbiony fryz przedstawiający dolę i niedolę życia artysty, z jego całą walką i burzami życia, z jego tryumfem i sławą, jak i z upadkiem, złamaniem i bezgłębną ofiarą. Jeden z artystów w niedawno ogłoszonym, w jednem z pism krakowskich codziennych, fejletonie nazwał ten utwór fatalnym, chybionym, który tylko ma dowodzić, że malarz nie powinien wkraczać w dziedzinę rzeźby. Ja zaś widzę, że sztuka jest jedną, i stwierdzenie tego, co w epoce renesansu tak niepospolitym a codziennym było objawem, że tchnienie geniuszu wszędzie, gdziekolwiek on się objawi, wyciśnie swe znamienne piętno.

Tęgim rzeźbiarzem jest p. Władysław Mazur, jego rzeźba „Na czatach", ułan pochylony naprzód, z szablą przed siebie, na koniu wietrzącym, jest opartą na troskliwej obserwacyi natury i poprawnem wykonaniu, druga późniejsza rzeźba „Przestrach", przedstawiająca chłopca, który nadeptał żabę, odznacza się wielkim postępem; obie rzeźby wróżyć się zdają o znakomitej przyszłości utalentowanego rzeźbiarza. Wogóle rzeźba polska, której liczne okazy pp. Madejskiego, Laszczki, Mazura, Lewandowskiego, Trojanowskiego, Zawiejskiego i innych widzieliśmy w roku ubiegłym w salach Sukiennic, zdaje się wstępować w nową fazę i odzyskiwać zaufanie własnego społeczeństwa, osłabione nieudałemi pomnikami dla bohaterów narodowych.

Leonard Lepszy.

Druk ukończono 28 stycznia 1901 r.

UBEZPIECZENIA ROBOTNICZE W NIEMCZECH.

Z pośród państw europejskich i zaeuropejskich Niemcy pierwsze, a dotychczas same jedne, zaprowadziły przymusowe ubezpieczenie robotnicze na olbrzymią skalę. Dość powiedzieć, że ilość ubezpieczonych na starość i na wypadek niezdolności do pracy wynosiła w 1898 r. 11 milionów 800.000 osób; ubezpieczonych przeciw nieszczęśliwym wypadkom w tymże roku: 17,900.000, i że po dzień 1 stycznia 1900 r. robotnicy niemieccy otrzymali, czy to w zapomogach, czy też w kapitałach rezerwowych trzy miliardy siedemset siedemdziesiąt sześć milionów marek.

Cyfry te świadczą najlepiej, w jakich rozmiarach „eksperyment“ ten został dokonany. To też czytelnicy nie wezmą nam za złe, że postaramy się zapoznać ich bliżej z organizacyą i funkcyonowaniem ubezpieczeń niemieckich, które pod każdym względem zasługują na uwagę [1].

[1] Opis nasz opieramy na dziele G. de St. Aubert, który dłuższy czas studyował organizacyę ubezpieczeń w Niemczech i czerpał informacye od tak wybitnych ekonomistów, jak np. ks. dr. Hitze i t. d. Część teoretyczna jego dzieła jest jednak dość słaba. Teza przymusowego ubezpieczenia może być broniona lepszemi argumentami, niż te, które autor przytacza; przytem nie zdaje on sobie dość jasno sprawy, gdzie w tej kwestyi kończy się Chrystyanizm, a zaczyna socyalizm. Uzasadnienie współudziału państwa na podstawie argumentów K. Gide: dobra administracya i zbytnie obciążenie gmin, słuszne jest tylko o tyle, o ile chodzi o samo ustanowienie przymusu ubezpieczenia i wyjątkowe zapomogi dla najbiedniejszych robotników. Nato-

„Jeśli monarchia chce zachować swą niezależność i dostojne stanowisko, musi bez wahania stanąć na czele reform socyalnych. Każda monarchia zachowa tylko cień władzy lub przeistoczy się w tyranię czy też w rzeczpospolitą, jeśli stanowczo nie poweźmie zamiaru stać się monarchią reform społecznych".

Sławne to zdanie Steina, które dziś powinnoby być nie tylko hasłem programowem wszelkich monarchij, ale i niejednego stronnictwa, nie uszło uwagi rządu niemieckiego, który już od r. 1845 nie przestawał dawać dowodów troskliwości swej o los robotników.

W posłaniu swem do parlamentu (17 listopada 1881 roku) Wilhelm I. wyrażał niemal tę samą myśl, oświadczając, iż „uważa jako swój obowiązek cesarski prosić ponownie *Reichstag*, aby wziął do serca dobro robotników. „Z o wiele większem zadowoleniem — pisał sędziwy cesarz — moglibyśmy patrzeć na wszystkie dzieła, które rząd nasz wykonał przy pomocy Bożej, gdybyśmy mieli pewność, że pozostawimy po sobie ojczyźnie nową i trwałą gwarancyę, któraby zapewniła pokój wewnętrzny i dostarczyła pomocy tym, którzy cierpią i mają do niej prawo".

Gwarancyą tą miało być przymusowe ubezpieczenie robotników.

„Jałmużna jest pierwszym obowiązkiem, zapomoga prawna udzielana przez dobroczynność publiczną, drugim, a chciałbym ażeby państwo, nawet gdy odrzuca nazwę państwa chrześcijańskiego, przejęło się litością dla położenia starców i kalek... Dla określenia naszych tendencyj jest wyrażenie, które chętnie przyjmuję, jest niem: chrystyanizm praktyczny. Wyznaję jawnie,

---

miast argumenty te bynajmniej nie usprawiedliwiają stałego i ogólnego współudziału państwa w płaceniu części rent. Uwagi te pozwalają nam z tem większem tylko uznaniem wyrazić się o części praktycznej dzieła, na którego każdej niemal stronie przebijają się szlachetne, głęboko chrześcijańskie uczucia autora. Część tę obszernie streścili V. de Clerq: *L'assurance contre l'invalidité et la vieillesse en Allemagne* (*Association catholique 15 Octobre* 1900) i Maks Turmann w artykule pod takim samym tytułem, zamieszczonym w *Quinzaine* z 15 listopada 1900. — W tejże samej sprawie patrz także ks. Hitze: *Die Arbeiterfrage und die Bestrebungen zu ihrer Lösung.* 1900.

że wiara chrześcijańska, która jest moją wiarą, skłoniła mnie i określiła stanowisko, które cesarz zajął w tej sprawie".

Tak określił ks. Bismarck pobudki i charakter praw, które w kilka lat później parlament uchwalił. Dnia 4 grudnia 1884 r. weszła w życie ustawa o ubezpieczaniu robotników na wypadek choroby [1]; 1 października 1885 r. o ubezpieczeniu przeciw nieszczęśliwym wypadkom — prawo, które wyłącznie na pracodawców nałożyło obowiązek ubezpieczania zatrudnionych robotników [2]. Pozostawało jeszcze do uchwalenia prawo najdonioślejsze i najtrudniejsze do przeprowadzenia, prawo o ubezpieczeniach na starość i na wypadek niezdolności do pracy. Po długich przygotowawczych studyach i pracach, do współudziału w których cała publiczność została zawezwana (każdy bowiem mógł przesyłać piśmienne uwagi do komisyi *ad hoc* wyznaczonej), ustawa ta, uważana przez Wilhelma II. za cenną spuściznę po swym dziadku, wniesiona dnia 22 listopada 1888 r. do parlamentu, uchwalona 24 maja 1889 r. większością 20 głosów [3], uzyskała moc obowiązującą od 1 stycznia 1891 r.

Niebawem doświadczenie wykazało wszakże poważne braki w tej ustawie, tak, że rząd ujrzał się zniewolonym do przedłożenia izbom projektu zmienienia jej i uzupełnienia. Projekt ten

[1] Na mocy tej ustawy robotnik płaci $^2/_3$ wkładki, pracodawca $^1/_3$. Pod względem wyboru i organizacyi kas ustawa pozostawia zupełną swobodę, poprzestając na wyszczególnieniu 6 typów kas chorych. Z tego tytułu otrzymali robotnicy niemieccy po 1899 r. 1,473 milionów marek. Wyczerpujące streszczenia ustawy u d-ra Hitzego, *Arbeiterfrage* (1900) str. 90; dane statystyczne ibidem str. (43).

[2] Z tego tytułu otrzymali robotnicy po 1900 r. 514 milionów marek. Według obliczeń d-ra Hitzego (loc. cit. str. 44) w niedalekiej przyszłości roczna wysokość rent dojdzie do 150 milionów marek. W r. 1899 wynosiła około 78 milionów.

[3] Centrum, z wyjątkiem grupy br. Frankensteina (13 posłów), głosowało przeciw tej ustawie, z następujących powodów: 1) Stały współudział państwa w płaceniu premij za wszystkich ubezpieczonych. 2) Organizacya niekorporacyjna towarzystw asekuracyjnych,— tem mniej zresztą usprawiedliwiona, że przy odpowiedniem uzupełnieniu statutów zawodowych towarzystw asekuracyjnych przeciw nieszczęśliwym wypadkom, towarzystwa te dostarczały gotowych kadrów do zorganizowania nowych asekuracyj. (Projekt pruski z 1888 r. właśnie na tej podstawie zamierzał doniosłą tę

wniesiony w 1897 r., został niemal jednogłośnie (3 posłów głosowało przeciw) przyjęty dnia 19 lipca 1899 r. Od 1 stycznia 1900 r. ustawa weszła w życie. O ustawie z r. 1889, uzupełnionej w dziesięć lat później, głównie mówić tu będziemy.

Zakres ustawy. Ustawa niemiecka rozróżnia dwie kategorye ubezpieczonych, tych którzy m u s z ą, i tych, którzy m o g ą korzystać z dobrodziejstw ubezpieczenia.

Do pierwszej kategoryi należą: 1) Wszyscy ci, którzy pracują za zapłatę lub pieniężne wynagrodzenie, a zatem robotnicy, pomocnicy, czeladnicy i służący. Pomimo opozycyi ks. Hitzego, który utrzymywał, że przymusowe ubezpieczenia nie powinny być rozciągnięte na robotników rolnych, parlament uchwalił je zarówno dla przemysłu, jak dla rolnictwa. Więźniowie, nawet jeśli za pracę swoją pobierają płacę, wykluczeni są od ubezpieczenia.

Wobec trudności rozróżnienia nieraz robotnika od samodzielnego rzemieślnika — skoro ten ostatni chociaż pracuje u siebie, jest częstokroć tylko robotnikiem wielkiego magazynu, który go zatrudnia — ustawa powierzyła Radzie związkowej obowiązek rozciągnięcia, według swego uznania, przymusowego ubezpieczenia na wszystkie kategorye robotników, i rozstrzyganie wszelkich kwestyj spornych.

2) Urzędnicy i oficyaliści przemysłowi, subjekci i uczniowie handlowi (z wyjątkiem aptekarskich), profesorowie i nauczyciele (nie pobierający emerytury rządowej) — jeśli dochód roczny tej klasy osób pobierających płacę lub pensye, nie przenosi 2000 mk.

3) Marynarze tak morscy jak rzeczni; kapitanowie okrętów lub statków, jeśli dochód ich roczny nie jest niższy od 2000 mk.

---

reformę przeprowadzić, jednakże został zmieniony w Komisyi, która całkiem odrzuciła zawodową organizacyę, a ustanowiła terytoryalną). 3) Zbytne rozszerzenie zakresu tych praw. 4) Nieuwzględnienie ubezpieczenia wdów i sierót. — Pomimo zasadniczej swej opozycyi, Centrum, zarówno w parlamencie, jak i w komisyach przyczyniło się z powodzeniem do ulepszenia niektórych szczegółów tych ustaw. (Patrz w tym względzie *Arbeiterwohl* 1899 r. str. 209 sq.).

Samo już wyliczenie osób, które od ukończenia 16-go roku życia zmuszone są uiszczać wkładki, daje wyobrażenie o olbrzymiej ilości ubezpieczonych. W rzeczy samej prawie piąta część ludności w Niemczech podpada dziś pod to prawo, a jak zauważa Saint-Aubert, „rozciągnięcie ubezpieczenia, dokonane jednym zamachem, na całą klasę pracujących, jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech prawa z 1889 r. Cecha ta zaś tem więcej jest uderzającą, że po największej części prawodawstwa socyalne zajmują się wyłącznie robotnikami przemysłowymi i marynarzami, systematycznie zaś wykluczają z pod swej opieki służących, subjektów handlowych i robotników pracujących na roli lub w lesie".

Rozwinięcie na tak olbrzymią stopę ubezpieczenia było zresztą nieraz i ostro krytykowane. Jednakże, pomimo tego, w r. 1899 parlament nietylko liczby osób ubezpieczonych nie ograniczył, ale ją nawet powiększył. Z pośród powodów zaś, które skłoniły Izbę do zaprowadzenia przymusowych ubezpieczeń dla wszystkich robotników bez różnicy zawodów, dwa przedewszystkiem zasługują na wyszczególnienie.

Najpierw, skoro państwo i pracodawcy pokrywają ze swej kieszeni najznaczniejszą część kosztów ubezpieczenia, i dzięki temu robotnik ma prawo do renty o wiele wyższej niż ta, jakąby uzyskał płacąc sam całą premię, byłoby to rzeczą niesłuszną wykluczać od tego dobrodziejstwa robotników wiejskich i wyłącznie na korzyść miejskich ustanawiać taką prerogatywę.

Powtóre, w Niemczech bardzo często zmienia robotnik zawód. Dziś pracuje w mieście, nazajutrz najmuje się do robót polnych. Przy wykluczeniu robotników polnych od ubezpieczeń, ciągłość w uiszczaniu wkładek zostałaby przerwaną, a bez niej jest rzeczą niepodobną, ażeby robotnik mógł uzyskać dostateczną rentę. Jedynym sposobem, aby robotnik przez całe swe życie był członkiem ubezpieczenia, było zatem rozciągnięcie go na wszystkie bez wyjątku zawody.

Co się tyczy robotników cudzoziemców, to według ustawy z 1889 r., wszyscy, bez różnicy narodowości, obowiązani byli ubezpieczać się na starość i na wypadek niezdolności do pracy.

Prawodawca, zwalniając tę kategoryę robotników od przymusowego ubezpieczenia, byłby tem samem zwolnił pracodawców zatrudniających tych robotników od uiszczania części premij na nich przypadającej, co oczywiście zachęciłoby właścicieli ziemskich i przemysłowców do sprowadzania jak najwięcej zagranicznych robotników. Z drugiej strony, robotnicy niemieccy byli bardzo niezadowoleni z tego, że cudzoziemcy uzyskiwali takie same jak i oni korzyści, albowiem rząd robotnikom zagranicznym wypłacał część renty, tak samo jak i swym poddanym.

Dlatego też od 1891 r. Rada związkowa zaczęła powoli usuwać od ubezpieczenia robotników zagranicznych; wkrótce zaś potem upoważniła władze prowincyj nadgranicznych do zwolnienia od tego obowiązku robotników przybywających dla zarobku na krótki czas. Ustawa z r. 1899 znacznie rozszerzyła prawo Rady związkowej w tym kierunku i, na mocy jej rozporządzeń, dziś tylko ci robotnicy zagraniczni podlegają przymusowemu ubezpieczeniu, którzy mają zamiar na stałe osiąść w Niemczech. Jednakże, w celu zapobieżenia, aby pracodawcy, korzystając z dogodności niepłacenia premij za obcych robotników, wyłącznie ich nie sprowadzali, prawo z r. 1899 postanowiło, aby pracodawcy posługujący się robotnikami nie obowiązanymi do ubezpieczania się, uiszczali do kas ubezpieczeń sumę równającą się tej, jakąby płacili, gdyby używali robotników podlegających obowiązującemu ubezpieczeniu.

Do drugiej kategoryi obejmującej osoby, które dobrowolnie mogą się ubezpieczać, należą:

1) Pracodawcy i przemysłowcy, którzy zazwyczaj nie zatrudniają więcej jak dwóch robotników, i rzemieślnicy pracujący u siebie a nie obowiązani postanowieniem Rady związkowej do ubezpieczania się.

2) Urzędnicy, profesorowie i nauczyciele, których wynagrodzenie wynosi od 2000—3000 m. rocznie.

Opozycya przeciw tej części ustawy była nadzwyczaj ostra i ze wszech miar uzasadniona. Pomijając bowiem, że w ten sposób państwo robi niczem nie usprawiedliwioną konkurencyę

prywatnym towarzystwom ubezpieczeń, trudno pojąć, na mocy czego przyjmuje ono obowiązek udzielania rocznej subwencyi (50 marek) każdemu z ubezpieczonych w tych kategoryach. To też, oba te powody skłoniły prawodawcę do ścisłego określenia prawa udzielonego tym osobom do ubezpieczania się. I tak np. po 40 roku życia nie wolno im się ubezpieczać, a oprócz tego muszą one co najmniej wnieść 500 wkładek, aby uzyskać prawo do renty. Należy wszakże zaznaczyć, że od czasu wejścia tej ustawy w życie (10 lat), ilość dobrowolnie ubezpieczonych była stosunkowo nieznaczna — co wykazuje dowodnie, że w klasach pracujących uczucia przezorności jeszcze są bardzo mało rozwinięte i że przymus w tym względzie jest dla robotników konieczny, jeśli się chce położyć tamę ich nędzy i biedzie.

Cel ubezpieczenia. Ustawy z 1889 i 1899 r. nie mają li tylko na celu zapewnienia robotnikom renty na stare lata. Wogóle biorąc mają one za zadanie zabezpieczyć go na wypadek niezdolności do pracy, z jakichkolwiekby przyczyn: wieku, choroby, kalectwa lub ułomności, niezdolność ta pochodziła.

W zamian za uiszczanie wkładek, ubezpieczony otrzymuje:

1) Rentę na starość począwszy od 70 roku życia;

2) Rentę w razie niezdolności do pracy;

3) W pewnych wypadkach, w celu zapobieżenia lub opóźnienia niezdolności do pracy, pomoc leczniczą.

4) W pewnych razach zwrot wkładek wniesionych.

R e n t a n a s t a r o ś ć. Renta ta stanowi nieznaczną kwotę wypłacaną ubezpieczonym każdego miesiąca od 1-go dnia siedemdziesiątego pierwszego roku życia, jeśli wszakże nie pobierają renty niezdolności.

Aby mieć prawo do renty na starość, trzeba należeć do ubezpieczenia 1200 tygodni. Do tych tygodni zaliczają się: czas spędzony na służbie wojskowej, okresy choroby poświadczonej przez lekarza, rekonwalescencya, dla kobiet zaś 6 tygodni po połogu. Ubezpieczony, który ukończywszy 70 lat nie doszedł do przepisanej ilości tygodni, musiałby dalej wnosić wkładki aż do zadośćuczynienia temu warunkowi.

Ubezpieczeni podzieleni są na 5 kategoryj, odpowiednio do wysokości średniej płacy rocznej. Renta ich składa się z dwóch elementów: corocznej zapomogi udzielanej przez państwo, wynoszącej 50 m., i ze sumy będącej wynikiem ich wkładek, która to suma, stosownie do kategoryi, wynosi od 60 do 180 m. Pierwsza klasa ubezpieczonych pobiera zatem 110 m., piąta 230 m.

Renta na wypadek niezdolności do pracy *(Invaliden Rente)* wypłacaną jest każdego miesiąca osobom, które niezdolne są zarabiać na życie. „Renta ta, jak sądzi wielu źle poinformowanych, niema na celu zwolnić robotnika od przezorności, a jego rodzinę od obowiązku opiekowania się nim w nieszczęściu. Przeciwnie, renta ta, w myśl prawodawcy, powinna być podstawą indywidualnego oszczędzania się i pomocą dla rodziny w pielęgnowaniu tych członków, których niemoc przykuwa do ogniska domowego“ [1].

Aby mieć prawo do tej renty potrzeba:

1) Być niezdolnym do pracy w znaczeniu ściśle określonem przez prawo;

2) Należeć do ubezpieczenia przez okres czasu wyznaczony przez prawo;

3) Nie być zaliczonym do wyjątków ustanowionych przez prawo.

Ścisłe określenie niezdolności do pracy napotykało i napotyka dziś jeszcze ogromne trudności. Podczas rozpraw nad tą ustawą przedkładano przeróżne systemy, nad któremi nie możemy się tu zastanawiać. Sposób przyjęty przez prawo z 1889 r., został odrzucony jako zanadto skomplikowany, a tem samem nastręczający sposobności do niezliczonych procesów [2]. Ustawa z r. 1899 określiła niezdolność do pracy jak następuje: „Uważany jest za niezdolnego do pracy, ubezpieczony, który nie jest w stanie przez zatrudnienie odpowiednie do jego sił i zdolności, przy uwzględnieniu wykształcenia jego zawodowego i poprzedniego zajęcia zawodowego, zarabiać trzeciej części tego, co

---

[1] Saint-Aubert, op. cit. 70.

[2] Idem 72.

osoba tegoż samego zawodu, takiego samego wychowania, zdrowa na ciele i umyśle, może zarobić przez swoją pracę w tejże samej okolicy".

Saint-Aubert objaśnia powyższy paragraf następującemi przykładami. Murarz staje się niezdolnym do pracy i nie może wychodzić na rusztowanie; siły jego dostateczne są wszakże dla przysposabiania materyałów. Jeśli pracując w ten sposób zarabia trzecią część tego, co zarabia murarz w pełni sił w tej okolicy, to nie ma prawa do renty. Przyjmując np., że średnia płaca murarzy wynosi 6 marek dziennie, to jeśli murarz, o którego chodzi, nie zarabia dwóch marek, uważany jest za niezdolnego do pracy i ma prawo do renty. Inny przykład. Urzędnik biurowy, tak jest przemęczony swą pracą, że nadal nie może pozostać w biurze. Jeśli może jeszcze przez przepisywanie lub inne zajęcie tego rodzaju, zarabiać trzecią część tego co otrzymywał w biurze, nie ma prawa do renty. Jednakże renta nie mogłaby mu być odmówioną pod pozorem, że ma jeszcze dość sił, aby np. zamiatać ulice.

Przykłady te wykazują, jak dalece jest to rzeczą trudną ściśle określić, kiedy ubezpieczony staje się rzeczywiście niezdolnym do pracy. W tej kwestyi oczywiście główne zadanie spada na doktora, który po opatrzeniu ubezpieczonego, przesyła swoje zdanie towarzystwu ubezpieczeń. Na mocy orzeczenia doktora zarząd towarzystwa przyznaje lub odmawia prawa do renty. Jeśli z powodu odmowy wywiązuje się spór między ubezpieczonym a zarządem, drugi lekarz opatruje chorego, a zdanie jego ma zazwyczaj rozstrzygające znaczenie.

Drugim warunkiem dla uzyskania renty jest należenie do ubezpieczenia przynajmniej od 200 tygodni, z których przez conajmniej 100 tygodni należało się na mocy prawa o przymusowem ubezpieczeniu. Dla ubezpieczonych dobrowolnych okres ten oznaczony jest na 500 tygodni, w celu skompensowania niezaprzeczonej korzyści, jaką ubezpieczeni należący do tej kategoryi uzyskują.

Wreszcie trzecim warunkiem jest nie być zaliczonym do wyjątków ustanowionych przez prawo. Ubezpieczony traci bo-

wiem prawo do renty, jeśli dobrowolnie się okaleczył (czy to aby uniknąć służby wojskowej, czy to popełniając zamach samobójczy i t. d.), albo jeśli odniósł rany dopuszczając się zbrodni lub jakiegoś występku rozmyślnie. Jednakże ustawa udziela zupełnej swobody zarządom kas w przyznawaniu części lub całej renty tym, którzy po odbyciu kary, okazują skruchę.

Jeśli ubezpieczony pobiera rentę tytułem odszkodowania za kalectwo spowodowane nieszczęściem przy pracy, to w takim razie traci prawo do renty przynależnej mu jako niezdolnemu do pracy. Jednakże, jeśli wysokość pierwszej renty niższa jest od drugiej, co wszakże bardzo rzadko się zdarza, towarzystwo dopłaca mu kwotę stanowiącą różnicę tych rent.

Tak samo jak renta na starość, tak też i renta na wypadek niezdolności do pracy składa się z dwóch elementów; ze stałej subwencyi udzielanej przez państwo w wysokości 50 m. dla każdej kategoryi, i z sumy zmiennej, będącej wynikiem wkładek wniesionych do kasy ubezpieczeń. Dla oznaczenia wysokości tej sumy uwzględnia się następujące reguły:

1) Każda renta składa się ze sumy stałej, wynoszącej od 60—100 m. stosownie do pięciu kategoryj ubezpieczonych.

2) Do tej sumy stałej dopłaca się za każdy tydzień ubezpieczenia dodatek wynoszący odpowiednio do kategoryi od 3 do 12 fenigów.

Na podstawie tych obliczeń *maximum* renty, prawie niemożliwe do uzyskania, wynosi 524 m. 50 f.; *minimum* 116 m. Zazwyczaj jednak renta waha się między cyframi 130 m. i 500 m., rzadko wszakże wynosi więcej niż 300 m.

Obie powyższe renty po największej części wypłacane bywają przez biura pocztowe, w pieniądzach; wyjątkowo tylko mogą być zastąpione: kwotą wydaną jednorazowo, utrzymywaniem ubezpieczonego w szpitalu lub też prestacyami w naturze, których wartość nie może wszakże przenosić dwóch trzecich należnej sumy. Ten ostatni sposób wypłacania renty praktykuje się na mocy rozporządzenia gminy w okolicach, w których robotnicy rolni otrzymują całą lub część płacy w produktach rolnych.

W jednym tylko wypadku towarzystwa obowiązane są płacić rentę, i to w całości, w produktach, a mianowicie kiedy ubezpieczony jest niepoprawnym pijakiem, i na mocy wyroku został wykluczony ze wszystkich karczem i szynków. W Niemczech istnieje bowiem zwyczaj, godny naśladowania, że nie wpuszcza się pijaków do lokalów, w których sprzedawane są mocne trunki. W razie nieprzestrzegania tego przepisu, sprzedający może nawet być karany pieniężnie. W myśl też tego prawa ustawa zabroniła, aby pijakom renta była wypłacana w pieniądzach, pragnąc w ten sposób utrudnić im pokup trunków i ochronić ich od nędzy przez udzielanie wsparcia w produktach.

Renta niezdolności do pracy może być niekiedy zawieszona, np. kiedy ubezpieczony odsiaduje karę w więzieniu. W razie jeśli ubezpieczony staje się znowu zdolnym do pracy, traci prawo do renty. Jednakże w takich wypadkach kasa nie zawiesza od razu, ale zazwyczaj dopiero po kilku miesiącach, wypłacanie renty, tak, aby ubezpieczony mógł całkowicie powrócić do zdrowia i sił. O wyzdrowieniu ubezpieczonego obowiązane są władze miejscowe donosić zarządom kas. Obowiązek ten był jednak dla tych władz zbyt wielkim ciężarem i z tego powodu ustawa z r. 1899 utworzyła w większych centrach specyalne organa kontroli t. zw. *Rentenstellen*. Działalność tych instytucyj jest o tyle ułatwiona, że po największej części renta nie jest wystarczająca dla utrzymania robotnika. Z chwilą zatem, kiedy powraca do fabryki lub do warsztatu, urząd kontrolujący zwraca na niego uwagę i z łatwością może się przekonać, czy zarobek jego przenosi trzecią część normalnej płacy.

Zaznaczyć tu wreszcie wypada, że renta niezdolności jest głównym celem obu ustaw i to nawet tak dalece, że od r. 1896 w dokumentach urzędowych wykreślono z nazwy towarzystw ubezpieczeń słowa „na starość“, a pozostawiono tylko „na wypadek niezdolności do pracy“. Zmiana ta jest w istocie całkiem słuszną. Przedewszystkiem bowiem ilość robotników, szczególniej w przemyśle, która dochodzi wieku 70 lat jest nieznaczna. Oprócz tego zaś, nie ulega zaprzeczeniu, że prawodawcy nie-

mieckiemu nie chodziło głównie o zabezpieczenie robotnika na stare lata, ale o zapewnienie mu utrzymania, kiedy z powodu przydługiej choroby, nieszczęścia lub jakiejbądź ułomności staje się niezdolnym do pracy. Czy robotnik jest młody, czy stary — a któż zaprzeczy, że los młodszego jest nawet więcej godny litości, skoro nie miał czasu oszczędzać się i przez całe życie musi ciężko biedować — gdy spada na niego nieszczęście, które przez dłuższy czas lub na zawsze czyni go niezdolnym do utrzymywania się z pracy rąk swoich, uzyskuje on prawo do renty, wprawdzie niezbyt wielkiej, ale która ochrania go od głodu i ostatecznej nędzy.

Pomoc lecznicza. Ustawa niemiecka mając na celu zapewnienie bytu robotnika w razie niezdolności do pracy, przewiduje wypadki, w których za pomocą odpowiedniego leczenia, niezdolność ta może być usunięta. Z tego też powodu ustawa upoważnia instytucye ubezpieczeń do udzielania, a niekiedy nawet do zmuszenia robotnika, ażeby przyjął pomoc lekarską, która może opóźnić lub usunąć niezdolność jego do pracy. Do pomocy takiej ubezpieczeni nie mają prawa; ale, jeśli bez słusznej przyczyny odrzucają pomoc ofiarowaną im przez towarzystwo, zarząd może całkowicie lub częściowo odmówić im wypłacania renty. Jednakże przed zastosowaniem tego środka, zarząd obowiązany jest wykazać, że wyłączną przyczyną niezdolności do pracy jest nieuzasadniona odmowa przyjęcia pomocy leczniczej. W razie jeśli zachodzi potrzeba operacyi grożącej życiu, ubezpieczony nigdy nie może być zmuszony poddać się jej.

Pomoc lecznicza polega na wizytach doktora, udzielaniu bezpłatnych lekarstw i win wzmacniających, dostarczaniu bandażów i t. d. Od kilku lat urzędy ubezpieczeń wolą wszakże udzielać pomocy leczniczej pod inną formą, a mianowicie przez bezpłatne utrzymywanie chorego w szpitalu lub w sanatoryum. Jeśli chory ma własną rodzinę, może się na to nie zgodzić; jeśli jej nie ma, w razie odmowy, traci prawo do renty.

Jedną z najbardziej rozpowszechnionych przyczyn przedwczesnej niezdolności do pracy są suchoty. Jak wiadomo, skuteczne ich leczenie jest możliwe tylko przy odpowiednich wa-

runkach klimatycznych, przedewszystkiem przez wysłanie chorego w góry. Z tego też powodu zarządy ubezpieczeń starają się o ile możności powiększać liczbę sanatoryów górskich dla robotników suchotników i, jak zobaczymy dalej, na ten cel używają własnych swych funduszów. Ubezpieczenia w ten sposób pojęte i zastosowane, zasługują niezaprzeczenie na szczere uznanie, a trudno nie przyznać, że w takich warunkach, zwalczając choroby epidemiczne, dają one i pewną kompensatę ogółowi za olbrzymie ciężary, jakie ponosi, skoro z dobroczynnej i tak pożytecznej działalności zarządów w tym kierunku, korzystają wszystkie bez wyjątku klasy.

Zwrot wkładek. W zasadzie wkładki raz wniesione do kasy ubezpieczeń stają się własnością tych instytucyj. Jednakże ustawa w niektórych wyjątkowych razach, zezwala aby zostały zwrócone.

1) Kobieta ubezpieczona wychodząc za mąż, może w ciągu roku od ślubu żądać zwrotu połowy wkładek przez nią uiszczonych, jeśli wszakże liczba ich nie jest mniejsza od 200.

2) Jeśli ubezpieczony, który wniósł najmniej 200 wkładek, umiera nie skorzystawszy z prawa do renty, wkładki wniesione przez zmarłego zwracane bywają wdowie lub, jeśli nie żyje, dzieciom prawowitym, jeśli nie mają 15 lat. Pomimo żądania Centrum, ustawa obawiając się zbyt znacznego powiększenia ciężarów finansowych, nie uwzględniła praw wdowy i sierót do korzystania z renty po zmarłym.

3) Jak zaznaczaliśmy wyżej, ubezpieczony przeciw nieszczęśliwym wypadkom, a równocześnie i przeciw niezdolności do pracy, nie może pobierać dwóch rent na raz. Dlatego też ustawa z r. 1899 słusznie postanowiła na wniosek ks. Hitzego, aby w razie pobierania renty z tytułu ubezpieczenia przeciw nieszczęściom, zwrócono poszkodowanemu wkładki jego wniesione na mocy obowiązku ubezpieczenia się przeciw niezdolności do pracy.

Źródła dochodowe ubezpieczeń. Dochody kas ubezpieczeń pochodzą z dwóch źródeł: subwencyi udzielanej przez państwo

i z wkładek tygodniowych, które po połowie uiszczają pracodawcy i robotnicy. Subwencya państwowa jest stała i jest udzielana każdemu z ubezpieczonych jako dopłata do renty w wysokości 50 m. rocznie. Aż do końca 1899 r. państwo zapłaciło z tego tytułu około 146 milionów[1] marek, które zamieszczone zostały w budżecie przeznaczonym dla pokrywania rozchodów na cele użyteczności publicznej.

Jak zaznaczaliśmy już wyżej, znaczny ten współudział państwa był ostro krytykowany. Autorowie ustawy z r. 1889 starali się go usprawiedliwić w ten sposób: „Ogół ludzkości, tj. cesarstwo, które jest jej rzeczywistym wyrazem, ma ścisły obowiązek utrzymywania pokoju i harmonii w ciele społecznem. Aby dojść do tego celu, nie może zaniechać ustanawiania praw, któreby polepszyły częstokroć nieszczęśliwe położenie klas pracujących. W celu zapewnienia skuteczności takich praw, cesarstwo może zawezwać do współudziału pracodawców i robotników, skoro oni to właściwie są najwięcej zainteresowani w utrzymaniu pokoju społecznego. Lecz oprócz tego samo winno także dostarczyć osobnej subwencyi, bez której ofiarność pracodawców i robotników byłaby niewystarczającą. Nie należy przytem tracić z uwagi, że ubezpieczenie może zmniejszyć ciężary dobroczynności publicznej. Gminy i „Związki ubogich“ *(Armenverbande)* dziś przeciążone, ujrzą się zwolnione z części ciężarów, które dźwigają. Jest to tedy rzeczą naturalną, ażeby cesarstwo samo, tj. ogół opodatkowanych w cesarstwie niemieckiem, przyjął na siebie znaczną część tychże ciężarów“.

Argumentacye te nie przekonały wszakże ani katolików, ani liberałów o słuszności subwencyi państwowej. Deputowani socyaliści przez usta p. Grillenbergera oświadczyli ze swej strony, że w ten sposób robotnik płaci dwa razy. „Subwencya państwowa — mówił ten poseł — jest zamieszczona w budżecie cesarstwa. Dochody tego budżetu stanowią podatki pośrednie i cła, które zarówno ciężą na konsumentach bogatych i ubogich, bez różnicy stanu. Klasa robotnicza będąc liczniejszą, płaci zatem

[1] Dr. Hitze, op. cit. str. (45).

większą część subwencyi państwowej. Robotnik, który uiszcza wkładkę z własnej kieszeni, jest zatem dwa razy opodatkowany".

Saint-Aubert przyznaje Grillenbergerowi słuszność i dodaje, że w teoryi byłoby rzeczą właściwą, ażeby wszyscy obywatele, w stosunku do swych dochodów, ponosili ciężar subwencyi, udzielanej przez państwo, która zresztą według niego w zasadzie jest całkiem słuszną[1]. Ze względów praktycznych, wyznaje jednak, że takie rozwiązanie kwestyi jest niemożliwe. Co do nas przypomnimy tylko, że bynajmniej nie podzielamy jego zachwytu i kilku innych katolickich autorów francuskich, dla współudziału państwa w wypłacaniu rent wszystkim robotnikom. Współudział taki dopiero wówczas będziemy uważać za uzasadniony i słuszny, gdy nam wykażą, iż jest to rzeczą sprawiedliwą, ażeby ogół dopłacał robotnikowi, pracującemu dla mnie i na moją korzyść, to czego mu nie dopłacam, chociaż na mocy zasad sprawiedliwości jestem do tego obowiązany. Premie są istotnemi częściami kosztów produkcyi, są rzeczywistemi czynnikami składowemi płacy. Dlaczegoż zatem koszta stąd wynikające ma ponosić ogół, a nie wyłącznie tylko przemysł?

Drugiem źródłem dochodów towarzystw ubezpieczeń są tygodniowe wkładki, które po połowie płaci robotnik i pracodawca, u którego robotnik pracuje.

Jak można było przewidzieć, rozłożenie na pracodawców i na robotników obowiązku płacenia premii — rozłożenie, dodać należy, odpowiadające najzupełniej zapatrywaniom szkoły katolicko-socyalnej — było przedmiotem zaciętych krytyk. Z jednej strony liberalni utrzymywali, że pracodawcy nie mogą być zmuszani do zapewniania swym robotnikom utrzymania na starość lub na wypadek niezdolności do pracy, z drugiej socyaliści żądali, aby wyłącznie pracodawcy ponosili koszta ulepszenia bytu swych robotników.

Motywa ustawy odpowiadają z wielką ścisłością i bardzo logicznie na podwójny ten zarzut. „Jest to rzeczą całkiem niemożliwą zwolnić zupełnie robotnika od płacenia pewnej części

[1] Ibidem, str. 112 i 316.

premii. Instytucya, któraby stwarzając bez współudziału robotnika zapomogi dla niego, odjęła mu uczucie odpowiedzialności i troski o przyszłość, obniżyłaby w opłakany sposób jego charakter. Człowiek, jakikolwiek on jest, nie powinien tracić z uwagi, że dopokąd zdrowie mu starczy powinien myśleć o złych dniach. Lecz jeśli robotnik sam, nie jest w możności dostatecznie się oszczędzać, jest to rzeczą słuszną, aby mu pracodawca dopomógł do zrealizowania ubezpieczenia. W rzeczy samej bowiem, płaca nie zawsze zawiera indemnizacyę kompensującą utratę sił, jaką spowodowuje praca. Współudział w płaceniu premij asekuracyjnych uzupełnia zatem, i to w sposób bardzo szczęśliwy, pominięcie tego czynnika płacy".

Wysokość wkładek tygodniowych jest różna; odpowiada ona klasie, do której robotnik należy.

Klas tych jest pięć. Do pierwszej należą robotnicy, których płaca roczna dochodzi do 350 m. W tej klasie wkładka robotnika wynosi 7 f. tygodniowo. Do najwyższej klasy zaliczeni są robotnicy, których płaca przenosi rocznie 1500 m.; tygodniowo płacą oni 18 f.

Prawidłowe wnoszenie wkładek, które mogłoby być bardzo uciążliwe w praktyce i wymagałoby znacznych kosztów, jest bardzo ułatwione przez system wklejania marek *(Markensystem)*. System ten polega na tem, że instytucye ubezpieczeń wydają specyalne marki, odpowiadające wartości wkładek tygodniowych. Marki te sprzedają biura pocztowe i listonosze wiejscy; mają one odmienne kolory: 1-a klasa czerwona, 2-a klasa niebieska i t. d. Cyfry oznaczające ich wartość wydrukowane są grubemi numerami; marki noszą zaś nazwisko instytucyi, która je puściła w obieg, np. Westpreussen, Ostpreussen, Berlin i t. d....

Każdy robotnik powinien posiadać właściwą kartkę *(Quittungskarte)* wielkości 20 cm. na 15 cm., która złożona jest we dwoje. Na jednej ze stron zewnętrznych wypisane jest imię i nazwisko ubezpieczonego, opis służący do stwierdzenia jego identyczności, nazwisko instytucyi ubezpieczeń, która kartę wydała, data wydania i numer karty. Na drugiej stronie zewnętrznej podane są przepisy prawa dotyczące używania karty. Wewnętrzna

strona podzielona jest na 52 prostokątów, w których nakleja się marki. Przytem znajduje się jeszcze szemat, w którym zapisuje się ilość marek naklejonych, długość trwania choroby poświadczonej przez doktora i czas odbywania służby wojskowej.

Pracodawcy najmując robotników lub służących powinni się przekonać, czy posiadają takie karty; jeśli ich nie mają obowiązani są poprosić o nie w biurze policyjnem. Gdy karta jest wypełnioną, żąda się nowej. Urzędnicy biura policyjnego, którzy ją wydają, zapisują na niej nazwisko instytucyi asekuracyjnej, która wydała poprzednią kartę, numer jej porządkowy i ilość tygodni lub też sumę tygodni, za które robotnik wniósł wkładki. W ten sposób może robotnik zawsze wiedzieć do jak wysokiej renty ma prawo w razie niezdolności do pracy lub na starość.

Jeśli karta taka w ciągu dwóch lat nie została wymienioną, traci zupełnie wszelką wartość. Przeciąg ten czasu jest maksymalny, skoro już po roku, jeśli wkładki były regularnie płacone, powinna być zmienioną. Karty zgubione zastępowane są nowemi i jeśli robotnik może udowodnić ile miał wkładek na karcie zgubionej, urząd policyjny zapisuje je na karcie na nowo wydanej.

Biura policyjne przesyłają karty zapełnione markami do okręgowego urzędu ubezpieczeń, który ze swej strony odsyła je instytucyom, których noszą nazwisko. Gdy robotnik przenosi się z jednego okręgu ubezpieczeń do drugiego, nakleja marki okręgu, w którym się znajduje, bez zmiany karty.

Zazwyczaj marki przykleja pracodawca, u którego robotnik w ciągu tygodnia pracował. Jeśli wśród tygodnia pracował u kilku pracodawców, wkładkę uiszcza pierwszy pracodawca. Jeśli robota wykonana była od sztuki, oznacza się mniej więcej czas, jaki był potrzebny do jej wykonania; w razie sporów miejscowa władza administracyjna je rozstrzyga.

Pracodawca płaci połowę wartości marki, drugą połowę odciąga przy wypłacie robotników. Przemysłowcy zatrudniający znaczną ilość robotników upoważnieni są do naklejania marek w dłuższych odstępach czasu, ale co najmniej raz do roku. W tym

celu prawo z 1899 r. ustanowiło specyalne marki przedstawiające wartość 2 i 13 tygodni. Po naklejeniu marki pracodawca obowiązany jest napisać na niej pierwszą literę dnia i datę. Na marce naklejonej np. w poniedziałek 10-go grudnia 1900 r., powinien napisać M. 10 XII. 1900. W ten sposób łatwo jest skontrolować czy marki regularnie są naklejane.

Jeśli się robotnik obawia, aby pracodawca nie napisał na karcie jakiejś nieprzyjemnej uwagi, może kartę zatrzymać u siebie, sam naklejać marki i żądać od pracodawcy zwrotu połowy ich wartości. Osobiste naklejanie marek obowiązuje robotników pracujących u siebie, zarówno jak dobrowolnie ubezpieczonych, którzy sami w całości uiszczają premię. W razie, gdyby w ciągu dwóch lat od wydania karty, robotnik podlegający przymusowemu ubezpieczeniu nie nakleił 20 marek, dobrowolnie zaś ubezpieczony 40 marek — obaj tracą prawo do renty. Ustawa do pewnego stopnia toleruje wszakże, aby robotnik naklejał marki i po czasie, dopóki oczywiście jeszcze zdolny jest do pracy.

System naklejania marek, chociaż zapewnia bez kosztów prawidłowe uiszczanie wkładek, jest jednak dość niewygodny dla robotników, przedewszystkiem zaś dla pracodawców, którzy zmuszeni są po największej części przechowywać karty swych robotników u siebie. To też szczególniej w początkach, wszyscy zainteresowani narzekali głośno na te nużące i nudne formalności, które przy większych wypłatach sporo czasu zajmują. Dziś coraz bardziej objawia się w Niemczech tendencya zachowania tego systemu, ale przy powierzeniu osobnym urzędom administracyjnym obowiązku naklejania marek. W niektórych państwach, przedewszystkiem zaś w królestwie saskiem, instytucye asekuracyjne powierzyły kasom chorych obowiązek naklejania marek dla członków tychże kas, i żądania od pracodawców i ubezpieczonych zwrotu ich wartości. Wszyscy zresztą, którzy pragną połączenia w jedną wspólną organizacyę wszystkich trzech ubezpieczeń: przeciw chorobie, wypadkom i niezdolności do pracy, bardzo są z tej kombinacyi zadowoleni, albowiem uważają ją jako początek tego zjednoczenia.

Organizacya ubezpieczenia. Na mocy prawa z r. 1889 ustanowione zostały prowincyonalne instytucye ubezpieczeń *(Versicherungsanstalten)*, których właściwem zadaniem jest: przyjmowanie wkładek, zarządzanie funduszami zapasowemi i wypłacanie rent. Instytucyj takich istnieje obecnie 31.

Ponieważ jednak, już przed ustawą z r. 1889 istniało kilka wielkich towarzystw ubezpieczeń robotniczych, prawo uznało je jako instytucye pomocnicze, pod warunkiem, aby członkom w nich ubezpieczonym przyznały takie same warunki, jak kasy państwowe. Ustawa z r. 1899 nałożyła na te towarzystwa, noszące nazwę *Kasseneinrichtungen*, ścisły obowiązek dopuszczenia do współudziału w ogólnym zarządzie pracodawców i robotników. Zarządzenie to, przed którem cofnięto się w r. 1889 natrafiło oczywiście na bardzo stanowczy opór. Usprawiedliwił je jednak ks. Hitze podczas rozpraw w izbie, wykazując, że skoro państwo zaasymilowało te instytucye i członkom w nich ubezpieczonym udziela takiej samej subwencyi, jak własnym ubezpieczonym, to ma niezaprzeczenie prawo postawić im swe warunki. Zresztą przeprowadzenie tego zarządzenia nie mogło, według ks. Hitzego, natrafić na wielkie trudności, skoro już przed nałożeniem tego obowiązku większa część kas (jest ich obecnie dziewięć) dopuściła pracodawców i robotników do zarządu.

Kierownictwo każdej instytucyi prowincyonalnej powierzone jest odpowiedniemu z a r z ą d o w i *(Vorstand)*, w którego skład wchodzą urzędnicy, pracodawcy i robotnicy. K o m i t e t *(Ausschuss)*, złożony z pracodawców i robotników, ma prawo kontroli nad zarządem i rozstrzyga przez głosowanie wszystkie ważniejsze kwestye. Spory między ubezpieczonymi a zarządem rozsądza t r y b u n a ł r o z j e m c z y, który składa się z asesorów wybranych przez pracodawców i robotników z osobna, i z prezesa wyznaczonego z pośród wyższych urzędników.

Jak już z powyższego widać, ustawa niemiecka udziela zatem zainteresowanym osobom prawa, i to w dość szerokiej mierze, zajmowania się funkcyonowaniem instytucyj ubezpieczeń. W istocie posiadają te instytucye dość wielką autonomię, i to

tak dalece nawet, że jak zaznacza Saint-Aubert, możnaby je niemal uważać jako towarzystwa prywatne. Samodzielność tych instytucyj ogranicza ustawa tylko pod następującemi względami:

1) Ogólna kontrola nad działalnością instytucyj powierzona jest centralnemu urzędowi cesarskiemu ubezpieczeń.

2) W razie, gdyby jakaś instytucya przekroczyła właściwy zakres ubezpieczenia (np. udzieliła robotnikom strejkującym zapomogi i t. d.), urząd centralny może postanowienie takie skasować.

3) Ponieważ w razie bankructwa instytucyi ubezpieczeń, co pociągnęłoby za sobą zawieszenie wypłacania rent, na państwo związkowe lub na prowincyę spada obowiązek dalszego ich wypłacania, państwo związkowe lub prowincya wybierają urzędników zasiadających w zarządzie i prezesa, który ma prawo nie przyjąć corocznego budżetu instytucyi.

4) Sposób umieszczania kapitałów musi odpowiadać przepisom prawa, które jednakże, jak zobaczymy dalej, pozostawia w tym względzie zarządom dość obszerne pole działalności.

W skład instytucyj ubezpieczeń wchodzą zatem dwa elementy: urzędnicy (tylko w zarządzie) i delegaci pracodawców i robotników.

Urzędnicy ubezpieczeń dzielą się na dwie kategorye: wyższą i niższą. Urzędnicy pierwszej kategoryi wybierani są przez zgromadzenia prowincyonalne *(Provinzlandtage)*, które zazwyczaj mianują ich z pośród najwyższych urzędników prowincyi. Niżsi urzędnicy, którym wyłącznie powierzona jest cała praca w biurach, mianowani są przez prezesa zarządu.

Delegaci pracodawców i robotników wybierani są przez kasy chorych i dwie specyalne organizacye pracodawców i robotników, ustanowione w tym celu przez prawo z r. 1899. Jedna utworzona jest przy „niższych władzach administracyjnych“ *(Untereverwaltungsbehörde)*, druga przy t. zw. *Rentenstellen*. Wybory dokonywane oddzielnie, mają miejsce, stosownie do przepisów ustanowionych przez centralną władzę państwa związkowego, w obecności delegata tejże władzy.

Ze względu na znaczne obszary, jakie obejmują okręgi asekuracyjne, ustawa utworzyła miejscowe organa ubezpieczeń: t. zw. *Untere-Verwaltungsbehörde* i *Rentenstellen.*

Funkcye pierwszych powierzone są na wsi landratom, w miasteczkach zaś liczących około 10.000 mieszkańców urzędom gminnym. W zakres działalności tych władz wchodzi:

1) Przyjmowanie i redagowanie próśb o renty na starość i na wypadek niezdolności do pracy, i próśb o zwrot wkładek.

2) Wydawanie świadectwa o słuszności tych próśb.

3) Wydawanie opinii co do zawieszenia lub ponownego wypłacania rent.

4) Zawiadamianie instytucyj ubezpieczeń o potrzebie udzielania chorym pomocy leczniczej.

5) Udzielania wszelkich informacyj dotyczących ubezpieczeń.

Przy urzędach tych ustawa utworzyła rady złożone conajmniej z ośmiu delegatów pracodawców i robotników, które muszą być zwołane, gdy landrat lub burmistrz uznają za stosowne wydać niekorzystną opinię o prośbie podanej przez ubezpieczonego.

Biura rent składają się z prezesa, który jest urzędnikiem, i z asesorów wybranych z pośród pracodawców i robotników. W większych centrach i wszędzie, gdzie władza państwa związkowego uzna za stosowne je utworzyć, zajmują one miejsce „władz niższych". Zakres ich władzy jest jednak szerszy, gdyż mają obowiązek kontrolowania prawidłowego naklejania marek asekuracyjnych, dostarczają pomocy chorym, wreszcie niekiedy rozstrzygają same o słuszności próśb o renty.

Jak zaznacza Saint-Aubert, w myśli rządu niemieckiego instytucye te, które już dziś są dość niezależne od zarządów centralnych, są przeznaczone w przyszłości do przeprowadzenia jak największej decentralizacyi w zakresie ubezpieczeń.

Poszczególne statuty centralnych instytucyj określają ściśle atrybucye zarządów i komitetów. Zarząd składa się z trzech urzędników prowincyonalnych, dwóch delegatów pracodawców i dwóch delegatów robotników. Przewodniczący załatwia bieżące

sprawy; kolegium urzędników rozpatruje co tygodnia ważniejsze kwestye; pełne zebranie zarządu rozstrzyga co miesiąc najważniejsze sprawy.

Zarząd jest władzą wykonawczą instytucyi i reprezentuje ją na zewnątrz; rozpatruje prośby o renty, odrzuca je lub uwzględnia; administruje majątkiem instytucyi i obraca jej kapitałami.

Prezes ma prawo położyć *veto* przeciw nielegalnym postanowieniom zarządu, komitetu i wszelkich organów asekuracyjnych. *Veto* to może tylko być zniesione przez kompetentną władzę sądową: trybunał rozjemczy lub urząd cesarski ubezpieczeń.

Komitet, jest to rada złożona z conajmniej 10 delegatów pracodawców i ubezpieczonych, w równej liczbie dla każdej klasy. Członkowie komitetu obierani są na lat pięć; wybierają ich rady ustanowione przy niższych władzach administracyjnych i asesorowie biur rent.

W właściwy zakres czynności komitetu wchodzi:

1) Wybór członków zarządu nieurzędników i asesorów trybunałów rozjemczych.

2) Uchwalenie budżetu rocznego.

3) Kontrola rachunków rocznych i redagowanie memoryałów dotyczących administracyi zarządu.

4) Uchwalenie sprzedaży, zastawu lub zakupu wszelkich dóbr nieruchomych.

Trybunały rozjemcze składają się z prezesa, który jest urzędnikiem, mianowanym przez władzę państwową, i asesorów wybranych przez komitet. W każdym okręgu znajduje się kilka takich trybunałów, a to w tym celu, aby ubezpieczeni nie potrzebowali przebywać znacznych przestrzeni udając się do nich. W celu uniknięcia pomyłek, przy każdej decyzyi urzędów ubezpieczeń dodaje się nazwisko trybunału, do którego ubezpieczony może zaskarżyć postanowienie.

W posiedzeniach trybunału bierze udział, oprócz prezesa, conajmniej 4 delegatów, których prezes po kolei wzywa do zasiadania z pośród asesorów. Wyrok wydawany jest większo-

ścią głosów, po rozprawie, przy której obecne są strony zainteresowane lub ich prawni reprezentanci. Wyroki są zazwyczaj ostateczne i tylko w razach bardzo rzadkich ulegają rewizyi cesarskiego urzędu ubezpieczeń.

Urząd cesarski ubezpieczeń składa się: 1) z członków stałych mianowanych przez cesarza z pośród najwyższych urzędników; jest ich obecnie 48; 2) z członków niestałych, a mianowicie: z 4 delegatów Rady związkowej wybranych przez tę Radę z pośród członków w niej zasiadających i 12 delegatów tak pracodawców, jak i robotników. Oprócz tych członków najwyższa ta instytucya liczy około 250 urzędników mianowanych przez kanclerza cesarstwa.

Atrybucye urzędu ubezpieczeń dotyczą następujących zakresów:

1) Organizacyjnego — np. zatwierdzania statutów instytucyj ubezpieczeń, oznaczenie kształtu i specyalnych odznak na markach i t. d.;

2) administracyjnego — np. wynalezienie sposobu zapewniającego regularne naklejanie marek, oznaczenie wypadku, w którym zachodzi obowiązek ubezpieczania się i t. d.;

3) sądowego. — Urząd cesarski w charakterze trybunału administracyjnego rozsądza spory, które mogą wyniknąć pomiędzy instytucyami prowincyonalnemi, rozstrzyga trudności nadarzające się niekiedy przy interpretacyi statutów i rozpatruje skargi delegatów pracodawców lub robotników, w razie gdyby zostali odwołani. W charakterze trybunału rewizyjnego, urząd cesarski rozpatruje apelacye od wyroków trybunałów rozjemczych, gdy wyroki te oparte są na fałszywem tłumaczeniu prawa lub na błędzie jawnym, wykazanym samą treścią dokumentów procesu;

4) rewizyjnego. — Osobne komisye wysyłane bywają w pewnych okresach czasu dla inspekcyi instytucyj ubezpieczeń. Komisye te mogą być obecne na wszelkich posiedzeniach zarządów i komitetów. Oprócz tego, budżety roczne każdej instytucyi powinny być przedstawione urzędowi cesarskiemu przed

ostatecznem ich uchwaleniem i urząd może zrobić uwagi komitetowi, który obowiązany jest do nich się zastosować;

5) obrachunkowego. — Prace w tym kierunku powierzone są osobnej komisyi technicznej *(Rechnungsbureau)*, która oblicza i odpowiednio rozkłada ciężary na instytucye prowincyonalne. Gdy bowiem zarząd jakiejś instytucyi przyznaje komuś prawo do renty, posyła on do Berlina wskazówki dotyczące rozkładu ciężarów, a mianowicie karty ubezpieczonego. Ponieważ każda karta ma wypisaną nazwę instytucyi ubezpieczeń, która wydała poprzednią kartę, można tedy w ten sposób, choć nie bez zachodów, zebrać wszystkie karty ubezpieczonego w przeróżnych instytucyach, do których należał.

Wypłacanie rent powierzone jest zazwyczaj biurom pocztowym. Zarząd, po przyznaniu komuś prawa do renty, wydaje mu kwit, na którym jest oznaczone biuro pocztowe, które będzie wypłacało renty, i które co miesiąc na mocy tego kwitu ją wypłaca. Sposób zaś, w jaki administracya pocztowa otrzymuje zwrot sum, które w ten sposób wypłaciła, jest następujący. Biura pocztowe miejscowe przesyłają biurom centralnym wykaz sum wypłaconych na mocy kwitów zarządów ubezpieczeń. Administracya poczt odsyła te wykazy komisyi obrachunkowej, która według nich oblicza, ile każda instytucya okręgowa ubezpieczeń powinna zapłacić poczcie. Poczta zaś bezpośrednio odbiera należne pieniądze od zarządów okręgów ubezpieczeń.

6) Wreszcie urząd cesarski zajmuje się działem statystycznym; wiadomości w tym względzie ogłaszane są w specyalnym organie *Amtliche Nachrichten.*

Takie są tedy atrybucye urzędu cesarskiego ubezpieczeń. Nie rozporządza on zatem żadnemi kapitałami, ani też nie jest kasą centralną instytucyj prowincyonalnych. Te ostatnie zarządzają same swemi majątkami, a jest to rzeczą ciekawą przypatrzyć się choć pobieżnie, w jaki sposób pod względem finansowym korzystają one z dość znacznej autonomii, którą im ustawy przyznają.

Jak już zaznaczyliśmy, instytucye asekuracyjne czerpią swe

dochody ze sprzedaży marek. Sumy stąd powstałe idą na pokrycie kosztów administracyi i na wypłacanie rent; reszta pozostaje jako fundusz rezerwowy, który w r. 1898 wynosił 746 milionów marek. Według obliczeń urzędu cesarskiego ubezpieczeń, za 40 lat kapitał rezerwowy wynosić będzie $1^1/_2$ do 2 miliardów i cyfra ta już się nie zwiększy. Ustawa z r. 1889, chociaż upoważniała instytucye do rozporządzania kapitałami rezerwowemi, to jednak nakazywała równocześnie, aby najznaczniejsza ich część była umieszczana stosownie do przepisów kodeksu cywilnego, dotyczących majątków pupilarnych, tj. aby zakupywano papiery państwowe lub obligacye i akcye, których wypłata procentów zagwarantowana jest przez cesarstwo lub państwa związkowe. Jeśli jednak w ogólnej zasadzie instytucye ubezpieczeń muszą zastosowywać się do powyższych przepisów, to na mocy upoważnienia urzędu cesarskiego ubezpieczeń mogą czwartą część funduszu rezerwowego — a przy zezwoleniu władzy publicznej, która gwarantuje ich wypłacalność — nawet połowę kapitałów umieszczać w przedsiębiorstwach według własnego uznania. Ustawa z r. 1899 ograniczyła to ostatnie prawo o tyle, że nakazuje, aby sumy przewyższające czwartą część funduszu rezerwowego były umieszczane wyłącznie w przedsiębiorstwach mających na celu podniesienie dobrobytu klasy pracującej.

W tym też kierunku instytucye asekuracyjne rozwinęły od 10 lat wprost imponującą działalność. Do końca r. 1896 zaawansowały one przeróżnym przedsiębiorstwom użyteczności publicznej 30,809.612 marek. W r. 1897 na te cele wydały 18,286.284 m., w 1898 r. 35,796.721 m.

Najznaczniejsza część tych kapitałów użytą została na budowę tanich mieszkań robotniczych. Do końca 1896 r. wydano na nie 12,086.787 m.; w 1897 r. 9,324.875; w 1898 r. 13,980.478; co stanowi ogólną sumę 35,392.118 m. Rezultat to doprawdy wspaniały i godny najwyższego podziwu, szczególniej jeśli się zważy jak pożytecznem pod każdym względem jest dzieło tanich mieszkań i jak dobroczynne skutki spływają stąd na ludność wielkich miast i centrów przemysłowych.

Ale niedość na tem, bo nie zapomniano także i o rolnictwie. Na przeróżne cele, mające na względzie dobrobyt ludności wiejskiej, wydano aż do końca 1896 r. 12,830.736 m.; w 1897 r. 4,526.632 m., w 1898 r. 18,462.695 m.; razem 35,820.060 m. I tu znowu jeśli zwrócimy uwagę, jak doniosłą jest rzeczą udzielanie zapomóg rolnikom, szczególniej w latach nieurodzajnych, jeśli się wie, że nieraz dzięki takim zapomogom ocalić można drobne gospodarstwa rolne od niechybnej ruiny — ocenić można łatwo jak dobroczynną i pożądaną jest akcya instytucyi ubezpieczeń dla włościan.

Wreszcie pewną część kapitałów, przeszło 15 milionów, wydano na wystawienie przeróżnych zakładów robotniczych, jak np. sanatoryów w górach i nad brzegiem morza, kąpiel ludowych, przytułków dla rekonwalescentów, wreszcie na zakładanie towarzystw współdzielczych.

To też wobec tej tak wysoce pożytecznej i tak mądrze obmyślanej działalności, znika, jak zauważa ks. Cetty, jedna z głównych obaw pierwszej chwili: co robić z kapitałami, które nieustannie wzrastać będą? — „Rozwiązanie jak najszczęśliwsze tego trudnego problematu zostało wynalezione; znajdujemy się dziś wobec dzieła rzeczywiście socyalnego i ludowego, którego wszystkie konsekwencye obecnie jeszcze trudno przewidzieć. W ten sposób też ubezpieczenia robotnicze spełniają podwójne dobrodziejstwo: dopomagają robotnikowi w ciężkich chwilach i równocześnie podają braterską dłoń tym z pośród nich, którzy pragną zapewnić sobie ognisko domowe“ [1].

„Ekonomiści — mówi ze swej strony Saint-Aubert — wyrażali niejednokrotnie obawy, w jaki sposób spożytkować olbrzymie sumy stanowiące gwarancyę wypłaty rent. Ustawa niemiecka, dzięki powyższym przepisom, obawy te usunęła, rozstrzygając tę kwestyę w sposób bardzo zajmujący. Swoboda pozostawiona instytucyom ubezpieczeń wzmaga działalność tych organizacyj

[1] H. Cetty (poseł do parlamentu niemieckiego), *Assurances ouvrières* (*Ass. cath.* 1900, nr. III, str. 234).

prowincyonalnych, nie narażając ich położenia finansowego. Mężowie stanu niemieccy dokonali w ten sposób nader pouczającego eksperymentu, wykazując pożyteczność obdarzenia kas okręgowych częściową autonomią. Rezultaty te powinno się zapamiętać. Zdają się one potępiać tych prawodawców, którzy na wszelki sposób chcą zdusić niezależność organizacyj miejscowych i nałożyć na nich obowiązek kupowania wyłącznie papierów państwowych. Ustawa niemiecka stwierdziła, że istnieje pośrednia droga między zupełną autonomią, a bezwzględną opieką państwową“ [1].

Wyniki ubezpieczeń. Ilość ubezpieczonych na starość i na wypadek niezdolności do pracy wynosiła w 1898 r. jedenaście milionów ośmkroć osób obojga płci.

W tymże roku:

	mil. mk.
294.000 osób pobierało renty niezdolności, których suma wynosiła. . .	34,6
222.500 osób [2] „ „ starości, „ „ „ . . .	27,5
516.500 rent wypłacona w sumie ogólnej	62,1 [3]

Oprócz tego zwrócono wkładek:

Z powodu zamążpójścia . . . . . 3,5 milionów
Z powodu śmierci ubezpieczonego . . . . 1 „

[1] Ibidem str. 233.

[2] Zaledwie czwarta część tej sumy przypada na robotników przemysłowych. Przytem zaznaczyć należy, że według obliczeń Zachera (*Leitfaden der Arbeiterversicherung.* Berlin 1897), obecny stosunek obu rent radykalnie się zmieni Za lat 50 na jedną rentę starości przypadać będzie 11 rent niezdolności. Oprócz tego przyjmując, że ludność państwa niemieckiego wynosić będzie wówczas 50 milionów, to na tę ilość, $1^1/_2$ miliona osób będzie pobierać renty w wysokości 330 milionów mk. Subwencya państwa, która dziś wynosi 65% ogólnej sumy rent, spadnie wówczas na 20%.

[3] W tej sumie państwo zapłaciło:

	marek
Dodatek (50 mk) do rent niezdolności . . .	13,639.527
Dodatek (50 mk) do rent starości.	10,595.596
Razem.	24,235.123

Oprócz tego ogólna cyfra wkładek uiszczona za ubezpieczonych pełniących służbę wojskową, wynosiła w t. r. około 3 miliony, powiększenie kosztów w budżecie poczt (patrz wyżej) około 5 milionów — razem tedy przeszło 32 miliony marek.

Od r. 1891 po 1899 (przyjmując na 1899 r. cyfrę 72 mil. marek) wypłacono rentami 380 milionów, a mianowicie:

	R. niezdolności	R. starości	Razem
1891	100	15,306.700	15,306.800
1892	1,353.400	21,071.600	22,425.000
1893	5,282.900	22,763.800	28,046.200
1894	10,173.200	24,474 400	34,647.600
1895	15,525.600	26,576.400	42,102.000
1896	21,101.200	27,412.900	48,514.100
1897	27,386.300	27,624.300	55,010.600
1898	34,600.000	27,500.000	62,100.000
	115,422.760	192,729.700	308,152.300

W ogólnej tej sumie do końca r. 1899 państwo zapłaciło około 146 m.

Suma wkładek wniesionych przez ubezpieczonych i pracodawców wynosiła w 1897 r. 112,823.624 m.; w 1898 r. 115.204.108 m.

Na pomoc leczniczą wydano w 1897 r. dla 10.483 ubezpieczonych 1,993.592 m.; w 1898 r. dla 13.758 ubezpieczonych 2,769.330 m. Oprócz tego na leczenie suchot w 1897 r. wydano na 3330 chorych 1,016.224 m.; w 1898 roku na 4937 chorych 1,548.364 m.

Wreszcie wspomnieć wypada, iż według obliczeń biura statystycznego urzędu ces. ubezpieczeń przeciętna wysokość renty niezdolności wynosiła w 1891 r. 113 m., w 1897 r. 127 m. 80 f. Przeciętna ta wysokość z każdym rokiem musi się podnosić (mniej więcej dopiero po 50 latach wysokość ta się ustali), skoro jak widzieliśmy wyżej zależy ona od ilości tygodni, za które płaciło się wkładkę. Mniej więcej za dwadzieścia lat, szczególniej przy zaprowadzeniu ścisłej kontroli nad regularnem naklejaniem marek wysokość dzisiejszej przeciętnej renty się podwoi. A jeśli zważymy, że już dziś do rocznej renty 127 m. robotnik dochodzi kosztem 36 m. odłożonych w ciągu dziesięciu lat — ocenić łatwo w całej pełni dobrodziejstwo ubezpieczenia dla klasy robotniczej.

Czy ustawa niemiecka tak pożyteczna i tak ze wszech miar korzystna dla pracujących jest bez zarzutu? Pod tym wzglę-

dem zaznaczyć musimy, że reforma tej ustawy z r. 1899 wiele zarzutów podnoszonych przeciw niej obaliła. Dziś najgłówniejsze — pomijając współudział państwa w płaceniu części rent — dotyczą znacznych kosztów administracyjnych [1], a przedewszystkiem udziału urzędników w kierowaniu kolosalną tą machiną; udziału, którego ostatecznych wyników obecnie jeszcze przewidzieć niepodobna. Że obejście się bez elementu biurokratycznego, nawet pomimo chwilowych trudności, które z tego powodu mogły wyniknąć — było możliwe; że było to rzeczą bardziej racyonalną i pożądaną oprzeć gmach ubezpieczeń na zawodowym fundamencie, nie ulega zaprzeczeniu. W ten sposób organizacya ubezpieczeń mogła stać się podstawą i bodźcem do potężnej organizacyi pracy, która mogła dokończyć zapoczątkowane, doniosłe dzieło społeczne, zapewniając robotnikowi p o d c z a s p r a c y, w epoce pełności sił i zdrowia, korzystanie ze wszystkich słusznie przynależnych mu praw. Pod tym względem, że powierzenie delegatom pracodawców i robotników kierownictwa tych instytucyj nie wyda żadnych rezultatów — rozumie się samo przez się, skoro delegaci ci nie są reprezentantami zawodu, zorganizowanej pracy, ale po prostu mandataryuszami powszechnego głosowania tj. ostatecznie dezorganizacyi pracy.

Lecz, jeśli już z tego powodu opozycya i krytyki Centrum przeciw tej ustawie są najzupełniej zrozumiałe i słuszne; to przy zaznaczeniu zasadniczej tej wady niemieckiej organizacyi asekuracyjnej, nie należy tracić z uwagi bardzo wybitnej i doniosłej ich cechy, a jest nią, niezaprzeczenie, wprowadzenie elementu robotniczego do zarządu i dyrekcyi ubezpieczeń, i pozostawienie robotnikom wraz z pracodawcami dość szerokiego zakresu działalności. Że zresztą takie nadanie robotnikowi prawa współkierowania instytucyą, której dochody płyną po części z jego kieszeni, jest ze wszech miar sprawiedliwe — wątpliwości nie ulega. W tym wypadku jednak urządzenie takie zasługuje na tem większe uznanie, że w ten sposób, z jednej strony po-

[1] W r. 1898 wynosiły te koszta przeszło 5,800.000 mk., nie wliczając w tę cyfrę około 5 mil., które państwo dopłaca corocznie w budżecie poczt

łożono tamę zbyt szablonowemu traktowaniu spraw i zagwarantowano, przynajmniej do pewnego stopnia, organizacyę ubezpieczeń przed najniebezpieczniejszym jej wrogiem — biurokracyą; z drugiej, stworzono podstawę, na której zgoda i solidarność między pracodawcami i robotnikami potężnie mogą się rozwijać i w rzeczywistości się rozwijają, jak wykazuje doświadczenie.

Rezultat to doniosły, a przy wyliczeniu tylu dobrodziejstw stwierdzonych cyframi, i to dobrodziejstwo moralne niemieckich ubezpieczeń robotniczych, nie powinno być pominięte milczeniem.

Edward Jaroszyński.

MYŚL ŚREDNIOWIECZNEJ SZTUKI.

(Ciąg dalszy).

II.

Chcąc wniknąć w myśl średniowiecznej sztuki, należy ją badać, odgadywać, zgłębiać, nie wtedy, gdy jeszcze w kolebce, jak dziecię, myśli tej nie potrafi sformułować dokładnie i jasno, a tę jej mowę dziecinną, niewyraźnie, pojedynczemi, oderwanemi wyjąkaną słowy, najbliżej tylko z nią obeznany, zpoufalony najzażylej i zżyty w jeden, każdemu zrozumiały język poskładać i zamienić potrafi; nie wtedy gdy chyląc się do upadku, jak kwiat co przekwita i ginie, opuszczała kolejno liść po liściu, wszystkie dawne swoje powaby; poznać ją, z nią się obeznać trzeba, gdy w niej życie tętni z największą energią i siłą, gdy najzdrowsze i najobfitsze krążą w niej soki, gdy w niej najwięcej i najgłębszej doszukać się treści, słowem gdy ją znajdziemy u szczytu wielkości jej i rozwoju.

Dla średnich wieków takim okresem jest XIII. i XIV. stulecie. Pierwsze z nich dorabia się wszystkich tych skarbów, któremi sztuka, zwana gotycką, wzbogaca najbardziej duchową, najbardziej wierzącą epokę w historyi Kościoła, drugie korzysta hojnie z tego dorobku, prowadząc dalej, przechowując niezmiennie przekazane w spuściźnie tradycye.

Rzecz jasna, że jak początek tak i koniec tej wspaniałej epoki nie da się ściśle i z zupełną precyzyą określić: w nie-

ustannej ewolucyi sztuki chwile przejściowe przedstawiają nam dłuższe nieraz okresy, w których nowe zasady z dawnych wywiązują się lub wyzwalają, nowe kierunki i tendencye z dawnemi walczą, ścierają się, idą o lepsze, nowe i dawne formy obcują ze sobą, potrącają się wzajem, czasem nawet wspomagają i dopełniają, zgodnie czas jakiś prowadzą ręka za rękę. Tak niejedna katedra na ciężkiej, przysiadłej do ziemi krypcie, strzeliła w górę całym lasem smukłych, lekkich filarów, a wnętrze swe, gdzie wzrok ginie w mroku dumnie wzniesionej nawy, otworzyła szerokiem, półkolisto sklepionem ościeżem romańskiego portalu.

I niepodobna nawet, by mogło być inaczej tam, gdzie budowa katedr średniowiecznych, dzieło niesłychanego wysiłku, gorącego zapału, poświęcenia i wiary, wymagała dziesiątek, czasami wyżej i setki lat niezmordowanej pracy, całych szeregów wytrwałych, niezrażonych piętrzącemi się nieustannie trudnościami pokoleń, zanim się ukazazała światu w całym majestacie swoim, powadze i blasku. Tak fasada katedry w Chartres ukończoną była około r. 1150, a cała budowla dopiero w 1260; kościół w St. Denis, rozpoczęty przez Sugera w 1140 r., przebudowany i dokończony przez jego następców w 1281; budowa kolońskiego tumu przedsięwzięta w 1248, z wielokrotnemi przerwami prowadzona do 1330, poniechana przez szereg wieków, w naszych dopiero oczach osiąga ziszczenie pierwotnego swojego planu.

Bądź co bądź, od początków XIII. wieku, gdy wolną już jest od ciężkich, masywnych tradycyj romańskiego stylu, aż do XV., gdy się materyalizuje, rozkłada, traci organiczne, sobie tylko właściwe, cechy, do tej chwili ma ona i zachowuje w całości najistotniejszy swój, najwybitniejszy charakter — duchowość.

Wnętrze katedry z XIII. lub XIV. wieku, czy ona będzie w Chartres, czy w Kolonii, w Salisbury, czy w Bourges zrobi na nas zawsze wrażenie czegoś nadzmysłowego i nadziemskiego, przeniesie w jakiś świat doskonały i czysty, tajemniczy i święty

zgoła odmienny od tego, jakiśmy zostawili przed chwilą, gdy się za nami zamknęły główne drzwi wejścia.

Oko przywykłe do linij horyzontalnych domów, gmachów publicznych i mieszkań, do ich płaskich sufitów i nizkich sklepień, do pełnych ścian i monotonnych, wiecznie na zewnątrz białemi szybami otwartych okien, tu, mimowoli biegnie ku górze, tonie w głębokich, wyniosłych sklepieniach nawy, przenika w najodleglejsze zakątki poprzez gęste, hojne otwory jej przęseł, odpoczywa na przezroczystych, barwnych obrazach witrażów.

W katedrze wszystko zrywa z tradycyą budowli, której głównem zadaniem zapewnić ludziom schronienie, dać im przytułek: katedra to na pierwszem miejscu, dom i przybytek Boży, gdzie się lud wierny po to jeno znajduje, by mu hołd oddać, modlitwę ofiarować i służbę. „Bóg już nie żąda, by jego lud ukochany gromadził się z bojaźnią i sromem w pieczarach i norach podziemnych“ mówi Titurel, poemat z drugiej połowy XIII. wieku, w opisie świątyni Grala[1]. Katedra to „święte miasto Jeruzalem zgotowane, jako oblubienica ubrana mężowi swemu“ [2]. Dla tego wszystko w niej bezcielesne, duchowe, zwrócone ku Bogu.

Rzekłbyś, iż niewidzialna jakaś, nadludzka, niezmierna siła oderwała od ziemi, dźwignęła, cisnęła pod niebo tę nieprzeliczoną masę kamieni, skąd podając, zawisły w przestworzu na zespolonych między sobą bratnio pękach filarów, cienkich, wysokich, co łączą się u stropu, splatają, wiążą we wzajemnym uścisku krzyżujących się żeber sklepienia. Rankiem, na szybach

[1] Cf. Zarncke, *Vorstudie zu einer Ausgabe des Jüngern Titurel.* Leipzig 1876.

[2] Obj. XXI, 2. Że w ten sposób wieki średnie pojmowały świątynie, dowodzą słowa, jakiemi kapituła opactwa Saint-Ouen w Rouen rozpoczyna akt erekcyjny swego kościoła: „Urbem beatam Jerusalem, que aedificatur ut civitas non saxorum molibus sed ex vivis lapidibus (aluzya do hymnu *in Dedic. Eccl.*) quae virtutum soliditate firmatur et sanctorum societate nunquam dissolvenda extruitur, sacro sancta Ecclesia mater nostra per manu factam et materialem basilicam repraesentat“. Quicherat, *Mélanges d'archéologie et d'histoire,* t. II. Paris 1886.

olbrzymich okien, świt zapala kolejno całą gamę tęczowych blasków. Stopniowo, coraz dokładniej, zda się z nieba na promieniach słonecznych zstępujące ku ziemi, ożywają postacie świętych, przybierają wyraźne kształty, płyną w powietrzu, oślepiają powodzią światła, co bije od nich i spływa na wszystko dokoła, jakby błogosławieństwo Boże przez ich ręce ludziom przesłane. Gdzie nie sięga bogate przepychem barw, jak promień przepuszczony przez pryzmę kryształu, światło witraży, tam mrok panuje tajemniczy, poważny, pełen majestatu, grozy świętej i lęku, nadając całej strukturze wyraz dziwnej jakiejś potęgi i siły. A i tam nawet, gdzie na odsłoniętych swobodnie powierzchniach światło ślizgać się może do woli i bez przeszkody, czarne cienie ostro, na wskróś wyciętych liści w przyłuczach galeryj i tryforiów, tworzą powietrzny, szlachetny, choć surowy, ornament[1]. Woń świec woskowych, połączona z zapachem spalonego kadzidła owiewa, przejmuje, upaja, jakby oddech murów świątyni, co je chłonęła w siebie od wieków i przechowała — symbol tych modłów, które w niej lud zanosił do Boga. Zgiełk i ruch świata nie przenika zzewnątrz do środka; wrzawa i gwar nużącej, namiętnej gorączki życia dolatuje chwilami tylko, przemienia się w jakiś niewyraźny, daleki szmer, niezdolny zagłuszyć cichego szeptu modlitwy, zakłócić uroczystego spokoju i ciszy, bo katedra, to jak szczere, Bogu w kornej ofierze oddane serce, o którem nieznany, średniowieczny poeta mówi:

Li cuers doit estre
Semblans à l'encensier,
Tous clos envers la terre,
Et overs vers le ciel[2].

Tę duchowość katedry, przeciwnicy sztuki, zwanej gotycką, przypisują nadmiernej, niezdrowej egzaltacyi średniowiecza, tak, iż zdaniem Taine'a architektura ówczesna „świadczy o wielkiem przesileniu moralnem, chorobliwem zarazem i szczytnem, które

[1] Cf. Ruskin, *The Seven Lamps of Architecture*, 3, XII—XXIV, gdzie po mistrzowsku rozbiera własności światła i cieniów w architekturze gotyckiej.

[2] *Le Séraphin*, poemat rękop. Bibl. Nar. w Paryżu, nr. 1862.

przez cały ciąg wieków średnich egzaltowało i narowiło ludzkie umysły“ [1]. W rzeczywistości jednak duchowość ta była wyrazem zdrowia moralnego, siły, niespożytych zasobów zapału i życia, głębokiej, gorącej wiary i — co idzie zatem, ochoczej gotowości, ofiarności wytrwałej dla ideałów, którym społeczeństwo średniowieczne przez tak długi czas pozostawało wiernem.

Na tle dziejów XIII. wieku rysują się tak wspaniałe postacie, iż żaden wiek następny równych im przeciwstawić nie zdoła. Początek stulecia widzi na stolicy Piotrowej najdoskonalszy, być może, wzór namiestnika Chrystusowego, jakim był papież Inocenty III. Mądrość w rządach Kościołem, stanowczość w bronieniu jego nienaruszalnych praw, świętość obyczajów, dobroć i miłość, jaką się ten mąż Boży odznacza, imponuje nawet protestanckim pisarzom, zmusza uchylić głowę przed wielkością i cnotą, pociąga, nawraca do prawej wiary [2]. Następcy prowadzą wiernie rozpoczęte przez niego dzieło, usiłują zapewnić Kościołowi niezależność i wpływową, łagodzącą wszelkie niesnaski powagę.

O ich niezłomną, wytrwałą energię rozbija się w proch groźna świecka potęga Hohenstaufów. Wiek kończy panowanie Bonifacego VIII., a choć mniej chwil pomyślnych, nie mniej jednak chwały Kościołowi przynosi. Korona francuska przez lat z górą czterdzieści spoczywa na skroniach najwaleczniejszego rycerza i najgorliwszego syna Kościoła: ostatni z Krzyżowców, święty król Ludwik IX. umiera zdala od swej ziemi rodzinnej, wierny idei, której życie całe poświęcił. Cesarska korona Niemiec dostaje się w ręce Rudolfa z Habsburga, którego imię każdemu na myśl przywiedzie utwór Poety, jakim w godny sposób wyśpiewał bogobojne, chrześcijańskie cnoty wielkiego monarchy [3].

---

[1] *Philosophie de l'Art* par H. Taine, t. I, c. 2, VI. Paris, 1885.

[2] Cf. Hurter, *Geschichte Papst Innocenz III. und seiner Zeitgenossen.* Hamburg, 1842 i *Geburt und Wiedergeburt* I. Bd. Vorrede, pag. v, ss. Schaffhausen, 1845.

[3] Schiller, *Der Graf von Habsburg.*

Obok tych władców najpotężniejszych państw Europy, stają nam przed oczami dwie postacie pokorne, ciche, przyobleczone w ubogi habit zakonny. Ważą one w słabych dłoniach losy całego katolickiego świata, dźwigają na ramionach zagrożony ze wszystkich stron Kościół [1]. To pałający seraficką miłością, naznaczony ranami Chrystusa braciszek z Asyżu — *il gonfaloniere di Christo*, jak go nazywają współcześni [2]. i wierny mu w apostolskiej pracy towarzysz, co wraz z nim wspólnie podtrzymuje skołataną burzami herezyj łódź Piotrową — święty Dominik [3]. Z łona założonych przez nich zakonów wychodzą umysły potężne głębokością nauki, zdumiewające ogromem wiedzy — przedmiot podziwu i niewyczerpana skarbnica do kształcenia się pokoleniom następnym. Zakon Kaznodziejski wydaje św. Tomasza z Akwinu i Wincentego z Beauvais, zakon Braci Mniejszych św. Bonawenturę i Rogera Bacona. Wreszcie na przełomie obu wieków XIII. i XIV., ręka w rękę — mistrz słowa i mistrz pendzla — Dante i Giotto, otwierają światu idealne, duchowe sfery poezyi i malarstwa religijnego.

Były to wszystko umysły bynajmniej nie chorobliwie i znarowione, jak chce Taine, bynajmniej nie takie, co „marzą, szlochają, padają na kolana... wynajdują słodycze, zachwyty, czułości bez końca, pragną wylać na zewnątrz wyszukaną subtelność i uniesienia swej wyobraźni podnieconej i nieujarzmionej“ [4] — owszem, były one na wskróś zrównoważone, spokojne i trzeźwe, energiczne i czynne, jasno i najzupełniej świadome celu, do którego zdążały. Czynnikiem ich działania, sprężyną, co poruszała, po-

[1] Według podania papieże Inocenty III. i Honoryusz III. ujrzeli we śnie walącą się, a podtrzymywaną przez świętych Franciszka i Dominika bazylikę św. Jana Lateraneńskiego, na której froncie czytamy: *Dogmate papali datur ac simul imperiali, quod sim cunctarum mater et caput ecclesiarum.* Dante, *Paradiso* XI, 119, 120, robi zapewne aluzyę do tego zdarzenia. — Cf. Infra.

[2] *Fioretti di S. Francesco* — passim.

[3] Pensa oramai qual fu colui, che degno
Collega fu a mantener la barca
Di Pietro in alto mar per dritto segno.
Dante, *Paradiso*, XI, 118 ss.

[4] Id. ibid.

rządkowała i układała całe ich życie, była wiara, szczera i prosta, głęboka i gorąca, wiara żywa — tym pierwiastkiem, który wszystkiemu we wszechświecie panuje, wszystkiem rządzi, wszystko do jednego ładu sprowadza i do jednej harmonii, a o którym Poeta wspomina, zamykając ostatnią pieśń Boskiej księgi: *L'Amor che muove il Sole e l'altre stelle* [1].

Żyjąc z wiary, ludzie ówcześni patrzyli również okiem wiary na życie, brali je za to, czem jest w istocie, za krótką, przelotną chwilę, za sen, którego ostatni moment — przebudzenie — otwiera wrota wieczności. Stąd też i wszechświat cały był dla średniowiecza jednym wielkim symbolem, w którym wszystkie stworzenia, każdy najdrobniejszy widomy szczegół zewnętrzną jeno postacią, znikomym odblaskiem świata nadprzyrodzonego i nadzmysłowego. Celem stworzeń, na pierwszem miejscu, jest uduchownić człowieka, unieść go w oderwane sfery wszechbytu, wszechdobra i wszechprawdy, być mu drogą do Boga, *itenerarium mentis ad Deum*, „którego rzeczy — jak świadczy Apostoł narodów — od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione zrozumiane, bywają poznane“ [2].

Ta myśl, ta tendencya transcendentalna tkwi w całej średniowiecznej literaturze Kościoła.

W dwudziestej dziewiątej księdze swego *Speculum Naturale*, przeszedłszy wszystkie dzieła sześciu dni stworzenia świata, opisawszy z podziwem ich rozmaitość, bogactwo, własności, ład w układzie, piękność, harmonię, zastanawia się Wincenty z Beauvais w jaki sposób patrzyć na nie należy. I dochodzi do wniosku, że dziać się to może w czworaki sposób: „Pierwszy jest — powiada — gdy patrząc na wszelkie stworzenie, rozważamy czem ono jest samo ze siebie i pamiętamy, że wszystko jeno marną próżnością. Powtóre, gdy rozważając czem ono jest z daru Stwórcy, znajdujemy w niem myśli Bożej podobieństwo. Po trzecie, gdy się zastanawiamy, jako Bóg pośrednictwa stworzeń

[1] Dante, *Paradiso* XXXIII, 145.
[2] Rzym I, 20.

używa do wypełniania swoich wyroków. Po czwarte, gdy w nich szukamy nie pomocy dla przyrodzonej nam ułomności, ale zadowolenia rozpusty“ [1]. Wynikiem tego, że pierwsze trzy sposoby zdradzają dobre usposobienie umysłu, który, „im więcej podziwia na zewnątrz dzieł Bożych, tem bardziej rośnie na wewnątrz w miłości dla Stwórcy“. Czwarty przeto sposób zapatrywania jedynie niedorzecznym jest i zdrożnym.

Tę zasadę twórcy *Speculum Maius* pisarze średniowieczni zastosowują na każdym kroku. Hugo de S. Victore jedno z dzieł swoich rozpoczyna opisem gołębicy, pobudzony do rozmyślania słowami wspominającego o niej psalmu [2]. W oczach jego srebrzysta gołębica to Kościół, nauką słowa Bożego wymowny. Dwoje ma skrzydeł — to czynne i bogomyślne życie. Piórami gołębicy są Ojcowie i Doktorzy Kościoła, osadzeni w skrzydłach dobrych uczynków i świętej bogomyślności. Ale cóż mówią żółte, złocące się barwą dostałego szafranu oczy? są wyrazem mądrości i przezorności dojrzałej Kościoła, z jaką rzeczy przyszłe objawia i przewiduje. Łapki jej czerwone — to męczennicy którzy krew swoją dla imienia Chrystusowego przelali; więc szkarłatna barwa nóg gołębicy — to krew męczeńska [3].

Średniowieczny niemiecki pisarz układa rymowaną prozę, czyli sekwencyę, na cześć Najświętszej Panny [4]. Utwór ten, to opis ozdobionego drogiemi kamieniami pierścienia, który pobożny mnich ofiaruje Matce Bożej jako zadatek mistyczny jej zaślubin

[1] *Vincentii Burgundi ex ordine Praedicatorum venerabilis episcopi Bellovacensis: Speculum quadruplex.* Duaci, 1624, t. I. *Speculum Naturale,* l. XXIX, c. 27. Mâle błędnie przypisuje wydanie to Jezuitom; jest ono drukowane staraniem Benedyktynów w Douai.

[2] *De bestiis et aliis rebus.* Migne, Patrol. lat. t. CLXXVII, col. 15—19.

[3] Gołębica, jak i dziś jeszcze, była zawsze również i symbolem czystej, szlachetnej duszy. Tak Fryderyk, biskup Liège († 1123) otrzymał na grobowcu swym napis:

Clauditur hac tumba simplex sine felle columba
Quae nobis vivam referebat pacis olivam
Cor sublime gerens, Scripturae totus inhaerens.

Longueval S. J., *Histoire de l'Église gallicane,* l. XXIII. Paris, 1730—49.

[4] Dom Guéranger, który ją cytuje, (*L'année Liturgique. Temps Pascal,* t. II. Paris, 1888) nie wymienia autora. Być może, iż był nim Konrad z Haimburga.

z Królewskim Oblubieńcem. Każdy kamień osadzony w pierścieniu mówi mu o jej cnotach: jaspis zielony wysławia żywą wiarę, z jaką przyjęła zwiastowanie anielskiego dziewosłęba; niebieski blask szafiru głosi stałość nadziei; w kalcedonie odbija się ogień miłości, płonący nieustannie w jej duszy; szmaragd połyskuje jej czystością dziewiczą; czerwony sardonik — to serce jej zakrwawione boleścią pod krzyżem; w chryzolisie iskrzy się niezliczona moc złotych pyłków: przypominają one jej cuda bez miary, jej przedziwną mądrość; beryl odkrywa nam jej pokorę; topaz głębię bogomyślności; chryzolit żarliwość modlitwy; ametyst, o różowo-purpurowych odcieniach, miłość ku niej Bożą i ludzi; w agacie przeziera skromność; w onyksie nieprzebrane dary jej łask; dyament, opierający się wszelkim pociskom, streszcza wytrwałość, męstwo w znoszeniu cierpień, a karbunkuł, co sieje światło i w nocnych nawet ciemnościach, na wsze strony rozgłasza chwałę Maryi.

Nie w tak naiwnej formie, co prawda, ale spotkać nam często podobną mineralną symbolikę u autorów średniowiecza [1].

Posłuchajmy jeszcze poety, który nam lepiej niż którykolwiek inny z pisarzów ukaże, do jakich subtelności mistycznego symbolizmu, do jak oderwanych wyżyn spekulatywnej kontemplacyi, na widok najprostszych nawet, najzwyklejszych rzeczy, co krok spotykanych w codziennem życiu, podnosiły się umysły w tamtej epoce.

Adam a Sancto Victore [2] to prawdziwa dusza pieśniarza: bogata i poetyczna, obdarzona wyjątkowym zmysłem harmonii i rytmu. Igra on swobodnie z największemi trudnościami języka i formy, którą opanował i włada po mistrzowsku [3]. Wzorem

---

[1] Cf. Rabani-Mauri, *De Universo*. Patr. lat. t. CXI, col. 464 ss.—S. Brunonis Astiensis, *Expositio in Apocalypsim*. Patr. lat. t. CLXV, passim. — Marbodi Redonensis, *Lapidum pretiosorum mystica seu moralis applicatio*. Patr. lat. t. CLXXI, col. 1771 ss.

[2] Należący do szkoły „Wiktorynów", Kanoników Regularnych św. Augustyna z klasztoru św. Wiktora w Paryżu, zasłużonych na polu teologii mistycznej.

[3] „Eine echte Sängernatur, wie es nur je eine gab, dem gleichsam jedes Wort zu Reim und Melodie ward". Baumgartner S. I., *Die lateinische*

jest, na którym później powstaną najpiękniejsze w hymnodyi kościelnej sekwencye: *Lauda Sion* św. Tomasza z Akwinu, *Stabat Mater* Jacopona z Todi, *Dies irae* Tomasza z Celano.

Do sekwencyi na niedzielę wśród oktawy Bożego Narodzenia podaje mu temat jeden z owoców składających się na skromne, zwyczajne danie zakonnego refektarza. Ma przed oczami orzech migdału; ale myśl jego przywykła do rozważania Ksiąg Świętych przywodzi mu ową chwilę z dziejów Starego Zakonu, gdy Mojżesz na rozkazanie Pańskie wziąwszy od wszystkich książąt pokolenia lasek dwanaście, położył je w przybytku świadectwa, a „nazajutrz wróciwszy się nalazł, iż zakwitnęła laska Aaronowa z domu Lewi i gdy napęczniało pąkowie, wyszły kwiatki, które, gdy się list rozwił, w migdały się obróciły“ [1]. Kwitnąca laska Aaronowa — to, w ogólnie przyjętem pojęciu wieków średnich, Matka Boża, a wydany przez nią na świat Zbawiciel — to cudowny owoc migdału [2]. Więc odnajduje w nim nasz poeta mnóstwo szczegółów, z których każdy ma w sobie coś, co się odnosi do Boga-Człowieka. Każda z części z jakich się składa orzech jest tedy symbolem: twarda łupina, to drzewo krzyża, na którem Syn Boży cierpiał; skórka pokrywająca jądro migdałowe to jego ciało; sam orzech, to Bóstwo w ciele ukryte. Nadto jednak migdał daje ze siebie pożywienie, daje olej, który oświeca, lub użyty do namaszczenia wzmacnia i leczy. Podobnież i Chrystus: światłem jest dla ciemnych, olejem uzdrawiającym dla chorych, pokarmem dla dusz pobożnych [3].

Tak, w kunsztownej szacie liturgicznych poezyj, wypowia-

---

und griechische Literatur der christlichen Völker. Freiburg. Herder, 1900. — Trench, *Sacred Latin Poetry*, London 1874 — nazywa go: „The foremost of the sacred Latin poets of the middle ages“.

[1] Num. XVII, 8.

[2] Cf. Cahier, *Caractéristiques des Saints*, t. I, p. 28. — Barbier de Montault, *Traité d'Iconographie chrétienne*, t. I, c. II, 8. Paris 1900. I nasza prastara, a przepiękna kolenda: „Anioł pasterzom mówił“, śpiewa również: „Aaronowa rószczka zielona stała się nam kwitnąca i owoc rodząca“.

[3] Contemplemur adhuc nucem,
Nam prolata nux in lucem
Lucis est mysterium.

dały i podawały sobie wieki średnie swoje uczucia, wierzenia, myśli.

Prócz tego jednak średniowiecze to epoka symetryi, układu, porządku. Już sam porządek istniejący we wszechświecie nakazuje domniemywać się jakiegoś systemu odwiecznego, nieodmiennego, który wycisnął na wszystkiem piętno swej harmonii i ładu. System ten ukrywa się w liczbach. Każda z nich ma jakieś, sobie tylko właściwe, opatrznościowe a symboliczne znaczenie; nie są bowiem liczby czem innem, jeno mądrości i myśli Bożej wyrazem [1]. Poznać, zrozumieć ich znaczenie dokładnie, jest to samo co poznać i zrozumieć myśl Bożą, to samo co poznać i zrozumieć wszechświat, zarówno w porządku moralnym, jak i fizycznym, bo cały jego plan na liczbach oparty.

Taka nauka znajduje się u Ojców Kościoła [2]. Średniowiecze chwyta ją i przejmuje skwapliwie, a zarazem wiernie dalej prowadzi. Rzućmy okiem tylko na liczby ważniejsze i bardziej uprzywilejowane w tej symbolicznej matematyce wieków średnich.

Poczesne miejsce zajmuje w niej siódemka, składająca się

Trinam gerens unionem
Tria confert: unctionem,
Lumen et edulium.

Nux est Christus, cortex nucis
Circa carnem poena crucis.
Testa, corpus ossium.
Carne tecta deitas
Et Christi suavitas
Signatur per nucleum.

Lux est caesis, et unguentum
Christus aegris, et fomentum
Piis animalibus.
O quam dulce sacramentum
Fenum carnis in frumentum
Convertit fidelibus.

Adami a Sancto Victore Sequentiae. Patr. lat. t. CXCVI, col. 1430 ss.

[1] „Sapientia studiosis sui inquisitoribus sese in via ostendit, numeris videlicet cuique rei impressis". S. Augustini, *De libero arbitrio.* Patr. lat. t. XXXII, col. 1263.

[2] Cf S. Hilarii Pictaviensis, *Tractatus super Psalmos.* Patr. lat. t. IX, col. 239, n. 11—12; col. 637, n. 5. — S. Augustini, *De Musica,* Patr. lat. t. XXXII, col. 1181. — Sancti Eucherii Lugdunensis, *Formularum spiritualis intelligentiae ad Uranium liber unus.* Patr. lat. t. L, col. 769 ss. — S. Isidori Hispalensis, *Liber numerorum qui in Sanctis Scripturis occurrunt.* Patr. lat. t. LXXXIII, col. 179 ss. — Bedae Venerabilis, *De Tabernaculo et vasis eius.* Patr. lat. t. XCI, col. 456 ss.

z trójki i czwórki. Pierwsza z tych liczb wyraża tajemnicę Trójcy Przenajświętszej, znakiem jest duszy ludzkiej, stworzonej na jej obraz i podobieństwo, a co za tem idzie, przedstawia wszystko duchowe, niemateryalne. W czwórce widzimy cztery żywioły, z których utworzone są wszystkie ciała, wszystko co tylko nosi nazwę materyi. Stąd siódemka, symbol wszechświata, oznacza pewną uniwersalność i doskonałość, tak, iż, zdaniem Rabana Maura, psalmista mówiąc Bogu: „Siedmkroć przez dzień chwałem tobie dawał", zupełnie tę samą myśl na innem miejscu wyraża słowami: „Zawżdy chwała jego w uściech moich", a św. Jan pisząc w Objawieniu do siedmiu Kościołów Azyi, tajemnice Powszechnego Kościoła światu odkrywa[1]. Siódemka, złożona z trójki, oznaczającej duszę, i z czwórki, oznaczającej ciało, jest w całem tego słowa znaczeniu liczbą człowieka, mieszczącą w sobie wszystko, co tylko się do niego odnosi. By się oprzeć siedmiu grzechom głównym, zapuszczającym swe korzenie w sercach ludzkich, należy nam zanosić siedm próśb Modlitwy Pańskiej, celem otrzymania łask potrzebnych do pomnażania siedmiu darów Ducha św., do wzrastania w siedmiu cnotach, do otrzymania siedmiu błogosławieństw[2].

Dwanaście, to liczba Apostołów; symbolizuje ona jednak zarazem i Świętych, którzy przez wiarę w trzy Boskie Osoby z czterech stron świata zebrani jeden Kościół stanowią[3]. Podobnie jak siódemka przez dodanie, tak dwunastka jako rezultat pomnożenia trójki przez czwórkę, oznacza powszechność — „ponieważ czwórka formą jest rzeczy cielesnych, a trójka duchowych"[4].

Honoryusz z Autun objaśnia mistyczne znaczenie obrządków Kościoła. Kolej przychodzi na Popielec. Słowa wymawiane przez kapłanów przy posypywaniu wiernym głowy popiołem,

---

[1] *De Universo.* Patr. lat. t. CXI, col. 271.

[2] Cf. Hugonis de S. Victore, *Expositio in Abdiam.* Patr. lat. t. CLXXV, col. 400 ss. Id. *De quinque septenis seu septenariis.* Ibid. col. 405 ss.

[3] Rabani Maurii, *De Universo,* ibid. col. 492.

[4] Hugonis de S. Victore, *De Scripturis et Scriptoribus sacris.* Patr. lat. t. CLXXV, col. 22.

te same są, któremi Bóg wyrok swój pierwszemu człowiekowi ogłosił. Lecz Adam, w pojęciu Honoryusza z Autun, to ród ludzki, składający się jakby z cząstek swego praojca, rozrzuconych po całym świecie. Boć słowo „Adam“ składa się z czterech liter, od których zaczynają się greckie nazwy czterech stron świata: wschód — *anatole,* zachód — *dysis,* północ — *arctos,* południe — *mesembria.* Nadto słowo „Adam“ znaczy tyle co liczba 46. Przemieniając greckie litery tego słowa na cyfry otrzymamy: $\alpha = 1$, $\delta = 4, \alpha = 1$, $\mu = 40$; suma tych cyfr wyniesie 46. Przez tę liczbę Chrystus, nowy Adam, potomkiem jest starego według ciała; potrzeba bowiem czterdziestu sześciu dni na uformowanie się zupełne człowieka. Prócz tego szóstka oznacza sześć dni pracy, sześć epok świata lub sześć miłosiernych uczynków; czterdziestka dziesięcioro przykazań Bożych i cztery Ewangelie, przez które, wraz z Głową naszą Chrystusem, w dzień zmartwychwstania, odnosimy zwycięstwo [1].

Jak widzimy, niewyczerpani byli średniowieczni pisarze w kombinacyach mistycznych. Nie uchylił się od nich i wielki gieniusz Dantego.

Dziewiątka jest mu liczbą świętą, tajemniczą, cudowną. Spotyka Beatryczę po raz pierwszy, gdy miała lat dziewięć, po raz wtóry, gdy liczyła lat ośmnaście, to jest dwa razy po dziewięć; umarła, kiedy wiek, w którym żyła, dziewięćkroć powtórzył lat dziesiątek, (1290) w miesiącu dziewiątym z rzędu według rachunku roku żydowskiego. Stąd Beatrycze utożsamia się w pojęciu Danta z dziewiątką, jest cudem, który swe źródło znajduje nie indziej jak w Trójcy Świętej: liczba trzy, bowiem, pomnożona przez siebie, bez pomocy żadnej innej, daje liczbę dziewięć [2]. To też w *sirvente,* którem wysławia wdzięki sześćdziesięciu najpowabniejszych pań Florencyi, imię Beatryczy „cudownym przypadkiem powraca wciąż jako dziewiąte“, wśród innych imion florenckich piękności [3]. W „Boskiej Komedyi“ dzie-

[1] Honorii Augustodunensis, *Sacramentarium.* Patrol. lat. t. CLXXII, col. 741.

[2] *La vita nuova.* Ed. d'Ancona. Pisa, 1884.

[3] Cf. Klaczko, *Causeries Florentines. II. Béatrice et la poésie amoureuse.*

więciu kołom „Piekła“ odpowiada dziewięć tarasów „Czyśca“ i dziewięć sfer „Raju“. Liczby są dla Dantego jakby rytmem jakimś Boskim, cudownym, którego nadprzyrodzonej sile wszystko musi uledz, stać się posłusznem. Posłuszną mu jest jego myśl własna, własne jego, potężne natchnienie. Cała *Divina* zbudowaną jest na symbolice cyfr, wśród których liczba trzy, symbol Trójcy, ma najgłówniejsze mistyczne znaczenie, objawia się zarówno w całości jak i w szczegółach: Cały poemat dzieli się na trzy części, każda o 33 pieśniach[1] na pamiątkę 33 lat życia Chrystusa, a wszystkie pieśni wyśpiewane są w tercynach. W poczuciu symetryi, z jakiem układał cały swój świat idealny, umieszcza Dante Raj ziemski i Jerozolimę na dwóch odwrotnych częściach tego świata by tym sposobem przeciwstawić drzewo zagłady, krzyżowemu drzewu zbawienia. „Tak wzniósł on — *cum pondere et mensura* — swą niewidzialną katedrę. Był on, wraz ze św. Tomaszem, wielkim budowniczym XIII. stulecia. Możnaby go przedstawić z cyrklem i miarą w ręku, podobnie jak widzimy na kamieniu grobowym mistrza Hugona Libergier, który budował kościół św. Nicezyusza w Reims“ [2].

Taż sama duchowość, jaką widzimy u średniowiecznych pisarzy, przebija, lecz wyraźniej jeszcze, silniej, dobitniej w obrzędach i ceremoniach Kościoła. „Przeświadczenie, iż bezpośrednia chwalba Boża najpierwszym jest, najpiękniejszym i najwznioślejszym obowiązkiem człowieka na ziemi — mówi Baumgartner — to przeświadczenie wiodło do klasztorów tysiące i tysiące ludzi, czyniło im służbę Bożą najgłówniejszem zadaniem, kierowało do tego celu architekturę, rzeźbę, malarstwo, sztukę stosowaną, poezyę i muzykę, przeistaczając tem samem liturgię w dzieło sztuki, urzeczywistniając w sposób najwznioślejszy związek wzajemny sztuk i między sobą i z religią“ [3]. Związek

[1] Jak wiadomo pierwsza pieśń „Piekła“ jest tylko wstępem.
[2] Émile Mâle, l. c. c. II, pag. 17.
[3] l. c. pag. 446.

to był czysto idealnej natury — mistyczny. Średniowieczni liturgiści wszystkiemu co tylko jest, czy to bezpośrednio, czy też pośrednio, służbie Bożej oddanem, przypisują jakieś głębsze znaczenie, w najdrobniejszych nawet szczegółach doszukują się jakiejś myśli wewnętrznej, duchowej, która je przenika, ożywia, uświęca, czyni narzędziem godnem oddania w usługę Bogu, co nie chce być czczonym inaczej jak „w duchu i w prawdzie“ [1].

Rzućmy okiem na liturgiczne szaty: w każdej z nich wieki średnie ukażą nam najwspanialsze symbole. Zatrzymajmy się przed majestatyczną architekturą katedry, zacznijmy podziwiać rozmaitość i bogactwo jej sprzętów: starzy liturgiści z XII. lub XIII. wieku, taki Sykard z Kremony [2] lub Durand z Mende [3], zapewnią nas, iż od kamiennych tafel posadzki aż do dachówek, pokrywających łuki sklepienia, od pulpitu w chórze aż do łańcuszków i kółka u kadzielnicy, wszystko ma swoją myśl, swą gienezę, swoje znaczenie. W uroczystościach, które Kościół przed nami roztacza z całym blaskiem, z całą powagą katolickiego obrządku, w ofierze Mszy świętej, dokoła której, jako ogniska wszystkich łask, wszystkich skarbów duchowych koncentruje się całe życie Kościoła, Amalaryusz [4], Robert z Tuy [5], Inocenty III. [6] odsłonią nam rąbek złotego ubioru liturgii, w którą Królewska Oblubienica się przyoblekła, i ukażą, że „wszystka chwała tej córki królewskiej we wnątrz“ [7] — w jej tajemnicach, którym aparat ceremonialny i liturgiczna akcya tylko szatą zewnętrzną.

---

[1] Jan IV, 24.

[2] Sicardi Cremonensis, *Mitrale*. Patr. lat. t. CCXIII.

[3] Gulielmi Durandi Mimatensis Episcopi, *Rationale Divinorum Officiorum*. Lugduni 1559.

[4] Amalarii Metensis, *De Ecclesiasticis Officiis*. Item, *Eclogae de officio Missae*. Patr. lat. t. CV.

[5] Ruperti Tuitiensis, *De Divinis officiis*. Patr. lat. t. CLXX.

[6] Innocentii III., *De Sacro Altaris Mysterio*. Patr. lat. t. CCXVII. Cf. etiam: Honorii Augustodunensis, *Gemma animae* i *Sacramentarium*. Patr. lat. t. CLXXII. — Hugonis de S. Victore, *Speculum de Mysteriis Ecclesiae*. Patr. lat. t. CLXXVII.

[7] Ps. XLIV, 14.

Pomijając ogólniej szerszym kołom znane symboliczne znaczenie liturgicznych szat kapłańskich [1], ograniczmy się na wyjaśnieniu czem są, w oczach liturgistów średniowiecznych, pontyfikalne szaty biskupie.

Mitra, obiema, zwężającemi się ku górze częściami *(cornua)*, symbolizuje Zakon Stary i Nowy, z których pomocą biskup zwalczać musi wrogów Kościoła [2]. Rękawice upominają biskupa, iż ręce jego czyste, wolne od wszelkiej zmazy, raz niemi okryte, to jest w ukryciu — dla pokory, raz obnażone, to znaczy jawnie — dla przykładu, świadczyć mają dobre uczynki [3]. Sandały, od góry otwarte, od ziemi opatrzone podeszwą, oznaczają, iż biskup ma słowo Boże przepowiadać otwarcie, nie szukając w tem jednak ziemskiego zysku; lub, że w głoszeniu prawd Ewangielii ma być przezornym, to objawiając je, by wiernych dostatecznie pouczyć, to ukrywając, by niedowiarkom nie dać w nich przedmiotu do szydzenia i bluźnierstw [4]. Pastorał znakiem jest karcącej władzy biskupiej, wyrażając zarazem powagę jego nauki, którą podtrzymuje słabych, karci wichrzących, błądzące do pokuty przywodzi [5].

Gdy czytamy *Rationale* Wilhelma Duranda, to doznajemy chwilami wrażenia, jakby tam niektóre z podawanych przez niego objaśnień były czystym utworem fantazyi, jakąś halucynacyą pobożną, siłącą się na sztuczne podstawienie symbolicznej idei tam, gdzie jej, prócz niego, każdy na próżnoby szukał [6]. W istocie jednak tak nie jest: Durand zbiera, reasumuje, powtarza i tylko logicznie dalej rozwija to, co już od Amalaryu-

[1] Ciekawych odsyłamy do wyczerpującej pracy ks. J. Brauna T. J.: *Die priesterlichen Gewänder des Abendlandes nach ihrer geschichtlichen Entwicklung.* Freiburg. Herder 1897.

[2] J. Braun S. I.: *Die pontificalen Gewänder des Abendlandes nach ihrer geschichtlichen Entwicklung.* Freiburg. Herder. 1898, pag. 56 ss.

[3] Id. ibid. pag. 86 ss.

[4] Id. ibid. pag. 127 ss.

[5] *Rationale* l. III, c. XV, n. 1, 2.

[6] Według Duranda, naprzykład, szczypce do ucinania knotów u świec ołtarza, są „słowa Boże, któremi obcinając literę Zakonu, odkrywamy światło ducha", a naczynia przeznaczone do składania uciętych knotów, są „serca wiernych, zachowujące literę Zakonu". Ibid. l. I, c. III, n. 28.

sza, to jest od IX. wieku aż do jego czasów, jako ogólnie przyjętą doktrynę podawali liturgiści średniowiecza. I przyznać trzeba, że tkwi tam jakaś dziwnie pociągająca siła, jakaś pobożność wielka, gorąca, jakaś całkiem niepowszednia szlachetność i wyższość, która patrzy oczyma ciała po to jedynie, by wszystko, co tylko ujrzy, podnieść oczyma duszy do ideału czystej, głębokiej, duchowej myśli.

W symbolicznym jego kościele, tak jak w Kościele Chrystusowym, którego jest dokładnym obrazem, wszystko żyje, przemawia, naucza, spełnia swe posłannictwo bezustannie, niezmiennie, wiernie. Z kamieni użytych do budowy, a wyobrażających lud wierny, większe, obrobione w formie kwadratów, umieszczone z zewnętrznej strony budowli — to dusze zahartowane w szkole doskonałości, co modlitwami swemi i zasługami podtrzymują słabsze duszyczki — drobne kamienie, by nie upadały, a nie znalazły się poza Kościołem. Więc przytuliły się jedne do drugich i złączyły miłością, jaką w ludziach Duch Święty sprawuje, a wyrażoną przez cement powstały z wapna, które — symbol gorącej miłości — przez wodę, to jest przez ducha, łączy się ze ziemią — z człowiekiem. Na posadzkę, oznaczającą ubogich duchem, pokornych, prostaczków, co pracą rąk własnych przyczyniają się do zaspokojenia materyalnych potrzeb Kościoła; na filary, to jest biskupów i Doktorów, kolumny Kościoła, które go swoją nauką podtrzymują duchowo; do wnętrza świątyni czyli do serc wiernych, przechodzi światło słoneczne, światło Boże przez księgi Pisma Świętego, któremi są szyby okien, co chronią zarazem od gradu, burz, nawałnic złych zasad, fałszywych nauk, herezyj.

Pozostańmy jeszcze na chwilę w tym duchowym kościele Duranda, byśmy wraz z nim mogli być obecni choć małej części odprawiającej się tam ofiary świętej [1].

Poważny i smętny śpiew *Introitu* otwiera obrzęd: wyraża on oczekiwanie patryarchów i proroków. To chór kapłanów i świętych Starego Zakonu, co wzdychają za przyjściem Mesya-

[1] Podajemy tu doskonałe streszczenie Emila Mâle. Cf. l. c. p. 22—23 i *Rationale* l. IV, c. V ss.

sza, którego nie mają ujrzeć. Nareszcie wychodzi biskup, i ukazuje się jako żywa figura Jezusa Chrystusa. Jego przybycie symbolizuje przyjście Zbawiciela oczekiwanego przez narody. Czasu wielkich uroczystości niosą przed nim siedem pochodni, by przypomnieć, iż wedle słów proroka siedem darów Ducha Świętego spoczęło na głowie Boskiego Syna. Posuwa się pod wspaniałym baldachinem; czterej niosący go ludzie porównać się dadzą do czterech Ewangielistów. Dwaj akolici idą po prawicy i po lewicy, a przedstawiają Mojżesza i Eliasza, którzy się ukazali na górze Tabor u boków Chrystusa. Uczą nas, iż Jezus miał za sobą powagę Zakonu i proroków.

Biskup zasiada na tronie zachowując milczenie. Zda się jak gdyby żadnego nie brał udziału w pierwszej części obrzędu. Jego zachowanie się zawiera naukę: przypomina nam swem milczeniem, iż pierwsze lata życia Chrystusowego upłynęły w ukryciu i skupieniu. Subdyakon jednakże, skierował się do pulpitu, i, zwrócony na prawo, odczytuje głośno Epistołę. Domyślamy się tutaj, iż jest to pierwszy akt dramatu Odkupienia. Czytanie Epistoły, to przepowiadanie Jana Chrzciciela na puszczy. Mówi, zanim Zbawiciel dał głos swój usłyszeć, lecz mówi jedynie do Żydów. Dlatego też subdyakon, obraz Przesłańca, zwraca się ku stronie północnej, która jest stroną Starego Zakonu. Po odczytaniu, skłania się przed biskupem, jak Jan Chrzciciel uniżył się przed Chrystusem.

Śpiew *Graduału,* następujący po Epistole, odnosi się jeszcze do posłannictwa Janowego, wyraża on namowę do pokuty, z którą się zwraca do Żydów, w przededniu nowych wieków.

Wreszcie celebrans czyta Ewangielię; chwila to uroczysta, tu bowiem rozpoczyna się czynne życie Mesyasza; słowa jego po raz pierwszy słyszeć się dają światu. Czytanie Ewangelii figurą jest jego własnego nauczania.

Credo następuje po Ewangielii jak wiara następuje po ogłoszonej prawdzie. Dwanaście artykułów wiary w *Credo* odnoszą się do powołania dwunastu Apostołów.

Po ukończonem *Credo,* biskup powstaje i przemawia do ludu. Wybierając tę chwilę do nauczania wiernych, Kościół chciał im

przypomnieć cud swego ustanowienia i ugruntowania. Ukazuje im, jako prawda, przyjęta naprzód przez samych tylko Apostołów, rozszerzyła się w jednej chwili po całym świecie.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad literaturą i liturgiką średniowieczną, badaliśmy myśl, co stanowiła ich treść, wlewała w nie duszę, dawała im życie. Uczyniliśmy to dlatego, iż nie inną była wówczas myśl sztuki, którą wiek XIII. i XIV. — doba rozwoju — w najściślejszym z niemi zastała związku.

(C. d. n.).

Ks. Józef Tuszowski.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.

2. Z Grecyi i Wschodu.

(Ciąg dalszy).

V.

Pożegnanie z Korfu. Morzem do Koryntu. Noc na pokładzie. Angielskie turystki. Patras. Cytadela. Stara cerkiew. Place i ulice. Pamiątkowa bazylika zwycięstwa nad Lepantem. Katolicy w Patras i wielkoczwartkowe nabożeństwo. Moja odysea przed dworcem. Zatoka koryncka. Droga do Aten. Korynt, dojazd do Aten, niespodzianki. Jak wygląda stolica Grecyi.

W cudnie wypogodzone południe witałem Korfu po raz pierwszy, i w cudny, słoneczny wieczór przyszło mi żegnać uroczą wyspę, która w swej oprawie z szafiru, w łunie blasków złocistych i oślepiających lśniła i promieniała oddalając się, niby fantastyczne widziadło. Statek był prawie pusty; prócz mnie i profesora z Berlina, dążącego przez Korynt do Pelopenezu dla wzięcia udziału w corocznej wycieczce naukowej d-ra Dörpfelda, były tylko trzy bardzo miłe i dystyngowane Angielki, udające się do Olimpii. Wieczór zszedł nam na miłej gawędce na pokładzie, księżyc kładł na popielatych falach długie, rozpryskujące się smugi melancholijnego światła, a w cieniach nocy migały zdala światełka morskich latarni i niewyraźne zarysy lądu.

Do Patras przybywamy z rana. Że to Wielki Czwartek, zatrzymuję się na pół dnia dla nabożeństwa. Miasto bardzo handlowe i bogate, ale niewypowiedzianie nędzne i brudne. Tylko

nad morzem trochę porządniejszych domów i parę zupełnie przyzwoitych hoteli. W moim jest ładna sala jadalna z widokiem na morze, niezłe, ale drogie śniadanie i dużo kwiatów. Na stoliku, przy którym siedzimy, stoi bukiet przepysznych róż herbacianych, a uprzejmy kelner wręcza nam na pożegnanie pęki najpiękniejszych świeżo zerwanych.

Drapiemy się z towarzyszem podróży, profesorem berlińskim, przez niemożliwie błotniste zaułki ku górze, na której sterczą rudery dawnej weneckiej a następnie tureckiej warowni. Widok stąd obszerny na miasto szeroko rozsiadłe u podnóża, na zatokę morską i na wysokie, liliowe, śniegiem migocące góry, zarówno po stronie Pelopenezu, jak i z tamtej strony morza.

W pobliżu znajduje się główna, jak się zdaje, cerkiew miasta, przerobiona i powiększona bardzo nieszczęśliwie i niezgrabnie z dawnej jakiejś świątyni, o bardzo szlachetnych formach romańsko-bizantyńskich z XI. lub XII. wieku. Do tego dodano banalny niby romański portal z dwoma wprost niemożliwie ciężkiemi i brzydkiemi wieżami. Parę innych cerkwi, jakie widziałem, pozbawione są wartości i małe mają rozmiary. Pomników też miasto nie posiada żadnych prócz paru dość banalnych wodotrysków, wspartych na lwach marmurowych, które w pierwszej chwili wziąłem za pamiątkę po Wenecyanach, zanim partactwo roboty przekonało mnie, że to jest *ganz modern*.

Katolicy w Patras budują ze składek, zbieranych w całym świecie przez komitet z centralną siedzibą w Rzymie, ogromny jubileuszowy kościół nad morzem na pamiątkę bitwy pod Lepantem i ku uczczeniu N. P. Różańcowej. Przedsięwzięcie obliczone na zbyt może wielką skalę; kosztorys wynosi parę milionów, a monumentalna bazylika, mająca przedstawiać redukcyę kościoła św. Piotra, stanie się najwspanialszą świątynią nietylko Patras, ale i całej Grecyi — jeżeli stanie. Co do tego niestety spotkałem się z poważnemi wątpliwościami u najkompetentniejszego źródła, bo u administratora dyecezyi. Grecy tymczasem mocno są niezadowoleni z fabryki. Nawet portyer hotelowy, mówiąc o tem, mimo całej swej grzeczności dla mnie, powtarza o budowie z kwaśną miną: „*troppo grande, troppo grande*“. Zdanie

zaś jest ogólne, że dla skończenia świątyni niezbędnem byłoby, aby z rąk księży świeckich wzięła sprawę tę jakaś czynna i wpływowa kongregacya zakonna. Pewne oznaki pozwalają przypuszczać, że tak się stanie, że kongregacyą tą będą tak czynni na Wschodzie i wpływowi Assumpcyoniści.

Zanim to wszystko nastąpi, katolicy cisną się w starym, zresztą porządnym choć ubogim kościółku, który mi zupełnie przypomniał jakiś parafialny kościół na rosyjskiem lub galicyjskiem Podolu ze swemi kwadratowemi wieżyczkami i szablonową facyatą. Było już pełno, kiedym przyszedł, choć godzinę czekałem na nabożeństwo. Trzej księża, dwaj miejscowi i wielkopostny kaznodzieja, słuchali spowiedzi, i było kogo słuchać, bo pół kościoła przystąpiło do generalnej komunii. Wreszcie wyszła suma, celebrowana w asyście z wielką uroczystością i ściśle podług rytuału. Śpiew kilku dobranych męskich głosów, którym wtórowały srebrne soprany chłopiąt szkolnych, robił poważne i piękne wrażenie. Jak później w Atenach, w katedrze, miałem wprost przykre uczucie, porównywając wspaniałość, powagę i liturgiczną ścisłość tamecznych ceremonij z odprawianemi u nas, tak teraz zadawałem sobie pytanie, kiedy w naszych kościołach parafialnych będziemy mieć takie jak w tem mieście nabożeństwa i taką publiczność. Ta jest istotnie budującą. Kiedy przypomnę sobie, że świeżo jeszcze widziałem w Neapolu ludzi, zachowujących się w kościele gorzej, niż Niemiec zachowuje się w kawiarni, trudno mi było z tem się oswoić, tem bardziej, że wkoło świątyni i na kazaniu słyszałem język włoski. Ścisk straszny, ale nikt się nie pcha, każdy sąsiadowi ustępuje, każdy ma w ręku różaniec i każdy bez wyjątku jest tu po to, aby się modlić. Głęboka religijność, owo charakterystyczne piętno całego Wschodu, uderza tu już, a w całej pełni miałem się o niej przekonać w Atenach.

Droga do Aten cudna. Obok sławnej i powiem otwarcie trochę przecenionej drogi nadmorskiej przez *Corniche de la Méditerranée* znam tyle innych sławnych z piękności szlaków: ten nie ustępuje z pewnością żadnemu. Zwłaszcza pierwsza połowa do Koryntu jest wprost cudną. Linia kolei idzie przez zie-

lone pola, na których plantują winograd dla fabrykacyi rodzynków i słodkiego wina oraz gaje oliwek, szarozielone, dające najlepszą w świecie oliwę. Grunt tu uprawiany nietylko dobrze, ale wzorowo, stanowi zupełny kontrast z tem, co się widziało na gnuśnem i opuszczonem Korfu. Łąki i gaje staczają się pochyłą płaszczyzną ku morzu, które w głębi oddziela się ciemną, przedziwnie szafirową smugą. Takiej barwy, jaką ma zatoka Koryncka nie ma żadne morze na świecie, ani nawet słynna ze swego lazuru zatoka neapolitańska. Jest też ona niewypowiedzianie piękną. Od strony Pelopenezu podnoszą się góry, zieleniejące lasami, wesołe i barwne; za szafirową smugą morza wznoszą się w Achajskim brzegu inne wyższe szczyty, ale skaliste, dalsze, cudnie oświetlone złoto liliowemi blaskami słońca. Takiej muzyki tonów i świateł, pieszczącej oko jak najcudniejsza harmonia głaszcze ucho artysty, nigdy już chyba w życiu nie zobaczę.

Ktoś powiedział, że cywilizacya jakiegoś kraju mierzyć się powinna odwrotnie do przepychu wagonów i dworców kolejowych, na które tylko barbarzyńskie narody się sadzą. Jeśli tak, to Grecya dziś jeszcze przoduje światu, jak za Peryklesa. Takich dworców, jak tu, trzeba szukać chyba w Kongo lub w Kamerunie. W Patras np. poszliśmy osobno na kolej, położoną o parę kroków od hotelu. Trochę spóźniłem się i na domiar zapomniałem greckiej nazwy dworca. Staję więc na ulicy, szukam gorączkowo w podręcznym dykcyonaryuszu i natarczywie pytam przechodniów. Wskazują mi jakieś brudne, nie drzwi ale wrota, prowadzące do czarnego składu czy wozowni. Oczywiście pomyliłem się; powtarzam więc, akcentuję coraz to inaczej, wreszcie z rozpaczy drżąc, że mi pociąg ucieknie, zaczynam wrzeszczeć co sił: *bahnhof! gare! ferrovia! railway!* nie jestem nawet pewien, czy z rozpaczy nie wołałem: kolej! — aż wreszcie jakiś poczciwy Włoch, słysząc moje desperackie krzyki:

— Ależ *caro signore* — powiada — stoisz przecie przed stacyą.

— Jakto przed stacyą — pytam — wszak to jakiś skład, czy szopa!

— Nie — to dworzec w Patras.

Istotnie był to dworzec. Wnętrze szopy bez okien, oświetlone tylko dwojgiem wrot na przestrzał, było poczekalnią wszystkich klas, miejscem sprzedaży biletów i składu pakunków, których całe góry piętrzyły się w środku, rozrzucane co chwila w ciemności przez podróżnych. Tak wygląda pierwszy dworzec, jaki zobaczyłem w Grecyi. Inne oczywiście trochę porządniejsze, mniej więcej w tym stosunku, w jakim się znajduje np. obora do chlewa — ale nawet w wytwornych Atenach dworzec pelopeneski jest właściwie tylko małą, nędzną budą.

Dojeżdżając do Koryntu, widać po prawej stronie dość wysoką górę, na której szczycie wznosił się niegdyś Akrokorynt, twierdza i święte miasto dawnego Koryntu (Paläa Korintos), którego handlowe dzielnice usadowiły się w dole, w pobliżu morza. Mój profesor z Berlina tu wysiada, spędza cały dzień na zwiedzaniu bardzo licznych i dobrze zachowanych szczątków dawnej handlowej stolicy Grecyi, a następnie ruszy w głąb Pelopenezu. Trzy Angielki pożegnały nas już w Patras, udając się boczną linią kolei do Olimpii.

Żałuję mocno, że stan mego zdrowia nie pozwala mi towarzyszyć Berlińczykowi, którego wysoka inteligencya i bardzo miły humor uprzyjemniły mi kawał drogi. Niestety — tłuc się kilka godzin konno po górach i wąwozach, to na rekonwalescenta po kilkomiesięcznej chorobie i kandydata na nowych kilka miesięcy leżenia w łóżku — za wiele. Przytem cudne greckie słońce, ubierające tak czarownemi barwami i blaskami te góry i pola, i tak nadto oślepia moje chore, zaciemniające się już oczy. Zresztą wycieczka to wprawdzie bardzo ciekawa, ale nie dająca się porównać co do interesu i naukowego znaczenia z innemi, jak do Delfów i Olimpii. Ruin zostało trochę, zwłaszcza z głównej świątyni, dolne Paläa-Korinthos zachowane lepiej od Akrokoryntu, a miasteczko handluje rodzynkami i nic nie ma ciekawego. Zostaję więc w pociągu, który posuwa się teraz wśród okolicy całkiem odmiennej. Zamiast szerokiej równiny, obramowanej z obu stron pasmami gór, jedziemy przeważnie wąwozami, szczelnie zamykającemi widnokrąg. Miejsce żyznych,

wesołych, starannie uprawnych pól, winnic i gajów, zajmują urwiska i jary dzikie, obnażone z drzew i mimo wiosny spieczone już od słońca. Morze jest teraz po prawej stronie, przejechaliśmy bowiem kanał po moście i jedziemy już achajskim brzegiem. Ale nie widać go wcale. Czasem tylko z poza rudej ściany wąwozu wychyli się przez jakiś wyłom na mgnienie oka płachta morskiego lazuru — przysłania ją zaraz skała, albo podnoszące się ściany kolejowego terenu.

Ciemno już jest, kiedy wreszcie staję w Atenach. Nie oznajmia ich nic i bez porównania więcej przedmiejskich i kolejowych budynków, rozstawionych szyn, latarni, pociągów, poprzedza każdą drugorzędną stacyę w Galicyi — nie Stanisławów nawet albo Nowy Sącz, ale Stryj czy Kołomyję. A dopieroż dojazd! Nasze powiatowe miasteczka wyglądają wobec tego jak stolice!

Proszę sobie wyobrazić step nagi, pusty, w stepie tym mały parterowy domek, przed nim zaś parę wielkich poczwórnych landar i gromadkę wrzeszczących w niebogłosy obdartusów, którzy grają tu rolę tragarzy. Dokoła, jak okiem sięgnąć nic nie widać, żadnego mieszkania, żadnego światełka. Wbrew oczywistości nie mogę wierzyć, że to Ateny. Przypuszczam raczej, że to jakiś przedmiejski banhof — ale nie. Wszystko wysiada, a konduktor mnie pyta, czy jadę dalej, do Peireos. Niema co, trudno wątpić, wysiadam więc i za chwilę jestem w jednej z landar na szerokim gościńcu pełnym kurzawy. Z początku pustka, potem na prawo i na lewo zaczynają migotać światełka w chałupinach i szatrach cygańskich, zupełnie podobnych do Mandukio. Tak mija kwadrans i więcej — Aten jak nie widać, tak nie widać. A może to już całe Ateny i nic więcej nie będzie. Wytężam wzrok, żeby wśród tych szałasów dostrzedz podstaw Akropolu. Nic. Aż naraz dzieje się coś niesłychanego. W jednej chwili oblewa mnie powódź światła lamp elektrycznych, podobnych do srebrnych miesiąców, żółtego gazu, zgiełku i gwaru; koła powozu dotykają asfaltu, tłum barwny, strojny ciśnie się na chodnikach, wspaniałe wystawy sklepowe olśniewają przepychem po obu bokach szerokich ulic — poza dwoma rzędami drzew przeglądają wspaniałe jakieś portale i ko-

lumnady o klasycznych kształtach, pałac za pałacem. Zamiast wschodniego miasteczka staje przedemną w cudnych osłonach letniej nocy pełna blasków i czarów, zaklęta jakaś stolica z baśni wschodniej, a raczej jakaś dzielnica, jakaś bardzo wytworna i bogata dzielnica najbogatszej i najwytworniejszej z północnych stolic — Paryża.

VI.

Ateny nowożytne. Miasto z pałaców i marmuru. Styl klasyczny. Wspaniałość publicznych gmachów. Ulica uniwersytecka. Pałac Ilionu. Kościół katolicki. Collegium Leoninum. Akademia Umiejętności i baron Sina. Posągi Dhrososa. Uniwersytet. Biblioteka. Młodzież akademicka. Patryarcha Gregorios. Instytuty naukowe w Atenach. *Ecole d' Athènes.* Instytuty niemiecki i austryacki. Dr. Dörpfeld. Zakład SS. św. Józefa. Plac Zgody. Politechnika. Muzeum. Greckie i rzymskie grobowce. Symbolika śmierci u starożytnych. Brak nadziei za grobem. Złote skarby z Myceny. *Great attraction* naszych czasów. *Auri sacra fames.* Stare miasto i jego charakter. Cerkwie w Atenach. Stara i nowa metropolia. Dwa typy cerkiewnego budownictwa. Stare miasto. Charakter ulicy i przechodniów. Bazar. Im więcej Europy, tem mniej malowniczości. Zakłady wychowawcze w Atenach. Koleje. Szkoły. Ćwiczenia gimnastyczne. Stadion. Język nowogrecki i jego odcienia. Teatr w Atenach. Jeszcze *Bohème* Pucciniego. Teatr i kościół. Teatralna publiczność grecka.

Ktoby sobie wyobrażał, że Ateny są miastem ruin i wspomnień, zasłaniających teraźniejszość, że to miasto patyną starości okryte, jak stare włoskie grody, ten najzupełniejby się mylił. Ateny dzielą się na dwie części zupełnie do siebie niepodobne. Ateny klasyczne, zamarłe wśród złomów pentelijskiego marmuru, puste i ciche, mają tu i ówdzie parę przedmiejskich ulic i chałup, tulących się u stóp popękanych kolumn i potrzaskanych łuków. Za to z przeciwnej strony od północy rozciągnęło się nowe miasto, wzniesione za króla Ottona, tak piękne i wspaniałe, że podobnego nie znam w Europie. Chyba niektóre dzielnice Florencyi mogą zdaleka z niem się porównać.

Wygląda to może na przesadę, a jest tylko słuszne. Proszę sobie wystawić olbrzymie ulice *à perte de vue* szerokie jak bulwary, wyłożone białemi marmurowemi taflami, wysadzone rzędami drzewek, co prawda dla panującego tu braku wody bardzo

lichych, ale przecie, mimo pyłu, trochę zielonych i trochę cienistych. Po obu stronach wznoszą się ogromne żółte lub białe pałace, jeden w drugi wszystkie z pentelijskiego marmuru. Ani jednego sklepu, restauracyi, biura: nic tylko te gmachy trochę surowe, trochę sztywne i chłodne, ale bardzo pańskie i imponujące. Niektóre poprzedzone i otoczone ogrodami, bardzo wiele oddzielonych od sąsiednich budynków, co ulicy nadaje więcej jeszcze powietrza i przestrzeni, a im samym więcej jeszcze pałacowego wyglądu. Wszystkie one są w czystym greckim stylu, jak wogóle, ciekawa rzecz, że dzięki nadanemu przez króla Ottona impulsowi, niema w Atenach ani jednego publicznego budynku, ani jednego prywatnego nowszego domu, któryby inną nosił cechę w swych architektonicznych formach. Dowodzi to godnego uznania pietyzmu i poczucia obowiązków, jakie wkłada wielka przeszłość, a Ateny zyskują przez to jednolitą cechę, niezawsze w równym stopniu udaną, ale przecie szlachetną i niezwykłą. Występuje ona jednak szczególniej wybitnie na paru ważniejszych ulicach. Więc przedewszystkiem na ulicy Uniwersyteckiej. Wśród dwóch rzędów pałaców pierwszy uderza niezmiernie szlachetnym rysunkiem i prawdziwie klasycznemi liniami pałac Ilionu, w którym obecnie mieszka wdowa po jego twórcy Schliemanie. Zaraz potem bardzo piękny kościół katolicki św. Dyonizego, w stylu bazyliki starochrześcijańskiej, cały z białego marmuru, oślepiającego oczy swym blaskiem, z pysznym krużgankiem, olbrzymiemi schodami i koroną ślicznych palm dokoła. Obok z poza gąszczu egzotycznych krzewów wygląda istne cacko architektoniczne — okulistyczny instytut, a poza nim w głębi obszerny budynek katolickiego liceum fundacyi i imienia Leona XIII.

Przez ulicę tylko oddzielony uderza oko ogromny czworobok Akademii Umiejętności. Pomiędzy dwoma ogrodami, tworzącemi z przeciwnych stron jakby wspaniałe dziedzińce pałacowe, u stóp jego obu wspaniałych podjazdów, gmach ten podłużny, ozdobiony z obu stron pięknemi krużgankami z wytworną polichromią swych fryzów, odbijającą barwnie na tle białych marmurów gmachu i ciemnej zieleni ogrodów, wywiera

przepiękne wrażenie i twórcy swemu Hansenowi przynosi prawdziwy zaszczyt. Bardzo szlachetną jest plastyczna ornamentacya, w której szczęśliwie się łączy terakota z marmurem i efektowo odbija swym brunatnym tonem od śnieżnej białości gmachu. Najlepszy ze współczesnych greckich rzeźbiarzy Dhrosos, istotny artysta i duszą i dłutem, twórca pięknego pomnika Capo d' Istrii w Korfu, wykonał marmurowe figury, zdobiące budynek; więc przedewszystkiem grupę środkową frontonu, górującą ponad fryzem, a przedstawiającą narodzenie Ateny, dalej dwa siedzące posągi Sokratesa i Platona, wreszcie dwie, na wysokich kolumnach stojące statuy Ateny i Apollina. Te ostatnie wyglądają dość dziwnie na owych kolumnach, na które, jak twierdzą złośliwi, wyszły przez zbytnią ciekawość, aby się przyjrzeć temu, co zrobili Grecy nowocześni z dawnego miasta Jowiszowej córy, a zleźć nie śmieją, bojąc się tramwajów i studentów sąsiedniego uniwersytetu. Zdaje mi się, że to twierdzenie podsunięte jest dostojnej parze marmurowych bożków z zupełnie złą wolą i że motywa, dla których pozostają w tak niewygodnej pozycyi, muszą być inne. Tramwajów w Atenach jest niesłychanie mało i jeżdżą powoli, zwyczaju zaś rozjeżdżania ludzi nie mają wcale i musiałyby się chyba uczyć tej sztuki od lwowskich swych kolegów. Co do greckich studentów, ci nietylko u nas, ale i w Niemczech mogliby dawać lekcye przyzwoitości towarzyskiej i dobrych manier. Zresztą choć pomysł kolumn tych z posągami dość jest dziwaczny, nie da się zaprzeczyć, że wyglądają one wcale pięknie na tle nieba, które za niemi widać. Ta szerokość przestrzeni, na jakiej budowane są wszystkie gmachy publiczne w Atenach i te ich drugie plany swobodne, zielone, oblane złotawym lazurem nieba — to wielki urok Aten i jeden z głównych czynników wrażenia, jakie wywierają.

Akademia jest prześliczną i monumentalną, znowuż jednak ci sami złośliwi utrzymują, że u wejścia siedzą wprawdzie Platon i Sokrates, a u szczytu króluje Minerwa, ale wewnątrz ani śladu niema wpływu bogini i wielkich filozofów. Ramy są pyszne, ale obrazu w nich niema, jest akademia, ale brak aka-

demików. Nie wiem oczywiście, jak z tem jest, i sądzić jako cudzoziemiec nie próbuję. To rozumiem, że sam budynek nie wystarcza i że lepiej mieć taką budę, w jakiej się ciśnie akademia nasza z jej zakresem działania i z otaczającem ją gronem ludzi, niż bez tego wszystkiego taki królewski pałac. Ale gdyby nawet pesymistyczne zdania o ateńskiej Akademii były uzasadnione, chwałą nieśmiertelną Grecyi pozostanie wzniesienie takiej siedziby dla nauki. I nie dość na tem, zresztą wszystko, co ma na celu publiczną użyteczność jest tu królewskie. Jakim cudem, skoro kraj bankrutuje i zawsze był bez grosza? Oto dlatego, że po wszystkich handlowych centrach świata znajdują się bogaci greccy kupcy i bankierzy, którzy z zarobionych milionów czynią ofiary i wznoszą fundacye w swym rodzinnym kraju z monarszą hojnością. Wiedeński bankier baron Sina wzniósł akademię, braciom Wallianos zawdzięcza powstanie biblioteka uniwersytecka, bracia Zappas zbudowali wspaniały gmach dla wystaw, Zappeion, kupiec Warbakis wzniósł główne w Grecyi gimnazym, Warwakion, Arsaki — instytut wychowawczy dla kobiet, Arsakion, i inni mecenasi, których nazwiska wypadły mi z pamięci, ale zapisane są z pewnością w sercach i umyśle wszystkich Greków, wznieśli prywatnym kosztem uniwersytet, politechnikę, szereg szpitali i szkół miejskich. Doprawdy jest co podziwiać, jest czego się uczyć, zwłaszcza, że reputacyi świetnej Grecya nie posiada. I właśnie dlatego nasuwa się porównanie tem smutniejsze. I u nas tłumy dają grosz po groszu na publiczne cele, ale wiele instytucyj publicznych powstało z hojności milionerów? Mniej, daleko mniej, niż tutaj.

Uniwersytet stoi tuż przy akademii, mniej od niej ozdobny i efektowny, ma jednak monumentalne rozmiary, dużo harmonii klasycznej i powagi. Na wstępie uderzają posągi dwóch narodowych bohaterów: wieszcza walk o niepodległość, ulubionego greckiego poety Rhigasa, oraz patryarchy konstantynopolitańskiego Gregoriosa, którego Turcy zamordowali w patryarchalnej jego cerkwi w same święto Wielkiejnocy podczas nabożeństwa, gdy wiadomość o greckiem powstaniu przyszła do stolicy. Grecy ciało swego narodowego męczennika, i po śmierci jeszcze znie-

ważone przez rozwścieklony motłoch, wywieźli potajemnie do Odessy i złożyli w tamecznej greckiej cerkwi pod rosyjską opieką. Przed trzema dziesiątkami lat jednak zabrała jego szczątki Grecya, aby je złożyć na rodzinnej, wolnej ziemi. Leżą obecnie otoczone czcią ludu w starej, malutkiej metropolii obok głównej cerkwi ateńskiej.

Opodal od tych dwóch postaci, bardzo niewątpliwie szanownych, ale mniej może nadających się do przybytku nauki, stoi ściślej już z nią i z wszechnicą związana statua słynnego greckiego filologa Kharaisa. Wnętrze uniwersytetu urządzone bardzo porządnie, a nawet elegancko. Kiedy je porównałem z salami wykładowemi we Lwowie lub z temi, w jakich sam słuchałem najznakomitszych profesorów w starych gmachach uniwersyteckich w Krakowie, Insbrucku i Wiedniu, nasuwa mi się natrętnie pytanie, dlaczego na zestawieniu kulturalnem nawet z taką Grecyą, uchodzącą za kraj napół dziki, Austrya, a specyalnie Galicya wyjść musi tak fatalnie?

Obok uniwersytetu stoi ogromny, zawsze w tym samym stylu, ale w odmiennych formach architektonicznych trzymany, gmach biblioteki uniwersyteckiej. Co za kolos — ile tam jednak może być książek i ile czytelników? Ale nie róbmy złośliwych uwag. Uniwersytet w Atenach ma półtora tysiąca słuchaczy, a wśród 60 profesorów są ludzie europejskiego rozgłosu. Grecy są wogóle bardzo inteligentni i do nauk garną się chętnie.

W pobliżu uniwersytetu i akademii znajdują się dwa wielkie naukowe instytuty w rodzaju tych, jakie w Rzymie posiadają Niemcy na Kapitolu, Francuzi na Monte Pincio w villa Medici, a Austryacy już nie wiem doprawdy gdzie, bo o tym ich instytucie nikt nic nie wie. Najstarszą w Atenach jest *Ecole d' Athènes*, istniejąca więcej, niż od pół wieku. Oddała ona już nauce znakomite usługi, skupiając sama jedna przez długie lata cały ruch archeologiczny i literacki, jaki obracał się około starożytnej Hellady. Niejeden z uczonych, pracujących w tym zakładzie, położył dla przeszłości Grecyi wiekopomne zasługi; żeby tylko przypomnieć słynnego akademika i ministra oświaty Beulé, który przez szereg lat, bawiąc w Atenach, dokonał najciekaw-

szych wykopalisk i między innemi odkrył na Akropolu bramę, wiodącą ku Propyleom. Wdzięczni Grecy uczcili jego pamięć, nadając jego nazwę jednej z głównych ulic stolicy. Obecnie instytut francuski stracił na znaczeniu, jak wszystkie zagraniczne zakłady tego kraju, na których tak smutnie odbija się jego rozkład moralny i anarchizm radykalnych rządów. Zapewniają mnie jednak, że kilkunastu młodych ludzi, pracujących tam obecnie, odznacza się wielką pracowitością i bardzo poważnie i pożytecznie zużytkowuje pobyt swój w Atenach.

Instytut niemiecki istnieje już ćwierć wieku i korzystając z osłabienia francuskich wpływów na Wschodzie, zajął w tutejszym świecie naukowym niewątpliwie przodujące znaczenie. Przyczyniły się do tego oczywiście prowadzone przez Niemców wykopaliska w Olimpii i znakomita działalność Schliemanna na miejscu dawnego Ilionu. Niemałą też jest zasługa sekretarza archeologicznego instytutu dra Dörpfelda, który nadaje żywy impuls archeologicznym badaniom i przyczynia się wielce do rozwoju zakładu. W urządzanych pod jego kierownictwem archeologicznych wycieczkach corocznych po Achai, Pelopenezie i osobnym parowcem po Cykladach, biorą udział liczni uczeni, a między nimi i profesorowie austryackich szkół średnich, wysyłani co wiosnę do Włoch i Grecyi kosztem rządu.

Idąc dalej nieskończenie długą ulicą, mijam ozdobny wspomniany już Arsakion, parę szkół, zakład katolicki Sióstr św. Józefa z Puy we Francyi, wychowujący wzorowo katolickie dziewczęta i bardzo wiele Greczynek z najlepszych rodzin, wreszcie skręcam na plac Zgody, naśladowany z *Place de la Concorde,* otoczony bardzo eleganckiemi sklepami i kawiarniami, z ładnym skwerem w środku. Z placu rozchodzą się we wszystkich kierunkach główne arterye miasta, szerokie, jasne, zabudowane wspaniałemi gmachami, z mnóstwem wspaniałych magazynów obok lichych sklepików, z mnóstwem ludzi, ruchu i gwaru. Tuż zaraz jeden z banhofów kolei, wiodącej do Peireos (a jest ich dla dogodności trzy w różnych dzielnicach miasta), dalej w bocznej ulicy ogromna, nieskończona, banalna cerkiew św. Konstantyna, z przeciwnej strony zaś, na końcu przedmiejskiej już ulicy, szeroki,

pełen pyłu plac, a na nim politechnika i muzeum. Politechnika, parterowy budynek zakręcony w podkowę, dość brzydki i stosunkowo dość mały. Nie wiem doprawdy, gdzie się mieszczą wszystkie sale wykładowe i gabinety. Za to muzeum przedstawia się imponująco. Jest to gmach obszerny, poprzedzony rodzajem małego parku, którego liści nie widać z pod kurzawy. Zbiory są bardzo bogate, umieszczono w nich bowiem wszystkie zdobycze z prowadzonych nieustannie wykopalisk. Szczególniej ciekawym był dla mnie zbiór rzeźb z sarkofagów i grobowców greckich i rzymskich. Zawsze ten sam motyw powtarza się w greckich płaskorzeźbach żałobnych: ten, który odchodzi w kraj cieniów, żegna się ostatnim uściskiem z najbliższymi, pozostającymi poza nim, i głowę odwracając, jedną ręką twarz zbolałą zasłania, drugą trzymając w dłoni żegnanych. Rzecz charakterystyczna, jak u starożytnych niewyrobione były pojęcia o zagrobowej, uzupełniającej sprawiedliwości, o pośmiertnej nagrodzie i karze, a każdą śmierć uważano za najwyższe z nieszczęść, mogących dotknąć człowieka. Żadnej nadziei na spotkanie za grobem, żadnego jaśniejszego promyka w posępnej otchłani grobu. I cóż stąd, że zewnętrzne emblemata śmierci są piękniejsze i bardziej pod względem form estetycznych szlachetne od tych, jakich używa chrystyanizm w późniejszych wiekach istnienia. Pod artystyczną osłoną, w jaką je gieniusz greckiej sztuki ubiera, czuć nietylko pustkę moralną, ale i chłód straszliwy, bezbrzeżnej, bo beznadziejnej rozpaczy. A jeśli dzisiejszy estetyzm przeciwstawia z tryumfem „boską“, promienną wszystkiemi blaskami piękna kulturę starożytną chrystyanizmowi, utrzymując, że ten ostatni był cofnięciem się ludzkości od światła w ciemność, od cywilizacyi w barbarzyństwo, wystarczy spojrzeć na greckie sarkofagi i porównać ich smętne epitafie z grobowemi napisami w katakumbach, pełnemi takiego spokoju i tak niebiańskiej pogody w obliczu śmierci, aby zrozumieć, jaka nicość moralna, jaka nędza ducha kryje się pod cudnemi pozorami starożytnej kultury i pogańskiego na świat poglądu.

Rzymskie sarkofagi mniej mają smętnego nastroju od greckich grobowców i częściej zamiast scen pożegnania przegląda

z nich sama tylko twarz zmarłego lub emblemat jego zgonu. Chłodny umysł Rzymian, przejęty przez podbite i na swych panów zapatrzone ludy, nie lubił spoglądać poza grób, ani dawać folgi łzom i westchnieniom.

Ale w salach rzeźb, choć te ostatnie są nieraz tak piękne, że mogłyby się równać (nie ilością oczywiście) z galeryami watykańskiemi lub dawnem burbońskiem muzeum, niema prawie nikogo, za to tłum ciśnie się do dwóch sal, w których złożone są złote skarby z Myceny. Pokoje te są obecnie objęte w posiadanie przez robotników układających posadzkę. Nieład, brud, hałas straszny. W rażącem przeciwieństwie do reszty sal, cichych, czystych, pociągających urokiem cudnych posągów, tu trzeba przeciskać się między kadzią z wapnem a wiadrem z brudną wodą, ocierać o zasmolonych i ubielonych chłopaków roboczych, wykonywać gimnastyczne skoki po cegłach i deszczułkach, moczyć nogi po kostki w kałużach, nie wiem dlaczego doprawdy porobionych i pozostawionych po całej sali. Nic to. Tłum ciśnie się. Angielki podkasują suknie i waterproofy, Niemcy zaginają spodnie, każdy maca przed sobą laską lub parasolem, wszyscy krzyczą, śmieją się, pomagają sobie, jak w górskiej wycieczce — ale idą wszyscy. Magiczny blask złota pociąga, *sacra auri fames*, którą bodaj oczyma chcą zaspokoić.

Idę za nimi, bo już oglądnąłem całe muzeum i nie powiem, że zostaję rozczarowany, bo nic więcej nie oczekiwałem, ale mam raz jeszcze uczucie, tak często doznawane w życiu, uczucie wstydu za ludzkość. Cały ten skarb, nieoceniony dla archeologa, niema wartości i interesu dla przeciętnego widza. Tam obok, każdy posąg, każda urna mówi do niego pięknością swych linij i działa uszlachetniająco na jego wyobraźnię, tu ogromny zbiór świecideł pierwotnej, wcale nieartystycznej roboty, olśniewa tylko olbrzymiem nagromadzeniem żółtego kruszcu. A jednak tu właśnie i tylko tu biegnie kosmopolityczny rój turystów, roztwiera szeroko oczy i usta i stoi godzinami przy gablotkach, powtarzając: „ile złota, ile złota!“.

Od placu Zgody wracam w dół miasta inną ulicą, bardzo długą i regularną jak wszystkie, ale odmienny już mającą charakter.

Z obu stron domki małe cisną się przy wielkich kamienicach, a małe sklepiki wystają na ulicę kupami okazowych towarów, około których cisną się gromady kupujących, a więcej jeszcze gapiów i ulicznikow. Ponieważ zbliżają się święta, mnóstwo specyalnych świątecznych artykułów na wystawach, zwłaszcza wyobrażeń baranka wielkanocnego, jaj i różnych przysmaków wielkanocnych, nieznanych dla cudzoziemca. Nad sklepami i wzdłuż lub w poprzek ulic na prętach i łukach zawieszonych mnóstwo różnobarwnych chorągiewek nadaje ulicy wesoły, choć nader pstrokaty wygląd. Szczególniej barwnie, ludno i hałaśliwie w okolicach cerkwi.

Tych spotykam przechodząc przez starsze dzielnice Aten dużo, nowe za to są ich pozbawione prawie całkiem. I tak wielka budująca się cerkiew św. Konstantyna jest jedyną na połowę miasta — w drugiej połowie skupiają się wszystkie inne. Jest ich wiele, co najmniej ze sześćdziesiąt, a budowa ich ma typ podwójny, zupełnie odrębny jeden i drugi od tego, jaki spotkałem na Korfu. Stare cerkwie, zachowane z przedtureckich czasów, są prześliczne, istne cacka romańsko-bizantyjskiego stylu. Typem takich cerkwi jest dawna cerkiew metropolitalna, malutka, tak malutka, że ledwie dwadzieścia lub co najwyżej trzydzieści osób może się w niej pomieścić, wsiadła w ziemię, jak zgrzybiała staruszka, a taka urocza i wykwintna, że chciałoby się wsadzić ją pod klosz i postawić na biurku, jak to podobno Napoleon pragnął zrobić z wileńskim kościółkiem św. Anny. Styl bizantyjski najczystszy w całej swej piękności: krzyż grecki z lekką kopułą w przecięciu z absydami i emporami na końcach ramion, z bardzo misterną romańsko-wschodnią ornamentacyą, z tryforiami, z równoramiennemi rzeźbionemi krzyżami tworzącemi ładny ornamentacyjny motyw, z resztkami starożytnych korynckich kapiteli i bogato rzeźbionych fryzów, tryglifów, metopów i architrawów, wmurowanemi przed dziesiątkiem wieków przy budowie małej świątyni, wzniesionej z gruzów sąsiednich pogańskich gmachów. Wnętrze, jak we wszystkich cerkwiach tutejszych, banalne i ubogie, a jedyną jego ozdobę sta-

nowi grobowiec patryarchy Gregoriosa, którego posąg widzieliśmy przed chwilą w przedsionku uniwersytetu.

Sąsiednia nowa Metropolia odmienną jest zupełnie. W tamtej umiał budowniczy w malutkich rozmiarach stworzyć arcydzieło harmonii i smaku. Tu rozmiary tej głównej świątyni, wzniesionej za czasów króla Ottona, są obszerne, naśladowanie form bizantyńskich widoczne acz bardzo nieudane, ornamentacya bogata, a zwłaszcza jaskrawa, ale smaku pozbawiona zupełnie. Patrząc na tę wielką budowlę, pomalowaną na żółto i na czerwono, myśli się mimowoli: co za otchłań pomiędzy temi dwoma stojącemi obok siebie budynkami i jak głęboko dziś sztuka upadła, jeśli na tyle tylko zdobyć się potrafi! A jednak nową metropolię wzniesiono za znającego i kochającego sztukę króla Ottona, za którego powstało tyle stylowych i prawdziwie pięknych gmachów, za którego i dzięki któremu powstały nowe, tak olśniewające wykwintem artystycznym Ateny. Ale król Otton, budując setki całe domów prywatnych i publicznych gmachów w czystym greckim stylu, miał przed sobą gotowe modele, doskonałe formy dawnego budownictwa, w które trzeba było tylko włożyć nowe pomysły i potrzeby. Tylko że w stylu greckim można było zbudować parlament i akademię — trudno było zbudować kościół. Mogli na ten niesmaczny koncept wpaść Anglicy na Korfu, nie mógł tego zrobić brat Ludwika I. Epoka wielkich rekonstrukcyj pomników średniowiecznych nie nadeszła jeszcze była wówczas. Naprawdę dla sztuki bizantyńskiej nie nadeszła ona wogóle dotychczas. Więc zaczęto próbować zastosowania niektórych motywów pierwotnej sztuki kościelnej na Wschodzie do nowoczesnych, świeckich form budownictwa, a pierwiastek klasyczny, jaki tu wprowadzono, przyczynił się do jeszcze większego pogmatwania tego nowoczesnego stylu, w jakim budowane są wszystkie świątynie greckie od lat sześćdziesięciu. Są też one wszystkie w takim stosunku do bizantyńskiej architektury, jak słynny z brzydoty kościół katolicki w Odessie — do sztuki romańskiej i renesansowej. Ze wszystkich tych cerkwi nowszych — a na pochwałę Greków przyznać trzeba, że ich jest dosyć, co prawda zawsze na miejscu dawnych

cerkiewek w starych dzielnicach — jedna tylko cerkiew Panagija Chrysospeliotissa i druga, starożytna, ale bardzo ładnie i stylowo odrestaurowana cerkiew św. Jerzego w pobliżu ulicy Hermesa, stanowią chwalebny, miły dla oka wyjątek.

Za to ileż się spotyka w zakątkach i zaułkach Aten starych cerkiewek, niewiele większych od Panagia Gorgópiko, jak lud nazywa dawną metropolię i niewiele mniej pięknych od niej. Taka Hagia Kapnikarea, takie cerkwie św. Teodora i św. Sotera, a zwłaszcza taka świątynia św. Nikodema, oddana obecnie Rosyanom i służąca za cerkiew rosyjskiego poselstwa, bazylika z IX. wieku z prześlicznym romańskim kampanilem i cudnemi częścią staremi, częścią (nawet przeważnie) nowoczesnemi, ale doskonale do tamtych zastosowanemi mozaikami — to istne pieścidełka architektury, na które nie mogłem dość się napatrzyć, tak są piękne.

W południowo-zachodniej stronie od placu Zgody rozciąga się stare miasto, pełne zaułków i ciasnych, powikłanych uliczek, pełne też wschodniego zgiełku i ścisku. Najrozmaitsze, bardzo oryginalne i malownicze stroje odbijają co chwila jaskrawą grą kolorów na szarem tle miejskiego tłumu. Kobiety ze wsi pozawijane w białe chusty jak zakonnice lub jak Turczynki w feredżiach i baszmakach, mężczyźni w fustanelach białych plisowanych i rurkowanych spodnicach, odstających szeroko od kolan, jak krótka krynolina lub rozpięty parasol; inni w brunatnych, niezmiernie malowniczych burkach włosiennych, gotowe typy bandytów górskich, o których tyle pisał About. Ludność wiejska i górska używa jeszcze często fezu, w mieście zniknął on już całkiem. Górale chodzą też jeszcze uzbrojeni w kindżały i staroświeckie pistolety, jakby się wyprawiali na Turka. Tłum uliczny odznacza się uprzejmością dla cudzoziemców, a choć żywy i głośny, nie ciśnie się, nie kłóci, jak we Włoszech, odznacza się poczuciem przyzwoitości i taktem. Niema też ani tak bezczelnego wyzysku, ani tak ogólnego szachrajstwa, jak we Włoszech. Grek oszukuje i wyzyskuje, ale w miarę i z bardzo eleganckiemi formami. Czuć też, że dba o dobrą reputacyę i swoją, i swego kraju.

Życie uliczne ma tu dużo podobieństwa do Francyi. Ten sam tłum po kawiarniach, których mnóstwo na każdym kroku, ten sam ruch do późnej nocy. Tylko — z uznaniem podnieść trzeba — ulica nie jest tu zawładnięta przez pół i ćwierć światek, jak wszędzie we Francyi, zepsucie nie występuje tak bezczelnie. Francuzi, jak wszędzie tak i tu, szerzą gangrenę moralną przez tingle, *cafés chantants* i zdrożną literaturę beletrystyczną, która tem więcej robi złego, że dla Greka Paryż ma urok niezmierny, a z nowoczesnego Babilonu ma on tylko jego męty. W środku starego miasta znajduje się bazar wcale nie taki malowniczy, jak w Konstantynopolu lub Kairze, albo nawet w Salonice. Przeciwnie zupełnie banalny i tylko brudem i ciasnotą przypominający blizkość Wschodu. Rzecz dziwna jak wszystko, czego się dotknie wpływ europejski, traci wszelką typową i oryginalną cechę, a zarazem i wdzięk artystyczny. Gdziekolwiek panuje Turek, a z nim wschodnie barbarzyństwo, tam zarówno charakter miast, domów i ulic, jak wewnętrzne urządzenie mieszkań i strój przechodniów, pełne są barwy i stylu, pociągają i bawią oko, zostawiają w myśli miłe i wesołe wrażenie. Ateny, Bukareszt, Belgrad, Sarajewo, były dawniej prowincyonalnemi dziurami za tureckich rządów, ale czuć w nich było niewątpliwie Wschód z jego niewysłowionym czarem upajającym turystę, jak haszysz. Belgrad z wsi tureckiej stał się tylko wsią zachodnią, ale z Bukaresztu zrobił się, jak twierdzą Rumuni, mały Paryż, a Ateny stały się miastem pałaców. Dawnego uroku jednak, kolorytu, oryginalności, już w nich nie szukać.

I bazar ateński, ogromny i pełen ludzi, przypomina mi Odessę. Ten sam tłum obszarpańców ze wszystkich końców świata o najróżnorodniejszych typach, ale wspólnym wszystkim katylinarnym wyrazie twarzy; te same kawiarnie i wystawy sklepowe pełne owoców, jak na odeskim greckim bazarze. W pobliżu Warwakion gimnazyum męskie wzniesione z wielkim nakładem przez bogatego kupca Warwakisa; a dalej piękne gmachy domu sierót oraz domu podrzutków, urządzonych po-

dobno na sposób rosyjski i zostających pod protektoratem królowej Olgi.

Lud jest ciemny, zwłaszcza po wsiach, a w dalszych okolicach bardzo jeszcze dziki. Bandytów jednak wyniszczono prawie zupełnie po znanych przejściach z przed lat 20, kiedy uprowadzono w góry, a następnie zamordowano kilkunastu turystów i członków poselstw w Atenach, a komunikacya w Grecyi nie jest z pewnością trudniejszą ani mniej wygodną, niż w Galicyi. Oczywiście w górach jeździ się przeważnie tylko konno, a kolei jest jeszcze bardzo niewiele. Pozaczynano ich dużo. Przeważnie jednak nie pokończono dla braku funduszów lub partyjnych intryg, a czasem też dlatego, że okoliczni mieszkańcy mieli zwyczaj w nocy mimo straży wykradać szyny kolejowe, pręty i słupy telegraficzne założone w ciągu dnia.

W miastach szkoły ludowe przedstawiają się korzystnie, zwłaszcza oczywiście w Atenach. Spotykałem nieraz liczne oddziały uczniów, idących po obiedzie za miasto w wojskowym porządku pod komendą profesorów czy może nauczycieli gimnastyki. Przypatrywałem się też czasem ich marszom i pochodom na błoniach u stóp Akropolu. Chłopcy robili na mnie dobre wrażenie i zdawali mi się o wiele zwinniejsi, a bardziej karni, niż u nas. Pochody odbywały się całkiem po wojskowemu, w milczeniu i ze skupioną uwagą na komendę, co przy południowym temperamencie nie musiało być rzeczą łatwą. *Ena, dhi* (zam. *dhia*), *Ena, dhi* rozlegało się w powietrzu, a kolumny przyszłych obrońców ojczyzny rozwijały się jak węże po polu.

W pobliżu pałacu następcy tronu i parku Zappejonu znajduje się Stadion, owalna arena, urządzona na starożytny sposób, z amfiteatrem marmurowych stopni, podnoszących się półkolem w górę i olśniewających w słońcu śnieżną białością. W arenie odbywały się przed paru laty w obecności królewskiej pary i pod honorową prezydencyą następcy tronu międzynarodowe olimpijskie igrzyska, bardzo swojego czasu głośne. Obecnie odbywa tu gimnastyczne zabawy i popisy młodzież szkolna, bardzo w fizycznych ćwiczeniach wprawna, a krótko przed moim przybyciem zebrało się całe miasto wraz z dworem królewskim

na doroczny popis i gimnastyczny turniej wszystkich gimnazyów w stolicy, na którym pierwszą nagrodę otrzymali wychowańcy katolickiego kolegium Leoninum.

Zrozumieć się nawet dla filologa, znającego język Homera i Arystofanesa, poprostu nie sposób, a cóż dopiero, jeśli o tym języku, ambrozyi humanistów i pladze gimnazyastów, ma się, jak ja, bardzo mało wyobrażenia. Co jest tu najgorsze, to różnorodność języka czy języków, z jakiemi się ma do czynienia. W narzeczu ludowem, zmieniającem się znacznie podług prowincyi, niema prawie nic z klasycznego języka, mnóstwo natomiast naleciałości albańskich, tureckich, włoskich, bułgarskich nawet. Obok tego jest język używany w pisowni, sfabrykowany na urząd przez filologów i profesorów i oczywiście mający wiele punktów stycznych z językiem klasycznym, ale ze względu na zrozumiałość, znaczne od niego różnice. Językiem tym piszą się książki poważne i naukowe czasopisma — jest on jednak tak odrębny od tego, który się używa w potocznej rozmowie, że prócz niego jest jeszcze drugi, prawie całkiem niepodobny, ale dla ogółu zrozumiały język literacki, którym się posługują noweliści i dziennikarze. Jest to język potoczny warstw wykształconych między sobą — w stosunku z ludem używają one innych całkiem słów i gramatycznych zwrotów, z czego znów tworzy się rodzaj odrębnej gwary. Ogółem biorąc, istnieje w Grecyi ze cztery lub pięć greckich języków, które, jak mnie zapewniają, nie są więcej do siebie zbliżone, niż hiszpański z włoskim lub duński z szwedzkim. W użyciu mieszają się one między sobą nieustannie, bo innym językiem pisze się list do przyjaciela, a innym artykuł naukowy, w innym języku uczy się chłopak w gimnazyum z podręcznika, a w innym zadaną lekcyę objaśnia mu nauczyciel; inaczej całkiem mówi się do stróża, a inaczej do gościa w salonie. Wynika stąd okrutny chaos, którego cudzoziemiec nie spostrzega, jak długo nie zacznie uczyć się po grecku, ale gdy zacznie, wówczas niełatwo mu zoryentować się w tej gmatwaninie językowej.

Dwa są teatry w Atenach — w jednym grywają sztuki greckie, w drugim dają przedstawienia wędrowne włoskie trupy

operowe. W lecie uszczęśliwia Ateny, a bardziej jeszcze Faleron, ulubione miejsce pobytu letniego mieszkańców stolicy, kilka francuskich operetek, któremi *la grrrande nation* szerzy zachodnią cywilizacyę wśród zacofanych ludów.

Na greckim teatrze nie byłem — mówiono mi tylko, że dramat zawsze jeszcze szuka tematów i natchnień w bohaterskich bojach z Turkami. Komedya grecka ma charakter francuski, a nawet niewolniczo naśladuje francuskie wzory.

Byłem tylko na operze. Teatr ładny, elegancki i wcale okazały, choć dość skromny. Dzisiejsza mania budowania teatrów kosztem wielu milionów jest nietylko grzesznem marnowaniem publicznego grosza, ale wprost bezużyteczną śmiesznością. Nikt nie przeczy, że teatr jest potrzebny, jakkolwiek w naszych czasach bardzo często, żeby nie powiedzieć przeważnie, wpływ jego jest raczej demoralizujący, i zamiast podnosić i kształcić, obniża uczucia estetyczne. I z tem nikt spierać się nie będzie, że skoro teatr jest potrzebny, powinien być ozdobą miasta, które go wznosi. Ale jest w tem dziwne pogmatwanie pojęć i istotne wykrzywienie moralne, jeśli się tylko teatry chce budować za grosz publiczny, a inne niemniej chyba użyteczne i niezbędne budynki pozostawia się dobroczynnej ofiarności jednostek. Jeżeli teatr jest potrzebny, niemniej przecie potrzebnym jest kościół. Nie trzeba być klerykałem, aby przyznać, że bez teatru może społeczeństwo w danej miejscowości być uczciwem i szczęśliwem, nie potrafi zaś być ani jednem, ani drugiem bez kościoła. A jednak, gdybyśmy spytali, wiele w Krakowie i we Lwowie miasto wydało w ciągu ostatniego dziesięciolecia na budowę teatrów, wiele na budowę i utrzymanie lub odnowienie kościołów, zestawienie cyfr wypadłoby — dziwnie. A może restauracya katedry na Wawelu lub Maryackiego kościoła mniejsze ma znaczenie dla Krakowa i kraju od nowego teatru? Albo może potrzebniejszy jest gmach na placu Gołuchowskich, kosztem milionów wzniesiony, od kościoła na Solnym placu, w dzielnicy, w której od tylu lat 20.000 ludzi obchodzi się bez księdza, mszy i słowa Bożego?

Wróćmy ze Lwowa i Krakowa do Aten. Dawano tu wła-

śnie *Bohème* Pucciniego, którą przed miesiącem słyszałem w Neapolu. Bałem się porównania — i ku wielkiemu a miłemu zdziwieniu obawy moje nie sprawdziły się. Oczywiście *mise en scène* była daleko skromniejszą, orkiestra i chóry o wiele słabsze, soliści drugorzędni, ale ci ostatni mieli głosy świeże i ładne, szkołę dobrą, a partyturę umieli wybornie i całość szła z pewnością nie gorzej, jak w Neapolu. A ostatecznie w teatrze chodzi przedewszystkiem o wrażenie całości. Co mi z tego, że jeden tenor i jeden sopran *di prima forza* wstrząsa głosem teatr lub zalewa mnie srebrem jak słowik, kiedy równocześnie pierwsze skrzypce fałszują, drugi sopran piszczy, baryton detonuje, a alt bierze mnie za każdym występem na tortury? Uderzyło mnie zachowanie się publiczności. Tak blizko Włoch, a tak odmienne obyczaje. Nikt w kapeluszu na głowie nie siedzi, a nawet nie chodzi po sali, nikt nie rozmawia głośno przy odsłoniętej kurtynie, nikt też nie obiera pomarańcz, nie chrupie ciastek w międzyaktach. Stroje pań dość skromne, sposób bycia taki, jak we Francyi lub u nas.

(C. d. n.).

Jan Łada.

JOSÉ ROUMANILLE.

Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską.

(Ciąg dalszy).

Socyalno-polityczna działalność Roumanille'a, chociaż oderwała go na dłuższy czas od ulubionych wierszy, wywarła jednak nader pomyślny wpływ na dalszą pracę poety. Zahartował się w walce z ludźmi przewrotu, rozszerzył zakres swych poglądów, wyrobił sobie silniejszy, męski sposób wyrażania się, a widząc zbawienne skutki i wpływ swych dzieł, postanowił kroczyć i na dal odważnie w tym samym kierunku. Jeżeli już przedtem głównem zadaniem jego pieśni było wzbudzić w ludzie zamiłowanie pracy i wstręt do wybryków karczemnych, zastąpić je życiem rodzinnem, a przez modlitwę i gorącą ufność w Opatrzność podnieść moralność współbraci, to teraz tem wytrwalej i gorącej do tego samego będzie zdążał celu. Dlatego też w poufnych rozmowach wyrażał się często, że więcej od poezyi ceni sobie swoją prozę, i w rzeczy samej, jeżeli weźmiemy pod uwagę zadanie, dla którego pracował, musimy przyznać, że słusznie tak twierdził.

Rozgłos i sława Roumanille'a zagroziły niebawem choć na chwilę niebezpieczeństwem nie tylko jemu ale i całej literaturze prowansalskiej. Cięta i zdrowa proza zwróciła na niego uwagę wybitnych mężów w Paryżu, to też chcieli go oni przeciągnąć na swą stronę i wpływali nań, by porzuciwszy niezrozumiały

dla szerszego ogółu język prowansalski, przeniósł się nad Sekwanę i tylko po francusku dalej pisywał. I znowu miłość rodzicielska przewidziała niebezpieczeństwo i usunęła je w samym zarodku; za inicyatywą swej matki pozostał Roumanille wiernym pierwotnemu planowi. Czy dobrze postąpił? Bez wątpienia, „bo cóżby się nad mglistemi wybrzeżami Sekwany i na bruku olbrzymiego miasta stało z tą rośliną z południa, wybujałą na otwartem polu pod pełnemi promieniami słońca? Trudno o tem przesądzać. Alfons Daudet byłby znalazł rywala, a może i mistrza w sztuce opowiadania, zginąłby za to Roumanille prowansalski i chrześcijański, którego jędrną oryginalność tak cenimy“ [1].

Powoli zaczęła praca literacka Roumanille'a wydawać owoce. Niejeden z młodych umysłów, czytając wiersze „patryarchy“, poczuł w sobie żyłkę poetyczną i zaczął przelewać na papier swe wrażenia i marzenia, a ten biedny, cierpliwy papier szedł później do cenzury do Awinionu i stamtąd przynosił przyszłym wielkościom pociechę i zachętę, lub rozczarowanie i gorycz. Dość, że w krótkim czasie ujrzał się Roumanille na czele licznego zastępu poetów, z których każdy „chciał w tym tak starannie utrzymywanym ogrodzie zerwać przynajmniej jeden kwiat“; to też niebawem, bo już w r. 1852, dorobiwszy się tymczasem własnej księgarni, wydał Roumanille zbiorowe utwory początkujących pisarzy p. t. *Li Prouvençalo* „Prowansalki“.

Fakt ten przyczynił się również nie pomału do podniesienia jego twórczości. Widział, że zasiane ziarno, nie tylko kiełkowało, ale przyniosło obfite owoce, stąd też od chwili drukowania „Prowansalek“ całą duszą, radą, słowem a przedewszystkiem przykładem oddziaływał na swoich uczniów, którzy go dobrowolnie za mistrza obrali. Nic więc dziwnego, że coraz częściej można było spotykać od tej chwili imię Roumanille'a na rozmaitych książkach, raz w raz się pojawiających; nie wliczając w to drukowanych w „Prowansalkach“ nader oryginalnych wierszy, o których niżej, wydał w roku 1852 poemat *Li sounjarello* „Marzycielki“, w r. 1853 *La Part dóu Bon Diéu* „Cząstka Boga“,

[1] Etienne Cornut, *Les maîtres du Félibrige*, str. 119.

niedługo potem *La Campano mountado* „Dzwon zawieszony“ i *Li Flour di Sauvi* „Kwiaty szałwii“.

Nie zaniedbywał i prozy. Jego opowiadania są wiernem i dokładnem odzwierciedleniem ludu prowansalskiego a składają się z opowieści w rodzaju baśni; bohaterami, ich księża, zakonnicy, aniołowie, św. Piotr — wszystko w granicach uszanowania i wiary, tak jak do uczciwego lecz prostego ludu przemawiać potrzeba. Przy tem ile tam humoru, dowcipu, niekiedy i silnego sarkazmu, a nawet może za ostrej ironii! Łatwo więc zrozumieć, dla czego Alfons Daudet tłumaczył niektóre z jego prozą pisanych obrazków [1]. Czasami w ważnej chwili popularny i swobodny ton gawędy przemieniał się w grzmot; drgały w nim akcenty oburzenia, gdy trzeba było wystąpić przeciwko niedowiarkom i półmędrkom w obronie czy to zagrożonej wiary czy też podanych na pośmiewisko zwyczajów i przepisów Kościoła. „My, woła energicznie, w *Entarro-chin* „Psi pogrzeb“, należymy do Kościoła i chcemy tam pozostać. Chcemy w niedzielę i święta słuchać Mszy św; chcemy przyjąć na Wielkanoc komunię; chcemy uczciwie żyć i umierać. Jeżeli na waszych czołach znamię bydląt nosicie, my nosimy tam znamię krzyża; to znak żywota, kto go nie ma, martwym jest. Jeżeli jesteście tylko sytymi mułami, my za to chrześcijanami jesteśmy. Dla chowania waszych zmarłych szukajcie innych cmentarzy. Krzyż roztacza swe ramiona na naszych i kapłan je poświęcił. Precz z psami“. Trochę to za ostro, za wiele ironii w całem dziele przebija, znać jednak, że dojrzały mąż nie potrafił się już tak pogodnie w świat patrzeć, jak to czynił niedoświadczony młodzieniec, i że nie mógł się pogodzić z myślą cywilnych pogrzebów.

Coraz to nowsze talenta pojawiały się nieustannie w tym czasie walk i zwycięstw i dawała się odczuwać potrzeba jakiegoś związku, któryby ułatwił dążenie do zamierzonego celu. Zachęty nie brakło a Briseux, ojciec nowożytnej literatury bretońskiej, pisał do Roumanille'a: „jak ja broniłem mego języka, tak i wy

[1] A. Daudet, *Le Curé de Cucugnan* w *Lettres de mon moulin.*

broncie waszego; me serce jest z wami wszystkimi". Dlatego też zwołał Roumanille na dzień 29 sierpnia 1852 r. kongres literacki do Arles; chcąc zaś zyskać poparcie ludu zaprosił i gaskońskiego poetę, Jansemina. Ten ostatni, upojony powodzeniem i sławą, odmówił: „nie, nie pójdę; choćby ich się zebrało 30, 40, 50 ba! nawet i 100, nie zrobią nigdy tego wrażenia, które ja wywołałem i jeszcze wywołam". Z powodu zaszłych w łonie samej partyi nieporozumień, kongres się nie udał; nie odniósł żadnego skutku i drugi w Aix 21 sierpnia następnego roku, a główną przyczyną niepowodzenia był spór o pisownię. Roumanille żądał pisowni etymologicznej, którąby odrazu na charakter i pochodzenie słowa wskazywała; tej pisowni bronił wszędzie, a najdzielniej w przedmowie do *La Part dóu Bon Diéu*. Inni, szczególniej Marsylczycy stali silnie przy fonetycznej stronie ortografii, dlatego też rozdzielili się prowansalscy poeci na dwa nieprzychylne sobie obozy; a jednak spór ten dał ostatni impuls do założenia szkoły felibrów. Roumanille, Mistral i Aubanel, trzej przywódcy literackiego ruchu w Prowansyi, stykali się często z sobą w Awinionie, w rodzinie Pawła Giéra, który pod pseudonimem Glaup brał pewien udział w wydaniu „Prowansalek". Latem przenosili się Gierasowie na mieszkanie do zamku Font-ségugne, tutaj też przybywali poeci, odczytywali sobie wzajemnie swoje utwory i zachęcali się do wspólnej pracy. W uroczystość św. Steli, 21 maja 1854 r., zebrało się ich w ogrodzie zamkowym siedmiu: Roumanille, Mistral, Aubanel, Brunet, Mathieu, autor ognistej *Farandoulo*, Tavon i Paweł Giéra; w szczęśliwej chwili poetycznego nastroju założyli stowarzyszenie felibrów, związek sam nazwali *Félibrige* i oddali go w opiekę św. Steli.

Stowarzyszenie postanowiło „Prowansyi tj. całej południowej Francyi przechować jej język, zwyczaje, narodowe tradycye a wzgardzony idyomat prowansalski wynieść do godności języka literackiego".

Zaciekawia każdego nazwa Felibrów. „Kalendarz prowansalski" z r. 1874 dowodzi, że nazwa ta jest wzięta z średniowiecznej legendy, opisującej pozostanie Chrystusa w świątyni

Jerozolimskiej; legendę tę zasłyszał Mistral od starej wieśniaczki, Marty. Rodzice znaleźli Zbawiciela między felibrami:

Emé li sèt félibre de la lei.

Słowo to oznacza więc w tym wypadku człowieka uczonego w piśmie, czyli nauczyciela. Jeżeli zaś filologiczne tłumaczenie jest prawdziwe, pochodzi samo wyrażenie z greckiego φίλαβρος — zła wymowa, przestawienie i zamiana zgłosek i t. d. zrobiło z niego *félibre;* dawne jednak znaczenie miłośnik piękna pozostało. To też wyraz ten dźwięczny, nowy a tajemniczy spodobał się wszystkim i został przyjęty. Felibrowie założyli osobny organ *Armana prouvençau pèr lon bèl an de Diéu 1855 tant pèr la Prouvènço que pèr lou Coumtat* „Kalendarz prowansalski, na rok Zbawienia 1855, tak dla Prowansyi jak dla Hrabstwa“ [1]. Pismo to, którego treść tworzą pisane prozą i wierszem utwory najwybitniejszych felibrów, wyszło po raz pierwszy w r. 1855 a pojawienie się jego było wypadkiem literackim. „Gdy kalendarz opuści prasę, cała rodzina jest w ruchu, począwszy od babki w czepcu rurkowanym do małych dzieci na taburecikach, które nastawiają uszu i otwierają szeroko oczy, aby lepiej zapamiętać i zrozumieć te cudowne opowieści“ [2]. Łatwo więc pojąć, że wkrótce po wyjściu kalendarza, drukowanego najpierw w 500 egzemplarzach, doszła liczba prenumeratorów do 10.000, a przeszło 40.000 czytało tryskające życiem i dowcipem utwory Roumanille'a i innych. Nie mniej łatwo zrozumieć olbrzymi wpływ, jaki kalendarz wywierał i wywierać musiał. Jemu przecież, jak i głośnemu jego twórcy, chodziło na pierwszem miejscu o podniesienie moralnego poziomu ludu. Wielka też część felibrów zrozumiała ten cel Roumanille'a i w prozie i poezyi stała się apostołami wiary, pokoju i pracy. Inni nie wiele o wszystko się troszcząc pełną piersią wyśpiewywali swe pieśni trochę na wiatr, a inni jeszcze w późniejszych rocznikach odbiegli nieco od pierwotnej powagi, podawali towar nie zły wprawdzie, lecz dość średni.

[1] Hrabstwem nazywają dawną własność papieską w Awinionie i okolicy.
[2] Cornut l. c. str. 128.

Odtąd drukował Roumanille w kalendarzu swe następne utwory, a wszystkie razem wydał wkrótce potem w trzech tomach p t. *Oubreto en vers* i *Oubreto en proso.*

Tymczasem zbliżała się starość a z nią rosło wzięcie u ziomków i sława za granicą. Roumanille nie był ambitnym, nie pragnął zaszczytów, odznaczenia za to szukały go same. Pierś jego zdobił order Karola III. hiszpańskiego i Karola I. rumuńskiego, a Włochy przysłały mu w roku 1874 krzyż korony włoskiej. Wielkie musiało być zdumienie ambasadora Nigra, który miał krzyż poecie wręczyć, kiedy ten starzec energicznie przyjęcia orderu odmówił, pokazując przez to, że nie chciał mieć nic do czynienia z rządem włoskim. Charakteryzuje to doskonale jego przekonania religijne a nagroda za wierność zasadom nie dała długo czekać na siebie: dwa tygodnie później mianował go Paryż rycerzem legii honorowej.

Roumanille osiągnął cel swych starań i zabiegów. Wywiódł z toni przeszłości ukochany język, wrócił mu dawną świetność i dał mu szereg stróżów, których zadaniem było czuwać nad jego dalszym rozwojem; zyskał nieznany przed tem wpływ na lud i widział jak pod tchnieniem gorącego serca lud ten się uszlachetniał i umoralniał. Mógł słusznie bez żadnych iluzyi powiedzieć: „widzę w rozkwicie drzewo, którem w Prowansyi zasadził". Wkrótce też w tym samym miesiącu, w którym kiedyś założył towarzystwo felibrów, w tym samym prawie dniu, bo 24 maja, tylko 37 lat później w r. 1891 zakończył „patryarcha Prowansyi" w Awinionie swe życie. Umarł, otoczony gronem rodziny i znajomych, spokojnie i swobodnie „gdyż nie napisał wiersza, któryby nie był czystym... a mimo słabości natury ludzkiej nie popełnił niczego, coby w tej godzinie mogło dla niego być powodem wyrzutów sumienia" [1]. W ostatniej jeszcze chwili, kiedy już wszystkie swe rachunki z Bogiem załatwił, pamiętał o Prowansyi i ustawicznie powtarzał żonie: „powiedz Mistralowi, żem w agonii o nim myślał". Jak umierał pokazują jego ostatnie słowa: „bez wątpienia śmierć nie jest miłą, ale też nie jest tak

[1] Cornut l. c. str. 132.

straszną jak ją nam przedstawiają psalmy kościelne ‚kiedy mój język suchy przyschnie do podniebienia'... Nie! nie jest tak ciężko umierać" [1].

Zgon poety napełnił żałobą serce Prowansyi, boć na zawsze zamilkły te usta, które mówiły tylko o pięknie, które niosły z sobą pociechę i współczucie. Awinion pogrążył się w smutku, a jęki i płacz napełniały powietrze, kiedy po uroczystem nabożeństwie wyniesiono zwłoki do ojczystego *Saint-Rémy,* gdzie zmarły poeta życzył sobie być pochowanym. Wóz żałobny stanął przed chatą rodzinną, ukrytą w cieniu rozłożystych jabłoni, a w kościele odśpiewano kilka jego pieśni, które zmarły spopularyzował w kraju. Rozrywany prowansalski mowca, ks. Ksawery de Fourvières żegnał go w rzewnych, gorących słowach, a pod zachód słońca ziemia przyjęła zwłoki wielkiego poety, większego jeszcze człowieka. W smutnej uroczystości brała udział cała Francya i wiele zagranicznych krajów.

* * *

Jednem z najwdzięczniejszych zjawisk w występie dzisiejszych felibrów i ich związku, są igrzyska kwiatowe, *jeux floraux.* Obecnie doszły one do niebywałego prawie rozkwitu i opromieniają blaskiem poetycznej przeszłości szkoły literackie w Prowansyi i Katalonii, przyjęły się nawet w Niemczech i wywołały tam ogólny zachwyt, nie od rzeczy będzie więc zapoznać się z powstaniem i rozwojem tych igrzysk tak świeżych i uroczych, będących zarazem jednem z najstarszych stowarzyszeń literackich świata.

Kiedy poezya trubadurów do upadku chylić się poczęła i nic jej od zagłady uratować nie mogło, postanowiło siedmiu poetów tuluzkich, *set trobadors de Tolosa,* użyć jeszcze ostatecznego środka do podźwignięcia zagrożonej „wesołej umiejętności". We wtorek po Wszystkich Świętych r. 1323 zebrani w swym „kwiecistym ogrodzie" na przedmieściu augustyańskiem w Tuluzie, wezwali wszystkich prowansalskich trubadurów do udziału

[1] Cornut l. c. str. 134.

w popisach literackich następnego roku. Chcieli podnieść i udoskonalić sztukę wiersza, wrócić jej pierwotną świetność, a przynajmniej opóźnić grożący upadek. „Naszem zajęciem i życzeniem jest bawić się i śpiewać, dlatego też chcemy dzisiaj, aby nasze głosy słyszano w dali i wokoło. Siedmiu nas, posiadamy, wzorem dawnych poetów, rozkosznie piękny ogród, gdzie się w każdą niedzielę schodzimy i słuchamy naszych pieśni... Aby ta tak droga i urocza ‚umiejętność' dalej się rozwijała, uwiadamiamy was, że... jeżeli tak Bóg zechce, zgromadzimy się pierwszego maja wszyscy w rzeczonym ogrodzie. Radość nasza będzie zdwojoną, jeżeli w tym dniu i was tam znajdziemy, gdyż nie znamy innego szczęścia, jak przyczynić się do rozkwitu poezyi. Aby zaś każdego zachęcić do stworzenia doskonałego dzieła, zwracamy waszą uwagę na to, że ten, który się pojawi z utworem najpiękniejszym, otrzyma fiołek ze szczerego złota. W ocenie nie uwzględnimy bogactw lub znaczenia, nie uwzględnimy położenia lub stanu pana albo sługi, zwrócimy jedynie uwagę na doskonałość natchnionych wierszy... Bóg poezyi niech będzie z wami" [1].

Skutki tej odezwy przeszły oczekiwanie. Adepci *gay saber* zebrali się w r. 1324 w tuluskim „kwiecistym ogrodzie" w takiej liczbie, że dzień pierwszy poświęcono tylko przyjmowaniu utworów, drugi ich ocenie a trzeci, przypadający na uroczystość Podwyższenia Krzyża św., samemu obchodowi. Zwycięzcą ogłoszono Arnauda Vidala de Castelnaudary, jemu też wręczono złoty fiołek, a niedługo potem za odę poświęconą Matce Najświętszej mianowano go „doktorem wesołej umiejętności". Ogół stanął od razu po stronie nowego związku a rozentuzyazmowany urokiem nowości i czarem obchodu wśród kwiatów i pieśni, zachęcał dodatkowemi nagrodami trubadurów do ciągłej pracy. Udział w popisach mogli na razie brać prawie wszyscy, a od wynagrodzenia wykluczono jedynie satyrę i wszystko, co jakkolwiek obrażało zmysł religijny lub moralny. W pierwszych szczególniej czasach uważano raczej na szlachetność myśli lub siłę

[1] Cornut l. c. str. 252.

uczucia, niżeli na piękność i elegancyę formy, oryginalność zwrotów lub nowość pomysłów; uderza też fakt, że wielka część utworów opiewała ze szczególnem zamiłowaniem Boga-Rodzicę.

Dla tem pewniejszego osiągnięcia powyżej wymienionego celu, trzeba było pomyśleć o jakiemś zorganizowaniu się; dlatego też już w r. 1325 nazwało się stowarzyszenie to *Consistori de la gaya sciensa;* na jego czele stanęło siedmiu sędziów *mantenedores* z kanclerzem, zawiadującym stroną zewnętrzną związku. Powiększono ilość nagród; kwiat jaśminu a względnie róży otrzymywał autor najlepszej pastorałki lub *sirventes*'u, kwiat nogietka *(calendula)* autor pieśni *danzo;* dla zachęty młodszych, którzy jeszcze udziału w igrzyskach nie brali, albo też wobec znanych i poważanych osobistości nie mieli wiele widoków powodzenia, zachowano srebrny gwoździk. Szczęśliwego zdobywcę trzech nagród zwano doktorem lub mistrzem, jednej bakałarzem.

Wpływ stowarzyszenia wzrastał; uroczystości majowe i bardziej pojedyncze obchody, urządzane kilka razy do roku, gromadziły nietylko mnóstwo ciekawych, ale żądnych sławy i zwycięstw, a pewnie i nagród, pisarzy. Igrzyska jednak miały jedną wielką niedogodność; sądzono nadesłane pieśni podług wrażenia chwili i szczęśliwych a trafnych pomysłów poety, gdyż autorom, sędziom i publiczności brakło na regułach, któreby wybór i wartość przedmiotów jakkolwiek określały. Dla usunięcia tego braku upoważnili *mantenedores* swego kanclerza do zebrania przepisów, obowiązujących tak sędziów, jak i pisarzów. Po dziesięciu latach mozolnej i sumiennej pracy wydał kanclerz, Wilhelm Molinier, któremu nowy związek niesłychanie wiele zawdzięczał, reguły popisów dorocznych pod tytułem: *Leys d'amors,* „Prawa miłości". Skąd ta nazwa? Stąd chyba, że poezya, jak każda sztuka, ma za przedmiot piękno, to zaś z istoty swej wywołuje miłość czystą i bezinteresowną; tak prawa poezyi są mniej właściwie prawami miłości. Książka Moliniera, jedna z pierwszych poetyk świata chrześcijańskiego [1], jest tu i ówdzie trochę alegoryczna, ale za to wieje z niej wielkie ciepło, zamiłowanie

[1] Przed nim napisał Raimon Vidal *Rasos de trobar.*

i przejęcie się ważnością swego posłannictwa. „Nowy trubadur, pisze kanclerz, który chce stanowczo nabyć wprawy w nauce tworzenia, niech przyjdzie czerpać z tych praw, bo tu znajduje się krynica wesołej umiejętności. Niech się napije tej tak słodkiej źródlanej wody i niech się stara dotrzeć do miejsca, z którego ona wytryska. Podążając za biegiem źródła, napotka powstające strumyki, których brzegi błyszczą od liści i zieleni; wśród nich rozbrzmiewają wesołe melodye ptaków. Te strumyki kryniczne czeka wielka chwała, a krynica stanie się milszą, weselszą, sławniejszą i dla wszystkich wystarczającą. Źródło będzie rozkoszniejszem i bardziej uroczem dla tych, którzy kochają umiejętność tworzenia i pragną jej nabyć, przedewszystkiem jednak dla tych, którzy mają serce szlachetne i czuły umysł. Wesoła umiejętność nie przeniknie ducha twardego, nieokrzesanego, chciwego, zepsutego lub fałszywego; przeciwnie słodkie wody będą mu się gorzkiemi zdawać. Dlatego też, lekceważy on, gani i pogardza tem, czego nie może posiąść, bo ciemnota jest największym wrogiem umiejętności.

„Pod tą krynicą rozumiemy kompozycyę, a pod wodą wiersze, pieśni i inne dzieła. Źródłem nazywamy sztukę tworzenia, tak jak jej tu uczymy i którą znać musi każdy, kto chce stworzyć utwory piękne, miłe i czyste. Strumyki — to trubadurzy; wody słodkie — to poematy pełne uroku i powabu; brzegami, które na strumienie plamy kładą, są serca tych, którzy poetów słuchają, a słuchając czują, że dusza ich pełna jest rozkoszy i swobody. Świergocące, wesołe ptaki, to żonglerzy i ci wszyscy, którzy harmonijnym głosem śpiewają nasze pieśni, podają je do wiadomości i rozpowszechniają, niosąc z sobą radość i rozkosz a rozpędzając zmartwienia“ [1].

Inne ustępy dzieła Moliniera mniej interesują, wystarczy tu chyba wspomnieć, że od wiersza wymaga on najmniej czterech a najwięcej dwunastu zgłosek, poza tem widzi tylko niepotrzebne fantazye i urojenia. Wiersz dwunastozgłoskowy stoi na pierwszem miejscu, a jeżeli ma być doskonałym, powinien się

[1] E. Cornut l. c. str. 258 nast.

umieć obejść bez hiatu, który wyłącznie w jednozgłoskowych wyrażeniach ma pewną racyę bytu. A i to uderzy może bacznego czytelnika, że kiedy omawia w drugiej części rozmaite formy poezyi, nie wspomina jeszcze nic o sonecie. Zaciekawiają zato ustępy, mówiące o moralności sztuki i podające przepisy, jakie obowiązywać będą na dorocznych zgromadzeniach. Wiara jest według Moliniera co najmniej istotnym warunkiem pięknych wierszy, a cnota i moralność niepomiernie wpływają na talenty literackie. Dlatego też sądzi on i słusznie, że dzieła trubadurów nie wywrą na umysły żadnego wpływu, jeżeli nie wypłyną z moralności chrześcijańskiej. Sędziowie muszą oceniać zupełnie bezstronnie wartość nadesłanych dzieł i sąd swój, choć sobie przeciwny, poddać sądowi ogółu, a nie uważać ani na osobistości ani na stanowiska, z drugiej strony jednak wszyscy czuwać muszą nad tem, żeby nikt nie powołany do walki nie stanął. A takimi niepowołanymi są nietylko ci, którzy piszą w duchu niechrześcijańskim i niemoralnym, ale i ci wszyscy, o których sam ich charakter niechlubnie świadczy, na pierwszem więc miejscu heretycy, ekskomunikowani, fałszerze, zdrajcy, bluźniercy, rozpustnicy, żydzi, saraceni i t. d. Autor znowu ofiarujący swój wiersz do oceny przysięgą zatwierdzi, że sam bez żadnej pomocy go napisał.

Dziwnem tylko, bo tradycyom trubadurów wprost przeciwnem, jest stanowisko, jakie pieśniarze tuluscy zajęli wobec kobiety-poetki. Od tej niewiasty, którą przedtem tak uwielbiano i w której widziano jedyne i wyłączne szczęście, wcielenie samego piękna, żądają, aby była nieposzlakowaną w życiu, jeżeli chce w igrzyskach brać udział, a może i otrzymać nagrodę; talent jej i wiedza mają się wznieść wysoko ponad mierności. „Ale, dodaje Molinier, dobrodusznie czy złośliwie, gdzie znaleźć taką kobietę?“ Trubadurzy poznali wkrótce, że w tym względzie żądania ich poszły za daleko i dlatego też w późniejszych czasach złagodzili owe warunki.

Tak zorganizowane stowarzyszenie wywołało ogólny podziw; w rękopisach rozpowszechniały się „Prawa miłości“ i szły aż poza Alpy i Pireneje, gdzie tylko rozbrzmiewała *lenga ro-*

mana. To też nikogo nie zadziwi, że Jan Aragoński zażądał od Karola VI. ludzi, którymby mógł powierzyć w swym kraju założenie szkoły „wesołej umiejętności“; prośbie stało się zadość i kolegium takie powstało najpierw w Barcelonie, gdzie z małemi przerwami przechowało się do naszych czasów.

Cel swój osiągnęli trubadurzy tuluscy tylko częściowo; opóźnili jedynie definitywny upadek poezyi rodzinnej, a gdy ta z widowni zeszła, przyszedł kres i na „wesołą umiejętność“. Do zagłady przyczyniły się niepomału wojny, klęski publiczne, jak wylewy i zarazy, i wzrastający wpływ francuskiego piśmiennictwa. Wszystko to podziałało rozkładająco na szkołę poetyczną; nie było już trubadurów, którzyby uprawiali poezyę z zamiłowania i w niej widzieli niejako główny cel życia, dlatego też rozprzężenie wkradło się w same szeregi członków „wesołej umiejętności“. Na popisach nie sądzono utworów sumiennie, same zaś zebrania przemieniły się raczej na bankiety i orgie, aniżeli na urocze igrzyska, które swoją drogą i na tem wiele utraciły, że po zniszczeniu „kwiecistego ogrodu“ w chwili oblężenia Tuluzy przez Anglików, musiały się odbywać w ratuszu, gdzie im brakło ich świeżej piękności, kwiatów, słońca, śpiewu ptaków i szmeru liści. Gdy zaś jeszcze do udziału w nagrodach przypuszczono pisarzów obcych, należących do innych narodowości, stowarzyszenie po stu przeszło latach pełnego chwały istnienia całkowicie upadło. Popisy 1484 roku były ostatniemi zasługującemi jeszcze na to miano; *Consistori de la gaya sciensa* należał do przeszłości, a jego miejsce zajęły *jeux floraux*, igrzyska kwiatowe, pod tą nazwą po raz pierwszy, zdaje się, dopiero teraz występujące. Reformę tę przypisać należy bogatej obywatelce tuluskiej, znanej w historyi igrzysk pod nazwą Klemencyi Isaury.

Nowsi jednak badacze odznaczający się niesłychanem niedowierzaniem i sceptycyzmem w niektórych kwestyach a dochodzący w swym krytycyzmie czasem aż do śmieszności, nie darowali i Klemencyi. Niedawno jeszcze Koschwitz, jeden z wybitniejszych przedstawicieli romanizmu w Niemczech (a nie on tylko) utrzymywał, że Klemencya prawdopodobnie nigdy nie

istniała, a w każdym razie nie nazywała się Isaurą [1]. To ostatnie jest w istocie niepewne, istnienie jednak Klemencyi jak i jej zapis na rzecz igrzysk kwiatowych uczyniony, zdaje się zato nie ulegać żadnej wątpliwości. Rozmaite źródła z lat 1513 (Almeny, kanclerz igrzysk), 1526 (Karol de Lagany), 1527 (Stefan Dolet w wierszu łacińskim p. t. *De Muliere quadam quae ludos litterarios Tolosae constituit),* 1528 (rachunek dla pewnego bakałarza „za mowę wypowiedzianą ku czci Klemencyi Isaury w dzień igrzysk"), 1530 (wiersze Jana Boissonné opiewające fundatorkę), wskazują niemniej jak i jej nagrobek i statua z kościoła na kapitol przeniesiona, że żyła ona w rzeczywistości. Najważniejszem w tej kwestyi świadectwem jest jednak ustęp z dekretaliów Wilhelma Benoît z roku 1499, gdzie omawiając znaczenie zapisów testamentowych wyraża się w ten sposób: (Część majątku) „może też być zostawioną na rzecz corocznych zabaw w jakiemś mieście, jak to uczyniła szlachetna owa kobieta Klemencya, bogata obywatelka tuluska, która chcąc zachęcić młodzieńców, by się ozdobnie, jak na wykształconych wypada, wyrażali, przeznaczyła pewną część dochodów na to, by co roku zakupiono z nich trzy srebrne kwiaty..." Silnie przemawia wreszcie za jej rzeczywistem istnieniem sam fakt zapisu. Klemencya przeznaczyła pewną część swego majątku miastu Tuluzie, które w zamian zobowiązało się pokrywać wszelkie koszta igrzysk, opłacać nagrody i wynajmywać uczestnikom salę ratuszową. Warunek ten dał się później miastu trochę we znaki, przychodziło do rozmaitych niesnasek a mimo to aż do r. 1893 pełniła Tuluza sumiennie swój obowiązek, Dopiero w r. 1893 cofnięto zapomogę, a dano ją w zamian nowo powstałej szkole tuluskich poetów *Escolo Moundino* [2]. Fakt ten przemawia więcej jak potrzeba za naszem twierdzeniem, choć swoją drogą musimy przyznać, że o życiu Klemencyi mało co wiemy. Żyła ona prawdopodobnie w połowie piętnastego wieku, pochodziła z szlache-

[1] Koschwitz, *Über die provenzalischen Feliber*, str. 10.

[2] *Moundin,* — *no*=tuluski. Wyrażenie to powstało ze starszego *ramoundin;* przydomek taki dawano obywatelom Tuluzy jako poddanym i sprzymierzeńcom hr. Rajmunda *(Ramoun).*

tnej rodziny, była bogatą, wykształconą i umarła w pięćdziesiątym roku życia. Był to w każdym razie umysł niepospolity, głęboko piękno odczuwający, owiany urokiem wielkiej poezyi, a czy się nazywała Klemencya Isaura, jak chcą powszechnie, czy też Esclarmonde Izalguier, jak utrzymują inni, to rzeczy nie zmienia. Pewnem jest, że poeci wiele się jej osobą zajmowali, a na ostatniej wystawie paryskiej zwracał na siebie uwagę obraz pendzla Henryka Martina, na którym Klemencya objawia się trubadurom.

W najbliższym więc czasie, bo albo w pierwszych dniach maja 1484 r. albo w latach bezpośrednio następujących odbyły się te odnowione i z gruntu przerobione *jeux floraux*. W dzień igrzysk ogłosili heroldowie w barwnych szatach dźwiękiem srebrnych trąb Tuluzie wesołą nowinę, a rada miejska i władze przyjmowały *mantenedores* i ich orszak w przystrojonej sali ratusza, witającego gości umieszczonym w portalu wierszem: *Hic. Dat. Apollo. Flores. Camoenis.* Wśród woni kwiatów i dźwięków muzyki i pieśni, wśród licznie zgromadzonych żądnych wrażeń i upojeń uczestników odbyły się te igrzyska a na ziemię zstąpiło znów coś z blasku poezyi dawnych trubadurów. Zdawało się, że teraz los stowarzyszenia już zabezpieczony i że pod opiekuńczemi skrzydłami Klemencyi igrzyska spokojnie rozwijać się będą.

Próżna nadzieja! Fatalizm jakiś ciążył na całej instytucyi. Senat i władze tuluskie żądały dla siebie rozmaitych przywilejów, przedstawiciele miasta chcieli mianować kierowników obchodu, oznaczać zwycięzców, rozdawać premie. Poeci sprzeciwiali się temu, powołując się na ostatnie postanowienie i wolę Klemencyi — i słusznie! Sytuacya mimo to wkrótce tak się zaostrzyła, że komitet igrzysk musiał parę razy zawezwać pośrednictwa parlamentu; parlament też objął protektorat nad stowarzyszeniem, co znowu hamowało jego samodzielny rozwój. Więcej jeszcze wpłynęło na upadek igrzysk kwiatowych powolne ale ciągłe znaczenie i wzrost języka francuskiego, który przedzierał się także do tuluskiego grona miłośników piękna; dlatego mógł Joachim du Bellay w swej obronie języka francu-

skiego pisać: „czytaj i wczytuj się przyszły poeto najpierw w greckie i łacińskie wzory, a pozostaw igrzyskom kwiatowym w Tuluzie wszystkie stare poezye francuskie, jak rondo, balady, pieśni królewskie, piosenki i inne korzenne wyroby, które psują smak naszego języka i mogą chyba służyć za dowody ubóstwa naukowego“. Zarzut ten w wielkiej części niesłuszny, miał jednak swe pewne uzasadnienie, gdyż poezye igrzysk przeszły prawie wyłącznie w czczą formalność; świadectwem są utwory odznaczone, które nie posiadają żadnej innej wartości, prócz pewnych przejrzystych aluzyj i które zajmują się jedynie przedstawianiem kwestyj filozoficznych, moralnych lub estetycznych. Dodać potrzeba, że jeżeli w pierwszych czasach jakąś część dochodów z zapisów Klemencyi obracano za zgodą członków na jałmużny, to niedługo potem pieniędzy zupełnie zabrakło; rozrzucano je po prostu na pochody, ubiory, srebrne trąby i zbytkowne biesiady. Tak pokazała się znów potrzeba reformy, a reformę tę przyniósł Ludwik XIV. w r. 1694.

Na prośby akademika francuskiego, Laloubère, dekretem wydanym w Fontainebleau 26 września 1694 r. zamienił on kolegium Klemencyi Isaury na *Académie des jeux floraux* i zamianował sam trzydziestu pięciu sędziów *mainteneurs* i dwudziestu mistrzów; żeby zaś akademia nie zależała od samowoli władz, dał jej prawie zupełną niezawisłość i określił dokładnie obopólne przywileje. Miasto musiało na życzenie odstąpić akademii salę ratuszową lub jakąkolwiek inną, ilekroć tego zaszła potrzeba, na zakupno zaś kwiatów służących za nagrodę wyznaczył król 1100 lirów. Nagród było cztery: złoty amarant, fiołek, dzika róża i nogietek. W igrzyskach wolno było każdemu brać udział, to też wiele niewiast ubiegało się o odznaczenia, nie przypuszczano ich tylko do sesyi i głosowania. Dożywotni kanclerz czuwał nad zachowaniem praw i przepisów; urząd ten, ustanowiony przez samego króla, zniesiono dopiero w r. 1773, w którym prezydyum akademii złożono w ręce moderatora, wybieranego co trzy miesiące z pośród pojedynczych członków. Nowa instytucya wywierała na razie orzeźwiający wpływ na poezyę. Zaprowadzono przedewszystkiem obowiązkowo język

francuski, co ujęło wprawdzie popisom dużo uroku i zmieniło ich ducha, przyczyniło się za to do tem większego zainteresowania. Program igrzysk był bardzo szeroki; określano jedynie przedmiot mowy inauguracyjnej, poza tem miał każdy autor zupełną wolność wyboru. Dlatego też wieńczono utwory poetyczne z mitologii, lub historyi, listy moralne, elegie, idyle i sonety, byle się w nich przejawiał pewien połysk talentu, uczucia i uroku. Z prozy oddawano pierwszeństwo rozprawkom literackim, krytykom, krótkim a dobrym przemówieniom, których tematem była albo pochwała cnoty albo charakterystyka wybitnych i zasłużonych osobistości. Prawa i przepisy jednem słowem tak wszystko przewidziały, że przyszłość akademii wydawała się być zupełnie zapewnioną.

Nie brakło jednak i ciemnych stron, a wprowadził je do łona akademii, konserwatywnej i religijnej w swych zapatrywaniach, około r. 1720 jansenizm, poparty przez parlament; on też powoli instytucyą zawładnął, a kartki z historyi akademii tego czasu należą do bardzo smutnych w jej dziejach. Jansenizm dał się przedewszystkiem we znaki klerowi zakonnemu. Ustawy wymagały od s ę d z i ó w, by na stałe w Tuluzie zamieszkali; tego zastrzeżenia użyto przeciw zakonnikom, nie mogącym w istocie odpowiedzieć przepisowi, gdyż ich powołanie kazało i każe im zmieniać miejsce pobytu zależnie od decyzyi przełożonych. Jeżeli przedtem godność m i s t r z a igrzysk posiadł każdy, kto otrzymał trzy nagrody, to teraz wymagano niesłusznie, aż dwunastu takich odznaczeń. Fortel nie bardzo się udał, gdyż właśnie jeden z tych, przeciwko którym kampania głównie zwróconą była, Jezuita Teodor Lombard, wypełnił wszystkie żądania i mógł pokazać kierownikom akademii dwanaście nagród, zyskanych w nader trudnych warunkach; żeby się więc na przyszłość od podobnych niespodzianek tem pewniej ustrzedz, zadecydowano w r. 1743, że z pomiędzy kleru zakonnego jeden tylko m i s t r z będzie mógł być przyjętym do grona akademików, a tak udaremniono wstęp do akademii Jezuicie Vanière, zwanemu w owych czasach „księciem poezyi łacińskiej“ [1]. Jansenizm pierw-

[1] Dzieła jego przetłumaczono na rozmaite języki, między innemi i na polski.

szy rzucił zarzewie niezgody do tak pięknie się rozwijającej i wiele obiecującej instytucyi, a wypierając z niej ducha religijnego, otworzył na oścież wrota liberalnej filozofii encyklopedystów.

Stan ten trwał aż do r. 1791, gdzie się pojawił nowy, groźniejszy wróg — rewolucya. 16 kwietnia tego roku zebrali się członkowie i liczna publiczność po raz ostatni na igrzyska. Władze przejęte duchem rewolucyjnym, odmówiły akademii dawnego lokalu, a pewna ilość członków nie pojawiła się z bojaźni, że rada miejska jak odmówiła miejsca na zebranie, tak też je i rozwiąże pod pozorem, iż nie zasięgnięto jej pozwolenia; dlatego upoważniono tylko sekretarza akademii, Poitevina Peitavi do przyjęcia prac konkursowych. Jego obowiązkiem było zwołać nowe igrzyska, gdy się czasy i warunki zmienią. Nieprzewidziana ta przerwa miała trwać całe piętnaście lat, bo do r. 1806.

Kiedy silna ręka Napoleona zaprowadziła wreszcie w państwie porządek i zgniotła rewolucyę, zebrali się żyjący jeszcze członkowie akademii w domu najstarszego z nich, Jammesa, 9 lutego 1806 r. Smutne to było zebranie! Wielu z pomiędzy nich zginęło na szafocie, wielu umarło lub żyło na wygnaniu, dwóch tylko, Mailhe i Barrère, sprzeniewierzywszy się swym obowiązkom, przyczyniło się w nieszczęsnych dniach zaburzeń i przewrotów do królobójstwa; uchwalono wobec nich tak się zachowywać, jakby ich nigdy nie było na świecie!

Chwila rozwoju i pomyślności dla akademii nadeszła wreszcie. Cesarz Napoleon popierał ją i nie pozwolił jej stawiać żadnych przeszkód. Dalej jeszcze poszedł Ludwik XVIII., który przyjął nawet protektorat nad instytucyą. To też nie dziw, że coraz więcej wybitnych poetów ubiegało się o nagrody i że np. Wiktor Hugo zyskał dwa razy złoty amarant a raz najwyższe odznaczenie, złotą lilię i otrzymał tytuł *maître ès Jeux*. Upojony swą wielkością, szukał później gdzieindziej chwały i rozgłosu; igrzyska już mu nie wystarczały, a jednak w dalszych latach chętnie wracał myślą do tych czasów, kiedy to obok Lamartine'a i innych, do zapasów stawał.

Toulouse la romaine où, dans des jours meilleurs
J'ai cueilli tout enfant la poésie en fleurs.

Dopiero też teraz mogła się akademia przygotować godnie do obchodu pięciowiekowej rocznicy powstania igrzysk, a pamiątkę tę święciła wyjątkowo w dniu 4, nie 3 maja 1823. Odtąd każdego roku jest stare miasto 3 maja świadkiem pełnej wdzięku i powabu uroczystości: w procesyi udaje się orszak do kościoła Matki Boskiej z Daurade, gdzie na ołtarzu spoczywają nagrody zwyczajne: złoty amarant, srebrny fiołek, pierwiosnek, dzika róża, lilia i nogietek, i nadzwyczajne: fiołek, róża, jaśmin i nieśmiertelnik ze złota, a gwoździk ze srebra. U stóp uwieńczonej kwiatami statuy Isaury, rozbrzmiewają w pochwalnych mowach jej cnoty; tam się też żegna uroczyście zmarłych mistrzów i przodowników a wita nowych, tam też w rozprawkach i poezyach omawia się aktualne kwestye czasu. Romantyzm, umiarkowany naturalizm, symbolizm i impresyonizm nawet mają tu swych przedstawicieli, a wszystko odbywa się na tle przystrojonych sal, wśród dźwięku muzyki i bijących żywo serc. A kiedy radykalna partya wystąpiła nie tak dawno temu przeciwko akademii jako instytucyi nieużytecznej i nieodpowiadającej duchowi czasu żelaza, elektryczności i fabryki, odpowiedziała na to stara akademia ustanowieniem dwóch rocznych nagród po pięćset franków za najlepszy poemat w *lengo moundino* i stypendyum w sumie 5.500 fr., — nagroda cnoty i zasługi. Tak więc jak niegdyś same igrzyska kwiatowe, i dzisiaj akademia stwarza nieustannie pewne centrum poezyi i ideału, odblask minionej chwały i uroczych tęczowych zjawisk przeszłości i pokazuje jasno, że i dziś znajduje się jeszcze czas i miejsce dla wyższych i szlachetniejszych uczuć człowieka i że duch wobec ciężkiej materyi potrafi się jeszcze wzbić do słońca i gwiazd i pobujać w przestworzach piękna.

Zakładając stowarzyszenie felibrów, zrozumiał Roumanille dobrze, że igrzyska kwiatowe oddadzą mu niemałą przysługę i potrafią zachęcić wielu do kształcenia swych talentów. Stąd też odgrywają one dużą rolę u felibrów, pozyskały sobie sym-

patyą, a urokiem, świeżością i nowością tak dzisiaj niezwykłą, większe wywołują wrażenie od igrzysk tuluskich. Pierwsze takie igrzyska w szerszem znaczeniu tego słowa, „zlot felibrów“ odbyły się 12 marca w r. 1859 w Nîmes. Miasto przyjęło poetów z entuzyazmem niezwykłym, a biskup Mgr. Plantier, człowiek wielkiej nauki i szerokich poglądów, otworzył im podwoje do swego pałacu. Uniesienie ogarnęło wszystkich, kiedy po odczytaniu stosownych wierszy, pojawił się na estradzie Reboul, ubóstwiany w Nîmes piekarz, poeta i włożył na skronie trzech felibrów laurowe wieńce, w które wpleciono białe wstążki z wyhaftowanemi w złocie nazwiskami poetów; oklaskom nie było końca, gdy na zakończenie uroczystości mała dziewczynka wygłosiła okolicznościowy prowansalski wierszyk i wręczyła Roumanille'owi bukiet stokrótek, Aubanelowi gałązkę granatu, a Mistralowi wiązankę kłosów. Występ w Nîmes był jednak występem czysto prywatnym, brało w nim udział tylko trzech głównych kierowników felibryzmu, w roku za to 1862 odbyły się pierwsze ważniejsze igrzyska kwiatowe w Apt pod wyłącznem kierownictwem nowej szkoły. Siedmiu przyjaciół z Fontségugne oceniało nadesłane utwory a jednomyślny ich sąd przyznał pierwszą nagrodę młodej dziewczynie, Roso-Anaïs Gras, przyszłej żonie Roumanille'a. Pod wrażeniem igrzysk, postanowiono nadać związkowi pewną organizacyę, której brak dotychczasowy odczuwali wszyscy. Sporządzono tedy w r. 1863 spis członków i ułożono statuty, które jednak nie wystarczały, zajmowały się bowiem jedynie ustaleniem i bliższem określeniem zawiązku i normowały zarazem mianowania sędziów konkursowych. Zresztą dzielili się felibrzy na siedem klas. Na czele wszystkich stał *Capoulié*, głowa stowarzyszenia; on też zwoływał igrzyska i rozsyłał zaproszenia. W roku dopiero 1876, tak jak niegdyś, i teraz w dzień św. Stelli ułożono i zaaprobowano w dawnej sali Templaryuszów w Awinionie nowe przepisy. Felibryzm stał się już znanym i wpływowym; w jego zabawach brali udział członkowie Akademii paryskiej i literaci francuscy, najważniejszem zaś zdarzeniem, które podniosło znaczenie prowansalskich trubadurów do niebywałych rozmiarów, było odrodzenie się średniowiecznej literatury

w Katalonii i stanowisko, jakie Katalonia wobec Prowansyi zajęła; katolońscy poeci zdobywali nagrody na popisach prowansalskich, a Prowansalczycy w zamian podziwiali groźny majestat Montserratu [1]. Ponieważ więc sława Prowansyi rosła i szerzyła się aż za Pireneje, było potrzeba objąć cały ten ruch i podporządkować go pod pewne reguły. Postanowiono tedy w Awinionie unikać na zgromadzeniach wszelkich politycznych i religijnych dyskusyj; następnie zajęto się samą zewnętrzną stroną felibryzmu. Członków rozdzielono na trzy klasy: *majourau*, *mantenèire* i *sòci*. *Majourau*, których liczba może wynosić co najwyżej 50, stoją na czele całego felibryzmu, tworzą niejako akademię języka prowansalskiego, tak zwany *Counsistòri*.

Nieograniczoną jest liczba członków czynnych czyli *mantenèire*. Podzieleni są na wielkie cztery działy *mantenenço:* Prowansyę, Akwitanię, Languedoc i Katalonię [2]. Od tych czterech prowincyj zależą szkoły i związki miejscowe *escolo*. Naczelnego kierownika całego związku nazwano *Capoulié;* do pomocy ma on ławników, kanclerzy i t. d., każdej z czterech prowincyj przewodniczy *sèndi*, a każdej szkole miejscowej *cabiscòu* — wszyscy utrzymują między sobą ścisłe stosunki.

Symbolem felibrów jest *la santo estello di 7 rai* siedmiopromienna gwiazda, ją też nosi na zgromadzeniach *Capoulie* jako znak swej godności; *majourau* przy takich okolicznościach przypinają sobie *cigalo d'or* konika polnego z złota lub złoconego bronzu, a *mantenèire* srebrny barwinek, gdyż „jest on symbolem jedności, ufności w przyszłość i wytrwania w miłości". Co siedem lat odbywają się walne zgromadzenia, połączone z głównemi igrzyskami kwiatowemi, podczas gdy pojedyncze prowincye ogłaszają swoje popisy co roku w miejscu przez konsystorz naznaczonem.

Poeta, który na głównych igrzyskach zdobywa pierwszą

---

[1] Język kataloński zbliża się bardzo do prowansalskiego, bliższe atoli przyczyny różnicy dwóch tych języków nie są jeszcze dostatecznie znane. Cfr. Vogel, *Neucatalanische Studien*, str. 3.

[2] W r. 1893 wyrzekła się Katalonia tytułu *majourau* a zadowoliła się nazwą *sòci* i tem samem wystąpiła z grona felibrów.

nagrodę, także i ten, który może się poszczycić pierwszemi odznaczeniami, uzyskanemi na trzech popisach miejscowych, wybierają królową kwiatów i felibrów; królowa wkłada zwycięscy na skronie srebrną z liści oliwnych uwitą koronę i nadaje mu tytuł *Mèstre en Gai-Sabé.* W dzień walnego zebrania mianuje konsystorz nadto członków honorowych i protektorów, *sòci* i *ajudaire;* są nimi uczeni, artyści, literaci, jednem słowem, wszyscy, którzy jakieś zasługi względem felibrów położyli.

Żeby tem bardziej jeszcze na wyobraźnię ludu oddziaływać, wprowadzono stare „sądy miłości". Po igrzyskach zbierają się poeci; na krzesłach sędziów felibrystycznych zasiada siedem pań i dziewic, i one oceniają i wynagradzają najnowsze poezye i romanse trubadurów; nowość ta zjednała dla związku prowansalskiego wyższe sfery, które czują się zaszczyconemi, jeżeli wybór na kogoś z ich otoczenia padnie. Na zgromadzeniach panuje wyłącznie duch radości i jedności a „puhar związkowy", kosztowny dar Katalończyków, napełniony prowansalskiem winem, krąży z rąk do rąk i niesie z sobą swobodę i wesołość.

Tak wzrosła szkoła cieszyła się i cieszy ogólnym szacunkiem. Dzisiaj liczba felibrów wynosi już kilka tysięcy, cała południowa Francya nimi zapełniona, Paryż nawet posiada dwa stowarzyszenia, które rok rocznie pielgrzymują wspólnie do gorącego nieba Prowansyi i do rodzinnych stron. Organem felibrów jest w części *Armana prouvençau,* a od roku 1885 *Revue Félibréenne,* wychodząca sporadycznie i redagowana w dwóch językach, francuskim i prowansalskim; celom naukowym służy *Revue des langues romanes;* literackie zato pismo *Aiòli* zawiesiło po ośmiu latach swe wydawnictwo — o tem jednak później. Tyle w każdym razie możemy dziś już powiedzieć, że *félibrige* z małych wyszły początków, wielkiemi może się obecnie poszczycić rezultatami, a jego poeci są mu prawdziwą ozdobą; wszystko też rokuje na przyszłość najpiękniejsze nadzieje.

(Dok. nast.)

Ks. Wiktor Wiecki.

JAN III. WAZA I MISSYA POSSEWINA.

(Dokończenie).

Tymczasem zbroiła się — Dania. Nie wiedziano, dlaczego, i różne były pogłoski. Kiedy Karol Sudermański z heidelberskiego ślubu wracał do domu, zatrzymał się był w Lubece. Lubeczanie przyjmowali go z największą uroczystością i serdecznością, a senat odbywał z księciem narady; powszechnie mówiono, że zawarli z księciem przymierze [1]. Handel lubecki cierpiał bardzo przez to, że Szwecya nie dopuszczała żadnych okrętów do Narwy; przeszkadzanie „narewskiej żegludze“ było też jedyną przysługą, jaką Jan III. pośrednio wyświadczał Polsce w tej wojnie z Moskwą. Ale Dania nie chciała uznać blokady przystani narewskiej, a książe Karol z Lubeki pojechał do Kopenhagi, przyjmowany tam również serdecznie, a potem podobno w Sudermanii sam żeglugę narewską tolerował. Ile w tem prawdy, trudno orzec bez specyalnych badań; trudno dociec, kiedy Jan III. zajmując czyjś okręt na morzu robił to dla tego, że na statku był ładunek przeznaczony dla Iwana Groźnego, a kiedy znowu sprawa narewskiej żeglugi służyła mu tylko za pożądany pozór uprawiania korsarstwa upozorowanego prawem wojennem? Zabrał też kilka okrętów Fryderykowi II.; ten upomniał się o nie, dodając, że jeżeli mu ich nie oddadzą, sam sobie je odbierze; wkrótce zaś potem posłał swego kanclerza

[1] *Nunz. Germ.* 92, p. 275, 324, 334.

z protestacyą, że Jan III. nie wypełnia należycie warunków pokoju szczecińskiego. W lutym 1580 r. zastanawiano się w Szwecyi poważnie nad tem, czy te dwa kroki króla duńskiego nie są właściwie już wypowiedzeniem wojny. Na początek kwietnia zwoływał Fryderyk II. sejm do Oldense na Fionii, a rozeszła się pogłoska, że podczas tego sejmu odbędzie się wielki zjazd protestanckich książąt. Wymieniano sobie elektorów, saskiego i brandenburskiego, Palatyna reńskiego, książąt meklemburskiego, brunświckiego, luneburskiego, lawenburskiego, książąt pomorskich, hrabiego oldenburskiego i jeszcze innych, jako mających uczestniczyć w tym zjeździe. Chodziło Fryderykowi II. o to, żeby osiągnąć porozumienie w sprawach wyznaniowych i położyć kres wzajemnemu zwalczaniu się luteranów i kalwinistów, co osłabiało niezmiernie obóz protestancki wobec katolików. Cel tedy zjazdu miał być pokojowy: ale i to niedobrem było dla króla Jana, który jednako u obydwóch oddziałów protestantyzmu był niemile widzianym, a już zwłaszcza w Danii uważany był za papistę. Zbrojenia tłumaczono zamiarem wzięcia czynnego udziału w wojnie moskiewskiej (po stronie polskiej), to znowu w wojnie niderlandzko-hiszpańskiej, (oczywiście przeciw Hiszpanii); gdy jednak król duński począł się tak ostro upominać o zabrane sobie okręty, poczęło się budzić podejrzenie, czy nie zbroi się przeciw Szwecyi [1].

Wśród takich okoliczności zażądał sejm wadsteński od króla, żeby się związał sojuszem z protestanckimi książętami Rzeszy. Znaczyło to, że życzą sobie polityki wręcz przeciwnej tej, której król dotychczas się trzymał. Spełnienie tego życzenia wyszłoby przedewszystkiem na korzyść Danii i byłoby (w owoczesnych stosunkach) zupełnem już wyrzeczeniem się myśli upokorzenia duńskiego państwa. Co więcej, Szwecya byłaby nawet na razie wprzężona do pewnego stopnia w rydwan polityczny Danii, jako protektorki luteranizmu na Północy. O przeprowadzeniu ostatecznem w Szwecyi odrębnego wazowskiego wyznania nie

[1] Tamże.

byłoby już natenczas mowy. Toteż Jan III. nie myślał uczynić zadość ani jednemu z żądań tego wadsteńskiego sejmu.

Podczas tego sejmu wezwał król nareszcie do siebie Possewina. Posłał po niego bardzo oficyalnie, już nie zwykłych sekretarzy, ale kanclerza i wicekanclerza państwa w towarzystwie hrabiego Piotra Brahe, którzy sami naprzód rozmówili się z Possewinem w sprawie religijnej, a potem dopiero zawiedli go do króla. Była to niejako delegacya sejmowa pod egidą królewską; król stwierdzał wobec Stanów, że układy jego z Rzymem nie miały wcale wieść do papizmu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zastanowiono się też uprzednio nad tem, co król ma Possewinowi powiedzieć. Była to rozmowa stanowcza. Uczony Jezuita zwrócił nareszcie uwagę, że właściwie król kuje nową sektę, bo katolickiem to nie jest, co za katolickie podoba mu się uważać. Odparł mu na to król, że księży katolickich porozpędza i samego Possewina surowo ukarze, jeżeli mu jeszcze dłużej będzie przeszkadzać; „klechów“ obiecywał „zdeptać“. Powiadał, że wierzy ściśle po katolicku, ale nie wszystko może wyznawać publicznie. Nie będzie nigdy lutrem, ani kalwinem, choć nie dostanie dyspenz z Rzymu; lecz w takim razie „połączy się“ z Kościołem wschodnim, gdzie również istnieje nieprzerwalne następstwo apostolskie i stamtąd zaopatrzy się w duchowieństwo posiadające niewątpliwie *sacerdotium;* nie zamierzając jednak swoją drogą uznać przez to bynajmniej błędów, w które popadł Kościół wschodni. Potem starli się ostro o wyznaczenie jakiego kościoła stokholmskiego na publiczne nabożeństwa katolickie. Król zapytywał, jakiem prawem Possewin śmie żądać czegoś podobnego; ten tłumaczył, że przecież nawet Turcy i Tatarzy na to zezwalają. Odparł mu król, żeby najpierw papież w Rzymie wyznaczył jaki kościół na nabożeństwo protestanckie; odbił ten zarzut Possewin mówiąc, że wszystkie kościoły, które w Rzymie protestanci założyli i zbudowali, będą do ich dyspozycyi. To już była niepotrzebna dyalektyka ludzi, którzy wyczerpali od dawna wzajemnie wszystkie argumenty i dysputują na próżno, bo dobrze wiedzą, że się nie przekonają. Król

dysputował, że użyję nowomodnego wyrażenia, dla sportu, bo to lubiał, a Possewin ucierał się z nim, bo musiał.

Rozmowa ta przypominała bardzo pierwszą stanowczą dysputę z dnia 16 maja 1578 r., a mianowicie pod tym względem, że Possewin śmiało przypierał króla do muru. Ale król zachowywał się wręcz przeciwnie, niż wówczas: przyparty, wygłaszał bezwzględnie zapatrywania najzupełniej akatolickie. Tak np. gdy Possewin zwalczał jego żądanie, żeby katoliccy duchowni w Szwecyi z początku udawali kacerzy, rozwinął się ciekawy zaiste dyalog:

Król: Ale ja tak chcę! Possewin: Ależ to się nie zgadza z wolą Bożą. Król: Nie podlegam ani cesarzowi, ani papieżowi, a jestem dosyć potężny. Possewin: Prawda jest potężniejszą nad królów i dobrze jest prawdzie ulegać: kto się poniża, będzie podwyższony. Król: Papież nie ma u mnie nic do rozkazywania. Possewin: A więc ani Chrystus... i zaczął stosowny wywód; a gdy potem zapytał, kto nadał godności szwedzkim biskupom i księżom, król zdobył się na zupełną już szczerość i rzecze: Królowie są w swych państwach głowami Kościoła! — Jasność sytuacyi nie pozostawiała już nic do życzenia.

Gdy Possewin już wyszedł, wyprawił król jeszcze za nim Pontusa de la Gardie, żądając, żeby pozwolił dzieciom królewskim komunikować tej Wielkanocy *sub utraque*. Odparł Possewin, że nie ma prawa udzielić tej dyspenzy; żeby zaś zyskać na czasie i przeszkodzić, o ile to było w jego mocy, komunikowaniu po lutersku, powiedział, że napisze o to do papieża [1].

Rozmowa ta odbyła się 26 lutego 1580 r. Król grzeczny i względny dotychczas, uważał teraz za stosowne przestrzedz Possewina, że go w danym razie „surowo ukarze". Za cóż miał go karać? Przecież sam pierwszy prosił był w Rzymie, żeby mu przysłano Jezuitów! Przypuszczał jednak, że w Rzymie przy-

[1] Tamże p. 326, obszerny dopisek z 2 marca do listu z 26 lutego 1580 r. Cała rozmowa Possewina z królem przytoczona u Theinera t. I, str. 611—625.

staną na jego poprawki wyznania, że przyjmą jego mszał i że cały papistyczny Kościół przystąpi do udziału w jego dziele. Po to sprowadził Jezuitów, żeby mu pomagali zaprowadzić jego wyznanie, sektę jego utworu!

Pocieszał Possewina Lorichs, że król będzie zapewne powolniejszy, skoro się potwierdzą wiadomości o zwycięstwach królów hiszpańskiego i polskiego. W Szwecyi rozeszły się bowiem wieści, że Filip II. zajął Irlandyę... Ale Anglia upokorzona nie była, protestantyzm nie poniósł żadnej klęski; Karol Sudermański i mizoliturdzy szwedzcy stawiali się ciągle ostro i występowali przeciw Jezuitom. Ze zwycięstw zaś Batorego ten tylko był skutek, że Jan III. pragnął z nim przymierza, a Possewin i dyplomacya papieska mieli się zająć tą sprawą i wogóle opiekować się nadal interesami króla szwedzkiego, bo *questo punto dell interesse lo tiene alquanto legato* [1].

W Stokholmie tymczasem pod nieobecność króla *satanas furebat.* Od dłuższego już czasu rozszerzano z obozu sudermańskiego wieści, jakoby król zamierzał Szwecyę poddać w posłuszeństwo papieżowi i widzieliśmy, jak król w ostatnim czasie starał się odeprzeć to przypuszczenie. Pozostało jednak to, co było celem partyi sudermańskiej: rozgoryczenie przeciw katolikom, dążność do wygnania ich z kraju. Urządzono przeto gwałtowną demonstracyę. W Stokholmie było o to łatwiej, niż indziej, ponieważ mieszczaństwo składało się po większej części z Niemców, tak luteranów, jako też kalwinów. Obydwie te sekty połączyły się przeciw Jezuitom. Połączenie to przygotowywano systematycznie, żeby z tem większym naciskiem wystąpić przeciw Jezuitom. Na Wielkanoc 1580 r. luteranie i kalwiniści stokholmscy urządzali wspólne nabożeństwa i wspólnie komunikowali! W kilka tygodni potem (przed 22 maja 1580) urządzono nocny napad na misyę jezuicką przy kościele św. Franciszka i godzono na życie O. Norwejczyka. Podpalono gmach, część kolegium spłonęła; powstała przytem bójka uliczna, w której poturbowano kantora tego kościoła. Władza miejska, jakby tylko

[1] *Nunz. Germ.* 92, p. 305, 304, 330.

czekając na to, zakazała O. Wawrzyńcowi Norwejczykowi miewać kazania. Król, dowiedziawszy się o tem, nakazał dochodzenie i śledztwo surowe, ale ostatecznie potwierdził zakaz wydany przez władze miejskie i nadto odjął O. Wawrzyńcowi kierownictwo w kolegium, oddając je jakiemuś swojemu filoliturgowi. Publikując ten wyrok zastrzegł się tylko król, że nie robi tego bynajmniej dla dogodzenia pastorom, lecz jedynie z tego powodu, że Norwegus przekroczył życzenia królewskie [1].

Król wyjechał z Wadsteny (przed 12 marca 1580) do Linköping, dokąd przybył też Possewin 22 marca i zastał tam Jana zajętego formalnem układaniem swego wyznania wiary *(professione di fede del rè)* [2]. Było to zapowiedzią, że ze zdwojoną energią zabierze się do zapewnienia panowania swej sekcie. Jakoż rzeczywiście zaczął surowo ścigać wszystkich, którzy nie trzymali się ściśle „liturgii", bez względu na to, czy skłaniali się ku katolicyzmowi, czy ku luteranizmowi. Co z katolicyzmu było przyjęte do królewskiego wyznania, to cieszyło się też królewską opieką i tem tłumaczy się kilka drobnych zdarzeń, podniesionych w korespondencyi Possewina.

W Linköping miano obchodzić święta Wielkanocne. Był tu biskupem Marcin Olof, nietylko zażarty wróg katolicyzmu, ale nawet skryty nieprzyjaciel „liturgii", na którą podpisał się tylko dla tego, żeby nie utracić biskupstwa. Cokolwiek przypominało wyznanie katolickie, już przez to samo było mu nienawistnem, a więc także posty. Podlegli mu pastorowie naśladowali chętnie przykład swego przełożonego. Pastor miejski w Linköping, osadzony przy kościele podominikańskim, gdzie była fara, wyszydzał z kazalnicy post czterdziestodniowy. Dowiedział się o tem król i zgniewał się, bo posty znajdowały pomieszczenie w jego wyznaniu. Spotkawszy przypadkiem na rynku niemiłego kaznodzieję, zawołał na niego i zaczął go publicznie gromić i łajać; pastor padł na kolana, gotów tej chwili uznać nietylko posty, ale wszystko, co tylko królowi się spodoba.

---

[1] *Nunz. Germ.* 92, p. 347. Theiner t. I, str. 654, 655, 657.
[2] *Nunz. Germ.* 92, p. 320.

Przyszła kolej i na biskupa Marcina. Possewin mimowoli musiał wejść z nim w stosunki, gdyż domy ich sąsiadowały, a córki „biskupa“ bardzo chętnie nawiedzały dom Jezuitów i nie można się było od ich wizyt wyprosić; co dnia spotykało się którą z nich na dziedzińcu, w ogrodzie, na korytarzu i nie pomagały na to ani prośby, ani groźby; przeciwnie, robiły się coraz śmielsze i zaczęły docierać aż do pokojów mieszkalnych. Może to była prosta ciekawość dziewcząt niemądrych, a pozostawionych samopas bez opieki, a może też był w tem jakiś cel. Nie chcąc wywoływać skandalu, który musiałby powstać, gdyby córkę takiego dygnitarza wyrzucono przemocą na ulicę, zwrócił się Possewin listownie do ojca z zapytaniem, czy o tem wie, przyczem dodał surowe a zupełnie zasłużone wyrazy ubolewania i oburzenia nad takiem wychowaniem dziewcząt. Nieproszone odwiedziny ustały, a rozpoczęły się małe dysputy teologiczne, prowadzone na piśmie. „Biskup“ wziął jednak z tego asumpt do jeszcze większych napaści na katolicyzm i doszło do tego, że papieża nazwał publicznie antychrystem. Doszło to do uszu królewskich i powstała o to wielka burza. Jan III., który niedawno temu sam lżył papieża, gorszył się teraz zwyczajnem zgoła w ustach protestanckich wyrażeniem, które nawet przestało już zwracać uwagę katolików. Wezwał swojego biskupa do siebie, na audyencyę publiczną, na której kazał być obecnym w Linköping dygnitarzom i tu publicznie go złajał, nie szczędząc przykrych i ostrych słów.

Nie koniec na tem; zdarzyła się wkrótce jeszcze jedna sposobność, żeby sobie u Possewina zasłużyć dobrą kreskę. Wiemy, że Possewin starał się wysłać jak najwięcej szwedzkiej młodzieży do różnych kollegiów na kontynencie; że nie wszyscy ci młodzieńcy udali mu się, to rzecz ludzka i prosta. Jesienią roku 1579 wrócił był do Szwecyi z *Collegium Germanicum* taki niedochowaniec, Laurentius Montanus i opowiadał o kollegium niestworzone rzeczy, szerząc kalumnie, zarzucając, że mu w Rzymie nawet jeść porządnie nie dawali (rzecz dziwna, że w podobnych wypadkach zawsze wypadnie się spotkać z tym zarzutem półmiskowym; bieg historyi nic jakoś na to nie wpływa).

Montanus należał do takich „nawróconych“, jak Pontus de la Gardie; myślał, że królewskie pozyszcze łaski i przyspieszy sobie karyerę; wróciwszy zoczył, że król wcale sobie papizmu nie życzy, a więc go rzucił; żeby zaś upozorować apostazyę, musiał coś ganić, a pastorowie rozpowszechniali te oszczerstwa dalej. Podczas obecności Jezuitów w Linköping odżyła cała sprawa ze zdwojonym impetem. Wtem na szczęście wraca inny wychowanek Germańskiego kollegium z Rzymu, Eryk Falk, który swemi relacyami zadał kłam oszczercy. Falk wyznawał gorliwie katolicyzm i nie taił się z tem wcale, choć minęło już złudzenie co do katolicyzmu króla. Tego Falka wezwał tedy król do siebie i on, który tak niedawno groził wypędzeniem wszystkich katolickich księży, zdeptaniem papistycznych klechów i t. d., przyjmuje teraz jak najłaskawiej własnego poddanego papistę. Falk skończywszy kollegium był przez rok przy Hozyuszu i był świadkiem ostatnich dni jego życia. Król kazał sobie wszystko opowiadać szczegółowo i zaczął wychwalać Hozyusza, którego przecież tak niecierpiał! Audyencya skończyła się tem, że dał Falkowi pieniędzy na dalsze kształcenie się, bo (jak wyraźnie powiedział), bardzo lubi katolików [1].

Co za „katolicyzm“ król lubiał, a jakiego nie lubiał okazywało się najlepiej na królewiczu Zygmuncie, który teraz właśnie najwięcej miał znosić przykrości. Doszło do tego, że królewskie pacholę dawało dosyć jawnie *(assai apartamente)* do zrozumienia, że chętnie uciekłby do Polski, do swej „ciotuchny“ Anny, byle tylko ujść z rąk ojca i nie musieć uczęszczać na nabożeństwa kacerskie. Oczywiście, ani Possewin, ani żaden z Jezuitów nie namawiali do tej ucieczki i nie życzyli sobie takiego skandalu. Possewin donosząc o tem, pisze, że nie da się to zrobić w żaden ludzki sposób i zwraca tylko uwagę, jak to dobrze świadczy o religijnym gruncie u Zygmunta [2].

Drobne wydarzenia w Linköping przekonały króla, że szwedzkie duchowieństwo nie podziela szczerze jego zapatrywań

---

[1] Zdarzenia te opisane w *Nunz. Germ.* 92, p. 344—348.

[2] Cyfra Possewina z 18 marca 1580 r. w *Nunz. Germ.* 92, p. 329.

i nie trzyma się przepisów jego liturgii. Wydał przeto dnia 19 maja 1580 r. okólnik do biskupów, w którym przestrzega ich przed gniewem królewskim. Nakazuje każdemu pastorowi corocznie (w czasie zbierania dziesięcin) składać przysięgę, że w niczem nie odstępował od królewskiego rytuału i ktoby w najmniejszej drobnostce zachowywał się inaczej, niż liturgia przepisuje, ma nietylko stracić posadę, ale nadto odpowiadać za krzywoprzysięstwo; wszak bowiem przysięgli na liturgię wszyscy, którzy pod panowaniem Jana mieli posady duchowne. W okólniku jest też przestroga, żeby się nie dać odwodzić pismom przeciw liturgii wydanym. Jest mowa o pismach Abrahama (o którym już była mowa, a który teraz był pastorem w Salawük na Oelandyi), gwałtownego mizoliturga, ale jest też zarazem mowa o pismach Wawrzyńca Nicolai (Norwejczyka), profesora kolegium stokholmskiego; zakazuje król jednako i tych i tamtych. Na końcu edyktu zaręcza król, że wydaje ten rozkaz ze szczerej gorliwości o dobro religii i żeby nikt go nie pomawiał o skłonność do jakiejkolwiek herezyi, dawnej, czy nowej. Do herezyj starych zaliczał król zapewne i „papizm". Okólnik ten wyszedł jeszcze za pobytu Possewina w Linköping[1].

Król pracował dalej wytrwale nad umocnieniem swojej sekty w Szwecyi. Na dzień 2 czerwca zwołał do Linköping synod prowincyi ostrogockiej, na którym miał publicznie dla przykładu ukarać linköpińskiego biskupa za to, że w jego dyecezyi pozwalano sobie odstępować od liturgii. Zjechało się siedmdziesięciu pastorów, a król przykazawszy im trzymać się we wszystkiem ślepo liturgii obwieścił zgromadzonym, że Marcin Olof przestaje być biskupem linköpińskim za nieposłuszeństwo okazane mu w sprawach kościelnych; zaraz też mianował jego następcę (Piotra Michalssona) i odebrał od niego publicznie przysięgę na liturgię. Równocześnie ponowił też zakaz przeciw O. Wawrzyńcowi Norwejczykowi i zakazał surowo czytania jego pism. Wkrótce potem wyznaczył komisarzy do objazdu i wizy-

[1] Theiner I, str. 645.

tacyj parafij, a sam wyjechał do Stegeborga, dokąd też powołał za sobą Possewina. Ten stanął w Stegeborgu 19 czerwca 1580 r.[1].

Tu odbyła się ostatnia rozmowa Possewina z Janem III. Król odezwał się, że teraz chyba Possewin poznał już dobrze stan sprawy religijnej w Szwecyi, skoro tu już przebywa za drugim nawrotem blizko od roku; zapewne tedy zrozumiał, że tu nie obejdzie się bez dyspenz, a zwłaszcza co do komunii *sub utraque* Rzecz szczególna, jak król redukował do *minimum* swe żądania zawsze wtenczas, kiedy układy blizkie były zerwania i kiedy na różne sposoby dał już był skądinąd do poznania, że nie myśli katolicyzmu pojmować po rzymsku. Tak i teraz: mówiąc o dyspenzach, kładł znowu taki nacisk na komunię *sub utraque*, jak gdyby gotów był odstąpić od innych żądań; co więcej, i ten warunek ograniczał znowu, dodając, że musi wymagać tej dyspenzy przynajmniej dla siebie i swej rodziny; ale nowem ograniczeniem był dodatek nowo wymyślony: „przynajmniej na lat dziesięć". Possewin już wiedział, że gdyby na to zacząć przystawać, posypią się zaraz dalsze żądania, naruszające nawet dogmatykę. Nie przerywał już królewskich żalów, gdy Jan skarżył się, że mu nie chcą przyznać tego, co przecież niegdyś przyznano Czechom, co tem bardziej go dziwi, że tak jest przywiązany do katolicyzmu i stolicy apostolskiej, wszak pości, zachowuje obrządki (!), tak, że już wyzywają *(bestemmiano)* go papistą, a w Danii śpiewają w litanii: *Libera nos ab erroribus Suecorum.* Possewin nie oponował, nie przerywał tym razem i powiedział tylko, że może po jego wyjeździe król będzie mógł łatwiej pracować dla Kościoła, gdy uniknie rozmaitych podejrzeń. Odpowiedział król, że i jemu tak samo się zdaje. Znaczyło to, że nie zamierza wcale Possewina dłużej w Szwecyi zatrzymywać. Potem rozmawiali o rzeczach świeckiej polityki, o listach, które należało królowi wygotować w odpowiedzi na te, które przywiózł był Janowi III. z Rzymu, z Pragi i z Krakowa.

Nastąpiła jeszcze audyencya u Katarzyny Jagiellonki, przy

[1] Theiner I, 657. *Nunz. Germ.* 92, p. 394.

której byli obecni królewicz Zygmunt i królewna Anna. Król nie szedł tym razem trop w trop za Possewinem; pozwolił mu pójść samemu do królowej. Potem oboje królestwo odpłynęli do Stokholmu; Possewin nie otrzymał już zaproszenia do stolicy, wypadało więc czynić przygotowania do odjazdu. Odwiedziło go jeszcze w Stegeborgu kilku dygnitarzy: kanclerz, potem gubernator ostrogocki, osoba bardzo wpływowa, który zabawił trzy dni, konferując z Possewinem. Mówił, że Pontus de la Gardie odradzał mu tej wycieczki, przestrzegając, że Possewin nie będzie z nim o niczem innem rozmawiać, tylko ciągle o religii (przypomnijmy sobie, jak Pontus wymówił się w r. 1576 od wspólnej podróży z Possewinem); gubernator jednakże nie bał się widocznie tego tematu. W poufnej rozmowie powiedział, że król nigdy nie życzył sobie, żeby senatorowie jego zawierali bliższe stosunki z Possewinem. Wkrótce potem odwiedził go jeszcze jeden senator, ale odwiedzinom tym nie należy przypisywać żadnego znaczenia. Przyczyna ich bardzo prosta. Grzegorz XIII. wystosował był do tych trzech senatorów *brevia* w r. 1578 i przesłał je przez kapitana Cagnolo na ręce Possewina. Wiemy, że król tę pocztę przejął; zatrzymał też te *brevia*. Teraz doręczenie ich nie mogło już mieć tego znaczenia, co przedtem, w toku rokowań z Possewinem; teraz już nie bał się podejrzliwy król zawiązania bliższych stosunków, skoro Possewin był na wyjezdnem, a nie chciał, żeby w Rzymie skarżono się na niedoręczenie papieskich pism. Wrócił więc *brevia* Possewinowi, a ci trzej senatorowie pojechali sobie po nie do Stegeborgu. Possewin pragnął jeszcze w Szwecyi pozostać i starał się o pozwolenie królewskie przez wicekanclerza Eryka Sparre; ale król nie chciał go dłużej mieć w Szwecyi [1].

W dzień św. Wawrzyńca 10 sierpnia 1580 r. opuścił Possewin Stegeborg, a mając wiatr nader pomyślny, w $2^1/_2$ dnia

[1] Ostatnia audyencya i późniejsze wydarzenia opisane szczegółowo w długiej relacyi Possewina w *Nunz. Germ.* 92, p. 394—402. O zamiarze przedłużenia pobytu jest nadto jeszcze powtórnie mowa w liście z 24. v, tamże p. 91 (list ten wszyto niewłaściwie pomiędzy korespondencyę z r. 1579).

przepłynął Bałtyk. Nazywało się to w owych czasach podróżą szybką. Drugi okręt, na którym jechał sekretarz królewski, towarzysz podróży przydany od króla, jechał przez dni dwadzieścia, ścigany rozmaitemi przygodami.

Wysiadłszy na ląd w Gdańsku, nie uważał Possewin swej missyi szwedzkiej za skończoną. Miał też do załatwienia, jak przedtem, tak i teraz, rozmaite polityczne sprawy króla Jana, a między innemi także polecenie poszukiwania dalej synowej dla króla. Eleonora habsburska, przyrzeczona młodemu Zygmuntowi przez cesarza, zmarła; trzeba było oglądać się za inną księżniczką, o ile możności, ze znacznym posagiem. Takich nie brakowało w ojczyźnie Possewina i miał upatrzoną kandydatkę na szwedzką królowę na mantuańskim dworze: księżniczkę Małgorzatę. Brat jej ożenił się właśnie z księżniczką Parmeńską i wziął za nią trzysta tysięcy *aureorum*, które wypłacono mu przed ślubem jeszcze gotówką co do grosza! To było inaczej, niż posag Katarzyny Jagiellonki, o który bez końca trzeba się było upominać; to więcej było warte, niż honor koligacyi z domem cesarskim. Ale Jan III. nie przeceniał pieniędzy i uznawał blask dynastyczny Habsburgów. Pamiętano też w Stokholmie, że kwitnie dorodna córeczka u arcyksięcia Karola w Gracu i także ją polecono pamięci Possewina, który miał już tem zająć dyplomacyę papieską, gdyby sam nie mógł sprawy dopilnować. Wogóle proszono go, żeby o tem pamiętał i przysyłał do Stokholmu portrety księżniczek z panujących domów. I dla królewnej Anny myślano o mężu. Projekt zaręczenia jej z młodym Stefanem Batorym spełzł na niczem, bo młodzieniec nie dał się żenić, ale ożenił się sam, z siedmiogrodzką szlachcianką. Myślano teraz o wydaniu jej za króla szkockiego. Żaden z tych projektów nie doszedł jednakże i tylko Possewin stracił trochę pieniędzy i czasu na skupywanie portretów i przesyłanie ich do Stokholmu. Miał jednak i ważniejsze sprawy do załatwiania.

Król Jan upraszał Possewina, żeby się zajął ułatwieniem mu sojuszu z Batorym. Possewin zdawał sobie jasno z tego sprawę, dlaczego mu teraz tak pilno tego sojuszu: bo się bał,

żeby nie być wykluczonym od pokoju z Moskwą [1]. Pisał Possewin w tej sprawie do króla, a zresztą oddał to w ręce nuncyusza Caligari'ego, z którym zobaczył się znowu w Warszawie.

Tu, na dworze Anny Jagiellonki, omawiano znowu sprawę powołania w przyszłości Zygmunta na tron polski. W Wolborzu odbyła się nawet jakaś poufna narada w tej rzeczy, w drugiej połowie września r. 1580 [2]. Dla Possewina była to sprawa najważniejsza, bo miała być największą rękojmią utrzymania wpływu na króla szwedzkiego. Toteż Possewin zajmuje się tem żarliwie, a wzmianki o przyszłej kandydaturze królewicza mnożą się coraz bardziej w jego korespondencyi.

Z Wolborza udał się Possewin w dalszą drogę na zachód: na Poznań, Wrocław, Nysę, Ołomuniec do Pragi, a stamtąd na południe do Rzymu. Z wiosną następnego roku wracał na północ, ale już nie do Szwecyi, lecz na polsko-moskiewskie pobojowisko. O sprawie szwedzkiej nie zapominał, odbierał stamtąd listy i był ciągle poinformowany, co się tam dzieje; ale nie było już nigdy sposobności do złudzeń. Wszystkie doniesienia odbierane ze Szwecyi streścićby można wyrażeniem ks. Jana Ardulfa w liście z 1 września r. 1581: *sterilis et infoecunda haec vinea* [3]. Nie było też już w Rzymie podzielonych zdań w tej mierze; wszyscy poznali, że Hozysz miał był słuszność. Nietylko nie wyprawiano już Possewina do Szwecyi, ale nikogo też na jego miejsce nie wyznaczono.

Król Jan wiódł zaś dalej spory z księciem Karolem o „li-

[1] „Il re di Suecia disiderava di potersi congiungere in una lega con quel di Polonia contra il Moscovito, il che (se io debbo dire quel che penso) era per vedere il Re di Polonia in progresso di vittoria et per disiderare di non restare adietro spogliato di questo honore et anco per dubbio che il Re di Pol. facendo pace co'l Moscovito non eschiudesse il Re di Suecia, sopra le cui spalle cadesse poi il peso della guerra". Słowa Possewina w *Nunz. Germ.* 92, p. 396.

[2] *Nunz. Germ.* 92, p. 371—387 passim, zwłaszcza p. 385.

[3] *Nunz. Germ.* 93, p. 96.

turgię". W r. 1582 wymógł na sejmie stokholmskim uchwałę, że należy uważać za zdrajcę stanu każdego, ktoby się opierał królewskiej liturgii, a w następnym roku obsadził stolicę upsalską Andrzejem Björnham, na którym polegał w zupełności, że będzie ślepem narzędziem w jego ręku. Ale książe Karol bronił swoich pastorów od prześladowań „arcybiskupa", a gdy król chciał przeprzeć swą sektę w Sudermanii, odpowiedział na to książe w r. 1586 zwołaniem synodu, na którym potępiono nawzajem „liturgię". Przepraszał wprawdzie za to i tłumaczył się na sejmie wadsteńskim w r. 1587, ale w następnym roku zwołał znowu swój synod, który oświadczył się za dochowaniem w czystości doktryny Lutra. Znowu tedy w r. 1589 zwołał król duchowieństwo szwedzkie i znowu zapadły nowe uchwały uznające liturgię królewską! Ciągłe wzajemne szykanowanie się synodami mogło było przekonać wreszcie obydwóch braci, że duchowieństwo krajowe gotowe przyznać zawsze słuszność temu, od kogo jest bezpośrednio zawisłem, komu zawdzięcza posady. Toteż zniknęła bez śladu „liturgia", gdy zabrakło władcy, któryby ją popierał.

O „papizm" przestano już podejrzywać Jana III. Skończyły się stosunki z Jezuitami, a duchowieństwo katolickie ograniczone było już w r. 1580 na dwór królowej Katarzyny. Gdy Possewin opuszczał Szwecyę było w całym kraju ośmiu księży katolickich[1]; wnet potem liczba ta spadła do pięciu, a do tej liczby wliczeni już są dwaj niedołężni staruszkowie wadsteńscy, nie spełniający już żadnych czynności kapłańskich, prócz chyba nieregularnego bardzo odprawiania cichej mszy św. I katolicki dwór królowej miał już trwać niedługo. Katarzyna Jagiellonka zmarła 16 września 1583 r., a w półtora zaledwie roku potem ożenił się król z młodziutką szlachcianką Gunilą Bielke (21 lutego 1585), która odznaczała się niechęcią do katolicyzmu. Wkrótce też zakazał Jan III. Jezuitom przebywać w Szwecyi, a poddanym zakazał pod ciężkiemi karami przechodzić na kato-

[1] Według świadectwa samego Possewina w *Nunz. Germ.* 92, p. 376 retro.

licyzm! Król Jan żył jeszcze potem siedm lat; umarł 17 listopada 1592 r. i od razu zabrał ze sobą do grobu swoją sektę[1]. Nie pozostało ani śladu z tego, czemu poświęcił był całe swoje panowanie. Co więcej, nawet w historyi zaginął ślad jego mozołów i utarło się mniemanie, jakoby był skrytym katolikiem, pragnącym stopniowo przywrócić w Szwecyi rzymskie wyznanie. Trzeba jednak obalić tę tradycyę, która powstała i przez optymistyczne złudzenia Possewina i przez złośliwą przesadę Chytraeusa i innych protestanckich pisarzów. Utrzymać się zaś zdołała mylna taka opinia tak długo li tylko przez niebaczność, że wyrażenie „katolicki“ w źródłach z czasów reformacyi po większej części nie znaczy nic, bo rzadko kiedy wiadomo, co to słowo właściwie ma znaczyć w ustach ludzi, którzy wszyscy głosili się dobrymi katolikami, ale protestowali, że za nic w świecie nie chcą być papistami. To, co dziś zowie się katolickiem, nazywane tak przez wszystkich, nietylko przez swoich, ale też przez innowierców — to w XVI. wieku zwało się u innowierców papizmem. Rozprawa niniejsza zamierzała wykazać, że Jan III. Waza ani na chwilę papistą nie był i nigdy do tego nie miał ochoty; a zatem katolicyzm jego należy między bajki włożyć.

Dr. Feliks Koneczny.

[1] Wiadomości do ostatnich lat panowania króla Jana na podstawie Geijera.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z nowych powieści.

Eliza Orzeszkowa: „Chwile“. — Kazimierz Tetmajer: „Otchłań“. — Artur Gruszecki: „Nowy obywatel“, „Zwyciężeni“. — Wł. St. Reymont: „Sprawiedliwie“. — Kazimierz Laskowski: „Licytanci“. — Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki: „Blichtr“. — Pan Niedźwiecki.

Czytelnik powieści, lecz nie ten, co może nudną książkę przerwać po dwu rozdziałach i odesłać ją do wypożyczalni, ale ten nieszczęsny, który z obowiązku sprawozdawcy, musi przeczytać ją całą, ma nieraz ciężkie i żmudne chwile. Już kilkadziesiąt razy wzruszył ramionami, zrazu z litością, później z apatyą, wreszcie spoglądnął na liczbę ostatniej strony, czy do końca daleko, i wtedy, tylko wtedy apatya na chwilę ustaje, — na widok kilkuset pozostających kartek budzi się uczucie przerażenia i zgrozy. Jakiś ciemny las bez końca, w którym co chwila majaczeć będą wykroty, sterczące korzeniami do góry, w tym wypadku karykatury powieściopisarskiego talentu. I choćby najskromniej o sobie mniemał sprawozdawca to w takiej chwili zaczyna w oczach swoich róść na tragicznego bohatera, od praojca tragicznych postaci, Prometeusza, tem nieszczęśliwszego, że nie wie właściwie, za co do tej zadrukowanej bibuły jest przykuty, bo chyba ze świętym ogniem na tych kartkach nic do czynienia nie miał.

Ale nie zawsze sytuacya jest tak tragiczną. Czasem jakiś dobry duch opiekuńczy wsunie do rąk książkę, która poprzednie trudy so-

wicie nagradza. Płynie z niej światło i ciepło, a przed oczyma nie stoją już tylko litery, lecz przedewszystkiem przeglądająca przez nie dusza.

Mamy przed sobą kilka obrazków Orzeszkowej, ujętych w zbiorek, pod tytułem: „Chwile“ [1] — kilka chwil z życia ludzkiego i życia przyrody.

Po poprzednich powieściach autorki, w których roztrząsała zagadnienia poważne, nieraz trudne, zdobywane przez siebie w życiu niejednym wysiłkiem umysłu i serca, niniejszy zbiorek przedstawia się, jak odpoczynek świąteczny, lub szczęśliwy dzień wakacyjny. W kilku obrazkach, poświęconych wyłącznie przyrodzie, widzimy autorkę samą, jak idzie po polach równych, gładkich, rozległych, idzie zwolna, bo każdy szmer i blask ją zatrzymuje, tu z miedz, od grusz dzikich, padają na ziemię cienie długie i migotliwe, tam od ognisk pastuszych gną się ku ziemi dymy sinawe i odzywają się nuty piszczałki, trzy tylko nuty biedne, wciąż te same, ale tak przeciągłe, jak rozległe jest pole, to znowu w oddali psy kędyś szczekać zaczęły, słychać dudnienie kół i poskrzypy osi. Stanie nad lnem, to wspomina sobie całą historyę jego życia, jak przy słońcu majowem pokrywa on zagony gęstwiną źdźbeł delikatnych, ucentkowanych milionem błękitnych oczu, a w tej gęstwinie grają pod zachód słońca orkiestry skowronków i kołyszą się u wiotkich wierzchołków motyle, jak później w lecie zieloność jego zmienia się w bronz, coraz ciemniejszy, coraz do roli podobniejszy, już błękitne oczy znużone zamknęły się, odlecieli skrzydlaci przyjaciele, a on stoi na zagonach przerzedzony, pociemniały, zesztywniały. A potem w ciche południe wrześniowe, napełnia się powietrze miarowemi, suchemi stukami terlic i w każdej wsi dobywają ludzie ze lnu płowe i blado połyskujące włókna, a gdy na ziemi śnieżna zamieć zahuczy, to wieczorami, w świetle ogniska, w cieple izby pełnej ludzi, osiada len na prząśnicach, z prząśnicy wije się świecącą nicią na furkające wrzeciona, razem ze snującą się przewlekłemi tonami pieśnią.

I tak to pogodne marzenie, cicha radość serca, rzewna refleksya, serdeczne odczucie przejaśniają łagodnem światłem zachodzącego słońca, te, już nie opisy, ale odźwierciedlania się przyrody w duszy autorki.

---

[1] Eliza Orzeszkowa: „Chwile“ (Dymy — Porcelanka — Zagadka — Co mówił stary klon? — Wśród kwiatów — Wesele wiesiołka — Kiedy u nas o zmroku — Moment — Z różnych dróg). Warszawa 1901.

I nawzajem w tych opisach odźwierciedla się i jej dusza, jej obecne usposobienie, po trudach życia złota, cicha, pogodna jesień.

A ile inwencyi przy odtwarzaniu natury! Pod oknem jakiegoś człowieka przygnębionego, zniechęconego do życia szumi stary klon („Co mówił stary klon"). Jak pięknie tu oddane znaczenie przyrody, a w formie oryginalnej, bo stare klonisko, mając przed sobą milczącego desperata, samo bierze się do gadania i opowiada mu swoje dzieje, o ptactwie mieszczącem się w gałęziach, o ludziach, którzy w jego cieniu i szumie znaleźli ukojenie i pobudkę do czynu. No i desperat po tej gawędzie drzewa otrząsa się z apatyi i bierze się do pracy. Jest tu też dość finezyi w przeprowadzeniu pomysłu. Jak, naprzykład wyzyskane to silniejsze, to lżejsze powianie wiatru:

„Stał potem klon przez parę minut milcząc, ale za to kilka liści jego żółtych, wyzębionych, fertycznie podlatując w górę, przy samej szybie zaszeptało:

— Była tu raz u nas para kochanków...

— Cicho! nie chcę! — przerwałem, machając ręką.

One upierały się mówić cokolwiek:

— Był raz poeta...

— Dajcie mi spokój!

— Dlaczego, dlaczego o kochankach i poetach słuchać nie chcesz— zachichotały liście.

— Bo miłość i poezya tyle mi różnych dóbr odjęły, że stałem się nędzarzem, żebrzącym pociechy, ja człowiek — u drzewa.

— Alboś ty pierwszy taki? — zaszemrały liście i zaczęły znowu:

— Był raz mąż, któremu dom ojczysty runął, mąż silny, a jednak...

Tu stary klon obudził się z zamyślenia i w swoich żółtych liściach, jak słup ognisty wyprostowany, od pnia do szczytu szumieć zaczął".

Albo ta prześliczna fantazya o ślubie dwu kwiatów, wiesiołka i malwy („Wesele wiesiołka"), prawdziwy klejnot, do skarbnicy literackiej wrzucony. Całe życie ptaków, kwiatów, łąk, lasów, wietrzyków, przełożone na zwyczaje ludzkiego życia, a przekład ten dokonany z ukochaniem serdecznem, które dla każdego szczegółu natury ma głębokie odczucie, z naiwnością i wdziękiem wyobraźni ludowej, wyobraźni najbardziej do przyrody zbliżonej, bo jak ona prostej i szczerej. Kiedy się czyta o przygotowaniach wieczornych do ślubu, który ma nastąpić nazajutrz o samym wschodzie słońca, jak ptaki obiecują się z orkiestrą, jedne kwiaty mają się uścielić na kobierzec ślubny, biedrzeńce i mar-

chwie mają wznieść białe baldachiny, jaskry przyrzekają świecić złotemi lampkami, inne kwiaty usłużą wonnością, to czyta się to, jak naiwną, wdzięczną bajeczkę ludową, którą można było tak, albo też inaczej skomponować. Ale kiedy, po tem przygotowaniu umysłu czytelnika, następuje opis zbliżającego się ślubu, gdy wraz ze zjawieniem się słońca zalewa przyrodę powódź tonów, barw, blasków, zapachów, brylantowych łez, któremi kwiaty swoje radosne roztkliwienie objawiają, i to wszystko na cześć nowożeńców, to odczuwa się głęboko ideę tkwiącą w blaskach pogodnego poranku, ideę jakichś weselnych godów przyrody, jakiegoś radosnego epitalamium, ideę, jeżeli nie jedyną, to w każdym razie jedną z najlepiej ten moment oddających. I to tragiczne zakończenie, zamieniające ten sielankowy obrazek w głęboką prawdę życiową, prawdę, że szczęście ziemskie jest nietrwałe, bo oto w chwili, gdy już już ślub ma nastąpić, wskazuje jeden z zazdrosnych kwiatów na idącą śmierć. W otworze kotliny stanął chłop w białej koszuli, a nad zmiętą czapką, wysoko w powietrzu, ostrym i zimnym połyskiem stali świeciła kosa.

Szczególniejszym afektem odszczególnia Orzeszkowa w przyrodzie florę, w czem schodzi się z najnowszym kierunkiem, który i w literaturze i w malarstwie i w sztuce stosowanej z tej dziedziny przedewszystkiem czerpie swoje motywy. I inne echa nowej sztuki wywołały w tym zbiorku swój odgłos. W jednem, drugiem miejscu odtwarza autorka przyrodę nie po malarsku, ale nastrojami, głównie zaś to, że usiłuje dotrzeć do głębszej idei, tkwiącej w zjawiskach natury, co wprawdzie każdej poezyi jest właściwem, ale na co nowsza literatura szczególniejszy położyła nacisk.

Z tego cichego ustronia przyrody zwraca wzrok Orzeszkowa i ku mieszkaniom ludzkim. Z kilku małych, ulotnych obrazków odszczególniają się dwa. W jednym widzimy jak świątobliwa zakonnica i człowiek świecki, choć różnemi drogami, jednak do jednego wielkiego celu dążą („Z różnych dróg“); obrazek oparty na wielkiem doświadczeniu życia i dlatego szczytną ideę przewodnią temu życiu stawiający; i drugi („Moment“), wskazujący na potęgę sztuki, nadzwyczaj oryginalny w pomyśle, a w wykonaniu bardzo szczęśliwie rozstawiający cienie i światła, realizm życia i idealną potęgę artystycznego piękna. Tyle w tym obrazku charakterystycznych szczegółów, że prawie najlepiej będzie, jeśli się czytelników wprost do samego utworu odeśle.

A jak przy opisach przyrody nie podobna nie odczuwać głębszego wtajemniczenia się autorki w życie natury, tak przy obrazkach ludzkiego

życia widzi się wielką tego życia znajomość, a stąd i wielki spokój i wytrawność w sądzie i choć zachodzą sytuacye dziwne, czuć jednak, że autorka już się niczemu nie dziwi.

Zestawmy ogólne wrażenia. Kilka usterek, głównie z rozwlekłości płynących („Dymy"), to jakiś obrazek przyrody nie dość wykończony (pierwsze kartki w „Dymach"), to niejasna symbolistyka (ostatni ustęp w obrazku „Co mówił stary klon"), to znowu przeładowanie botanicznemi wiadomościami („Wśród kwiatów"). Za to, jak już wskazaliśmy, znaczna ilość bardzo pięknych ustępów. Całość zbiorku, choć nierówna, pozostawia po sobie wielką pogodę i jasne wspomnienie.

Po słonecznych sielankach Orzeszkowej wchodzi się w „Otchłań" [1] p. Tetmajera, jak w rozszalałą burzę. Ćmi się od oślepiających co chwilę błyskawic, a wszystko dokoła w posadach dygoce.

Piekło ziemskie wielkiego samoluba, wściekłość i rozpacz egoizmu przypartego do muru, oto treść utworu. Utwór jest psychologiczny, rozwija wszystkie przejścia cierpienia i rozpaczy, ale poza tem ma także tendencyę i to, zaznaczamy od razu, tendencyę bynajmniej nie dodatnią.

Cała powieść jest jednym monologiem zawiedzionego kochanka, któremu drugi mężczyzna zabrał serce kobiety. Właściwie ten zawiedziony kochanek jest mężem, a sprawiająca zawód, kobieta jego żoną, ale małżeństwo takie, jak je w tej powieści widzimy, jest przez autora chyba tylko na to skomponowane, ażeby i sytuacyę i połączone z nią zagadnienie moralne uczynić bardziej zawikłanemi, innemi słowy, ażeby wprowadzić do utworu najniepotrzebniejszą w powieści kazuistykę. Stawianie sobie za jedyny cel miłości kobiety z zupełnem pominięciem wszystkich innych celów, chęć, ażeby małżeństwo było wiecznie marzącą kołysanką, posuwająca się aż do tego stopnia, że z góry wyklucza potomstwo, jako rzecz mogącą jakiś wyłom w tem marzycielstwie sprowadzić, to wszystko jest błędnym egoizmem, którego sankcya małżeństwa bynajmniej nie uniewinnia. U natur umiarkowanych pojęcie takie małżeństwa oczyszcza się prędko z błędu i uszlachetnia wyższym celem, u skrajniejszych sprowadza wkońcu rozstrój, nieubłaganą konsekwencyę każdego fałszu. Małżeństwo bez miłości jest złem, ale miłość ta nie jest jedynym celem małżonków, ona jest dźwignią do innych wyższych celów. Pojęcie takie wyrywa się też mimowiednie bohaterowi tej powieści,

[1] Kazimierz Tetmajer: „Otchłań". Kraków. 1900.

gdy stawia sobie, jako nierozwiązaną zagadkę, następujące pytanie: „Dlaczego to, co powinno było być dźwignią w mojem życiu, stało się zawadą i zniszczeniem, dlaczego to, co powinno być szczęściem, jest klęską i morderstwem? Dlaczego?...“ Odpowiedź na to byłaby prosta, bo nie było pojętem, jako dźwignia, która jest zawsze środkiem do jakiegoś innego celu, ku któremu dźwiga, ale było samo sobie jedynym celem, któremu wszystko inne za dźwignię służyć miało. Nic zatem dziwnego, że przy ekscentrycznym temperamencie bohatera powieści, przy słabej jego woli i braku prawdziwych zasad, małżeństwo się rozchodzi.

Samo wejście w tę powieść, już ze względów czysto artystycznych, wywołuje wielki niesmak. Pierwszy ustęp jest tak krzykliwy, tak najeżony nie bolem, który zawsze wywołuje współczucie, ale wyśrubowaną do ostatnich krańców nerwową spazmatycznością, i to spazmatycznością nie odczutą, lecz wylęgłą tylko w wyobraźni, bez udziału serca — co zawsze w sztuce jest fałszywem — że czytelnik zaskoczony znienacka, bez jakiejkolwiek uprzedniej ekspozycyi, o co właściwie temu panu chodzi, patrzy na tę galopadę wykrzykników, jęków, szamotań się zrazu zdziwiony, a potem ogromnie zirytowany — na autora. Nadto ten ustęp nie jest oryginalny; co chwilę odczuwa się w nim kopiowanie Przybyszewskiego, i to kopiowanie najniesympatyczniejszych jego ustępów. Ale po tej wstępnej operacyi, gdy już ktoś pozwolił sobie cierpliwie wylać kubeł witryolu na głowę, sytuacya czytelnika poprawia się. Wczucie się autora w mękę egoisty staje się coraz naturalniejszem, coraz potężniejszem tak, że w dalszym ciągu utwór ten pod względem psychologicznym jest świetny; każde słowo ma tu swoją wartość, bo wprost z serca idzie. Odmawiamy tylko tej wartości tym słowom i zdaniom, co z całą bezwzględnością poniewierają świętościami, lub zdzierają zasłonę z rzeczy, które na zawsze zasłonięte pozostaćby powinny. Pan Tetmajer łudzi się, że w tem jest siła. Przyznać zresztą możemy, że mają one moc, ale brutalną, a tę tylko w zwierzętach bez zastrzeżenia podziwiamy. W utworze artystycznym dużo większe sprawiałaby pod tym względem wrażenie delikatność autora i miara.

Pan Tetmajer chce być w tej powieści i filozofem. Co krok spotyka się tu poglądy na naturę ludzką, na cele życia. Czy słuszne, czy uzasadnione? Sens życia jest głęboki, ogromnie głęboki, wymaga więc głębokiego umysłu, głębokiego serca, a nic bardziej płytkiego nad egoizm, poza którego ciasną granicę nie wychodzi autor. Wie wprawdzie coś p. Tetmajer o ofierze, o poświęceniu się, o miłości bliźniego,

nawołuje nawet ludzi, by byli nadludźmi w miłości, by byli, jak Chrystus, ale to tylko efekt teatralny, by tem silniej poniżej zaznaczyć, że to wszystko łudzeniem się, że jedna tylko rozumna jest droga życia, droga beznadziejnej rezygnacyi, pesymizmu. Pan Tetmajer przy takiem gadaniu jest strasznie śmieszny. Zamknął się w ciasnym domku własnego ja i woła w niebogłosy, że mu jest ciasno, a zarazem za żadną cenę nie chce tej ciasnoty opuścić. Człowiek konsekwentny może mu tylko taką dać radę: Ciasno ci w tej norze, to wyłaź, a nie chce ci się ruszać, to po co krzyczysz? W każdym razie nie godzi się własnego lenistwa podnosić do wysokości dogmatu życiowego dla wszystkich. Jest to okłamywanie i siebie i drugich.

Na tej wyżynie miłości i poświęcenia, jaką autor z litującą się wyższością drugim za metę życia wskazuje, a o czem go widocznie dalekie tylko doleciały słuchy, rozwiewają się te wszystkie majaki, od których się w tej książce roi. Inaczej tam się patrzy na hipokryzyę ludzką i instynkty pierwotne, nie trzeba tam przedewszystkiem dla szczęścia, jak mniema autor, kwitować z prawdy, bo szczęście to już nie jest kłamliwem szczęściem egoizmu. Zresztą p. Tetmajer używa tego słowa „prawda“ w tem miejscu błędnie. Oznacza ono u p. Tetmajera, z kontekstu powieści, poznanie smutnej rzeczywistości, do jakiej błąd i kłamstwo doprowadzają. W jaki teraz sposób, na mocy jakiego prawa logicznego tak pojętą prawdę można przeciwstawiać szczęściu i to szczęściu, płynącemu z poświęcenia i szlachetnej miłości, dlaczego o takiej prawdzie pisze autor: „niech ludzie nie widzą prawdy, niech się łudzą... byle byli szczęśliwi“, to już pozostanie na wieki jego tajemnicą. Przeciwnie, ze zrozumienia tej prawdy, że droga błędu do smutnego końca prowadzi, wypływa dla ludzi dobrej woli przestroga przed tą drogą, a tem samem i utrwalenie w posiadanem szczęściu. Na drogę błędu niech nie wchodzą, naturalnie, ale ta droga jest kłamstwem a nie prawdą. Więc teorya ta życia, mająca stanowić szczyt tej powieści, jest zwykłym sobie, ułomnym sofizmatem.

Jaką satysfakcyę może mieć w tem autor, że podobnemi fałszami zakłóci pogodę życia niejednej słabej głowie, nie wiem. W każdym razie, takich literackich wawrzynów nie zazdrościłbym nikomu.

„Nowy obywatel“ [1] p. Gruszeckiego jest sobie powiastką, jakich wiele, dlatego nie zatrzymujemy się przy niej dłużej. Większą wartość

[1] Artur Gruszecki. „Nowy obywatel“. Warszawa. 1900.

przedstawia druga powieść tegoż autora: „Zwyciężeni“ [1]. Jest to obraz stosunków śląskich, eksterminacyjnej walki niemczyzny z budzącym się z uśpienia żywiołem polskim. Czuje się, że autor był na opisywanem przez siebie miejscu, że zwiedzał fabryki, rozmawiał z robotnikami, że przypatrzył się dobrze obu walczącym stronom. Zdobytą w ten sposób znajomość ułożył zręcznie w zajmującą powieść, ale nie zadawał sobie wiele trudu, by pogłębić psychologię charakterów, by wycieniować artystyczną stronę utworu. Czuje się to zwłaszcza przy opisach przyrody, gdzie tylko szkicowo zaznacza mieszczące się obok siebie zjawiska, jakby z musu, by przyjętemu w powieści zwyczajowi opisywania przyrody, uczynić zadość. A ciągle na tensam nieszczęsny schemat... naprzykład: „Czerniły się jodły i świerki, połyskiwały zielenią kopulaste kasztany i wyniosłe dęby, przebłyskiwały żółtawo delikatne listeczki brzozy, błyszczały, jakgdyby lakierem pociągnięte wydłużone liście wierzb“. Przytoczmy dla porównania inny ustęp, pierwszy lepszy z brzegu: „Żółciły się kanarkowo delikatne listeczki brzozy płaczącej, czerwieniły liście kasztanów; odbijały purpurowo długie liście sykomory; połyskiwały bronzowo dęby; zwieszały się w cichym, pogodnym dniu pomarańczowo cieniowane liście grabu i buku; mieniły się gorącemi barwami olchy i osiki“. I ciągle tylko takie urwane kreski, machinalnie na papier rzucane. Dobre są opisy fabryki, choć nie wytrzymują porównania z opisami Reymonta i Żeromskiego.

W wir walki narodowościowej wchodzi charakter szlachetny, bez wiary jednak zgermanizowany Ślązak, Nowak. Jednego tylko zrozumieć nie możemy, dlaczego autor kazał mu się zakochać w banalnej Niemce, najzwyklejszej papudze, paplającej ciągle aż do znudzenia sentymentalnoczczemi komunałami, przywłaszczonemi zapewne z czytania powieści. Nie zdaje nam się, by ten rys był psychologicznie umotywowany. Ale poza tem, sympatya czytelnika towarzyszy na każdym kroku Nowakowi... gdy bierze w obronę robotników przeciw wyzyskowi i uciskom fabrykantów, gdy zajmuje się nieszczęśliwymi, gdy w walce narodowościowej stawia zasadę sprawiedliwości, aż wreszcie, gdy po przejściach wielu, powraca znowu do porzuconej przez siebie narodowości polskiej. Jest to obraz bieżącej chwili, więc jak w rzeczywistości, tak i w końcu powieści, rozwiesza się nad słabszą narodowością czarna chmura i niepewne jutro.

Jako dokument ludzki, budzący żywy interes, i chęć obznajomienia

[1] Tenże. „Zwyciężeni“. Powieść współczesna. Warszawa. 1901.

się ze stosunkami śląskiemi, przejaśniony rozumnym poglądem na opisane stosunki, utwór ten nie jest bez doniosłości.

Szkoda, że nie mieliśmy jeszcze sposobności poświęcić głębszej uwagi jakiemuś wybitniejszemu utworowi p. Reymonta. Ostatnia, przez nas oceniana, powieść „Lili“ była drobnostką, a i obecna „Sprawiedliwie“ [1] nie wiele co do znaczenia od poprzedniej się różni. Rzecz widocznie pośpiesznie pisana, a nawet chciałoby się posądzić, że skomponowana gdzieś w młodszych latach, w początkach pisarskiego zawodu. Co do wątku powieści są tu reminiscencye z innych powieściopisarzy, zwłaszcza „Szkice węglem“ natrętnie się przypominają — a poza przygodną fabułą powieściową nic wybitniejszego nie zatrzymuje uwagi. Jedna tylko scena jest prześliczną: pojednanie się dwojga młodych w ogrodzie. Całość nadto ma nastrój pesymistyczny.

Z reszty nowych powieści wkrótce zdamy sprawę. Dziś na zakończenie wspomnijmy jeszcze o kilku drobniejszych utworach. Pana Laskowskiego „Licytanci“ [2] jest zbiorem bezpretensyonalnych opowiadań, na temat żydowskich oszukaństw przy licytacyach, i z widocznego zamiaru autora ma raczej charakter praktycznej informacyi, niż beletrystycznego utworu. Pana Strzelbickiego „Blichtr“ [3] jest powieścią bardzo słabą i zagadką jest dla nas, dlaczego rzecz tę nagrodzono na konkursie *Głosu*.

I jeszcze słówko o p. Niedźwieckim. Jakim dziwnym zbiegiem wypadków doszedł ten pan do tego, że mimo braku talentu coś jeszcze o nim w literaturze słychać, nie wiem. Pisze się o nim z emfazą, że jest realistą — dlaczego? — także nie wiem. Bo że ten pan pogrzebie trochę w brudnem śmiecisku, to na oznaczenie tego rodzaju zajęcia ma słownik ludzki inne wyrazy. Widać jednak, że ani reklama, ani wartość literacka utworów nie ściągały już dość kupców, bo oto w ostatnim zbiorku, czy w jednym z ostatnich, puszcza się p. Niedźwiedzki na sztuczkę i daje mu tytuł „pikantny“, nie nadający się nawet bardzo, by go tu powtarzać, aby choć samym tytułem mniej wybrednych a łatwowiernych czytelników ku sobie ściągnąć. Jeżeli p. Niedźwiecki i w przyszłości zamierza całą wartość utworu i zain-

[1] Wł. St. Reymont. „Sprawiedliwie“. Szkic powieściowy. Z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego. Warszawa. 1899.

[2] Kazimierz Laskowski. „Licytanci“. Szkice z życia. Warszawa. 1900.

[3] Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki. „Blichtr“. Sceny z życia. Warszawa. 1900.

trygowanie czytelnika ograniczyć tylko do tytułu, to moglibyśmy mu kilku tytułami służyć. Naprzykład: „Trzy po trzy“, „Koszałki opałki“, „Funt kłaków“, „Awantury arabskie z konfiturami“.

Jeżeli ktoś ciekawy jeszcze innych wrażeń, jakich doświadczył krytyk przy czytaniu p. Niedźwieckiego, niech przeglądnie sobie ponownie pierwszy ustęp niniejszego artykułu.

Ks. J. Pawelski.

Juliusz Kossak. Przez *Stanisława Witkiewicza*. 260 rysunków w tekscie, 8 światłodruków. 6 facsimili kolorowych z akwarel, portrety podług L. Wyczółkowskiego i S. Witkiewicza. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. — G. Gebethner i Spółka. 1900. (W 4-ce, str. 211).

Książka napisana z szczerym zapałem, zamiłowaniem i znajomością przedmiotu. Nie mógł też Kossak znaleźć biografa, któryby go tak jak Witkiewicz rozumiał i odczuwał, umiał w podobny sposób talent jego przedstawić i podać czytelnikowi. To, z czem się Kossak zżył całą duszą, to, co mu w duszy grało nieustannie swojską, narodową — raz bohaterską i rycerską, to znów na przemiany sielską i ludową nutą — to samo i u Witkiewicza znajduje wierny, gorący oddźwięk. Koń krwi szlachetnej i gorącej fantazyi, jak ptak lotny i chyży, a umiejętnej ręce posłuszny jak dziecko; błyskawiczne cięcie lub szybkie jak mgnienie oka złożenie się szablą; przeciągły jak huk grzmotu głos palnej broni, zarówno u Witkiewicza i u Kossaka wywołuje żywe wspomnienie świetnej historycznej przeszłości, otacza szumem husarskich skrzydeł, chrzęstem zbroi pancernych, furkaniem ułańskich proporców, stawia pośród zwycięskich znaków Potrzeby Wiedeńskiej, lub opowiada o starym dziadku, co najpiękniejszą część życia spędził pod okiem „Małego Kaprala“ w trójkątnym kapeluszu i szarym surducie.

Podobnież jak na Kossaka tak i na Witkiewicza działa wieś polska z całym swym niezrównanym charakterem i zasobem malowniczości, pociąga do siebie, nieprzeparty wywiera urok. Podolskie łany i ukraińskie stepy, „gdzie żaden płot, rów żaden drogi nie utrudza, gdzie, przestępując miedzę nie poznasz że cudza“; knieje litewskie, co w swej drzemiącej głuszy grubemu zwierzowi bezpieczne dają schronisko, czy też żywe nieustannym gwarem wodnego ptactwa błota poleskie, słowem, całe bogactwo natury, tej, jaka jest u nas, silniejsze, niż każde inne, na obu wywierają wrażenie.

Witkiewicz dobitnie, jasno i jędrnie, barwnie i żywo, z niepospo-

litym zasobem literackiego talentu i werwy opowiada słowami to, co Kossak pragnął i starał się oddać ołówkiem lub pendzlem.

Dając swym czytelnikom poznać w Kossaku człowieka, podnosi Witkiewicz jego na wskróś prawy i szlachetny charakter, którego tłem „dobroć“ uczynna i uprzejma, z towarzyszącą jej niczem niezamąconą pogodą, co go nie opuszczała ani na chwilę, tak, iż „złamany chorobą, w ostatnich dniach życia, był tym samym człowiekiem, który się nie poddaje, nie opuszcza... Kiedy przyszła ostateczna chwila i ksiądz z Panem Bogiem stanął na progu, Kossak dźwignął się z poduszek i musnął wąsa — jak był zwykły robić, witając uprzejmie gościa...“

Jako artysta, jest przedewszystkiem Kossak malarzem polskim: „Od traw i kwiatów łąkowych, od badyli burzanów, do dębów zgruchotanych gromami; od szarego wróbla, grzebiącego na podwórku Wojtkowej chałupy, do potężnych żubrów, beczących w ciemnych ostępach puszczy; od wydm piaszczystych i grzęzkich topielisk, do szczytów skalnych, od biednych chłopskich szkapek, do bohaterskich koni bojowych; od opłotków cichego zaścianka do huraganów bitew, — gdzie tylko się przejawiło życie polskie, wszędzie szedł za niem talent Kossaka, skupiał jego promienie i odtwarzał w swoich dziełach z niesłychaną prawdą“.

Drugiem wybitnem znamieniem twórczości artystycznej Kossaka jest życie: „Był on tak dalece malarzem życia, że do czego się dotknął, wszystko zaczynało się skrzyć, mienić i ruszać, jak drgająca woda górskiego potoku“.

Na uwydatnieniu tych dwóch cech, szczególnie talentowi Kossaka właściwych, osnuwa Witkiewicz swą książkę. Prócz tego otwiera czytelnikowi szerszy widnokrąg, wprowadza bowiem w obce niejednemu dziedziny techniki malarskiej i ciężkiej pracy tworzenia, tych nadludzkich niemal wysiłków, jakie zazwyczaj towarzyszą powstawaniu dzieł sztuki.

Kossak, zdaniem Witkiewicza, znajdował się w wyjątkowo szczęśliwych warunkach z chwilą tworzenia. Nadzwyczajna pamięć malarska, jasność wyobraźni, bystrość spostrzegawcza, pobudliwość, precyzya, z jaką widział najdrobniejszy szczegół mającego powstać dzieła, ręka dziwnie posłuszna i giętka, wszystko to sprawia, „że szkice jego robią wrażenie, jak żeby światło padało po prostu bezpośrednio, z mózgu, przez oko, na papier, nie potrzebując przechodzić przez pracę ręki“.

Wahał się on i chwiał tam tylko, gdzie temat obrany nie był w zgodzie z jego temperamentem, z tłem jego duszy.

Rozwodząc się szerzej nad środkami, jakiemi rozporządza artysta-malarz, redukującemi się w zasadzie do dwóch — linii i plamy, z wielką jasnością i prawdą zaznacza Witkiewicz zachodzące między niemi różnice, trafnie wnioskuje, iż posługiwanie się linią, najszybszym ze środków malarskich, najlepiej odpowiadało charakterowi Kossaka i rodzajowi jego talentu, co w mig chwytał i najwierniej oddawał, nietrwałe i przelotne objawy ruchu, życia.

W krótkich rysach objąwszy historyę konia w sztuce od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej, przechodzi Witkiewicz do prac, które zjednały Kossakowi najwięcej zwolenników i rozgłosu, do jego studyów końskich i historycznych akwarel. Jest to raczej serya refleksyj nad naszą historyczną przeszłością, w której koń, czy to na spokojnym domowym zagonie, czy, szczególniej, w wojennej potrzebie, tak był zrośniętym ze wszystkiemi przejawami życia, rozmiłowanego w nim polskiego narodu. Refleksye te, wywołane, jak sam Witkiewicz wyznaje, obrazami Kossaka, „które są ilustracyą owoczesnych stosunków, w których ten naród konny walczy, zwycięża lub ginie, cieszy się i smuci, mając w nieszczęściu i chwale konia za nieodłącznego towarzysza“.

Co chwila też robi Witkiewicz rzut oka w ubiegłe czasy, a co w nich odpowiedniego dla siebie znajduje, czy to w „Historyi konia“ Maryana Czapskiego, czy w Konstantego Górskiego „Historyi jazdy polskiej“ — u Dyakowskiego lub Paska, to wnet stosuje do kreacyj Kossaka, starając się wykazać, że nikt jak on nie wniknął w dziejową przeszłość, nikt jak on nie zdołał wyrazić najróżnorodniejszych typów konia, oddać charakteru dosiadających go jeźdźców.

„Tam — pisze Witkiewicz — gdzie temperament narodowy objawił się ze szczególną dzielnością i siłą ruchu — w wojnie czy pokoju — tam Kossak znajdował najodpowiedniejszy wyraz swojej duszy i tworzył dzieła, wyrażające najistotniejszą treść tego temperamentu“... „Sztuka Kossaka jest jednym z najszczerszych przejawów ludzkiej duszy i najprawdziwszem odtworzeniem polskiego życia“.

Tak kończy Witkiewicz swą książkę o Kossaku, ozdobioną umiejętnie dobranemi, a w większej części bardzo udatnemi reprodukcyami artystycznej jego spuścizny.

Kto zna Witkiewicza z poprzednich jego prac literackich, tego w tej przyjemnie uderzy, obok serdecznego ciepła i szczerego uniesie-

nia, zmiana w sposobie traktowania zdań i kierunków, zapatrywaniom autora przeciwnych albo niesympatycznych. Niema tu tej, tak silnej, dawki zgryźliwości i złego humoru, które, choć oprawione w ramy poważnego literackiego talentu, przeszkadzały spokojnie i należycie ocenić wiele, skądinąd zupełnie słusznych i trafnych, poglądów. Ma się wrażenie jak gdyby pod wpływem pogody rozlanej w dziełach Kossaka rozchmurzył się też i złagodniał jego biograf. Nie na wszystko jednak zarówno możnaby się z nim zgodzić.

Twierdzenie, iż autodydaktyzm „jedynie mądrą pedagogią artystyczną", że „w gruncie rzeczy, uczyć się można z równym skutkiem w najbardziej zapadłym zakątku własnego kraju" — jak w wielkiem artystycznem centrum, wydaje się co najmniej przesadnem.

Młody talent nie jest czemś w rodzaju „Emila" Jana Jakóba Rousseau, który twierdzi, iż jedynie wpływy zewnętrzne wykradają wszelkiego rodzaju skarby, złożone przez matkę naturę w duszę dziecka. Pozostawiony sam sobie nie wiadomo czy każdy talent, równie jak Kossaka albo Burne Jonesa pomyślnieby się zdołał rozwinąć. Prawda, iż akademie i szkoły sztuk pięknych, zarówno jak konserwatorya muzyczne (boć pod względem pedagogicznym możemy je zupełnie na równi postawić) szablonowo traktują powierzone sobie talenta; że zarówno malarz jak rzeźbiarz, śpiewak jak muzyk, z chwilą gdy poczynają pracować samoistnie, o własnych siłach, muszą z trudem zwalczać szablon rutyny i pedanteryi, którą, jak ślimak skorupę, czas jakiś ciągną za sobą. Czy jednak praca „w zapadłym zakątku", byłaby dla talentu artysty tak pożądanym warunkiem jak dla teoryj Kanta niewychylanie nosa przez całe życie poza bruk, mury, dachy i kominy Królewca, to jeszcze pytanie. Każdy niemal talent potrzebuje elementarnych przynajmniej wiadomości sztuki, której się pragnie oddać. Nie nabędzie ich jak zasięgając rady i nauki u innych. Więc jeśli nawet przyznamy za Witkiewiczem, że w pedagogii artystycznej tkwi dużo zła, to w każdym razie dodać musimy, że jest to złe konieczne. Powiedział ktoś z Niemców: *Hätte man dem Rafael die Hände abgeschnitten, so wäre er doch ein Maler gewesen.* Można to o każdym prawdziwym talencie powiedzieć, iż choćby mu podcinano skrzydła, zawsze jednak wysoko i ponad innych wznieść się potrafi. Leonardo da Vinci przewyższa niebawem swego mistrza Verocchia i nawet widoczny wpływ na późniejsze jego prace wywiera. Van Dyck w piętnastym roku wstępuje do pracowni Rubensa, w dziewiętnastym opuszcza ją jako mistrz skończony, a niebawem staje się na wskróś indywidualnym. Idealistyczny dogma-

tyzm Franciszka Pacheco nie zostawia ani śladu w kreacyach jego ucznia Velazqueza. Chopin opuszcza kraj rodzinny w młodym wieku, mimo to pobyt w Paryżu nie gasi w nim ani jednej iskierki z tych ludowych, rdzennie polskich motywów, które hojną dłonią, do końca życia, po kompozycyach swoich rozsiewa. Mickiewicz, którego talent jako kolorysty, tak doskonale został kiedyś przez samegoż Witkiewicza odczuty i wyrażony, ten Mickiewicz, tęskniący „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem", o „Panu Tadeuszu", najbardziej polskim, najświetniej malującym przyrodę poemacie, jaki kiedykolwiek wydała literatura, poczyna „marzyć na Paryskim bruku", i tam też go w większej części wykończa. Zresztą sam autor występuje przeciwko Robertowi de la Sizeranne uważającemu muzea za więzienia sztuki i mówi: „Muzea są raczej przybytkami, w których dusze ludzi zmarłych, zaklęte w dziełach sztuki, obcują z duszą człowieka żyjącego. Są one materyalnem ułatwieniem zetknięcia się umysłów, ułatwieniem zbliżenia się dusz, które bez tego nie spotkałyby się nigdy, są cudownemi miejscami, w których żyją dziwne istoty, porozumiewające się z nami jednem spojrzeniem, wołające na nas cudowną mową i pociągające w świat inny". Takich jednak „cudownych miejsc", takiego „ułatwienia zetknięcia się umysłów i zbliżenia się dusz" nie znajdziemy „w najbardziej zapadłym zakątku własnego kraju".

W innem miejscu porównywa Witkiewicz Kossaka z Rafaelem i konkluduje na korzyść — Kossaka. Dlaczego? Oto dlatego, że stopień doskonałości kształtu u Kossaka jest wszędzie jednaki, bo uczył się tylko u natury, Rafael zaś „w terminie" u Perugina uczył się tylko malowania świętych, stąd rozbrat u niego między Madonną, a roztaczającym się za nią lichym pejzażem. Nie mamy bynajmniej zamiaru kruszenia kopii o wartość Rafaelowskich pejzażów, sądzimy jednak, iż niewielu znajdziemy, którychby te naiwne, jak u prymitywów, tło Madon Rafaela raziło dysonansem. Nikt wśród krajobrazów Hobbemy albo Corota nie będzie szukał idealnych Madon Rafaela lub Belliniego, i na odwrót, nikt nie będzie zdziwiony nie znalazłszy u nich obu, jako tła, płócien tych pejzażystów. Pomimo iż Kossak, jak twierdzi Witkiewicz, wolny jest od wszelkiej specyalizacyi, pomimo iż daje portrety takiego Mateusza Romera — „postać wykrojoną z jakiegoś obrazu Van Dycka", lub generała Kruszewskiego — „w którym głowa rysowana jest ze ścisłością Meissonierowską" — mimo to nie stworzył on ani jednego kobiecego typu większej wartości. Czyż stąd wypływa

byśmy mu mieli stawiać zarzut iż w swej artystycznej spuściźnie nie zostawił nam drugiej Giocondy lub Maryi Tassis?

Zauważyliśmy wreszcie, iż w ostatniej swej pracy Witkiewicz zostaje w pewnej niezgodzie ze samym sobą. „Lotna wyobraźnia, serce czułe i zdolne do uniesień; nadzwyczajna wrażliwość, głęboki subjektywizm, brak trzeźwej obserwacyi i skłonność do frazeologii — są to najgorsze przymioty w krytyku". Tak utrzymuje Witkiewicz [1]. Otóż niektóre z tych właśnie ujemnych przymiotów, wytykanych innym przez Witkiewicza, znajdujemy w jego „Juljuszu Kossaku".

Jak to zauważyliśmy na wstępie, Witkiewicz i Kossak — to dusze na wielu punktach pobratymcze, jednako wrażliwe na objawy życia, szczególniej życia polskiego, jednako rozmiłowane w bohaterskich wspomnieniach dziejowej przeszłości, czy w malowniczym, typowym wdzięku naszej przyrody, naszej wsi, naszego ludu.

Wystarczy też by jakiś szkic, jakaś akwarela Kossaka trąciła w jedną z tych strun „lotnej wyobraźni, zdolnego do uniesień serca i nadzwyczajnej wrażliwości" Witkiewicza, a snują się wnet w jego duszy i powstają obrazy, świetne i żywe, unoszące go jednak daleko poza ramy kossakowskich kreacyj.

Patrzy — dajmy na to — „na jeden z ulubionych motywów Kossaka, na jazdę": w tejże chwili mamy przed sobą obraz z mnóstwem szczegółów, którychbyśmy w Kossaku, co „wszystko to widział, obserwował i rozumiał z nadzwyczajną objektywnością", przy najlepszych nawet chęciach i wytężeniu, szukali na próżno.

„Oto, gdzieś z końca zaśnieżonej i zawianej zaspami alei, prowadzącej do dworu, słychać daleki brzęk, jakby potwornego roju owadów, zbliżającego się gwałtownie i grającego coraz wyraźniej i głośniej. Nagle, z za drzew wypada Kozak, na złoto-gniadym ogierze, pędzącym galopem z rozwianą grzywą i ogonem, z ognistem okiem i krwawem, obmarzłem szronem nozdrzem, buchającem parą. Granatowa kurta, spięta pasem, szerokie hajdawery z żółtą wypustką i czarna barania czapka z żółtem zwieszającem się denkiem migają wśród śnieżnego pyłu i bryl, wylatujących z pod kopyt konia. O kilkadziesiąt kroków za Kozakiem, ze strasznym brzękiem setek dzwonków, niesie się olbrzymi kłąb śniegu w którym migają to łby końskie, to rozwiane grzywy, to błyska pozłota kółek uprzęży, to drga krwawa smuga perskiego dywanu,

[1] Stanisław Witkiewicz, „Sztuka i krytyka u nas". Wydanie trzecie powiększone. 1899.

wlokącego się po śniegu. Wszystko owiane tumanem pary, buchającej ze spienionej szóstki koni. Cały gościniec, od brzegu do brzegu, zajęty jest tym tabunem i ogromem sani, które chrzęszcząc kutemi płozami po zmarzłym śniegu lecą, jak wiatr; — olbrzymie, opatrzone z przodu wielkiemi skrzydłami, chroniącemi, od lecącego z pod nóg końskich śniegu, po bokach czerniejące niedźwiedziemi skórami, jaśniejące mnóstwem barw wschodnich kobierców, z pod których od czasu do czasu widnieją wydęte, łubiane boki. Sanie, jak arka, w której jakiś Noe mógłby uciekać z całem pokoleniem, przed powodzią śniegu, niesioną huraganem mściwej woli bóstwa. Ale w lecących saniach, oprócz woźnicy i służącego na wysokim koźle, wśród dywanów i futer widać samotną postać w siwej potężnej czapie i niedźwiedziej bekieszy. To pan hrabia jedzie. Sam, ze swoim nadmiarem indywidualności, ze swoją hardą duszą, potrzebującą wyrazu siły na zewnątrz, ze swoim artyzmem życia dawnej szlachty, ze swoim bezmiernym egoizmem — wcielenie całego ustroju społecznego, wiekowych, w całej ludzkości długo obowiązujących pojęć i form istnienia. Leci po zaśnieżonych gościńcach, roztrącając wszystko przed sobą. Żyd, przemykający się saneczkami, chłop, zasuty śniegiem w saneczkach z jednym dyszelkiem, zaprzężonych w małego żmudzinka, zdaleka już staczają się do rowu; szlachcic, który próbuje stawić czoło huraganowi jest potrącony, roztratowany i zostaje na rozdrożu z wyłamanym bokiem sani, z oberwanemi postronkami, ze złością w sercu, klnąc w przestrzeń, w której, w tumanach śniegu, ginie fantastyczne widziadło. Gdzie wrota za wązkie, tam na chwilę przystaje w parach i pianach szóstka, Kozak wyrębuje słupy i lecą dalej..... Gdy noc zapadnie, Kozak, pędzący zawsze cwałem na przodzie, świeci z kagańca smolnemi gałkami, których krwawy blask budzi śpiących, po zawianych do okien chałupach, chłopów, rzucających się z przerażeniem do drzwi i wracających do snu z szeptem: ‚To pan hrabia jedzie'".....

Ten sam nadmiar bujnej, wrażliwej imaginacyi, spotykamy w opisach podanych do „Roku Myśliwca". Ilustracye Kossaka działają wprost sugiestywnie na Witkiewicza. Wypowiada on więcej, bez porównania, jak Kossak i Pol razem wzięci. Każdy szczegół jest mu jednem ogniwem kojarzących się myśli, których następnie cały łańcuch rozciąga przed czytelnikiem. „Nie wszystko to Kossak narysował — tłumaczy się następnie — narysował jednak tyle i tak, że reszta z konieczności przychodzi na myśl każdemu, kto żył z naturą, kto zna i pamięta kraj własny".

Skutkiem tej sugiestyi, jaką Kossak wywiera na Witkiewicza, popada on chwilami w inny jeszcze błąd, który również kiedyś drugim wytykał. „Nie zawsze doznaje wrażeń od samych obrazów, tylko oświetla je sam swoim stanem duszy, widzi je po przez sferę swoich wyobrażeń i wtenczas oczywista, wszystko wydaje mu się jednej wartości [1]“.

Tak się rzecz ma z ilustracyami do „Pamiętników starającego się“, które, na równi z innemi rysunkami Kossaka, taksuje jako „arcydzieła“. Doprawdy jednak, wielu z tych ilustracyj do „arcydzieł“ daleko, i niktby się nie zdziwił ujrzawszy, iż podpisany pod niemi nie Kossak, lecz Kostrzewski albo Ksawery Pillati.

Usterki te, które czytelnik napotyka w ostatniej książce autora „Sztuki i krytyki u nas“, pewien subjektywizm, polegający na powziętej z góry sympatyi i przecenianiu wartości prac Kossaka, oraz doniosłości ich stanowiska w historyi naszego malarstwa, mimowoli przypomniały mi gdzieś, niedawno czytane przezemnie zdanie Jouberta: *Les savants forgent les sciences, cyclopes ardents, infatigables, mais ils n'ont qu'un oeil.*

Mimo tych usterek zachowuje książka Witkiewicza, niezaprzeczenie, istotną wartość literacką i artystyczną.

Ks. Józef Tuszowski.

Adam Opatovius, dawny akademik krakowski. Kartka z dziejów uniwersytetu krakowskiego. Z portretem. Napisał *ks. dr. Julian Bukowski.* Warszawa. 1900.

Przy zeszłorocznej uroczystości Uniwersytetu Jagiellońskiego pojawiła się i ta praca, stanowiąca cenny przyczynek do historyi i literatury. Opatowczyk urodził się w r. 1574 z rodziców mieszczańskich. Wpisany r. 1592/93 w *album studiosorum* uniwersytetu, idzie zwykłą ówczesną drogą, a więc zostaje bakałarzem, magistrem *artium* i doktorem filozofii. Kiedy został doktorem teologii i profesorem Pisma św., autor nie mógł znaleźć, zaznacza jednak, że musiało to być długo przed 1630 rokiem, gdyż wtedy Opatowczyk został rektorem Uniwersytetu. Godność tę na siedem zawodów piastował, ostatni raz w 1641 roku, a w sześć lat potem umiera.

Przechodzi następnie szanowny autor jego dzieła: utwory poetyczne, dzieła teologiczne, życiorysy świętych i ascetyczne traktaty. Wyjątki z nich przez autora podane, świadczą i o głębszej duszy i o pię-

[1] Ibid.

knym stylu. W końcu czytamy o cnotach Opatoviusa i o jego stanowisku w sporze Akademii z Jezuitami.

Rozprawa przy ścisłości pisana potoczyście i ciepło

Ks. J. Pawelski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La Venerabile Maria Cristina di Savoia, regina delle Due Sicilie. Studio biografico da *Mgre Vincenzo Sardi.* Roma. Tipographia Ricci. 1900.

Doczytujemy się w Piśmie świętem, iż Bóg karze za winy ojców aż do trzeciego pokolenia, przeciągając natomiast aż w setne błogosławieństwa zjednane cnotą i zasługą.

To krzyżowanie się wielkich cnót i niemniejszych win uderza wyraźniej w dziejach pewnych domów, pewnych rodów. Dynastya Sabaudzka dostarcza nam pod tym względem najjawniejszego przykładu; nad czołem panujących królów włoskich zawisła ta sama klątwa, która niegdyś doczesną potęgę Hohenstaufów skruszyła. A jednocześnie snuje się tam przez długie pokolenia złota nić świętości i bogobojności. Dość wspomnieć imiona błogosławionych książąt sabaudzkich, Amadeusza i Humberta, Piotra i Jana, Ludwiki i Małgorzaty ich córek, dalej świeższą pamięć Karola Emanuela IV. i żony jego Klotyldy, której Kościół przyznał już tytuł *Venerabile;* po zejściu tej pani, siostry Ludwika XVI., małżonek jej złożył koronę, aby wstąpić do nowicyatu Towarzystwa Jezusowego w Rzymie, gdzie pobożnego dokonał życia jako ubogi zakonnik. Za naszej pamięci żył świątobliwy książe Aosty, Amadeusz, były król hiszpański, który tak dalece bogomyślnością swą budował mieszkańców Turynu, iż jak relikwie rozchwytywano i chowano świeczki używane przez pobożnego brata Wiktora Emanuela, w długich a wczesnych po kościołach modlitwach. Żyje jeszcze, cała oddana Bogu i dobrym uczynkom, nieszczęśliwa ofiara polityki Cavour'a, księżna Klotylda Bonaparte, wdowa po ks. Napoleonie, a wśród licznych procesów kanonizacyjnych, będących obecnie w toku, znajduje się i sprawa przedostatniej królowej neapolitańskiej a raczej Obu Sycylii, także sabaudzkiej księżniczki, Maryi Krystyny, której heroiczne cnoty w krótkim czasie wypełniły i okupiły dni niewiele. Tak jak św. Elżbieta Węgierska, i Krystyna Sabaudzka nie dożyła ćwierci wieku, w 25-ym roku życia czystą Bogu oddając duszę. Zanim Kościół naj-

wyższym wyrokiem rozstrzygnie o jej uczczeniu i podniesieniu na Ołtarze Pańskie, głos ludu, głos jej dawnych poddanych już ją za świętą ogłosił, a Bóg stwierdzać nie przestaje skuteczność orędownictwa swej służebnicy, nadprzyrodzonemi łaskami i cudami, wyproszonemi u jej grobowca. Tenże znajduje się w Neapolu, w kościele św. Klary, w kaplicy Książąt Hiszpańskich. Skromny pomnik marmurowy nosi skromniejszy jeszcze, lecz pełen wymownego znaczenia napis: *Hic iacet corpus Servae Dei Mariae Christinae a Sabaudia.* Ciche to miejsce ściągać nie przestaje tłumów licznych a ufnych pątników, niosących tu łzy swoje i modły, a nie rzadko i hołdy dziękczynne. Stwierdzone bowiem, wyproszone za pośrednictwem świętej królowej cuda, pozwoliły wnieść do Stolicy apostolskiej prośbę, podpisaną przez 40 kardynałów, a 114 biskupów i arcybiskupów, o przedłożenie Kongregacyi Obrządków sprawy kanonizacyi służebnicy Pańskiej, Maryi Krystyny Sabaudzkiej. Już w r. 1859, Pius IX. zezwolił na rozpoczęcie procesu, a baczny na uczczenie świętych Bożych Leon XIII., kieruje dalej ścisłe dochodzenia co do heroiczności cnoty świątobliwej królowej. Zaczem nie jest wykluczonem, iż papież, który w ciągu bieżącego miłościwego lata podniósł do czci Ołtarzy córkę krawca, Maryę Krescencyę Hoess, synowicę Michała Montaigne, Joannę de Lestonnac, ubogą Augustyankę, Rytę da Cascia, ojca nowoczesnej pedagogii, Jana de la Salle, oraz całe zastępy męczenników, wyda jeszcze wyrok najwyższy, wieńczący aureolą uznanej świętości czoło niegdyś uginające się pod ciężarem królewskiej korony.

Osobne, rzewne wrażenie sprawia zbliżenie się do nas młodej królowej, do naszych czasów na pozór mało w świętość rodzajnych.

Marya Krystyna córką była Wiktora Emanuela II., króla sardyńskiego i małżonki jego, arcyksiężnej Maryi Teresy austryackiej. Przyszła na świat w Cagliari w 1812 r., zaślubiła w r. 1832 Ferdynanda, króla Obu Sycylii, umarła w 1836 r., wydawszy na świat Franciszka II., ostatniego króla neapolitańskiego, którego poufale we Włoszech nazywano dzieckiem świętej, *il figlio della Santa,* a który się bogobojnością od matki nie odrodził, znosząc pobożnie i budująco próby długiego wygnania i utratę korony.

Krótkie tedy było życie Maryi Krystyny, niewiele dostarczając szczegółów biografowi, żądnemu odgłosów znaczniejszych wypadków i przemian. To też dzieje jej wewnętrznego życia stokroć więcej dostarczają wiadomości od zewnętrznych kolei skróconej jej ziemskiej pielgrzymki. Ukochane dziecię rodziców, patrzało na abdykacyę ojca,

który pod naciskiem liberałów, ustąpił tronu krewnemu swemu, Karolowi Albertowi. Później, opłakawszy stratę rodziców, rozstawszy się z siostrami wydanemi za mąż, księżną Modeny, księżną Lukki i cesarzową Maryą Anną, żoną cesarza Ferdynanda, zmuszoną się widziała wrócić na dwór sardyński, acz matka jej nieraz powtarzała, iż niemasz opłakańszego położenia nad stan księżniczki krwi, pozbawionej rodziców, a uczepionej przy dworze krewnych. Zaznała ciężkości tego położenia, skróconego wydaniem jej za króla Neapolu, Ferdynanda, ubiegającego się od dawna o jej rękę, acz matka sprzeciwiała się póki mogła temu związkowi ze względu na zdrowie oblubieńca, pomawianego o napady wielkiej choroby. Marya Krystyna pragnęła raczej klasztorny obrać żywot i zakonne pędzić życie. Rozpoznawszy atoli wolę Bożą w życzeniach opiekunów, poddała się przeznaczeniu, dostarczając odtąd najpiękniejszego wzoru cnót niewieścich w jarzmie chrześcijańskiego małżeństwa.

Niełatwem było jej zadanie: mąż wychowaniem z nią nie zrównany, raczej wojskowemi tylko zaprzątał się sprawami, stosunek ze świekrą i z licznem a pełnem południowej żywości rodzeństwem, wymagał zarazem i niewyczerpanej łagodności i nadzwyczajnego taktu; dwór neapolitański całkiem się różnił od sardyńskiego, nacechowanego dużo poważniejszym i rozumniejszym nastrojem. Oto reguły życia, które sobie nakreśliła młoda królowa, a które znaleziono w jej podręcznych zapiskach:

Być we wszystkiem posłuszną mężowi.

Baczną być i ostrożną w rozmowie.

Nie dawać ucha radom i przestrogom innych.

Dobrze obliczyć skutki każdej rzeczy, zanim się na coś zdecyduję.

Być dla wszystkich uprzejmą, ale nie szafować zaufaniem, nikomu nie zdając sprawy z mojego postępowania.

Nie pochlebiać ludziom znoszeniem fałszu, z obawy aby ich nie zrazić szczerem wypowiedzeniem prawdy.

Kiedy będę w niepewności, nie wiedząc kogo o radę prosić, uciekać się do Boga, a potem robić co mi się wyda być Jego wolą.

Oto przykład roztropnych postanowień dwudziestoletniej pani.

Biograf nam opisuje nadzwyczajną pobożność młodej królowej, trwającej większą część dnia na modlitwie, jej zaparcie i uległość, jej roztropną dobroczynność, jej zabiegi, aby dostarczać chleba i zarobku swemu ludowi. Posuwała tę troskliwość tak daleko, iż, acz nie miała najmniejszego pociągu do teatralnych widowisk, zasłyszawszy, iż

impresario na obecności monarchów lepsze czyni interesa, skutkiem większego stąd napływu widzów do teatru, zniewalała małżonka do towarzyszenia jej na przedstawienia, którym nie przypatrywała się zgoła, spełniając tylko dobry uczynek swą obecnością w sali. Jeszcze w ostatniej chorobie, przeglądała tkaniny wykonane za jej staraniem dla podniesienia dobrobytu poddanych. Nie byłoby końca naszemu sprawozdaniu, gdybyśmy spróbowali za biografem przytaczać wszystkie dowody jej cnót heroicznych, oraz darów nadprzyrodzonego jasnowidzenia. Śmierć błogosławiona uwieńczyła krótkie jej dni, sprawdzeniem słów, że jakie życie taka śmierć. Małżonka własną pobożnością zdołała ogarnąć; zrazu mniej ulegał jej wpływom, mniej nawet szukał jej obcowania. Sekta pragnąca nim owładnąć, nasłała nań lekarza, który w bladej cerze młodej królowej wskazywał zaród suchot, i radził monarsze unikać grożącej zaraźliwości tej choroby. Po upływie niejakiego dopiero czasu, król przekonał się o podstępie, a podbity słodkiem milczeniem małżonki, która nigdy się do żadnej nie posunęła ani poniżyła skargi, nawet, gdy najdotkliwiej niesłuszne odczuwała opuszczenie, całą duszą i życiem się do niej przywiązał. Poddani niemniej ją kochali, nazywając na przemian *la Santa Reginella, l'angioletta del cielo.* To też przyjście na świat następcy wywołało radość ogólną, tem szczerszą, iż zdrowie Maryi Krystyny zrazu żadnych nie wzbudzało obaw: aż wtem, blizko w dwa tygodnie po urodzeniu syna, pojawiła się gorączka, która niebawem żadnej nie zostawiła nadziei. Chrześcijańscy małżonkowie przyrzekli sobie byli, iż w razie niebezpieczeństwa nawzajem się o blizkiej ostrzegą śmierci. Gdy król bez ogródki uprzedził Maryę Krystynę, iż czas jej pomyśleć o ostatnich Sakramentach, przyjęła to do wiadomości z największym spokojem. A gdy się święte skończyły obrządki, pożegnała wszystkich ze zwykłą słodyczą, dzieciątko swe ucałowała, pobłogosławiła, a oddawszy je królowi rzekła: „Ferdynandzie, powierzam go tobie, pomnij, że za niego odpowiesz przed Bogiem i poddanymi". Zaczem przeżegnawszy i pożegnawszy dziecię, rzekła: „Odtąd już tylko o Bogu myśleć winnam!" i łącząc się z modlitwami otaczających, po lekkiem konaniu, czystą duszę oddała Bogu, dnia 31 stycznia 1836 r.

Prostota tej młodej świętej, przeświecająca w każdym szczególe jej krótkiego życia, przypomina umbryjskie legendy i głębokiego przysparza zbudowania. Żywot ten Maryi Krystyny, łaskawie nam udzielony przez blizką jej powinowatą, ogarnia duszę słodkiem przeświadczeniem, iż źródło świętości i za dni naszych nie wyschło, i że nie

zginie świat grzeszny, dopóki z łona swego nie przestanie wydawać świętych i sprawiedliwych, dopóki ciemnie jego rozjaśniają światła, nieraz na wyższych świecznikach postawione, *quasi lucernae lucentes in caliginoso loco.*

M.

Ein Ausflug ins Altchristliche Afrika. Zwanglose Skizzen v. *Dr. Fr. Wieland.* Stuttgart und Wien. Jos. Roth'sche Verlagshandlung. 1900. (Str. 195).

Wycieczka do starochrześcijańskiej Afryki! — Trudno o bardziej nęcący tytuł, o temat bardziej pouczający. Zbyt mało o nim wiemy, jak wogóle prócz Aktów Męczeńskich zbyt mało znamy życie chrześcijan w rzymskiem cesarstwie. Nie darmo wolteryanizm przez sto lat pracował nad zespoleniem pojęcia upadku Romy z pojęciem tryumfu Krzyża. U wielu utarło się mniemanie, że pierwsze z drugiego wyrosło. Napróżno z tym błędem walczyli duchowną bronią historycy Kościoła, próżno dzieje powszechne mówią o wewnętrznym rozkładzie państwa, o niszczących zalewach barbarzyńskiej dziczy. Obecnie w tej samej sprawie walczy bronią sztuki Sienkiewicz w „Pójdźmy za Nim", w *Quo vadis* i w swoim „Olimpie", gdzie z pogromu pogańskich, przed światłem Krzyża pierzchających bóstw uratował Pieśń, Miłość i Muzy. Czy z lepszym skutkiem walczy? To przyszłość okaże. Skoro więc słowo ludzkie przebrzmiewa bez echa, potrzeba, aby mówiły kamienie. A jest ich moc niezmierna, lasy złamanych kolumn, wyszczerbionych murów, odłamów rzeźbionego marmuru, kobierce barwnych mozaik — cały świat ruin w Północnej Afryce sterczy ku niebu, świadcząc o artystycznej sile chrześcijańskiego ducha, o jego społecznej i obywatelskiej łączności z duchem starej Romy we wszystkiem, co w nim było szlachetnem, wzniosłem i męskiem.

Drugim po świecie grasującym błędem jest przesadne pojęcie o cywilizacyi arabskiej, którą niejeden ponad chrześcijańską wynosi. Zdawałoby się, iż ją stworzyli sami, że ją, jak bicz Twardowskiego, ukręcili z piasku swojej ojczyzny. Patrząc na Alhambrę i meczet Kordoby, zapomina się, iż ojcowie ich twórców mieli za podkład swojej mądrości wiedzę chaldejską, sąsiednią sztukę assyryjską, indyjską, a nadewszystko ogrom oświaty egipskiej, wielkiej już z własnego dobytku i rozświeconej, rozgrzanej przez Greków; zapomina się wreszcie, że tyle sławiony Koran jest tylko karykaturą Biblii. To, co Arabowie

wiające się nieprawidłowym zarysem kształtów budowli, niezrozumiałym dla niewtajemniczonego w obyczaje ówczesne. Poruszenie świętych zwłok, choćby dla budowy kościoła, wydawało się świętokradztwem. Główna bazylika Kartaginy przebudowaną była po dwakroć i za każdym razem zmniejszoną. W r. 320 została zbezczeszczoną tumultem, w czasie którego biskup Donatystów padł z rąk rozwścieczonego tłumu; potem wraz z innemi bazylikami miasta została przez Donatystów opanowaną, a gdy w r. 377 edykt cesarski rozkazał wszystkie oddać katolikom — oddano im tylko tę jedną, skąd też nazwano ją *Restituta*. Ledwie z Donatystami ucichło, przyszli Wandale; w r. 456 Genseryk przeciągał przez Kartaginę, uwożąc do Rzymu wielką moc jeńców z Afryki. Wtedy Kartagińczycy jęli na wykup ich sypać złoto i klejnoty; biskup dał kielichy i lampy kościelne; następnie zaś kazał dwie bazyliki łóżkami i tapczanami zapełnić, aby dać przytułek nieszczęsnym. Dopiero w 19 lat potem nastała chwila spokoju, ale była to cisza przed burzą. Król Wandalów Huneryk rozkazał wszystkim biskupom i księżom do Kartaginy się stawić niby na sobór, a istotnie na sąd. Zaledwie bowiem złożyli wyznanie wiary, wnet 46 wywieziono na Korsykę do ciężkich robót, resztę rozegnano, kilku z głównych zniknęło bez wieści. W miejsce biskupów patryarcha aryański zasiadł na kartagińskiej stolicy. Prawdopodobnie po tem prześladowaniu zmniejszono ostatecznie katedrę.

Na południe od *Damus el Karita* jest wzgórze, gdzie ks. Delattre znalazł swoje groby punickie; tam również szczątki Odeonu a naprzeciwko, na innym pagórku, miejsce uświęcone śmiercią t. zw. scyllitańskich męczenników. Dr. Wieland opisuje ich dzieje, datę jednak kładzie według dawnego mniemania na rok wstąpienia na tron cesarza Gety (202 r.), pod prokonsulatem Wigelliusa a konsulatem Korneliusza Anullinusa i M. Anfidiusza Fronto. Tymczasem prof. Usener odkrył w r. 1882 w bibliotece paryskiej dawniejszy tekst grecki, z którego wynika, iż proces przeciw 12 chrześcijanom scyllitańskim odbył się już w r. 180, t. j. roku śmierci Marka Aureliusza, a wyniesienia Kommodusa za konsulatu Presensa i Kondyana a prokonsulatu Saturnina [1]. Proces tego męczeństwa rzuca ogromne światło na rozwój chrześcijaństwa w pierwszych wiekach, dowodzi mianowicie, że już w r. 180

[1] „O początkach chrześcijaństwa“, Ks. Stefan Pawlicki. *Przegląd Polski*, lipiec, 1883, str. 72.

ewangelie i listy św. Pawła przechowywane były i czytywane po kościołach Afryki, zbijając tem samem twierdzenie racyonalistów, jakoby ewangelia św. Jana dopiero w końcu II. wieku powstała. Kartagina była punktem środkowym ruchu religijnego w Afryce: liczyła w samem mieście 7 parafij, na zewnątrz zaś ruch ten rozciągał się aż do Tangeru wśród 70-ciu chrześcijańskich gmin. Był on tem żywszy, iż na stolicy biskupiej wielu świętych i uczonych zasiadało mężów. Z tych najprzedniejszy, św. Cypryan, znalazł grób w Kartaginie po śmierci męczeńskiej, wieńczącej życie wielkiego opiekuna męczenników.

Są tam i gruzy Gargiliańskich termów, gdzie w r. 411 odbył się na rozkaz prokonsula Fl. Marcellinusa rodzaj soboru, a raczej *colloquium* między biskupami katolickimi i Donatystami; są jakieś sklepienia naznaczone krzyżem, ale których użytku domyśleć się trudno, jest wreszcie reszta amfiteatru, gdzie św. Perpetua i Felicyta osiągnęły męczeńską koronę. Być może, iż dzięki wytrwałej pracy Francuzów odsłoni się więcej jeszcze zabytków. W każdym razie o istniejących będą pamiętać i nie stanie się to, co się stało z prowadzącemi na Nowy Plac 120 schodami, które za pamięci ludzkiej były niemal w całości, a dziś ledwie świecą szczątkami. Kto wie, czy z czasem około klasztoru Białych Ojców na Byrsie nie wzniosą się nowe domostwa i czy nie utworzy się trzecia Kartagina mniej od poprzednich potężna i piękna, lecz żywa.

Kartagina jednak, to tylko wstęp do rzymskiej Afryki. Jadąc na południowy zachód doliną Medżerdy widzi się zrazu kraj płaski, piaszczysty, „nudny“ zdaniem Wielanda, gdyby nie spotykane co chwila zabytki szczęśliwszych czasów. Więc nasamprzód miasteczko Medżez-el-Bab, dawna Membressa, jak o tem świadczą nad brzegiem rzeki szczątki murów, łaźni, cystern i łuk tryumfalny dość prymitywny, wzniesiony na cześć Gracyana, Walentyniana i Teodozyusza. Wielki most nowożytny złożono z materyału starego z rzeźbami i napisami. Dalej na samotnem wzgórzu Sluguia, dawniej stolica biskupia, a za nią kraj zieleńszy, winnice i sady oliwne, wśród których droga opuszcza Medżerdę, sunąc ku górom. Tu znów ruiny biskupstwa w Tignicy z przepyszną cytadelą bizantyńską, łaźniami, łukami, świątyniami i cyrkiem. Wieczorem jest się w Tebursuk *(Tubursicum)*, sterczącem na skale z panującą nad miastem samotną, pękniętą wieżą. Tebursuk liczy dziś 7000 mieszkańców, ale żyje z dawnego dobytku, gdyż pełno ruin wbudowanych jest w domy, a w mur okolny włączony łuk tryumfalny z nawpół zatartym napisem: *(Ad) christianissimos Imperatores.* Tu

wiające się nieprawidłowym zarysem kształtów budowli, niezrozumiałym dla niewtajemniczonego w obyczaje ówczesne. Poruszenie świętych zwłok, choćby dla budowy kościoła, wydawało się świętokradztwem. Główna bazylika Kartaginy przebudowaną była po dwakroć i za każdym razem zmniejszoną. W r. 320 została zbezczeszczoną tumultem, w czasie którego biskup Donatystów padł z rąk rozwścieczonego tłumu; potem wraz z innemi bazylikami miasta została przez Donatystów opanowaną, a gdy w r. 377 edykt cesarski rozkazał wszystkie oddać katolikom — oddano im tylko tę jedną, skąd też nazwano ją *Restituta*. Ledwie z Donatystami ucichło, przyszli Wandale; w r. 456 Genseryk przeciągał przez Kartaginę, uwożąc do Rzymu wielką moc jeńców z Afryki. Wtedy Kartagińczycy jęli na wykup ich sypać złoto i klejnoty; biskup dał kielichy i lampy kościelne; następnie zaś kazał dwie bazyliki łóżkami i tapczanami zapełnić, aby dać przytułek nieszczęsnym. Dopiero w 19 lat potem nastała chwila spokoju, ale była to cisza przed burzą. Król Wandalów Huneryk rozkazał wszystkim biskupom i księżom do Kartaginy się stawić niby na sobór, a istotnie na sąd. Zaledwie bowiem złożyli wyznanie wiary, wnet 46 wywieziono na Korsykę do ciężkich robót, resztę rozegnano, kilku z głównych zniknęło bez wieści. W miejsce biskupów patryarcha aryański zasiadł na kartagińskiej stolicy. Prawdopodobnie po tem prześladowaniu zmniejszono ostatecznie katedrę.

Na południe od *Damus el Karita* jest wzgórze, gdzie ks. Delattre znalazł swoje groby punickie; tam również szczątki Odeonu a naprzeciwko, na innym pagórku, miejsce uświęcone śmiercią t. zw. scyllitańskich męczenników. Dr. Wieland opisuje ich dzieje, datę jednak kładzie według dawnego mniemania na rok wstąpienia na tron cesarza Gety (202 r.), pod prokonsulatem Wigelliusa a konsulatem Korneliusza Anullinusa i M. Aufidiusza Fronto. Tymczasem prof. Usener odkrył w r. 1882 w bibliotece paryskiej dawniejszy tekst grecki, z którego wynika, iż proces przeciw 12 chrześcijanom scyllitańskim odbył się już w r. 180, t. j. roku śmierci Marka Aureliusza, a wyniesienia Kommodusa za konsulatu Presensa i Kondyana a prokonsulatu Saturnina [1]. Proces tego męczeństwa rzuca ogromne światło na rozwój chrześcijaństwa w pierwszych wiekach, dowodzi mianowicie, że już w r. 180

[1] „O początkach chrześcijaństwa“, Ks. Stefan Pawlicki. *Przegląd Polski*, lipiec, 1883, str. 72.

ewangelie i listy św. Pawła przechowywane były i czytywane po kościołach Afryki, zbijając tem samem twierdzenie racyonalistów, jakoby ewangelia św. Jana dopiero w końcu II. wieku powstała. Kartagina była punktem środkowym ruchu religijnego w Afryce; liczyła w samem mieście 7 parafij, na zewnątrz zaś ruch ten rozciągał się aż do Tangeru wśród 70-ciu chrześcijańskich gmin. Był on tem żywszy, iż na stolicy biskupiej wielu świętych i uczonych zasiadało mężów. Z tych najprzedniejszy, św. Cypryan, znalazł grób w Kartaginie po śmierci męczeńskiej, wieńczącej życie wielkiego opiekuna męczenników.

Są tam i gruzy Gargiliańskich termów, gdzie w r. 411 odbył się na rozkaz prokonsula Fl. Marcellinusa rodzaj soboru, a raczej *colloquium* między biskupami katolickimi i Donatystami; są jakieś sklepienia naznaczone krzyżem, ale których użytku domyśleć się trudno, jest wreszcie reszta amfiteatru, gdzie św. Perpetua i Felicyta osiągnęły męczeńską koronę. Być może, iż dzięki wytrwałej pracy Francuzów odsłoni się więcej jeszcze zabytków. W każdym razie o istniejących będą pamiętać i nie stanie się to, co się stało z prowadzącemi na Nowy Plac 120 schodami, które za pamięci ludzkiej były niemal w całości, a dziś ledwie świecą szczątkami. Kto wie, czy z czasem około klasztoru Białych Ojców na Byrsie nie wzniosą się nowe domostwa i czy nie utworzy się trzecia Kartagina mniej od poprzednich potężna i piękna, lecz żywa.

Kartagina jednak, to tylko wstęp do rzymskiej Afryki. Jadąc na południowy zachód doliną Medżerdy widzi się zrazu kraj płaski, piaszczysty, „nudny“ zdaniem Wielanda, gdyby nie spotykane co chwila zabytki szczęśliwszych czasów. Więc nasamprzód miasteczko Medżez-el-Bab, dawna Membressa, jak o tem świadczą nad brzegiem rzeki szczątki murów, łaźni, cystern i łuk tryumfalny dość prymitywny, wzniesiony na cześć Gracyana, Walentyniana i Teodozyusza. Wielki most nowożytny złożono z materyału starego z rzeźbami i napisami. Dalej na samotnem wzgórzu Sluguia, dawniej stolica biskupia, a za nią kraj zieleńszy, winnice i sady oliwne, wśród których droga opuszcza Medżerdę, sunąc ku górom. Tu znów ruiny biskupstwa w Tignicy z przepyszną cytadelą bizantyńską, łaźniami, łukami, świątyniami i cyrkiem. Wieczorem jest się w Tebursuk *(Tubursicum)*, sterczącem na skale z panującą nad miastem samotną, pękniętą wieżą. Tebursuk liczy dziś 7000 mieszkańców, ale żyje z dawnego dobytku, gdyż pełno ruin wbudowanych jest w domy, a w mur okolny włączony łuk tryumfalny z nawpół zatartym napisem: *(Ad) christianissimos Imperatores*. Tu

również była stolica dyecezyi znana z dziejów prześladowań i walk z Donatystami, w pobliżu Dugga, a w niej pełno ruin, między któremi dziwnie dobrze zachowany teatr i świątynia Jowisza. Z Tebursuk ciężki omnibus całą noc toczy się do *El Kef* (skała) dawnej *Sicca Veneria*. Miasto arabskie ze starego materyału wzniesione, z cytadelą bizantyńską, służącą dziś za posterunek wojsku francuskiemu, znane bardzo za czasów pogańskich i za chrześcijańskich wsławione. Stąd około r. 300 świątobliwy Arnobius wysyłał swoje ogniste pisma *Adversus gentes*. Byli tu katoliccy i donatyjscy biskupi, były i gwałty aryańskie.

Sicca, a raczej El Kef zawiera trzy bazyliki. Katedralna przerobiona na meczet, druga za miastem na cmentarzu leży w gruzach; w trzeciej, z przedniej części zrobiono parafialny kościółek. Reszta bazyliki jest dobrze zachowaną ruiną z końca V. w. lub początku VI. z bardzo piękną absydą, mozaikami i sztucznie rzeźbionemi szczegółami architektury, z których widnieje, iż poświęconą była św. Piotrowi.

Z El Kef. chcąc do Tebessy dojechać, trzeba powrócić na zachód, na stacyę kolejową do Suk el Arba. Stąd już w prowincyi Konstantyńskiej mija się Thegastę (dziś Suk Aras), ojczyznę św. Augustyna, pełną wspomnień jego dzieciństwa; tutaj za miastem leżała willa, w której po nawróceniu czas jakiś z paru przyjaciółmi zamieszkał; tu r. 411 w czasie najazdu Gotów schroniło się mnóstwo Rzymian szlachetnego rodu, co chwilowo nadało Thegaście nieznany dotąd blask i znaczenie; chwilowo — bo już w 430 r. przyszli Wandale. Dziś jest to — krom ruin — nowożytne miasteczko.

Wprost na południe od Suk Aras wznosi się główny cel podróży: Tebessa. Takich ruin pono niema w całej Afryce. Bo też był to i gród nielada, istniejący za czasów punickich, a nie zburzony przez Rzymian, przeciwnie im to zawdzięczał swą świetność. Tu stały załogą legie rzymskie i stąd też do Kartaginy poprowadzono wielki strategiczny gościniec, którego obie strony u wyjścia z miasta osadzono grobami, jak w Rzymie na *Via Appia*. Z czasów Trajana pono pochodzi piękna świątynia Minerwy, w której celi ks. Delapard, proboszcz. konserwator i opiekun obecnej Tebessy najcenniejsze zabytki pogańskie umieścił.

Pierwsze wspomnienie chrześcijańskie Tebessy, to ów rekrut Maksymilian, który w r. 257 wolał śmierć, niż służbę, kędy się obawiał przymusu do składania ofiar bałwanom; drugiem jest, po całym

wieku spokoju, męczeństwo św. Kryspiny za Dyoklecyana. Lepszemi w Afryce były te czasy rządów pogańskich od późniejszych walk z Donatystami o katedrę i bazylikę. A było o co walczyć zaiste! Autor upojony podziwem, chwali Boga za płodność naszej wiary, dzięki której „gdy bazylika w Tebessie upadła, wzniosła się *Hagia Sophia*, a gdy tę zbezczeszczono, bazylika Piotrowa w Rzymie". Nie dziw, że opis jej przeszło 20 nabitych stron w książce zajmuje, licząc w to mnogie rysunki rzeźb z kolumn, architrawów, mozaik. Opis ten architektoniczny zbyt długi, zbyt szczegółowy i zbyt fachowy, raczej zamąca, aniżeli rozjaśnia całokształt dawnego budynku, jaki widnieje z fotografij i z planów.

Wszystko, co było ruchomego ze starej bazyliki, zostało przez ks. Delapard zabranem na budowę nowego kościoła. Wynikiem tego jest kompilacya marmurów, rzeźb, mozaik niesłychanie bogata, zestawiona ze smakiem, a jednak zostawiająca wrażenie czegoś martwego, sztucznie powołanego do życia. Nawet zwłoki Palladiusa dobrze zachowane w pokładach liści wawrzynu[1] zostały przeniesione — dla bezpieczeństwa Tak więc nowy kościół utworzył się ze starego, podobnie jak do dawnych murów bazyliki twórcy jej użyli byli starego materyału z pogańskich budowli. Katolicy podczas walk z herezyą nie zdołali obronić swego arcydzieła: bazylikę opanowali Donatyści, a następnie zburzyli Wandale. Prócz niej zburzyli wokół miasta i mury warowne, wystawiając mieszkańców bezbronnych na wszelkie napady plemion koczowniczych. Tu zatem z równym zapałem, jak w Kartaginie, powitano orły Belizara, którego następca, Salomon, Tebessę na nowo opasał murami, zaczem dawna świetność z bezpieczeństwem wróciła. Bazyliki wszakże nie odbudowano, a gdy w sto lat później (667 r.) przyszli wyznawcy Koranu, starożytna Tebessa była w ruinach.

Nietylko Tebessę stworzyła słynna legia III. Augusta w czasie swego 300-letniego pobytu w Afryce. W samych okolicach Tebessy,

[1] Autor w opisie wielu grobów czyni wzmiankę o liściach wawrzynowych. Zapewne przypisywano im własność konserwowania zwłok. Podobnie w XVI. wieku używano suszonego chmielu; takowy znaleziono w otwieranej za króla Amadeusza Hiszpańskiego trumnie Karola V. i na Wawelu w trumnie Batorego. W obydwu wypadkach zwłoki przechowały się z dziwną świeżością, zważywszy zwłaszcza, że króla Stefana przewożono z Grodna. Na twarzy Karola V. znać było jeszcze ciemną plamkę, o której wiedziano, że ją miał za życia.

t. j. między nią a kilka godzin tylko odległą Ammaedarą — dzisiaj Haidra, istnieje 18 starorzymskich ruin. Zrazu legionistom nie wolno było się żenić, później jednak, wobec dozgonnego wygnania na afrykańskie kresy, tolerowano związki nawpół legalne, z których urodzone dzieci zapisywane były do osobnej *tribus Pollia*, oraz dopuszczone do obywatelstwa i służby w legionach; Septym Sewer nareszcie pozwolił zupełnie się żenić. Skutkiem tego było powstawanie w pobliżu obozów rozległych osad, które wnet rosły w znaczenie i ozdabiały się dzięki hojności samych mieszkańców, wodzów, a częstokroć wysłużonych żołnierzy, poświęcających na to oszczędności z żołdu. Żyli oni w mieście, a do obozu szli tylko na służbę: nawet pałac i biura dowódców znajdowały się w mieście. Obecność legionistów zaś ściągała kupców, rzemieślników i niejednego osadnika z Italii, nie mówiąc już o krajowcach, których wielka moc, przyjąwszy obyczaj rzymski, przekształcała się szybko na Rzymian. Większa część Numidów koczowniczych, była koczowniczą jedynie z konieczności, bo ich Kartagińczycy od roli odparli; możliwem zatem było przy spokojnem zagospodarowaniu kraju ściągnąć ich napowrót do życia wiejskiego. Zamożniejsi Numidzi nawet zmieniali nazwiska tak, iż w trzeciem pokoleniu chyba po rysach twarzy można było poznać, że się ma do czynienia z Afrykańczykiem, a nie z rodowitym obywatelem Romy. Gdy Trajan odwiedził legię III. w Afryce, odbył obok przeglądu żołnierzy rzymskich przegląd regularnych hufców posiłkowych t. zw. *Auxiliares*, których lekkie obroty skuteczniejszemi były od ciężkich ruchów legionistów w pościgu za bandami niepodległych jeźdźców, wypadających od gór Auresu. Owa podróż Trajana zostawiła świetne ślady po miastach Afryki, zwłaszcza w kreacyach legii III.: Tebessie, Thamugasie, Lambaesis. To ostatnie, dzisiejsza Lambessa, było centralnym punktem legii; po dziś dzień widać warowny cbóz założony, według zwyczaju rzymskiego, w kształcie krzyża, rozmiarów 500 + 420 m., z wielkiem a ciężkiem Pretoryum w pośrodku. Między ścianami tegoż, tworzącemi pono zawsze rodzaj obmurowanego dziedzińca bez dachu, składają teraz wykopywane zabytki. Właściwie całe miasto jest wielkiem muzeum, ze swym wspaniałym łukiem Kommodusa, swemi ulicami przepysznych szczątków. Chrześcijan tu musiało być mało: dr. Wieland odnalazł tylko gruzy małego kościółka na cmentarzu za miastem. Dziś obok żyje francuska załoga i francuski kryminał, którego więźniów pod wojskową komendą używa rząd do odgrzebywania starożytnych murów. Codziennie też

znaczny ich oddział kierowanym jest ku sąsiadującemu miastu ruin w Timgadzie.

Zrazu zbliżając się do Timgadu — starego Thamugas — od strony Lambessy widać tylko miękkie, piaszczyste pagórki. Z poza tych jednak wkrótce wyłaniają się „niby kominy fabryczne“ — mówi czysto niemieckim sposobem autor — „wysokie i smukłe kolumny Kapitolu. Za niemi zaś całe miasto rozległe i tak pięknie zachowane, iż można je śmiało nazwać afrykańskiem Pompei“. Sądząc z rysunków zdaje się, iż powiedzenie to jest jeszcze zbyt słabem: w Pompei więcej jest murów, tu zaś więcej kolumn i portyków, więcej posągów. Pompei za życia musiało być mniej pięknem, choć zachowało się lepiej pod popiołem i lawą niż Timgad, ogniem i ręką ludzką zniszczony. Tu i tam jednak można wniknąć w tajniki życia afrykańskich kolonij z przepychu termów i innych publicznych zakładów, choćby tylko z napisu, widniejącego na mozaice współczesnej: *Venari, lavari, ludere, videre, Hoc est vivere* [1]. Nie Katońska zaiste zasada, ale co prawda, Kato nie spędzał całego życia w głębokiej Afryce, na straży kolonij. Nie tu miejsce ni czas, aby się wdać w dłuższy opis wszystkich piękności Timgadu, dla których dr. Wieland mimowoli zbacza ze swego tematu. Dość jest powtórzyć za nim, że to był kulminacyjny punkt jego podróży co do zabytków — pogańskich. O chrześcijańskie tutaj mniej łatwo, a przecież piękne Thamugas wielką religijną odegrało rolę. Tylko że była to rola przeważnie ujemna. Timgad i Bagai były głównemi gniazdami Donatystów, z Bagai wychodziły straszliwe fanatyzmem bandy Cirkumcellionów, z Timgadu schizmatyccy biskupi walczyli przeciwko wierze. Nie zdołali wszakże wytępić katolicyzmu w swem mieście utrzymywała się zawsze pewna liczba wiernych, byli nawet męczennicy, ale snać nie mieli swojego kościoła. Pozostałe zaś po heretykach są nędzne: Donatyści umieli wybornie burzyć — ale pono nie umieli budować. Katedra w Timgadzie, którą chełpili się w oczy św. Augustynowi, była kościołem średnich rozmiarów, nie odznaczającym się ani pięknością kształtów, ani bogactwem ozdób. Prócz niej liczyli 6 czy 7 bazylik,

[1] Pomiędzy Konstantyną a Setifem odkopano w ruinach willi Pompejanusa mozaikę, przedstawiającą polowanie konne z psami. Myśliwi zbrojni w dzidy, odziani w obcisłe spodnie do kolan, równie obcisłe kurtki, płaszcz odrzucony na ramię *à la* Almaviva, i płaskie berety na głowie. Pan domu jedzie przodem bez broni. Służba piesza zbrojna w miecze. Obok tej willi stały wielkie łaźnie, świadczące o przepychu zamożnych ziemian. O konie i psy wielkie łożono staranie, był też piękny park z gazellami.

ale te według pozostałych szczątków mogły się chyba kaplicami nazywać. Jakaż różnica ze wspaniałą katedrą Tebessy! Timgad od pobytu Trajana nie przestał się wzmagać aż do Konstantyna. Odtąd snać walki religijne zatrzymały rozrost: kto się swarzy, ten nie ma czasu pracować. Za wielkorządztwa następcy Belizarowego, Salomona wypadły z gór Auresu srogie bandy łupieżców i całe miasto padło pastwą płomieni. Ciekawem jest, iż ta sama linia graniczna, nad którą niegdyś czuwała Legio III Aug. obsadzoną jest dziś przez wojsko francuskie, zmuszone strzedz afrykańskich kolonij przeciw tym samym góralskim plemionom. Wątpić jednak należy, aby wokoło ich koszar stanęły miasta, dorównujące pięknością Tebessie.

Z Timgadu ciężki dyliżans wiezie napowrót do Lambessy, skąd droga do Konstantyny. W przejeździe przez El Mahdr widzi się zdala coś nakształt wzgórza, co jednak za zbliżeniem okazuje się być rodzajem piramidy zaokrągłonej u szczytu, a u spodu otoczonej wieńcem kolumn: to najszczytniejszy pomnik Numidów — grób Massynissy! To grób niestety i jego potomków, których niezgoda przywiodła kraj do upadku. A kraj to piękny, tem piękniejszy, im bliższy swej dawnej stolicy. Dumny gród Cirta jak gniazdo orle zawisł na skale, z trzech stron okolony wodą; już Strabon pisze o nim, że był dobrze warowny i zaopatrzony, podanie zaś powiada, że go po razy 60 oblegano i szturmowano. Wiara chrześcijańska wcześnie bardzo doszła do Cirty, a prześladowania zrazu dosięgły jedynie duchownych. Z tych pozostały w pamięci głównie imiona dwóch młodziutkich kleryków Jakóba i Maryana, którzy ponieśli śmierć męczeńską w Lambessie, straszne już w Circie wycierpiawszy męki. Jakaś dłoń nieznana wyryła ku ich czci pamiątkowy napis u dołu skały, na której wznosi się miasto; dziś zabezpieczono go żelazną kratą z krzyżem, skałę zaś nazywają mieszkańcy: *Le rocher des martyrs*. W czasie walki Konstantyna z Maxencyuszem miasto zostało wielce przez tego ostatniego zniszczone, radość też była wielka, gdy po ciężkiej, o moralnych i materyalnych losach świata stanowiącej walce na Milweńskim moście, posłańcy zwycięskiego Konstantyna głowę Maxencyusza do Cirty przynieśli. Odtąd Cirta przestała być Cirtą: odbudowana przez nowego władcę stała się Konstantyną od jego imienia. Katolicy odetchnęli nieco swobodniej. Szereg lat minionych stanowił dla nich epokę podwójnego ucisku, od Maxencyusza z jednej strony, od Donatystów z drugiej: wszystkie kościoły ich były w heretyków mocy. Teraz Konstanty W. wybudował im bazylikę, lecz radość była krótka, bo i tę opanował biskup Donatystów. Wtedy zaś

katolicy zdobyli się na akt cnoty heroiczniejszej może od męczeństwa: posłyszawszy, iż cesarz zapłonął gniewem, posłali z prośbą o przebaczenie dla winowajcy i o pozwolenie wystawienia sobie własnemi siłami nowego kościoła. Takiej prośbie Konstanty odmówić nie mógł: wprawdzie pozwolenia na budowę nie posłał, ale sam katolikom po raz drugi bazylikę wystawił.

O sześć godzin od Konstantyny leży Mila, dawne Mileve, miejsce zwycięstwa hufców Krzyża nad armią pogańską, stolica biskupia Severusa, jednego z najdroższych przyjaciół św. Augustyna, stolica również św. Optata, który tu pono spoczywa. Napróżno jednak autor szukał jego grobu: pokazano mu meczet, a pod nim w sklepie wśród świec płonących i wzorzystych opon trumnę, zawierającą zwłoki marabuta Sidi-bu-Yahia. Dr. Wieland wyraża nieśmiało przypuszczenie, iż to może nasz Święty pod wschodniem mianem się kryje. Przykro byłoby go rozczarować; pewnem jest wszakże, iż Sidi-Yahia był osobistością bardzo znaną w dziejach afrykańskiego Islamu, mężem wielkiej nauki i cnoty, czczonym w Sudanie, a mianowicie w Tombuktu jako rodzaj patrona. Trudno zatem przypuścić, aby co do jego grobowca tak gruba zachodziła pomyłka. Niema jednak o co tak dalece się spierać.

Z Konstantyny droga wiedzie do dawnej Maurytanii, świetnej przez chwilę w początkach cesarstwa pod berłem potomka Massynissy, Juby II. Dzieje to romantyczne a nie dosyć znane. Ojciec jego, też Juba, odbudował był niemal w całości starą ojcowiznę Numidów, ale wmieszany w wojny domowe Rzymian walczył za Pompejuszem i został rozgromiony pod Thapsus. Massynissa byłby uciekł w góry i z nowem wojskiem powrócił: na to już wszakże wnuk był nadto *fin de siècle;* wolał wraz z rzymskim stronnikiem pompejańskim Petrejusem wyprawić ucztę, po której obaj przyjaciele wszczęli pojedynek śmiertelny, aby ujść ręki zwycięzcy. Petrejus zginął pierwszy, Juba kazał się dobić przez niewolnika. Natomiast synek jego został pojmany i uwieziony do Rzymu, gdzie musiał iść jako jeniec za tryumfalnym wozem Cezara. Wyrósł w Rzymie, August polubił go, kazał wychować starannie, sam w wojennem rzemiośle wyćwiczył i ożenił z śliczną Kleopatrą Selene, córką Antoniusza i wielkiej Kleopatry, wychowaną przez anielską Oktawię. Połączywszy tych dwoje afrykańskich książęcych wygnańców, August utworzył dla nich osobne królestwo z części dzisiejszego Algieru i części Maroku. Kraj ten, nazwany Maurytanią, był nawpół dzikim: młoda para jednak umiała zeń uczynić przybytek

wiedzy i sztuki. Juba sam był autorem i ściągał do siebie autorów, artystów, rzeźbiarzy. Czy jednak całkowicie hołdował sztuce grecko-rzymskiej, czy też przejął się drzemiącą w sąsiedztwie starą sztuką punicką? Według autora, powrót do sztuki punickiej nastąpił daleko później, już po upadku cesarstwa. Jakkolwiekbądź można w budowlach dawnej Maurytanii zauważyć dziwną mieszaninę form klasycznych ze stylem afrykańskim. W Tigzirt np., dawnem Rusuccuru, ruiny katedry zawierają mnóstwo rzeźbionych kapitelów, fra-ug, podstaw od kolumn i t. p. Na wszystkich tych odłamach znać wysiłek ku liniom klasycznym, przygłuszony staro-fenickim duchem, jedyny styl joński jako tako jest zachowany, gdyż łatwiej mógł się zbratać z mnogiemi odmianami kańczastych gwiazd, ostrych zygzaków i wszelkiemi rodzajami geometrycznych ozdób, zastępujących lekkie meandry i liściaste zwoje rzeźb i mozaik w Tebessie. W Tigzirt każdy niemal kwadrat, gwiazda lub koło zawiera monogram, albo też karykaturę ryby, ptaka, konia, zająca i t. p. Miejscami płaskorzeźba przedstawia całe sceny, wykonane dosyć niezgrabnie ale nader typowe, trochę dzikie, przypominające świątynie Thanity lub Bela Tigzirt zawierał prócz katedry kilka kościołów, chrześcijan też musiało być niemało w czasach bizantyńskich. Z rzymskich trudno się cokolwiek dowiedzieć, na rzymskiej bowiem dzielnicy miasta zbudowano obecnie dzielnicę francuską.

Ostatniem z miejsc opisanych przez autora — a pominęliśmy ich wiele — jest nad samem morzem położona Tipasa. W Algierze nie znalazł nic prócz muzeum, po drodze podobny do Massynissowego grobowiec rodziny Syfaxa, zawierający też kości Juby II. Tipasa powstała za Klaudyusza pod ręką Rzymian; najstarszy w niej pomnik chrześcijański jest z r. 182. Widać jednak, iż obok chrześcijan i liczniejszych od nich pogan „klasycznych“, żyło dużo, zwłaszcza między ludem, pogan miejscowych; jeszcze bowiem w IV. w. młoda chrześcijanka, Salsa, została za naruszenie ulubionego fetyszu — węża z kosztownej materyi — wrzucona przez tłum do morza. Trumnę jej umieszczono na wspólnym cmentarzu w grobowcu rodzinnym, na sarkofagu jakiejś babki poganki, i ten następnie włączono do bazyliki zbudowanej na cześć męczennicy. Wiara przytem musiała być silną, bo skoro w r. 484 Aryanie targnęli się na stolicę biskupią mieszkańcy emigrowali tłumnie do Hiszpanii. Ci, co nie zdążyli uciec, a nie chcieli aryańskiemu biskupowi się poddać, zostali spędzeni na Forum, gdzie każdemu prawą rękę i język obcięto. A wtedy stał się cud: męczennicy poczęli bez

języka głośno chwalić Boga i żaden nie utracił mowy krom dwóch, którzy cudem wzbici w pychę oddali się rozpuście [1].

Tipasa, sterczącа na dwóch wzgórzach nad morzem, musiała niegdyś być świetną. Obecnie całe dolne wybrzeże pokryte jest gruzami, nawet z wody wystają odłamy. Na zachodniem wzgórzu widać cały kompleks ruin, którego znaczna część już zsunęła się w morze, a resztę co dnia podmywają fale. U szczytu wznosiła się katedra o 9-ciu nawach przedzielonych rzędami filarów i kolumn, o bogatej posadzce mozaikowej, przedstawiającej w żywych barwach owoce i ptactwo. Zda się, iż w VII. czy VIII. w. zapewne wskutek zburzenia zredukowano świątynię do wielkiej środkowej nawy, dostatecznej dla zmniejszonej liczby modlących. Dodano natomiast przybudówki z lichego materyału i lichej roboty. Jeszcze dalej na zachód za miastem stała cmentarna bazylika, do której św. Aleksander przeniósł sarkofagi 9-ciu biskupów i gdzie sam znalazł grobowiec, jak o tem świadczą długie, mozaikowe napisy w posadzce. Trzeba zejść z pagórka, aby przez pole znów gruzami zasiane dostać się na wschodni kraniec miasta, gdzie na wzgórzu nad dawnym portem stała wspomniana już bazylika św. Salsy. Tu skromny zrazu nad grobem kościółek powiększył (zda się w V. w.) i ozdobił św. Potencyusz, biskup Tipasy. Były tu mozaiki, kolumny i rzeźby, wszystko jednak z materyału grubszego, znać słabszą sztukę, daleko do piękności katedr Tebessy lub Kartaginy. Jest jednak coś piękniejszego od sztuki: owo macierzyńskie przygarnięcie przez kościół grobowca pogańskiej matrony dla miłości męczeńskich zwłok dziewczęcia złożonego przy babce. Niech inni widzą w tem nadużycia — nam się wydaje, iż jest to nowy dowód wykwintnej delikatności uczuć, jaką tylko prawdziwa świętość dać może.

Na św. Salsie zamyka się a raczej urywa bez właściwego zakończenia opis archeologicznej podróży. Wogóle rzecz sama niesłychanie ciekawa, ale przeciążona szczegółami architektonicznemi i cyframi miar podanemi ze skrupulatnością iście niemiecką. Mąci to, jak mówiliśmy, i oziębia wrażenie moralne, a chciałoby się je mieć w całości, odczuć w całej pełni gorące tchnienie wiary, wiejące z głębi ognistych serc afrykańskich. Toż przez ową obfitą przymieszkę krwi numidzkiej nawet

[1] Cud ten omawia naukowo i krytycznie pismo *Stimmen aus Maria-Laach* w 37 i 40 t.

pobożność przybrała w tych stronach bardziej namiętny, niż w klasycznym Rzymie charakter! — Ciekawa rzecz i smutna: podróż d-ra Wielanda po Północnej Afryce jest jakoby zwiedzaniem olbrzymiego cmentarza. Ze starej fenickiej Kartaginy zostały groby, z wspaniałej rzymskiej kolonizacyi — ruiny, z chrześciańskiej bizantyńskiej oświaty — znów ruiny i groby. Przez tysiąc lat nad gruzami temi świecił Półksiężyc; dzisiaj pobożne ręce wygrzebują z pod pyłu wieków świadectwa przeszłości. Szczęśliwy, kto w nich czytać może i umie.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

FRANCYA WOBEC KONGREGACYJ.

Francya w latach ostatnich tyle nam przyniosła niespodzianek, tyle wielce ciekawych ewolucyj w życiu religijnem i społecznem, że dzisiaj najbardziej dziwaczne i nieprawdopodobne wydarzenie traci wszelki charakter czegoś nieoczekiwanego i schodzi do rzędu zwykłych, prawie codziennych zjawisk. Jedno tylko w całym tym wielce oryginalnym ruchu może trochę zadziwić, a mianowicie fakt, że ta wielka Francya, której serce bije jeszcze miłością i przywiązaniem do starych tradycyj narodu, dała się opanować przez garstkę ludzi o najgorszych i najniższych instynktach, i że tej walce nienawiści i hipokryzyi nie potrafi przeciwstawić skutecznego działania, opartego na trzech szlachetnych i wzniosłych zasadach, na zasadach prawdziwej wolności, równości i braterstwa. To też z jednej strony widzimy Francyę, która wysyła setkami swoje dzieci za morza, do obcych krajów i barbarzyńskich narodów, aby tam daleko, gdzie jeszcze nie postała może noga białego człowieka, nieśli kaganiec wiary i sztandar Chrystusa; dzieci te idą ochoczo, z wiarą w sercu i ufnością w duszy, a siejąc posiew nauki Kościoła, kładą nieraz swe życie za prawdy przez się głoszone, ale przelaną krwią przyczyniają Kościołowi synów,

ojczyźnie wiernych poddanych, a cywilizacyę świata rozpowszechniają na krańce ziemi. Ten sam kraj szczodrą ręką hojnie sypie jałmużny, czy gdy chodzi o wspieranie misyj, czy też o budowę świątyń lub domów przytułku dla wstydzącej się żebrać nędzy, czy też o pomoc dla Namiestnika Chrystusa na ziemi. Z drugiej zaś strony ściąga ona świętokradzką rękę do najdroższych i najświętszych praw człowieka, praw ludzkości. Ta Francya każe nienawidzić naukę Kościoła, wytacza walkę na śmierć i życie wszelkiej religii, chlubi się swą bezbożnością, a wzniosłe jej hasła nie znajdują zastosowania, gdy chodzi o chrześcijan-katolików, o księży i wiernych. Dla tych ma słowa faryzeusza wraz z działalnością ukrytą wroga. Dziwi może to zjawisko, ale nie dziwi nikogo fakt, o którym obecnie tak głośno po wszystkich pismach o najróżnorodniejszych kierunkach, nie dziwi wojna wypowiedziana Kościołowi, a objawiająca się, prócz innych, także w zaciętem prześladowaniu zakonów, tych w każdym razie ważnych instytucyj życia katolickiego.

Nie od dzisiaj ta walka we Francyi się datuje; pominąwszy wielką rewolucyę, która z zasady swej musiała walczyć i walczyła z Kościołem, widzimy w ostatnich latach kilka razy prawo to pojawiające się w parlamencie. Już w r. 1871 rzecz o stowarzyszeniach religijnych była rozbieraną w radzie państwa, a celem jej było powstrzymać rozwój kongregacyj, ubezwładnić ich działalność, a w miejsce „wolności życia dać im wolność śmierci“. Prawa te częścią przeszły, częścią zostały odrzucone, w praktyce jednak nie znalazły surowego zastosowania, można więc było z wszelką jasnością przewidzieć, że wobec ciągle pogarszających się stosunków i naprężenia panującego między rządem a Kościołem, powtórnie na widownię wypłyną. I wypłynęły; dziwić się tylko należy, że tak późno. 14 listopada ubiegłego roku Waldeck-Rousseau przedłożył izbie nowy projekt o stowarzyszeniach, a sprawozdawcą i najgorętszym ich popleczníkiem jest Jerzy Trouillot, ograniczony jako umysł i nędzny jako charakter, ale pokrywający za to te swoje braki namiętną nienawiścią do zakonów, a w szczególności do Jezuitów, przez

których był prawie za pół darmo wychowany w konwikcie w Dôle.

O cóż więc w całej tej sprawie właściwie idzie? Odpowiada nam na to projekt prawa, który wprawdzie unika wyrażeń jak kongregacya lub stowarzyszenie zakonne, a mimo to te stowarzyszenia ma prawie jedynie na oku. Najważniejszym w tej kwestyi, jest paragraf jedenasty w połączeniu z drugim. Pierwszy znosi wszelkie stowarzyszenia między Francuzami i cudzoziemcami; wszystkie mianowicie stowarzyszenia, których dyrekcye znajdują się za granicą, albo których naczelni przełożeni są cudzoziemcami, albo których członkowie prowadzą życie wspólne, muszą koniecznie wpierw być przez radę państwa uznane i potwierdzone; przed potwierdzeniem są niedozwolonemi, dlatego członkowie ich podlegają karze od 500—5000 fr. i od sześciu dni do roku więzienia, tak, że zarazem kara ta dla założycieli lub administratorów będzie zdwojoną. Paragraf ten wskazuje bardzo jasno, że chodzi tu prawie wyłącznie o kongregacyę, gdyż ich członkowie prowadzą żywot wspólny, a ich generalni przełożeni najczęściej za granicą, zwykle w Rzymie przebywają, i często również są cudzoziemcami. Ostatecznie trudność ta dałaby się może w wielu wypadkach usunąć, a w takim razie samo prawo stałoby się dość niewinnem i słusznem; może bowiem państwo zupełnie prawidłowo wymagać, żeby stowarzyszenie jakieś wypełniło swe obowiązki względem niego. Rząd francuski dobrze to przewidział i dlatego też w odwodzie zachował sobie paragraf drugi. Paragraf ten znosi wszelkie stowarzyszenie, którego celem lub podstawą jest coś niedozwolonego, *illicite*, a więc wszelkie stowarzyszenie przeciwne prawom, porządkowi publicznemu, dobrym obyczajom, jedności narodowej lub formie rządu rzeczypospolitej. Paragraf ten daje władzy pokaźną broń do ręki, bo cóż łatwiejszego, jak choćby nawet najniewinniejszemu stowarzyszeniu zarzucić niezachowanie odpowiednich wymagań? A gdy taka zbrodnia wykrytą zostanie, przełożeni muszą się starać, by w przeciągu sześciu miesięcy otrzymali potrzebne uznanie i aprobatę, w przeciwnym bowiem razie stowarzyszenie zostanie rozwiązane. Że rząd w przedłożeniu paragrafu drugiego

postąpił sobie nader zręcznie i odpowiednio do swego celu, o tem przekonują toczące się w Radzie państwa debaty. Najniewinniejszemu i najzbawienniejszemu zakonowi będzie zawsze można u d o w o d n i ć, że albo jego cel niedozwolony, albo praca i działalność sprzeciwia się prawu państwowemu, albo... dosyć; tych a l b o zależnie od dobrej lub złej woli władzy będzie zawsze można znaleźć tysiące i tysiące też ich zawsze się w pogotowiu znajdą.

Cóż więc nakłoniło rząd francuski do wystąpienia przeciw jednej z najbardziej właściwych Kościołowi instytucyj, jaką są zakony i do zainicyowania tej nowej walki kulturnej? Z prawdziwemi, na dnie rzeczy leżącemi racyami, rząd się ukrywa i bacznie je tai, zależy mu bowiem na tem, żeby drakońskie prawo przynajmniej pozorami słuszności osłonić. Wprawdzie rozgorączkowane głowy polityków francuskich osłoniły od czasu do czasu trochę zasłony, jak gdy np. stawiano wniosek, aby zgłoszenie się do władz i potwierdzenie z ich strony obowiązywało jedynie kongregacye religijne; główny jednak motyw nie jest wypowiedziany, choć dla znającego stosunki francuskie nadzwyczaj jasny. Machinacye i intrygi rządu wyjaśnia bardzo dobitnie chyba wcale nie tak klerykalna *Revue des deux mondes* w wielce ciekawym artykule, napisanym w tej materyi przez T. Crépona. „Kongregacye, życie zakonne — te słowa wystarczają, żeby rozbudzić najgwałtowniejsze ze wszystkich namiętności... Członkowie kongregacyj są dla idei katolickiej bardzo czynnemi narzędziami, to też muszą one wywołać nienawiść ludzi widzących w religii jedynie ognisko fanatyzmu i zabobonu i obawę umysłów gotowych w każdej chwili uwierzyć, że nowożytnemu towarzystwu zagrażają niespodzianki pachnące mniej lub więcej średniemi wiekami“. Jeżeli do tego uwzględnimy klauzule, zawarte w paragrafach jedenastym i drugim, musimy dojść do przekonania, że jak celem prawa jest zniszczenie zakonów, tak też samo prawo jedynie z nienawiści religii wypływa, a ta nienawiść zaszła tak daleko, i „w takiej jest sprzeczności ze zwyczajnemi zasadami prawa i sprawiedliwości i ze samej wolności pojęciem, że nawet ci, którzy na kongregacye

zapatrują się dość obojętnie, lękają się i przerażają". Czy to zdanie najwybitniejszego francuskiego czasopisma jest może przesadzone? Cóż wtedy znaczy klauzula znosząca wszelkie stowarzyszenia, których członkowie żywot wspólny prowadzą? Z natury rzeczy samej człowiek dąży do pewnego zjednoczenia swych sił i bardzo na miejscu jest uwaga Juliusza Simona, że nie można zrobić na świecie ani wiele złego, ani wiele dobrego jak tylko przez połączenie się z innymi. A jeżeli już sama natura człowieka pcha go do życia wspólnego, to do istoty zakonu jakiegokolwiek tem bardziej życie wspólne należy i to w ścisłem tego słowa znaczeniu; bez życia wspólnego niema zakonu, jak niema i prac, które kongregacya tym sposobem osiąga i które tak świetne nieraz wieńczą rezultaty. Pomińmy jednak tę istotną prawdziwą racyę wojny wypowiedzianej kongregacyom, a przypatrzmy się zarzutom, jakie rząd francuski przeciw stowarzyszeniom wytacza. Waldeck-Rousseau utrzymuje, że zakony są potępione przez prawo publiczne krajowe, a Trouillot, który na trzech czy czterech stronach przechodzi całą historyę zakonów od VI—XX. wieku i ich stosunki do władzy świeckiej, twierdzi, że przedewszystkiem prawa z 24 listopada 1789 r. albo zupełnie znoszą ich istnienie, albo przynajmniej bardzo stanowczo wymagają uznania i zatwierdzenia. Dziwnem jest tylko, jak wobec tego tak stanowczego zdania, mógł np. Dufaure na posiedzeniach senatu 28 lutego 1880 utrzymywać, że „żadne stowarzyszenie (a więc i religijne) nie jest obowiązane szukać potwierdzenia jeżeli go sobie nie życzy; to się nie da zaprzeczyć. Proszę więc nie utrzymywać, że stowarzyszenie niezatwierdzone jest tem samem niedozwolonem, ponieważ się jeszcze o potwierdzenie nie postarało; nie szukając go, korzystało jedynie ze swego prawa". „Prawo z r. 1825, jak i drugie z 1817 (na które się również przeciwnicy zakonów powołują), nie mówią i nie mówiły nigdy o tem, żeby jakieś stowarzyszenie religijne musiało się dać wcielić w ustrój państwowy lub szukać uznania. Nie mamy prawa, któreby podobny obowiązek przepisywało". Wobec tak jasnych twierdzeń co najmniej dziwnie wyglądają zapatrywania ministra i p. Trouillot.

Wchodząc w bliższe szczegóły dwóch tych twierdzeń, musimy przecież powiedzieć, że przed rewolucyą zakony we Francyi rozwijały się zupełnie swobodnie; dopiero po prawach z lutego 1790 r. rozpoczął rząd nie uznawać więcej ślubów zakonnych, ale pozwolił zakonnikom na życie wspólne. A chociaż prawo 1792 r. zniosło wszystkie zakony, z wyjątkiem tych, które się poświęcają służbie chorych, to znów konkordat zniósł, zdaje się, dawne przepisy, gdyż „ledwie konkordat ogłoszono a kongregacye powstają, Cesarstwo je uznaje, Restauracya je reguluje, Monarchia lipcowa, druga Rzeczpospolita, drugie Cesarstwo dają im taką wolność, że doszły one do tego stopnia potęgi i siły, który narażał na poważne niebezpieczeństwo niezależność, dobrobyt i bogactwo kraju!“ To też w istocie rzeczy wszelkie następne paragrafy dawniejszego prawa, przytaczane przez przeciwników zakonów, albo mówią wyłącznie o klerze świeckim, nie wspominają za to nic o zakonnym, albo o ile ograniczały istnienie kongregacyj zostały zniesione, albo robią między kongregacyami zatwierdzonemi i niezatwierdzonemi pewne różnice co do korzystania z praw cywilnych, bynajmniej jednak tych ostatnich nie znoszą tak dalece, że *Revue des deux mondes* stanowczo twierdzi, iż „dla każdego człowieka rozsądnego i dobrej wiary dwie rzeczy są jawne: pierwsza, że kongregacye zakonne uważał Kościół zawsze jako swe organa istotne; dowodem tego historya Kościoła, jego konstytucye, encykliki papieży, koncylia; — druga, że konkordat z r. 1801 nie chciał uszkodzić żadnego organu kościelnego, a przedewszystkiem nie zniósł kongregacyj, owszem przeciwnie, tak jak go trzeba tłumaczyć, przyczynił się raczej do ich odrodzenia“. W każdym razie dziwnem się wydawać musi, że rząd z czasów rewolucyi lub lat po niej bezpośrednio następujących wobec tego jasnego zniesienia zakonów, jak to twierdzi minister i sprawozdawca parlamentarny, pozwolił na taki rozkwit kongregacyj. nie stawiał im żadnych przeszkód, owszem „dnia następnego zaprowadził to, co poprzedniego zniósł“. Powtarzamy więc raz jeszcze, że jeżeli stowarzyszenie jakieś pragnie korzystać dla siebie z przywilejów i praw cywilnych, żąda zastosowania spra-

wiedliwości i obrony dla siebie, powinno dać się uznać i rząd może tego wymagać, ale też z drugiej strony nie mniej pewnem jak twierdzenie Dufaure'a: „utrzymuję, że żadne stowarzyszenie nie jest obowiązane szukać potwierdzenia, jeżeli go samo nie żąda: to się zaprzeczyć nie da".

Zresztą wobec tak ogólnych twierdzeń polemika ustaje: asercyi można przeciwstawić asercyę. Wytoczono więc przeciw kongregacyom jeszcze dwa działa cięższego kalibru, a mianowicie ich bawienie się w politykę i bogactwa „martwej ręki". Zakony wszystkie, a przedewszystkiem francuskie mają uprawiać politykę na wielką skalę i to politykę nader niebezpieczną dla państwa, bo wywracającą same podwaliny kraju; chcą, jakeśmy to słyszeli niedawno w pewnem polskiem, a raczej socyalistycznem piśmie, na nowo rozżarzyć ognie inkwizycyi, jękiem ofiar napełnić kraj, w potopie krwi zalać cywilizacyę a na jej gruzach wywiesić sztandar fanatyzmu, ciemnoty średniowiecznej i panowania klerykałów, którzy dla pewnych stronnictw są większym postrachem jak woda święcona dla złego ducha. Ciekawa rzecz! Politykować wolno każdemu; wolno partyom, które jak utrzymują, same jedne liczą wśród dzisiejszej zgnilizny u c z c i w y c h ludzi, wolno im uprawiać politykę nienawiści, fałszów, oszczerstw i potwarzy, wolno dążyć też zupełnie jasno do przewrotu i rewolucyi, jeżeli jednak kapłan a szczególniej zakonnik musi dotknąć czy to w pismach, czy to na ambonie lub w konfesyonale jakiejś kwestyi, która na pierwszem miejscu jest religijną i sprawą sumienia, a na drugiem dopiero planie polityczną się staje, to jego działalność od razu zagraża zagładą państwu i choćby najostrzejszemi środkami powstrzymywaną być musi. A tymczasem potargane węzły życia rodzinnego, występowanie przeciwko władzom, zohydzanie wszelkiej powagi, zanik religii a z nią życia moralnego, coraz większe i liczniejsze dowody brutalności i dzikości w występkach, wybryki karczemne, to nie skutki politykowania zakonów; przyczyny te leżą bliżej nas i każdy rozumny je zobaczy. Polityka zakonów francuskich jest więc bardzo nieszczególnym i nieszczęśliwym pomysłem i „niema naiwnych, powiada Crépon, którzyby temu uwierzyli, choć nie

mówię o takich, którzy udają, że w to wierzą". Zakonom we Francyi bawienia się w politykę nie udowodniono, boć przecież frazesy, insynuacye, fałsze i oszczerstwa tysiąc razy zbijane i zbite, a nigdy nie odwołane za dowody nie starczą. Sprzeciwia się ich politykowaniu choćby środowisko samo; lud, szczególniej zaś lud francuski, pozwala na siebie oddziaływać kapłanowi jako kapłanowi, odwraca się od niego, gdy ten kapłan na drogę polityki schodzi. Najlepszym tego dowodem są wybory do rady państwa, które składają się przecież z elementów na wskróś Kościołowi nieprzychylnych. Nikt też chyba na seryo utrzymywać nie będzie, że ci zakonnicy są tak ograniczeni i nie potrafią uznać niebezpieczeństwa któreby im groziło, jeżeliby do polityki się mieszali. Rząd we Francyi z pewnością nie ma wierniejszych poddanych od kleru, dla którego wszelka a więc i republikańska władza z nieba pochodzi, choć to nie wyklucza bynajmniej występowania przeciwko przepisom i prawom, wkraczającym w sferę do rządu nie należącą i naruszającą wolność sumienia. Między republikanami są wielkie różnice: „między rzecząpospolitą, która prześladuje religię i tą, która ją szanuje, między tą, która daje wolność, i tą, która ją gnębi, między tą która łączy i tą która rozdziela, każdy ma prawo wyboru". Gdy więc kler broni praw swego Kościoła i swego stanu, gdy protestuje przeciwko szykanom wolnomularzy, żydów i innych przewrotowców, którzy dla wszystkich mają frazes o wolności, nie mają go tylko dla kapłana, to działa on zupełnie w swej sferze i nikt mu tego zabronić nie może, byle się tylko legalnie bronił, a tej nielegalności mu dotąd nie wykazano, bo judzenia i wymyślania w pewnej tylko warstwie za dowody uchodzą. Tak więc i te sidła nie na wiele, przynajmniej w rzeczy samej zdać się mogą.

Pozostają więc jako najsilniejszy taran do robienia wyłomów w murach klasztornych bogactwa kongregacyi, tak zwane „dobra martwej ręki"; dobra te według Trouillota, Waldeck-Rousseau a nawet kilku krakowskich gazet są tak wielkie, że tworzą one prawdziwe ekonomiczne i socyalne niebezpieczeństwo dla rzeczypospolitej. Wykazano wprawdzie jasno i dobitnie, że

te zakonne dobra m a r t w e wynoszą tylko 5—6% wszelkich dóbr martwych całej Francyi; wykazano dalej, że choć one są tak m a r t w e, setki tysięcy podatków ściąga z nich rząd; wykazano wreszcie, że tą względnie małą sumą kongregacye doszły do rezultatów n. p. na polu szkolnictwa, do jakich rząd potrzebował co najmniej sumy zdwojonej. To wszystko pomija się milczeniem, ale żeby się znów na razie za wiele na śmiech nie narazić, wysuwa się nie już miliony, lecz miliardy majątków zakonnych. Z miliardów pozostało tylko około 400 milionów, podczas gdy nieruchoma fortuna Francyi 200 miliardów wynosi a niejeden magnat więcej zużywa na utrzymanie swoich pałaców, dóbr, na hulanki i polowania, ale jego to wymawia, że nie jest zakonnikiem[1]. Dobra klasztorne nie należą do jednego zakonu, lecz rozkładają się na tysiące członków rozmaitych kongregacyj, tak, że na pojedynczą osobę przypada rocznego dochodu 94 fr.[2], a kongregacye te utrzymują tysiące chorych i sierot, puszczają w świat setki broszur i książek w obronie zagrożonej wiary, zastępują rodziców niezliczonym sierotom, prowadzą szkoły i zasilają misye zagraniczne — to jednak wszystko nic nie znaczy. Dobra klasztorne, używane w celach najszlachetniejszych, stanowią poważne niebezpieczeństwo dla kraju i dlatego zakony muszą być zniesione i będą zniesione, bo życie ich pełne poświęcenia i zaparcia się, pełne walki i hartu jest ciągłym wyrzutem sumienia dla szlachetnych wolnomularskiego rządu i największą przeszkodą do zupełnego ujarzmienia Kościoła.

Z trybuny w Paryżu rozbrzmiewają jeszcze inne zarzuty, które jednak nadają się raczej do pism humorystycznych, jako perły dowcipu francuskiego, aniżeli przed forum Rady państwa. Słychać tam akcenta, brzmiące miłością dla Kościoła i kleru świeckiego, którego największymi wrogami mają być właśnie

[1] Żyd Hirsch jak donosi *Vossische Zeitung* zostawił po swej śmierci 214,666.527 fr. w samych tylko papierach, a posiadał w dobrach ziemskich jeszcze więcej, skoro Żydowskiemu stowarzyszeniu kolonizacyjnemu mógł przekazać sumę 280 milionów fr.

[2] *L'Univers* z 1 lut.

zakony; poważną tę trudność przewidział już i zbił dosadnie Ojciec św. w liście do kardynała Paryża, a kler świecki wyższy i niższy listami biskupiemi, adresami i protestami okazał swą solidarność z kongregacyami religijnemi i udowodnił tem samem, że tych wrogów nie zna. Słychać tam głębokie i wielce oryginalne poglądy na niebezpieczeństwo i niemoralność nauk zakonnych. Wszak gdy jeden z deputowanych zauważył, że w ten sam sposób, w jaki rząd chce wystąpić przeciw zakonom, powinien wpierw wystąpić przeciwko żydom, gdyż talmud poleca swoim wyznawcom „aby sobie przywłaszczali dobra chrześcijan o ile tylko będą mogli, tak przez oszustwa i gwałty, jak przez lichwę i kradzież“ [1], wyrwał się Trouillot z bystrą uwagą „to jest w sam raz nauka Jezuitów“. Śpiewają tam również na wszelkie tony starą piosnkę o celu uświęcającym środki, a zapominają równocześnie, że gdyby Jezuici istotnie tę wielce moralną zasadę byli wymyślili, zasługiwaliby na wdzięczność ze strony tych wszystkich, którzy się nią posługują tak w parlamencie jak i na szpaltach czupurnego pisemka ludowego; pewne gazety nie cieszyłyby się takiemi rezultatami, gdyby nie potwarze, oszczerstwa i fałsze uświęcone przez cel walki z Kościołem i społeczeństwem.

Wszystko pokazuje tylko straszną, oślepiającą umysł złość, zacięty fanatyzm, który postawiwszy sobie jakiś cel, musi dojść do niego, mniejsza o to, jaką drogą. Po zakonach przyjdzie kolej na kler świecki – bez żadnych osłonek mówi się to publicznie; jedyną pociechą jest dla katolika to, że Kościół i zakony przeszły lecz i przetrwały większe już burze, i że zakony muszą jednak mieć w sobie wiele dobrego, skoro potrafiły wywołać taką prawdziwie piekielną nienawiść ze strony loży, liberalnego rządu i prostackiego tłumu; a wiadomo przecież, że jak tłum przewrotny i roznamiętniony rzuca się na to jedynie, co szlachetne i dobre, a pomija błoto i szumowiny, z któremi się brata, tak też jego pogarda i nienawiść uczciwemu

[1] *L'Univers* z 10 lutego.

człowiekowi tylko chlubę przynosi, a przekleństwo na błogosławieństwo zamienia. „Historya zakonów, możemy zakończyć za wyśmienitym w tej kwestyi artykułem *Gazety Kościelnej* [1], podobną jest do obrazu, jaki przedstawia rozrzucone mrowisko. Nim jeszcze burzyciel jego się oddalił, rozpierzchłe mrówki zaczynają się znów zbierać i prawie pod gniotącą jego stopą poczynają na nowo olbrzymie dla nich dzieło odbudowania. Nim jednak poświęcenie bardzo wielu jednostek zdoła na nowo wznieść ten bezmiar dzieł Bożych, dobro ludzkości mających na celu, ile upłynie lat, ile poleje się łez, ile zgubi się dusz!“

Ks. Wiktor Wiecki.

Z rolniczego ruchu spółkowego w Austryi.

I. Austrya Dolna. II. Morawy.

Wobec ożywienia usiłowań mających na celu gospodarcze i społeczne podniesienie ludności wiejskiej w naszym kraju, czego dowodem reorganizacya towarzystwa Kółek rolniczych i podjęcie krajowej akcyi rozpowszechniania kas Raiffeisenowskich, bez wątpienia pożyteczne są wiadomości o rozwoju i działalności spółek rolniczych, w krajach, które nas mniej lub więcej wyprzedziły pod tym względem. Szczególne jednak znaczenie mają dla nas odnośne dane dotyczące krajów w wiedeńskiej Radzie państwa reprezentowanych, jako odnoszące się do tego samego ustroju prawno-administracyjnego, który i w naszym kraju jest miarodajnym, a który przedewszystkiem należy uwzględniać przy podjęciu działalności w tym kierunku. Wprawdzie stosunki gospodarcze, społeczne i narodowe tych krajów różnią się znacznie od naszych, jednakże uwzględnienie ich może być dla nas łatwiejsze, niż przy wiadomościach odnoszących się do więcej nam obcych krajów i narodów.

Niniejszy szkic ma przedewszystkiem przedstawić obecny stan ruchu spółkowego niemieckiej ludności rolniczej w kilku krajach austryackich, opierając się głównie na memoryale styryjskiego posła

[1] *Gazeta Kościelna* nr. 7.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronica

Wskazówki chronologiczne do ery Chrystusowej. Przez *ks. Konstantego Czaykowskiego T. J.* 1

Piórem i ołówkiem. (C. d.). Przez *Jana Ładę:*
2. Z Grecyi i Wschodu 22 386

Talmud a Zbawiciel. Przez *Stanisława Tillingera* . . 45

Prof. Brückner o Wacławie Potockim. (Dok.) Przez *d-ra Kornelego Juliusza Hecka* 56

Jan III. Waza i missya Possewina. (Dok.) Przez *d-ra Feliksa Konecznego* 69 213 429

José Roumanille. Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 173 408

Murzyńska cywilizacya nad Nigrem. Przez *T. Wodzicką.* 191

Świętych Obcowanie. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.*:
VIII. Świętych obcowanie we mszy pierwszych wieków — w Składzie Apostolskim — w „Pasterzu“ Hermasa 229

„Krzyżacy“ Sienkiewicza. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* 257

Ubezpieczenia robotnicze w Niemczech. Przez *Edwarda Jaroszyńskiego* 337

Myśl średniowiecznej sztuki. (C. d.) Przez *ks. Józefa Tuszowskiego T. J.* 367

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

NOETYKA. Ks. dr. Franciszek Gabryl, prof. Uniw. Jagiel. *(Ks. J. Nuckowski T. J.)* 98

ŚWIĘTY FRANCISZEK z ASSYŻU. Edward Porębowicz. *(M.)* . . . 110

UKRAIŃSKA RYTMIKA LUDOWA W POEZYACH BOHDANA ZALESKIEGO. Napisał Aleksander Kolessa. *(Stanisław Zdziarski).* . . . 114

STANISŁAWA ORZECHOWSKIEGO „FIDELIS SUBDITUS" w redakcyi I-ej z r. 1543, wydał Teodor Wierzbowski. *(Stanisław Zdziarski)* 116

JAN KOCHANOWSKI, życie i dzieła. Zarys biograficzny przez Władysława Nehringa. *(Stanisław Zdziarski)* 116

KOŚCIELISKO, NIEDOKOŃCZONY POEMAT S. GOSZCZYŃSKIEGO. Zygmunt Wasilewski. *(Stanisław Zdziarski).* 118

LAIS. Kazimierz Lewandowski. *(Ks. Jan Pawelski T. J.)* . . . 120

POZA ZIEMSKIE ŚWIATY Julia Zawadzka. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 120

Z DOLINY ŁEZ. Jan Łada. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 121

ŻYCIE EUCHARYSTYCZNE NAJŚWIĘTSZEJ MARYI MATKI BOSKIEJ EUCHARYSTYI. Napisał ks. Kazimierz Siedlecki. *(Ks. Alfred Wróblewski T. J.)* 122

HISTORYA FILOZOFII W POLSCE na tle ogólnego rozwoju życia umysłowego. Henryk Struve. Zeszyt I. Wiadomości przygotowawcze. *(Dr. M. Straszewski)* 286

SŁOWNIK GWAR POLSKICH. Ułożył Jan Karłowicz. Tom pierwszy. A do E. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 296

KRYTYKA LITERACKA WE FRANCYI. Edward Przewóski. T. 2. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 302

ZWYCZAJE TOWARZYSKIE (Le savoir-vivre) wraz z nauką życia. Poglądy na zachowanie się w ważniejszych okolicznościach życia towarzyskiego. Wydanie trzecie. *(Ks. Alfred Wróblewski T. J.).* 303

Z NOWYCH POWIEŚCI. Eliza Orzeszkowa: „Chwile". — Kazimierz Tetmajer: „Otchłań". — Artur Gruszecki: „Nowy obywatel", „Zwyciężeni". — Wł. St. Reymont: „Sprawiedliwie". Kazimierz Laskowski: „Licytanci". — Kazimierz Daniłowicz Strzelbicki: „Blichtr". — Pan Niedźwiecki. *(Ks. Jan Pawelski T. J.)* 444

JULIUSZ KOSSAK Przez Stanisława Witkiewicza. 260 rysunków w tekscie, 8 światłodruków, 6 faksimili kolorowych z akwarel, portrety podług L. Wyczółkowskiego i S. Witkiewicza. *(Ks. Józef Tuszowski T. J.)* 453

ADAM OPATOVIUS, dawny akademik krakowski. Kartka z dziejów uniwersytetu krakowskiego Z portretem. Napisał ks. dr. Julian Bukowski. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 460

Z piśmiennictwa zagranicznego:

INSTITUTIONES IURIS NATURALIS SEU PHILOSOPHIAE MORALIS universae secundum principia S. Thomae Aquinatis (ad usum scholarem adornavit) Theodorus Meyer. P. II. Ius naturae speciale. *(Ks. Eugeniusz Heiczyński T. J)* . . . 124

Stronica

Histoire de S. Jean-Baptiste de la Salle. J. Guibert. *(M.)* . 130

Vollendete und Ringende. Dichter und Dichtungen der Neuzeit geschildert von Richard Maria Werner. *(Dr. Józef Flach)*. 141

Filippo Lippi. Trauerspiel. Eberhard König *(Ks. Wiktor Wiecki T. J)* 150

Commentarius in Actus Apostolorum auctore Iosepho Knabenbauer S. I. *(Ks. dr. Stanisław Trzeciak)* 305

Dante. K. Federn. *(Ks. Maksymilian Kohlsdorfer T. J.)*. 312

Spemanns goldenes Buch der Weltlitteratur. Eine Hauskunde für Jedermann. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 315

Impressions et souvenirs d'aveugle Par Maurice de la Sizeranne. *(M.)* 317

William Cotton Oswell, hunter and explorer by his eldest son *(M.)* 318

La Venerabile Maria Cristina di Savoia, regina delle Due Sicilie. Studio biografico da Mgre Vincenzo Sardi. *(M.)* 461

Ein Ausflug ins Altchristliche Afrika. Zwanglose Skizzen von Dr. Fr. Wieland. *(T. W.)* 465

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Nowy prąd na Wszechnicy Budapeszteńskiej. — Ze stosunków szkolnych we Włoszech. — Z dziejów rytualizmu angielskiego. — Demonstracya antykatolicka w Londynie. — Zasądzenie kardynała Langénieux. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 152

Zjazdy w 1900 r.: I. austryacki kongres antyniewolniczy w Wiedniu. Przez *y.* 162

Kronika ekonomiczno-socyalna. Lex Millerand. — Związek austryackich towarzystw rolniczych. — Wywóz drzewa — Obrońcy teoryi wolnego handlu. — Komunikacye wodne. — Polityka kolonialna na międzynarodowym kongresie socyalistycznym. — Podwyższenie podatku od wódki Przez *d-ra Adama Krzyżanowskiego* 165

LUTY.

Sprawy Kościoła: Nowa faza w ruchu „Los von Rom". — Agitacye protestanckie w Hiszpanii. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 321

Pogadanka o ruchu artystycznym polskim. Przez *Leonarda Lepszego* 330

Stronica

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Francya wobec Kongregacyj. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 479
Z rolniczego ruchu spółkowego w Austryi. I. Austrya Dolna. II. Morawy. Przez *d-ra Tadeusza Kudelkę*. 489

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.